

PORAŻAJĄCO ZARAŻLIWY THRILLER

ROBERT LIPARULO

# WIRUS

Wstrzymaj oddech, bo cie dopadnie!

WYDAWNICTWO 



# Wirus

## *Germ*

### Tłumaczenie

Joanna Szmigielska-Michałek

- Wirus Ebola jest jednym z najgroźniejszych wirusów znanych człowiekowi.
- Wraz z każdą kolejną epidemią rośnie odsetek przypadków śmiertelnych wśród osób zarażonych.
- W 1995 roku odkryto szczep przenoszony drogą powietrzną.
- Po upływie trzydziestu lat od ostatniej epidemii wywołanej przez wirusa Ebola nadal nie wiadomo, co się z nim dzieje, kiedy znajduje się poza organizmem człowieka albo małpy.
- Test Guthriego, znany także jako test na PKU, został opracowany przez Roberta Guthriego w 1962 roku. Przeprowadza się go na próbce krwi pobranej ze stopy noworodka.

Pomaga zdiagnozować pewne choroby genetyczne, takie jak fenyloketonuria. Jest wykonywany rutynowo u wszystkich dzieci przychodzących na świat w krajach rozwiniętych.

- Większość kart Guthriego zawierających owe próbki krwi jest przechowywana w magazynach, nie zostają poddane zniszczeniu.
- Krew na tych kartach zawiera DNA umożliwiające identyfikację osoby, od której została ona pobrana.
- Kiedy naukowcy posiadli umiejętność rekombinacji genów, uzyskali także możliwość kodowania w wirusach ludzkiego DNA.
- Dzięki temu teoretycznie wirusy mogą odnaleźć konkretne DNA - mogą odnaleźć ciebie.

Człowiek niczego nie wniósł do sztuki życia; za to w sztuce śmierci znacznie wyprzedził samą Naturę i z użyciem chemii oraz techniki dokonuje rzezi większej niż pomór, głód i zaraza.

George Bernard Shaw

- Niech stanie się światłość! - powiedział Bóg, i powstało światło. - Niech poleje się krew! - mówi człowiek, i powstaje morze.

George Gordon Byron, *Don Juan*

Pojęcie odwagi zawiera w sobie jakby wewnętrzną sprzeczność. Oznacza ono silne pragnienie życia, które wyraża się gotowością na śmierć.

Leżący na łóżku kształt, ledwie przypominający człowieka, szarpał się i rzucał, niczym nocne zwierzę wywleczone na światło dnia. Jego oczy były zalane krwią i zapadnięte w głąb czaszki, tak że spod spuchniętych, krwawiących powiek połyskiwały tylko szkarłatne kule. Wywinięte wargi, pokryte czarnymi plamami, odsłaniały pokrzywione zęby i owrzodzone dziąsła. Krew lała mu się z nozdrzy, uszu i spod paznokci. Bryzgając z miotanego konwulsjami ciała, zachlapała ściany i zasłony, tworząc ciemne kałuże na wyłożonej kafelkami posadzce.

Despesorio Vero, ubrany w biały fartuch laboratoryjny, pochylił się nad chorym. Jego palce ślizgały się na instrumencie, gdy wpychał do gardła pacjenta rurkę intubacyjną.

Gwałtownie odsunął twarz od szkarłatnej mgły, która towarzyszyła każdemu sapanięciu i kaszlnięciu chorego. Jego nozdrza palił kwaśny odór wydzieliny. Dostrzegł we krwi smugi tłustego, czarnego śluzu i zacisnął usta. Wkładał już swoje ręce w różne otwory ciała - u martwych i żywych - i spośród tego, co zdolne było zrobić lub wydzielić ludzkie ciało, mało co mogło wywołać u niego odrazę. Ale to... Musiał powstrzymać przemożną chęć zwymiotowania lunchu i skoncentrować całą swoją uwagę na ratowaniu życia tego człowieka.

Pacjenci wokół Vero rzucali się na łóżkach, wylili z przerażenia i szarpali swoje więzy.

Było mu ich żal, nawet bardziej niż samego umierającego - jego męka miała się wkrótce skończyć. Pozostali mieli przeżywać tę scenę wciąż od nowa - za każdym razem, gdy któryś organ przeszyje ból, gdy gorączka zacznie pompować pot, a po chwili krew przez pory w ich skórze; i jeszcze później, podczas krótkich przeblysków świadomości.

Nagle ciało pod nim wygięło się w łuk, po czym ciężko opadło i znieruchomiło.

Jedną ręką przytrzymując rurkę do intubacji, a drugą ściskając ramię pacjenta, Vero pomyślał, że w końcu nadeszło miłosierdzie, ale wtedy zauważył, że chory drży na całym ciełe.

Odwrócił powoli głowę i jego puste oczodoły spoczęły na lekarzu. W kilku urywanych ruchach, jak gdyby wewnątrz toczyła się jakaś walka, oczy powróciły na swoje miejsce.

Trudno było odróżnić brązowe tęczówki od szkarłatnych białek.

Na jeden koszmarny moment Vero zajrzał w te oczy. Znikło z nich szaleństwo chorego umysłu i obłąd, jaki towarzyszy wielkiemu bólowi. Głęboko w tych bezdennych oczach Vero zobaczył coś znacznie gorszego. Dojrzał tam człowieka, który w pełni zdawał

sobie sprawę ze swojej sytuacji, rozumiejącego z przerażającą jasnością, że jego organy rozplływają się i wylewają poza ciało. W tych oczach Vero dostrzegł człowieka, który prosił, błagał...

Skóra na twarzy pacjenta zaczęła pękać. Kiedy bulgoczący wrzask przeszył oddział, Vero odwrócił się, by wydać polecenie, ale pielęgniarki i pomocnicy umknęli. Zobaczył

postać w drzwiach, daleko, na drugim końcu sali.

- Pomóż mi! - zawołał. - Morfina! Na tamtym wózku.

Ale człowiek w drzwiach się nie poruszył.

Karl Litt. To on spowodował ten ból, tę śmierć. To jasne, że nie chciał pomóc. A jednak Vero przeżył szok, widząc wyraz jego twarzy. Słyszał, że żołnierze nie czerpią przyjemności z odbierania życia; ich działanie jest konieczne, lecz tragiczne. Litt nie był

żołnierzem. Tylko potwór mógł spoglądać w taki sposób na cierpienie wijącego się z bólu człowieka. Tylko potwór mógł się uśmiechać szeroko na widok tego morza krwi.

Trzydzieści miesięcy później

Nagły oślepiający blask słońca sprawił, że przez moment Goodwin Donnelley nie widział, co dzieje się przed nimi na autostradzie I-75. Agent specjalny Donnelley nie zdjął

nogi z gazu; mógł tylko mieć nadzieję, że nie wpadnie na inne auto. Na końcu podjazdu jego sedan poderwał się w górę. Donnelley wraz z pasażerem walnęli głowami o dach, po czym samochód opadł z łoskotem na drogę w feerii iskier. Zanim Donnelley gwałtownym skrętem kierownicy skierował auto w stronę prawej barierki, jego przedni zderzak zdążył uderzyć w tylny bok hondy.

Zobaczył przed sobą pusty pas pobocza i wyprostował kierownicę, przyspieszając wzdłuż korka, jaki tworzył się zwykle w Atlancie w porze obiadowej. We wstecznym lusterku dostrzegł, jak ścigający ich czarny nissan maxima wpadł na autostradę, zniknął za naczepą, aż wreszcie pojawił się na poboczu. Człowiek siedzący obok Goodwina - Despesorio Vero, jak sam siebie nazywał - obrócił się, by zobaczyć, co się dzieje, zasłaniając tym samym widok Donnelleyowi.

- Doganiają nas!

- Siadaj! - Donnelley popchnął go, wpatrując się w drogę przed sobą. Promień słońca odbił się od karoserii samochodu zaparkowanego na poboczu jakieś półtora kilometra przed nimi. Przy stu trzydziestu kilometrach na godzinę taką odległość pokonuje się w dwadzieścia sekund. Ale tutaj ruch był mniej intensywny i Goodwin mógł w każdej chwili zjechać na pas po lewej.

Jeszcze jeden rzut oka w lusterko: maxima była tuż za nimi. Przez okno pasażera wychyliła się uzbrojona w strzelbę postać.

Gdyby Donnelley zaczekał ze zmianą pasa do ostatniej chwili, maxima prawdopodobnie uderzyłaby w stojący samochód. Maskę auta była podniesiona, ale Donnelley nie mógł dostrzec nikogo w pobliżu. Gdyby podstęp się udał i maxima uderzyła w auto, byłby to wyrok śmierci dla każdego, kto stałby przed wozem.

Donnelley zjechał z powrotem na szosę, dając maximie czas, żeby zrobiła to samo.

Jego prześladowcy zmienili pas na środkowy i, ostro przyspieszając, zbliżyli się jeszcze bardziej.

Zderzak maximy znajdował się teraz na równi z drzwiami Donnelleya, który instynktownie dotknął kieszeni spodni, sprawdzając, czy urządzenie naprowadzające nadal tam jest. Było. Nie zdążył go umieścić na ubraniu Vero, ale urządzenie wciąż było włączone i jego partnerka mogła go namierzyć. Była gdzieś z tyłu, daleko za maximą.

Z kabury pod pachą wyjął pistolet, przygotowując się do strzału. I wtedy jego tylna boczna szyba rozprysła się na tysiące drobniutkich kryształków, które przy wtórze huku wystrzału ze strzelby zasypały gradem wnętrze auta. Vero wrzasnął i obaj mężczyźni skulili się w fotelach.

Kolejny pocisk uderzył w drzwi Donnelleya, który wciąż trzymał głowę nisko i nie widział, co się dzieje przed nim na drodze. Ocierając się raz o barierkę po prawej, raz o maximę po lewej, jakoś utrzymywał auto w linii prostej. Następny pocisk wyrwał metalowy słupek pomiędzy bocznymi szybami oraz większą część zagłówka Donnelleya.

Broń wypadła mu z ręki na stronę pasażera i zaczęła wirować na wycieracze.

Bum! Szyba po stronie Vero rozprysła się na drobne kawałki.

- Dostyc tego! - Donnelley krótko, ale gwałtownie nacisnął hamulec. Samochód ostro zahamował i maxima znalazła się przed nim. Donnelley odbił kierownicą w lewo i przód sedana rąbnął w drzwi pasażera maximy, tuż pod zdumioną twarzą strzelca wychylonego przez okno.

Jego torsem gwałtownie szarpnęło w dół, niby w jakimś entuzjastycznym wschodnim powitaniu. Ze swej pozycji, skulony za kierownicą, Donnelley nie widział, jak twarz mężczyzny uderza o maskę sedana, ale tak właśnie musiało się stać, bo jego strzelba pokoziołkowała przez przednią szybę, a potem po dachu. Ułamek sekundy później mężczyzna znów się pojawił, tym razem z zakrwawionym nosem, po czym schował się we wnętrzu maximy.

Donnelley wyprostował się na siedzeniu i ponownie odbił kierownicą. Tym razem sedan przyszpilił maximę tuż przed przednim kołem. Autem prześladowców rzuciło w bok przez trzy pasy i z powrotem. Kiedy Goodwin oceniał przyzwoity dystans, jaki dzielił go teraz od maximy, w jej oknie znów pojawił się strzelec z zakrwawioną twarzą, z nową strzelbą w dłoni. Zdawał się ryczeć z wściekłości - miał teraz powód do osobistej urazy.

Donnelley klepnął Vero w pierś i wskazał na podłogę.

- Podaj mi ten pistolet. Szybko!

\*

Daleko z tyłu, tym samym wjazdem, którym na autostradę dostały się prowadzące pojedynkę pojazdy, wypadł kolejny samochód - czekoladowobrązowy ford taurus. Przy wtórze pisku opon zarzuciło nim przez trzy pasy, zanim wybrał jeden i wystrzelił do przodu.

Siedząca w środku Julia Matheson wyprostowała kierownicę i nacisnęła gaz.

Zagryzała wargi, ciemna grzywka przyklejała się jej do twarzy, złanej potem pomimo włączonej

klimatyzacji. Rozglądała się nerwowo, próbując wypatrzeć jakąś lukę między samochodami oraz jadącego gdzieś przed nią Donnelleya.

Odgłosy dobiegające z niewielkiego głośniczka były nie do wytrzymania. Przez przerywane połączenie docierały do niej urywki huku wystrzałów, nieznośny hałas przypominający zgrzyt metalu, a potem wrzaski i przekleństwa.

Jej partner Goody Donnelley miał przy sobie bezprzewodowy mikrofon, umożliwiający śledzenie rozmów z odległości nie większej niż półtora kilometra, ale w dalszym ciągu po jego aucie nie było nawet śladu.

Ponownie spróbowała połączyć się z nim przez samochodowy radiodbiornik policyjny:

Goody! Odbierz. Tu Julia. Goody!

Wiedziała, w czym tkwił problem. Radio zakłócało sygnał mikrofonu osobistego, więc Donnelley wyłączył je, zanim wyruszyli do hotelu po faceta, który - co zresztą przewidzieli -

wpakował ich w kłopoty.

Przez słuchawkę dobiegło do niej, jak Goody wrzeszczy: „Podaj mi ten pistolet.

Szybko!”.

Potem słyszała już tylko trzaski.

Znowu zaczęła się zastanawiać, czy nie skontaktować się z policją z Atlanty, z patrolem stanowym Georgii lub z własną agencją, z kimkolwiek. Ufała jednak instynktowi Goody'ego, który uprzedził ją, by nie wzywała wsparcia - chociaż mówił to, zanim jeszcze wpadli w bagno po uszy.

Walnęła dłonią w kierownicę.

Wszystko poszło nie tak. Nie tak.

No dobra, jasne. Ale jeszcze godzinę temu zadanie zdawało się więcej niż nudne.

Myśleli, że jest wręcz poniżej ich godności.

\*

Goody zadzwonił do niej tuż po szóstej.

- Pobudka, wstawaj! - zaczął.

W tle słyhać było śmiechy i pokrzykiwania jego synów. Nie mogła zrozumieć, jak o tej porze można mieć tyle energii.

Donnelley mówił dalej:

- Ten szajbus, który do nas wydzwaniał, jest w mieście. Pojawił się rano w Centrum.

- Vero? - zapytała wciąż półprzytomna Julia. - Jest tutaj?

Facet wydzwaniał od dwóch dni, żądając rozmowy z dyrektorem Narodowego Centrum Chorób Zakaźnych wchodzącego w skład CDC. Bredził coś chaotycznie, rozwodząc się nad starym wirusem, będącym w rzeczywistości nowym wirusem, oraz nad zagrożeniem, które mogło być, choć niekoniecznie, związane z bioterroryzmem. Jako agenci pracujący dla nowego Wydziału Egzekwowania Prawa przy CDC, wydziału, który został utworzony na mocy ustawy Kongresu o zwalczaniu bioterroryzmu, Julia Matheson i Goodwin Donnelley próbowali namierzyć te połączenia i dowiedzieć się czegoś więcej o rozmówcy.

Ustalono, że dzwonił z różnych budek telefonicznych w Dystrykcie Kolumbii, a nazwisko „Despesorio Vero” nie figurowało w żadnej z dostępnych im baz danych, co dawało wiele do myślenia.

- Pojawił się przy pierwszej bramie około piątej, histerycznie żądając, żeby go wpuszczono. Strażnik myślał, że facet staranuje autem szlaban. Wartownicy już mieli go zatrzymać, kiedy wycofał się i odjechał. Wóz był z wypożyczalni, wynajął go zeszłej nocy na lotnisku.

- A więc mamy go znaleźć?

- Jesteśmy z nim umówieni o dziewiątej w hotelu Excelsior.

- Jesteśmy umówieni?

- No, właściwie to ja jestem z nim umówiony. On myśli, że ja to Sweeney. Dyrektor Centrum, John Sweeney. Vero zadzwonił tuż po tym, jak dyrektor się zmył. Połączyli go ze mną.

Wyznaczenie miejsca spotkania poza terenem Centrum było standardową procedurą operacyjną. W tutejszych laboratoriach były przechowywane próbki najbardziej śmiertelnych patogenów na świecie. Rozsądek nakazywał dowiedzieć się, kto chciał się tam dostać i dlaczego. Ta polityka nie zachwycała naukowców pracujących dla CDC, którzy chcieliby zaprosić kolegów po fachu, ani pracowników działu public relations, którzy uważali, że prawo wstępu powinien mieć każdy płacący podatki obywatel wraz z całą rodziną. Ale nikt nie chciał, żeby wariaci płątali się po korytarzach. A Vero wydawał się stuknięty.

- Będziesz miał mikrofon? - Julia odbyła specjalne przeszkolenie w zakresie technik inwigilacji. W dzisiejszych czasach nagrywa się wszystko.

- Jasne - odpowiedział. - I weź ze sobą „tropiciela”. Molland nie chce go zgubić, w razie gdyby facet się spłoszył, a okazałoby się, że gadał nie całkiem od rzeczy.

Edward Molland był dyrektorem Operacji Wewnętrznych, a zarazem ich szefem.



- Daj mi trzy kwadransy.

- Jak mama? - zapytał łagodnie Donnelley.

- Ostatnio ma dobre dni. Tylko ogląda za dużo telewizji.

- A ty nie?

- Teraz tylko Zagubionych, Goody. Ale byłeś świadkiem, że gorzej już być nie mogło.

Zanim jej matka zachorowała i wprowadziła się do niej, Julia spędziła kilka miesięcy w pokoju gościnnym u Donnelleyów. Właśnie zerwała z facetem i nie miała ochoty nigdzie bywać, więc spędzała wieczory, chłonąc po kolei różne seriale. Przytyła trzy kilo. Teraz po dodatkowych kilogramach nie było nawet śladu.

- Gorzej, lepiej... Od czego są przyjaciele? Do zobaczenia za pół godziny.

- Za czterdzieści pięć minut - powiedziała, ale on już się rozłączył.

Zanim wyszła, przystanęła przed pokojem mamy. Nasłuchiwała przez chwilę, delikatnie zapukała i uchyliła drzwi. Mae Matheson siedziała na skraju łóżka, czytając etykietkę na fiolce z lekarstwem.

- Wszystko w porządku?

Matka podniosła wzrok zaskoczona.

- Ojej, nie słyszałam cię. Czemu wstałaś tak wcześnie?

- Mamy sprawę, wychodzę. Dasz sobie radę?

Mae uśmiechnęła się i Julia poczuła w piersi znajomy tępy ból. Jej matka była za młoda na to, co ją spotkało. Pięćdziesiąt trzy lata. Przez stwardnienie rozsiane wyglądała raczej na osiemdziesiąt trzy.

Diagnozę usłyszała sześć lat temu. Ojciec Julii nie miał ochoty spędzić reszty życia, pielęgnując inwalidkę, więc się ulotnił. Dwa lata temu matka wprowadziła się do Julii.

Zdarzały się takie dni, że nie była w stanie się podnieść z łóżka czy zjeść cokolwiek.

Kiedy Julia nie mogła zostać w domu - a zazwyczaj nie mogła - wzywała pielęgniarkę lub kogoś z opieki społecznej. Wyglądało jednak na to, że dzisiaj mama poradzi sobie sama - już od rana była aktywna.

- Nie mogłam spać - odpowiedziała Mae. - Nic nowego. Dam sobie radę. Miłego dnia, kochanie.

Julia przytrzymała drzwi jeszcze przez chwilę. Musi znaleźć jakiś sposób, żeby zostać z mamą w domu przez cały dzień, tak po prostu, dla przyjemności. Myślała o tym bez przerwy przez ostatnie dwa lata. Uśmiechnęła się i zamknęła za sobą drzwi.

W swoim biurze na terenie Centrum przygotowała sprzęt i omówiła strategię z Goodym i Mollandem. Za pięć dziesiątą siedziała już w swoim samochodzie zaparkowanym naprzeciwko marmurowo-złotego hotelu Excelsior i nasłuchiwała.

- Jeszcze go nie widać - odezwał się Goody z restauracji hotelowej.

Zanim zajął tam miejsce, przeprowadził rekonesans w hotelowym lobby, w biurach i w kuchni. Julia słyszała, jak kelnerka przyszła przyjąć zamówienie i jak Goody poprosił o duży sok pomarańczowy.

- O nie! - rzucił z paniką w głosie.

Julia zeszywniała:

- Co?

- Te ceny są absurdalne! Becky z księgowości dostanie zawału.

- Bardzo zabawne - Julia zerknęła na laptop leżący na siedzeniu pasażera. Na ekranie widoczna była mapa terenu wokół hotelu. Świecąca czerwona plamka pokazywała, gdzie w budynku znajdował się Goody.

Z laptopa biegł kabel do leżącej na podłodze skrzynki wielkości grubej książki. Inny kabel łączył skrzynkę z urządzeniem o wyglądzie anteny do telefonu komórkowego otoczonej kołnierzem. Urządzenie to było przymocowane na przyssawce po zewnętrznej stronie szyby pasażera. Skrzynka i antena, podobnie jak specjalne oprogramowanie na dysku laptopa, były częściami składowymi SATD2 - satelitarnego urządzenia śledzącego, nazywanego przez nich

„tropicielem”. Został on opracowany dla wojska pod wspólnym nadzorem FBI oraz CIA i pozwalał agentom wysledzić nadajnik wielkości paznokcia z dokładnością do kilku metrów niemalże z drugiego końca świata.

- Zaczyna się - mruknął Goody.

Inny głos, lekko chropawy i napięty:

- Sweeney? Czy pan Sweeney?

Goody:

- Czy dobrze się pan czuje? Nie wygląda pan najlepiej.

Drugi głos:

- Proszę się tym nie przejmować.

- Chwileczkę, nie mogę się nie przejmować. Kelner, czy mogę prosić o szklankę wody? Jeśli pan pozwoli, to zawiozę pana do szpitala. Tam też możemy porozmawiać.

- Niech pan posłucha, chcę pojechać do pańskiego biura. Dlaczego musieliśmy się spotkać...

Z głośnika rozległ się przenikliwy dźwięk tłuczonego szkła.

- Na ziemię! Na ziemię! - to był Goody. Potem nastąpiła seria grzmiących wybuchów, wystrzałów ze strzelby, sądząc po głębokim pogłosie. Raz za razem rozległo się sześć strzałów z pistoletu - Goody odpowiedział ogniem.

Julia w jednej chwili odpięła pas i pchnęła drzwi. Już miała wyskoczyć z auta, kiedy usłyszała, jak Goody woła:

- Julio! Podjedź pod wejście. Mam Vero, wychodzimy.

Zapaliła silnik, wykręciła kierownicę i z całej siły nacisnęła pedał gazu. Drzwi, których nie domknęła, otworzyły się i uderzywszy w bok auta zaparkowanego z przodu, same się zatrzasnęły. Jakiś samochód wyhamował z piskiem tuż za nią - do zderzenia zabrakło dosłownie kilku centymetrów. Jej auto przeskoczyło przez trzy pasy ruchu wprost pod zadaszone wejście hotelu.

- Na ziemię! Na ziemię! Wszyscy na ziemię! - krzyczał Goody przez mikrofon bezprzewodowy.

Dwa wystrzały ze strzelby, jeden po drugim - niemal jednoczesne, więc nie mogły pochodzić z tej samej broni.

Kiedy Julia wjechała na chodnik tuż przed wejściem, rozpędzając boyów hotelowych i pieszych, usłyszała głos Goody'ego.

- Julio, nie damy rady tam dotrzeć! Uciekaj stąd! Spróbujemy się dostać na parking do mojego auta. A ty jedź! Jedź!

Wykręciła kierownicę w lewo i z powrotem wypadła na ulicę. Przejechała dwa kwartały, dwa razy skręciła, po czym zatrzymała się przy krawężniku. Znowu miała hotel po przeciwnej stronie ulicy - tym razem było to jego tylne wyjście i wyjazd z parkingu. Przez mikrofon słyszała teraz głównie szumy. Aż nagle:

- Julio?... Słyszysz mnie?. Jestem na McGill... zachód, tuż za mną!

McGill! Była przy tej samej ulicy, ale Goody się od niej oddalał. Zawróciła z piskiem opon.

- Słuchaj - odezwał się Goody. Odbiór był teraz wyraźniejszy. - Rozpoznałem jednego ze strzelających. To James jakiś tam. Satratori, czy coś w tym rodzaju. Prawie go przymknąłem kilka lat temu. Na ile się zorientowałem, był Serpico w wydziale narkotykowym. Wyciągnęli go z aresztu, zanim zdążyłem się do niego odezwać. - Goody burknął coś do Vero, żeby mu nie przeszkadzał.

Julia przygryzła wargę. Serpico to agent biorący udział w ściśle tajnej operacji.

- Nie wzywaj posiłków - ciągnął Goody. - Przynajmniej do czasu, kiedy się dowiemy, dlaczego federalny bawi się w płatnego zabójcę. Rozumiesz?

Zaległa cisza i słycać było tylko, jak koszula Goody'ego ociera się o mikrofon.

Pewnie wykonywał jakieś manewry na drodze. Słyszała w tle, że Vero wciąż coś mówi.

- Jak tylko uda mi się zgubić tych gości, spotkamy się i ustalimy jakiś plan -

powiedział Goody. - Ale na razie nie wciągajmy w to nikogo, dobra? - zapadła cisza, a potem Donnelley dodał: - Wjeżdżam na autostradę I-75. Słyszysz mnie? Jadę na północ.

To było dwadzieścia minut temu, najwyżej dwadzieścia. Teraz, kiedy prła do przodu autostradą I-75, próbując dogonić Goody'ego, w słuchawce słyszała tylko szum. Przy gorączkowych ruchach Donnelleya musiały się rozłączyć przewody od nadajnika albo oddalili się na tyle, że byli już poza zasięgiem. Wyrwała z ucha słuchawkę i rzuciła okiem na laptop. Świecąca czerwona kropka wskazywała, że jej partner był jakieś trzy kilometry przed nią. Napięła mięśnie stopy i jeszcze mocniej nacisnęła pedał gazu.

Nagle z przerażeniem zdała sobie sprawę, że sznur samochodów jadących przed nią zatrzymał się. Gwałtownie wcisnęła hamulec. Powietrze wypełniał swąd palonej gumy, a na szosie leżało pełno szkła i kawałków plastiku. Lakier w kolorze auta Goody'ego długimi pasmami znaczył pogięte bariery. Na ekranie „tropiciela” czerwona kropka szybko się oddalała. Julia zaczęła gwałtownie naciskać klakson. Z samochodu przed nią przez okno kierowcy wysunęła się dłoń z podniesionym do góry palcem.

Jak sobie życzysz - powiedziała Julia i docisnęła pedał gazu.

\*

Mężczyzna siedzący w fotelu pilota cessny CJ2 miał obsesję na punkcie wysokiej jakości świadczonych przez siebie usług. Wierzył w szybką reakcję i pośpiech, tak że nie zawahał się przed kupnem tego odrzutowca ani dwóch poprzednich. Wierzył w dyskrecję, więc sam pilotował samolot i nikogo nie zatrudniał - używał tylko zestawu elektronicznych przekaźników telefonicznych, które przesyłały informacje na jego skrzynkę głosową w Amsterdamie. Nie uznawał modnego obecnie sloganu: „Obiecuj mniej, dostarczaj więcej”.

Słuchał potrzeb klientów, oni zatwierdzali plan i termin akcji, a on ten plan realizował. I tyle.

Na przykład jego ostatnie zlecenie. Klient był maklerem uwikłanym w dochodzenie prowadzone przez Komisję Giełd i Papierów Wartościowych. Słabym punktem jego obrony był współpracownik, z którym nierozważnie za bardzo się spoufalił. Pilot odwiedził

mieszkanie owego współpracownika, strzelił mu dwa razy w głowę i problem został

rozwiązany. Mimo że kwota, którą zażyczył sobie jako zapłatę za tę usługę, była - jak zwykle

- absurdalnie wysoka, to i tak stanowiła zaledwie drobny ułamek rocznej premii maklera. A teraz jego klient będzie mógł wykorzystać kolejny rok, pracując na następną premię, zamiast czyścić więzienne toalety. To była mądra inwestycja.

Jeden z klientów powiedział mu, że krąży o nim opinia, iż jest najlepszy w swoim fachu.

Nie wiedział, czy jest najlepszy, i nie zależało mu na tym. Wykonywał swoją pracę, to wszystko.

Nie chodzi o to, że był obojętny. Kochał to, co robił, i dlatego nie przejmował się porównaniami. Podziwiał ekonomię śmierci: przyspieszenie czyjegoś przejścia na tamten świat przynosiło dobry dochód nie tylko jemu, ale zapewniało też utrzymanie koronerom, posterunkowym, detektywom, technikom, producentom proszków daktyloskopijnych, luminolu oraz wielu innych środków chemicznych i specjalistycznego sprzętu - nie wspominając już o producentach broni, amunicji, trumien czy chusteczek higienicznych - a także dziennikarzom, autorom nekrologów i powieści kryminalnych.

Kiedyś spędził wieczór, wyliczając zawody, które w całości lub częściowo zawdzięczały swoje istnienie morderstwu - było ich siedemdziesiąt osiem, a ich wpływy ekonomiczne wynosiły ponad dwadzieścia trzy miliardy dolarów, czyli więcej niż dochody z przemysłu nagraniowego, filmowego czy gier komputerowych.

Niezmiernie cieszyła go świadomość, że potrafił rozwiązać krytyczny problem życiowy tak szybko i łatwo, jak hydraulik przetyka zapchaną rurę, a mechanik reguluje silnik.

Któż jeszcze mógłby do tego aspirować? Przecież nie prawnicy, księgowi lub lekarze; nie budowniczcy, psychiatry czy księża. Zastanawiał się kiedyś, czy po zabójstwie nie zatrzymać się jeszcze w okolicy. Mógłby wtedy ukradkiem śledzić, jak dalej toczy się życie klienta, i czerpać dodatkową przyjemność z obserwacji korzyści, jakie przyniosła wykonana przez niego usługa. Ale to byłoby nierozsądne i nieprofesjonalne.

Trzymając w ręce szklankę wody sodowej z cytryną, przyglądał się, jak autopilot delikatnie manewruje drążkiem sterowym. Niebo było czyste i jasnoblękitne. Zamknął oczy.

Kolejna rzecz, którą kochał: bycie częścią tajemniczej i strasznej siły natury.

Fascynowało go, jak ludzie na różne sposoby personifikowali śmierć - stereotypowa zakapturzona postać bez twarzy, która przy błysku kosy zbiera żniwo z ludzkich dusz; tajemnicza bestia Hemingwaya, która w cieniu Kilimandżaro pożarła niefortunnego poszukiwacza przygód; piękna kobieta, której pocałunek niósł ze sobą wiekuiste konsekwencje w filmie *Cały ten zgiełk*.

Czuł, że to wszystko było w nim.

Nawet jego imię - jedyne, jakie kiedykolwiek znał - pasowało do leksykonu śmierci: Atropos. Starożytni Grecy przedstawiali Przeznaczenie jako trzy stare surowe siostry boginie.

Kloto Przędka przędła nić życia, Lachesis Mierząca Nić ją odmierzała i wyznaczała każdemu los, a Atropos Nieubłagana trzymała nożyce, którymi we właściwym czasie ową nić przecinała, często wedle własnego kaprysu. Jemu przypadała rola tej trzeciej siostry. Chętnie przyjął jej imię i obowiązki.

Śmierć była wyzwoleniem od problemów tego świata. W oczach swoich ofiar widział

spokój, kiedy wpatrywały się w coś niewidocznego dla żyjących. Z jego doświadczenia wynikało, że wszyscy ludzie żyli w stanie ciągłego przerażenia, ale w obliczu śmierci ogarniał

ich spokój. Koniec strachu, koniec zmartwień, tylko spokój. To był jego dar dla nich.

„Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój”. Podobała mu się myśl, że jest błogosławiony.

Kropla wilgoci ześlizgnęła się po szkle i osiadła mu na palcu. Potem następna i jeszcze jedna. Wąska strużka spłynęła mu po wierzchu dłoni.

Otworzył oczy.

Omiał nie zasnął. Upił łyk ze szklanki i odstawił ją na miejsce, po czym wysunął się bokiem z fotela pilota i wstał, nie prostując się, żeby wyjść z kokpitu. Nawet w kabinie musiał

dalej iść pochylony. Wzrost metr dziewięćdziesiąt nie pasował do jej półtorametrowej wysokości. Po raz tysięczny ujrzał w marzeniach gulfstreama G500. Już za cesseną zapłacił

sporo, ale gulfstream był od niej dziesięć razy droższy. W żaden sposób nie mógł

usprawiedliwić takiego wydatku. Przynajmniej na razie.

Kabina cessny została przerobiona tak, że mieściła aneks kuchenny, wygodny fotel rozkładany, sprzęt audio-wideo, podwieszony u sufitu worek treningowy oraz ławkę kulturystyczną do ćwiczeń. Drzwi w głębi prowadziły do pomieszczenia z prysznicem, umywalką i toaletą. Mieszkało się tu całkiem wygodnie - w sumie był to dom, jakich wiele.

Pochylił się niżej, aby zajrzeć do lustra. Gęste czarne włosy nosił obcięte dość krótko, były jednak na tyle długie, że z jednej strony nieco się jeżyły, a z drugiej odstawały.

Przeczesał je palcami, ale ułożyły się znów tak samo. Zielone oczy spoglądały zza szkieł w grubych oprawkach, które - pomimo jego muskularnej budowy - nadawały mu wygląd niezdary lub modnego reżysera. Mocny, prosty nos, kwadratowa szczęka oraz wyraźne dołki w policzkach towarzyszące uśmiechowi składały się na pewien osobisty urok, który robił wrażenie na kobietach. Skwapliwie to wykorzystywał, kiedy podczas obserwacji celu szukał pretekstu, by zatrzymać się na dłużej w jakimś sklepie lub gdy chciał skłonić kelnerkę do wyjawienia mu potrzebnych informacji. Golił się dwa razy dziennie, ale zarost wciąż był widoczny i podkreślał długą bruzdę na lewym policzku, gdzie włosy nie rosły.

Blizna ta nauczyła go nie lekceważyć szybkości, z jaką człowiek może dobrać i użyć ukrytej broni. Przed tym wypadkiem zabijał wyłącznie gołymi rękami. No, właściwie za pomocą specjalnie dla niego wykonanej rękawicy. Pozwalało mu to być blisko obiektu, kiedy wyzwalał go od trosk doczesnego życia - namacalnie czuć to wyzwolenie. Ponieważ jednak sam nie chciał opuszczać jeszcze tego świata - to nie było częścią układu - zaczął używać również pistoletu, kiedy wiedział, że tak będzie rozsądniej. Życie polegało na ulepszaniu i dostosowywaniu stylu zabijania - rękawicą lub pistoletem - a dokonując wyboru idealnej metody, czuł, jakby kierowała nim boska ręka.

Sięgnął po pilota i nacisnął przycisk. Ekranów dwóch dwudziestoczerocalowych telewizorów plazmowych ustawionych na przeciwległych końcach kabiny rozświetliły się na niebiesko, ukazując napis: „łączenie z siecią satelitarną”. Wkrótce potem pojawił się obraz kobiety policzkującej mężczyznę, zaraz po nim następny, przedstawiający dziecko jedzące płatki zbożowe, i kolejny z czarno-białym westernem (*Jeździec znikąd* - pomyślał zabójca) i znowu inny.

Przycisk zmieniający kanały był włączony na stałe, zablokowany wykałaczką.

Zabójca lubił oglądać telewizję w ten sposób - aktywny, zmienny, nieprzewidywalny. Pstryk, pstryk, pstryk.

- ...nie sądziłam, że kiedykolwiek zobaczę coś.

- ...zaczynij działać, a dorzucimy te. [niski płaczliwy dźwięk skrzypiec]

- ...było w tym coś zwierzęcego. [ryk silnika, pisk opon] [zakłócenia]

- ...ponieważ wiem, że to zrobiłeś. Wiem.

Tak. Czuł, jak impulsy nerwowe mkną przez synapsy, próbując dogonić uciekające informacje. Wiedział, że wkrótce będzie w stanie zaczynać i kończyć zdania, których fragmenty każdy program wypluwał z oszałamiającą prędkością. Szanse, że jego domysły będą się pokrywać z tym, co rzeczywiście zostało powiedziane, były niewielkie, ale jego dopowiedzenia miały sens, a to z kolei oznaczało, że jego umysł pracował na wysokich obrotach.

Z kokpitu rozległ się brzęczący sygnał. Wrócił na miejsce pilota i sprawdził laptop przypięty do sąsiedniego fotela. Nowy klient wprowadził uaktualnione współrzędne do oprogramowania nawigacyjnego, które zostało dostarczone Atroposowi po przyjęciu zlecenia.

Obiekt był w ruchu i w związku z tym obecna trasa lotu wymagała zmiany lotniska docelowego. Odnalazł współrzędne nowego lotniska w urządzeniu GPS i wprowadził je do komputera pokładowego. Kokpit wypełnił się światłem, kiedy autopilot przechylił samolot w stronę słońca.

\*

- Mamy sygnał z satelity - mówiący to człowiek ani na chwilę nie oderwał oczu od ustawionych przed nim trzech płaskich monitorów. Jeden pokazywał obszar czterdziestu kilometrów kwadratowych na terenie Atlanty, w skos którego biegła gruba linia autostrady opisanej niewielkimi literami jako I-75. Wzdłuż drogi przesuwała się miarowo czerwona kropka.

Starszy mężczyzna na wózku inwalidzkim przerwał obserwację idyllicznego krajobrazu rozciągającego się za ścianą z okien. Sterując przyciskami, skierował wózek po drewnianej podłodze na drugą stronę pokoju, gdzie zatrzymał się przy techniku.

- Czy możemy przejąć sygnał całkowicie? - zapytał.

- Chce pan odciąć agentkę CDC, tak żebyśmy tylko my go mieli?

- Właśnie.
- Można to zrobić.
- Czy ktokolwiek - FBI, CIA, CDC, ktokolwiek - będzie w stanie go odbierać, kiedy my go przechwycimy?
- Nie. Nikt go nie odbierze.
- A czy będą mogli nas namierzyć?
- Jesteśmy doskonale kryci.
- Czy ta agentka z CDC będzie mogła się ponownie podłączyć lub przerwać nasze połączenie?
- Jeśli spróbuje, to program sam ją odetnie. Jej komputer będzie wciąż dostawać błędne wiadomości.
- W takim razie zrób to.

Technik wpisał komendę i nacisnął „Enter”. Obraz drgnął.

- Gotowe.

Odjeżdżając wózkiem, starszy mężczyzna powiedział:

- Teraz każ naszym ludziom się wycofać.

Potrząsnął głową. Zawsze starał się wynajmować zawodowców do tego typu zadań, ale z wolnymi strzelcami nigdy nic nie było pewne: mógł zdarzyć się ktoś spokojny i kompetentny albo kompletny wariat. Ci dwaj mieli świetne rekomendacje, a teraz proszę -

zdawało się, że wszystko im jedno, kogo sprzątną przy okazji, byle osiągnąć cel.

Zniszczyli restaurację, a teraz, gnając po autostradzie, toczyli regularną bitwę z agentem federalnym. Nie na taką dyskrecję liczył.

- Niech trzymają się blisko, ale nie za blisko - polecił. - Dajmy im chwilę na uspokojenie.

\*

Taurus Julii wbił się w przestrzeń pomiędzy autem z przodu a betonową barierką, torując sobie drogę. Zderzak siłą odsuniętego na bok auta przerysował ze zgrzytem cały bok jej sedana. Kiedy udało się jej precyzyjnie, z wyciem silnika ruszyła ostro za partnerem.

Sygnal „tropiciela” wskazywał, że Donnelley znajdował się teraz co najmniej osiem kilometrów przed nią, a napastnicy bez wątpienia wciąż siedzieli mu na karku. „Trzymaj się, Goody, już jadę” - pomyślała.



Patrzyła na ekran, kiedy nagle czerwona kropka mignęła i zgasła. Potem wyłączyła się mapa i na ekranie pozostały widoczne tylko niewyraźne linie siatki. Gwałtownie wcisnęła hamulec i zatrzymała się na środkowym pasie chwilowo pustej autostrady. Wpatrywała się w ekran zdezorientowana.

Jej ręce błyskawicznie znalazły się na klawiaturze. Jedno po drugim zaczęła wstukiwać kolejne polecenia. Żadnego rezultatu. Sprawdziła wtyczki przy antenie, przy skrzynce na podłodze i z tyłu komputera. Ekran pozostał pusty. Złapała mikrofon od radia i wcisnęła przycisk nadawania.

Goody! Co się stało? Goody!

Chwyciła słuchawkę odbiornika przekazującego sygnał z mikrofonu osobistego Goody'ego i wcisnęła ją w ucho. Usłyszała tylko trzaski. Wyrwała ją z powrotem.

Z iskrą nadziei ostatni raz rzuciła okiem na monitor komputera, wcisnęła gaz i ruszyła do przodu na oślep.

Donnelley właśnie składał się do kolejnego strzału, kiedy maxima nagle skręciła w bok, jednocześnie zwalniając, tak że stracił ją z oczu. Wskazując za siebie, Vero krzyknął ze zdziwieniem:

- Patrz!

W tylnym lusterku Donnelley zobaczył, jak maxima wyskakuje z pobocza i zjeżdża w dół po nasypie, wzbijając chmurę kurzu.

- Pozbyłeś się ich! - Vero zaśmiał się niemalże bez troski.

Donnelley nie był tego taki pewny, ale odłożył broń na siedzenie. Czuł się tak, jakby go ktoś mocno kopnął w bok. Dotknął bolącego miejsca i zobaczył, że rękę ma całą we krwi.

Widząc to, Vero chwycił Donnelleya za ramię:

- Ja poprowadzę. Donnelley przyjrzał mu się:

- Lepiej nie.

Vero też wyglądał strasznie: lśniący, tłusty pot pokrywał mu twarz i ręce, przyklejając do czaszki kręcone brązowe włosy. Jego spękane krwawiące wargi nieustannie drżały. Oczy wychodziły mu z orbit i zdawało się, że na miejscu trzyma je już tylko sieć czerwonych naczynek rozchodzących się promieniście z obu kącików. Wokół otworu ucha widać było zaschniętą krew.

Widząc, że Donnelley mu się przygląda, Vero powiedział:

- Nie czuję się tak źle, jak wyglądam. Jeszcze nie. Zatrzymaj się.

- Nie. Siadaj - zerkając na przemian to na drogę przed sobą, to w tylne lusterko, Donnelley zacisnął zakrwawioną pięść na kierownicy. Twarz zastygła mu w wyrazie determinacji.

\*

Zgubiła ich. Goody i Vero po prostu zniknęli.

Julia dawno już minęła miejsce, gdzie byli, kiedy „tropiciel” przestał działać. Ten dziki pojedynek z napastnikami nie mógł przecież trwać aż tak długo. Jedna strona musiała zwyciężyć, pozostawiając pokonanych gdzieś na drodze. Nie natknęła się jednak ani na wrak auta, ani na żadne ofiary w ludziach - jedynie tu i ówdzie widać było odłamki rozbitego szkła i plastiku oraz ślady farby.

Trzy wozy patrolu stanowego z włączonymi kogutami przemknęły jakiś czas temu w przeciwnym kierunku, z czego wywnioskowała, że policjanci nie zauważyli toczących bitwę aut po drugiej stronie barierki. Najwidoczniej myśleli, że odnajdą źródło problemu tam, gdzie dezorganizacja ruchu spowodowała blokadę drogi. Wkrótce jednak odkryją swój błąd i zawrócą w poszukiwaniu winowajców. Musiała odnaleźć Goody'ego przed nimi.

Odgarnęła włosy z czoła i uświadomiła sobie, że wskutek ciągłego napięcia bolą ją wszystkie mięśnie. Czuła mięśnie brzucha, jej przedramiona były zmęczone od mocnego ściskania kierownicy, bolała ją nawet twarz. Głęboko wciągnęła powietrze przez nos, po czym zrobiła powolny wydech ustami.

Znała Goody'ego od sześciu lat, od czasu, kiedy przydzielono ją do terenowego biura FBI w Denver. Miał w biurze wysoką pozycję i krążyła o nim opinia, że rozwiązywał

najtrudniejsze sprawy i przymykał najbardziej nieuchwytnych przestępców. Jako dwudziestopięcioletnia świeżo upieczona absolwentka Akademii Julia była obarczana czarną robotą i rzadko miała okazję oglądać wielkiego Goodwina Donnelleya w akcji.

Przez osiem miesięcy dowództwo w Denver przydzielało jej prowadzenie wywiadów środowiskowych w sprawach osób starających się o ważne posady rządowe. Byłoby to delikatne zadanie do wykonania w Waszyngtonie, gdzie w grę mogło wchodzić stanowisko sędziego Sądu Najwyższego lub współpracownika kongresmana. W Denver była to tylko mozolna harówka, szczególnie dla pełnej zapału młodej agentki z dyplomem magistra kryminologii.

Kiedy tylko mogła, Julia przysłuchiwała się po cichu zebraniom prowadzonym przez Goody'ego po to, żeby popatrzeć, jak pracuje, i nabrać doświadczenia w prowadzeniu dochodzeń, nawet jeśli sama nie brała w nich udziału. Z początku była traktowana z pobłażliwą wyższością, jako ładna dziewczyna zapatrzona w detektywów śledczych.

Ale jej zauroczenie Donnelleyem nie miało nic wspólnego z jego wyglądem. Musiała przyznać, że smukła sylwetka, wyraziste rysy twarzy i błękitne oczy składały się na atrakcyjną kombinację, ale za jego największą zaletę uważała umiejętność chwytania przestępców.

W końcu cechy fizyczne tylko się dziedziczyło - był to ślepy traf. Zdawała sobie sprawę, że wszyscy uważają ją za ładną. Jednak ona podziwiała u ludzi coś innego: umiejętności, siłę charakteru, zdolność logicznego myślenia - cechy, które trzeba było wypracować.

Chciała, żeby oni i ją za to właśnie podziwiali.

Goody był dobrym detektywem, ponieważ chciał nim być, starał się. To robiło na niej wrażenie.

Któregoś dnia wybuchła kłótnia pomiędzy Goodym a agentem specjalnym Lou Prestonem, specjalistą od technik inwigilacji, o to, dlaczego nie działa kilka przekaźników bezprzewodowych. Preston umieścił pluskwy pod stołami sali widzeń w więzieniu stanowym Quincy, aby śledzić rozmowy pomiędzy osadzonym tam gangsterem o nazwisku Jimmy Gee a jego szwagrem Mikiem Simonem. FBI podejrzewało, że Gee namawia Simona do zabicia młodej kobiety, która widziała, jak Gee zamordował swojego konkurenta.

Ale zawsze w czasie wizyt Simona pojawiał się co chwilę - trwający za każdym razem około pięciu minut - biały szum, który przez ciągłe zakłócenia, nagłe głośnie trzaski i wysokotonowe gwizdy uniemożliwiał odbiór.

Z dochodzących strzępów rozmów Goody wywnioskował, że to jedyna okazja, żeby nagrać zbrodniczy plan. Biały szum pojawiający się w nieodpowiednim momencie mógł

zaprzepaścić szansę na oskarżenie przestępców o usiłowanie zabójstwa, a młoda kobieta mogła przyplącić to życiem.

- Mówisz mi, że nic nie możesz zrobić? - wściekał się Goody.

Prowadził zebranie w niewielkiej salce konferencyjnej. Na białej tablicy widniały przyklejone taśmą klejącą kolorowe zdjęcia podejrzanych. Obok był portret celu ich domniemanego ataku - sympatycznie wyglądającej, dwudziestoletniej piegowatej blondynki o promiennym uśmiechu. Schemat sali widzeń stał obok.

Brzęczące świetlówki wypełniały pokój biało-niebieskim blaskiem.

Preston ze złością podniósł się z fotela, gniewnie cedząc słowa:

- Wiesz, że przy elektronicznych technikach inwigilacji napotyka się mnóstwo problemów: hałasy w tle, słaby sygnał, a nawet zakłócenia spowodowane interferencją elektromagnetyczną związaną z aktywnością słoneczną! Mamy szczęście, że w ogóle udało się nam coś złapać.

Inni agenci zgromadzeni wokół długiego stołu zdawali się kurczyć w fotelach. Julia przypatrywała się zafascynowana z drugiej strony pokoju.

- Więc ta dziewczyna zginie przez rozbłyski słoneczne? - zapytał Goody, wskazując na portret.

- Nie mówię, że to właśnie one powodują ten biały szum. Ale wszystko wzięliśmy już pod uwagę. - Preston zaczął wyliczać na palcach: - Czy jesteśmy zbyt blisko kuchni? Nie.

Pralni? Stolarni? Warsztatu? Nie, nie, nie. Czy któryś ze strażników może mieć urządzenie, którym celowo zakłócałby odbiór? Zmieniliśmy strażników. Czy Gee lub Simon mogą mieć coś przy sobie? Niczego nie znaleźliśmy. Wymieniliśmy urządzenia podsłuchowe i odbiorniki. Czego jeszcze chcesz?

- Chcę raz nagrać całą rozmowę.

Preston rozłożył ramiona i odwrócił się tyłem do Goody'ego.

Julia wpatrywała się w oparty o tablicę schemat. Zanim się zorientowała, co robi, uniosła w górę dłoń.

Goody spojrział ze zdziwieniem na jej nieśmiało podniesioną rękę. Był to widok tak niespotykany na tych zebraniach, jak marsjański nietoperz albinos.

- O co chodzi, Julio?

Odchrząknęła.

- Przepraszam, ale co jest tam w rogu? - wskazała na schemat. - Tam, gdzie kończy się rząd stołów? Jest tam miejsce na jeszcze jeden stół, ale nie ma go na schemacie.

- Może nie mieli więcej stołów! - wybuchnął Preston wyraźnie poirytowany.

- Nie - powiedział Goody. - Jest tam automat z colą.

Julia wstała, mając nadzieję, że jej zdecydowana postawa ukryje brak pewności siebie.

Skupiła wzrok na przyjaznej twarzy Goody'ego, starając się nie patrzeć na innych agentów w sali, tak jak początkujący wspinacz boi się spojrzeć w dół w rozciągającą się pod nim przepaść.

- Automaty do napojów nie stanowią problemu - odezwał się ostro Preston. -

Umieszczaliśmy już podsłuchy nawet w ich wnętrzu.

Goody dał mu ręką znak, żeby zamilkł.

- Julio, co chcesz powiedzieć?

- Jeśli w automacie z colą zużyły się elektryczne styki, szczotki w silniku kompresora, to iskrzą mocniej niż zazwyczaj. Iskry elektryczne wytwarzają szerokopasmowy sygnał

radiowy, biały szum. Takie zakłócenia szerokopasmowe pokrywają się z używanym spektrum częstotliwości radiowych, dlatego wymiana urządzeń podsłuchowych i odbiorników nie pomogła.

Uśmiech Goody'ego stał się szerszy. Spojrzął na Prestona, który był wyraźnie wściekły.

- Jak w domowej lodówce - ciągnęła Julia, podchodząc do tablicy. - Silnik włącza się tylko wtedy, kiedy temperatura wewnątrz urządzenia podnosi się powyżej pewnego poziomu.

Dlatego zakłócenia nie pojawiają się regularnie. Proszę popatrzeć. - dotknęła miejsca na schemacie. - Pomieszczenie, z którego prowadzimy monitoring, znajduje się tuż za ścianą, przy której stoi

automat z colą. Niektóre silniki iskrzą mocniej od innych, nawet kiedy wszystko jest z nimi w porządku. Być może to jest silnik właśnie tego typu. Założę się, że nawet wymiana silnika nie usunie całkowicie problemu, biorąc pod uwagę, jak blisko odbiornika się znajduje.

Przerwała, zdając sobie sprawę, że posunęła się za daleko. Powiedziała

„prowadzimy”, chociaż sama nie brała udziału w tym dochodzeniu. Co gorsza, popisała się swoją podręcznikową wiedzą o elektronice przed Prestonem, który z pewnością szybko nie zapomni tego upokorzenia.

Pochyliła głowę i cicho powiedziała:

- Przepraszam.

- Nie wygłupiaj się - odrzekł Donnelley. Chwycił ją za ramię i potrząsnął. - Nie masz za co przepraszać. Najwyższy czas, żebyśmy skorzystali z twojej obecności - mrugnął.

Julia była pewna, że nikt inny tego nie zauważył.

- Preston! Co sądzisz o teorii agentki Matheson?

- Może zadziałać. Odłączymy maszynę i zobaczymy.

Donnelley ponownie zwrócił się do niej:

- Dziękuję, Julio. Zawsze mów śmiało, jeśli coś przyjdzie ci do głowy.

Uśmiechnęła się i skinęła głową. Wyszła z pokoju i wróciła za biurko. Zaszło jej w ustach. Zakończenie było pozytywne, ale narzuciła swoje pomysły hermetycznej grupce mężczyzn i obawiała się, że uznają to za nadgorliwość oraz brak profesjonalizmu, i tak już ją zaszufadkują.

Po półgodzinie Goody zajrzał do jej boks.

- Dobra robota, mała! - powiedział. - Naprawdę tak myślę.

- Dziękuję. Przepraszam, że nadepnęłam agentowi Prestonowi na odcisk.

- Prestonowi się należało, nie przejmuj się tym. On wie, że masz rację, wszyscy wiemy.

- Nie wyłączałabym automatu z colą.

- Jak to?

- Mogą się domyślić, że coś jest nie tak. Jeśli automat nie będzie wydawać napojów albo nie będzie działać wyświetlacz, Gee i Simon mogą mówić o wszystkim, tylko nie o tym, co chciałby pan usłyszeć.

- Co proponujesz?

- Julia wyprostowała się na krześle.

- Odetnijcie tylko kabel od kompresora. Zróbcie to wcześniej, a jeśli nie jesteście pewni, kiedy Simon przyjdzie, puśćcie kabel przez ścianę i odłączcie go dopiero, gdy się pojawi. Wtedy napoje będą nadal schłodzone.

Goody zamyślił się na chwilę:

- Kolejny dobry pomysł.

Kiedy odchodził, zawołał jeszcze do niej:

- Trzymaj tak dalej, a pomyślę, że czyhasz na moją posadę.

„Bo tak jest” - pomyślała.

Okazało się, że miała rację - FBI nagrało nikczemny plan gangsterów, co pomogło skazać Gee na dożywocie, a Simona na pięć lat. Ten incydent wywołał falę biurowych plotek, Julia otrzymała wiele gratulacji, a Goody wystąpił o wpisanie pochwały do jej akt.

Wkrótce zaczęła pracować u jego boku, robiąc plany skomplikowanych strategii inwigilacyjnych i zastanawiając się wspólnie z najlepszymi agentami, jak dopaść przestępców.

Był to początek prawdziwej przyjaźni. Goody traktował ją jak córkę, chociaż był od niej tylko czternaście lat starszy. Doradzał jej w sprawach zawodowych i kilka razy próbował

ją wyswatać, kiedy uważał, że ktoś jest godny jej uwagi. Jeszcze zanim spędziła pierwsze Boże Narodzenie w towarzystwie Goody'ego, jego żony i dwóch synów, ich stosunki były rodzinne i bardzo ciepłe. A kiedy Goody został przeniesiony do Wydziału Egzekwowania Prawa przy CDC, użył swoich wpływów, żeby do niego dołączyła.

\*

Teraz Goody był gdzieś tam sam, bez pomocy, i pewnie odpierał właśnie kolejny atak ścigających go zabójców.

Im dalej Julia oddalała się od ostatniego miejsca, gdzie „tropiciel” go namierzył, tym większa ogarniała ją panika. Tamten punkt był już co najmniej trzydzieści kilometrów za nią.

W miejsce dwóch wewnętrznych pasów sześciopasmowej obwodnicy pojawił się teraz odcinek zieleni, a ograniczenie prędkości zwiększyło się do stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

Atlanta zniknęła, tak jak jej partner.

Nie przerywała ćwiczeń oddechowych, ale napięcie nie chciało jej opuścić.

„Wykorzystaj to” - pomyślała. Stres wyostrza percepcję. Co się stało? Co poszło nie tak?

Robiła sobie wymówki, że go zgubiła. Pomimo poleceń Goody'ego nie powinna była oddalać się od hotelu. Goody był wtedy zbyt skoncentrowany na strzelaniu i ochronie Vero i nie myślał jasno. A skoro już się oddaliła, powinna była trzymać się bliżej - dwa kwartały to było za daleko.

Czy mogła się winić za awarię „tropiciela”? Kiedy program był uruchomiony, wystarczyło tylko uważnie obserwować ekran. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że pojawił się problem z głównym satelitą; satelity geosynchroniczne były znane ze swej zawodności i dlatego musiało ich być tak wiele.

Jedną z ostatnich innowacji „tropiciela” było przekierowanie sygnału lokalizacyjnego do satelity komercyjnego. Satelity komercyjne były trwalsze, a przez to bardziej odporne na niesprzyjające warunki pogodowe. Co ważniejsze, jeśli sygnał „tropiciela” był ukryty w przypadkowym satelicie nienależącym do rządu, nawet co sprytniejsi przestępcy nie byli w stanie go zablokować ani zakodować. Nawet operatorzy głównego satelity nie wiedzieli, że

„tropiciel” dołączał się na gapę.

Pomyślała, że może jednak operatorzy wykryli intruza, ale przecież program był tak zaprojektowany, że wtedy w dalszym ciągu kontynuowałyby namierzanie, jednocześnie wysyłając błędne dane do operatorów, którzy się na niego natknęli. Program urządzenia śledzącego wyglądałby dla nich jak niewielki błąd systemu. Kiedy oni próbowaliby zlikwidować usterkę, użytkownik „tropiciela” miałby wystarczająco dużo czasu, żeby przenieść się na innego satelitę. Wtedy „usterka” zniknęłaby bez śladu.

Teraz jednak sygnał zanikł bez ostrzeżenia. Próbowwała zmienić satelitę, ale równie dobrze mogłaby walić w zepsutą klawiaturę - efekt byłby taki sam.

Nagle dotarło do niej, że dziwny był nawet sposób, w jaki pojawiła się ta awaria.

Większość usterek powodowała, że wszystko się zawieszało. Migające kursory przestawały migać, komendy z klawiatury nie wywoływały żadnej reakcji komputera, ale znieruchomiały obraz zawsze pozostawał na ekranie. Przy tej awarii sygnał Goody'ego najpierw zamigał, a potem mapa po prostu zniknęła.

Zupełnie jakby ktoś przechwycił sygnał, a potem go zablokował.

Julia gwałtownie skręciła w prawo i zahamowała. Zaciągnęła hamulec ręczny, odpięła pas i rzuciła się do klawiatury laptopa. Żeby uruchomić komputer, wprowadziła specjalny kod, który pomógł usunąć awarię systemu, po czym musiała poczekać, aż system operacyjny się załaduje.

Wystukiwała rytmiczne staccato na obudowie laptopa i czuła, jak oblewa ją zimny pot.

Przecucie, które nagle ją ogarnęło, że natknęli się na coś wielkiego i przerażającego, przeszkadzało jej racjonalnie myśleć.

„Jakby ktoś przechwycił sygnał. Obym się myliła. Obym się myliła”.

Po paru sekundach program połączył się z siecią. Julia wprowadziła polecenie, żeby podłączył się do tego samego satelity. Na ekranie wyświetliły się słowa: trwa uruchamianie połączenia.

Potem: Łączenie z Satcomo 455hr21911. 89 v. 62. \*2.

Po krótkiej przerwie, przy szumie wirującego twardego dysku, słowa na ekranie zmieniły się na:

Błąd katalogu b-drzewo.

Resource fork, block 672 (node 792, record 4).

> ?

Julia jęknęła. Satelita przerywał jej próbę połączenia jako nieautoryzowaną i wysyłał

jej fałszywą wiadomość o błędzie, by uznała, że stary program był tylko awarią systemu.

Pewnie dziewięćdziesiąt dziewięć procent światowych operatorów satelitarnych złapałoby się na ten haczyk, ale nie Julia.

Przygryzła wargę. Ten ściśle tajny program mógł utrzymywać połączenie z satelitą głównym tylko wtedy, gdy co sześć sekund otrzymywał sekwencje haseł z komputera bazowego. Dzięki temu nie pozostałby w satelicie, gdyby padł komputer bazowy, a użytkownik nie zdążył wydać programowi polecenia, żeby się rozłączył. A jej laptop -

komputer bazowy programu - przecież padł. Musiała uruchomić go ponownie - w związku z tym, nawet gdyby system był sprawny, nie wysyłałby haseł do programu przez ponad minutę.

Stary program powinien przestać działać, ale działał. To mogło oznaczać tylko jedno: ktoś inny wysyłał właściwe hasła.

Chwyciła mikrofon od radia i wcisnęła przycisk nadawania.

- Goody! Goody! Jeśli tylko mnie słyszysz, uważaj - ostrożnie artykułowała słowa. -

Wyłącz nadajnik. „tropiciela”. Ktoś inny przechwycił sygnał. Ktoś inny cię namierza. Wyłącz nadajnik.

Odrzuciła mikrofon. Cóż jeszcze mogła zrobić? Nie mogła zawiesić programu - nie z tak marnym oprogramowaniem, jakie zawierał jej twardy dysk. Niewiele więcej by wskórała, nawet gdyby miała najlepszy komputer na świecie. Twórcy programu przewidzieli, że przestępcy będą mieli coraz większe możliwości techniczne, i zaprojektowali go tak, żeby zablokowanie go było praktycznie niemożliwe.

Jedynie, co mogła teraz zrobić dla Goody'ego, to odnaleźć go - i to szybko.



\*

Krew lała się z rany jak żywica ze złamanej sosny, a gardło miał wyschnięte na wiór wskutek odwodnienia. Ręce lepiły mu się do kierownicy. Donnelley skoncentrował się na drodze i próbował nie myśleć o tym, co działo się z jego ciałem. Przechylał się teraz do przodu i na bok, tak żeby raną nie dotykać oparcia fotela. Dziura, z której promieniowały na zmianę zimne i gorące fale bólu, znajdowała się tuż pod klatką piersiową, na styku boku i pleców.

Spojrzał na Vero - ciemna cera, czarne włosy, grube rysy. „Meksykanin lub Brazylijczyk” - pomyślał. Jednego był zupełnie pewien - ten człowiek był ciężko chory.

- Co ci jest? - zapytał.

W kąciку ust Vero pojawił się cień uśmiechu. Na jego dolnej wardze pojawiło się kolejne pęknięcie.

- Pracodawca mnie zwolnił.

- Zwolnił?

- Zamiast wymówienia dostałem wirusa. Nic w tym dziwnego. Gangsterzy strzelają do siebie, a biolodzy się zarażają, czy to nie logiczne?

- Jesteś biologiem?

- Właściwie to wirusologiem.

Donnelley zamyślił się, zdając sobie jednocześnie sprawę, że opiera się o kierownicę znacznie mocniej niż trzeba.

- Czyli zajmujesz się na przykład grypą?

Vero zaśmiał się lub zakaszał, trudno powiedzieć.

- Gdyby to było takie niewinne.

Donnelley zerknął na niego.

- Czy ty umierasz?

- Ach tak, tak. - Zobaczył wyraz twarzy Goodwina. - To nie jest zaraźliwe.

- Jesteś pewien? Trochę boli mnie gardło. Może to tylko odwodnienie.

- Nie, to właśnie to. Przeziębienie się, kolego.

- Ale chyba mówiłeś.

- U mnie to nie jest przeziębienie.

- Ale zaraziłem się od ciebie katarem? To nie ma sensu.

Czekał na jakąś reakcję, ale Vero odwrócił głowę, wpatrując się w pozbawione szyby okno. Po minucie zaczął coś szarpać przy swojej wiatrówce. Donnelley pomyślał, że zaciął

mu się suwak, ale wtedy usłyszał, jak tamten rozdziera materiał. Kiedy spojrzął, zobaczył że Vero wyjmuje coś, co było zaszyte pod podszewką, i podnosi to do góry - czarny kawałek plastiku wielkości znaczka pocztowego.

- To wszystko wyjaśni - powiedział. - Zrobiłem to dla CDC.

Donnelley popatrzył i wyciągnął rękę. Kiedy Vero się zawahał, powiedział:

- Jeśli właśnie przez to mamy obaj zginąć, musisz mi to pokazać.

Vero położył przedmiot na dłoni Donnelleya.

- Czy to chip pamięci z kamery?

- Coś w tym rodzaju, ale o zwiększonej gęstości zapisu.

Donnelley zacisnął dłoń.

- Jeśli chcesz, żeby to dostało się we właściwe ręce, musisz mi to dać. - Ich spojrzenia się skrzyżowały. - Zadbam o to.

Vero skinął głową.

Donnelley wsunął chip do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Ale jeśli się okaże, że są tu tylko zdjęcia z rodzinnego spotkania, to nie chciałbym być na twoim miejscu.

Vero uśmiechnął się słabo i odwrócił głowę.

Donnelley rzucił okiem na policyjne radio. Zwisało wyrwane ze swego miejsca pod deską rozdzielczą, rozprute i wybebeszone. „Wygląda tak, jak ja się czuję” - pomyślał.

Mieli już za sobą szmat drogi, kiedy w końcu ich oczom ukazała się tablica oznaczająca granicę Georgii z Teksasem. Poznał już upór napastników, więc nie zdziwiłby się, gdyby czekało ich kolejne starcie: ogień z zasadzki lub nawet nagła śmierć w regularnej bitwie - atak powietrzny z helikoptera lub z użyciem rakiety przeciwpancernej. Nic by go już nie zdziwiło po wcześniejszych doświadczeniach.

Nadszedł czas, żeby się zatrzymać i poczekać na Julię. Jeśli szybko nie dotrze do szpitala, życie po prostu z niego wycieknie. Ale świadomość, że na stole operacyjnym będzie całkowicie bezradny, była dla niego jeszcze gorsza, dlatego potrzebował zaufanej osoby, żeby przy nim była. Poza tym,

jeśli miał zginąć w imię czegoś, chciał przynajmniej, by dostało się to we właściwe ręce - chociaż nie wiedział w czyje.

Kiedy autostrada I-75 zaczęła odbijać na wschód, on pojechał na zachód wzdłuż I-24, do samego centrum Chattanooga. Wokół nich pojawiły się zielone wzgórza, a wewnątrz auta wypełniła wilgotna, piźmowa woń wiciokrzewu. Po raz pierwszy od ponad godziny poczuł

coś innego niż zapach swojej własnej krwi. Płynnie skierował się na zjazd z autostrady i znalazł się na Belvoir Avenue. Skręcił na wschód w ruchliwą ulicę o nazwie Brainerd Road, gdzie zauważył dobre miejsce na postój. Wjechał na prawie pusty parking, wprowadził

zdezelowanego po pojedynku sedana w zaułek za ceglany budynek i zgasił silnik.

Wyprostował się powoli, ostrożnie sprawdzając, gdzie go boli, i odkrywając, które ruchy powodują, że przeszywają go fale bólu promieniującego z rany. Poczł niewielki przyływ sił dzięki świadomości, że ma coś do zrobienia. Wypchnął ramieniem drzwi przy wtórze zgrzytu giętego metalu. Kiedy stanął chwiejnie na nogach, przyjrzał się tyłowi budynku - tak jak się spodziewał, było tam wiele drzwi. Miał nadzieję, że te, o których myślał, są otwarte, i że będą mogli się wślizgnąć do środka bez pokazywania się na głównej ulicy.

- Chodźmy.

- Dokąd?

- Do pubu, człowieku. Ciemnego, nierzucającego się w oczy, takiego, gdzie każdy pilnuje własnego nosa. Kto ostatni, ten stawia.

\*

Auto stało zbyt blisko budynku, żeby Despesorio mógł otworzyć drzwi po swojej stronie, stracił więc na podłogę odłamki szkła i przedostał się na stronę kierowcy, starając się nie dotykać przesiąkniętego krwią fotela. Krwi było dużo i cuchnęła jak surowe mięso.

Kiedy wysiadł z wozu, za Donnelleyem zamykały się już drzwi do budynku. Vero podążył za nim i wszedł do pomieszczenia, które okazało się jednocześnie biurem i magazynem. Prowizoryczne ścianki pomiędzy stalowymi półkami, szafkami i biurkiem, które było ledwie widoczne spod sterty papierów i czasopism, zrobione zostały z pudełek oznaczonych jako precle, syrop margarita mix i serwetki. Donnelley właśnie przepraszał

mężczyznę w brudnym fartuchu i otwierał kolejne drzwi z okrągłym okienkiem.

Vero zdążył je przytrzymać, zanim się zamknęły, i zobaczył, jak Donnelley znika po prawej stronie za kolejnymi drzwiami, na których widniał wyblakły rysunek przedstawiający sylwetkę małego chłopca siusiającego do nocnika. Pozostała część baru była równie bezbarwna i pozbawiona gustu. Klosze z czerwonymi frędzlami osłaniały słabe żarówki oświetlające tuzin winylowych boksów ciągnących się wzdłuż ściany w stronę przyciemnianych frontowych okien. W boksach znajdowały się stoły z odrapanymi blatami z laminatu. Naprzeciwko boksów stał długi, porysowany, drewniany kontuar, a

przy nim rząd niewygodnych stołków. Na szklanej półce za barem, na tle zmatowiałego lustra ustawione były niekończące się rzędy butelek, wyglądających nie mniej żałośnie niż klienci, którzy sączyli ich zawartość.

Vero wyczuł silny zapach alkoholu i dymu tytoniowego oraz słabszą woń środków czyszczących i wymiocin. Z jednego z boksów wychyliły się dwie głowy i dwie dłonie trzymające kufle. Wychudły barman o opadających powiekach dłuwał w zębach pałeczką do mieszania koktajli i prowadził przyciszoną pogawędkę z kobietą siedzącą przy barze.

Poza tym lokal był pusty.

Vero wszedł do łazienki. Donnelley odklejał właśnie koszulę od rany. Musiał wygiąć się w bok, żeby ocenić obrażenia w upstrzonym brudem lustrze. Vero uznał, że agent wygląda jak obraz ekspresjonistyczny, na którym wszystkie szczegóły mają odcień zbyt jaskrawego szkarłatu: koszula, trzymające ją ręce, pasek przełożony przez szlufki spodni.

Pośrodku zaś znajdowało się źródło, z którego sączyła się ta czerwień - rana.

Rozcięcie miało kształt półksiężyca i gładkie brzegi. Pośrodku był otwór wielkości palca, a miejsce wokół rany opuchnięte. Nagle krew buchnęła z otworu, spłynęła na brzeg spodni, gromadząc się tam przez chwilę, po czym przesiąkła przez materiał i zaczęła kapać na podłogę.

- Aaa - jęknął Donnelley. - Nie jest dobrze.

Wetknął palec wskazujący w ranę aż po pierwszy knykieć i zacharczał przez zaciśnięte zęby. Kiedy wyciągał palec, rozległ się mokry odgłos, jakby coś pękło. Ukląkł na jedno kolano, odrzucił głowę do tyłu i wciągnął powietrze. Vero słyszał, jak Donnelley zgrzyta zębami. Biała jak prześcieradło twarz agenta kontrastowała ze szkarłatem poniżej.

Ranny chwycił za brzeg umywalki, żeby się podnieść do góry. Vero mu pomógł.

Donnelley włączył wodę, opłukał rękę i przyjrzał się dłoni. Kciukiem dotknął czegoś na czubku palca, którym sondował ranę. Było tam długie, głębokie nacięcie. Krew wypełniła jego brzegi, a potem zaczęła wypływać na zewnątrz.

- Przed chwilą tam tego nie było - powiedział Donnelley.

Vero pochylił się bliżej.

- Coś tkwi wewnątrz rany? Coś ostrego jak brzytwa?

- Najwyraźniej. Daj mi trochę ligniny.

Vero nie zrozumiał, ale podążył wzrokiem tam, gdzie wskazywał Donnelley, i przy niezamkniętej toalecie zobaczył rolkę ręczników papierowych. Odwinął kawałek, pochylił

się, by przyłożyć go do rany.

- Nie - powstrzymał go Donnelley. - Daj mi to.

Włożył watek ręcznika do ust i mocno zagryzł. Sięgnął do tyłu lewą ręką i wepchnął

koniuszki palca wskazującego i kciuka do otworu, wkręcając je, tak żeby zrobić więcej miejsca. Jęknął, zakaszłał i upadł na kolana. Palce wkręcały się coraz głębiej w ranę.

Vero przytrzymał Donnelleya za ramiona i przypatrywał mu się z niedowierzaniem.

Donnelley wyszarpnął rękę, trzymając w palcach coś twardego. Wypluł papierowy knebel. Dyszał, a jego sapanie odbijało się echem od ścian niewielkiego pomieszczenia.

Pot zrosił mu twarz, spływając grubymi kroplami. Vero delikatnie przytknął do rany kolejny kawałek papieru - po paru sekundach tampon przesiąkł krwią. Wyrzucił go do śmieci i znowu odwinął spory kawałek z rolki.

Jęcząc z wysiłku, Donnelley podniósł się z kolan. Stał z pochyloną głową i zamkniętymi oczami, opierając się o umywalkę. Pot kapał mu z czubka nosa i sklejonych w strąki włosów. Pierś stopniowo zaczęła falować w spokojniejszym rytmie. Uniósł głowę i spojrzał w lustro, a potem na to, co trzymał w dłoni.

Przedmiot był tak oblepiony krwią, że Vero nie był w stanie określić jego kształtu.

- Fragment drzwi do samochodu? - zastanawiał się.

Donnelley potrząsnął głową. odkręcił wodę i splukał krew. Różowe bańki zawirowały w umywalce i zniknęły. Zakręcił kran, zakrył odpływ kawałkiem jednorazowego ręcznika i wrzucił przedmiot do umywalki. Ten odbił się od jej dna z metalicznym brzękiem, ześlizgnął

się z powrotem na dół, dźwięcząc cicho, aż wreszcie zatrzymał się na papierze.

Był to kawałek czarnej stali wielkości dziesięciocentówki. Z zewnętrznego brzegu wystawały trzy ostre zakręcone ząbki. W środku znajdował się niewielki otwór.

- Co to jest? - zapytał Vero.

- Nabój strzałkowy - zachrypniętym głosem odpowiedział rzeczowo Donnelley.

Mówił przez zaciśnięte zęby. - Czytałem o nich. Żołnierze używali ich w wojnie okopowej.

- Ci zabójcy używali tego jako amunicji? - w głosie Vero słychać było raczej gniew niż zdziwienie.

- Na to wygląda. - Donnelley syknął, a twarz wykrzywił mu bolesny grymas.

Ta zdolność do zachowywania się prawie normalnie pomimo ziejącej w boku rany była naprawdę niezwykła.

- Mieli pewnie po tuzin lub więcej takich, upchniętych w każdym naboju. Tną człowieka na strzępy. W tym przypadku drzwi auta wyhamowały impet uderzenia pocisku, zanim we mnie trafił - pokręcił głową i wziął głęboki oddech. - Pierwsza rzecz, jakiej uczą w Akademii o ranie kłutej lub postrzałowej - zaczął - to żeby jej nie ruszać. Niezależnie od tego, czy to strzała, nóż czy pocisk, sam nie próbuj niczego wyjmować. Zostaw to lekarzom, którzy potrafią zacisnąć arterię, jeśli ta ulegnie przerwaniu po usunięciu przedmiotu, i poradzą sobie z potencjalnymi komplikacjami. - Potrząsnął głową. - Ale nie mogłem czekać. To cięło mnie w środku jak żyłotka.

Obaj wpatrywali się w czarny krążek leżący w umywalce, jakby to był jakiś nowy gatunek jadowitego owada.

- Fatalnie cię poszarpał.

- Nie jest tak źle. Chyba mogło być gorzej. Daj mi swoją marynarkę.

Donnelley zarzucił na siebie marynarkę Vero i wsunął czarny krążek do jej zewnętrznej kieszeni. Większość plam krwi na spodniach była teraz zakryta.

Własną marynarkę, całą przesiąkniętą krwią, wyrzucił do kosza na śmieci i przykrył

kilkoma garściami papierowych ręczników. Widać było, że ten wysiłek wiele go kosztował, ale nadal nieźle się trzymał. Potem sięgnął pod koszulę i coś stamtąd wyjął.

Przyjrzał się małemu pudełku ze zwisającym urwanym kablem. Znów wsunął rękę pod materiał i wydobył stalowy krążek z krótkim przewodem.

- Mikrofon się zepsuł - wydawało się, że Donnelley mówi do siebie. - Zdawało mi się, że czułem, jak się urwał. Ale szajs. - Wepchnął go do kieszeni marynarki, a do Vero powiedział: - Usiądźmy i zczekajmy na moją partnerkę. Koniecznie muszę się napić.

\*

Serce Julii Matheson biło tak mocno, jakby chciało jej wyskoczyć z piersi. Od czasu do czasu sprawdzała, czy mikrofon Goody'ego nie zaczął działać, i wzywała go przez radio.

Bezużyteczny telefon komórkowy leżał jej na kolanach. Zadzźwięczał kilka razy, a na wyświetlaczu pojawiał się napis „Numer prywatny”. Nie odbierała tych połączeń, bo wiedziała, że to nie Goody - on zadzwoniłby w umówiony sposób. Poza tym wolała unikać Mollanda, dopóki partner nie podzieli się z nią swoimi podejrzeniami. Myśl, że jakikolwiek organ ochrony porządku publicznego mógłby być zamieszany w mokrą robotę była absurdalna, ale Goody jasno dał jej do zrozumienia, żeby na razie nikogo nie zawiadamiała.

Nie miała zamiaru zawieść teraz jego zaufania.

Dojechała aż do Chattanooga, nie widząc po drodze żadnego śladu po swoim partnerze.

Chciała wierzyć, że to dobry znak, ale nie mogła. Tuż za skrzyżowaniem autostrad I-75 i I-24

zawróciła. Jechała teraz z powrotem w stronę Atlanty, wciąż rozglądając się wokół i modląc się po cichu.

\*

W samochodzie zaparkowanym przy spokojnej uliczce w pobliżu Brainerd Road dwóch mężczyzn dokonywało przeglądu trzymanej w rękach broni: kierowca miał strzelbę bojową NeoStead, a pasażer pistolet maszynowy Mini Uzi.

Pan Uzi położył broń na kolanach i nasunął czapkę na oczy. W lusterku obejrzał swój nos, spuchnięty tak, że był dwa razy większy niż normalnie i zabarwiony na czerwono, niebiesko, a nawet zielono - tak: zielono! I do tego spore rozcięcie skóry wyglądające jak małe usta na grzbiecie nosa. Dotknął delikatnie rany i wzdrygnął się:

- Nie mogę się doczekać, żeby rozwalić tego palanta!

Kierowca nic nie odpowiedział, tylko przetarł silikonową ściereczką podwójny magazynek rurowy umieszczony na lufie.

Mężczyzna siedzący na miejscu pasażera patrzył na niego przez chwilę, po czym się odezwał:

- Nie mogę uwierzyć, że zgubiłem strzelbę. Kochałem tę broń - zamilkł na parę sekund. - Musimy tam wrócić i...

- Nawet o tym nie myśl, Launy - powiedział kierowca, nie podnosząc wzroku.

Przecież to w końcu jest...

Kierowca zwrócił się w jego stronę.

- Słyszałeś, co powiedziałem? Przepadła. Nie wrócimy po nią - odłożył ściereczkę na siedzenie i przeładował swoją strzelbę. - Zresztą pewnie ma ją już miejscowa policja.

Znajdziesz sobie nową.

- Mówiłem tylko, że... - Launy znowu dotknął nosa i syknął. - Skąd w ogóle tamten facet miał broń? Myślałem, że jest z CDC.

- On nie jest z CDC. Jest z FBI.

- Szkoda, że wcześniej tego nie wiedzieliśmy. A ty skąd to wiesz?

- Już go spotkałem.

- No, to już naprawdę wspaniale! - Launy wyjął ze swego uzi 32-nabojowy magazynek, nachylił go tak, by zobaczyć dwa pociski na górze, a następnie wsunął z powrotem na miejsce. Przez chwilę milczał, po czym podniósł pistolet do góry i orzekł: - No, to jest niezła broń.

- Nie. Ja używam strzelby. A teraz się zamknij - kierowca zaczął ładować ciężkie naboje do rur magazynka, aż załadował do strzelby dwanaście pocisków.

Siedzieli w nowiutkim zielonym chryslerze, który ukradli z parkingu dla pracowników przy centrum handlowym. Zanim ktoś odkryje kradzież, oni już będą daleko. Tak samo było z czarną maximą, którą podprowadzili w Atlancie, a potem ukryli w jakiejś kępie krzaków.

Leżący na fotelu telefon satelitarny zadzwieczał. Do telefonu było podłączone urządzenie kryptograficzne Triple DES firmy CopyTele.

- Najwyższy czas - odezwał się Launy.

- Zamknij się. Nikt nie chce słuchać twoich jęków - kierowca wystukał pięć liczb na klawiaturze urządzenia, a potem odebrał telefon. Wysłuchał wiadomości i powiedział: -

Dobra, przyjąłem - po czym się rozłączył.

Pokręcił kawałkiem metalu wetkniętym do stacyjki i auto ożyło z wyciem silnika.

Spojrzał na partnera.

- Teraz posłuchaj. Dostajemy za to niezłą kasę i lepiej, żebyśmy nie nawalili, biorąc pod uwagę, dla kogo pracujemy. To jest miła robótka, więc ciesz się, że ją podłapałeś, OK? -

przerwał. - Jesteś gotów?

Launy uśmiechnął się jak szczerzący kły pies:

- Jasne.

Chrysler zjechał z krawężnika i skręcił w Brainerd Road.

\*

Donnelley spojrzał na zegarek.

- Już dawno powinna tu być.

- Przecież z nikim nie rozmawiałeś - powiedział Vero. - Jak twoja partnerka nas znajdzie?

Donnelley jednym haustem wychylił kieliszek jacka danielsa i postawił go obok dwóch innych, już pustych. Jednym zalał dziurę w boku. Z początku piekło, ale teraz czuł się nieco lepiej. Nie martwił się, jak po alkoholu będzie sobie radzić z przeciwnikami - ból otępiał go bardziej niż whisky, a dzięki znieczuleniu myślało mu się teraz lepiej niż przedtem.

Poza tym trzeba było czegoś więcej niż dwie kolejki, żeby przytłumić efekt działania adrenaliny, która buzowała mu w żyłach.



Skinął głowę i nachylił się w prawo, wciskając rękę do kieszeni spodni.

- Moja kolej na zwierzenia.

Wyciągnął coś, co wyglądało jak gruba, czarna dziesięciocentówka. Rowek wyżłobiony z boku urządzenia wskazywał na cyfrę „1” na czarnej plastikowej obudowie.

Gdyby go przekręcić o dziewięćdziesiąt stopni, wskazywałby „0”.

- Miałem ci to przyczepić do ubrania podczas naszego spotkania. Dzięki temu mogliśmy cię znaleźć, gdybyś jednak stchórzył i dał nogę.

- Przecież to ja przyszedłem do was.

- No i widzisz, co się stało. Mogliśmy zostać rozdzieleni. Mogli cię przechwycić. Nie zaszkodzi mieć to przy sobie. - Wyciągnął rękę w stronę Vero. - Weź.

Vero pomyślał przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

- Nie, ja się nie liczę. Już nie. Teraz ty masz chip. Zatrzymaj też i to.

Donnelley odwrócił nadajnik i zdarł z niego kawałek papieru. Wyjął chip, przycisnął

do nadajnika i wszystko razem z powrotem włożył do kieszeni. Na stole został okrągły paperek, który usunął z nadajnika. Agent stuknął w niego paznokciem:

- Najnowsza i najlepsza technologia pomagająca śledzić głowy państw i handlarzy narkotyków, a wszystko zależy od kawałka taśmy klejącej za dwa centy.

Vero podniósł kieliszek. Zdziwił się, że jest pusty, i odstawił go na stół do góry dnem.

- Zawsze mnie fascynowało - odezwał się - że tyle wysiłku i uwagi poświęca się bombom, a prawie nikt nie zwraca uwagi na to, co najważniejsze: na sposób dostarczenia jej na miejsce. Jeśli bomby nie można umieścić w celu, to jaki z niej pożytek? - Przyjrzał się twarzy Donnelleya. - Ten aspekt opóźnił realizację planu mojego pracodawcy o wiele miesięcy.

- Planu zrobienia bomby?

- Wirusa.

- Jakiego planu, Vero? Co on chce zrobić z tym wirusem?

- Zabijać ludzi. - Pochylił głowę, tak że wyglądał teraz jak zawstydzony dzieciak. -

Wielu ludzi, kobiety i dzieci.

- Czy on wciąż tylko planuje?

Vero potrząsnął głową:

- Nie.

- Co to jest? O co chodzi? - Nagle Donnelley zrozumiał. - Ludzie - powiedział. -

Ludzie stanowią dla wirusa świetny środek transportu, prawda? Dostarczą go na miejsce. To ty, prawda? - zakrył nos i usta. Pomyślał, ile czasu spędził z tym człowiekiem, w samochodzie i tutaj, oraz jakie to absurdalne używać ręki jako maski filtrującej. Czy niczego się nie nauczył w CDC? Opuścił rękę na kolano.

- Mówiłem ci, że nie zarażam - powiedział Vero. Przełożył odwrócony kieliszek z jednej ręki do drugiej i z powrotem. Cicho dodał: - Ale miałem z tym wiele wspólnego.

Pracowałem nad tym projektem. Testowałem go w warunkach polowych, głównie w Afryce.

- W Afryce? To tam pracowałeś?

- Laboratorium jest zupełnie gdzie indziej, i o to chodzi. Lepiej nie bawić się zapałkami na własnym podwórku. - Uśmiechnął się słabo. - Poza tym prawie nikt się nie przejmuje tym, co się dzieje w Afryce. Ludzie z Zachodu lubią temu zaprzeczać, ale taka jest prawda. Łatwiej jest oszukać kogoś, komu nie zależy.

- Dlaczego więc nie poszedłeś do któregoś z biur CDC w Afryce albo do Europejskiego Centrum Zapobiegania Chorobom w Szwecji? To dużo bliżej, a jeśli czas odgrywa tu jakąś rolę.

- W Afryce przeprowadzaliśmy tylko testy. Przyjechałem tutaj, żeby go wypuścić.

tego wirusa.

Głowa opadła mu jeszcze niżej, tak że prawie dotykała kieliszka. Ramiona mu zadrżały i Donnelley zorientował się, że Vero próbuje powstrzymać łzy.

- Quo Deus me perdoe - powiedział Vero. Wziął mokrą serwetkę i wytarł nią twarz.

Podniósł wzrok na Donnelleya, jakby szukał u niego rozgrzeszenia.

- Zaczekaj. - Donnelley sięgnął przez stół i chwycił go za ramię. - Mówisz, że teraz, tutaj? To dlatego tu jesteś?

Vero skinął głową i ponownie spuścił wzrok.

- Gdzie? Co to dokładnie jest?

- Jechałem wzdłuż wybrzeża - odpowiedział. - Było nas czterech, po jednym w każdej strefie czasowej. Mnie przypadł Boston, Nowy Jork i Waszyngton. W każdym z miast odbierałem na pocztę paczkę, kanister. Szedłem do centrum handlowego, siadałem na ławce, przykrywałem kanister

płaszczem i odkręcałem zawór.

- Naraziłeś tysiące ludzi na działanie śmiertelnośnego wirusa!

Wydawało się, że Vero bardzo uważnie ogląda coś na spodzie kieliszka.

- Dla większości z nich to był tylko rinowirus. Powoduje najzwyklejsze przeziębienie, ale szybko się rozprzestrzenia.

- Nie mówisz jednak o zwykłym przeziębieniu.

- Pamiętaj, co powiedziałem o dotarciu do celu - rozejrzył się dookoła, sprawdzając, czy ktoś nie podsłuchuje. Podrapał się wewnątrz ucha i spojrzął na krew na czubku palca.

Część była czerwona i świeża, a reszta brązowa i zaschnięta. - Kiedy się rozchorowałem, pomyślałem, że coś poszło nie tak. Miałem być bezpieczny. Zadzwoiłem do Karla... on...

- Do Karla?

- Karl Litt to mój szef. Potwór - powiedział z przekonaniem. - Karl wydawał się przejęty, mówił: „Och nie, Despesorio. Pośpiesz się, skończ zadanie i wracaj do domu”. Ale za dobrze go znam. Usłyszałem to w jego głosie. To nie była pomyłka. Jednak powinienem był przynajmniej trzymać gębę na kłódkę.

Uderzył się w policzek, mocno. Donnelley wzdrygnął się, ale nic nie powiedział.

- Myślałem, że mogę kupić sobie drogę powrotu, otworzyć ją sobie szantażem.

Powiedziałem mu o mojej polisie ubezpieczeniowej.

- Chip pamięci...

- Zamiast się ze mną targować, zaczął się śmiać. Powiedział, że lista celów jest już jawna.

- Jawna?

- Podał ją do wiadomości publicznej. W ten sposób ludzie będą wiedzieć, że to było wcześniej zaplanowane, że nie jest to jakaś kara boska lub biologiczny wypadek.

Powiedziałem mu, że mam coś więcej niż tylko listę: szczegółowe dane na temat naszych testów w terenie dotyczących możliwości naszego laboratorium. Rozłączył się. To wtedy zadzwoniłem do CDC. Myślałem. Myślałem.

Potrząsnął głową powolnym, bolesnym ruchem.

- Słuchaj, musisz. - Donnelley nie dokończył myśli.

To, co ujawnił Vero, to była większa sprawa. Nie chciał teraz wszystkiego zepsuć, mówiąc nie to, co trzeba. Musiał to rozegrać ostrożnie. Trzeba było przesłuchać Vero w jakimś bezpiecznym miejscu, w obecności śledczych z FBI - głównie psychologów - i przynajmniej paru naukowców z CDC, którzy rozumieliby żargon wirusologa oraz konsekwencje wynikające z przekazanych przez niego informacji.

Był roztrzęsiony, czuł się, jak gdyby dostał szansę zajrzenia w przyszłość i nie zobaczył tam niczego dobrego. Wiercił się na siedzeniu i dostrzegł, że barman go obserwuje.

Kiedy zajmowali miejsca przy stole, podszedł do nich, żeby przyjąć zamówienie.

Przyjrzał się im i zapytał:

- Podać wam coś? Piwo, drinka, a może zamówić karetkę?

Donnelley odpowiedział, że właśnie zwiali z detoksu.

- Czujemy się nietęgo, kapujesz?

To go chyba zadowoliło, ale wciąż miał ich na oku.

Vero coś mamrotał, więc Donnelley nachylił się w jego stronę. Słuchał, jak tamten urywanym szeptem składał swoje pełne udręki wyznanie. Donnelley bał się zadawać pytania, bał się przerwać ten wywód, choć mogło to być tylko majaczenie chorego człowieka, który sam nie wie, co mówi. Po dłuższej chwili - Donnelley nie mógłby określić, czy upłynęły minuty, czy godziny, tak zasłuchał się w słowa tamtego - Vero zamilkł. Jego ciało drgnęło, jakby nagle obudził się z transu lub ze snu. Wyglądało na to, że ma to coś wspólnego z jego chorobą. Wyprostował się i otarł ręką łzy z oczu, różową ślinę z ust oraz smarki i krew z nosa.

Oddychał ciężko i głęboko, a pierś wyraźnie podnosiła się w rytm jego oddechu. Mocno nabiegłe krwią oczy zatrzymały się na Donnelleyu. Odezwał się:

- Przepraszam. Ja.

Donnelley go powstrzymał.

- Musimy cię zabrać w jakieś bezpieczne miejsce. Potrzebujesz lekarza i musisz opowiedzieć swoją historię. - Dotknął zwitka serwetek przyłożonego do rany. Papier ponownie zmienił się w rozmiękłą masę. Całe szczęście, że rana była umiejscowiona w tej części ciała, która nie krwawiła obficie. Gdyby to był postrzał w głowę lub w klatkę piersiową, zemdlałby już z upływu krwi. Zerknął na zegarek i pomyślał, że może zanadto polegał na „tropicielu”, wierząc, że doprowadzi do nich Julię.

Rozejrzał się po sali i wysunął z boksu, w którym siedzieli:

- Zaraz wrócę.

Vero chwycił go za ramię.

- Nie chcę używać komórki na wypadek, gdyby ktoś próbował ją namierzyć -

powiedział Donnelley. - Julia też nie powinna używać swojej, ale nie ma innego sposobu, żeby się z nią skontaktować. Zadzwoń do niej z telefonu przy barze.

Vero odwrócił głowę, żeby zobaczyć budkę telefoniczną i sprawdzić, czy jest blisko drzwi.

Donnelley pochylił się nad nim i, zniżając głos, rzekł:

- Słuchaj, wiem, że przeszedłeś piekło. Mówisz, że umierasz i że umrzeć może wielu niewinnych ludzi, bo facet, przed którym uciekasz, to diabeł wcielony. Wygląda na to, że masz rację. Chcesz zrobić to, co należy, i powiedzieć o tym komuś. Doceniam to, ok?

Zamierzam dowieźć cię tam, gdzie trzeba. To moje zadanie. - Dotknął ramienia Vero. - Ja nie znikam, kiedy się robi gorąco. Wierzysz mi?

Vero zajrzał mu głęboko w oczy. Wolno skinął głową.

- Możesz iść ze mną, jeśli chcesz.

Vero uśmiechnął się słabo:

- Ufam ci.

Donnelley ze wszystkich sił starał się iść pewnie i normalnie, próbując nie zwracać uwagi na falę mdłości i napady bólu. Przynajmniej nie były już tak przeszywające jak wcześniej.

Telefon znajdował się w staromodnej budce schowanej w ciemnym kącie przy drzwiach wejściowych. Wszedł do środka i zamknął za sobą składane drzwi. Światłówka pod sufitem na wpeł ożyła i zaczęła migać - wyglądało na to, że nie zamierza przestać. Od jasnego drgającego światła rozboleła go oczy. Z powrotem uchylił nieco drzwi, tak że światło samoistnie zgasło.

Ogarnął wzrokiem prawie pusty bar i tył głowy Vero. Wolałby być teraz gdzie indziej i w innym towarzystwie. Lewa ręka zupełnie mu zdrętwiała, więc pozwolił słuchawce po prostu zawisnąć na plecionym metalowym sznurze, kiedy wybierał numer kierunkowy, a potem swój numer domowy.

Po pięciu sygnałach w słuchawce rozległ się głos żony.

- Halo!

Serce podskoczyło mu w piersi, kiedy ją usłyszał, ale po chwili zorientował się, że to tylko wstęp nagrany na ich automatycznej sekretarce.

- Dodzwoniłeś się do Jodi.

Potem usłyszał swój głos:

- Goody'ego.

A następnie głos Brice'a starającego się wypaść poważniej niż dziesięciolatek, którym był w rzeczywistości:

- Brice'a!

Na końcu rozległ się słodki głosik jego sześciolatniego synka:

- Barretta!

Potem wszyscy razem:

- Zostaw wiadomość, a oddzwonimy do ciebie. - Po czym nastąpił

niekontrolowany atak wesołości i biiiiip.

- Cześć wszystkim. Chciałem się tylko przywitać, ale jak widać, nie ma was w domu.

Mam nadzieję, że dobrze się bawicie. Do zobaczenia wkrótce. - Już miał odłożyć słuchawkę na widelki, ale jeszcze raz przyłożył ją do ucha. - Barrett, Kocham cię. Kocham cię, Brice.

Bądźcie grzeczni, dobrze? Kochanie. dziękuję, że byłaś dla mnie taka dobra.

Kocham cię. Pa.

Opuścił słuchawkę i przerwał połączenie, przyciskając widelki przez parę sekund, a następnie wybrał numer telefonu komórkowego Julii. Po dwóch sygnałach rozłączył się, po czym zadzwonił znowu.

Odebrała natychmiast.

- Goody!

- Tak, mówmy szybko, linia nie jest bezpieczna. Myślałem, że już tu będziesz.

Dostałem, mała. Nie jest dobrze.

- Goody, posłuchaj - nigdy wcześniej nie słyszał takiej paniki w jej głosie. - Straciłam sygnał. Ktoś go przejął. Słyszysz? Wyłącz nadajnik, Goody! Natychmiast!

- Straciłaś. poczekaj - sięgnął do kieszeni po chip pamięci połączony z nadajnikiem.

Paznokciem ustawił nacięcie na boku nadajnika w pozycji „0”.

Zamknął oczy, żeby zebrać galopujące myśli. Jeśli ktoś inny ich namierzał, to ta sprawa była znacznie poważniejsza, niż do tej pory myślał. Nie mieściło mu się w głowie, skąd tamci mieli sprzęt i tajne informacje konieczne do przechwycenia sygnału „tropiciela”.

To potwierdzało jego podejrzenia, że we wszystko był zamieszany ktoś związany z departamentem ochrony porządku publicznego i z CDC - FBI albo inna agencja federalna. A tacy ludzie nie odpuszczali łatwo, kiedy już raz za coś się zabrali; wkrótce zjawia się tutaj, żeby dostać jego i Vero - być może właśnie obserwowali bar. Wciąż trzymając w dłoni chip, Donnelley rozejrzał się po wnętrzu ciemnej budki. Położył słuchawkę przy telefonie i podważył białą obudowę świetlówki nad głową. Uniosła się lekko. W powstały otwór wcisnął

chip z nadajnikiem, ale nie mógł domknąć obudowy.

Słyszał, jak Julia nerwowo wykrzykuje jego imię.

- Zaczekaj chwilę - powiedział na tyle głośno, żeby słowa dotarły do słuchawki.

Obmacał dookoła aparat telefoniczny. Nic. Pochylił się i ręką dotknął spodu siedzenia, które było przymocowane w jednym z rogów budki. Przesunął ręką po kilku kawałkach starej gumy do żucia, aż napotkał to, czego szukał - wąską przestrzeń pomiędzy siedziskiem a podpórką.

Przełożył chip do drugiej ręki, po czym wklinował go w otwór, idealnie go tam wpasowując.

Julia ciskała gromy, kiedy z powrotem podniósł słuchawkę do ucha. Przerwał jej.

- Hej! Hej! Teraz ty posłuchaj uważnie, mała. Jestem tu w budce telefonicznej. W budce telefonicznej.

- Rozumiem, że linia nie jest bezpieczna.

Słyszał, że kompletnie spanikowała, bo sądziła, że wcześniej jej nie zrozumiał.

Tym razem wypowiadała każde słowo niezwykle powoli z wymuszonym spokojem:

- Czy... wyłączyłeś... nadajnik?

- Wyłączyłem, wyłączyłem - odpowiedział. - Jak...

- Nie wiem jak, ale musisz stamtąd uciekać. Uciekaj, Goody, natychmiast. To miejsce nie jest bezpieczne. Zadzwoń do mnie skądinąd.

- Julio, muszę się skontaktować z Caseyem. Jest u Earla w Chattanooga. Rozumiesz?

- Nie, ja...

„No, mała - pomyślał Donnelley - musisz sobie przypomnieć”.

- Tak! Rozumiem. Ale w Chattanooga? - zaklęła. - Właśnie tam byłam. Jestem teraz jakieś trzydzieści kilometrów na południe. Masz Vero?

- Mam go. Mówi o jakimś ataku bioterrorystycznym, który być może już się zaczął.

Wygląda na to, że gdzieś jest lista miast będących celem ataku, a to wszystko jest związane z wirusem.

- Opowiesz mi później, Goody. Teraz musisz stamtąd uciekać.

- Słuchaj, gdyby coś mi się stało i...

- Nic ci się nie stanie, jeśli zaraz stamtąd znikniesz. Idź już!

- Kiedy możesz tu być?

- Daj mi kwadrans.

- Masz dziesięć minut - odrzekł i rozłączył się.

Właśnie odwracał się od telefonu, kiedy ich zobaczył: dwóch mężczyzn w sięgających do kolan czarnych płaszczach. Nie znalazłoby się wiele powodów, by ubrać się w coś takiego przy upalnej pogodzie, ale Donnelley znał jeden z nich - ukrycie broni. Już minęli budkę telefoniczną. Nie widział ich twarzy, ale założyłby się o całą wypłatę, że jeden z nich ma złamany nos i podbite oko. Zmierzali prosto w kierunku przedostatniego boksu, gdzie siedział

Vero.

Donnelley wyjął broń. To, co zdarzyło się w ciągu następnych siedmiu sekund, przeżył jakby w koszmarnie zwolnionym tempie.

Otworzył ramieniem składane drzwi i rzucił się do przodu, wydając z siebie głośny okrzyk.

Mężczyźni obrócili się na pięcie. Jeden uniósł do góry strzelbę. „Egzotyczna broń” -

zdążył pomyśleć Donnelley. Drugi, ten po prawej, trzymał tuż przy ciele coś mniejszego: pistolet maszynowy. Donnelley strzelił do niego. Pośrodku piersi mężczyzny wykwitła czerwona róża, cofnął się i zachwiał, ale nie upadł. Donnelley ponownie nacisnął spust, momentalnie uświadamiając sobie swój błąd. Powinien był najpierw unieszkodliwić drugiego zabójcę, zanim zaczął pakować kolejne kulki w pierwszego. Strzelec po lewej był tym, którego wcześniej rozpoznał - tajniakiem z wydziału narkotykowego. Napastnik podniósł

strzelbę i Donnelley zrozumiał, że podjęta w ułamku sekundy decyzja o oddaniu drugiego strzału do pierwszego zabójcy będzie go kosztować życie.

Rzucił się na podłogę z jedną nogą tkwiącą wciąż w budce telefonicznej. Lecąc, zdążył skierować broń o trzy czwarte obrotu w kierunku drugiego strzelca, ale wtedy strzelba zagrzmiała, plując prosto w niego płomieniem i dziesiątkami ostrych jak żyłki krążków.

Zdążył dostrzec grymas na twarzy zabójcy, który zmieniał go w zwyrodniałą hybrydę człowieka i



demona.

Jako dziecko wyobrażał sobie, że pierwszym znakiem, iż niebo otwiera dla kogoś swe podwoje, jest słodki zapach. Ale teraz, kiedy nozdrza paliła mu kwaśna woń kordytu w prochu strzelniczym, pomyślał, że ten zapach wcale nie jest słodki - cuchnie jak śmierć.

Zobaczył błysk gwiazd - pociski odbijające światło - na tle czarnego wylotu lufy strzelby, z którego unosił się dym. W tym momencie kule przeszły jego ciało.

Wcale nie jest słodki... Ciemność...

II

Barman miał na imię Johnny. Pracował w tym fachu od... zapomniał od ilu już lat, może dwunastu. Lubił tę robotę, bo kobiety lubiły barmanów. Leciąły zwłaszcza na

„miksologów”, którzy robiąc dla nich drinki, urządzali prawdziwe show, podrzucając w powietrze butelki, lejąc alkohol z wysoka do kieliszka trzymanego na stopie i kołysząc jednocześnie biodrami w rytm muzyki, która - według Johnny'ego - była przeżytkiem z lat osiemdziesiątych. On nie był jednym z nich, chociaż trzeba przyznać, że tuż po tym, jak został zatrudniony przez wujka, właściciela interesu, Johnny stłukł kilka butelek i wylał na podłogę sporo cennego trunku, sprawdzając, czy i on by tak potrafił.

Nie, on należał do tej drugiej grupy barmanów, która była nieco mniej popularna wśród pań. Jeśli były dla niego miłe, dawał im darmowe drinki; im były miłsze, tym więcej mogły pić na koszt firmy. Od kiedy zaczął pracę, nie miał problemów z randkami, chociaż dość szybko nauczył się, że nie może być zbyt wybredny, jeśli dziewczyna jest bardziej zainteresowana Johnnie Walkerem niż Johnnym Barmanem. W dodatku praca nie była zbyt ciężka. Właściwie to Johnny nie pamiętał, żeby się kiedyś spocił przy pracy w barze Babilon, choćby przy zamiataniu podłogi.

Aż do dzisiaj. Krople potu spływały mu po czole do oczu, zupełnie jak pod prysznicem.

Wytarł je i wyrztał zza brzegu kontuaru, gdzie wpełzł, gdy tylko zaczęła się strzelanina.

Dawno już doszedł do wniosku, że w razie gdyby zdarzyła się podobna sytuacja, nie utknie za barem jak ryba w beczce. Widział film Tarantino, w którym barman dostał kulę bez powodu tylko dlatego, że był łatwym celem w przypominającej strzelnicę przestrzeni za barem. W związku z tym teraz był tam, gdzie był - po zewnętrznej stronie kontuaru, schowany jak najdalej od tego, co się działo, i jakieś dziesięć kroków od tylnych drzwi do biura, na wypadek, gdyby trzeba było wiać.

Właśnie przyglądał się dwóm obcym, którzy pewnym krokiem wmaszerowali do baru, kiedy facet, który podobno zwiął z detoksu, wyskoczył z budki telefonicznej z bronią w rękę.

Jak gdyby na nich czekał. Johnny na czworakach już był w połowie drogi do wyjścia, kiedy -

oprócz trzasku pistoletu gościa przy telefonie - usłyszał głośnie bum!

Obchodząc dokoła baru, miał dobry widok na drugiego faceta, który został w boksie i zgodnie z tym, co usłyszał, nazywał się Desperado czy jakoś tak. Desperado wskoczył na stół

i kiedy Johnny go zobaczył, właśnie się z niego zsuwał, byle dalej od strzelających.

Nie opuścił boksu, ale teraz był tam, gdzie wcześniej siedział ten drugi. Z szeroko rozwartymi oczami i ustami bezskutecznie próbował coś powiedzieć, ale tylko się jąkał.

Johnny otarł pot z oczu i zerknął ponad krawędzią baru.

Jeden z obcych dostał. Wyglądało to, jakby wpadł na pusty stolik, który przewrócił się na podłogę do góry nogami. Facet z budki też dostał. Pojawiło się mnóstwo lśniącej czerwieni

- była na nim, dokoła niego, wylewała się z niego. Strzelec wciąż celował do niego z groźnie wyglądającej broni i widać było, że jest gotów znowu pociągnąć za spust.

Johnny nie chciał tego widzieć i cofnął głowę. Kiedy spodziewany huk nie nastąpił, wyjrzał ponownie. Napastnik obrócił się przodem do Desperado, celując do niego ze swej wielkiej spluwy. Nie odwracając wzroku, prześladowca dźgnął palcem Cheryl, która - niech Bóg ma ją w opiece - wciąż siedziała na stołku, gdzie posadziła tyłek dwie godziny wcześniej.

Jakby wciskając przycisk, palec zabójcy uciszył jej wrzask. Johnny zdał sobie sprawę z tego, że krzyczała, dopiero wtedy, gdy umilkła. Wcześniej chyba za bardzo dzwoniło mu w uszach od wystrzałów. Strzelec przytrzymał swój palec nieco dłużej. „To ostrzeżenie, żeby znowu nie zaczęła” - pomyślał Johnny. Następnie napastnik skierował palec na dwóch gości, którzy popijali rozcieńczone piwo od momentu otwarcia lokalu. Ci dwaj nie krzyczeli, po prostu gapili się z otwartymi ustami. Widząc wymierzony w siebie palec, podnieśli do góry ręce jak przy napadzie rabunkowym. Może to właśnie był taki napad.

Potem mężczyzna wskazał wprost na Johnny'ego wyglądającego zza baru i Johnny poczuł, że trochę pociekło mu z pęcherza. Tylko trochę.

Zabójca sięgnął za pas i wyjął chromowane kółko. Rzucił je przez salę w kierunku Desperado. Przedmiot upadł na stół, ześlizgnął się z niego, odbił od ścianki boksu i z brzękiem zsunął na podłogę. Teraz Johnny zobaczył, co to jest - dwa kółka połączone krótkim łańcuszkiem: kajdanki.

Prześladowca kiwnął głową w kierunku Desperado.

- Łatwo i przyjemnie - powiedział. - Załóż je i...

Nagle za napastnikiem buchnęło światło i Johnny domyślił się, że otworzyły się frontowe drzwi. Pomiedzy wpadającym światłem a strzelcem zarysowała się jakaś sylwetka.

Zabójca wrzasnął, obracając się:

- Co do...

Drzwi zamknęły się z powrotem, odcinając dopływ oślepiającego światła. Wysoki, muskularny mężczyzna - w okularach? À la Buddy Holly, z ciemnymi polaryzującymi szklami, w lekkiej kurtce, rękawiczkach i ze zmierzwioną fryzurą - był dwa kroki od zabójcy.

Jego pięść wyskoczyła do przodu i zderzyła się z głową strzelca. Z miejsca, w którym stał

Johnny, wyglądało to, jakby cios zmiażdżył głowę jak arbuza. Ciało bezwładnie opadło na podłogę. Ręka mordercy ociekała krwią. Coś włóknistego i grudkowego przykleiło mu się do palców. Johnny zorientował się, że to, co wcześniej wziął za zwykłą rękawiczkę, było twarde, ciemne, najeżone kolcami i miało wymyślne mosiężne knykcie niczym - tak, teraz skojarzył - czarna rękawica rycerska.

Cheryl zaczęła znowu wrzeszczeć, zawodząc jak alarm samochodowy. Zdawało się jednak, że na przybyszu nie robi to żadnego wrażenia. Sięgnął pod kurtkę i wyjął pistolet z długą lufą. Z pistoletu wystrzeliło czerwone światło. Celownik laserowy - Johnny widział go w dziesiątkach filmów. Mężczyzna skierował broń w kierunku Desperado i na czole tamtego pojawił się czerwony punkt. Ułamek sekundy później ziała tam czarna dziura, a na ścianę z tyłu bryzgnął rozprysnięty mózg i fragmenty czaszki.

Johnny nie zdążył się odwrócić. Opróżnił cały pęcherz. Opuścił głowę, połykając gwałtownie powietrze, które wcale nie docierało do płuc. Usłyszał zbliżające się syreny.

Kogoś musiały zaalarmować strzały. Z czasem - nie wiedział, jak długo to trwało -

jego oddech się uspokoił. Kiedy znowu podniósł wzrok, mordercy już nie było. Nie było także ciała faceta, któremu strzelił w głowę.

\*

Julia wpadła przez automatycznie rozsuwane drzwi oddziału ratowniczego w szpitalu Erlanger. Częściowo spodziewała się zobaczyć Donnelleya, Vero i zastęp zabójców leżących rzędem bez przytomności na łóżkach na kółkach w korytarzu. Zamiast tego ujrzała szereg nieznanomych twarzy żałośnie zespolonych z rozmaicie poranionymi i chorymi ciałami, spoglądających na nią z plastikowych stołków. Elektroniczny zamek nie pozwolił jej wejść do części zabiegowej. Ruszyła do dyżurki pielęgniarek.

- Szukam mężczyzny, Goody'ego... Goodwina Donnelleya. Powinien był się tu zjawić jakieś dziesięć minut temu. Ranny, prawdopodobnie z raną postrzałową, być może od strzelby... po wypadku samochodowym... Nie wiem!

Pielęgniarka, blondynka o surowym wyglądzie, która najwidoczniej nie widziała żadnego zastosowania dla kosmetyków, przyglądała się jej beznamiętnie.

- Czy pani jest krewną? - zapytała.

- Nie. Ja. - Julia pokazała kobiecie legitymację służbową.

Pielęgniarka dokładnie się jej przyjrzała i zaczęła mówić powoli, jak do kogoś niespełna rozumu.

- Proszę pani - powiedziała - nikt z podobnymi obrażeniami nie został przyjęty, ale mogę...

- Powiedział, że będzie tutaj! - przerwała jej Julia. - Powiedział, żebym przyjechała do niego do Erlanger!

Przecież to właśnie musiał mieć na myśli. Ponad rok temu spędziła miłe popołudnie z Goodym i jego rodziną w ich ogródku. Po grillowanych hamburgerach i hot dogach chłopcy pobiegli bawić się z kolegami, a ona, Goody i Jodi siedzieli wokół stolika piknikowego, sącząc chianti i gawędząc. Weszli jakoś na temat telewizyjnych seriali o lekarzach. Jodi stwierdziła, że szczególnie w jednym z nich grali wyjątkowo przystojni aktorzy, na co Julia odrzekła, że w żadnym z aktualnie emitowanych seriali nie ma nikogo, kto mógłby się równać z Vincem Edwardsem, który grał doktora Bena Caseya. W dzieciństwie mocno się w nim podkochiwała, oglądając powtórki tego serialu. Mimo że Goody i Jodi przedstawili jej listę innych kandydatów na najatrakcyjniejszego medyka, nie zmieniła zdania. Ben Casey był

wcieleniem lekarza doskonałego.

Kiedy więc Goody powiedział, że musi się skontaktować z Caseyem, zrozumiała, iż chodziło mu o doktora. A kiedy dodał, że Casey był u Earla, z pewnością miał na myśli Erlanger, największy szpital w Chattanooga. Wcześniej była pewna, że dobrze rozszyfrowała ten kryptogram. Czy mogła się pomylić?

Wyjawił jej, gdzie będzie, za pomocą łatwego do zrozumienia szyfru i nie wiedząc, czy linia jest bezpieczna, z czego wywnioskowała, że jego obrażenia są poważne.

Potrzebował natychmiastowej pomocy, którą można znaleźć tylko na oddziale ratunkowym.

Takie miejsca były poza tym zazwyczaj jasne i pełne ludzi, co stanowiło dodatkową zaletę, chociaż Julia miała wątpliwości, czy napastnicy próbujący dokonać zabójstwa w hotelowej restauracji i na ruchliwej autostradzie zawahaliby się przed rozpoczęciem strzelaniny na pogotowiu.

Pomyślała, że przecież Goody nie pojechał prosto do szpitala, że czekał na nią, żeby go znalazła. Kiedy nie dotarła, zadzwonił, żeby ją poinstruować. Musiało mu bardzo zależeć, żeby przy nim była, skoro zwlekał z wizytą na pogotowiu i zaryzykował, że prześladowcy go znajdą. Potrzebował ochrony. Może czekał na nią na zewnątrz, może zemdlął w samochodzie? Ruszyła w stronę parkingu. Miejscowy policjant w mundurze minął ją i wprowadził kod do zamka otwierającego drzwi do części zabiegowej. Weszła za nim do środka, znalazła siostrę oddziałową i zapytała o Goody'ego.

- Karetka właśnie wiezie ofiarę strzelaniny - odparła pielęgniarka. - Dzwonili kilka minut temu. Powinni tu być za jakieś dwie minuty.

- Karetka? - miała problemy z myśleniem.

- Proszę tu poczekać - powiedziała stanowczo pielęgniarka i pośpieszyła dalej. Niemal natychmiast zaczęła mówić znowu, ale już nie do Julii.

- Doktorze Parker, dostał pan moją wiadomość? - odezwała się do mężczyzny idącego korytarzem.

Przyciągał uwagę. Poły rozpiętego białego kitla powiewały za nim, odsłaniając nienagannie skrojone ubranie: elegancką szarą koszulę w delikatne czarno-fioletowe paski oraz zaprasowane w kancik spodnie. Włosy blond miał modnie przycięte - dłużej na czubku głowy, krócej po bokach - i zaczesane do góry nad szerokim czołem. Gęste brwi rysowały się wyraźnym łukiem nad zmrużonymi szarymi oczami. Nos prosty, ale o czubku delikatnie skrzywionym w lewo, dobrze pasował do twarzy. Szedł, stawiając długie, pewne kroki.

Pielęgniarka podeszła do niego i skrzywiła wraz z nim do pomieszczenia tuż obok sali zabiegowej, zdając mu sprawę z sytuacji. Tempo jej przemowy dramatycznie wzrosło.

- Zespół chirurgów jest w jedyńce zajęty chłopcem, który spadł z roweru i doznał rozległych ran głowy i wstrząsu mózgu. Doktor Bridges jest w trójce z raną od noża.

- Ktoś wreszcie dźgnął doktora Bridgesa? - zapytał mężczyzna nazywany doktorem Parkerem. Jego głos był głęboki, ale miękki. Mówił tak, jakby ważył słowa, nie śpieszył się i ich nie nadużywał. Ponieważ otoczenie było ponure, Julia dopiero po paru sekundach zorientowała się, że lekarz żartuje mimo poważnego tonu i pochmurnej miny.

Pielęgniarka z grzeczności zachichotała i mówiła dalej:

- Pomyślałam, że jest pan jeszcze w szpitalu. Wiozą do nas kogoś z raną postrzałową.

Rozległe obrażenia klatki piersiowej.

„Ktoś z raną postrzałową! Ona mówi o Goodym!” - pomyślała Julia.

- Rany postrzałowe głowy, szyi, klatki piersiowej i brzucha - dodała pielęgniarka. -

Będą tu lada chwila. Ranny został zaintubowany i wykonano dwa grube wkłucia obwodowe dożylnie.

Oboje przeszli przez oszklone drzwi naprzeciwko dyżurki pielęgniarek. Mechanizm hydrauliczny zasyczał, zatraskując je za nimi.

Opis rany brzmiał znacznie poważniej niż to, co Goody przedstawił jej przez telefon. I skąd karetka? Powiedziałby jej, gdyby miał tak poważne obrażenia.

Patrzyła przez szybę w drzwiach. Pielęgniarka mówiła coś z ożywieniem, a lekarz wkładał zielone gumowe rękawiczki. Julia weszła do środka. Lekarz dostrzegł ją i uśmiechnął

się ujmującym, wyćwiczonym specjalnie dla pacjentów i ich rodzin uśmiechem.

Pielęgniarka natychmiast znalazła się przy niej.

- Nie może tu pani wchodzić. Jest pani...

- Przed chwilą z nim rozmawiałam - Julia odezwała się do lekarza, wymijając pielęgniarkę. - Mówił, że jest ciężko ranny, ale nie...

Pielęgniarka była stanowcza.

- Doktorze Parker, ten pacjent ma osiem punktów w skali Glasgow.

Julia obróciła się do niej.

- Co to jest skala Glasgow? Co oznacza osiem?

Doktor Parker podszedł od tyłu i dotknął jej ramienia.

- To oznacza, że z pacjentem nie ma kontaktu słownego, jest niemalże w stanie śpiączki. To nie jest dobry sygnał, ale zobaczymy, co i jak, kiedy przyjedzie. Nazywam się doktor Parker, Allen Parker.

Pielęgniarka podeszła i przytrzymała rękawiczkę, tak by wsunął w nią dłoń.

- Julia Matheson - włożyła rękę do kieszeni kurtki, żeby wyciągnąć legitymację służbową, ale wtedy usłyszała przeraźliwy sygnał karetki. Wyszła szybko na korytarz. - Po paru sekundach karetka zahamowała ostro na podjeździe. Trzasnęły drzwi od wozu, a te do budynku pogotowia rozsunęły się automatycznie. Dwóch ratowników medycznych w kombinezonach, niczym drużyna bobslejowa na rozbiegu, wpadło z hukiem na oddział

ratowniczy w Erlanger, pchając przed sobą nosze na kółkach.

Sanitariusz trzymał nad pacjentem przezroczysty plastikowy woreczek z jakimś płynem.

Drugi uciskał rękami rany pacjenta, jakby obawiał się, że coś może stamtąd wyskoczyć, gdyby je puścił. Z noszy nieprzerwanie wylewał się strumień krwi, pozostawiając na podłodze szeroki ślad. Dajcie go do dwójki! - krzyknęła pielęgniarka, wymijając Julię i wskazując na otwarte podwójne drzwi, za którymi widać było jasną, nieskazitelnie czystą salę, czekającą, żeby znowu umazać ją krwią. Posadzka i ściany wyłożone kafelkami, odpływ w podłodze zasłonięty kratką, gładkie metalowe powierzchnie sprzętów - wszystko to zdradzało jej przeznaczenie jako miejsca krwawej jatki.

Julia odwróciła się i pośpieszyła do noszy, chcąc uspokoić Goody'ego, że dotarła na miejsce. Ale postać na noszach to nie był Goody - to nie mógł być on. Wszędzie była krew, ubranie i fragmenty ciała zwisały w strzępach. Dostrzegła rękę, która wyglądała, jakby ktoś usunął z niej kości. Część twarzy, którą mogła dojrzeć... zniknęła. Podbiegła do noszy, zachodząc drogę sanitariuszowi, który niósł kroplówkę. Ten wpadł na nią i cały pochód się zatrzymał.

- Hej! - wrzasnął sanitariusz.

Julia pochyliła się nad ciałem, żeby zobaczyć resztę twarzy. Powieka rannego podniosła się, oko

spojrzało na nią i znowu się zamknęło. To był Goody.

Prawie krzyknęła. Zakryła ręką usta. Poczowała, jak jej ciało wiotczeje; energia uleciała z niej niczym powietrze z przekłutego balonu.

Sanitariusz przepchnął się obok niej. Cofnęła się chwiejnie i patrzyła, jak nosze wjeżdżają do sali zabiegowej numer dwa. Potem drzwi się zamknęły, a ona dalej stała w odrętwieniu na korytarzu, od pasa w górę cała umazana krwią Goody'ego.

\*

Tak rozległych obrażeń Allen Parker jeszcze nie widział. W jednej chwili wszystko przestało się liczyć: sala, sprzęt, załoga karetki, jego własna cielesność - skoncentrował się wyłącznie na ocenie ran pacjenta. Wszystko wokół zbladło, tylko krew stała się bardziej widoczna, rany wyraźniejsze, potrzeba życia bardziej nagląca. Informacje o pacjencie - te wykrzykiwane przez personel i te wyrażone dźwiękami, miganiem świateł i wykresami wypływającymi przez różne urządzenia i aparaty - docierały do peryferii jego świadomości, były przyswajane automatycznie i bez wysiłku. Wykorzystywał je do działania lub zapisywał

w pamięci, żeby później je rozważyć. To było najważniejsze - to jedno życie, tu i teraz.

Przybliżył głowę na odległość kilku centymetrów do ziejących, bulgoczących ran, a następnie odsunął się, żeby ocenić obrażenia z innej perspektywy. Nachylił się nad ciałem, potem się wyprostował i powoli przeszedł od głowy do brzucha i z powrotem.

- Poświećcie tą lampą tutaj. Przetoczyć cztery jednostki krwi i przygotować salę operacyjną, szybko!

Domyślił się, że tętnica szyjna jest nietknięta, chociaż tylko badanie chirurgiczne mogło to potwierdzić. Żyły szyi wyglądały na poszarpane i sączyła się z nich krew. Obszedł

stażystę, który był zajęty wstrzykiwaniem miejscowego znieczulenia, i ominął drugiego, który zamykał krwawiące żyły i tętnice.

- Ma głębokie niedokrwienie kończyn - oznajmiła jedna z pielęgniarek. - Palce u rąk i u nóg są białe.

- Przynieś mi tacę z instrumentami - powiedział Parker.

Pacjent oddychał samodzielnie, ale bardzo słabo. Syczał przez pogruchotane zęby, a powietrze uchodziło przez tuzin dziur pośród bulgotu baniek. Coś, co powodowało takie uszkodzenie ciała, było skuteczne i bezwzględne niczym wygłodniały rekin.

- Gdzie są dreny? Ruszcie się!

Część żeber pokruszyła się na drobne kawałki, które podziurawiły prawe płuco i pocięły wątrobę.

- Potrzebny nam drugi chirurg. Znajdźcie kogoś, już!

Krew zbierała się w otwartych jamach. Fragmenty ciała zwisały w strzępach.

- Dajcie mi aspirator. Wyczyśćcie tu, tu i tu. Będziemy potrzebować więcej krwi.

Połączcie mnie z bankiem krwi.

Parker nie musiał badać jamy brzusznej, żeby poznać skalę obrażeń. Dobiegający smród wskazywał na liczne perforacje jelit. Kiedy spojrział na jelita wystające na zewnątrz, wiedział już, że część trzeba będzie całkiem usunąć.

- Znajdźcie dwóch chirurgów. Ilu tylko możecie!

Krew bryzgała, kapała i ciurkała w stronę odpływu. Prawdopodobnie - na szczęście -

wytworzone w wyniku szoku endorfiny powodowały, że ranny nie czuł bólu. Była to jednak tymczasowa łaska - chyba że śmierć dopadnie go wcześniej niż ból.

Parker potrząsnął głową.

- Jeśli serce stanie, nie podejmujcie RK-O - oznajmił.

Polecenie, żeby nie przeprowadzać resuscytacji powiedziało personelowi medycznemu wszystko, co potrzebowali wiedzieć. Podjęcie wszelkich możliwych starań, żeby przywrócić życie przy zatrzymaniu akcji serca najprawdopodobniej prowadziłyby do niekończącego się cyklu ratowania biedaka znad krawędzi przepaści, aż wreszcie i tak by się w nią osunął. Przywrócenie czynności serca mogło oszukać śmierć kliniczną do czasu, aż obrażenia spowodowałyby śmierć biologiczną, kiedy umarłyby wszystkie tkanki.

Kiedy pielęgniarka osuszała fragment rany na piersi, Parker dostrzegł coś nienaturalnie symetrycznego. To coś tkwiło zagłębione w mostku mężczyzny.

- No, no - powiedział. - Co to jest?

Uchwycił niewielki okrągły przedmiot za pomocą szczypiec i pociągnął. Musiał

włożyć w to więcej siły, niż się spodziewał, ale wreszcie go wydobył. Był to mały metalowy krążek, ostry jak brzytwa.

- Hm.

Wrzucił go do miski ze stali nierdzewnej.

- Słuchajcie wszyscy - ogłosił. - Wygląda na to, że ktoś zmienił tego człowieka w piłę tarczową. Niech nikt nie wtyka nigdzie rąk, jasne? Używajcie instrumentów - szczypiec i kleszczy. Chcę mieć rentgen całego tego odcinka. Sprawdźmy, ile mamy tutaj tego cholerstwa i gdzie się pochowało.

Pielęgniarki pośpieszyły do stołu z plastrem i zaczęły oznaczać nim brzegi rany.



Pacjent zacharczał i wydawało się, że coś powiedział. Parker odwrócił się i zobaczył, że ocalałe oko wpatruje się w niego. Spojrzenie było skupione i przeszywające. Mięśnie szczęki napięły się od wysiłku i usta pacjenta nieznacznie się rozchyliły. Próbował mówić.

Parker zbliżył się i nadstawił ucha. Poczul na sobie gorący, ohydny oddech i kropelki krwi. Potem dosłyszał słowa. Przybliżył się jeszcze bardziej, aż jego ucho niemalże dotknęło okaleczonych ust pacjenta. Oczy Parkera zwęziły się, a potem rozwarły szeroko.

Chciał się odsunąć, ale jakimś cudem lewa ręka mężczyzny chwyciła go za głowę i przytrzymała. Pacjent nadal mówił, zacinając się i dysząc.

Po dłuższej chwili Parker zwrócił twarz w jego stronę.

- Kiedy? - zapytał chrypliwym szeptem i nadstawił ucho.

Krew zapieniła się na ustach pacjenta. Ramię zsunęło się ze stołu.

Parker rozejrzał się wokół. Reszta personelu była zajęta, nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał.

- Kim jest ten człowiek? - zawołał, przekrzykując kakofonię. - Czy ktoś wie?

- Gliną - padła odpowiedź. - Jego partnerka jest na korytarzu.

Przyjrzał się pogruchotanej twarzy rannego. Ponownie zniżył głowę i nadstawił ucha ku mężczyźnie. Kiedy się pochylił, wolny, rytmiczny dźwięk elektrokardiografu zmienił się w niekończący się, monotony, ostateczny szum.

Serce pacjenta stanęło.

- Jest PEA! - ktoś zawołał.

PEA, aktywność elektryczna serca bez tętna, stan poprzedzający zwykle asystolię, czyli poziomą linię. Nikt się nie ruszył, wszyscy wiedzieli, że reanimacja jest bezcelowa.

Patrzyli, jak Parker z uchem wciąż przyciśniętym do ust mężczyzny chwycił

potarganą koszulę pacjenta. Szarpnął nią lekko, jakby chciał jeszcze wytrząsnąć z niego jakieś słowa. Potem wyprostował się z wolna w głębokim zamyśleniu, zapatrzony w pustkę.

- Panie doktorze? - odezwała się pielęgniarka. - Doktorze Parker, czy dobrze się pan czuje?

- Tak... oczywiście - potarł ucho, rozmazując krew. - Mmm. Proszę zapisać godzinę -

zerknął na zegar na ścianie. - Siedemnasta zero dziewięć.

Pielęgniarki zaczęły zdejmować rękawiczki, wyłączać aparaturę, zbierać pokryte krwią instrumenty. Różne zaciski, rurki i przewody, które tkwiły w ciele, musiały tam pozostać do czasu, aż patolog

sądowy przeprowadzi autopsję i określi przyczynę zgonu.

Parker zerwał maskę chirurgiczną i otworzył drzwi, żeby znaleźć Julię Matheson.

Ale jej już nie było.

\*

Dwie minuty wcześniej patrzyła, jak Goody umierał. Zaglądając przez niewielkie okienka do sali zabiegowej, wiedziała, że lekarze, pielęgniarki czy technicy nie mogą nic zrobić, żeby uratować pacjenta z takimi obrażeniami. Kiedy usłyszała, jak EKG zaczyna wydawać głuchy ton i że ktoś woła „Jest PEA!”, miała wrażenie, jakby jakiś ciężar przygniótł

jej żołądek. Krew uderzyła jej do głowy i wszystko wokół zaczęło się zamazywać. Poczula, że się chwieje. Wyciągnęła rękę i znalazła jakieś oparcie.

- Proszę pani? - zapytał głos.

Trzymała za ramię młodą pielęgniarkę.

- Czy mogę pani jakoś pomóc?

- Łazienka? - wykrztusiła Julia.

- Za rogiem, w korytarzu po prawej.

Pielęgniarka podniosła głos, żeby wymówić ostatnie słowa, ale Julia już zniknęła jej z oczu, skręciwszy za róg.

Ledwie zdołała dotrzeć do toalety, kiedy zaczęła zwracać zawartość żołądka.

Podniosła się, oparła o ścianę kabiny i, przyciskając policzek do zimnej stali, rozplakała się.

Gdy tylko próbowała przestać, jej ciałem zaczynały rzucać gwałtowne wstrząsy, więc na razie pozwoliła łzom płynąć. W jej pamięci pojawiały się wizje Goody'ego, Jodi i dzieciaków, wzmagając szloch.

Po dłuższej chwili - dziesięciu, może piętnastu minutach - najgorsze minęło. Z wolna w miejsce smutku pojawiał się gniew - poczuła go i chwyciła się tego. Gdyby emocje były jak narkotyk, smutek wywoływałby depresję, a gniew działałby jak stymulant.

Potrzebowała dużej dawki dopingu, żeby przetrwać kilka kolejnych godzin i odnaleźć w końcu zabójców Goody'ego. Jeżeli gniewem uda jej się złagodzić ból po stracie przyjaciela i zmotywować się do działania, to niech tak będzie.

Wytarła oczy i nos. Ledwie się rozpoznała w lusterku. Była blada, włosy miała zmierzwione, a oczy czerwone. W którymś momencie przygryzła usta aż do krwi, która ciemnobrązową warstwą oblepiła jej dolną wargę. Opłukała twarz zimną wodą i spróbowała nadać sobie nieco bardziej ucywilizowany wygląd.

Kiedy wychodziła z łazienki, jej krok był pewny, a ramiona wyprostowane. Miała do wykonania zadanie: znaleźć tego, kto zamordował Goody'ego, i dowiedzieć się, dlaczego to zrobił. Kiedy wróciła na oddział, drzwi do sali zabiegowej były wciąż zamknięte.

Pchnęła jedno skrzydło, żeby zajrzeć do środka. Pomieszczenie przypominało pole bitwy.

Wszędzie pełno krwi, porzucane opakowania od gazików, zakrwawione waciki, rękawiczki gumowe, strzępy papieru i brudne ręczniki. Na stole pośrodku sali leżało ciało Goody'ego przykryte poplamionym białym prześcieradłem, w oczekiwaniu na transport do chłodni, potem do sali sekcyjnej, aż wreszcie na cmentarz. Pomyślała, że powinna wejść do środka i dotknąć jego ręki, ale nie mogła.

„Przepraszam, Goody. Przepraszam”.

Chciała dłużej przemawiać do niego w ten sposób, wysyłając słowa jak modlitwę, gdziekolwiek teraz był, ale zdała sobie sprawę, że to zniszczyłoby jej spokój, jej determinację.

Odsunęła rękę i pozwoliła, żeby drzwi się zamknęły.

Usłyszała hałas i przez kilka szklanych drzwi zobaczyła lekarza, który był wcześniej przy Goodym. „Doktor Parker” - przypomniała sobie. Otwierając kolejne drzwi, wkroczyła do pokoju i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że lekarz był w samej bieliźnie. Trzymał w ręce szare spodnie, które miał wcześniej na sobie, a które teraz były całe zaplamione krwią.

Czerwień przesiąkła też na brzuch i bieliznę. Powrócił do niej obraz pola bitwy - ten człowiek uczestniczył w walce, ale teraz był z dala od frontu, wdzięczny, że krew, którą był umazany, nie należała do niego.

Twarz lekarza przez krótką chwilę wykrzywiło zdumienie. Potem uśmiechnął się w ten sam sposób, który już widziała.

Odwróciła się, mówiąc:

- Przepraszam. Przepraszam...

- To chyba ryzyko zawodowe - powiedział spokojnie. - Mam na myśli krew, a nie to, że ładna dziewczyna przyłapała mnie bez spodni. To niestety zdarza się zbyt rzadko.

Usłyszała pstryknięcie gumki i doszła do wniosku, że właśnie zdjął bieliznę.

- Czy pan... - zaczęła, kiedy do niej dotarło, że z nią flirtuje. Rozwścieczył ją jego brak skromności, szczególnie w świetle tego, co właśnie się wydarzyło, czyją krew z siebie ścierał.

- Czy pan zawsze rozbiera się w towarzystwie?

- Tylko po operacji. My, chirurdzy, mamy taki rytuał.

- Muszę z panem porozmawiać. Człowiek, którego pan ratował, ten, który zmarł.

- Wiem, był pani partnerem.

- Był moim przyjacielem.

- Przykro mi.

- Co może mi pan powiedzieć o jego obrażeniach?

Usłyszała szelest ubrania.

- Może się pani odwrócić - odezwał się.

Zerknęła z obawą, nie w pełni przekonana, czy jego przyzwolenie na pewno oznaczało, że okrył się przyzwoicie. Z ulgą zobaczyła, że założył spodnie chirurgiczne.

- Właściwie - powiedział - to rzadko ktoś wpada do tej przebieralni. Poszedłbym do szatni, ale jest na szóstym piętrze i, cóż, tu jest po prostu wygodniej - otworzył szufladę, wyjął z niej złożony fartuch i podał Julii. - Lepiej, żeby brali panią za lekarza, zanim będzie pani miała okazję się przebrać.

Spojrzała na swoje przesiąknięte krwią ubranie.

- Dziękuję.

- Jest pani z policji tutaj, w Chattanooga?

- Z federalnej, z Atlanty - wyjęła identyfikator i pokazała mu.

Przyjrzał mu się uważnie.

- Centrum Kontroli Chorób - powiedział powoli.

Twarz mu zbladła, ale Julia uznała, że tylko tak jej się zdawało przy tym oświetleniu.

- Nie wiedziałem, że mają wydział egzekwowania prawa.

- Część Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Większość z nas to agenci FBI ze stałym przydziałem - wyjęła wizytówkę z osłonki legitymacji, zapisała z tyłu numer swojej komórki i wręczyła lekarzowi.

- Rozumiem - zdjął z półki fartuch, myśląc nad czymś intensywnie. - Więc zajmujecie się... czym? Zagrożeniem związanym z chorobami, wirusami?

- Między innymi. Doktorze, co zabiło mojego partnera?

Parker potrząsnął głową.

- Cóż, to musi ocenić patolog, ale moim zdaniem, jako lekarza, zabiły go dwa tuziny ostrych jak brzytwa krążków, prawdopodobnie wystrzelonych do niego z broni palnej dużego kalibru, takiej jak strzelba.

- Krążków?

- Proszę tutaj poczekać - przeszedł przez inne szklane drzwi, których wcześniej nie zauważyła, prowadzące bezpośrednio do sali zabiegowej. Zabrał stamtąd niewielką metalową miskę i wrócił z powrotem.

Julia spojrzała i gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Też tak myślę - powiedział Parker. - Niektóre z nich wbiły się w ciało. Ten - uniósł

miskę, wskazując na krążek wewnątrz - utkwił w mostku. Podejrzewam, że większość krążków przeszła przez niego na wylot i wbiła się w to, co było za nim. Na podstawie wyglądu ran podejrzewam, że wylatując, wyszarpały mu sporo ciała.

- Czy mogę zatrzymać ten jeden? - zapytała.

Zerknął na nią z ukosa.

- Czy to dozwolone?

- Jeszcze nie ustaliliśmy jurysdykcji nad tą sprawą, ale to zrobimy. To może mi bardzo pomóc, jeśli będę mogła przepuścić to przez naszą bazę danych i sprawdzić, czy coś podobnego nie było użyte wcześniej przy innym przestępstwie.

- Rozumiem - powiedział w zamyśleniu. - Cóż, dlaczego nie. Patolog prawdopodobnie znajdzie mnóstwo takich w ciele, a policja z pewnością zabezpieczyła już miejsce zbrodni.

Zaniósł miskę do umywalki i nalał do niej wody. Zapytał:

- Czy człowiek, który był z pani partnerem, to też policjant?

- Nie. Czy jego też przywieźli? Ja nie. - Nawet nie pomyślała o Vero. Założyła niejasno, gdzieś na skraju świadomości, że on również został postrzelony i zabity, ale nie dotarło do niej aż do teraz, że nigdzie go nie widziała. Gdyby umarł na miejscu, zatrzymaliby go tam na czas oględzin - dokumentacja zdjęciowa i tak dalej - a potem zabraliby bezpośrednio do kostnicy.

Parker odezwał się:

- Jeden z sanitariuszy, którzy przywieźli pana Donnelleya, powiedział, że zabójca zabrał ciało tego drugiego.

- Zabrał?

- Świadek stwierdził, że zastrzelił go, zarzucił trupa na ramię i wyszedł.

Pielęgniarka otworzyła drzwi za Julią i zajrzała do środka.

- Doktorze Parker?

- Tak? - odezwał się, nie patrząc na nią.

- Jakiś detektyw Fisher do pana na trójce.

- Dziękuję.

Starannie odlał wodę z miski. Otworzył i zamknął kilka szafek, wybrał białoniebieskie pudełko wielkości talii kart i usunął ze środka gazę. Użył jej, żeby podnieść i wysuszyć krążek, a następnie wrzucił go do pudełka.

- Najwidoczniej była to dziwna sytuacja. Niejasna - wręczył pudełko Julii. -

Przepraszam - podszedł do telefonu na drugim końcu pomieszczenia. Podniósł słuchawkę i odezwał się: - Doktor Parker. Tak - spojrzął na zegarek. - Mam spotkanie poza szpitalem za czterdzieści pięć minut. Ile czasu...? Rozumiem.

Kiedy Parker odwrócił się od niej zajęty rozmową, Julia wymknęła się na zewnątrz.

Nie widziała żadnego powodu, by ostrzeżenie Goody'ego, żeby unikać innych stróżów prawa, miało stracić na znaczeniu teraz, kiedy został zabity. Właściwie jego śmierć uwiarygodniła te obawy. Musiała dowiedzieć się więcej o tym, jak zginął i kto go zabił.

Miejscowa policja będzie znać mnóstwo szczegółów z miejsca zbrodni i tych uzyskanych od świadków, ale na razie, póki nie będzie mieć lepszego rozeznania w tym, co się dzieje, nie chciała się z nimi widzieć. Ani z nikim innym.

\*

Syn Karla Litta, Joe, zbiegał z trawiastego wzgórza. Rękami machał jak skrzydłami, nogami przebierał szybciej, niżby zdołał na płaskim terenie, a jego twarz była jaśniejsza niż słońce, roześmiana, radosna.

- Dalej, synku! - zawołał do niego z dołu Litt. - Dogania cię!

Kilka metrów za sześciolatkiem biegła jego mama, dosięgając już swej zdobyczy.

Widać było, że nie chcąc wpaść na syna, walczy z siłą ciężenia, żeby nie popchnęła jej do przodu zbyt szybko.

Litt zaśmiał się.

- Już prawie jesteś na miejscu, Joe! Prosto, tutaj! - upadł na kolana, klasnął w dłonie i szeroko rozłożył ramiona. Mały skręcił w lewo i skierował się w jego stronę. Wydawało się, że zaraz się przewróci ze zmęczenia, ale nie upadł i nawet przyśpieszył.

Za to jego mama padła z wyczerpania. Poślizgnęła się, a kiedy spróbowała się wyprostować, ramiona, głowa i tors nie chciały się zatrzymać, aż zupełnie straciła równowagę i uderzyła rękami o trawę, po czym przekoziółkowała... i jeszcze raz. Skręciła się i zaczęła się toczyć bokiem, a potem tyłem.

Litt otworzył usta. Nie wiedział, czy się śmiać, czy na nią nakrzyczeć. Wtedy Joe wpadł na niego i obaj poturlali się po trawie. Zatrzymali się i Joe znalazł się pod nim, nieustannie chichocząc. Litt uniosł głowę, zobaczył Rebeke leżącą nieruchomo i poczuł, jak serce mu na moment zamarło. Uniosła w górę kciuk na znak, że wszystko jest w porządku.

- Ha, ha! - zaśmiał się do syna. - Udało ci się. Pokonałeś potwora - stanął i podciągnął

do góry Joego. - Widzisz? - wskazał na leżącą jasnowłosą bestię.

Joe podbiegł do matki i trącił ją tenisówką. Odwrócił się do Litta.

- Naprawmy ją, tatusiu.

- Naprawmy? - Litt podniósł syna do góry i posadził go sobie na ramionach.

- Uaaa!

Litt spojrział w dół. Żona przyglądała mu się jednym okiem, lekko się uśmiechając.

Mrugnął do niej, a ona zamigotała i zniknęła.

Bum, bum, bum.

Litt podniósł wzrok i rozejrzał się wokół. Joego już nie było. Litt dotknął ramienia -

kościatego ramienia starego człowieka, które nie było już oparciem dla małego chłopca.

Siedział na niezasałanym łóżku w ciemnym pokoju, rozświetlonym jedynie przez czarnobiałą ekran monitora na biurku. Widniał na nim mężczyzna stojący przed drzwiami -

Gregor von Papen. Kiedy Litt skupił wzrok na ekranie, Gregor znowu zapukał.

Bum, bum, bum.

Litt podniósł się i pokuśtykał do drzwi, po drodze odgarniając nogą pomięte ubrania, czasopismo, plastikowy kubek. Oparł się dłońmi o drzwi i opuścił głowę, jakby przygotowywał się do przeszukania przez policję.

- Co jest? - zapytał przez drzwi.

- Mam wieści - odrzekł Gregor.

Litt nie odpowiedział. Ze spuszczoną głową myślał o wspomnieniach, którym oddał

się przed chwilą. Rebecca, Joe, Jessica... Z oka wypłynęła mu pojedyncza łza i uderzyła o podłogę.

- Karl?

- Tak?

- Powiedziałem, że mam wieści.

- Co jest?

Gregor zawahał się, a potem powiedział:

- Atroposowi się udało.

Litt skinął głową.

- Despesorio nie żyje?

- Tak.



- Zdobył chip?

Cisza.

Litt odsunął zasuwkę i gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi. Na twarzy Gregora widać było lekki szok i Litt domyślił się, że musi wyglądać wyjątkowo fatalnie. Nie zrobił

nic, żeby złagodzić bladość i łuszczenie skóry. Oczy, zwykle ukryte za ciemnymi okularami, były pewnie nabiegłe krwią, a powieki zaczerwienione. Po wypadku błękit jego tęczówek zbladł tak bardzo, że stał się prawie biały. Na pierwszy rzut oka widać było tylko punkciki źrenic, które na tle upiornych białych gałek ocznych wyglądały jak kropki bez zdań.

Zamrugnął w świetle korytarza.

Gregor cofnął się o krok.

- Powiedz mi, że odzyskał chip - odezwał się Litt.

- Nie było go przy zwłokach.

- Czy zabrał ciało?

- Tak, zrobił sekcję. W środku też go nie było. Znalazł urządzenie naprowadzające w nodze Vero. Pytał, czy o to nam chodziło. Powiedziałem, że nie.

Litt się odwrócił. Mrok w pokoju przyniósł ulgę jego oczom. Wrócił na łóżko i usiadł zamyślony. Spytał:

- Czy Vero był sam?

- Był z nim jakiś federalny. Też nie żyje.

Litt skinął głową, a potem zamarł, kiedy Gregor dodał:

- To nie Atropos go zabił.

Litt spojrzał na niego.

- Kendrick? - wyszeptał.

- Tak sędzę. Atropos mówił, że była to typowa ekipa zabójców, dwóch ludzi w cywilnych ubraniach.

Litt uśmiechnął się.

- I Atropos wkroczył w sam środek tego wszystkiego? - potrząsnął z podziwem głową.

- Wart jest każdych pieniędzy. Przez chwilę jeszcze zadumał się nad tym, co się wydarzyło, a potem

wrócił do poprzedniej myśli. - Czy sprawdził federalnego?

- Nie miał czasu. Musiał stamtąd zniknąć, bo pojawiło się pełno glin.

- Więc nie zrobił tego?

Gregor potrząsnął głową.

- Cóż, musi to zrobić. Najprawdopodobniej Despesorio przekazał chip temu policjantowi.

- Dam mu znać.

Litt wziął z szafki nocnej okulary przeciwsłoneczne. Na podłogę spadły zmięte chusteczki higieniczne. Wstał i podszedł z powrotem do otwartych drzwi, wkładając po drodze okulary. Przyłożył dłoń do czoła i pogładził nią niemalże łysą czaszkę, pokrytą resztkami długich, białych włosów.

- Powiedz mu, że musi zdążyć, zanim Kendrick o tym pomyśli. Kendrick bez wątpienia sądzi, że już odzyskaliśmy dowody, które miał przy sobie Despesorio, jeśli w ogóle o nich wie. Ale może mu przyjść do głowy, żeby sprawdzić ciało gliny i rzeczy osobiste.

Atropos musi go uprzedzić.

Gregor skinął głową i skierował się do wyjścia.

- Gregor - odezwał się Litt. - Przypomnij mu, że chip stanowił część umowy.

- Oczywiście.

- Spróbuję się zorientować, co wie Kendrick.

- Zadzwońisz do niego?

- Minęło już kopę lat. Czas się dowiedzieć, co u niego. - Litt zlustrował Gregora od stóp do głów. Byli w tym samym wieku, ale podczas gdy Litt wyglądał na co najmniej osiemdziesiątkę, wiek Gregora można było ocenić na jakieś pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć lat, nie więcej. Był szczupły, z bujną czupryną lekko przyprószonej siwizną włosów. Zawsze nosił czarne, mocno zasnurowane wojskowe buty, nogawki spodni miał wpuszczone w cholewki, a broń wystająca z kabury była przymocowana do ciasno zapiętego pasa. Ubierał

się w kombinezony moro, które - jak wydawało się Littowi - za każdym razem, kiedy widział

Gregora, miały inny wzór i krój. Wyglądasz jak roślina doniczkowa - powiedział Litt.

Gregor spojrzał na swój strój.

- Nazywa się Jesienna Puszcza.

- Domyślam się, że to ostatni krzyk mody wśród szefów ochrony?

Gregor zaśmiał się.

- Nie mam pojęcia, ale w lesie jestem praktycznie niewidoczny.

- No i dobrze. - Litt zamknął drzwi.

Jego rodzina nie żyła już od prawie trzydziestu lat. Joe nie doczekał swoich siódmych urodzin, Jessica nawet pierwszych. Swojej słodkiej Rebeki, która przez dwadzieścia lat była jego żoną, nie mógł nawet przytulić, kiedy umierała. Nie miał okazji powiedzieć

„przepraszam”. Kendrick Reynolds mu nie pozwolił.

Teraz każdego dnia żałował, że nie zdecydowali się na dzieci wcześniej. Gdyby od razu po ślubie zaczęli powiększać rodzinę, być może dzieci wyjechałyby już na studia lub podróżowałyby gdzieś ze swoimi przyjaciółmi w czasie, gdy to, nad czym pracował Litt, wydostało się poza obręb laboratorium. Niestety, zwlekali. Litt przedkładał pracę ponad wszystko, tak jak tego oczekiwał od niego Kendrick. Do tego momentu niemal całe jego życie było podporządkowane służbie u Kendricka. Resztę życia Litt poświęcił, żeby go wykończyć, zniszczyć, upokorzyć.

Nacisnął przycisk i pokój wypełnił się czerwoną poświatą, kolorem, który najmniej drażnił mu oczy. Usiadł przy niewielkim biurku, strącił z niego stos papierów i przysunął do siebie konsolę telefonu. Podniósł słuchawkę, wstukał kod, a następnie długi ciąg liczb.

Czekał, słuchając rozmaitych trzasków na linii, kiedy połączenie było przekierowywane przez kilkanaście różnych sieci w tyluż krajach. Wreszcie na drugim jej końcu rozległ się sygnał.

Dzwonił z wydzielonej linii, której nie dało się namierzyć.

Kiedy Kendrick Reynolds odebrał, Litt odezwał się:

- Znów wystrychnąłem cię na dudka.

- Dobry wieczór, Karl - odparł Kendrick lekko i nieśpiesznie. Był już po dziewięćdziesiątce. Niesamowite było to, że w ogóle był w stanie mówić, a co dopiero knuć intrygi. - Twój człowiek zbiegł i dotarł aż do bramy CDC. Robisz się nieostrożny.

- Ale dopadłem go przed tobą. Tylko to się liczy.

- Dobrze, odniosłeś zwycięstwo... tym razem - Kendrick przerwał, a potem dodał: -

Zawsze lubiłeś rywalizację, ale nie umiałeś ani przegrywać, ani wygrywać z klasą. Myślałem, że z tego wyrośniesz, ale tak się nie stało.

- Zawsze troszczyłeś się tylko o siebie. Kiedyś myślałem, że może źle cię oceniłem, ale jednak miałem rację.

Litt przymknął oczy. Nie chciał, żeby znowu zaczęli się obrzucać drobnymi obelgami.

Dlaczego zawsze musieli przez to brnąć?

- A więc pozwoliłem ci uwierzyć, że nie jestem taki zły? Ależ proszę, powiedz, kiedy to było?

Litt zacisnął mocno usta.

- Kiedy. - Wziął głęboki oddech, a potem powoli wypuścił powietrze. Wyobraził

sobie, że jego gniew ulatuje wraz z nim. Zdał sobie sprawę, że rozboleły go palce, bo tak mocno zaciskał je na słuchawce, więc z wysiłkiem je wyprostował. - Kiedy pozwoliłeś mi poślubić Rebekeę. Ale teraz wiem, że tylko mnie tolerowałeś, starałeś się mnie ugłaskać, żebym był uległy.

- Czytałeś za dużo Freuda.

- Nigdy ci na niej nie zależało. Ani na Jessice, ani na Joe. Musiałeś dostać szału, kiedy daliśmy mu imię po moim ojcu, a nie po tobie. Teraz wiem, że tylko czekałeś na okazję, żeby się pozbyć mojej rodziny. I w końcu ci się poszczęściło.

- Karl, nie masz racji. Wiesz, że zawsze kochałem...

- Tak z ciekawości... - przerwał mu Litt, sprowadzając rozmowę na właściwe tory. -

Jak Despesorio, mój zbieg, zwrócił twoją uwagę? Masz na podsłuchu telefony CDC?

Stary człowiek zakaszlał, odwracając usta od telefonu. Był kulturalny jak zawsze.

Potem odezwał się:

- I Wojskowego Instytutu Badań Medycznych do spraw Chorób Zakaźnych, Światowej Organizacji Zdrowia, wszystkich sześciu na świecie laboratoriów czwartego poziomu biobezpieczeństwa. - wszystkich instytucji, gdzie może się pojawić ktoś, kto wie coś o tobie i twojej działalności. To była tylko kwestia czasu, Karl.

- To już trzydzieści lat.

- Świat się kurczy. Możliwości techniczne są coraz większe. Nie możesz się wiecznie ukrywać.

- Zobaczymy.

Cisza.

- Karl, możemy się dogadać.

Litt mocniej przycisnął słuchawkę do twarzy.

- Zanim cię zniszczę, zanim zniweczę wszystko, co uważasz za swój dorobek?

- Zanim zrobisz coś, czego będziesz żałował.

- Żałuję jedynie, że kiedyś ci zaufałem.

- Wiem, że jesteś czegoś bliski, Karl. Rozniosła się wieść, że przestałeś przyjmować zamówienia od bioterrorystów. Na pewno nie dlatego, że wygrałeś na loterii, więc przypuszczam, że twój zespół jest zajęty pracą nad czymś innym, czymś na tyle istotnym, że zrezygnowałeś ze zbierania funduszy. Z tego wnioskuję, że jesteś pewien tego, co robisz, i cokolwiek to jest, jesteś bliski finału. Jeden z twoich naukowców zbiegł. Domyślam się, że zaczęło go gryźć sumienie. To i charakter twojej pracy mówią mi, że planujesz coś wyjątkowo paskudnego. - Westchnął do telefonu, a jego chrapliwe sapnięcie wywróciło Littowi żołądek. - Posłuchaj. Może masz rację, może troszcę się tylko o siebie, może zawsze taki byłem. Ale ty jesteś inny, Karl. Widziałem, że jesteś zdolny do miłości. Czy twoje serce tak bardzo stwardniało?

- Tak - padła zwięzła, zimna sylaba.

- Próbuję ci powiedzieć, że nie musisz robić tego, co zaplanowałeś. Możemy coś wymyślić.

- Ja już coś wymyśliłem, a ty się spóźniłeś.

- Co? - zapytał Kendrick. - Co zrobiłeś?

- Wkrótce się dowiesz.

- Jeśli to prawda, to dlaczego zatrudniłeś zabójców?

Litt zaśmiał się.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że na każdy wyjawiony sekret przypada dziesięć innych, których trzeba pilnować. Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzeba mi spokoju.

- Bo rzuciłeś już karty na stół?

- Można powiedzieć, że czekałem na królewskiego pokera.

- Czy wszystko odzyskałeś?

„Strzela w ciemno” - pomyślał Litt, a potem powiedział:

- Mam o jednego biologa mniej.

- Jeszcze jednego?

- Nie, tego samego. Był dobrym człowiekiem.

- Najwidoczniej dla ciebie za dobrym.

- Żegnaj, Kendrick.

- Karl.

Litt się rozłączył. Kendricka trudno było przejrzeć. Być może zakończył już dzień pracy, a może wciąż szukał, węszył, co jeszcze da się znaleźć, albo miał już chip. Litt raczej nie wierzył w tę ostatnią możliwość. Sądził, że Kendrick by wspomniał, że gra jest skończona, że mimo tych wszystkich bitew, które przegrał, jednak to on wygrał wojnę.

Bardziej prawdopodobne, że będzie nadal polował, być może odnajdzie trop po Despesorio lub coś innego, co po nim zostało. Litt miał nadzieję, że Atropos był tak dobry, jak głosiła fama.

- Wkrótce to nie będzie miało znaczenia - powiedział głośno. - Starcze, niedługo się dowiesz, jak bardzo stwardniało moje serce.

Kendrick się rozłączył. Siedział na wózku, wpatrując się w telefon. Jedną ręką skubał

wełniany koc, który okrywał mu nogi, drugą uniósł do ust. Odgryzł ułamany fragment paznokcia i przyjrzał się swojej dłoni. Bóg mu się przyglądał, więc obrócił wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy. W wyłożonym filcem uchwycie na szklanke, znajdującym się w oparciu fotela, leżała fajka z wyrzeźbioną twarzą Boga. Patrzył teraz z dezaprobatą na wzburzenie Kendricka.

- Wiem - wyszeptał do twarzy - ale to on, nie ja. Jaki mam wybór?

Kendrick po raz pierwszy ujrzał sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej w 1958 roku, kiedy jako sekretarz stanu u Eisenhowera uczestniczył w mszy pogrzebowej Piusa XII. Siła oddziaływania pędzla Michała Anioła oszołomiła go: blask odzienia Ezechiela, dramatyczna egzekucja nikczemnego Hamana, zmartwychwstali święci i torturowani grzesznicy na *Sądzie Ostatecznym* - wszystko to było przedstawione pośród misternych kolumn, łuków i cokołów, które artysta naniósł pędzlem na gładką powierzchnię stropu.

Ale nic tak nie zaparło mu tchu jak oblicze Boga w chwili, gdy stwarzał Adama. W

połączeniu mocnych rysów twarzy z jej łagodnym wyrazem widać było doskonałą równowagę siły i współczucia, wszechmocy i miłości.

Po powrocie do Stanów Kendrick dalej myślał o rozwianej brodzie Boga Michała Anioła, granitowym nosie i czole, wyrazistych oczach. W twarzy Boga odkrył potencjał

człowieka, symbol drogi, którą chciał kroczyć przez resztę swego życia. Zamówił najlepszą morską piankę, jaką można było znaleźć w Eskisehir - było to trzy lata przed tym, jak rząd turecki zakazał eksportu brył sepiolitu - i wysłał ją do najbardziej znanego weneckiego rzeźbiarza. Otrzymał pięciocentymetrową, trójwymiarową rzeźbę z morskiej pianki. Była wierną kopią głowy Boga z Kaplicy Sykstyńskiej - artysta oddał nawet nabrzmiałą żyłę na skroni, wygięcie łuku brwi wskazujące na skupienie, linię brody biegnącą od szczęki zaledwie do płatka ucha. Było to arcydzieło nad arcydziełami.

Była to także fajka z wychodzącym z tyłu wygiętym cybuchem z bursztynu i główką wyrzeźbioną na kształt korony. Sepiolit latami chłonał nikotynę z niezliczonych porcji tytoniu, przez co kolor rzeźby nabierał głębi, podkreślając zmarszczki na twarzy Boga cynamonowym blaskiem. Fajka starzała się z dużo większym wdziękiem niż poorana bruzdami twarz Kendricka.

Kendrick był przekonany, że wyraz wyrzeźbionej twarzy czasami subtelnie się zmieniał i nawet jeśli widział to tylko oczami wyobraźni, wierzył, że w ten sposób kieruje nim Opatrzność. Kiedy miał wątpliwości, w spojrzeniu Boga widział siłę i zachętę; kiedy ogarniał go słuszny gniew, Bóg okazywał swe niezadowolenie z winowajcy. Teraz Bóg mówił: „Zajmij się tym, Kendrick. To dlatego dałem ci tyle siły, tak wielkie możliwości”.

Po dłuższej chwili przywołał gestem ręki mężczyznę w błękitnym mundurze Sił

Powietrznych.

- Sir?

- Próbował się dowiedzieć, czy mamy coś na niego. I twierdzi, że coś rozpoczął.

Wyślijcie jeszcze jedną ekipę. Musimy zlokalizować to, czego on szuka.

Kapitan oddalił się, a jego obcasy stukały o twardą drewnianą podłogę i odbijały się lekkim echem w dużej zabytkowej sali balowej sprzed wojny secesyjnej, którą to salę Kendrick przerobił na swoje centrum dowodzenia. Wychodzenie z domu kosztowało go teraz zbyt dużo energii, na co nie mógł sobie pozwolić. Ale nie mógł też przejść na emeryturę ani umrzeć do czasu, aż doprowadzi do końca ten wątek, który mógł zrujnować wszystko, nad czym pracował, jego kraj, jego imię. Musiał odnaleźć Litta i na zawsze go wyeliminować.

Pomyślał, czy nie wezwać z powrotem kapitana, aby mu przypomnieć, że ostatnia ekipa była niechlujna, nie tak jak ten chirurg, którego znalazł Karl. Byli raczej jak chirurdzy z piłami łańcuchowymi. Doszedł jednak do wniosku, że metoda się nie liczy, ważny jest tylko rezultat. Zgoda, ostatnim razem wynik był do niczego, ale jego tam nie było. Już dawno nauczył się, żeby pozwalać ekspertom robić swoje. Wskazać im cel i usunąć się z drogi.

Czy zginą niewinni cywile? Być może. Miał nadzieję, że nie, ale bardziej zależało mu na tym, żeby powstrzymać Karla.

Unikał kontaktu wzrokowego z Bogiem.

\*

Jeff Hunter - dziwnie często jak na literata - przyłapywał się na myśleniu o liczbach.

Teraz zastanawiał się nad liczbą sześć. Taka była średnia pytań czy sugestii, których musiał

wysłuchiwać co rano po drodze od drzwi wejściowych w budynku dziennika „New York Times” do swojego biurka na trzecim piętrze. Nie tylko zwykłe „Dzień dobry” czy „Niezły był ten wczorajszy

artykuł". Nie, zawsze musiał usłyszeć coś w stylu: „Przyznaj, że ten handlarz narkotyków wcale ci tego nie powiedział" albo: „Słyszałem z pewnego źródła, że ten szczegół akurat przeinaczyłeś" lub (zdecydowanie najlepsze): „Jeff, mam dla ciebie świetną historię!". Średnio sześć razy dziennie. Raz - na drugi dzień po tym, jak otrzymał nominację do Nagrody Pulitzera - dwadzieścia osiem osób miało dla niego frapujące historie, którymi po prostu musiał się zająć. Tylko dwanaście złożyło mu gratulacje.

Dzisiaj pierwsze miejsce przyznał ochroniarzowi przy wejściu:

- Hej, panie Hunter, jeśli chodzi o ten artykuł, który pan napisał o otrzęsinach w college'u... Tak sobie pomyślałem, mój bratanek...

- Czy możemy porozmawiać o tym później, Tom? Trochę się śpieszę.

Nie zwolnił. Byle do windy i nacisnąć przycisk. Janet z działu kadr dołożyła jeszcze swoje:

- Cześć, Jeff. Czy to nowe okulary? - A potem zepsuła wszystko. - Jeśli masz minutkę, to wpadłam na coś, o czym powinieneś napisać. Słyszałeś o EQ, ilorazie inteligencji emocjonalnej? Właśnie zetknęłam się z tym testem.

Tak jakby brakowało mu pomysłów.

Zanim dzisiaj dotarł do swojego boksu, pięć razy ktoś zakłócił mu spokój. Nieźle. A potem sprawdził pocztę w komputerze - nie wliczał jej do statystyki, prowadził dla niej osobny wykaz. Czterdzieści cztery nowe wiadomości, nawet pomimo świetnego blokera i filtrów antyspamowych, które automatycznie usuwały wszystkie e-maile zawierające tak obmierzłe słowa jak „pomysł", „prawnik" oraz „Siedem Słów, Których Nie Wolno Używać w Telewizji" George'a Carlina. Dostawał mnóstwo wiadomości, w których pojawiał się przynajmniej jeden wyraz z tej okropnej siódemki. W każdym razie tak było, dopóki nie zainstalował filtrów.

Jedna żona. Troje dzieci. Dwie hipoteki. Sześciocyfrowa pensja. Liczby... „Może powinienem być zostać księgowym?" - pomyślał.

Tylko że uwielbiał być dziennikarzem śledczym. Korupcja, chciwość, nadużywanie władzy - cóż mogło być lepszego niż demaskowanie nieprawości i ujawnianie winowajców?

Według Huntera, nic.

Zaczął przeglądać maile. Usuń. Usuń. Usuń.

Doszedł do jednego o tytule „Historia stulecia!" - niewielka wariacja na temat

„Historii roku!". Otworzył wiadomość i zdziwił się, kiedy okazało się, że jest pusta. To dopiero historia. Wtedy dostrzegł załącznik, coś o nazwie „Pierwsze\_Uderzenie.xls" - arkusz kalkulacyjny lub, co bardziej prawdopodobne, wirus.

- Nie sądzę - powiedział głośno i wcisnął klawisz „Delete". Przejrzał kilkanaście kolejnych



wiadomości, po czym przypomniał sobie o arkuszu. A co, jeśli to naprawdę jakaś duża sprawa? Pusty e-mail był odchyleniem od normy. Większość ludzi nie umiała przestać, kiedy już zaczęła wystukiwać na klawiaturze swoje wypociny.

Otworzył folder z koszem i dwa razy kliknął „Historię stulecia”. Sprawdził adres nadawcy. Był to znany mu już resender - anonimowy program przekazujący wiadomości.

Tygodniowo otrzymywał co najmniej kilka obrzydliwych anonimów wysyłanych z adresów nie do wyśledzenia, a wszystko dzięki twórcom stron internetowych przeświadczonej o prawie jednostki do ochrony danych osobowych. Z jego doświadczenia wynikało, że anonimowość w Internecie oznaczała kłopoty. Ale Głębokie Gardło też przez trzydzieści lat pozostawał bezimienny - tak wołała większość informatorów. Przyjrzał się ikonie tego załącznika. Jeśli to był wirus, firmowi informatycy sobie z nim poradzą. A kopie plików były robione codziennie, więc w najgorszym razie nie straci wiele. Wybrał plik i otworzył go.

Na monitorze wyświetliła się lista nazwisk i adresów. Przy większości były podane liczby, które wyglądały jak numery ubezpieczenia społecznego. Przewinął listę w dół.

Ciągnęła się w nieskończoność. Nacisnął klawisz, który przeniósł go do ostatniej pozycji.

Dokładnie dziesięć tysięcy.

Przewijając listę z powrotem w górę, rozpoznał niektóre nazwiska - polityków, znanych osobistości, czołowych biznesmenów. Oczywiście, mogli to być tylko przeciętni zjadacze chleba, którzy nazywali się tak samo jak sławni ludzie. Było tam również bardzo wiele nazwisk, które nic mu nie mówiły. Co oni wszyscy mieli ze sobą wspólnego? Dlaczego byli na liście? Dlaczego wysłano mu tę listę i kto to zrobił? Numery ubezpieczenia społecznego zaniepokoiły go. Lista mogła być jedną ze skradzionych baz danych, o jakich słyszało się co tydzień - włamania do systemów firm obsługujących karty kredytowe, szpitali, szkół. Raczej nie historia stulecia.

Był tylko jeden sposób, żeby poskładać tę układankę w całość. Wybrał pierwsze z brzegu nazwisko, otworzył książkę telefoniczną, nałożył słuchawki i pozwolił, żeby komputer wybrał numer.

\*

Elegancki samochód, czarny i nisko zawieszony, pędził ulicami Paryża z oszałamiającą prędkością i ryczącym silnikiem. Wpadł do tunelu i wykonał slalom pomiędzy filarami, przemykając obok wolniejszych pojazdów.

- To tutaj zginęła księżna Diana - powiedział Bobby Waddle.

Jego oczy skakały niczym wskazówki na liczniku Geigera, kiedy oceniał zbliżające się przeszkody i możliwości ich ominięcia. Zaryzykował szybkie otarcie nosa i wytarł rękę w dzinsy. Mocno pociągnął nosem, żeby się więcej nie rozpraszać.

Siedzący obok Cole Martin smarknął.

- Kto?

- Miała zostać królową Anglii. Mama ją lubiła.

Auto Bobby'ego oderwało się od ziemi, wyjeżdżając z tunelu na Pont de l'Alma. Tylne opony ponownie uderzyły o nawierzchnię, a następnie zawirowały, nie znalazłszy oparcia, przez co tył samochodu zarzuciło prosto w bok taksówki. Poleciały iskry, a strzałka szybkościomierza opadła o piętnaście kilometrów na godzinę. Jechał teraz tylko sto czterdzieści.

Zerknął we wsteczne lusterko i nie spodobało mu się to, co tam zobaczył: drugi elegancki sportowy samochód, który szybko go doganiał. Nacisnął przycisk i wypuścił na ulicę gęsty strumień oleju. Jego rywal wpadł w poślizg i uderzył w autobus.

- To nie fair! - wrzasnął Cole.

- Olej to był bonus, który dostałem po ostatniej rundzie - odpowiedział Bobby ze śmiechem.

Zaczął kaszleć i przypomniał sobie, żeby lepiej się nie śmiać.

Cole odrzucił swój kontroler. Na dolnej części podzielonego ekranu telewizora widać było jego samochód w płomieniach. Na ekranie wyświetliły się słowa: „Żeby wznowić grę, wciśnij A”.

- No coś ty. To żadna zabawa grać samemu - powiedział Bobby, nie spuszczając oczu z ekranu. Jego palce poruszały się na kontrolerze z precyzją robota.

- Ty zawsze wygrywasz! - poskarżył się Cole.

Bobby odłożył kontroler na kolana i obrócił się do przyjaciela. Zakaszłał. Czuł ucisk w piersi, bolało go.

- Gram dłużej od ciebie. Chcesz, żebym pozwolił ci wygrać?

- Nie. Ja tylko, Nie wiem. Nie podoba mi się już ta gra.

- Chcesz grać w Halo?

Cole potrząsnął głową.

- W Quake'a?

- Nie.

- To co chcesz robić?

- Może postrzelamy gąbkowymi kulami?

To brzmiało nieźle. Siedzieli przy konsoli już ponad godzinę, a mama i tak nie pozwalała Bobby'emu

grać dłużej.

- Ja strzelam, ty uciekasz - powiedział.

- Zawsze ty strzelasz.

- No dobra, ja uciekam. - Wyłączył telewizor i wrzucił bezprzewodowe kontrolery do szuflady. Kiedy szli w stronę wyjścia do ogrodu, zadzwonił telefon.

Mama Bobby'ego krzyknęła z góry:

- Bobby, czy możesz odebrać, synku?

- Eee! - odkrzyknął, ale znacznie ciszej, niż zamierzał. Nie miał tyle siły w płucach, żeby wypchnąć słowa na zewnątrz. Zdecydował, że łatwiej będzie odebrać telefon, niż się spierać.

- Hallo? - Patrzył, jak Cole wyjął pistolet ze stojącej na tarasie skrzyni na zabawki i sprawdzał, czy są w nim gąbkowe kule.

- Czy mogę prosić Roberta Waddle'a? - usłyszał męski głos.

- A kto mówi?

- Jeff Hunter z „New York Timesa”.

- Mamy już gazetę.

- Nie dzwonię w sprawie prenumeraty. Czy zastałem Roberta Waddle'a?

Cole machnął do niego, żeby się pośpieszył. Odmachał mu.

- To ja, ale nikt nie mówi do mnie Robert, tylko Bobby.

- Mieszkasz w Castle Creek, prawda? W Stanie Nowy Jork?

- To obok Binghamton.

Nastąpiła przerwa.

- Czy twój tata też ma na imię Robert?

- Miał na imię Philip, ale on nie żyje - zaczynało go to złościć.

- Przykro mi. Czy zmarł niedawno?

- Kiedy byłem mały.

- Przepraszam, kiedy co?

- Kiedy byłem mały. Mam katar.

- A ile lat masz teraz?

- Dziesięć. Nie wolno mi rozmawiać z obcymi.

Cole zeskoczył z tarasu i pobiegł w stronę lasu na tyłach posesji. Bobby chciał się bawić przy domu, ale Cole uznał, że skoro Bobby'ego z nim nie było, to on ustanawia zasady.

Kurczę blade.

- To prawda, nie powinieneś. Ale pozwól, że zapytam cię tylko o jedno. Czy przytrafiło ci się ostatnio coś dziwnego?

- Na przykład co?

- No, nie wiem. Wypadek lub może ktoś...

- Bobby, kto dzwoni? - mama wpadła do kuchni i wyciągnęła rękę po słuchawkę.

- Jakiś facet. - oddał jej słuchawkę zadowolony, że ma to już z głowy, po czym pognął do drzwi.

- Hola, hola - powiedziała mama Bobby'ego. Uniosła w górę palec, pokazując mu, żeby zaczekał. - Przepraszam, kto mówi? - słuchała przez trzy sekundy, po czym się rozłączyła.

- Nie mam czasu na akwizytorów. Czy zamiotłeś garaż, jak prosiłam?

- Tak, mamo.

- Grzeczny chłopiec. Chodź tutaj - dotknęła jego czoła. - Wciąż ciepłe. Jak się czujesz?

- Duszno mi. Coś mnie tu uciska - poklepał się po piersi.

- Gorzej niż rano?

- Troszeczkę.

- Czyli dużo gorzej. Nie siedź za długo na dworze i trzymaj się z dala od potoku.

- Aha.

- Czy wolisz zostać w domu?

Potrząsnął głową.

- OK, baw się dobrze - klepnęła go w pupę i Bobby wybiegł na dwór. Nigdzie nie widział Cole'a.

Dzieciak. Jak to powiedziała Alicja w Krainie Czarów? Zdziwniej i zdziwniej. Jeff Hunter dopisał notkę w rubryce obok nazwiska Roberta Waddle'a. Przewiął nieco w dół i wybrał inne.

- Placuszki z homara i Dom Perignon brzmią świetnie - Gretchen Gaither zwróciła się do kobiety siedzącej obok niej na tapczanie. Jej uśmiech nieco przygasł: - Ale przekraczają nasze możliwości finansowe. Kobieta dotknęła ręki Gretchen.

- Na czterdziestą rocznicę? Dlaczego by nie zaszaleć? Pomyślała o tym. Byłoby miło, tylko ten jeden raz. Wiedziała, że Jim na to przystanie. A potem przez kilka tygodni będzie po cichu pracować na dwie zmiany, żeby za to zapłacić. Nie mogła mu tego zrobić.

- Obawiam się, że nie - odrzekła. - Co masz jeszcze?

Kobieta wyglądała na rozczarowaną lub zde gustowaną. Pochyliła się nad sporym tomem jadłospisów i zdjęć leżących na stoliku kawowym, przerzuciła kilka stron, a potem jeszcze kilka kolejnych.

- Bruschetta i Torciano Frangolino? Czternaście dolarów za butelkę.

Gretchen skinęła głową. Jimowi nie spodobałoby się to spotkanie z przedstawicielką firmy cateringowej. Przypomniałoby mu to, że nie wszystko poszło tak, jak sobie wymarzyli.

A jednak zawsze zarabiał na utrzymanie i znalazł sposób, żeby dwójka ich dzieci ukończyła studia. Było trochę łatwiej, kiedy jeszcze pracowała, zastępując nieobecnych nauczycieli. Ale dwa lata temu jej artretyzm tak się posunął, że nie dało się już ignorować cierpienia ani skutecznie zagłuszać go lekami. Skromny już wcześniej budżet stał się jeszcze skromniejszy.

Mówiła mu, że ich rocznica nie wymaga żadnego szczególnego upamiętnienia, że wystarczą im wspomnienia szczęśliwych dni, które spędzili razem. Ale on nalegał:

- Poproś dzieci, żeby przyjechały, zaproś przyjaciół. Zrobimy niewielkie przyjęcie, z cateringiem, bo gość honorowy nie może zajmować się przygotowaniami.

- Ile osób? - spytała kobieta.

- Około trzydziestu, w tym nasze dzieci i ich rodziny.

Przedstawicielka rozejrzała się po niewielkim salonie.

- Czy myślała pani o wynajęciu sali bankietowej? Można to zrobić za niewygórowaną cenę.

- W naszym ogródku odbyło się wiele przyjęć urodzinowych - odrzekła Gretchen, uśmiechając się do własnych wspomnień. - Myślę, że wystarczy i na tę okazję.

Zadzwonił telefon i Gretchen przeprosiła gościa.

Bezprzewodowy telefon znalazła na stole w jadalni.

- Halo?

- Gretchen Gaither?

- Tak?

- Tu Jeff Hunter z „New York Timesa”. Czy ma pani wolną chwilę?

Po rozmowie z panią Gaither Hunter rozłączył się kliknięciem myszki. Emerytowana nauczycielka. Nie miała ostatnio żadnych niezwykłych problemów z instytucjami finansowymi ani w ogóle z nikim. Wydawała się przemiła. Wyczuł, że jego telefon ją przestraszył. Miał nadzieję, że nie zadzwoniła od razu do biura redakcji lub, co gorsza, na policję. Nie był gotów, żeby odpowiadać na pytania, ale nie był też gotów, żeby dać sobie spokój z tą listą.

Andrew Wallenski spojrział na ścianę w łazience dla chłopców i pokiwał głową. Te dzisiejsze dzieciaki. Nie dość, że znały takie słowa już w gimnazjum, to jeszcze wypisywały je sprayem w miejscu publicznym! Żadnego szacunku dla cudzej własności ani dla ludzi, którzy musieli po nich sprzątać ten bałagan. Gdyby to były jego dzieci, okazywałyby szacunek - był tego pewien.

Otworzył puszkę białej farby lateksowej i wlał ją do kubła. Kiedyś próbował

zdrapywać graffiti ze ścian. Farba, którą pomalowana była ściana, odchodziła razem ze sprayem, więc i tak musiał jeszcze raz malować całą ścianę - strata czasu, strata farby. Głupie dzieciaki. Właśnie zasłonił pisuary folią malarską i zaczął zamalowywać wałkiem dużą literę

„S”, kiedy komórka w tylnej kieszeni zaczęła brzęczeć.

Po kilku kolejnych rozmowach Hunter nie miał nic. Rozmawiał z matką w Denver, której malutki synek był na liście; z szesnastolatką z Dallas, która nie chciała rozmawiać, bo właśnie była spóźniona do pracy w barze; z ojcem w Chicago, który chciał wiedzieć, dlaczego obcy człowiek wypytuje o jego siedmioletnią córkę; oraz z dwiema kobietami i trzema mężczyznami, z których żadne nie miało pojęcia, dlaczego znajdują się na liście wysłanej do dziennikarza gazety. Oczywiście, napotkał też niewłaściwe, zastrzeżone i odłączone numery; sygnały zajęcia; nieodebrane połączenia i automatyczne sekretarki.

Ale to nie miało znaczenia. Żaden dziennikarz godzien tego miana nie pozwoliłby, żeby coś takiego przeszkodziło mu w dojściu do sedna sprawy. Problem polegał na tym, że nie był pewien, czy tutaj była jakaś sprawa. Miał tylko tę listę nazwisk.

Zadzwonił do Los Angeles, do reporterki z działu rozrywki swojej gazety, żeby zapytać o znane osobistości na liście, ale nic dla niego nie miała. Najciekawsza wiadomość dotyczyła figurującego na liście Huntera reżysera pracoholika Lwa Darabonta, który po raz pierwszy w swojej karierze nie stawiał się na czytanie scenariusza. Rzecznik prasowy studia ogłosił, że Darabont był wyczerpany i wziął kilka dni wolnego.

Potem Hunter dodzwonił się do jednego senatora w jego biurze w Waszyngtonie. I tutaj nie było żadnych nowin, poza tym, że senator był wściekły z powodu odrzucenia niewielką większością

głosów reformy ustawy o deliktach, której był współtwórcą. Przez trzy minuty ciskał gromy, a potem przeprosił, mówiąc, że nie spał za wiele poprzedniej nocy.

- Walczę z katarem - wyjaśnił. - Rozłożył mnie i chyba chce przerodzić się w grypę.

To była kolejna rzecz, którą odkrył Hunter. Wśród ludzi na liście był spory odsetek osób z przeziębieniem. Hunter nie wiedział, kiedy zaczyna się sezon infekcji, i zaczął się zastanawiać, czy w różnych częściach kraju pojawia się o różnym czasie. Zanotował sobie, żeby to sprawdzić.

Rozmawiając z nimi samymi lub o nich, dotarł do pięciorga dzieciaków i dwunastu dorosłych, dziewięciu mężczyzn i ośmiu kobiet, sześciu znanych ludzi i dwunastu przeciętnych zjadaczy chleba. Rozrzuceni po kraju. Ni w pięć, ni w dziewięć. Żadna historia.

Przy jego biurku pojawił się początkujący reporter. Chłopak pomagał mu zbierać informacje w sprawie funkcjonariuszy straży ochrony kolei, którzy zabawiali się biciem włóczągów w tunelach metra. Był podekscytowany wywiadami, które przeprowadził, i chciał, żeby Hunter posłuchał nagrań na MP3. Hunter ostatni raz rzucił okiem na tajemniczą listę nazwisk. Zamknął dokument. Jeszcze jedna historia odłożona na półkę do czasu, aż coś się wydarzy. Miał jeszcze osiemnaście innych do niej podobnych.

\*

Julia Matheson zameldowała się w śródmiejskim motelu pod nazwiskiem swojej zameżnej siostry i zapłaciła gotówką. Było to takie miejsce, gdzie nie prosili o dowód ani o prestiżową kartę kredytową i nikogo nie obchodziło, kim jesteś ani co robisz w swoim pokoju, jeśli tylko nie demolowałaś wyposażenia i płaciłeś z góry. Poprosiła o pokój wychodzący na tył budynku, poza zasięgiem wzroku ludzi przechadzających się po bulwarze.

Pokój był wyłożony zmywalną wykładziną, przy łóżku stał przytwierdzony do ściany poobijany stolik z laminatu, łóżko było przykryte wytartą narzutą, a na drzwiach wisiała kartka z odręcznie napisanym żądaniem „Nie gotować w pokoju”. Powietrze było przesiąknięte zapachem hamburgerów.

Julia rzuciła na łóżko torebkę, laptop oraz wielką reklamówkę z hipermarketu, w której były ubrania na zmianę, torba podręczna i różne drobiazgi. Podeszła do okna, otworzyła je, po czym opadła na łóżko obok leżących tam rzeczy. Większość dźwiękochłonnej farby odpadła z sufitu, łuszcząc się pewnie po kawałku to tu, to tam przez ostatnie trzydzieści lat. W jednym kącie pokoju widniał duży wyschnięty zaciek z brązową otoczką.

Próbowała zidentyfikować pozostałe plamy: keczup, kawa, rozgnieciony owad.

Westchnęła i zamknęła oczy.

Co tutaj robiła? Powinna była wrócić do swojego dwupoziomowego mieszkania w Atlancie, pozmywać naczynia, pomóc mamie się wykapać. Musiała do niej zadzwonić.

Nawet nie dlatego, że przez stwardnienie rozsiane mama była zupełnie niezaradna, ale przede

wszystkim dlatego, że będzie się martwić. Julia rzadko wracała późno do domu, a kiedy tak się zdarzało, zawsze wcześniej dzwoniła. Ale teraz nie wiedziała nawet, co powiedzieć. Nie mogła powiedzieć nic, co mogłoby sprawić, że ktoś, kto założył podsłuch w jej telefonie, zacząłby obserwować jej dom, próbował się na nią zacząć, ani nic, co mogłoby zdradzić miejsce jej pobytu.

Co też przyszło jej do głowy: podsłuch w jej telefonie!

Jednak w zaistniałej sytuacji było to zupełnie realne. Ktoś z dużymi możliwościami wywiadowczymi i mający do dyspozycji bardzo zaawansowaną technologię zaatakował ich i zabił Goody'ego oraz Vero. Ten ktoś przechwycił sygnał z satelity, co jeszcze dzisiaj rano uznaliby za niemożliwe. Do tego Goody rozpoznał jednego z napastników jako tajniaka. Co to oznaczało? Czy w zabójstwo była wmieszana jakaś agencja rządowa? Jej skorumpowany dyrektor? A może tamten facet działał jako wolny strzelec?

Czy teraz, kiedy Vero nie żył, było już po wszystkim? Nie wiedziała, ale przypomniła sobie coś, co Goody powiedział w trakcie śledztwa w sprawie seryjnego zabójcy: „Nie ma końca złu”.

Zastanawiała się, czy Jodi Donnelley wiedziała o śmierci męża. Prawdopodobnie Edward Molland, dyrektor operacji wewnętrznych Wydziału Egzekwowania Prawa, już ją powiadomił. Julia chciała tam być, przytulić ją, pocieszyć chłopców. Jednocześnie wołałaby, żeby nie było powodu pocieszać rodzinę Donnelleya. Otworzyła oczy i zmusiła się, żeby przestać myśleć o tym, co by wołała. To za bardzo bolało. Musiała trzeźwo rozważyć problem.

Usiadła prosto, ale zaraz znowu oparła się o ścianę, podkładając pod krzyż rozłazącą się poduszkę z gąbki. Podciągnęła w górę kolana i objęła nogi rękami. Zdawało się jej, że serce ma w gardle.

Dobra. Goody zadzwonił tuż po szóstej. Despesorio Vero pojawił się w CDC. Co to za nazwisko? Z jakim akcentem mówił? Meksykańskim? Czy był w Stanach przejazdem, czy tutaj mieszkał? Dlaczego chciał się widzieć z Markiem Sweeneyem? Narodowe Centrum Chorób Zakaźnych. Narodowe Centrum Chorób Zakaźnych.

Czuła ucisk w oczach. Chciało jej się płakać... i jednocześnie nie chciało.

Jakich jest pięć stadiów rozpacz? Czy może jest ich sześć? Zaprzeczenie... złość...

depresja.

Nie, targowanie się, a potem depresja.

Och! Goody pojechał do hotelu Excelsior. „Tropiciel” działał, podobnie jak mikrofon osobisty Goody'ego. Pojawiły się zakłócenia, być może wywołane przez prąd zmienny w hotelu. Goody zamówił sok pomarańczowy, a potem wszedł Vero i zapytał, czy Goody to Sweeney.

Górnymi zębami natrafiła na wypukłość w dolnej wardze - strup pozostały po tym, jak wcześniej ją przygryzła. Zaciśnęła zęby, wczuwając się w ból, pozwalając mu przyćmić rozpacz. Poczowała smak krwi.



Goody powiedział, że Vero nie wygląda najlepiej. Wtedy...

Przypomniała sobie strzelaninę, jak głośno było ją słyszeć przez słuchawkę. Goody coś krzyknął. W tle wrzeszczeli ludzie.

Uroniła łzę i zamknęła oczy. Mocniej zagryzła wargę, przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło i powstrzymała powódź pod powiekami.

Gdyby Julia oderwała się od swoich myśli, wyszła na dwór i popatrzyła na północ, zobaczyłaby w oddali zarys wzgórz Missionary Ridge. Wieczorem o tej porze łatwo było je dostrzec dzięki światłom promieniującym z położonych tam dużych domów. Mogłaby nawet dojrzeć, gdyby ktoś jej je wskazał, połyskujące tuż pod samym szczytem światło w gabinecie adresata ostatnich słów Goody'ego.

\*

Doktor Allen Parker siedział przy biurku, w kominku obok buzował ogień, a przez głośniki podwieszane przy suficie sączyło się Requiem Mozarta. Doktor był rozdarty pomiędzy dwoma stosami książek i papierów. Jeden zawierał wszystko, co było mu potrzebne, żeby skończyć artykuł na temat zalet częściowej wentylacji płynowej u pacjentów z ostrą niewydolnością oddechową, który pisał do tygodnika wydawanego przez Amerykańskie Towarzystwo Medyczne. Był z nim już trzy dni spóźniony.

Drugi stos ciekawił go bardziej. Zdjął książkę z wierzchu sterty - *Wirologia w terenie*.

- Dobrze, panie Donnelley - powiedział na głos. - Zaciekawiał mnie pan. Zobaczmy teraz, czy rozumiał pan to, o czym mówił.

Otworzył książkę na spisie treści, przesunął palcem po tytułach rozdziałów i znalazł

rozdział trzydziesty dziewiąty. Pojedyncze słowo dużym drukiem na środku strony głosiło: Filoviridae. Kiedy przystąpił do czytania, słowa i zwroty zaczęły przenikać jego myśli -

„gorączka krwotoczna, wybuch epidemii, gwałtowny postęp, śmierć, brak znanej szczepionki”. Czuł narastający z tyłu za oczami ból głowy, ale czytał dalej. „Epidemia.

Czwarty poziom biobezpieczeństwa. Patogen ludzki. Śmiertelność”.

Od czasu do czasu podnosił wzrok nad książki czy artykułu, żeby znaleźć jakiś zwrot w komputerowej wyszukiwarce. Jedno pytanie prowadziło do drugiego i dopiero po upływie dwudziestu minut powrócił do książki, od której zaczął.

Kilka razy zapalił papierosa i natychmiast o nim zapomniał. Potem znajdował w popielnicze tylko niedopałek filtra z delikatnym wałeczkiem popiołu i musiał zapalić kolejnego. W swoim gabinecie kopał, jakby to była najlepsza rzecz na świecie. W Erlanger był całkowity zakaz palenia, więc jeśli miał ochotę na papierosa, musiał wychodzić na zewnątrz wraz z innymi upartymi, którzy nie chcieli rzucić nałogu.

Odczuwał to jako szykanowanie i dyskryminację. Najczęściej, kiedy ludzie widzieli go w holu wychodzącego z papierosem i zapalniczką, mówili: „To lekarze palą? To przecież tak jak policjanci popełniający przestępstwo”. Odpowiadał: „Ten jeden pali”.

Lubił myśleć, że nie dba o to, co myślą ludzie, ale tak nie było. Miał trzydzieści sześć lat, a już był jednym z najlepszych chirurgów klatki piersiowej w kraju dzięki temu, że przebieg prowadzonych przez niego operacji był niemal bez zarzutu. Na tę opinię miał też wpływ fakt, że opracowana przez niego metoda leczenia uratowała życie senatorowi.

Magazyn „Time” wymienił jego nazwisko jako jednego z „dziesięciu najlepszych lekarzy”, potem pojawiły się kolejne artykuły w prasie informacyjnej oraz w publikacjach medycznych i finansowych. Nawet jego dom został przedstawiony w czasopiśmie „Przegląd Architektoniczny” i „Życie na Południu”. Wkrótce producenci filmowi i telewizyjni zaczęli oferować mu bająnskie sumy w zamian za konsultacje przy produkcjach związanych z tematyką medyczną. Był jednym z niewielu praktykujących chirurgów, którzy mieli agenta w Hollywood, czym chwalił się zawsze, kiedy tylko nadarzała się po temu okazja.

Parker odsunął krzesło i wstał. Zegar na kominku wskazywał, że było tuż po dziewiątej - przez ponad dwie godziny zajmował się zbieraniem informacji. Reszta domu była pogrążona w ciemności, z wyjątkiem światła nad kuchenką, które rozlewało się po holu i rozjaśniało nieco mrok przed drzwiami do gabinetu. To mu przypomniało, że wrzucił do mikrofalówki gotowe danie obiadowe z indykiem i całkiem o nim zapomniał. Wziął z biurka prawie pustą już paczkę cameli, wytrząsnął jednego i zapalił go z wprawą długoletniego palacza. Przytrzymał przez chwilę w płucach kojący dym, a potem wypuścił go w kłębach do góry. Następnie usiadł z powrotem, przysunął bliżej monitor komputera i otworzył bazę danych medycznych.

Zapowiadała się długa noc.

\*

Wreszcie jakieś dobre wiadomości. Z Littem skontaktował się właśnie jeden z jego

„celów kontrolnych” - ludzi na liście nazywanej przez niego Pierwszą Falą, którym zapłacił, żeby go informowali. Zadzwonił woźny ze szkoły w Chicago, że odebrał telefon od reportera z „New York Timesa”. Reporter chciał wiedzieć, dlaczego nazwisko woźnego było na liście, którą mu przysłano.

Litt wiedział, że było jeszcze za wcześnie, żeby dziennikarz wyciągnął konkretne wnioski na temat listy. Ale albo za jakiś czas wykona kolejną serię telefonów i zrozumie, że wszyscy z listy zaczynają chorować, i to poważnie, albo w końcu zda sobie sprawę, że istnieje związek pomiędzy listą a napływającymi z całego kraju informacjami o zwiększającej się liczbie zachorowań. Wówczas szybko się zorientuje, że ktoś wiedział wcześniej, którzy ludzie mieli zachorować.

I wtedy Litt wkroczy na światową scenę.

Teraz mógł tylko czekać. Był jednak niespokojny, a przez lata jego jedynym sposobem na relaks była praca w laboratorium. Wyszedł więc z pokoju i tam się skierował, by znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Szedł sztywno - czuł suchość w stawach, czuł, jak kość trze o kość. W dodatku skóra swędziała go na całym ciele - bardziej niż zwykle. To było pokłosie rozmowy z Kendrickiem.

Przywołała bolesne wspomnienia, które odebrały mu zdolność radzenia sobie z tym, co było tu i teraz.

Kendrick Reynolds. Żałował, że go w ogóle spotkał, nawet jeśli musiałby zginąć wtedy w doku wraz ze swoim ojcem. Wycofał się z tego. Wtedy jeszcze nie znał Rebeki, a tylko dzięki niej wszystko inne stało się do wytrzymania. Była morfiną w całej tej nieznośnej egzystencji.

Uśmiechnął się i poczuł, jak pęka mu warga. Raczej nie znalazłby tej linijki w piosence o miłości, ale to była prawda. I prawdą było to, że zniknęła z jego życia, pozostawiając po sobie tylko ból.

Jego ojciec spodziewał się po nim czegoś więcej. A potem Rzesza upadła, a wraz z nią odszedł jego ojciec. Que sera, pomyślał gorzko.

Jarzeniówka nad głową warczała i szumiała. Powlókł się jeszcze kawałek, doszedł do ławki i usiadł. Dzisiaj był zmęczony. Dobry dzień, żeby się nie ruszać z łóżka. Gdyby tylko mógł sobie na to pozwolić. Zamknął oczy i zaczął wspominać.

1945

Dziesięcioletniemu Karlowi Littowi strasznie chciało się spać. Mięśnie i ścięgna pulsowały mu od zmęczenia, a oczy były jak żarzące się węgle wciśnięte w głowę. Mimo to siłą woli zmusił się, żeby stać prosto. Powstrzymał przemożne pragnienie, żeby zapatrzeć się w kojące migotanie gwiazd i pasma mgły snującej się nad czarnymi wodami portu - gdyby się poddał, z pewnością by go to uspiło, a na to nie mógł sobie pozwolić.

Utkwił wzrok w U-Boocie zacumowanym przy zniszczonym moło. Blizny po zaciętych bojach pogięły i zeszpeciły jego metalową skórę. W niezliczonych starciach zostały zdarte wielkie płyty szarej farby. Okręt wyglądał, jakby miał zaraz zatonać, a nie wyruszyć w najważniejszą misję tej wojny.

U-Boot uniósł się na fali prądu oceanicznego. Cienie przesunęły się po kadłubie i można było odnieść wrażenie, że łódź na całej swej długości składa się z giętkich, wytrzymałych mięśni zamkniętych w hermetycznym ciele. W rzeczywistości był to jeden z ostatnich dziesięciu U-Bootów, które dopłynęły tak daleko. Posłał na dno setki statków alianckich.

Jednak przed tą podróżą wyrwano mu kły - kapitan pozbył się torped, żeby zmieścić więcej cennego ładunku: złota, sprzętu naukowego i aryjskiej krwi.

Kiedy zaczęła się wojna, numery identyfikacyjne niemieckich okrętów podwodnych zastąpiły symbole obrazkowe, co miało utrudnić wrogom rozpoznanie U-Bootwaffe Fürera.

Znak na tej łodzi - uśmiechnięty diabeł - łypał jaskrawą bielą oczu ze swego stanowiska na częściowo zgniecionym kiosku. Karl odpowiedział mu śmiałym spojrzeniem, wyzywając morskiego czarta, żeby mrugnął pierwszy.

Na tle kiosku pojawił się cień robotnika, zasłaniając twarz diabła. Karl patrzył, jak mężczyzna człapie w górę po trapie, trzymając w ramionach coś, co wyglądało na wyjątkowo ciężką skrzynkę. Z twarzą czerwoną od wysiłku dowlókł się do otwartego luku, z łomotem postawił skrzynkę na pokładzie i zsunął ją w ramiona kogoś innego, kto miał załadować ją do brzucha metalowej bestii.

Karl przyglądał się, jak mężczyzna wlecze się z powrotem, spękanymi dłońmi masując sobie krzyż. Kiedy doszedł do trapu, Karl znowu przesunął wzrok na kiosk okrętu.

Przestał śledzić wahadłowe ruchy robotnika z nabrzeża na pokład i z powrotem - ostre światło nieosłoniętych żarówek przy stosie skrzynek raniło mu oczy.

Przyjrzał się dokowi. Tych kilku ojców, którzy tu dotarli, stało z dala od siebie, przyglądając się z otępieniem robotnikom. Karl miał ten przywilej, że był świadkiem owego historycznego wydarzenia aż do końca. Był to przywilej współmierny do przytłaczającej odpowiedzialności, jaką był obarczony - odpowiedzialności za ich przetrwanie, za przetrwanie Rzeszy. Tak jak skrzypiący okręt wojenny przed nim, Karl wydawał się zbyt wątki, aby udźwignąć to zadanie. Ale tylko synowie i córki czołowych naukowców Rzeszy byli w stanie kontynuować teraz walkę - zostali przygotowani i byli gotowi.

Z roztargnieniem pogładził swoją brudną marynarkę.

Ojciec stał obok niego sztywno na baczność i po raz enty zaczął szarpać przód swojej marynarki. Próbował wygładzić zagniecenia, które obfity pot, krew i brud usztywniły tak, że nie można było ich już rozprostować. Wypchane kolana, poprute szwy i wygnieciony kapelusz nie pasowały do dumnej postawy mężczyzny. Tylko jego chluba - Ritterkreuz, Krzyż Rycerski Krzyża Żelaznego, który miał zawieszony na szyi, błyszczał w świetle lamp.

Josef Litt był człowiekiem niezwykle wytwornym. Gdyby nie triumfalna świadomość, że dzieło jego życia będzie kontynuowane przez syna, ta upokarzająca sytuacja byłaby dla niego nie do zniesienia. Nosił mundur i tytuł SS-Oberstgruppenführera, co oznaczało wysoką rangę wojskową odzwierciedlającą jego pozycję, ale z pewnością nie obowiązki.

Chociaż zabijał, nie był żołnierzem. W laboratorium pokazywał, jak mięśniak mógł

się przeistoczyć w żałosnego chuderlaka. Jego eksperymenty zwróciły uwagę Naczelnego Dowódcy. W niedługim czasie stał się szefem ściśle tajnego laboratorium badawczego i otrzymał stopień wojskowy oraz oddział SS do swojej dyspozycji.

Karl był dumny z tego, że tyle wiedział o ojcu, który był skądinąd człowiekiem pełnym rezerwy. Chłopiec obrócił się, żeby obejrzeć dobrze sobie znany, surowy profil człowieka, który powierzał mu teraz aryjski sen.

Odgłos zbliżających się kroków sprawił, że zwrócił uwagę na nabrzeże. Jeden z żołnierzy SS odszedł od pozostałych czterech. Trzy romby na kołnierzyku świadczyły, że był

oficerem. Szary mundur był brudny i wyglądał niechlujnie, ale przy ubraniu Karla prezentował się

niczym strój arystokraty.

Żołnierz stanął tuż przy ojcu Karla. Odwrócił głowę tak, by chłopiec go nie słyszał, nachylił się bliżej Josefa Litta i wyszeptał mu coś do ucha.

Ten bez wahania skinął głową.

Żołnierz rzucił znowu okiem na robotników. Po skończonej pracy rozmawiali cicho i czekali na wypłatę, żeby móc wreszcie pójść do domu i napełnić żołądki swoim rodzinom.

Oficer zdjął z ramienia zawieszony na pasku pistolet maszynowy Schmeisser.

Tak ułożył broń, że tylko chłopiec i jego ojciec widzieli, jak szarpie za zamek i wprowadza nabój do komory. Rzucił okiem w stronę Karla. To spojrzenie zdziwiło chłopca -

na twarzy mężczyzny malowało się zwątpienie, a nawet smutek. Potem żołnierz się odwrócił, zostawiając Karla z jego zdziwieniem. Chowając za sobą broń, oficer pomaszerował w stronę robotników.

Karl poczuł na głowie dłoń ojca. Głos starszego z Littów był zimny niczym topór kata.

Sei fleissig, mein Sohn. Bądź pilny, mój synu.

Trudna lekcja zaczęła się sześć dni wcześniej, kiedy ojciec obudził go po północy.

- Już czas, Karl - powiedział zdyszczanym głosem.

- Jestem gotów, ojcze.

W anemicznym świetle holu odbyło się łzawe pożegnanie z matką Karla. Włosy miała na wałkach i nosiła cienką beżową koszulę nocną, którą było trochę czuć potem. Na zmianę to przytulała syna z całej siły, to całowała jego twarz, to mówiła, jak bardzo go kocha.

Karl stał ze stoickim spokojem, ta błazenada go zawstydzila. Matka wiedziała przecież od ponad pół roku, że ten dzień nadejdzie. Karl wyrwał się z jej ramion i przeszedł przez drzwi, nie oglądając się za siebie.

Jeżdżąc po zasypanych gruzem ulicach Berlina, zabrali do auta jeszcze troje innych dzieci - dwóch chłopców, z których jeden nie przestawał płakać, oraz wesołą dziewczynkę, która oznajmiła, że ma pięć lat. Jechali wolno pod prąd rosnącej fali uciekinierów zmierzających w stronę Berlina.

Dwie godziny później stracili auto - odebrało im je trzech niemieckich oficerów, którzy postanowili uciec zarówno przed rozpędzoną aliancką machiną wojenną, jak i przed coraz bardziej niezrównoważonym Führerem. Potem pamiętał tylko, że wlekli się przez jakieś pola, bagna i gęste lasy.

Na myśl o tym, że okręt może odpłynąć bez nich, ojca ogarniała niemalże szaleńcza panika. Spali

godzinę tutaj, dwie tam. Przeszukiwali sterty śmieci i ubrania rozkładających się trupów w poszukiwaniu resztek jedzenia. Josef obawiał się wszystkich napotkanych pieszych, a jeszcze bardziej bał się zmotoryzowanych. Co jakiś czas nakazywał dzieciom padać na ziemię i leżeć płasko do czasu, kiedy da im znak.

Raz Josef kazał wszystkim zaczekać, a sam pośpieszył w stronę gospodarstwa. Karl pomyślał, że ojciec wygląda jak ranny zwierz zdążający do nory w blasku nienawistnego księżyca. Powrócił pół godziny później z dwoma bochenkami chleba oraz z niewielkim workiem marchewek i ziemniaków. Chleb był pochlapany ciemnym, cuchnącym miedzią płynem - w nocy nie dało się określić, co to było. Wszyscy jedli bez narzekania.

Jakiś czas później zza kamiennego muru wyskoczył grubas w łachmanach. Rzucił się na dzieci, żądając jedzenia. Josef doskoczył do niego i przewrócił go w błoto. W ułamku sekundy znalazł się na brzuchu grubasa. Wydobył wielki nóż i przycisnął ostrze do nabrzmiałej szyi mężczyzny. Karl widział, jak ojcu napinają się mięśnie szczęki oraz przedramion i dostrzegł błysk jego obnażonych zębów - ranny zwierz w pułapce.

- Nie igraj ze mną - odezwał się Josef. - Nie przeżyjesz, żeby o tym opowiedzieć.

Żaden z nich się nie ruszał przez dłuższą chwilę, po czym ojciec odepchnął mężczyznę i poszedł dalej. Po prostu poszedł.

Powalony mężczyzna wciągnął powietrze. Z ranki, która przypominała Karlowi małe, uśmiechnięte usta wyryte na szyi, lała się krew. Ale człowiek podniósł się i pokuśtykał w przeciwnym kierunku.

Do Roztoki nad Bałtykiem dowlekli się późnym popołudniem następnego dnia. Po trzech latach bombardowań przez RAF miasto było rozpadającą się ruiną. Obłoczki kurzu tańczyły niczym duchy na pustych ulicach. Na zaciemnionych oknach zatrzęsnięto okiennice.

Nawet jeśli Brytyjczykom nie udało się doszczętnie zniszczyć tego miejsca, to udało im się pozbawić ducha zamieszkujących je ludzi.

Okружиł zrujnowany budynek z cegły i dotarli do portu - U-Boot nie było. Mętna woda była gładka i niewzruszona. Osmolone podpory potrzaskanych doków wystawały z wody niby zepsute zęby. Tylko najbliższy dok jakoś przetrwał, ogromne przesuwane drzwi jego magazynu były nietknięte i zamknięte na głucho.

Karl obrócił się do ojca, który nie wyglądał na załamanego, jak chłopiec się spodziewał, lecz na zmartwionego. Josef uniósł rękę do Karla w geście mówiącym: „Nie panikuj” i poszedł dalej, zapomniawszy opuścić rękę.

Kiedy podeszli bliżej, jedne z drzwi do magazynu otworzyły się ze skrzypnięciem i ze środka wyszli żołnierze SS. Ich dowódca wyjaśnił, że U-Boot czeka około pięćdziesięciu kilometrów od brzegu. Nastrój Josefa wyraźnie się poprawił, ojciec się roześmiał.

- Wezwijcie go - powiedział.

Karl poczłapał do wybebeszonego magazynu. Banda znudzonych, zmęczonych i obszarpanych dzieci, z których większość nawet nie zbliżała się jeszcze do wieku dojrzwania, rozpełzła się po stertach skrzyń. Później odkrył, że łącznie z nim było ich trzydzieścioro pięcioro. Pośród nich kręciło się kilku nieogolonych, nieumytych, żałośnie wyglądających mężczyzn. Byli to naukowcy i opiekunowie, o których wspominał mu ojciec.

Wczesnym popołudniem padał deszcz i teraz woda skapywała z odsłoniętych krokwi, wystukując na skrzyńkach i betonowej podłodze lekką melodię.

Karl dostrzegł chłopca mniej więcej swojego wzrostu, siedzącego na niewielkiej stercie palet i pokuśtykał do niego. Kilka dni temu w zdradzieckim wąwozie zgubił but i teraz jedną stopę miał tylko obwiązaną grubym gałganem.

- Jak się nazywasz? - zapytał Karl.

- Gregor - głos chłopca był słaby, jakby samo wymówienie imienia było ponad jego siły.

Twarz miał brudną i podrapaną. Karl wiedział, że on wygląda tak samo.

- Twoje buty, daj mi je.

Gregor przyjrzał mu się od stóp do głów.

- Nie.

Karl zareagował błyskawicznie. Jedną ręką chwycił Gregora za szyję, a drugą złapał go za uniesioną w obronie rękę. Ustami dotknął ucha chłopca.

- Nie igraj ze mną - wyszeptał ostro. - Nie przeżyjesz, żeby o tym opowiedzieć.

Cofnął się o krok i uśmiechnął niegodziwie na widok zaskoczonej miny Gregora.

Gregor pochylił głowę i rozwiązał buty.

Sześć godzin później Karl patrzył, jak oficer SS z ukrytym za plecami pistoletem maszynowym nieznacznymi gestami rąk ustawiał swoich żołnierzy w półkolistym szyku wokół robotników portowych. Żołnierze spoglądali na oficera, czekając na sygnał, tak jak orkiestra przygląda się dyrygentowi. W momencie, gdy jeden z robotników rzucił w bok papierosa i podejrzliwie odwrócił głowę, dowódca dał znak. Przerzucił broń do przodu i zaczął strzelać.

Kiedy włączyli się pozostali żołnierze, rozległ się dźwięk, jakby pękło całe niebo.

W kilka sekund było już po wszystkim. Kłęby dymu ulatywały w noc niczym dusze, znikając, kiedy chwytał je wiatr i unosił z dala od światła.

Po chwili chłopiec poczuł, że ojciec dłonią popycha go w stronę U-Bootu. Na trapie obrócili się do siebie. Karlowi przemknęły przez głowę różne rzeczy, które mógłby zrobić i powiedzieć, ale w końcu po prostu wyciągnął rękę do uścisku. Zamiast chwycić rękę Karla, ojciec wyrzucił ramię do przodu na wysokość głowy i cicho powiedział:

- Heil Hitler!

Karl wyprostował się i odpowiedział takim samym gestem, ich oczy się spotkały i chłopiec wyszeptał:

- Heil, ojczu.

Z napięciem wpatrywał się w jego mocne rysy. Josef uśmiechnął się miękko i opuścił

rękę. Wskazał głową na okręt podwodny i Karl wszedł na pokład.

Z mostka na szczycie kiosku patrzył, jak nabrzeże kurczy się w oddali. Już się odwrócił i miał zejść do środka, kiedy zaskoczył go ostry trzask pistoletu. Gdy doskoczył z powrotem do barierki, zobaczył wszystkich ludzi, którzy zostali: ojca, żołnierzy i opiekujących się dziećmi naukowców. Zgromadzili się w doku z twarzami zwróconymi w dół, spoglądając na leżące na ziemi ciało. Jeden z nich pochylił się i coś podniósł.

Przystawił to sobie do głowy, rozległ się strzał i człowiek upadł. Kolejny mężczyzna wystąpił, podniósł broń i powtórzył cały proces.

Karl zobaczył, jak jego ojciec schyla się, powstaje i wkłada lufę do ust. Wyglądało, że ręka mu się trzęsie, ale z takiej odległości Karl nie mógł być tego pewien. Ojciec zwrócony był w stronę portu i zdawało się, że patrzy na łódź podwodną.

„Czy mnie widzi?” - pomyślał Karl.

Przez chwilę chłopiec zapomniał, kim powinien być. Uleciały mu z głowy wyczerpujące dla niego lekcje, które musiał wytrzymywać od czasu, kiedy skończył trzy lata: co oznacza przynależność do rasy panów, być synem Josefa Litta, być naukowcem ze specjalistyczną wiedzą o działaniu natury. Nic się teraz nie liczyło. Chciał tylko, żeby ojciec dał znak, że go widzi.

Josef wyszarpnął pistolet z ust i zapatrzył się w odpływający w dal okręt. Wydawało się, że lekko opadły mu ramiona.

„Widzi mnie! Widzi mnie!”

Karl już miał podnieść ramię i zawołać, kiedy U-Boot wychodzący z portu szerokim łukiem minął nagle cypel i dok zniknął. Pięć sekund później rozległ się strzał.

Karl długo stał na mostku, a morską pianą chłostała go po twarzy, gryząc w oczy.

Wreszcie wszedł do wnętrza łodzi.



Kiedy kapitan powiedział mu, że płyną do Bahia Blanca, Karl wyobraził sobie, że wyłonią się w jasnym argentyńskim słońcu. Ale gdy schodzili z okrętu czterdzieści pięć dni później, była kolejna bezksiężycowa noc. Żołnierze w zielonych mundurach eskortowali ich w stronę czekającego autobusu. Dzieci przechodziły rządkiem obok wysokiego mężczyzny o młodej, ale poważnej twarzy.

- Zaczekajcie! - powiedział mężczyzna po niemiecku. Na ustach miał niepewny uśmiech.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na U-Boot, na załogę wyładowującą skrzynie nieużytych zapasów pod nadzorem uzbrojonych żołnierzy. Odezwał się do dzieci:

- Gdzie są dorośli?

- Gdzie są naukowcy? - mówił po niemiecku z silnym akcentem.

Karl wystąpił do przodu.

- To my jesteśmy naukowcami.

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej, po czym spowaźniał.

- Czy Herr Reynolds?

- To ja.

Chłopiec wyjął zza koszuli kopertę i wyciągnął ją w stronę mężczyzny.

- Mój ojciec prosił, żeby to panu oddać.

Reynolds otworzył kopertę i przeczytał list, który był w środku, często zerkając na małe twarzązki przed sobą. Opuścił list i zamknął oczy. Kiedy znów je otworzył, widać było, że podjął jakąś decyzję.

- A więc dobrze - powiedział napiętym głosem. - Witam wszystkich! - westchnął i wskazał na autobus. - Proszę.

Autobus zabrał ich na lotnisko, a samolot do Ameryki.

Kendrick Reynolds znalazł w końcu rodziny dla wszystkich dzieci. Karla adoptował, chociaż ten odmówił przyjęcia jego nazwiska. I aczkolwiek chłopiec trochę przesadził, kiedy powiedział w porcie, że to właśnie oni są naukowcami, to jednak większość z nich była naprawdę niezwykle utalentowana i miała podstawy wiedzy naukowej godne doktorantów.

Bazując na tym, Reynolds stworzył program, który uczynił go wpływowym i bogatym, a Karl go pokochał.

Ale potem został zdradzony.

\*

Płomień od czasu do czasu rozbłyskiwał i migotał, kiedy znajdował jakąś resztkę nietkniętego drewna, ale właściwie już tylko tlił się resztkami sił, dogasając. Mimo to kamienne palenisko trzymało ciepło i promieniowało nim na pokój. Allen Parker powrócił do świata i zdał sobie sprawę, że jest gorąco. Wykończony, odsunął się od biurka. Dowiedział się więcej, niż pragnął, o tym, co Donnelley przekazał mu na łożu śmierci. Kwas palił mu żołądek.

Wyłączył komputer i płytę Mozarta, po czym opuścił pokój, gasząc po drodze wszystkie lampy.

Wszedł do kuchni, żeby wyłączyć światło nad kuchenką i znowu przypomniał sobie o indyku, którego zostawił w mikrofalówce. Wyjął go, zdarł celofan i wziął dwa kawałki mięsa, przytrzymując je kciukiem oraz palcem wskazującym. Włożył je do ust, a drugą ręką zgasił

światło. W sypialni włączył lampkę nocną, zdjął ubranie i wrzucił je do otworu w ścianie.

Usłyszał, jak miękko wpada do kosza w pralni na dole, gdzie Maria, jego gosposia na pół etatu, upierze je i uprasuje.

Nago przeszedł do łazienki i zbliżył się do panelu sterowniczego wpasowanego w płytkę przy bezdrzwiowej kabinie prysznicowej. Właściwie był to raczej pokój z prysznicem -

niektóre rodziny mają mieszkanie o mniejszej powierzchni. Wcisnął przycisk, który ustawiał temperaturę i ciśnienie wody tak, jak zostały wcześniej zaprogramowane.

Przyjrzał się sobie w zajmującym całą ścianę lustrze naprzeciw prysznica, lekko wciągając brzuch. Mimo wszystko wyglądał nieźle.

Parujące strugi wody zmyły z niego nieco wyczerpania, które teraz zastąpiło zdrowe, spokojne zmęczenie. Pokręcił szyją dookoła, pozwalając, by woda masowała mu mięśnie.

Gorący pulsujący strumień i odbijający się od ścian odgłos wody chlapiącej na płytki -

wszystko to działało tak kojąco, że opadło z niego napięcie dnia. Właśnie splukiwał z włosów szampon, kiedy zadzwonił telefon. Wskoczył spod prysznica, zerwał z wieszaka ręcznik, pobiegł do sypialni i przy czwartym dzwonku chwycił za słuchawkę.

- Doktor Parker - powiedział szybko.

- Brakuje panu tchu. Czy wszystko w porządku? - mężczyzna miał mocny południowy akcent.

- Kto mówi? - przyłożył ręcznik do twarzy.

- Detektyw Fisher. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa Goodwina Donnelleya -

człowieka, którego przywieziono dzisiaj do pana na pogotowie, i tego drugiego, który zginął razem z nim.

Zegar przy łóżku wyświetlał godzinę 23.18.

- Czy nie jest trochę późno na telefon, detektywie? Chętnie porozmawiam z panem rano, ale.

- Właśnie dlatego dzwonię. To znaczy, niezupełnie. Wystąpiły pewne problemy i mamy powody przypuszczać, że pana życie jest w niebezpieczeństwie.

- Moje życie?

- Dwie pielęgniarki, które asystowały panu przy Donnelleyu, nie żyją. Zostały zamordowane dziś wieczorem.

- Zamordowane? - Usiadł ciężko na łóżku.

- Tak jak i, niestety, jeden z sanitariuszy, którzy go przywieźli. Tak naprawdę, doktorze, to dopiero kiedy dowiedzieliśmy się o nim, dostrzegliśmy tu jakiś związek.

Sprawdziliśmy w szpitalu i tam potwierdzili, że obie kobiety i sanitariusz pomagali przy Donnelleyu po strzelaninie.

- Co chce pan przez to powiedzieć, detektywie? - chciał to usłyszeć wprost.

- Próbuję panu powiedzieć, doktorze Parker, że ktoś - a może ich być więcej - zabija wszystkich, którzy zetknęli się z tym Donnelleyem, zanim umarł.

- Dlaczego?

- To pan może mi tutaj pomóc. Jak rozumiem, Donnelley z panem rozmawiał?

- Nie.

- Cóż, jedna z pielęgniarek, Gail Wagner, dziesięć minut temu powiedziała mi co innego. Gdyby pan...

- Asystowały mi cztery pielęgniarki - odezwał się Allen, zmieniając temat. - Co z pozostałymi dwiema?

- Jak już mówiłem, kilka minut temu rozmawiałem z panią Wagner przez telefon.

Właśnie wysyłamy samochód do jej mieszkania. Nie możemy się skontaktować z drugą pielęgniarką ani z drugim sanitariuszem. I zdaje się, że nikt nie wie, gdzie podziała się ta agentka specjalna.

- Julia Matheson?

- Tak, ona. Nawet ludzie z jej biura w Atlancie zachodzą w głowę, gdzie może być.

Mam nadzieję, że nie jest to zły znak. Zgarnęliśmy także barmana z lokalu, gdzie zastrzelono Donnelleya i Vero, ale podejrzewam, że nikt go nie szuka. Myślę, że ktokolwiek stoi za tymi zabójstwami, niepokoi się jakimś wyznaniem z łoża śmierci, czymś, czego Donnelley nie powiedziałby byle komu, chyba że wiedział, iż umiera - Fisher poczekał na jakiś komentarz. -

A co pan o tym sądzi, doktorze?

Allen nic nie odpowiedział.

- Doktorze Parker, wszystkie te morderstwa zdarzyły się w ciągu ostatnich dwóch godzin. Ktoś porusza się tutaj bardzo szybko, bardzo szybko. Wyślę teraz...

W holu za drzwiami, tam gdzie blask księżyca wlewał się przez okna do salonu, poruszył się jakiś cień. Rozproszone światło zostało na moment całkowicie zasłonięte i to nie przez przelatującego ptaka ani przez poruszoną wiatrem gałąź. Allen poczuł ucisk w żołądku i wydało mu się, że jego serce na chwilę stanęło, zanim zaczęło bić w przyspieszonym rytmie.

Alarm nie był włączony. Z przyzwyczajenia wyłączył go przed pójściem spać. Nie musiał go wtedy rozbrajać, jeśli chciał wyjść na zewnątrz lub otworzyć komuś drzwi. W niektóre noce w ogóle go nie używał.

- W porządku? - zapytał Fisher. - Doktorze Parker?

- Proszę? - Allenowi kręciło się w głowie. Nie mógł się poruszyć. Z tej pozycji widział

cały hol, który oddzielał przednią część domu od tylnej. Widział tylko ciemność, przerywaną gdzieś rozproszonym blaskiem księżyca. Nie mógł powiedzieć Fisherowi, że sądzi, iż ktoś już jest w jego domu. To mogłoby zachęcić zabójcę, żeby porzucił wszelkie środki ostrożności i od razu go zabił. Doszedł do wniosku, że zachowując czujność, będzie miał

największą szansę na przeżycie.

- Powiedziałem, że dla bezpieczeństwa wysyłam teraz do pana domu wóz patrolowy.

Proszę pozamykać drzwi i okna i pozostać w domu do czasu, kiedy przyjedzie radiowóz.

Proszę nie otwierać drzwi, dopóki go pan nie zobaczy, dobrze?

- Tak, tak, dobrze.

Czy intruz mógł podsłuchiwać przez drugi telefon?

W słuchawce na chwilę zapadła cisza. Najwyraźniej Fisher oczekiwał, że Allen zada jeszcze jakieś pytania, okaże zaniepokojenie, będzie protestować przeciwko utrudnianiu mu życia.

- Dziękuję, doktorze - powiedział w końcu detektyw, po czym się rozłączył.

Allen położył telefon bezprzewodowy na łóżku. Cały czas zerkając na drzwi, wyciągnął spod łóżka aluminiowy kij bejsbolowy. Jeszcze na studiach seria włamań do pokoi w akademiku nauczyła go, że człowiek czuje się bezpieczniej, kiedy ma pod ręką jakąś broń.

Wycofał się do łazienki i wcisnął przycisk wyłączający prysznic. Kiedy ostatnie krople spadały na posadzkę, usłyszał ciche skrzypnięcie gdzieś w holu na dole. Przebiegł

myślą inwentarz domu: co mogło zaskrzypieć? Które zawiasy trzeba naoliwić? Które deski podłogowe były obłuzowane? Nic nie przychodziło mu do głowy. Lewą ręką wciąż podtrzymywał rącznik. Puścił go - czym była duma w porównaniu z przetrwaniem?

Na palcach podszedł do drzwi sypialni, unosząc kij wysoko obiema rękami. Wysunął

się na korytarz i stanął, uważnie nasłuchując i czekając, aż jego oczy przyzwyczają się do ciemności. Światło z sypialni docierało ledwo za próg - dwa metry dalej w korytarzu panował

już mrok.

Zamordowani - tak powiedział policjant. Ale nie powiedział jak. Zastrzeleni?

Zadźgani nożem? Zatluczeni? Rozszarpani?

„Przestań! To nieistotne. Nie żyją - tylko to się liczy. Ja nie chcę umierać! Nie chcę umierać!" - myślał gorączkowo.

Powoli zaczął rozróżniać subtelne odcienie szarości: ciemniejszy zarys szafki na pościel; miejsce, gdzie korytarz otwierał się na duży hol i salon; kontur wejścia do pokoju w głębi czarnego korytarza podświetlony blaskiem żaru dogasającego w kominku.

Podniósł stopę i bardzo powoli przesunął ją do przodu. Postawił ją ostrożnie i czekał, nasłuchując. To samo powtórzył z drugą stopą. Zdawało mu się, że oddycha niezwykle głośno. Próbował brać wolniejsze, płytsze wdechy, ale przy takim przypływie adrenaliny w żyłach jego płuca bardzo szybko zaczęły się domagać większej ilości tlenu. Siłą woli zmusił

nogę do postawienia kolejnego kroku.

Aż podskoczył, kiedy zauważył nagły ruch w korytarzu. Czerń poruszająca się pośród czerni. Zdał sobie sprawę, że ktoś mógł stać w najciemniejszej części korytarza, pozostając niewidoczny. Ten ktoś doskonale widziałby jego sylwetkę na tle oświetlonego prostokąta drzwi do sypialni. Przez ułamek sekundy zobaczył w wyobraźni widmo strasznej ciemnej postaci biegnącej w jego stronę. To go przerosło. Wycofał się do sypialni i zamknął za sobą drzwi.

Zamordowani.

Na nagich plecach poczuł lekki podmuch. Kiedy się obrócił, zobaczył, że firany zasłaniające szybę

naprzeciwko łóżka wydymają się w powiewie ciągnącym od rozsuwanych drzwi. Był wcześniej w pokoju, żeby się przebrać, i potem brał prysznic, ale nie otwierał

tamtych drzwi. Zaczął błyskawicznie myśleć.

Drzwi były otwarte. On ich nie otworzył.

Miał dosyć dobry widok na cały pokój z wyjątkiem przestrzeni za i pod łóżkiem oraz wnętrza garderoby. Rozważył, jaki ma wybór: rzucić się do drzwi i ukryć na zewnątrz, czy raczej w łazience, zakładając, że nikt się tam nie przyczaił? Albo zatrzasać i zabezpieczyć drzwi przesuwne, przeszukać pokój i siedzieć tutaj do przyjazdu policji?

Żadna opcja nie wydawała mu się dobra, ale w końcu zdecydował się pozostać w sypialni. Starając się osłaniać wszystkie flanki, powoli podszedł bokiem do przesuwnych drzwi. W prawej ręce ścisnął uniesiony wysoko kij bejsbolowy, a lewą trzymał rozwartą w geście obrony. Kiedy zbliżył się do drzwi, w zasięgu jego wzroku znalazła się też druga strona łóżka. Nikogo tam nie było.

Przesunął się obok otwartych drzwi łazienki i garderoby. Czerń w ich wnętrzu zdawała się złowrogo poruszać i drażnić z nim. Natężył wzrok w oczekiwaniu, że któryś z cieni oderwie się nagle od reszty i skoczy w jego kierunku. Koniuszkami palców lewej ręki dotykał teraz powiewającej firanki. Żeby zamknąć drzwi, musiał sięgnąć i chwycić za gałkę.

Jeśli ktoś czekał na tarasie na zewnątrz, Allen zobaczyłby go dopiero, kiedy stanęliby twarzą w twarz.

Wychylił się w kierunku uchwytu. Jednym szybkim rzutem oka ogarnął ciemny taras, wyobrażając sobie błysk ostrza przecinający powietrze, żeby go przebić. Dosięgnął gałki.

I w tym momencie, kiedy był najbardziej naciągnięty i właśnie zaczynał się cofać, żeby zasunąć drzwi, najpierw poczuł, a potem usłyszał kroki na dywanie tuż za sobą. Nie patrząc i niemal nie myśląc, zamachnął się kijem i poczuł, że natrafił na coś - na kogoś!

Kątem oka dostrzegł dużego mężczyznę, który unosił coś nad głową. Użył gałki jako oparcia, żeby odbić się do przodu. Poczul wiatr na plecach. Coś go trafiło i tuż pod łopatką poczuł przeszywający ból. Zarzucił nogę przez otwór. Dwoma krokami dopadł do barierki, przeskoczył nad nią i spadł w ciemność.

Trawiasta ziemia przywitała go niezbyt gościnnie. Skulił się, boleśnie uderzywszy się w głowę. Podskoczył i pobiegł do lasu na tyłach jego ogrodu. Wtedy usłyszał głuchy odgłos i obok niego eksplodował kawałek darni, wylatując w górę i opadając z powrotem na ziemię.

Strzelano do niego!

Dwadzieścia metrów do lasu.

Nieregularna kropka czerwonego jak krew światła zawisała niczym robaczek świętojański na trawie przed nim. Allen zrozumiał, że napastnik używa celownika laserowego, żeby go namierzyć. Kropka

skoczyła do tyłu i do przodu, po czym znalazłszy jego plecy zniknęła mu z pola widzenia. Uskoczył w bok i natychmiast znowu usłyszał tamten dźwięk.

Kolejny fragment darni oderwał się od ziemi.

Pięć metrów.

Wpadł pomiędzy gęste listowie. Przekoziółkował przez pierwsze grube gałęzie.

Poturlał się po ciężkiej glinie, gałązkach, konarach, kamieniach. Wpadł na zwalisty dąb.

Poranił w kilkunastu miejscach swe nagie ciało. Podniósł się, spojrzął na swój ogród i zobaczył czarną sylwetkę na tle szarego zarysu domu, która, podobnie jak on, przeskakiwała teraz przez barierkę. Skierowany w niebo laser widoczny był tylko tam, gdzie przeszywał

smugi mgły. Zanim napastnik wylądował, Allen już biegł dalej, przedzierając się na oślep przez las. Teren zaczął gwałtownie opadać. Gładkie kamienie obijały mu nagie stopy, a ostre je kaleczyły. Ostre gałęzie drapały go po twarzy, po rękach, po nogach.

Rzucił się na oślep w dół, próbując przypomnieć sobie topografię terenu, rozmieszczenie okolicznych dróg i znajdujących się poniżej domów. W głowie kołatało mu pytanie, czy zdąży znaleźć schronienie, czy wcześniej dopadnie go pocisk. Usłyszał za sobą trzask gałęzi i jeszcze bardziej przyśpieszył. Odbijał się od drzew, koziółkował, podnosił się i znowu toczył. Ciernie ostrokrzewu przeorały mu skórę. Piersią wpadł na sztywną gałąź, która go przewróciła. Upadł twardo. Znowu się podniósł. Popędził w dół wzgórza.

Poślizgnął się na paprociach. Wzdrygał się, gdy gałęzie smagały go po twarzy, po plecach, po nogach. Walczył z przemożną chęcią, żeby stanąć, odpocząć, pomyśleć.

Noc pozbawiła liście i kwiaty polne ich żywych dziennych kolorów, pozostawiając tylko odcienie szarości. Brnął przez nie, przedzierając się przez kłujące jeżyny, zapadając się po kostki w dywany roślin.

Światło księżycy było mu bardziej przeszkodą niż pomocą. Tworzyło przed nim mylący labirynt cieni, powodując, że robił uniki przed gąszczem ostrych gałęzi, które nie istniały, za to wpadał na inne, których nie dostrzegł. Co gorsza, wyobrażał sobie, że delikatny blask oświetla prześladowcy jego bladą skórę niczym latarnia.

Nie chcąc dostać kulą w głowę, zaczął w tym chaotycznym pędzie dokonywać jeszcze nieprzewidzianych i nagłych zmian kierunku. Wiedział, że ta metoda ucieczki była hałaśliwa, ale nie dbał o to - to szybkość, a nie ostrożność była teraz jego atutem.

Przeskoczył nad gęstą kępą splecionych pnączy, korzeni i krzewów. Lądując, poczuł, że podłoże pod nim ustępuje. Noga zapadła mu się w ziemię, przebiła coś z ostrym trzaskiem i zatrzymała się, kiedy zapadł się po pas. Głowa poleciała mu do przodu.

Zdążył jeszcze unieść ręce, zanim uderzył twarzą o duży, płaski kamień.

Na chwilę stracił oddech i zaczął gwałtownie łapać powietrze, kiedy z jamy wyleciał

pióropusz kurzu. Grunt wokół jego uwięzionych nóg zaczął się zapadać do dziury, przez co Allen jeszcze mocniej zaklinował się w ziemi. Musiał przebić stopą jakiś wyschnięty i zmurszały system korzeniowy, którego połamane końcówki wrzynały mu się teraz boleśnie w stopę, kostkę i goleń.

Kiedy wrócił mu oddech, rozwiął ręką kurz i okazało się, że patrzy wprost na wyryte w kamieniu nazwisko: „Ed Johnson”. Imię to było owiane złą sławą i należało do mężczyzny powieszzonego za gwałt w 1906 roku. Allen był na starym murzyńskim cmentarzu, który pochodził z czasów wojny secesyjnej. Wpadł do mogiły Eda i to, co początkowo wziął za wyschnięte korzenie, było prawdopodobnie jego klatką piersiową.

Wiekowe kości wpijały mu się w kostkę i rozpruwały łydkę. Przechylił się na bok i pokręcił nogą. Poczł, że coś zwapniałego zachręściło mu pod piętą. Przekręcił się na brzuch, złapał za wierzchołek kamienia nagrobnego i podciągnął się w górę. Ziemia ustąpiła i wreszcie był wolny.

Na czworakach odczołgał się od dziury, a potem - ciężko dysząc - przewrócił na plecy.

Wysoko nad nim drzewa stykały się koronami, tworząc liściasty baldachim, przez który światło księżyca sączyło się niczym deszcz. Liście w górze tańczyły na wietrze, którego Allen nie czuł. Jeszcze wyżej przepływały niewyraźne kłęby chmur podświetlone księżycowym blaskiem. Pomiędzy koronami drzew a gliniastym gruntem snuła się delikatna mgiełka.

Przypomnił sobie, że cmentarz znajdował się tam, gdzie zbocze najpierw się wypłaszczało, po czym znów opadało w dół. Było to niemiłe miejsce. Czas spowodował, że ziemia zapadła się do zbutwiałych trumien lub wybrzuszyła się w wielkie kopce, wypchnięta w górę przez jakieś nieznanne siły. W efekcie powierzchnia terenu była falista niczym wzburzone morze. Las wznagał jeszcze ten chaos - wkraczał tutaj, próbując odzyskać swoją własność. Rosły tu gęste krzaki, zasłaniające poprzewracane nagrobki; cieniutkie sosenki, które poprzebijały groby, tak jak przebija się kołkiem wampira; sękaty korzenie wystające z ziemi niczym ręce zmarłych, którzy błagają, żeby ich zabrać z tego przykrego miejsca.

Teraz, gdy odpoczywał, Allen czuł każdy siniak, każde przecięcie, każde otarcie na ciele.

Bolały go mięśnie i paliły płuca. W żołądku burzył mu się kwas. Nie mógł tu zostać, musiał znaleźć pomoc. Nasłuchiwał trzasku gałązki, szmeru buta. Podniósł się do pozycji siedzącej i podwinął pod siebie nogi. Jeśli wstanie powoli i będzie szedł ostrożnie, być może uda mu się po cichu zejść ze wzgórza.

Zatrzymał się.

Niewyraźny czerwony promień lasera przesunął się w nocnym powietrzu metr nad jego głową i zatrzymał się na pniu drzewa dwa metry od niego - płonący czerwony punkt, przerażający jak oko demona.

\*



Julia obudziła się, siedząc na łóżku, wciąż opartaplecami o ścianę. Poruszyła głową, czując, jak ścięzna w jej szyi napinają się i trzeszczą. Starła z podbródka ślinę.

Najprawdopodobniej jeszcze chrapała we śnie. Ślinienie się i chrapanie - jedno i drugie przytrafiało się jej, gdy była wykończona. Tym razem uległa zmęczeniu nie fizycznemu, ale psychicznemu i emocjonalnemu.

Popatrzyła na zegar. Było późno, ale musiała sprawdzić, co u mamy. Jeśli miała zły dzień, mogła nie ruszyć się z łóżka, co oznaczało, że nie jadła, nie piła, nie brała lekarstw.

Miała pod ręką basen, ale nie cierpiała go używać, a gdyby miał tam stać nieumyty, dla Mae Matheson byłoby to niemalże równoznaczne z nabrudzeniem na dywan.

Julia stoczyła się z łóżka, wydobyła z reklamówki kupioną w supermarkecie kartę telefoniczną i wyszła z pokoju. Znalazła budkę na stacji benzynowej ponad kilometr od motelu. Wiedziała, że kiedy zadzwoni do domu, będzie ją łatwiej namierzyć, niż gdyby dzwoniła na jakikolwiek inny numer. Mae odebrała po piątym dzwonku, wydawała się półprzytomna.

- Cześć. Czy wszystko w porządku?

- Julia? Nie odzywałaś się. Gdzie jesteś?

- Mamo. - głos się jej załamał. Łzy napłynęły do oczu.

Nie teraz. Najpierw mama.

- Czy wstawiałaś? Jak się czujesz?

- A tak, wszystko dobrze. Zrobiłam sobie kanapkę i obejrzałam Amerykańskiego idola. Mówię ci, jeśli ten Jesse wygra, będę bardzo zła. Śpiewa, jakby mu słoń nadepnął na ucho.

Julia słuchała, uśmiechając się smutno. Słyszała, że mama naprawdę czuła się dzisiaj zupełnie nieźle - nie dobrze, ale nieźle - a nie, że tylko tak mówiła. Czasami udawała, że wszystko jest w porządku nawet w te najgorsze dni, bo nie chciała, żeby Julia zmieniała swoje życie ze względu na jej chorobę - przynajmniej nie bardziej niż już to zrobiła. Ale Julia podejrzewała też, że mama sama przed sobą nie chce się przyznać do tego, jak bardzo jest chora.

- Mamo, muszę lecieć. Nie wrócę dziś do domu, coś mi wypadło.

- Ach, rozumiem.

„Nie, nie rozumiesz, ale to, co myślisz, jest lepsze od prawdy” - pomyślała Julia.

- Czy mam zadzwonić do opieki społecznej?

- Nie bądź głuptasem. Wszystko jest w porządku.

- W takim razie zadzwonię jutro. Wiesz, gdzie zadzwonić, gdybyś potrzebowała pomocy?

- Wiem, ale pomoc nie będzie mi potrzebna - teraz była uparta.

- Kocham cię, mamó.

- Ja ciebie też, skarbie.

Odłożyła słuchawkę na widełki, ale jej nie puściła. Chciałaby, żeby wszystko potoczyło się inaczej. Ale któż tego nie chciał? Pociągnęła nosem, przetarła dłonią oczy i wsiadła do samochodu.

Zanim dotarła do motelu, jej mózg znowu zaczął analizować dzisiejsze wydarzenia, odtwarzając rozmowy, formułując pytania, podążając za różnymi tropami. Czuła się przytłoczona ilością informacji do przeanalizowania. Doświadczenie nauczyło ją, że chociaż dostępne wskazówki mogą nie prowadzić do rozwiązania, to zawsze prowadzą do kolejnej wskazówki. W końcu rozwiązanie pojawia się samo. Kolejna wskazówka była ukryta gdzieś pośród znanych faktów, musiała ją tylko odnaleźć. Coś przeoczyła.

Goody wspomniał, że Vero mówił o wirusie.

Patrzyła, myślała, próbowała zrozumieć.

\*

Świecąca czerwona plamka lasera zatrzymała się na chwilę na drzewie, po czym się z niego ześlizgnęła i znowu zaczęła się przesuwac po cmentarzu.

Allen przygarbił się na podkulonych nogach tuż przy wielkim krzaku, majestatycznie przyodzianym w jedwabiste liście i ozdobionym okazałymi klejnotami jagód. Powoli obrócił

się w kierunku, skąd promieniował laser. Krzak nie pozwalał mu dostrzec napastnika, ale jego samego też krył przed agresorem.

Spoglądając pod górę, usłyszał miękki odgłos stóp poruszających się z lewej strony.

Prześladowca schodził w dół pod kątem, który pozwalał mu kontrolować zejście, a nie wprost przez stromiznę, po której stoczył się Allen. Najprawdopodobniej schodził zakosami, próbując trzymać się tropu Allena tak blisko, jak to było możliwe. Nagle pojawił się w zasięgu wzroku doktora na lewo od krzaka, dwadzieścia metrów dalej.

Mroczna postać, która wydawała się zbyt kanciasta i poruszała się zbyt płynnie jak na człowieka. Nieważne, gdzie szedł, cały czas pozostawał tylko czarnym cieniem na tle ciemności. Jedyne jasnoczerwona kropka laserowego celownika pistoletu, widoczna na przedłużeniu jego prawego ramienia, przerywała atramentową monotonię nocy.

Postać obróciła się i zaczęła iść w jego stronę, unosząc się i obniżając na wzniesieniach i w zagłębieniach tego obłąkanego krajobrazu.

Mgła unosiła się w ślad za nim, wzlatując w górę i opadając niczym płomień.

Allen już prawie rzucił się w stronę krańca cmentarza, gdzie zbrocze opadało dalej ku cywilizacji. Na ćwierć sekundy jego mięśnie napięły się w gotowości do skoku. Jednak zamiast tego wsunął się pod krzak, ciągnąc nogi po ziemi, żeby nie poruszyć liści. Zgiął się w łuk i przysunął tors do środka rośliny, delikatnie przekładając ręką liście ponad ramieniem i biodrem.

Prześladowca zatrzymał się trzy metry od niego, w niewyjaśniony sposób wciąż pogrążony w głębokim cieniu. Ciało miał zwrócone w stronę krzaka, pod którym trząsał się Allen, ale jego głowa kręciła się tam i z powrotem, lustrując teren. Allen wstrzymał oddech, mając nadzieję, że jego ciało nie zacznie domagać się tlenu zbyt szybko, tak jak w korytarzu przed sypialnią. Groźna cieniasta postać stała tam, wydając dźwięk, którego Allen nie mógł z niczym skojarzyć.

Czik-czu, czik-czu, czik-czu...

...lustrując, nasłuchując... dwadzieścia sekund... trzydzieści...

Płuca Allena zaczęły gwałtownie domagać się powietrza.

...czterdzieści.

Mężczyzna obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i zaczął iść w stronę krańca cmentarza.

Łapiąc powietrze tak cicho, jak tylko to było możliwe, Allen zrozumiał, że to w wyniku frustracji, a nie dzięki odkryciu prześladowca tak agresywnie zbliżył się do krzaka.

Mężczyzna zrozumiał, że jego ofiara mogła być wszędzie - gdzieś w lesie lub nawet już poza nim.

Allen odsunął przed oczu gałązkę i lekko rozłożył kolana, tak że pomiędzy nimi widział napastnika. Czarny cień na ciemnym tle nocnego lasu. Wydawało się, że wabi do siebie inne cienie, że otacza się mrokiem, którego nie przebije żadne światło. Jednak było wyraźnie widać, jak był zbudowany: muskularne ramiona, nogi i tors - wysoki, silny.

Ze sposobu, w jaki mężczyzna poruszał głową, Allen domyślił się, że lustrował las poniżej cmentarza. Potem postać się odwróciła.

Allen usłyszał metaliczne klik i laser zgasł. Prześladowca ruszył z powrotem w jego kierunku, idąc dużymi krokami, które szybko zmniejszały dystans pomiędzy nimi.

Przeszedł tuż obok Allena, skierował się na górny kraniec cmentarza i, nie zwalniając, zaczął podchodzić z powrotem w stronę domu. Trzydzieści sekund później las pochłonął

odgłos jego marszu.

Strach długo powstrzymywał Allena przed wykonaniem jakiegokolwiek ruchu.

Wreszcie wyslizgnął się spod krzaka i wstał. Spojrzał do góry w stronę domu i nie zobaczył

nie prócz czarnych drzew, krzewów, liści i pnączy niknących w ciemności. Wpatrywał się w pojedyncze cienie, próbując znaleźć taki, który by miał ludzki kształt, jednocześnie mając nadzieję, że go nie znajdzie. Cienie kołysały się delikatnie, ale poruszane przez wiatr, a nie przez człowieka. Nie mrugał, więc oczy zaczęły mu łzawić - wtedy opuścił głowę i ukrył ją w dłoniach.

Bolało go całe ciało od setki ran i siniaków. Bolało go serce, bo tak wysoko podeszło mu do gardła. Silny zapach własnego potu przyprawiał go o mdłości. Jego umysł pragnął

zamknąć się w sobie.

Wtedy się przemógł.

Uniósł głowę w stronę zasłoniętego przez liście nieba, wziął głęboki wdech i przemógł

się, by walczyć, wygrać, żyć. Przesunął ręką wzdłuż boku, strzepując ziemię, liście i małe gałązki, które przyłgnęły mu do skóry. Przeczesał palcami włosy, wytrząsając z nich paprochy. Samo to, że wstał i wyprostował ramiona, sprawiło, że przestał się czuć jak zbity pies. Ruszył w stronę przeciwnego krańca cmentarza, a potem w dół, żeby zejść ze wzgórza.

Schodząc i nabierając prędkości, wpadał na gałęzie i krzaki.

Gdy był w połowie drogi na dół, miał już nakreślony plan działania. Kiedy pośród drzew dostrzegł pierwszy błysk latarni ulicznych, już wiedział, co zrobi.

\*

- Dowody!

Julia powiedziała to głośno w pustym pokoju motelowym.

Gdyby ktoś chciał ostrzec CDC przed zbliżającym się atakiem bioterrorystycznym, czyż nie przyniósłby jakichś dowodów na poparcie, że nie jest świrem?

Wróciła myślą do ostatniej rozmowy z Goodym. Przypomniawszy jej, że nie mogą porozumiewać się bezpiecznie. Powiedział, że jest ranny. Ona ostrzegła go, że ktoś przechwycił sygnał „tropiciela”. On odrzekł, że wyłączył urządzenie. Chwileczkę.

Najpierw oznajmił, że jest w budce telefonicznej. Dlaczego to powiedział? Wtedy pomyślała, że chce podkreślić, iż linia nie jest bezpieczna, ale powtarzanie rzeczy oczywistych nie było w stylu Goody'ego. I pojawiło się to w dziwnym momencie rozmowy, kiedy powiedziała mu o sygnale „tropiciela”. Powiedział jej, żeby chwilę zaczekała, a potem wrócił z tą tajemniczą wiadomością o budce telefonicznej.

Właśnie! Tajemniczą! To był szyfr!

„Jestem w budce telefonicznej”.

Nie. Jestem tu w budce. OK. W tej konkretnej budce.

Potem to powtórzył. Podkreślał znaczenie tego zdania? Tak, ale coś jeszcze... coś...

Drugi raz nie powtórzył zdania dosłownie. Nie powiedział „jestem” za drugim razem.

„Jestem tu w budce telefonicznej. W budce telefonicznej”.

Miał na myśli: „To - dowód - jest w tej budce telefonicznej, będziesz wiedziała w której, jeśli nie dam rady sam wrócić i go odzyskać”.

To chyba właśnie chciał powiedzieć Goody. Znała jego sposób myślenia. Wszystko pasowało. Jakiś dowód był w tej budce telefonicznej i ona musiała go zdobyć - tak jak Goody to zaplanował - jak najszybciej. Wybiegła z pokoju, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

\*

Atropos był wściekły. Stał w gęstym zagajniku przed domem Parkera i patrzył, jak dwóch gliniarzy łomocze do drzwi. Radiowóz pojawił się na podjeździe w momencie, gdy wyszedł z domu po powrocie z nieudanego polowania. W ostatniej chwili zdążył uskoczyć między drzewa, zanim oświetlił go blask reflektorów samochodu.

Po dłuższej chwili policjant zdecydował się nacisnąć klamkę, a towarzysząca mu policjantka zeszła z wyłożonego płytkami ganku i zaczęła świecić wkoło latarką. Snop światła przesunął się po kryjówce Atroposa, ale on ani drgnął. Drugi funkcjonariusz zbliżył się do niej. Szepcząc, przyglądali się wielkiej fasadzie domu. Włączyli drugą latarkę i zaczęli oddalać się od miejsca, gdzie przyczał się Atropos. Przeszli za róg, przesuając światłem latarek po oknach, krzewach, podwórzu.

Parker zareagował znacznie szybciej, niż Atropos się spodziewał. Jego instynkt przetrwania był bardzo silny. Atroposowi podobało się związanie z tym wyzwaniem.

Zerknął na duży pistolet, który trzymał w lewej dłoni, i odkręcił tłumik od lufy.

Wyciszające dźwięk zwoje w jego wnętrzu stłumiły już zbyt wiele strzałów i przestały być skuteczne. Rzucił tłumik na ziemię, wyjął inny z kieszeni kurtki i przykręcił. Następnie wetknął broń do wykonanej na zamówienie nylonowej kabury pod lewym ramieniem, skąd miał nadzieję na razie jej nie wyciągać. Być może teraz, skoro Parker uciekł, będzie mógł

jednak zlikwidować go w inny sposób.

Rozprostował nadgarstek rękawicy. Cziki-czu, cziki-czu.

Popatrzył na zegarek i znowu na dom. Parkera już dawno tu nie było. Ale facet, który mieszka w takim domu zupełnie sam, musi kochać to, co ma. Na pewno wróci, pewnie jeszcze dziś w nocy. Atropos będzie czekać.

Na razie miał inny cel, za którym musiał podążyć. Nie wiedział, gdzie go szukać, ale miał parę

pomysłów.

Wychodząc na podwórko, obrócił się, żeby sprawdzić, czy policjanci, którzy poszli obejść wkoło dom, nie zmienili planu i nie zawrócili. Niewyraźny blask latarek widoczny na tle drzew po drugiej stronie domu słabł coraz bardziej i zanikał w oddali. Idąc wzdłuż żywopłotu, Atropos dotarł do wyjazdu na ulicę. Tam, kilka przecznic dalej, ukrył pośród innych samochodów wypożyczone auto.

\*

- Halo?

- Tu automatyczny operator BellSouth. Czy przyjmą państwo rozmowę na koszt abonenta od...

- Tu Allen! Odbierz!

- Żeby odebrać połączenie, naciśnij jeden. Żeby je odrzucić, naciśnij dwa.

- Halo?

- Żeby odebrać połączenie, naciśnij jeden. Żeby odrzucić. Trwa łączenie.

- Stephen! Tu Allen. Halo? Stephen?

- Jestem tutaj. Tylko nieco mnie zaskoczyłeś.

- Ja też dziś zostałem zaskoczony. Musisz po mnie...

- Gdzie jesteś? Dlaczego dzwonisz na koszt abonenta?

- Jestem w mieście, ale nie mam pieniędzy.

- To coś nowego.

- Słuchaj.

- Allen, czy chodzi o mamę i tatę? O tatę? Czy wszystko z nim w porządku?

- Tata czuje się dobrze, mama też. Wszyscy na całym świecie czują się dobrze oprócz mnie. Zamknij się i słuchaj, OK?

- Takiego Allena znam. Mów.

- Potrzebuję cię. Musisz po mnie przyjechać. Teraz, zaraz.

- Ty potrzebujesz mnie? Nie sądziłem, że to kiedyś usłyszę. Czy jesteś ranny? Twój głos brzmi, jakby.

- Czekaj! Znowu kłapiesz gębą. Przepraszam. Słuchaj, jestem trochę poszarpany i posiniaczony, ale

nie jestem poważnie ranny... jeszcze nie.

- Jeszcze nie?

- Później ci wytłumaczę. Musisz zaraz po mnie przyjechać, w tej chwili. Spotkajmy się przy stacji Texaco na rogu McCallie i Dodds. Masz chyba sprawne auto?

- Mam. Zdołałem nabyć samochód i nawet utrzymać go na chodzie.

- Co to jest?

- Co?

- Co to za samochód!

- Chevrolet vega. Rocznik siedemdziesiąty czwarty. Mam nadzieję, że nie będziesz się krzywił.

- Jaki kolor?

- Rdzawy... i pomarańczowy, i szary. Drzwi po stronie pasażera są niebieskie. Maski jest jakby czerwona, różowa.

- Róg McCallie i Dodds.

- Załapałem.

- A, Stephen?

- No?

- Weź jakieś zapasowe ubrania. Wiesz, koszulę, spodnie, buty. Jakies kalesony.

- Muszę to zobaczyć.

Stephen Parker odłożył wolno słuchawkę. Spontaniczność nie była w stylu jego brata.

O co tu chodziło? Czy go napadnięto? Być może w samochodzie, jak to się obecnie nieraz zdarzało. Ale dlaczego nie zadzwonił na policję lub do jednego ze swoich przyjaciół?

Stephen już od lat nie był jednym z nich.

Pewnie był z kimś, z kim nie powinien - być może z żoną kolegi z pracy - i nie chciał, żeby to się wydało. Albo to jej mąż tak go urządził i teraz Allen chciał już tylko jakoś się z tego wypłatać.

Usiadł na skraju swojego wygniecionego łóżka i nałożył równie wygniecioną flanelową koszulę.

Wstał i przeszedł do głównej części mieszkalnej swej dwupokojowej chaty, gdzie opadł ciężko na stare, zwichrowane krzesło i chwycił znoszone kowbojskie buty. Z wyglądu przypominał bardziej

niedźwiedzia niż człowieka: miał duże, szerokie kości oplecione grubymi splotami mięśni i metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Jego ciało było pokryte ciemnym nalotem grubych, kręconych włosów. Okalające jego twarz włosy robiły wrażenie, jakby przyczepiło się do niego jakieś zwierzę i tam pozostało. Twarz, na tyle, na ile była widoczna, też przypominała niedźwiedzia - z grubymi rysami i łagodnymi oczami o ciężkich powiekach.

Przeszedł do części domu, która służyła jako kuchnia, o czym świadczyło zniszczone i poplamione linoleum na podłodze. Gdzie indziej nic nie chroniło podłogi ze sklejki przed depczącymi ją stopami i odwrotnie: nic nie chroniło chodzących po niej stóp. Z szafki pod zlewozmywakiem wydobyl papierową torbę ze sklepu spożywczego. Wrócił do sypialni, gdzie spakował do torby ubrania i zawinął brzeg u góry.

Z gwoźdźcia przy drzwiach frontowych zerwał pęk kluczy i wyszedł, zatraskując za sobą drzwi, ale nie zamykając ich na klucz. Przeskoczył nad obluzowanym drewnianym stopniem, który już od dawna zamierzał naprawić.

Zmierzając do samochodu zaparkowanego w wąskiej przestrzeni pomiędzy niewielkim kościółkiem, któremu przewodził jako pastor, a swoją chatą, powrócił myślami do brata.

Nie zamienili ze sobą słowa przez ostatnie osiem, dziewięć miesięcy. Nie mieli ze sobą nic wspólnego poza rodzicami.

Allen uważał, że Stephen zdradził swoje nazwisko, odrzucając karierę w medycynie.

Podążanie ścieżką, którą wytyczył ich ojciec i dziadek, było nie tylko przywilejem, ale niemalże obowiązkiem.

„No dobrze” - po raz tysięczny pomyślał Stephen. Najpierw próbował zastosować wobec rodziny podejście filozoficzne, następnie pragmatyczne i błagalne, ale w końcu zawsze wszystko kończyło się pełną rozczarowania rezygnacją: „No dobrze”.

Doszedł do auta i przystanął, odrzucając w tył swoją wielką, owłosioną głowę, aby spojrzeć w niebo.

- Panie - powiedział głośno - cokolwiek dzieje się z Allenem, pomóż mi, bym postąpił

wobec niego właściwie. I co ważniejsze, pomóż mi, bym postąpił właściwie wobec Ciebie.

Dziękuję Ci, Panie, że dałeś mi tę szansę.

Poskładał swoje ciało tak, by zmieściło się na małym fotelu vegi. Używał auta głównie do przywożenia zakupów z miasteczka i odwiedzania parafian, poza tym raczej nie oddalał się zbyt od kościoła. Stacyjka zazgrzytała i jęknęła, zanim wreszcie kluczyk się przekręcił i pobudził silnik do działania. Z rury wydechowej wystrzeliła chmura czarnego dymu i spowiła samochód. Stephen gwałtownie wcisnął pedał gazu, żeby uciec przed spalinami. Obsypawszy dymną bestię piachem i kamykami, wyjechał na wąską polną drogę i po chwili zniknął w lesie.



\*

Okna baru były ciemne, a drzwi zamknięto i zaplombowano żółtą taśmą, jaką oznacza się miejsce przestępstwa. Na wprost wejścia stał policyjny radiowóz. Oczywiście bar był

strzeżony - krwawe zabójstwo agenta federalnego i jego podopiecznego to była duża sprawa.

Przejeżdżając obok radiowozu, Julia zobaczyła, że za kierownicą siedzi tylko jeden policjant. Lampka na suficie była włączona, a on czytał książkę. „Niezbym mądrze -

pomyślała. - Zniszczysz sobie wzrok, a bandzior zobaczy cię wcześniej, zanim ty dostrzeżesz jego”.

Przejechała jeszcze kilka przecznic, skręciła w lewo i zaparkowała przy ciemnej ulicy za zdezelowanym pikapem. Otworzyła bagażnik i wysiadła. Z metalowego pojemnika w bagażniku wybrała kilka zardzewiałych narzędzi i łyżkę do opon.

Ruch na Brainerd Road był niewielki, przemknęła przez ulicę niezauważona.

Skierowała się do zaśmieconego zaułka na tyłach lokalu i zwróciła się w stronę baru. Po jej prawej stronie wznosiły się odrapane tyły budynków, po lewej był długi ciąg wysokich ogrodzeń z drewna i siatki drucianej. Nad płotami schylały się konary drzew, a gęste krzewy przeciskały gałęzie przez siatkę. Przy ulicy - w regularnych odstępach, niczym drzemiące bizony - sterczały fioletowe kontenery na śmieci. Smolistą ciemność przerywały tylko plamy głębokiej szarości. Julia pośpieszyła w stronę baru.

Jadąc tutaj, zatrzymała się przy budce telefonicznej i zadzwoniła do wydziału zabójstw w Chattanooga. Przedstawiła się nazwiskiem innej agentki federalnej. Dowiedziała się, że sprawę prowadzi detektyw Fisher. Policjant, z którym rozmawiała, zaproponował, że ją przełączy, ale Julia powiedziała, że na tym etapie nie trzeba mu zawracać głowy.

Potrzebnych było jej tylko kilka faktów, przede wszystkim adres miejsca przestępstwa i ogólna chronologia zdarzeń:

- Tak, wiem, że zajmuje się tym mnóstwo naszych ludzi, ale ja muszę tylko napisać streszczenie dla szefa, a wie pan jak to jest, próbować uzyskać prostą odpowiedź od gromady ważniaków - powiedziała.

Dwa aspekty zbrodni były zastanawiające. Po pierwsze, po tym, jak Goody zastrzelił

jednego z napastników, drugiego zabił ktoś inny. Pierwsza teoria była taka, że był to trzeci członek grupy, który postanowił nie dzielić się wynagrodzeniem z pozostałymi.

Mógł to też być zabójca w ogóle z tamtymi niezwiązany lub wręcz człowiek, który przypadkiem wkroczył w sam środek strzelaniny i postanowił się bronić.

Tylko dlaczego, jak zeznali świadkowie, zabrał ze sobą ciało Despesorio Vero?

Tak właśnie prowadziło się śledztwo: wszystko ujdzie, nawet jeśli jest zupełnie nieprawdopodobne, dopóki inne teorie nie zostaną poparte dalszymi dowodami.

Kolejnym intrygującym elementem były kajdanki znalezione obok ciała Vero. Według barmana jeden z napastników rzucił je w stronę Vero. Masz cel na muszce strzelby i każesz mu się zakuć w kajdanki. Nie próbujesz go zabić, próbujesz wziąć go żywego.

Dlaczego?

Przyszło jej do głowy, żeby poprosić o dostęp do miejsca zdarzenia, ale szybko odrzuciła ten pomysł. Jeśli ktoś z policji zobaczyłby, że zabiera dowody, mogliby je skonfiskować.

Poza tym, jeśli ludzie stojący za zabójstwem Donnelleya mieli wtyczki w organach ścigania, czy mogła zaufać któremukolwiek funkcjonariuszowi? Nie. Jeśli znajdzie jakieś dowody, wolałaby sama je zbadać, zanim odda je ekipie śledczej - i to dopiero wtedy, gdy uzna, że są godni zaufania.

Dotarła na parking, który mieścił się z boku lokalu. Księżyc oświetlał stojący tam pojedynczy samochód, który znajdował się bliżej niej niż baru. Auto wyglądało na puste.

Puściła się biegiem, starając się trzymać tak blisko ogrodzenia, jak tylko pozwalały na to krzaki i śmieci.

Tylne drzwi do baru oraz ich framuga były wykonane z metalu. Gruba metalowa plakietka przyspawana do drzwi osłaniała też zasuwkę i zamek. Nawet zawiasy były schowane. Najbliższe okno było chronione kratą. Spróbowała podważyć drzwi łyżką do opon.

Ani drgnęły.

Potrząsnęła głową. Tędy nie uda jej się wejść do środka. Wyjęła identyfikator Wydziału Egzekwowania Prawa przy CDC, pewnym krokiem wyszła z zaułka i przemaszerowała wzdłuż ściany baru do radiowozu. Zeszła z krawężnika i obeszła samochód od tyłu.

Zastukała w szybę i nachyliła się.

Radiowóz był pusty. Lampka nad deską rozdzielczą świeciła jasno, a na siedzeniu, rozłożona grzbietem do góry, leżała powieść Deana Koontza. Ale policjanta nie było.

Wyprostowała się i ponad dachem samochodu spojrzała w stronę baru. Zobaczyła, że drzwi wejściowe są otwarte. Nagle w oknach rozbłysło światło i ciszę nocy przeszyła salwa trzech szybkich wystrzałów.

Julia przykucnęła za autem i wyjęła pistolet. Kiedy działała w terenie, zawsze miała pocisk wprowadzony do komory naboju, co oszczędzało w razie potrzeby dodatkową sekundę potrzebną na przeładowanie broni. Mimo to sprawdziła, czy wszystko jest w porządku, odciągając zamek o centymetr. Mosiężna obudowa pocisku kaliber 0,45 zaiskrzyła w świetle ulicznej latarni. Julia zwolniła kciukiem kurek.

Żaden pocisk nie uderzył w radiowóz, więc jeśli strzelec choć trochę potrafił celować, to kule nie były wymierzone w nią. Podbiegła do drzwi i przycisnęła plecy do cegieł

po między wejściem a dużym frontowym oknem. Płynnym ruchem wychyliła głowę, żeby zajrzeć do środka, i od razu ją cofnęła. Drzwi do biura znajdujące się w tylnej części sali były uchylone. Do wnętrza baru sączyło się słabe światło, wydobywając zarysy lamp halogenowych na statywach pozostawionych przez techników śledczych. Czy dostrzegła ruch? Nie była pewna. Spojrzała znowu. Niczego nie zobaczyła.

Trzymając pistolet w wyprostowanych rękach na wysokości podbródka, zdecydowanym ruchem obróciła się i wsunęła do środka. Skierowała broń w prawo w stronę budki telefonicznej. Nic. Z powrotem w stronę tyłu baru. Poczowała zapach własnego potu i nikłą woń krwi oraz znacznie ostrzejszy smród kordytu. Teraz zobaczyła też dym snujący się leniwie w skąpym świetle sącącym się z biura. Postawiła kolejny krok. Tak ciemno.

Stała przy brzegu kontuaru i nachyliła się nad nim. Ciemność była nieprzenikniona - mogła patrzeć wprost na kogoś ukrytego w dole i o tym nie wiedzieć. Nie miała latarki.

Nie chciała włączać lamp w barze - nawet gdyby wiedziała, gdzie znajduje się przycisk.

Czuła się zupełnie nieosłonięta. Oparła broń i drugą rękę na ladzie, dźwignęła się do góry i opuściła się z tyłu za kontuar. Namacała półki ze szklankami, środki czystości, jakieś torebki, pewnie z orzeszkami lub precelkami, a potem to, czego szukała: niewielką lodówkę.

Uchyliła jej drzwi. Ze środka buchnęło białe światło i rozjaśniło przestrzeń za barem - nikt się tu nie czaił. W kucki przeszła do końca kontuaru i wysunęła się zza niego.

Usłyszała metaliczny trzask zamków w drzwiach, a potem wysoki ton skrzypiących zawiasów. Ktoś odemknął tylne drzwi, te, które próbowała wyważyć. Podniosła się i podbiegła do biura, gdzie przystanąła i znowu kucnęła. Na podłodze leżało bezwładne ciało -

policjant z radiowozu. Miał rozrzucone ręce, twarz skierowaną ku górze i otwarte oczy. Jego niebieski mundur lśnił na piersi w nienaturalny sposób. W jednej ręce wciąż ścisnął broń, z drugiej wypadła mu latarka i potoczyła się kilkanaście centymetrów w bok. W przyćmionym świetle docierającym z biura widoczne były odłamki rozbitej szybki i żarówki.

Cały czas trzymając pistolet w gotowości, zajrzała do biura przez okrągłe okienko w drzwiach. Następnie przyjrzała się boksom i znów zlustrowała wejście do biura. Na wprost po lewej były drzwi do łazienki. Skręciła się wokół własnej osi, żeby ocenić przestrzeń za sobą, po czym wróciła do wcześniejszej pozycji. Dopiero wtedy zbliżyła się do ciała. Nie spuszczając wzroku z białej kropki celownika pistoletu ani z wejścia do biura, sięgnęła do tętnicy szyjnej policjanta. Nie było pulsu.

Przeszła nad ciałem i cicho przysunęła się do wejścia do biura. Niewielka lampka z zielonym abażurem stojąca na zagraconym biurku stanowiła jedyne źródło światła.

Tylne drzwi były otwarte.

Na zewnątrz trzasnęły drzwi od samochodu. Julia przebiegła przez pomieszczenie, które było

jednocześnie biurem i magazynem, klucząc pomiędzy stertami pudeł i niewykorzystanego sprzętu. Kiedy wpadła do zaułka, skręciła na parking. Zobaczyła sedana, który paląc gumy, przy pisku opon i na maksymalnych obrotach silnika wyjeżdżał właśnie na Brainerd Road. Julia uniosła broń i oddała trzy szybkie strzały.

Tylna szyba sedana rozprysła się na setki odłamków, które rozsypały się po bagażniku auta i po asfalcie niczym obsyty drogimi kamieniami tren panny młodej. Już miała wystrzelić po raz kolejny, kiedy samochód zniknął za rogiem budynku.

Przemknęła przez tylne drzwi do wnętrza lokalu, przeskoczyła nad ciałem policjanta i pobiegła do budki telefonicznej. Wcisnęła broń do kabury, weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Rozbłysło światło. Nie wiedziała, czego szuka ani czy mogłaby to niechcący zniszczyć, więc poruszała się ostrożnie. Stała na niewielkim siedzeniu i od spodu nacisnęła dłońmi plastikową obudowę lampy, lekko ją unosząc. Wsunęła rękę w powstały otwór, powoli sondując przestrzeń w środku. Nagle puścił zaczep obudowy, która spadła na podłogę obok Julii. Odsłonił się sufit i mocowanie lampy, ale niczego tam nie znalazła. Następnie sprawdziła sam telefon: wylot zwrotu monet, zewnętrzne krawędzie przylegające do ściany budki. Szczyrykiem wydłubała z metalowej ramki instrukcję obsługi. Niczego za nią nie ukryto, nie było tam żadnej wiadomości.

Chciała jeszcze sprawdzić dach budki, ale najpierw wsunęła rękę pod siedzenie i wyczuła tam kawałki skamieniałej gumy do zucia oraz twarde, kanciaste brzegi, których nie mogła zidentyfikować. Serce zaczęło jej bić szybciej. Upadła na kolana, przycisnęła głowę do drewnianej ścianki budki i zerknęła pod spód. Zbyt ciemno. Zaczęła macać brzegi i wsporniki podtrzymujące siedzenie. I wtedy coś poruszyła. Spróbowała to wydłubać i przedmiot wysunął się z za wspornika. Mały plastikowy kwadrat.

Chip pamięci!

Do chipa był przyklejony „tropiciel”. „Goody, ty sprytny lisie” - pomyślała. Wyłączył nadajnik, ale przyczepił go do chipa, tak żeby każdy, kto go szukał - a w każdym razie Julia - od razu wiedział, że to on go tam umieścił.

Mocno ściskając chip, otworzyła składane drzwi i światło zgasło. Skierowała się do tylnego wyjścia i dalej do zaułka. Była w połowie parkingu, gdy usłyszała pierwsze syreny policyjne. Policjant, który został zabity, zobaczył pewnie w środku światło lub coś innego, wezwał wsparcie, a potem ruszył na spotkanie ze śmiercią. Wbiegła w zaułek po przeciwnej stronie, pod osłonę ciemności. Kiedy dotarła do przecznicy, usłyszała, że chór syren osiągnął

kulminację, a następnie opadł, kiedy opony radiowozów zapiszczały przy hamowaniu.

obejrzała się i zobaczyła czerwono-niebieskie światła migające przy ogrodzeniu na tyłach parkingu oraz coś jeszcze.

Cień. Szybko usunął się w mrok przy płocie w połowie ulicy. Kryjąc strach, swobodnie przeszła za

róg ostatniego budynku w tym kwartale. Wsunęła chip do szerokiej tylnej kieszeni spodni. Wyjęła pistolet i cofnęła się, by spojrzeć w zaułek.

Cienie, tylko cienie.

Stała tak, wciąż wpatrując się w ciemność. Nic się nie poruszało. Światła migwały w oddali jak w psychodelicznym śnie. Powoli odsunęła się od rogu budynku, obróciła się szybko i pobiegła przez jezdnię do następnego ciemnego zaułka.

Była już niemal przy końcu tego kwartału, kiedy usłyszała za sobą zgrzyt buta na asfalcie.

\*

Chevrolet vega krztusił się i charczał, zjeżdżając z autostrady I-153 na Shallowford Road.

Domy przycupnęły tutaj blisko ulicy, nieduże, ale solidne i ciepłe.

Samochód zwolnił, kiedy Stephen Parker próbował wrzucić drugi bieg. Skrzynia biegów zazgrzytała w proteście, a następnie ucichła, kiedy drążek wskoczył na swoje miejsce.

Stephen puścił sprzęgło, wysłał w niebo obłok gęstego dymu i auto szarpnęło do przodu.

Zwolnił nieco pedał gazu, kiedy wyczuł, że osiągnął już dozwoloną prędkość; wskazówka szybkościomierza nie drgnęła z pozycji zero, odkąd pamiętał.

Przejechał Missionary Ridge i szukał Alei Dodds, która powinna być dwie przecznice dalej lub...

W świetle reflektorów prosto w jego stronę pędziła upiorna postać.

Stephen gwałtownie wcisnął hamulec, zapierając się o kierownicę. Autem rzuciło, po czym samochód się zatrzymał. Stephen zdumionym wzrokiem wpatrywał się w zjawę na ulicy.

To był Allen. Wyglądał na równie zaskoczonego jak Stephen. Kłusował niemrawo w białym blasku, kurczowo zaciskając ręce na brudnym beżowym kocu, którym był owinięty.

Podszedł od strony pasażera, szarpnięciem otworzył drzwi i wsunął się do środka.

- Już możesz zamknąć usta - powiedział.

- Co to ma być?! - wrzasnął Stephen rozedrganym głosem w dolnej części skali chromatycznej. - Prawie rozjechałem cię na naleśnik, człowieku! Myślałem, że mówiłeś o Texaco!

Allen był nieporuszony.

- Nie mogłem ryzykować i dłużej tam czekać. Pewnie właśnie tam by najpierw szukali. Ruszaj.

- Oni?

- Po prostu jedź.

- Dokąd?

- Z powrotem do ciebie - Allen spojrzał na niego. - Możemy?

- Mnie to pasuje. - Stephen wrzucił jedynekę, zawrócił i dodał gazu w stronę autostrady. - Kim są oni? Co ty zrobiłeś, Allen? Człowieku, czy to coś poważnego?

Allen siedział skulony na fotelu i patrzył na chodnik uciekający za nimi. Obrócił się, by zlustrować boczne okna i z powrotem zaczął wyglądać przez tylną szybę.

- Nie mam pojęcia, kim oni są, poza tym, że jeden z nich porusza się jak cień i ma wielką, grzmiącą spluwę. O ile wiem, to nie zrobiłem nic. A to jest tak poważne jak życie i śmierć, OK?

- Ale ty... Ja tylko... Człowieku!

Przejechali kilka kilometrów w milczeniu i Allen zaczął się rozluźniać. Zwrócił twarz ku górze, oparł się o zagłówek i po prostu oddychał. Po kilku minutach opuścił głowę, rozejrzał się po wnętrzu auta po raz pierwszy i powiedział:

- Niezły wóz.

- Fajny kocyk.

- No. Leżał na siedzeniu w jakimś starym buicku. Przywiozłeś ubrania?

- Jasne - potwierdził Stephen, wskazując głową do tyłu.

Allen wciągnął na kolana papierową torbę i wygrzebał z niej kalesony. Naciągnął je - odstawały mu w pasie niczym pantalonek.

Stephen zerknął na Allena. Spojrzał jeszcze raz.

- Wyglądasz, jakbyś właśnie uciekł z chińskiej tortury „Śmierć Poprzez Tysiąc Cięć”.

- Tak właśnie się czuję.

- Coś mi powiesz?

- Nie.

- No coś ty, Allen. Jesteś goły, jak cię Pan Bóg stworzył, pocięty na kawałki, uciekasz przed... któż to wie? Powiedz mi coś.

- Muszę to najpierw przemyśleć, dobra? Wszystko zdarzyło się tak szybko, że naprawdę nie wiem, co się dzieje. Postaram się... postaram się być z tobą szczery. Naprawdę.

- Mhm.

Znów zapadła cisza. Kiedy Stephenowi udało się przyspieszyć vegą na autostradzie, Allen odezwał się miękko:

- Dzięki, że po mnie przyjechałeś. - Ani na chwilę nie zdjął oczu z oświetlonej reflektorami szosy.

\*

Znowu to samo.

Zgrzyt buta na ziemi. Parę kroków za nią.

Julia rzuciła się do przodu, kuląc górną część ciała i wyrzucając stopy w przewrocie, dzięki czemu zmieniła pozycję, zyskiwała dystans od napastnika i mogła wydobyć broń jednym szybkim ruchem. Ćwiczyła to wielokrotnie, ale po raz pierwszy wykonała to w praktyce. Gdy jej prawa stopa ponownie dotknęła ziemi, wykonała na niej obrót, unosząc pistolet w gotowości do strzału i kucając przy tym.

Nikogo nie było.

Tylko cienie - znowu.

Kontener, pięć metrów dalej. Ziemia wokół niego była usiana chwastami i śmieciami.

Wszystko spowite ciemnością. Nic się nie poruszało - czasami tylko niewyczuwalny podmuch dotknął jakiegoś liścia lub pomiętego papieru.

Ale na pewno słyszała ten szmer. Nawet czuła czyjąś obecność. Nikt nie mógł się ukryć tak szybko, zniknąć tak zupełnie bez śladu. Zachowywała się, jakby była wystraszona.

Zachowywała się? Była wystraszona. Nerwy miała w strzępach. To oczywiste, ale czy to wyjaśniało, że widziała prześladowców w ciemności, słyszała nieistniejące kroki? Raczej nie.

Podniosła się i, trzymając pistolet blisko przy nodze, przetrawersowała resztę kwartału.

Znowu weszła za róg ostatniego z budynków tak swobodnie, jak tylko pozwoliły jej na to napięte mięśnie, a następnie przykleiła się do cegieł. Czekala, nasłuchując, z bronią w gotowości. Minuta. Żadnego dźwięku. Dwie minuty. Nic. Wyrzała zza rogu. W oddali, dwie przecznice od niej, ale zdawało się, że znacznie dalej, światła policyjne tańczyły w cichym balecie. Poza tym nic się nie poruszało, wszystko zdawało się być na swoim miejscu, chociaż mrok otulał niemal całą uliczkę.

Julia wsunęła broń do kabury, odwróciła się i wyszła z zaułka, kierując się w stronę Brainerd Road i samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Obok przemknęła na sygnale karetka jadąca w kierunku baru, migając światłami. Julia przecięła Brainerd.

Na parkingu przed barem i wokół niego stał co najmniej tuzin radiowozów. Jeśli morderstwo agenta



federalnego jeszcze nie pobudziło policji do energicznego działania, to śmierć jednego z ich ludzi z pewnością podziała jak zapłon.

Dopadła samochodu i błyskawicznie otworzyła drzwi. Nic nie zdążyło wyskoczyć na nią z ciemności - siedziała już w aucie i włączała silnik. Ostro skręciła kierownicą, żeby objechać pikapa zaparkowanego przed nią, i wcisnęła gaz. Skręciła w lewo - chciała pojechać dalej wzdłuż Brainerd Road w przeciwną stronę niż bar i przedostać się przez miasto do motelu.

Minęła sześć przecznic i dała sygnał do skrętu, kiedy nagle z tylnego siedzenia wysunęła się ręka i chwyciła ją za gardło. Drgnęła zaskoczona i autem gwałtownie zarzuciło na zakręcie. Uderzyła w krawężnik. Dwa koła wjechały na chodnik, ale sprowadziła auto z powrotem na jezdnię.

Ręka wciąż trzymała ją mocno - uchwyt był silny, ale jej nie dławił. Julii zdawało się przez chwilę, że z którejś opony uchodzi powietrze, ale dźwięk pochodził skądinąd.

To napastnik szeptał jej do ucha:

- Szszszszszsz... Szszszszszsz...

Chwyciła go za przedramię. To, czego dotknęła, nie było ludzkim ciałem, lecz czymś twardym jak stal, chociaż to nie była stal, to było coś cieplejszego i miało inną fakturę.

Coś wielkiego, być może wykonanego z twardego plastiku, jakby... rękawica.

Prześladowca nacisnął mocniej i Julia puściła.

- Co...?

- Szszszszsz.

Na ulicy McBrian zignorowała czerwone światło i szerokim łukiem zjechała na lewo, kierując się na zachód.

Wreszcie napastnik wyszeptał jakieś zrozumiałe słowa. Jego głos był łagodny i miły.

- Trzymaj obie ręce na kierownicy - powiedział.

Skinęła głową.

- Zjedź na bok.

- Nie.

Ścisnął mocniej.

- Skręć tu w prawo i stań - spółgłoski były ostrzejsze, łagodność zniknęła.

- Powiedziała: nie - powtórzyła i minęła drogę, o której mówił.

Uchwyt się zacieśnił. Teraz było jej trudno oddychać. Poczula, jak krew pulsuje jej w skroni. W tylnym lusterku migąła jej jego twarz: oczy rozbłyskujące na zielono, gdy odbijał

się w nich blask ulicznych latarni, gęste kruczoczarne włosy, okulary.

- Nie skrzywdzę cię - wyszeptał. - Wysłano mnie, bym przekazał wiadomość.

- Nie wierzę ci - wychrypiała.

- Gdybym chciał cię zabić, już bym to zrobił.

Julia zastanowiła się. Nie mówił prawdy - nie dała mu szansy. Wskoczyła do samochodu i natychmiast ruszyła. Od tamtej pory auto było cały czas w ruchu. Zabijając ją w trakcie jazdy, ryzykował wypadek - wtedy mógłby ściągnąć na siebie uwagę i zostać ranny.

Ale dlaczego nie zczekał z ujawnieniem się do czasu, kiedy znowu by się zatrzymała?

Gdyby zabił ją przy znaku stop lub na światłach, najprawdopodobniej nie zostałby ranny, ale -

być może - nie zapobiegłoby to wypadkowi. Umierając, w skurczu pośmiertnym mogłaby wcisnąć stopą pedał gazu. Nie mógł czekać, aż dotrze do celu i wyłączy silnik. Co by było, gdyby właśnie jechała na policję? Pomyślała też, że porwacz nie będzie czekać z zabiciem jej, aż sama się zatrzyma, bo im dłużej jechała, tym dalej odwoziła go od miejsca, gdzie zostawił własny środek transportu. Wtedy albo musiałyby pojechać z powrotem jej samochodem, z jej ciałem lub bez niego, albo znaleźć inny sposób, żeby tam wrócić. Czy zabójcy brali takie rzeczy pod uwagę? Sądziła, że tak.

- A więc? - odezwał się. - Zjedź na bok.

Zamiast tego Julia nacisnęła na gaz. Auto z rykiem wyrwało do przodu, mijając inne samochody i czerwone światła.

Ręka zacisnęła się mocniej.

\*

Zanim dojechali do chaty przy kościele, Allen zdążył już nałożyć za duże na niego ubranie Stephen.

- To tutaj? - Allen zapytał z niedowierzaniem.

- Nie ma jak w domu - potwierdził Stephen i wysiadł z samochodu.

Chata była położona za kościołem. Parking znajdował się po północnej stronie świątyni, na wprost domu Stephen, co stwarzało wrażenie, że gość mógł skierować swe kroki albo do kościoła, albo do chaty, jak gdyby miała ona jakieś historyczne znaczenie.

Wszystko otaczał gęsty sosnowy las. Polna droga, która tutaj prowadziła, kończyła się na łące, gdzie zaczynał się zwirowy parking. Do niedawna w miejscu parkingu była tylko zryta kolejnami ziemia, ale w zeszłym roku w skarbonce maleńkiego kościółka zebrano się wreszcie wystarczająco dużo funduszy, żeby wyrównać teren i wysypać go żwirem.

Stephen poszedł przodem. Idąc po schodkach na ganek, ominął środkowy stopień i pokazał Allenowi, żeby też na nim nie stawał. Kiedy obaj już byli w środku, odezwał się:

- Potrzebujesz czegoś?

- Wziąć prysznic.

- Łazienka jest tam. Chcesz coś zjeść, napić się?

- Może być woda - wskazał głową w stronę łazienki. - Mogę?

- Mi casa, su casa - Stephen był zmęczony, ale w jego szerokim uśmiechu widać było szczerą gościnność.

- Muchas gracias - Allen przeszedł do łazienki. Wyglądał jak dziecko, które ubrało się w rzeczy ojca.  
- Ręcznik?

- W szafce po prawej.

Allen powoli zamknął drzwi. Wyglądał na zupełnie wykończonego.

Stephen skierował się do kuchni. Napełnił lodem dwa plastikowe kubki i postawił je na stoliku kawowym przy tapczanie.

- Woda jest tutaj, jeśli będziesz chciał się napić - krzyknął w stronę drzwi do łazienki, zanim opadł na łóżko. Spojrzał na zegar ścienny. Było po pierwszej. Zawsze wstawał przed piątą - miał wewnętrzny budzik - więc zapowiadał się raczej ciężki dzień.

Zapatrzył się w drzwi do łazienki. Tym razem Allen popadł w poważne kłopoty, nie było co do tego wątpliwości. Zastanawiał się, czy mógł lub czy nawet powinien mu pomóc.

Czasami najlepsze, co można było zrobić, to pozwolić ludziom samym rozwiązać swoje problemy. Pewnie zależało to od tego, na ile groźne mogło się to okazać.

Na ścianie pełnej książek pojawił się kwadrat światła z reflektorów zbliżającego się samochodu. Stephen dobrze znał ten wzór: kiedy auto wyjeżdżało z ostatniego zakrętu przed wjazdem na parking, blask reflektorów wpadał do środka przez okno frontowe i, przesuwając się po książkach, zatrzymywał się zazwyczaj na *Komentarzu do Nowego Testamentu* oraz *Wyraźnym i bliskim zagrożeniu* Matthew Henry'ego. Potem światło przemieszczało się na sufit i w momencie, gdy samochód wjeżdżał na parking, prześlizgiwało się mniej więcej na środek pokoju, żeby w końcu zatrzymać się przy drzwiach, kiedy auto zbliżyło się do ganku.

Jednakże tym razem światło znikło tuż po tym, jak doszło do *Drakuli*. Stephen usiadł

prosto na tapczanie. Samochód stanął, zanim wjechał na parking. To go zaalarmowało, szczególnie w połączeniu z późną godziną oraz dziwnymi wydarzeniami tej nocy.

Podniósł się i ostrożnie podszedł do okna. Auto powoli, w ciemności, z wyłączonymi reflektorami pokonywało dziesięciometrowy dystans dzielący je od polany. Kiedy zderzak dojechał do miejsca, gdzie zaczynał się żwir, samochód się zatrzymał.

Stał tam w szarej nocnej mgle. Ludzie siedzący w aucie musieli się zorientować, że ktoś jest w domu. Widzieli vegę zaparkowaną pomiędzy budynkami i światło w chacie. Czy to przed tą zmorą uciekał Allen?

- Allen? - zapytał miękko. Brak odpowiedzi. Powtórzył, tym razem głośniej. Słyszał przez drzwi, jak w łazience leje się woda z prysznicą. Przestała.

- Allen?

- Co?

- Chodź tutaj!

Reflektory zgasły. Samochód znowu ruszył, wjeżdżając na łąkę. Blask księżyca zdjął

z niego cienie niczym dyrektor generalny odsłaniający dumnie najnowszy model swojej firmy. Była to corvetta - na tyle nowa, że nie miała już chowanych reflektorów.

Powoli wtoczyła się na parking i skierowała w stronę chaty. Zapaliły się światła stop, oświetlając na czerwono drzewa w tyle. Auto stanęło. Stephen dostrzegł owale twarzy osób siedzących wewnątrz, które obracały się, gdy tamci lustrowali okolicę. Potem samochód znowu wolno ruszył w stronę chaty.

Stephen odsunął twarz od okna i oparł głowę o ścianę. To mogła być policja, bandyci albo po prostu ludzie, którzy zgubili się w drodze do klubu Drestin Dinner Theater.

Ludzie nieraz zatrzymywali się tutaj, żeby zapytać o drogę.

Corvetta stanęła przed domem. Usłyszał, jak otwierają się i trzaskają drzwi samochodu.

Przysunął się do drzwi. Powinien je otworzyć czy zignorować pukanie, które zaczęło się za pięć sekund? Jeśli ci nieznajomi potrzebowali pomocy, Stephen chciał im pomóc.

Jeśli mieli złe zamiary, to i tak znajdą sposób, by wejść.

Otworzył drzwi, jednocześnie włączając jasne światło na ganku. Dwaj mężczyźni spojrzeli za niego zdumieni. Stephen uśmiechnął się do nich szeroko. Jeden z mężczyzn stał

przed samochodem obrócony bokiem. Miał rude włosy i milion piegów. Coś w jego oczach spowodowało, że Stephen się zatrzymał. Spojrzał na drugiego, który był starszy niż Piegus, może koło czterdziestki. Ten miał krzaczaste wąsy i bardzo czarne oczy.

Stephen usłyszał, jak otwierają się za nim drzwi łazienki.

- Czy powiedziałaś...? - zaczął Allen.

Stephen zerknął przez ramię na brata. Stojąc w drzwiach do łazienki, z przepasanym na biodrach ręcznikiem, Allen wychylał się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Szczeka mu opadła, a oczy rozwarły się szeroko.

- Stephen! Nie! - wrzasnął. - Zamknij drzwi! Nie.

Stephen odwrócił się z powrotem w stronę dwóch mężczyzn. Piegus wyszarpnął

właśnie zza pleców strzelbę. Uniósł ją, mierząc do Allena. Przymknął oko i wycelował.

Strzelba zagrziała.

\*

Samochód pruł wzdłuż Brainerd Road, lekko się zataczając w blasku halogenowych latarni i świateł drogowych - zielonych, żółtych, czerwonych.

Julia walczyła, żeby zaczerpnąć oddech, jedną słabą ręką dotykając rękawicy. Dłoń prześladowcy zacisnęła się, zgniatając jej tchawicę niczym słomkę. Duże plamy fioletu i czerwieni zaczęły latać jej przed oczami. Próbując się uwolnić, szalonym wysiłkiem szarpnęła kierownicą w prawo i uderzyła w drzwi jakiegoś zaparkowanego samochodu.

Iskry i szkło z reflektora zasypały przednią szybę - metal zakrzyczał, bo Julia nie mogła.

Napastnik na tylnym siedzeniu ledwie się zachwiał i poluzował uścisk. Łykała powietrze głębokimi wdechami, płuca jej płonęły, gardło paliło.

Jechali teraz prawie sto kilometrów na godzinę wzdłuż jednej z najbardziej ruchliwych ulic Chattanooga. Był to wyczyn nie do powtórzenia przy dziennym ruchu. Teraz, kwadrans po pierwszej, Julia mogła wykorzystać pustkę na drodze.

- Zwolnij - syknął prześladowca, dodatkowo akcentując wypowiedź wzmocnieniem uścisku. Ból przeszył jej szyję, promieniując aż do dna prawego oka. Czuła, że narasta w niej panika, która pozbawi jej umysł wszelkich zahamowań. Napastnik ponownie zacisnął dłoń i tym razem nie osłabił uchwytu.

- Mówię poważnie - powiedział. - Jeśli ściągniesz na nas uwagę, bez namysłu skręcę ci kark.

Przestała tak mocno cisnąć na gaz, a on poluzował uścisk na jej szyi. Prędkość spadła do

osiemdziesięciu, a potem do siedemdziesięciu.

- Grzeczna dziewczynka.

Samochód przeciął czerwone światło i auto, którego Julia nie zauważyła, zaczęło na nią głośno trąbić.

- Rozumiem - wyszeptał porywacz. - W pewnym sensie mamy tu impas, prawda?

Wskaźówka szybkościomierza oscylowała wokół sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.

- Pewnie próbujesz odgadnąć mój następny ruch - odezwał się. - Pomogę ci: teraz rozważam, jakie mam opcje. Mogę zabić cię w trakcie jazdy i zaryzykować wypadek.

Oczywiście, będę wtedy próbował złapać kierownicę i przejąć prowadzenie. To może się udać. Albo mogę poczekać, aż będziesz musiała stanąć - ze względu na ruch na drodze, żeby napełnić bak, cokolwiek. To musi się zdarzyć prędzej czy później.

Pozwolił jej przemyśleć te opcje.

- Albo możesz zjechać na bok, ja przekażę ci wiadomość, tak jak mi zlecono, i pójdę swoją drogą.

Julia jechała dalej. Kropla potu oderwała się jej od brwi i wplynęła do oka, które zaczęło piec. Spróbowała pomrużyć, żeby pot wypłynął. Na ustach czuła miedziany posmak krwi - znowu nagryzła rozcięcie na wardze. Ani przez chwilę nie wierzyła, że porywacz ma jakąś „wiadomość” do przekazania - przynajmniej nie taką, która pozostawiłaby ją przy życiu.

Chciał tylko zasiać w niej wątpliwości, dać jej cień nadziei. Nadzieja powstrzyma ją przed drastycznym działaniem i może nawet skłoni ją do skręcenia w ciemną boczną uliczkę, gdzie zabicie jej byłoby znacznie wygodniejsze.

- Wiesz co? - odezwał się, a w jego głosie brzmiała groźba. Julii wydawało się, że następne zdanie wypowiedział przez zaciśnięte zęby. - Podoba mi się pomysł, żeby jednak zaryzykować wypadek.

Nagle opuścił głowę niżej. Gdzieś w połowie ulicy widać było zbliżający się z naprzeciwka radiowóz.

- Nie. Nie migaj światłami - powiedział, a każde słowo było tak twarde, jak uchwyt na jej szyi. - Nie rób min ani nie kiwaj palcem. Jeśli ich zaalarmujesz, utrzymam cię przy życiu tak długo, żebyś udławiła się ich krwią.

Była całkowicie pewna, że nie są to puste słowa.

Radiowóz był coraz bliżej. Latarnie uliczne oświetlały twarze siedzących w nim dwóch policjantów - patrol. Byli pewnie sfrustrowani rozkazem, żeby trzymać się ustalonej rutyny, kiedy niedaleko trwało śledztwo w sprawie zabicia ich kolegi. Funkcjonariusz siedzący na fotelu pasażera powiedział coś ostro. Kierowca zgodził się z nim, marszcząc brwi. Z doświadczenia Julia wiedziała,

że równie dobrze mogli rozmawiać o swoich żonach.

Byli nie dalej niż kilka metrów, kiedy gwałtownie skręciła kierownicę i wjechała wprost na pas, którym nadjeżdżali.

\*

Piegowaty napastnik w momencie strzału spróbował zbliżyć się o krok do Stephen.

Gdy przymykał oko, żeby wycelować, stanął nogą na zbutwiałym stopniu, który Stephen zamierzał naprawić. Schodek zapadł się pod jego ciężarem, a stopa mężczyzny utknęła w środku. Strzelba zagrzmiała i tuż nad drzwiami odpadł fragment deski wielkości głowy, a na Stephen posypały się drzazgi i trociny.

Stephen wyskoczył przez drzwi, unosząc łokieć, jakby chciał rozbić tamtemu szczękę

- ruch wyćwiczony niegdyś w czasach studenckich, kiedy grywał w futbol amerykański.

Ponieważ Piegus po wpadce ze schodkiem był pochylony w dół i do przodu, łokieć Stephen trafił go prosto w czoło. Uderzenie spowodowało, że zatoczył się w przeciwnym kierunku. Stephen chwycił strzelbę za lufę i bez problemu wyjął ją z rąk nieprzytomnego Piegusa. Odwrócił broń, kierując ją w stronę drugiego napastnika, który właśnie wyciągał zza pleców pistolet.

- Nie ruszaj się! - wrzasnął Stephen.

Mężczyzna nawet się nie zawahał. Podnosił pistolet, aby zaprezentować jego śmiertelność skuteczną. Stephen zrozumiał, że tamten zamierza walczyć do końca.

- Achchch. - ryknął Stephen, wydając dźwięk niczym piec pod ogromnym ciśnieniem.

Rzucił strzelbą w mężczyznę, który podniósł ramię, żeby się osłonić. Zanim odbił strzelbę, Stephen był już przy nim. Ogromną pięścią zdzielił go w skroń. Mężczyzna osunął się pod ciosem.

Stephen stanął nad nim zaskoczony swoją skutecznością. Schylił się i podniósł pistolet oraz strzelbę. Piegus wylądował na plecach na masce samochodu, a jego noga wciąż tkwiła w dziurze w schodach. Sportowa kurtka rozchyliła się, odsłaniając kaburę na piersi. Stephen wyjął z niej pistolet. W wewnętrznej kieszeni kurtki zobaczył zarys portfela i wyszarpnął go.

Otworzył - w środku była odznaka. Biuro Szeryfa Hrabstwa Hamilton. Wsunął ją do tylnej kieszeni. Zrobił parę kroków w kierunku lasu i odrzucił broń w ciemność. Poszukał

dokumentów u drugiego mężczyzny, ale ich nie znalazł.

Potem ruszył do chaty, wołając Allena. Drzwi do łazienki były zamknięte na zamek.

Wyważył je ramieniem. Gołe stopy Allena właśnie prześlizgiwały się przez niewielkie okienko nad staromodną wanną.

- Allen! - Stephen nachylił się nad wanną, żeby wyrzucić na zewnątrz. Allen czołgał się na czworakach, w jednej ręce trzymając ubrania, a w drugiej parę butów. - Allen!

Brat stanął i odwrócił głowę.

- Chodź od frontu, człowieku - powiedział Stephen.

Przeszedł przez dom i stanął na ganku. Napastnicy nawet nie zaczęli jeszcze dochodzić do siebie. Zszedł z ganku i zajrzał przez otwarte okno corvetty. Wyciągnął ze środka kluczyki i jakieś urządzenie nieco większe od telefonu komórkowego, z którego wystawał trzydziestocentymetrowy cylinder. Stephen rozpoznał przedmiot, ponieważ widział

go w Błękitnej planecie - jednym ze swoich ulubionych programów. Był to telefon satelitarny, który działa niemalże w każdym miejscu na świecie, ponieważ nie zależy od lokalnych sieci ani przekaźników. Telefon był połączony ze skrzynką, która wyglądała jak modem z klawiaturą. Stephen nie miał pojęcia, co to jest - chyba musiał opuścić tamten odcinek.

Odwrócił się do Allena, który wychodził z wiaty, gdzie była zaparkowana vega.

- O rany - odezwał się Allen. - O rany. Ty to zrobiłeś? Rany!

To był pierwszy uśmiech, jaki Stephen zobaczył tej nocy na twarzy brata. Wskazał na Piegusa:

- Ten jest gliniarzem.

- Co?

- Ma odznakę zastępcy szeryfa.

Cisza.

- Ale nie sądzę, żeby był tutaj jako glina - powiedział Stephen. - Próbował strzelić do mnie, a nie odezwał się słowem, poza tym to nie jest policyjny samochód.

Allen zaklął.

- Wsiadaj do auta. Zaraz przyjdę - Stephen zrobił krok w stronę lasu i rzucił kluczyki jak najdalej.

- Co to było?

- Kluczyki do samochodu.

- Co? Jak to? - zapytał Allen. - Powinniśmy wziąć ich wóz. Jest dużo lepszy niż twój.



Tylko spójrz.

Stephen zastanowił się.

- Teraz już za późno.

- A co to jest? - spytał Allen, wskazując na dwa pozostałe przedmioty.

- Telefon satelitarny i jeszcze jakiś gadżet.

- No to ich chociaż nie wyrzucaj. Może się nam przydadzą.

- Do czego?

- Nie wiem, ale musimy szukać jakichś dobrych stron, prawda? Nigdy nie wiadomo.

Co to szkodzi?

- Ludzie, z którymi ci faceci się komunikowali, mogą pewnie namierzyć sygnał -  
powiedział Stephen.

- W takim razie to wyłącz. Włączymy i będziemy tego używać od czasu do czasu, kiedy będziemy w ruchu, tak żeby nie mogli nas znaleźć. - Stephen miał wątpliwości. - Daj spokój, człowieku. Potrzebujemy czegoś.

- Dobra, masz - wręczył sprzęt Allenowi. - A teraz wsiadaj do auta.

Przeskoczył schodki prowadzące na ganek i wpadł do chaty. Minutę później wyłonił się, niosąc papierową torbę. Wyłączył w domu górne światło i zamknął drzwi.

Kiedy wcisnął się do vegi na fotel kierowcy, Allen zapytał:

- Gdzie jest ich broń?

- Wyrzuciłem.

Allen machnął ze złością ręką.

- A co ty byś zrobił z bronią? - zapytał Stephen i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zakaszłał, zacharczał, strzelił w gaźnik i zaczął pracować nierównym rytmem. Stephen wrzucił pierwszy bieg i wyprowadził vegę spomiędzy budynków.

Allen wyrzucił rękę tuż przed twarzą brata, wskazując na coś:

- Patrz!

Glina z wężami nachylał się do samochodu, wyjmując coś z foteli.

- Co on robi?

- Na pewno nic dobrego - Stephen wcisnął sprzęgło i skierował podrygującą vegę na drogę.

Mężczyzna wyprostował się, trzymając w rękach coś, co wyglądało jak ulubiona broń Arnolda Schwarzeneggera, taka, jaką można rozsadzać skały. Spojrzał gniewnie na obu braci.

- Jedź! Jedź! Jedź! - wrzasnął Allen.

Autem zarzuciło, ale byli coraz bliżej zjazdu.

- Odbezpiecza to albo coś...!

Zjechali ze żwiru na drogę gruntową, prześlizgując się pomiędzy pierwszymi drzewami.

Powietrze wypełnił metaliczny huk. Drzewa wokół nich eksplodowały. Wcisnąwszy gaz do dechy, Stephen zerknął na Allena i zobaczył tylko niewiarygodnie wielkie oczy.

Chmury zasłaniały księżyc, spowijając drogę ciemnością. Stephenowi przemknęła przez głowę nedorzeczna myśl, że to symbol, sposób, w jaki Bóg zapowiada ich śmierć.

Samochodem szarpnęło w bok, kiedy salwa dosięgła boku auta z tyłu za fotelem Stephena. Po obu stronach wozu pojawiły się poszarpane dziury. Wtedy Stephen wyjechał z zakrętu, wiedząc, że są już niewidoczni dla prześladowcy. Mimo to dalej jechał, jakby po piętach deptał mu sam diabeł.

Po paru kilometrach przejechali przez wiekowy most nad strumieniem Chickamauga.

- Gdzie jest droga? - zapytał Allen, jak gdyby sądził, że napastnicy ją zabrali.

- Asfaltowa? Nie zamierzam wjeżdżać na żadną asfaltową drogę, jeśli tylko zdołam tego uniknąć. Pojedziemy głębiej w las, dopóki nie wymyślimy, co robić dalej.

Allen zaczął zakładać zapasowe ubranie Stephena po raz drugi tej nocy.

Stephen przyjrzał mu się i potrząsnął głową.

- Nie zamierzałem znowu przedzierać się nago przez las - powiedział Allen.

- Nie, tym razem raczej się czołgałeś.

Allen nic nie odrzekł.

- Słuchaj, Allen.

Samochód wpadł w jakąś wyjątkowo głęboką koleinę. Rąbnęli głowami o sufit.

- Słuchaj, mimo tego wszystkiego, co nas różni, teraz tkwimy w tym razem, cokolwiek to jest. Musisz mi powiedzieć, co się tutaj dzieje.

Allen skinął głową.

- Zawieź nas w jakieś bezpieczne miejsce, a opowiem ci, co wiem, choć nie ma tego wiele.

\*

Julia zdążyła zobaczyć grymas przerażenia na twarzach policjantów na chwilę przed zderzeniem. Światła samochodów spotkały się i oświetliły intensywnie oba auta połączonym blaskiem, zanim reflektory się rozprysły, maski zostały zmiażdżone, a przednie szyby pękły i rozsypały się na kawałki. Huk kolizji był ogłuszający, jakby wpadły na siebie dwie góry.

Julię rzuciło do przodu. Pasy bezpieczeństwa napięły się, przytrzymując ją tak sztywno, że poczuła, jak pęka jej żebro. Poduszka powietrzna strzeliła niczym gigantyczny popcorn, odbijając ją do tyłu. Ramię napastnika oderwało się od jej szyi. Poczuła, jak jego ciało zwija się za fotelem, a potem wypada zza niego nogą i biodrem do przodu.

Chwilę później miała już wypięty pas, otwarte szeroko drzwi i wyslizgiwała się z samochodu. Spróbowała stanąć na nogi, potknęła się, podniosła i zatoczyła.

Metal z brzękiem uderzał gdzieś o ziemię, dźwięczało szkło, syczały chłodnice, wyciekał płyn, jeden z policjantów ryczał z bólu lub z wściekłości, a może z obu powodów.

Odwróciła się w stronę radiowozu. Policjant na fotelu pasażera odpychał otwartą poduszkę powietrzną.

Otworzył drzwi i wysiadł, przytrzymując się dla równowagi ramy okna. Miał nalaną gburowatą twarz gliny, który całe życie spędził na patrolu i zbliżał się już do emerytury.

Widać było, że jest zupełnie oszołomiony. Do policzka przykleił mu się zgnieciony papieros i kawałeczki tytoniu sypały się z niego, kiedy się poruszał. Dostrzegł Julię i rysy mu stwardniały.

Julia uniosła dłoń.

- Agentka federalna! - krzyknęła zachrypniętym głosem, ale wyraźnie. - FBI! - później może wyjaśnić różnicę. Zatoczyła się w stronę policjanta, wskazując na pogiete blachy swojego samochodu. - W moim aucie jest uzbrojony mężczyzna. Próbował zabić...

- Czy pani oszalała? - warknął.

- Mam tu uzbrojonego przestępcę! - Nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Podeszła bliżej, instynktownie odczytując nazwisko policjanta z naszywki na koszuli. - Posterunkowy Gilbert, nazywam się Julia Math.

- Proszę się zatrzymać! - Położył rękę na broni, ale po lewej stronie kabury. - Pokaż odznakę,

paniusiu, albo od razu kładź się na ziemi i rozłóż ręce. - Stracił z twarzy papierosa.

Julia rzuciła okiem na wrak swojego samochodu, ale nie zobaczyła zabójcy. Z

przedniej kieszeni spodni wyjęła legitymację i uniosła ją do góry. Policjant skinął, żeby się przybliżyła. Nagle drasnął go pocisk i jego czoło przecięła w poprzek czerwona rysa.

Mężczyzna zachwiał się do tyłu. Julia obróciła się w stronę swojego wozu. Przez obłoki pary, kłęby dymu i oślepiające światło jednego wciąż działającego reflektora dostrzegła ledwie widoczną sylwetkę zabójcy za ramą wybitej przedniej szyby. Opierał się o środek deski rozdzielczej, jakby gawędził sobie w okolicznej tawernie; jego prawe ramię było niewidoczne. Twarz po jednej stronie błyszczała od krwi. W lewej ręce trzymał okazałych rozmiarów pistolet półautomatyczny, pewnie czterdziestkę piątkę. Broń, duża już sama w sobie, miała jeszcze dokręcony długi tłumik, przez co przypominała niewielki karabin maszynowy. Napastnik skierował pistolet w stronę Julii. Czerwone światełko zapłonęło jej przed oczami.

Natychmiast padła na ziemię i usłyszała metaliczny odgłos wystrzału, po którym nastąpił cichy brzęk zużytej łuski uderzającej o pogniecioną maskę. Zanim zdała sobie z tego sprawę, już miała w ręce pistolet.

Posterunkowy Gilbert skoczył na nogi, czerwone draśnięcie na jego skroni błyszczało jak farba na twarzy wojownika. Wyciągnął pistolet i zaczął strzelać. Julia ze swej pozycji w kucki nie mogła zobaczyć zabójcy, ale policjant widocznie sądził, że widzi cel. Oddał sześć strzałów tak szybko, jak tylko udało mu się naciskać spust. Zanim przebrzmiał huk ostatniego wystrzału, już ponownie ładował broń.

Julia zlustrowała ulicę. Nie było cywilów. Dobrze. Najbliżej znajdowały się zamknięta księgarnia i całonocna pralnia, która wyglądała na pustą. Podskoczyła, cały czas trzymając na muszce pistoletu miejsce, gdzie ostatnio widziała zabójcę. Napastnik zniknął.

Drugi policjant, kierowca, wyczołgał się z radiowozu, opierając się rękami o ziemię.

Wyszarpnął ze środka nogi i podniósł się chwiejnie. Miał bladą twarz, ale Julia podejrzewała, że taką ma cerę. Był wysoki i chudy, miał około dwudziestu pięciu lat i płomiennie rude włosy. Z ust ciekła mu krew. Była to rana, jaką często odnosi się w bójkach: stracił górną jędynkę i miał przeciętą tętniczkę w dziąśle. Oszołomiony nachylił się do radiowozu i wyłonił się ze strzelbą. Przeładował broń, wprowadzając pocisk do lufy. Splunął

gęsto krwią i wrzasnął:

- Co jest?

- Strzelec! W tamtym aucie. Chyba mnie drasnął.

Żaden z mężczyzn nie okazał śladu paniki ani strachu, tylko determinację i zdrową dozę gniewu.

„Cholera, twardo ich tu chowają” - pomyślała Julia.

Kucając, przebiegła za radiowóz. Zabójca wysunął się zza deski rozdzielczej, strzelił i znowu zniknął. Usłyszała gwizd pocisku obok głowy.

Obaj policjanci oddali grzmącą salwę, odstrzeliwując kawały metalu, deski rozdzielczej i tapicerki.

„Dlaczego on wciąż jest w samochodzie? - zastanawiała się Julia. - Coś jest nie tak”.

Jak gdyby w odpowiedzi, napastnik wyskoczył zza bagażnika, mierząc w nich za pomocą celownika laserowego. Zanim zdali sobie sprawę z jego obecności, zdążył już wypalić i zniknąć. Kula strzaskała szybę w otwartych drzwiach kierowcy i wyrwała dziurę w piersi rudego policjanta. Ten krzyknął i poleciał do tyłu, zwalając Julię z nóg i przygniatając jej stopy.

- Stinky! Stinky! - wrzasnął posterunkowy Gilbert.

Przynajmniej zdawało jej się, że tak właśnie zawołał, ale równie dobrze mógł

krzyknąć „Stanky” lub „Spanky”. Naszywka z jego nazwiskiem nie pomogła - została przebita przez pocisk.

Ostrożnie, ale szybko, wysunęła spod niego nogi. Zazgrzytał zębami, skrzywił się i obrócił oczy w jej stronę. Wyglądał tak młodo. Podkuliła nogi pod siebie i przykucnęła, gotowa skoczyć, pobiec albo wykonać obrót. Jedną ręką uciskała ranę, a drugą zacisnęła na pistolecie.

Gilbert już krzyczał do mikrofonu, wyciągając jego zwijany przewód przez drzwi tak daleko, jak tylko to było możliwe.

- Funkcjonariusz dostał! Potrzebuję wsparcia! Już! Teraz! Natychmiast! - podał nazwy ulic. W odpowiedzi zaskrzeczał kobiecy głos.

Upuścił mikrofon, podrzucił głowę na tyle wysoko, że widział wrak samochodu Julii przez rozbity przednią szybę radiowozu.

- Co z nim? - zapytał, nie odwracając się, by popatrzeć.

- Żyje. Wygląda kiepsko.

Stinky był ledwie przytomny.

Gilbert zobaczył coś i podskoczył. Podniósł się, wyrzucił ramiona ponad dachem i oddał trzy strzały.

Zaczekał - nic.

Odgłos syren narastał w oddali, szybko się przybliżając.

Jakiś błysk zwrócił uwagę Julii i spojrzała w dół. Czerwone światelko zawisło na kostce Gilberta.

- Rusz się! - wrzasnęła i skoczyła do niego, ale było już za późno.

Kostkę rozsadziła jak gdyby wewnętrzna detonacja. Wiedziała, co się wydarzy, jeszcze zanim to nastąpiło. Policjant wrzasnął i upadł na ulicę. Czerwony punkt pojawił się na środku jego czoła - zdawało się, że już tam na niego czekał.

Wychodzący pocisk rozerwał mu tył głowy. Zabójca zaplanował cały ten manewr z przerażającą precyzją.

- Neeeeeee! - poruszając się nisko tuż przy tylnej oponie, Julia wsunęła broń pod samochód i na oślep wystrzeliła w kierunku napastnika szybką serię przy ziemi.

Z przeciwnej strony radiowozu, z bocznej uliczki, z rykiem wjechał na Brainerd Road wóz policyjny, hamując z piskiem opon i oświetlając reflektorami jej taurusa. Napastnik strzelił w jego stronę zza bagażnika. Brainerd Road wypełniła się kalejdoskopem świateł, kiedy pół tuzina radiowozów zjechało się wokół wraków obu aut, z czego trzy stanęły za nią, oświetlając zabójcę białym światłem reflektorów. Otworzyły się drzwi, policjanci wyskoczyli z samochodów, kryjąc się za nimi dla osłony.

Zabójca rzucił się w stronę zaułka pomiędzy pralnią a księgarnią. W biegu wciąż strzelał do Julii. Czerwona kropka lasera skakała wokół niej, a kule brzękały o karoserię radiowozu, wycinając w niej otwory wielkości półdolarówek i dziurawiąc asfalt. Za Julią strzeliła opona. Nie ruszając się z miejsca, odpowiedziała ogniem. Gdy jego stopa dotknęła krawężnika, jeden z jej pocisków uderzył go w ramię, obracając go wokół własnej osi. Rzucił

jej wściekłe spojrzenie, wzrok miał dziki.

Na ułamek sekundy zamarła, a w tym czasie on zdążył wycelować w nią broń. Nie widziała, ale czuła kropkę lasera na swoim czole.

I wtedy zawyły tysiące upiorów - dopiero po chwili zorientowała się, że to dźwięk oddawanych jednocześnie wielu strzałów z różnej broni.

Napastnik wciąż wpatrywał się w nią z wściekłością, kiedy jego ciało rozdzierał pocisk za pociskiem. Z pleców tryskała mu krew. Witryny sklepów eksplodowały. Z

ceglanych fasad domów buchał biały pył, tak drobny i gęsty, że zdawało się, iż budynki dymią.

Ale on nie upadał. Odrzucił głowę, tak by widzieć policjantów, błyski w lufach i dym, które niosły mu śmierć. Zamachnął się bronią w ich stronę i odpowiedział ogniem.

Zupełnie jakby wchłaniał w siebie pociski i wyrzucał je z powrotem.

Julia przeturlała się za radiowozem, próbując wcisnąć ciało w ulicę. Z tej newralgicznej pozycji pod tylnym zderzakiem wycelowała w ogarniętego szaleńcem zabójcę.

Słyszała o narkomanach na haju, którzy byli tak znieczuleni na ból, tak naćpani sztucznymi stymulantami, że potrzeba było niemalże całej armii, żeby ich zlikwidować. Ale to było coś...

innego.

Później wszyscy policjanci, który tam byli, przyznawali przed kolegami, przed żonami czy nawet sami przed sobą, że ogarnęło ich takie przerażenie i niedowierzanie, jakby uświadomili sobie nagle, że cała ich dotychczasowa wiedza o świecie była nieprawdą.

Zabójca pomimo ogromnych obrażeń wykazał nieprawdopodobną odporność, ale nic nie zadziwiło ich tak, jak jego niesłabnąca koncentracja, kiedy zmieniał magazynki z amunicją. Pośród nieustającego gradu pocisków załadował kolejny magazynek do pistoletu dokładnie w momencie, gdy wystrzelił ostatni nabój. Pusty magazynek wypadł, a on wepchnął do środka nowy z rutynową łatwością, jakby sprawdzał godzinę na zegarku. Mimo że był ranny i cały czas strzelał, nie stracił rachuby, ile strzałów oddał, i dokładnie wiedział, w którym momencie musi zmienić magazynek. Cały proces trwał najwyżej sekundę.

W chwili, gdy nowy magazynek był na miejscu, wolna ręka opadła mu na pas, gdzie przypięty był kolejny, i pozostała tam w gotowości.

Wtedy jego pierś wybuchła i upadł.

Palba ucichła. Ogarnęła ich przytłaczająca cisza, wypełniając pustkę niczym woda zalewająca świeże ślady stóp. Wszystkie oczy były zwrócone na zwłoki leżące w poprzek krawężnika. Z piersi i ramion wylewała się na chodnik kałuża krwi, a kolejne strumienie zaczynały się sączyć z innych części ciała - z głowy, ramion, nóg - i spływać do rynsztoka.

Ktoś zakaszłał, zdejmując urok; ktoś inny głośno zaklął. Potem powietrze wypełniły odgłosy ładowanej ponownie broni, wymienianych magazynków, łusek strącanych z blach samochodów i stukających o ziemię.

Julia patrzyła, jak trzech mundurowych ostrożnie zbliża się do ciała ze strzelbami gotowymi do strzału, gdyby trup chociaż drgnął. Szli rozproszeni, żeby uniknąć grupowej masakry.

Nagle od strony ciała zabójcy rozległ się dźwięk - melodia. Na czymś, co Julia wzięła za kolejny przypięty do paska magazynek, pojawiły się światelka. Była to komórka mężczyzny i właśnie dzwoniła.

Trzej policjanci natychmiast zastygli w pozycji do strzału.

Julia rozpoznała melodię dzwonka: był to utwór Pink Floyd *Comfortably Numb*. Po około dziesięciu sekundach ucichł.

Jeden z policjantów zerknął przez ramię, bezskutecznie szukając wskazówek u kolegów; drugi przysunął się do przodu, kopnięciem odrzucił pistolet napastnika i przyłożył

rękę do jego szyi. Minęła cała wieczność, zanim gestem pokazał, że nie wyczuwa pulsu.

Podczas gdy dwóch pozostałych go ubezpieczało, pierwszy odwrócił ciało na bok, żeby skuć mu ręce kajdankami. Julia widywała już, jak zakładano trupom kajdanki, ale nigdy z taką powagą. Policjant

przesunął ręką wzdłuż ciała, wyciągając z pochwy przy kostce ciężki nóż oraz zdejmując z pasa telefon komórkowy. Odrzucił oba przedmioty na bok.

Julia zamknęła oczy i położyła twarz na chodniku, czując, jak malutkie kamyczki wbijają się jej w policzek. Była wdzięczna za ich solidarność, za to, jakie były rzeczywiste.

Pozostała w tej pozycji nawet wtedy, gdy pojawili się sanitariusze, żeby ocenić stan Stinky'ego - który wciąż żył i trzymał się nad podziw dobrze - i nie poruszyła się aż do momentu, kiedy jeden z policjantów podszedł i przycisnął palce do jej gardła.

- Wszystko w porządku - powiedziała i ukryła twarz w dłoniach.

\*

Gregor obudził się ze snu, w którym rozkładał na części karabin, sam pośród monumentalnego arktycznego krajobrazu. Rozumiał, skąd we śnie wziął się karabin -

rozłożył, wyczyścił i poskładał z powrotem całe ich mnóstwo. Ale nie był pewien, co oznaczała zimowa sceneria. Jego przybrani rodzice mieszkali w Wyoming, gdzie - oczywiście

- bywało zimno i śnieżnie, ale nie tak jak w jego śnie. Może miało to coś wspólnego z trzydziestoma latami spędzonymi w tropikalnym klimacie? Śnieg tu nie padał nigdy.

W pokoju było ciemno; chociaż nie - świeciło się jakieś miękkie, nieznanne światełko.

Zaraz zorientował się, że to jeden z dwóch telefonów komórkowych na jego szafce nocnej. Telefon dzwonił. Pewnie poprzedni dzwonek przerwał mu wyimaginowaną nocną wędrówkę.

- Tak? - słowo zabrzmiało jak skrzek. Powtórzył.

Rozpoznał głos na drugim końcu i natychmiast otrzeźwiał. Głos wyrecytował hasło.

Gregor pomyślał przez chwilę, a potem odpowiedział właściwymi słowami. Słuchał.

- Ale przecież chyba właśnie tam jesteś?... Chattanooga, Tennessee. Oczywiście, mogę przesłać ponownie akta, ale... Poczekaj, wezmę długopis.

Odrzucił koce, spuścił nogi z łóżka i włączył lampkę nocną. Coś było nie tak. Wielki wojownik Ts'ao Kung powiedział, że kluczem do sukcesu na polu bitwy jest „zadziwić, zmylić i zaskoczyć przeciwnika”.

„Przeciwnika! - pomyślał Gregor. - Nie sprzymierzeńców, nie swoich dowódców!”

Z hasłem czy bez, ta rozmowa go zaniepokoiła. Ale mężczyzny, który dzwonił, lepiej było nie przepytować ani nie irytować. Znał numer telefonu i hasło, a to był jego głos. Gregor nie wiedział, co mógłby zrobić. Wstał i pokuśtykał do biurka po długopis.



Chciał z powrotem znaleźć się na mrozie i dalej rozkładać karabin na części.

\*

Julia nie miała zamiaru tu zostać. Przez cały dzień próbowała unikać policji, a teraz była przez nią otoczona. Wkrótce odzyskają równowagę i będą chcieli dowiedzieć się czegoś więcej o tym, jaki był jej udział w tym zdarzeniu. Wezmą ją na posterunek i będą przesłuchiwać do czasu, aż pojawi się FBI albo CDC i uwolni ich od ciężaru Julii Matheson.

Bez wątpienia w niejednej agencji byli ludzie, którzy chcieliby zadać jej parę pytań.

Na razie wszyscy funkcjonariusze miejscowego wydziału policji byli zajęci opisywaniem zdarzenia z własnej perspektywy. Pojawił się śmiech, jaki przychodzi zwykle po ogromnym stresie. Jedni policjanci mówili: „Nie, nie, nie, to tutaj wałnął!"; drudzy byli przygnębieni z powodu ofiar; jeszcze inni się wściekali, bo nie rozumieli, jak ktoś może śmiać się w takiej chwili. Julia widziała, że tylko kilku nie poddało się tym posttraumatycznym doznaniom i zabrało się do zabezpieczania miejsca przestępstwa i przepytывania świadków. Ci, którzy zajęli się pracą, poruszali się powoli, z roztargnieniem, i koncentrowali się przede wszystkim na miejscu, gdzie upadło ciało napastnika.

Julia podeszła obejrzeć swój samochód. Znalazła to, co zatrzymało go w aucie tak długo i wyjaśniło, dlaczego nie uciekł wcześniej. W momencie wypadku jego prawe ramię najwyraźniej zaklinowało się pomiędzy zgniecioną maską a deską rozdzielczą. Udało mu się uciec dopiero wtedy, gdy wyszarpnął je z groźnie wyglądającej rękawicy, którą zostawił na miejscu. Kapała z niej strużka krwi, jakby to była odcięta ręka.

Julia powiedziała jednemu z policjantów, że musi wyważyć drzwi do swojego samochodu i pożyczyła od niego łom; własny zostawiła w ukryciu wraz z innymi narzędziami w zaulku za barem. Podważyła blachę maski na tyle, że była w stanie wydobyć rękawicę.

Wrzuciła ją do obszernej płóciennej torby na książki wraz z kilkoma gazetami, które były rozsypane po wnętrzu auta. Następnie, udając że robi dokładnie to, co powinna, pewnym krokiem przeszła za róg i pomaszerowała dalej, aż dotarła do następnej głównej ulicy i zatrzymała taksówkę.

Kiedy położyła się na łóżku w swoim pokoju, zdała sobie sprawę ze skali doznanych obrażeń: bolało ją wszystko. Rwało ją w boku, gdzie pękło żebro; bolały ją biodra po szarpnięciu pasami; wciąż piekło ją w gardle; ból zaczął promieniować z różnych miejsc na twarzy i rękach, gdzie kawałki odstrzelonego asfaltu wbiły jej się w ciało.

Wyjęła z kieszeni spodni chip pamięci i obróciła go w palcach. Taki mały. W

minionych stuleciach, kiedy ludzie walczyli o niewielki przedmiot, był to zazwyczaj klejnot albo klucz do skarbcza, być może akt własności jakiegoś majątku lub relikwia. Teraz często bywały to informacje. Na takim malutkim kwadratowym chipie jak ten, który trzymała w dłoni, można było zmieścić bardzo dużo informacji. Nie wyglądał imponująco. W jakimś sklepie komputerowym lub fotograficznym mógł kosztować dziesięć dolców. Ale jeśli umieścić na nim informacje, staje się bezcenny. Pomyślała o cenie, która już została zapłacona: Goody, Vero, policjant Gilbert. Nawet

zabójcy - dwóch, którzy zginęli w barze, i jeden tej nocy. Nie żeby ich życie było coś warte, ale wliczali się do rachunku. A to były tylko te ofiary, o których wiedziała. Co musiało się dziać, zanim Vero spróbował przekazać ten chip we właściwe ręce?

„Mam nadzieję, że jesteś tego wart” - pomyślała.

Rzuciła się do tyłu na łóżko, chwyciła laptop i włączyła go. Pochyliła się i zaczęła grzebać w obudowie komputera, aż znalazła kartę rozszerzeń i wcisnęła ją do portu. Kiedy włożyła tam chip, ekran rozbłysł wielobarwnym wzorem, po czym zastygł.

Julia się skrzywiła.

Cztery razy resetowała komputer: dwa razy włączyła laptop z chipem i dwa razy włożyła go dopiero po tym, jak system operacyjny się załadował. Jednak za każdym razem komputer się zawieszał.

Wydając gniewne pomruki, czując każdy stłuczony mięsień, stoczyła się z łóżka, chwyciła torebkę i wyszła z pokoju. W budce przed motelem użyła karty do rozmów międzymiastowych.

- Co...? - usłyszała męski głos na drugim końcu linii.

- Bonsai?

- Kto mówi?

- Julia. Nie wymawiaj mojego nazwiska.

- Nie mam zamiaru. Która godzina?

- Późna. Potrzebuję twojej pomocy.

- Zadzwoń rano, Julio. Nie, ja zadzwonię do ciebie. Jestem naprawdę wykończony, wiesz, mały dzieciak i w ogóle.

- Goody nie żyje. - Zaległa taka cisza, że Julia się odezwała: - Bonsai?

- Goody? - Był oszołomiony. - Kiedy? - Senność zupełnie zniknęła z jego głosu.

- Dzisiaj. Wczoraj, teraz. Dzieje się coś dziwnego. Potrzebuję twojej pomocy i nikt nie może się dowiedzieć. Pomożesz?

- Tak, jasne.

- Możesz pójść do bezpiecznego telefonu?

- Ten jest dobry. Sprawdzam go codziennie.

No pewnie, że sprawdza.

- Mam chip pamięci. To... - przeczytała płytki odcisk na plastikowej obudowie -

SDx30. Jestem pewna, że ma coś wspólnego z zabójstwem Goody'ego. Ale boję się, że jest uszkodzony.

- Co się dzieje?

- Kiedy próbuję go załadować, komputer się zawiesza.

- To kodowanie FVE. Wszystko jest niedostępne: pliki hibernacyjne, pliki wymiany, resource fork. To jedna z ostatnich innowacji w dziedzinie ochrony danych. Twój komputer nie wie, co z tym zrobić, więc po prostu się zawiesza.

Poczuła falę ulgi.

- Czy możesz coś z tym zrobić?

- Myślę, że tak. Muszę ci wysłać aplikację, dzięki której twój komputer nie będzie próbował tego otwierać. Wtedy możesz wysłać to do mnie.

- Bonsai, czy mógłbyś pójść gdzie indziej, żeby to odebrać?

- Chodzi ci o to, że federalni śledzą moje łącze?

- Skąd o tym wiesz?

- Cóż byłby ze mnie za haker, gdybym nie wiedział? Mam drugie łącze, o którym nikt nie wie.

- Ja powinnam była wiedzieć.

- Masz Wi-Fi?

- I tracę interlock.

- Fajnie.

Trace interlock działał jak antena pozwalająca połączyć się z bezprzewodowym Internetem. Odbierał sygnały Wi-Fi emitowane w promieniu półtora kilometra i szybko łamał

wszystkie zabezpieczenia sieciowe, które napotykał, umożliwiając użytkownikowi dostęp bez znajomości haseł. Był częścią oprogramowania „tropiciela”.

Bonsai podał jej adres strony internetowej, gdzie mogli się spotkać w sieci i wymienić pliki. Przekazał jej też cztery hasła, których potrzebowała, żeby się z nim komunikować online, za każdym razem podając kolejne z nich.

- Muszę wrócić do pokoju i znowu włączyć komputer - powiedziała.

- Moja strona ma funkcję VoIP - odpowiedział. - Wiesz, co to jest? Telefonia cyfrowa.

- Tak, wiem.

- Możemy rozmawiać w ten sposób. Tak jest bezpiecznie.

Wracając do pokoju, myślała o Bonsai. Był siedemnastoletnim maniakiem komputerowym z liceum w Denver, kiedy włamał się do komputerów Strategicznej Obrony Powietrznej w bazie Dowództwa obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni Powietrznej w Cheyenne Mountain. Chciał tylko sprawdzić, czy uda mu się to zrobić, ale grube ryby z sił

powietrznych, z FBI oraz matoly z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego postanowiły się z nim rozprawić. Zanim jednak wpadł w tryby bezlitosnej maszyny sądowej, Donnelley wywalczył dla niego rehabilitację, wykazując, że ze względu na niesamowite zdolności komputerowe ten dzieciak może się stać cennym nabytkiem dla państwowych instytucji ochrony porządku publicznego. Prokuratorzy niechętnie się zgodzili i Bonsai zaczął działać jako haker na zlecenie rządu USA.

Chudy dzieciak z trądzikiem i długimi tłustymi włosami miał prawdopodobnie jeden z najbłyskotliwszych umysłów w zakresie bezpieczeństwa w cyberprzestrzeni i obecnie dostawał sześciocyfrową pensję za wynajdowanie korporacjom luk w ich zaporach sieciowych - komputerowych odpowiednikach drzwi do sejfu. Teraz miał dwadzieścia jeden lat, żonę i malutkiego synka - Goody nazwał go Mały Bonz, chociaż miał na imię Christopher. Bonsai uważał, że to właśnie Goody'emu zawdzięcza wolność, i Julia wiedziała, że zawsze chciał mu się jakoś odwdzięczyć. Wiadomość o śmierci Goody'ego musiała być dla niego bolesnym ciosem.

Julia ponownie zajęła miejsce na łóżku, otworzyła stronę Bonsaia i czekała, aż prześle jej potrzebną aplikację. Zaczęła transfer zakodowanych danych z chipu. Pojawił się wykres pokazujący, że przekaz będzie trwał jeszcze bardzo długo, być może kilka godzin. Łącze Bonsaia było szybkie, ale Julii powolne, a szybkość transferu była taka, na jaką pozwalało najwolniejsze z łączy.

- Julia? - usłyszała jego głos przez głośniki laptopa.

- Hmm.

- Idź spać. Ja też idę. Zabiorę się do tego, jak tylko będę miał całość.

- Dzięki, Bonsai.

Popatrzyła na wykres. Niebieska kreska, przesuwaną się od lewej strony do prawej, wskazywała na postęp transferu. Wpatrywała się w nią przez pięć minut, ale kreska ledwie drgnęła.

„Może się zawiesił - pomyślała. - Powinnam zadzwonić do Bonsaia, zapytać, co o tym sądzi. ”

Ale wtedy zasnęła.

Wieczna noc.

Czerń w kostnicy była taka sama dla cienistej postaci sunącej przez korytarze, jak i dla ciał zamkniętych w niekończących się rzędach ciemnych, zimnych komór. Jeśli ludzkie oko zdołałoby dojrzeć przelatujący cień, popatrzyłoby znowu i nie zobaczyłoby nic.

Przemieszczał się szybko skrajem korytarza - cichy i świadomy.

Żadna ilość chloroxu nie była w stanie usunąć z powietrza zapachu śmierci. Czuł ten odór, odróżniał w nim metaliczną woń krwi od gryzącego fetoru ciał.

Otworzyły się drzwi, jakby samoistnie. Cień wślizgnął się do środka.

Jasny snop światła wystrzelił od cienia i oświetlił krawędź aluminiowego stołu.

Prześlizgnął się na przeciwległą ścianę, która była podzielona na metrowe kwadraty.

Każdy kwadrat wyposażony był w uchwyt z nierdzewnej stali oraz w przywieszkę, której kopia była przywiązana do dużego palca u nogi trupa w środku.

Z cienia wysunęła się ręka okryta czarną skórą. Chwytała przywieszki i obracała je w stronę światła: Willows, R... Jeffreys, M.N.N.

Ręka zatrzymała się, kiedy cień dotarł do etykiety N.N. - Nazwisko Nieznane.

Dłoń opadła na klamkę. Trzasnął metalowy uchwyt, puściły uszczelki, stalowe rolki prześlizgnęły się po metalu. Białe prześcieradło uniosło się w górę, a po chwili opadło.

Szuflada się zamknęła. Cień szedł dalej wzdłuż rzędu nazwisk. Potem znów przystanął.

Kolejne N.N.

Ponowny trzask, znowu syk uciekającego powietrza. Rolki. Trzepot prześcieradła, i snop światła zawisł na twarzy bladej i zastygłej niczym rzeźba.

Światło zgasło. Cień, czarniejszy niż okalająca go ciemność, pochłonął ciało. Kiedy się oddalił, ciało też zniknęło.

\*

Jakiś dźwięk wyrwał Julię ze snu. Siedziała na łóżku przekrzywiona, opierając się o ścianę w miejscu, gdzie w lepszym hotelu znajdowałby się zagłówek. Światło słońca sączyło się przez wytarte zasłony, oświetlając niechętnie pokój.

Julia rozejrzała się dookoła, sprawdzając, co ją obudziło. Fale bólu przeszyły jej sztywną szyję. Znowu poczuła klucie w gardle i w boku, inne rany także dały o sobie znać, ale zdała sobie sprawę, że dolegliwości są mniejsze niż poprzedniej nocy.

Zaczęła się podnosić i nogą zawadziła o laptop, który w nocy zsunął się jej z kolan na łóżko. Otworzyła go, żeby spojrzeć na ekran, i stuknęła palcem w panel dotykowy, żeby wyłączyć automatyczny wygaszacz. Ekran się rozświecił. Pokazał stronę Bonsaia i słowa

„Transfer zakończony”.

Komputer zadzwieczał, pokazując, że Bonsai otrzymał plik. Szybko. Popatrzyła na zegarek i zorientowała się, że wcale nie tak szybko. Była 9.28 rano. Spała siedem godzin.

Zastanawiała się, ile czasu może Bonsaiowi zająć rozkodowanie pliku.

Chwyciła telefon komórkowy z szafki nocnej i włączyła go. Natychmiast zadzwonił.

„Tak!” - ucieszyła się.

- Bonsai?

- Gdzieś ty się podziewała, dziewczyno? - Natychmiast rozpoznała szorstki głos Edwarda Mollanda, swojego szefa. Każde słowo brzmiało ostro niczym wystrzał z karabinu. -

Dzwonię do ciebie od wczorajszego popołudnia.

Pomyślała, czy nie rzucić telefonu, po prostu zostawić go i opuścić motel.

- Telefon był wyłączony, sir.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś? Dlaczego nie poszłaś do biura FBI w Chattanooga?

Matko moja! Co się tam nawyprawiało! Agent federalny nie żyje, Julio - Donnelley! i to, w co byłaś zamieszana wczorajszej nocy - ta krwawa jatka, w sprawie której do mnie wydzwaniali. Podobno byłaś w samym środku tej rzezi, a potem po prostu zniknęłaś. Chcieli wysłać za tobą list gończy, zdobyć nakaz aresztowania - chcieli cię aresztować, Julio!

Przekonałem ich, żeby poczekali. Teraz ty musisz przekonać mnie.

- Aresztować mnie? Na jakiej podstawie?

- Zgadnij. Wiesz, jak to działa. Jesteś w centrum zainteresowania, najdelikatniej to ujmując. Chcą z tobą porozmawiać i jeśli ty sama pierwsza się do nich nie pofatygujesz, znajdą sposób, żeby cię do siebie ściągnąć.

- Próbuję najpierw rozwiązać kilka spraw.

- Co rozwiązać? Julio, jesteś agentką federalną. Jesteś częścią agencji wywodzącej się z FBI, skoro już muszę ci o tym przypomnieć. Mamy procedury, protokół. Złamałaś co najmniej tuzin przepisów, jakie znam. To do ciebie niepodobne, zupełnie niepodobne.

Długo się nie odzywał i Julia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Chciało się jej płakać albo krzyczeć, albo... coś zrobić. Widziała w wyobraźni Mollanda, jak stuka wypielęgnowanymi paznokciami w blat swojego nienagannie utrzymanego biurka - z perfekcyjną fryzurą i w doskonale skrojonym garniturze wyglądał bardziej na polityka niż na wysokiego rangą funkcjonariusza ochrony porządku publicznego. Dziwna rzecz, ale przemknęło jej przez głowę, czy ktoś nie siedzi na czarnej skórzanej kanapie w jego biurze.

Jeśli tak, to co się maluje na twarzy tej osoby? Zawodowe zaniepokojenie zachowaniem Julii czy porozumiewawcze zadowolenie z jej odnalezienia? Odsunęła od siebie tę myśl. Jeśli w agencji był kret, to raczej nie był nim Molland. Goody zawsze mu ufał. Dlatego zgodził się przejść z FBI do CDC, kiedy Molland go o to poprosił.

Molland odchrząknął:

- Co sądzisz o tym facecie, którego zlikwidowaliście wczoraj z miejscowymi?

- Płatny zabójca, świetny zawodowiec, sir.

- Wiesz, że zniknął?

Krew stanęła jej w żyłach, po czym spłynęła kaskadą wzdłuż kręgosłupa.

- Jak to „zniknął”?

- Ktoś włamał się do kostnicy dziś rano. Ukradł ciało.

Pokój pociemniał, jakby słońce zaszło za chmurę.

- Dlaczego?

- Oto jest pytanie. Koroner przyjechał dzisiaj rano i trupa nie było. Zupełnie jakby wstał i wyszedł.

- Przecież dostał ze trzydzieści razy.

- Tak też słyszałem.

Nastąpiła długa przerwa. Kiedy Molland odezwał się znowu, jego głos był

łagodniejszy, a nawet współczujący.

- Słuchaj. Julio. Przykro mi z powodu Goody'ego. Nie umiem wyrazić, jak bardzo.

Wiem, że byliście blisko. Rozumiem, że spanikowałaś, straciłaś głowę, ale czas wziąć się w garść. Złapmy zabójców, dobrze? O której możesz tu być? O pierwszej? Drugiej?

- Potrzebuję więcej czasu - wypaliła. - To znaczy, nie spałam i muszę się doprowadzić do porządku.

- Tak naprawdę musiała przejrzeć notatki i przemyśleć wszystko jeszcze raz, a potem podjąć

ostateczną decyzję, czy udać się ze swoimi podejrzeniami do FBI, czy iść gdzie indziej, na przykład wprost do prokuratora generalnego. Chciała też dać Bonsaiowi czas na odkodowanie informacji z chipa.

- OK, rozumiem. Może o trzeciej?

- Woląabym jutro rano.

- Jutro? - zamilkł na dłuższą chwilę. - OK, słuchaj. Dostałaś w kość. Weź sobie wolny dzień, ale masz tu być jutro z samego rana, rozumiesz? U mnie w biurze.

- Dzięki, Ed. Do zobaczenia jutro.

- Julio?

- Tak?

- Z samego rana. Mówię poważnie.

Rozłączyła się i odłożyła telefon na szafkę nocną. Uszła dwa kroki do łazienki, kiedy znowu zadzwonił. Podniosła go i spojrzała na wyświetlacz. Numer prywatny. Bonsai albo znów Molland. Odebrała.

- Tu Julia.

- Musimy porozmawiać.

- Kto mówi?

- Doktor Parker. Pamięta pani? Musimy porozmawiać - powtórzył.

- Parker? - zapomniała, że dała mu wizytówkę. - Co pan ma na myśli, mówiąc, że musimy porozmawiać?

- Zeszłej nocy próbowano mnie zabić. Dwukrotnie.

- Co? Kto? Nie, niech pan zaczeka. - zaczęło jej się kręcić w głowie. Nie zdziwiłaby się, gdyby nagle w progu stanął Rod Sterling, zapowiadając kolejny odcinek *Strefy mroku*, czyli jej życia. „Poznajcie Julię Matheson - samotną agentkę federalną. Jej praca wymaga czarno-białej oceny sytuacji, z wykorzystaniem logiki i faktów. Ale wkrótce odkryje miejsce, gdzie fakty i logika w niczym nie mogą pomóc. Miejsce, które nazywa się. Strefa mroku”.

Odezwała się:

- Czy jest pan gdzieś, gdzie mogę oddzwonić do pana za trzy minuty?

- Jestem w budce telefonicznej.



- Proszę podać mi numer. - Zapamiętała go. - OK, za trzy minuty.

Julia rozłączyła się, wygrzebała drobne z portmonetki i wyszła bosą do automatu przed biurem dyrekcji hotelu. Wykręciła numer i wrzuciła monety. Kiedy Parker odebrał, zapytała:

- Dobrze, kto próbował pana zabić?

- Trzech różnych ludzi. Jeden miał odznakę.

- Agent federalny?

- Miejskowy glina, chyba zastępca szeryfa. I wielki facet, który miał broń z laserowym...

- Rękawicę?

Po chwili odparł:

- Nie widziałem niczego takiego. Ale był szybki i poruszał się sprawniej, niż można by się spodziewać po kimś jego postury.

- W okularach?

- Tak. W grubych, czarnych oprawkach. Zna pani tego faceta?

- Mnie też zaatakował zeszłej nocy. Zginął w strzelaninie z policją.

Parker wydał dźwięk, który mógł być sapnięciem lub stłumionym wulgaryzmem. Julia patrzyła przez frontowe okno biura, jak starszy mężczyzna wychodzi z pokoju na tyłach, z roztargnieniem drapiąc się po piersi pod poplamionym podkoszulkiem. Zauważył ją i pomachał.

Parker odezwał się:

- A więc jak? Możemy się spotkać?

- Ze mną jako policjantką?

- Nie, niezupełnie. Być może. Nieoficjalnie. Sam nie wiem.

Zaśmiała się.

- Myślę, że wiem, o co panu chodzi.

- Tylko pani. Żadnych innych agentów, żadnych glin, żadnej inwigilacji.

- Tylko ja.

- OK. Spotka się pani z nami w Appalachian Café przy Market Street w Knoxville o...

- Hola, hola. Knoxville?

- Tam albo nigdzie.

- Boi się pan przebywać w Chattanooga?

- A pani nie?

- Cała się trzęsę. Co oznacza „my”?

- Mnie i mojego brata. Był ze mną zeszłej nocy. W południe?

- Niech będzie w południe. Appalachian Café. - Rozłączyła się.

Tuzin myśli rozpoczęło wyścig w jej głowie, domagając się uwagi: wykradzione ciało, spotkanie z Parkerem, zamach na niego, Molland oczekujący jej jutro rano. Zaciśnęła oczy i siłą woli odepchnęła to wszystko od siebie. Nie teraz, nie teraz.

Ułożyła w myślach plan działania: prysznic (tak, długi i gorący... no dobrze, nie taki długi - do Knoxville są dwie godziny jazdy), uzupełnienie notatek o sprawie (trzeba to pominąć, nie ma czasu), wymeldowanie się z motelu (lepiej nie zostawać zbyt długo w jednym miejscu), złapanie taksówki do wypożyczalni samochodów, żeby znaleźć coś w miejsce służbowego auta, a potem szybki przejazd do Knoxville.

Wróciła do pokoju, zdjęła ubranie i rzuciła je na łóżko. Dodała do listy telefon do mamy.

Potem weszła pod parujące strumienie wody, by zmyły z niej swoje zmartwienia, choćby tylko na krótką chwilę.

Znalazła inną budkę telefoniczną i zadzwoniła do domu. Mama wydawała się zmęczona, ale twierdziła, że jest mobilna. Upierała się, że nie potrzebuje pomocy. Julia zadzwoniła jednak jeszcze do opieki społecznej. Sprawowali nadzór na żądanie - pielęgniarka będzie zaglądać do domu co cztery godziny, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku.

Pewnie doprowadzi to mamę do szaleństwa.

\*

Gregor tak długo pukał w okienko obserwacyjne, aż Karl Litt odwrócił się od komory do pracy z niebezpiecznym biologicznie materiałem. Na dłoniach miał rękawice, które umożliwiały dostęp do delikatnej zawartości komory. Gregor przywołał go ruchem ręki.

Litt skinął głową, wyswobodził ręce i powiedział coś do młodego mężczyzny, który stał obok niego. Chwilę później drzwi do laboratorium się otwały i Litt wyszedł ze środka.

- Mam trop Parkera i tej Matheson - odezwał się Gregor, kiedy Litt zdejmował

rękawiczki chirurgiczne i fartuch i wrzucał je do kosza.

- Wiarygodny?

- Kawy?

W kuchni przy bloku laboratoryjnym zawsze stało pół dzbanka paskudnej czarnej cieczy pełnej fusów. Litt ją uwielbiał.

Skinął głową, zbliżył się do metalowych drzwi i z roztargnieniem przesunął twarz przed wmontowanym w ścianę kwadratowym panelem z czarnego szkła. Ukryta za szkłem kamera na podczerwień zeskanowała jego fizjonomię, tworząc wzór z niewidocznego ciepła wydzielanego przez naczynia krwionośne pod skórą. Skaner porównał powstały obraz termalny z tymi, które były zgromadzone na twardym dysku. Obraz pasował i drzwi się otworzyły.

Kiedy Gregor po raz pierwszy usłyszał o niezawodnym systemie identyfikacji, który rozpoznawał niepowtarzalne wzory termalne twarzy - potrafił rozróżnić nawet jednojajowe bliźnięta - pomimo starzenia, operacji kosmetycznych i przy całkowitym braku światła, zaczął

namawiać Litta, żeby wyposażyć w ten system drzwi zabezpieczające blok laboratoryjny.

Dawno temu zgodzili się, że większość funduszy organizacji przeznaczą na badania i ochronę, a ponieważ Litt dostał ostatnio lukratywny kontrakt na dostawę biochemikaliów środkowowschodniemu dyktatorowi, zgodził się na prośbę Gregora.

Weszli w inny korytarz, dużo ciemniejszy niż ten przy laboratoriach. Tylko co trzecia świetlówka działała, a wiele z tych działających brzęczało resztką sił. Powietrze wypełniała wilgotna woń. Niektóre odcinki „korytarzy” były tylko dużymi rurami z blachy falistej, gdzie woda kapła z nitów, a same rury były wypaczone i popękane, jak rozdęte parówki, w miejscach, gdzie ziemia wciskała się do środka. Baza wojskowa pozostawała opuszczona od ponad czterdziestu lat i nie była w najlepszym stanie nawet wtedy, gdy była jeszcze nowa.

Teraz groziła zawaleniem, chociaż Gregor wiedział, że Litt zrobił, co mógł, żeby do tego nie dopuścić.

Wyrównując krok z Litem, Gregor ciągnął:

- Ludzie monitorujący transakcje mają koleżeńską umowę z organizacją przechwytyjącą przekazy telefoniczne. Załóżmy więc, że osoba znajdującą się w centrum zainteresowania nie ma dostępu do swojego dostawcy usług internetowych i korzysta z numeru karty kredytowej, żeby chwilowo podpiąć się do nowego dostawcy. Z tego, co zrozumiałem, coś takiego dzieje się nagminnie, jeśli taka osoba podejrzewa, że ma podsłuch na linii. Ci od monitorowania transakcji wychytują użycie karty kredytowej i poznają nowy adres IP jej posiadacza, a adres z kolei zostaje powiązany z linią telefoniczną lub przesyłającą dane. Tutaj wkraczają faceci od telefonów i bum, od razu włączają podsłuch.

- Parker podłączył się do Internetu? - zapytał Litt.

- Nie, zadzwonił do agentki federalnej, Matheson. Nie jest głupi, ogląda telewizję, więc idzie do budki telefonicznej i używa swojej karty kredytowej, żeby zadzwonić - Gregor uśmiechnął się szeroko.

- Aha - odrzekł Litt, zauważając ironię.

- Podśluch telefoniczny zaczyna więc działać, wszystko jest automatyczne. Teraz wiemy nie tylko, z której budki facet dzwoni, ale mamy też rozmowę.

- Mamy rozmowę?

- Dzięki MP3. Była na moim komputerze kieszonkowym dwie minuty po tym, jak się rozłączył. Przekazałem ją Atroposowi.

- Co powiedział?

- Jeszcze się nie odezwał.

Doszli do kuchni, zobaczyli tam biologa siedzącego z czasopismem i z kubkiem przy jedynym stole, więc cofnęli się na korytarz.

- Nasz księgowy dzwonił dziś rano - Litt odezwał się cicho.

- Usługi Atroposa nie są tanie.

- Wspomniał o kolejnym przelewie zagranicznym. Dwadzieścia tysięcy.

- Tyle kosztowało namierzenie Parkera.

- Nieważne. Już wkrótce będziemy mogli wykupić całą firmę Andersona - przyjrzał

się odrapanemu korytarzowi. - Oraz doprowadzić to miejsce do porządku.

Biolog opuścił kuchnię, pozdrowił Litta i Gregora, po czym skierował się w stronę laboratoriów. Weszli do środka. Gregor nalał po kubku kawy i usiedli przy stole. Gregor zaczął się wpatrywać w lśniącą czarną powierzchnię płynu.

- Coś jeszcze? - zapytał Litt.

Gregor wzdrygnął się i upił łyk z kubka.

- Chodzi o to...

- O co?

- Jesteśmy tak blisko spełnienia marzeń, Karl. Tak sobie myślę... - zajrzał w czarne źrenice okularów Litta i zobaczył w obu szklach swoje odbicie. - Wiesz, nie jest dla mnie problemem zabijanie

dzieciaków, jeśli ma to nas doprowadzić do celu.

- Ale nie sądzisz, żeby to było konieczne?

Wzdrygnął się:

- Myślę, że to jest błąd strategiczny.

- Nasi eksperci nie zgadzają się z tym. Plan zakłada maksymalny wstrząs.

Społeczeństwo musi go odczuć, Gregor. To musi zboleć. Po prostu sędzę, że reakcja będzie zbyt gwałtowna, jeśli będą w to zamieszane dzieci.

- Chcemy gwałtownej reakcji: przeciwko Kendrickowi, przeciw jego kłamstwom, przeciw rządowi, który na to przyzwala.

- Ale czy celem listy jest przyciągnięcie uwagi, czy... - próbował dobrać właściwe słowo.

Litt go uprzedził:

- Zemsta?

- Twoja rodzina. Któż nie chciałby się mścić? Zastanawiam się tylko, czy umieszczenie tak wielu dzieci na liście. Wiem, że to wytrąci ludzi z samozadowolenia, ale czy nie zaczną żądać twojej głowy, zamiast słuchać argumentów, które chcesz im przedstawić?

- Z początku, być może. A potem zaczną pytać: „Kto to na nas sprowadził? Kto rozbudził tego potwora?”. I okaże się, że to Kendrick i ich własny rząd. Z żalu i gniewu zburzą własny dom.

- Mam nadzieję, że masz rację.

Litt odsunął się od stołu i krzesło skrzypnęło na płytkach. Podniósł się.

- Tak czy tak, Gregor - powiedział - teraz jest już za późno. - Zabrał kubek i wyszedł.

Gregor długo siedział bez ruchu. Wiele czasu spędził nad studiami o wojnie.

Rozumiał, jak ważna jest demoralizacja obywateli wroga, zabicie w nich ducha i woli walki.

Wiedział też, że taka taktyka może przynieść odwrotny skutek w przypadku bardziej zdeterminowanego wroga. „Ale może nie byłoby to wcale takie złe” - pomyślał. Był pewien, że odpowiedź Karla będzie proporcjonalna. Tym razem dziesięć tysięcy. Ile następnym razem? Nie wykluczał, że będzie to milion. Karlowi nie zależało. Przestało mu zależeć już dawno temu.

„Odbierzcie mi rodzinę - wyobraził sobie, co Karl może myśleć - a ja uśmiercę wasze dzieci”.

\*

Restauracja Appalachian Café znajdowała się w rustykalnym domu z cegły w centrum Knoxville w przyjemnej okolicy, z szerokimi chodnikami, staroświeckimi latarniami ulicznymi i starymi drzewami. Wzorowana na ulubionych kafejkach Europy kawiarnia miała od frontu obszerne patio, gdzie parasole na drewnianych stelażach ocieniały białe metalowe stoliki. Dzień był piękny i wszystkie stoliki były zajęte przez biznesmenów.

Piwo własnej produkcji zniknęło całymi kegamami, podobnie jak miski modnych ostatnio sałatek ze szpinakiem.

Na ten widok Julia z zalem pomyślała, że jeszcze przedwczoraj mogliby z Goodym zjeść lunch w takim miejscu, śmiejąc się z różnych wpadek przy śledztwie.

Podeszła do barierki z kutego żelaza, która oddzielała patio od chodnika, i zaczęła wypatrywać Parkera. Wszyscy śmiali się lub uśmiechali i zdała sobie sprawę, że chyba tylko ona ma taką markotną minę. Wtedy go dostrzegła - Parker siedział przy stoliku naprzeciwko ogromnego mężczyzny, który jeszcze kilka sekund wcześniej zasłaniał go, tak że Julia nie mogła go zobaczyć. Nie wyglądali jak bracia. Parker też ją dostrzegł i skinął głową na powitanie. Spodobało jej się to: żadnego wymachiwania ręką ani głośnego wołania. Wkrótce miała się przekonać, czy to oznacza, że doktor potrafi nie zwracać na siebie uwagi.

Żeby dostać się do patio, musiała przejść przez restaurację. W środku unosił się zapach prażonych migdałów i pomimo bólu żołądka poczuła głód. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że nie jadła od ponad dwudziestu czterech godzin. Być może brzuch bolał ją nie tylko z rozpacz, ale i z głodu.

Kelnerka zaprowadziła ją do stolika Parkera. Obaj mężczyźni wstali. Zajmowali miejsca naprzeciw siebie przy okrągłym stole, tak że wolne zostały dwa krzesła pomiędzy nimi: jedno zwrócone w kierunku ulicy, a drugie ku restauracji. Julia wybrała krzesło zwrócone w stronę ulicy, tak że Parker siedział po jej lewej, a jego brat po jej prawej stronie.

Zsunęła z ramienia nową torbę podręczną i położyła ją na ziemi.

- Cieszę się, że pani przyszła - odezwał się Parker, ponownie siadając i przysuwając swoje krzesło do stołu.

Uśmiechnęła się grzecznie. Zauważyła, że doktor nosi nowiutkie ubranie, jeszcze z fabrycznym kancikiem. Nowa bluzka Julii była na ramionach zdeformowana przez wieszak, ale nie było tego widać spod marynarki. Przyjrzała się drugiemu mężczyźnie, bratu Parkera.

Był jednym z największych ludzi, jakich widziała, i najbardziej owłosionym. Ale miał

łagodne oczy i naturalny uśmiech. Podczas gdy Allen był niewątpliwie czarujący, może nieco zbyt ugrzeczniony, jego brat od razu budził szczerą sympatię. Miała nadzieję, że nie szuka po prostu miłej twarzy, wyobrażając sobie życzliwość tam, gdzie jej nie ma.

- Nie przyszło nam do głowy nic lepszego. Zrobiliśmy rezerwację. Równie dobrze mogę teraz zaufać kelnerowi, jak policji.

- Wiem, co pan czuje - odrzekła.

Spojrzał na Julię pytająco, ale ona się odwróciła.

- Jest pan bratem doktora Parkera?

- Stephen. - Uścisnęli sobie ręce. Przy jego dłoni jej ręka była żałośnie mała.

- A do mnie proszę mówić Allen.

- Nie wyglądacie jak bracia.

- Mnie dostała się uroda - odparł Allen - a jemu... włosy.

Stephen mrugnął do niej.

- Czy pan jest lekarzem?

- Prawie nim został - rzucił Allen, a Julia uznała, że powiedział to dosyć ostro. -

Zrezygnował dwa miesiące przed dyplomem. On.

- Allen, nie zaczynajmy tego tematu - Stephen zwrócił się do Julii i twarz mu złagodniała. - Jestem pastorem i nie mam pojęcia, co tutaj robię.

W to akurat mogła uwierzyć. Której normalnej osobie przyszyłoby do głowy, że zostanie zaatakowana przez zamachowców i w obronie życia będzie musiała ratować się ucieczką?

Dlatego odpowiedziała:

- Ja też. Ty też, Allenie?

- Wiem, że wszystko było w porządku, dopóki twój partner nie pojawił się na moim stole operacyjnym.

Wpatrywał się w nią i zdawał się oczekiwać odpowiedzi na pytanie, którego jeszcze nie zadał.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Poruszył się na krześle.

- Nie lubię, jak ktoś mnie wypędza z własnego domu. Nie lubię, jak ktoś do mnie strzela. Nie lubię, jak ktoś wprowadza zamęt w moje życie.

- Zachowujesz się tak, jakbym miała z tym coś wspólnego.

- A nie jest tak?

- Nie. Mnie też się to nie podoba. Mam w domu mamę ze stwardnieniem rozsianym i nie mogę do niej pojechać, nie mogę jej pomóc. Człowiek, który zmarł na twoim stole operacyjnym, był moim partnerem, ale też najlepszym przyjacielem. Rozpoznał jednego ze swoich zabójców. Uważał, że tamten jest agentem federalnym. Więc dopóki nie dowiem się, o co tutaj chodzi, nie mogę wrócić do własnej agencji i nie mogę wezwać posiłków. Czuję się fatalnie, a ty sprawiasz, że czuję się jeszcze gorzej.

Dalej patrzył na nią wyzywająco, ale po chwili jego twarz przybrała łagodniejszy wyraz i zapytał:

- Jesteś głodna?

- Jak wilk.

Allen przywołał kelnera i wszyscy troje złożyli zamówienie.

Julia odwinęła sztucę z materiałowej serwetki i rozłożyła ją na kolanach. Potem zapytała:

- Jakie lubisz jedzenie, Allen?

Popatrzył na nią:

- Głównie steki, owoce morza, kuchnię włoską. Wszystko, co jest dobrze przygotowane.

- Ja przepadam za kuchnią Cajun. Obsmażany sum, jambalaya, mmm. Gdzie się urodziliście? Gdzieś tutaj?

- W Chattanooga. Nasz ojciec jest tam lekarzem rodzinnym, tak jak i jego ojciec.

- Rodzinny biznes.

- Tak - odpowiedział Allen, patrząc na Stephena.

„Opanowany, to odpowiednie słowo” - pomyślała. Allen siedział spokojnie. Patrzył jej prosto w oczy. Z doświadczenia wiedziała, że im bardziej ktoś był opanowany, tym łatwiej było mu kłamać. Dlatego zadawała mu nieistotne pytania.

Chciała mieć punkt odniesienia, widząc, jak się zachowuje, kiedy nie kłamie. Później, jeśli jego zachowanie się zmieni, będzie miała podstawy do podejrzeń.

- A więc - zaczęła - co się stało wczoraj?

Potrząsnął głową, potem nią pokiwał, zerknął na brata, otworzył usta i znowu je zamknął. Najwyraźniej nie wiedział, od czego zacząć.

- Dobrze, a więc ja ci powiem, co mi się przydarzyło - zaproponowała.

Powiedziała mu o tym, jak pojechali spotkać się z Vero, o próbie zamachu i jak zostali z Goodym



rozdzieleni w trakcie ucieczki; o tym, jak zniknął sygnał „tropiciela”, o telefonie od Goody'ego i o szpitalu. Opowiedziała, jak poszła do baru, żeby obejrzyć miejsce zbrodni, ale nie wspomniała o chipie pamięci. Nie chciała odsłaniać wszystkich kart, zanim nie pozna tych ludzi lepiej i nie dowie się, jaką rolę mają do odegrania w całej tej historii, jeśli w ogóle będzie jeszcze jakiś ciąg dalszy. Opisała swoje spotkanie z zabójcą i jaki koniec go spotkał.

Allen odrzekł:

- Powiedziałaś, że policjanci go zabili. Myślisz, że to ten sam, który zaatakował mnie w domu?

Skinęła głową:

- Duży facet, okulary, broń z celownikiem optycznym.

Allen zaczął swoją historię od tego, jak Goody pojawił się na pogotowiu. Opisał jego obrażenia i ostry jak brzytwa krążek, który znalazł wbity w jego mostek.

Chociaż bardzo starała się zachować dystans i pozostać obiektywna, słowa Allena raniły jej serce, tak jak wspomniane krążki poraniły ciało Goody'ego. Była pewna, że te wspomnienia będą zawsze bolały. Żeby przestać myśleć o szczegółach związanych ze śmiercią Goody'ego, powiedziała:

- Jedynym wspólnym mianownikiem pomiędzy nami jest Goody. Sądziś, że atak miał związek właśnie z nim?

- Z całą pewnością. Tuż przed tym, jak zostałem zaatakowany, zadzwonił do mnie porucznik policji. Powiedział, że kilka innych osób, które były przy Donnelleyu po tym, jak został postrzelony, i zanim zmarł na pogotowiu, zostało zaatakowanych i zabitych.

Julia była w szoku.

- Zabójca musiał czegoś szukać lub próbował uciszyć tych ludzi na wypadek, gdyby Goody im coś powiedział. Czy tobie coś powiedział?

- O tak. Po pierwsze o filowirusie, który został stworzony przez człowieka.

- Stworzony przez człowieka? Chcesz powiedzieć... w laboratorium?

Allen pokiwał głową.

- I mówimy tu o czymś naprawdę paskudnym: Marburg, Ebola, ostra gorączka krwotoczna. Organy wewnętrzne zaczynają się rozkładać, jakby człowiek był już martwy, chociaż jeszcze żyje. Krew traci zdolność krzepnięcia, a potem komórki śródbłonna, które tworzą wyściółkę naczyń krwionośnych, przestają funkcjonować, więc krew wycieka.

Wkrótce zaczyna się wylewać nie tylko ze wszystkich naturalnych otworów, ale także z oczu, przez pory i spod paznokci. A potem się umiera.

Julii odechciało się jeść.

- Większość ludzi sądzi, że ta choroba ogranicza się do Afryki - ciągnął Allen. - Ale wirus Ebola zbierał żniwo na Filipinach, we Włoszech, w Anglii. Nazwa szczepu znanego jako Reston pochodzi od miasteczka w Wirginii, gdzie został odkryty po raz pierwszy. W

1996 roku odnotowano przypadek zarażenia się Ebolą w Teksasie. Wirus Marburg po raz pierwszy zaobserwowano w Marburgu i we Frankfurcie w Niemczech oraz w Belgradzie w Jugosławii.

- Ale stworzony przez człowieka? Co to oznacza?

- Właśnie to, jak sądzę. Ktoś go stworzył za pomocą inżynierii genetycznej. Kiedy jakiś straszny wirus zostaje odkryty, wszyscy zakładają, że jest to po prostu naturalna mutacja lub że był uspijony przez dziesiątki tysięcy lat, aż jakiś czynnik - prawdopodobnie naruszenie jego terytorium przez człowieka - ponownie go uaktywnił i naraził ludzi na coś, co istniało od zawsze.

- Oczywiście, że tak myślimy - wtrącił Stephen. - W końcu kto chciałby stworzyć coś tak straszego?

- Może ktoś jednak chciał - odrzekł Allen.

- Czy to jest w ogóle możliwe? - spytała Julia.

- Przy tym, co dzieje się teraz w inżynierii genetycznej, wszystko jest możliwe -

odparł Allen. - Kiedy Marburg wypłynął po raz pierwszy, lekarze myśleli, że mają do czynienia ze szczepem Rhabdoviridae - wirusa wścieklizny. Być może ktoś zmienił

genetycznie rabdowirusa, nie wiem, ale po bliższej analizie doszli do wniosku, że natknęli się na zupełnie nowego wirusa. Filowirusy. Ebola nie przypomina żadnego innego znanego ludzkości patogenu. Z wyglądu jest długi i cienki jak wąż - stosowne porównanie, biorąc pod uwagę jego skryte i zabójcze usposobienie. Wydziela glikoproteinę o wyjątkowo wysokim stężeniu, która chroni go przed systemem odpornościowym. To oznacza, że nie ma przeciwko niemu szczepionek ani leków.

- Jeśli zachorujesz, to umierasz?

- Niekoniecznie. Niektórzy przeżywają. Nikt nie wie dlaczego.

- Ale to się zmienia - odezwał się Stephen. - Zeszłej nocy Allen znalazł sporo informacji na ten temat. Wirus Ebola staje się coraz bardziej niebezpieczny, coraz bardziej zjadliwy, jak gdyby ktoś poprawiał jego skuteczność.

Julia wpatrywała się w Stephena, a potem zwróciła się do Allena o potwierdzenie.

- To prawda - odrzekł. - Przy pierwszej epidemii wirusa Marburg śmiertelność wynosiła dwadzieścia osiem procent. Dziesięć lat później, w przypadku szczepu Ebola-Zaire, śmiertelność zwiększyła się do siedemdziesięciu pięciu procent. W 2001 roku doszła do dziewięćdziesięciu procent. Jest to teraz jeden z najbardziej śmiertelnych wirusów, jakie kiedykolwiek znano.

- A jakby tego było jeszcze mało - dodał Stephen - wirus zaczyna się przenosić drogą powietrzną. Pierwsze szczepy tego nie potrafiły. Do zakażenia dochodziło na drodze kontaktu bezpośredniego z krwią i wydaliniami, które zawierają wysokie stężenie wirusa. Potem, mniej więcej dziesięć lat temu, w wojsku pojawiły się doniesienia, że zdrowe małpy, których klatki sąsiadowały z klatkami małp zarażonych wirusem Ebola, także zachorowały. Ebola zaczął się przenosić drogą powietrzną. Czy to była naturalna ewolucja - jego krzaczaste brwi uniosły się do góry - czy owoc czyichś wysiłków, żeby uczynić chorobę bardziej zabójczą?

Julia potrząsnęła głową:

- Ale dlaczego? Nie widzę w tym sensu.

- Sens jest bardzo głęboki - odparł Allen. - Tylko pomyśl. Choroba, na którą nie ma lekarstwa. Nie można się na nią zaszczepić. Osoba, która ma kontrolę nad czymś takim, mogłaby szantażować świat. Ebola szybko wywołuje objawy, często już kilka godzin po zarażeniu, i szybko zabija, zazwyczaj w ciągu dwóch tygodni. Krótki okres inkubacji oznacza, że dzięki ostrej kwarantannie można ograniczyć rozprzestrzenianie się wirusa. Ale jeśli ktoś systematycznie rozniecałby ogniska choroby wśród danej populacji, mógłby zmieść z powierzchni ziemi całe społeczeństwa, nie tracąc kontroli nad tym, gdzie wirus się rozprzestrzenia.

Przy stoliku na całą minutę zapadła cisza. Julia wpatrywała się w swoją niedojedzoną kanapkę, patrząc, jak sałatka z tuńczyka wypływa z croissantu. Nie pojęła jeszcze wszystkich implikacji słów Allena, na razie wciąż widziała w myślach wizje z popularnych horrorów wykorzystujących temat wpływu wirusa Ebola na ludzkie ciało.

Ale wiedziała, że jeśli ta choroba faktycznie została przez kogoś stworzona, to tacy ludzie nie zawahają się przed zabójstwem, żeby utrzymać sprawę w tajemnicy.

„Właściwie - pomyślała - tacy ludzie powinni być bardzo sprawni w zabijaniu”.

\*

Już prawie tam był. Jeszcze dziesięć minut według GPS-U w samochodzie z wypożyczalni. Siedem minut przy tempie, w jakim jechał. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie znajdzie te trzy cele. Spróbuje wziąć jednego żywcem i wykorzystać go, żeby wyciągnąć od dziewczyny przedmiot należący do jego pracodawcy.

Jeszcze nigdy nie poniósł porażki, wykonując zlecenie, i nie zamierzał ponieść jej tym razem. Trzeba jednak przyznać, że nie zależało mu za bardzo na przedmiocie, który miał

odzyskać, ani na pracodawcy. Bardzo zależało mu natomiast na celach.

Bardzo zależało mu właśnie na nich.

Czuł napięcie w mięśniach twarzy, dłoni i przedramion. To źle przed walką.

Skupił się na odgłosach z radia, rozbrzmiewających przez tanie głośniki samochodu: melodia

country, heavy metal, trochę pyskowania na temat planów jednego z polityków, żeby... muzyka klasyczna - Vivaldi, zdecydował kierowca. The Red Priest. Co chciał zrobić ten polityk? Chciał podnieść opłaty w parkometrach - tak, o to chodziło. Następna stacja.

Reklama „szampańskie domy po piwnej cenie”.

Nieco się uspokoił.

„Szampańskie domy po piwnej cenie. Kto wymyślał takie rzeczy?” - zastanawiał się.

Mocno wcisnął gaz i przemknął na czerwonym świetle tuż po tym, jak się zapaliło.

GPS wskazywał osiem minut. Uznał, że wystarczy pięć.

\*

- Jest jeszcze jedna rzecz, która uwiarygodnia to, co powiedział mi twój partner -

odezwał się Allen, dziobiąc widelcem frytki na talerzu. - Nikomu nie udało się odkryć, co się dzieje z wirusem, kiedy znajduje się poza organizmami ludzi i małp. Znika na wiele lat, ale nie odkryto żadnego innego rezerwuaru, chociaż przebadano tysiące zwierząt i owadów.

Zerknął na nią z ukosa, jakby pytając: „Nadażasz?”.

- Sugerujesz, że nie można go znaleźć w przyrodzie, ponieważ go tam nie ma?

- Ładna i mądra - stwierdził Allen i mrugnął do Stephena. - Rezerwuarem jest próbówka w laboratorium jakiegoś szalonego naukowca. Trzyma ją tam, dopóki nie nadchodzi pora na kolejną próbę w terenie. Wtedy wirus pojawia się w przyrodzie, a on obserwuje, co się dzieje.

- Chwileczkę - wtrąciła Julia. - A czy nie może być tak, że wirus potrafi jednak sam mutować w sposób, jaki opisałeś, tylko po to, żeby przetrwać?

- Z pewnością.

- I naukowcy wciąż mogą wykryć w przyrodzie rezerwuar wirusa poza organizmem człowieka i znaleźć naturalne przyczyny tych wszystkich dziwnych zjawisk związanych z Ebolą, prawda?

- To możliwe.

- Chodzi mi o to, że interpretujesz fakty z perspektywy podejrzeń.

- I w kontekście prób zatuszowania sprawy morderstwem.

- Dlaczego do tej pory nikt tego nie ujawnił?

- Julio, mogę tylko zgadywać - Allen chwycił frytkę z jej talerza, odgryzł połowę, a drugą rzucił

Stephenowi. - Być może ci faceci potrafią się dobrze kryć. Wprowadzając wirusa do populacji za każdym razem, gdy chcieli przeprowadzić próbę, mądrze to rozgrywali.

Pewnie najpierw zarażali nim małpy lub nawet zarażali ludzi od małp, żeby zbić z tropu badaczy. Afryka była idealnym miejscem, żeby odwrócić od siebie uwagę: biedne kraje z kiepską łącznością i transportem, z marnym poziomem medycyny, a do tego jeszcze trudny teren i niezliczona ilość owadów oraz nosicieli zwierzęcych - to wszystko utrudnia badania ekologiczne i otacza całą sprawę aurą tajemniczości. To naprawdę jest Czarny Ląd.

- Zapominasz o bardziej prawdopodobnej przyczynie - odezwał się Stephen. - Spójrz na naszą sytuację. Możemy mieć jakieś informacje, ale niekoniecznie, a mimo to ktoś robi wszystko, żeby zamknąć nam usta. Skąd mamy wiedzieć, czy inni przed nami nie próbowali już ujawnić tej sprawy, ale ich uciszono? Wszystko wskazuje na to, że zadarliśmy z bardzo wpływowymi ludźmi.

Siedzieli przez chwilę w ciszy, spoglądając na talerze z niedojedzonym lunchem i na siebie, ale tak naprawdę niczego nie dostrzegając. Cień pod ich parasolem jakby zgęstniał.

- Dobrze - odezwała się Julia, odsuwając talerz. - Powiedzmy, że ktoś faktycznie wytwarza Ebolę. Jeśli nie robi czegoś jeszcze, to nie widzę...

- Ale robi - wtrącił Allen. - Myślę, że robi. Twój partner powiedział tak - i nie próbuję tego ubarwić ani interpretować - „atak bioterrorystyczny, filowirus. ". Spytałem kiedy.

Powiedział: „Już się zaczął”.

- „Jest w trakcie”? Tak powiedział - stwierdziła Julia.

- Musimy coś zrobić - powiedział Stephen, nachylając się nad stołem.

- Zgadzam się - odparła. - Ale co?

- Im szybciej to się wyda, tym prędzej przestaną się nami interesować - odrzekł Allen.

- Jakież pomysły?

- Media: gazety, telewizja. Będą mieli temat przez kolejny rok.

- Allen, to jest niemożliwe - stwierdził Stephen lekceważąco machając ręką. Z jego sfrustrowanego tonu Julia domyśliła się, że już o tym mówili. - Nie ma w tym kraju takiej agencji informacyjnej, która tknęłaby się tej historii bez dowodów.

- Słuchaj! - Allen oparł się na łokciach i pochylił nad stołem, tak że jego twarz znalazła się trzydzieści centymetrów od twarzy Stephena.

Drewniany słup parasola idealnie rozdzielał ich wyraźne profile. Ten obraz przypominał Julii billboard, który widziała za Atlantic City, reklamujący - wedle organizatorów - „walkę stulecia”. Parkerowie idealnie zastępowali bokserów: przystojny Allen byłby ulubieńcem mediów - dowcipny,

czarujący, złotousty i szybkoconogi, natomiast wielki, niezgrabny Stephen byłby oczywistym faworytem - jako człowiek ze stalowymi mięśniami. Podejrzewała, że rozdźwięk pomiędzy nimi sięgał głębiej niż obecne nieporozumienie.

- Znam w mediach ważnych ludzi, którzy mogliby pomóc - ciągnął Allen.

- Nawet gdybyś był bliźniakiem syjamskim Katie Couric z wieczornych wiadomości CBS i tak by ci to nie pomogło.

- Masz lepszy pomysł?

Stephen zwrócił się do Julii:

- Jesteś z FBI?

- W pewnym sensie. Z agencji pochodnej.

- Czy możemy tam pójść?

Allen się wtrącił:

- Mówiłem ci, że nie idę na...

Julia przerwała mu uniesieniem dłoni.

- Wczoraj rano powiedziałabym, że nie ma takiej osoby w mojej agencji lub w FBI, której bym nie ufała. Teraz sama nie wiem. Za to wiem, że ktoś przechwycił sygnał

satelitarny, którego teoretycznie nie da się przechwycić. Mamy przynajmniej jedną lub nawet dwie działające grupy zabójców - nie są dyskretni i nie wahają się zabijać agentów federalnych. Przynajmniej dwójka zabójców to policjanci, więc ten, kto ich wynajął, ma powiązania w środowisku stróżów prawa. Wszystko to ma coś wspólnego z wirusem stworzonym przez człowieka, co wskazuje na udział terrorystów lub wojska. Trudno mi sobie wyobrazić, że rząd w żaden sposób nie jest w to zamieszany. Te macki sięgają zbyt daleko, żeby wychodziły tylko od osób prywatnych.

- W takim razie media - powiedział Allen, opierając się na krześle, zadowolony, że wygrała jednak jego argumentacja.

- Nie sądzę - odrzekła. - Zgadzam się ze Stephenem. Dopóki nie będziesz miał

mocnych dowodów na poparcie swojej tezy, żadna szanująca się agencja informacyjna tego nie ruszy. Twoje koneksje mogą wystarczyć, żeby postawili ci lunch i klepnęli po plecach, ale to wszystko. - Znowu podniosła rękę, żeby powstrzymać sprzeciw Allena. - Nie mówię, że ta historia ich nie zainteresuje, tylko że żaden dziennikarz ci nie uwierzy, jeśli na poparcie będziesz miał wyłącznie swoje słowa.

Było dla niej jasne, że Allen nie był przyzwyczajony do sprzeciwu. Rysy mu stwardniały.

Zaciśnięte usta wydeły się nieco i zaczął wolno przesuwając wargami do przodu i do tyłu, jak gdyby żuł ciągutkę. Przewiercał Julię nieruchomym wzrokiem. Widać było, że doprowadził ten gniewny wyraz twarzy do takiej perfekcji, iż pielęgniarki, studenci medycyny, a nawet koledzy z pracy woleli pewnie ustąpić, niż próbować wytrzymać to spojrzenie.

Nachyliła się w jego stronę.

- Kontakt z mediami nam nie pomoże, a tylko powie naszym prześladowcom, ile wiemy i gdzie jesteśmy.

- Te zabójstwa - odezwał się - stan ciała Donnelleya, jego słowa.

- To tylko słowa - powiedziała Julia stanowczo. - I nikt inny nie słyszał, co mówił, tylko ty, nieprawdaż?

- Nie wierzysz mi?

Zawahała się przez moment.

- Wierzę, bo już wcześniej coś o tym słyszałam od Goody'ego. Ale ja nie jestem z mediów. Musiałbyś przekonać kilka naprawdę zblazowanych osób, które utrzymują się z tego, że dwukrotnie sprawdzają wszystkie fakty. Nawet jeśli udzieliliby ci kredytu zaufania, trzymałoby tę historię pod kluczem, dopóki by jej nie zbadali, dopóki nie nabraliby pewności.

To dałoby czas tym, którzy nas ścigają, żeby zrobić to, w czym pewnie są najlepsi: uciszyć wścibskich dziennikarzy i ich informatorów.

Allen powoli mrugnął oczami. Słuchał.

- Pójście do prasy ustawiłoby w świetle reflektorów nas, a nie tamtych. Oczywiście, mógłbyś sprzedać tę historię jednemu z brukowców, jakie można dostać w sklepie spożywczym. Pojawiłaby się tuż obok artykułu o trzygłowym świniopasie, który pożarł

swojego sąsiada.

Rysy twarzy mu się rozluźniły. Kącik ust drgnął i podniósł się w słabym uśmiechu.

Miało to oznaczać, że właściwie przebacza jej niesubordynację. Rozejrzał się dookoła, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie sprawę, gdzie właściwie są. Pokiwał głową:

- Co to oznacza?

Julia spojrzała na Stephena, na jego dużą owłosioną twarz zwróconą ku niej w oczekiwaniu na odpowiedź. Ponownie przesunęła wzrok na Allena. Był bardziej cyniczny niż jego brat, bardziej zadufany w sobie, nawet teraz, kiedy był wystraszony i niepewny.

- To oznacza, że zostaliśmy sami.

- A więc co proponujesz? - zapytał Allen.

Odwzajemniła przez chwilę jego spojrzenie, po czym obróciła głowę i zapatrzyła się z nieobecnym wyrazem twarzy na chodnik poza obrębem patio. W jej polu widzenia przemykały stopy w różnym obuwiu, ale jej umysł tego nie rejestrował. Sytuacja, w której się znaleźli, przypominała dziurę, do której próbowała dopasować niekończącą się liczbę rozwiązań. Przez głowę przelatywał jej pomysł za pomysłem. Każdy oceniała, przymierzała do dziury i odrzucała, przechodząc do kolejnego. Po minucie podniosła wzrok.

- Dowody. Cokolwiek zdecydujemy się zrobić - iść do mediów lub na policję -

będziemy potrzebowali dowodów. Mam coś, co dostarczył Vero, chip pamięci. Być może jest tam wszystko, czego nam potrzeba, ale chip jest zakodowany. Prawdopodobnie uda mi się rozwiązać ten problem, ale dopóki nie będziemy tego wiedzieć na pewno, powinniśmy poruszyć kilka kamieni i zobaczyć, co tam znajdziemy.

- My mamy prowadzić śledztwo? - spytał Allen z niedowierzaniem.

- Musimy - odparła Julia, odrywając myśli od planu, który formowała sobie w jej myślach. - Mogę wyciągnąć trochę informacji z różnych baz danych, dowiedzieć się, co wie FBI, być może poznać stan śledztwa w Chattanooga. To może nas doprowadzić do kolejnych wskazówek, na kolejne ścieżki prowadzące do prawdy. Nie wiemy jeszcze, czego dokładnie szukamy, ale tak zaczyna się każde dochodzenie. Zanim się zorientujemy, fragmenty układanki zaczną do siebie pasować i będziemy mieć wystarczająco dużo dowodów.

- Od czego zaczniemy? - zapytał Stephen, gotów do działania.

- Właśnie myślę.

- Cóż, nieważne jak to ujmiesz, jesteśmy zbiegami i już - stwierdził Allen. - Nigdy dotąd nie musiałem się ukrywać, ale podejrzewam, że może się to okazać dość kosztowne -

jedzenie, transport, hotele.

- I żadnych kart kredytowych - odezwała się Julia.

Wynajęła dzisiaj samochód w wypożyczalni, gdzie zamiast prestiżowej karty kredytowej przyjęli dodatkowe 50 dolców oraz fotokopie jej prawa jazdy i legitymacji policyjnej.

Teraz już prawie skończyła się jej gotówka i nie wymyśliła jeszcze, jak zdobędzie jej więcej, nie pozostawiając po sobie tropu na papierze.

- Może zrobimy tak? - Allen wskazał głową na firmę po drugiej stronie ulicy. - To jest oddział banku, z którego korzysta nasz ojciec. Zadzwoniliśmy do niego dziś rano. Załatwił, że będziemy mogli podjąć gotówkę na nazwisko Stephena. Ja nie mam dowodu osobistego.

Weźmiemy pieniądze, pojedziemy gdzieś i zdecydujemy, co robić.



- Już to przemyśleliście - Julia była pod wrażeniem.

- Allen nigdy nie zapomina o aspekcie finansowym - zakpił Stephen.

- Jeśli już o tym mowa. - Allen omiół wzrokiem talerze.

Stephen wyjął portfel i położył na stole dwa banknoty, a włosy na brodzie rozchyliły mu się w szerokim uśmiechu.

- Allen bez gotówki - powiedział. - Nigdy nie sądziłem, że doczekam tego dnia. Zaraz wracam.

Wstając, wysunął się spod parasola w obawie, że jeśli wyprostuje się pod nim, to podniesie go na swoich barkach. Przekroczył barierkę okalającą patio i wyszedł na pełne słońce. Rozejrzał się na boki, przepuścił samochód i przebiegł przez ulicę. Julia była zaskoczona tym, jak zgrabnie się poruszał.

- Muszę zadzwonić - oznajmiła. Rzuciła serwetkę na talerz i wstała, podnosząc torbę. -

Widziałam w środku telefon.

- Pójdę z tobą.

- Jak chcesz.

Szarpnęła duże oszklone drzwi do restauracji i weszła do środka. Rzuciła przez ramię:

- Dzwonię tylko do mamy. Nie musisz...

Wtedy go spostrzegła - przechodził przez ulicę, zupełnie jak gdyby cały czas obserwował ich przez wystawę jednego z okolicznych sklepów i zobaczył, że Stephen poszedł

do banku. Wszystko wokół zbladło. Widziała tylko jego, jakby w zwolnionym tempie, jak przepuszcza samochód i przemyka zaraz za Stephenem prosto w stronę banku.

- Co? Co? - słowa Allena docierały do niej przytłumione, jakby z oddali.

Czarne jak atrament włosy, miejscami zmierzwione. Okulary w grubych oprawkach.

Wysoki i muskularny.

- Julio, jesteś blada jak płótno.

Odepchnęła go, żeby z powrotem wyjść na patio.

- Allen. - wskazała gestem.

Mężczyzna stał przed frontowym oknem banku i zaglądał do środka.

- Co? Ja... - zaczął Allen, a potem powiedział: - Wygląda jak. Chyba mówiłaś, że on nie żyje. Mówiłaś, że go zastrzelili. To nie może być on.

- To jest on. To ten facet, który wczoraj w nocy został przy mnie zabity przez policję.

Jej ręka powędrowała do pistoletu i spoczęła na rękojeści. Julia patrzyła, jak zabójca przystaje, żeby przepuścić kobietę wychodzącą z banku. Prześlizgnął się tuż za nią i oszklone drzwi się zamknęły. Był w środku.

- To nie był on - Allen nachylał się ku niej blisko, trzymając rękę na jej ramieniu.

Ludzie zaczęli się im przyglądać.

- Wiesz, że tak. - Ale jak to możliwe? Nie dostrzegła żadnego siniaka ani zadrapania, żadnej rany postrzałowej.

Jak echo powtórzył to, co ona pomyślała:

- Ale jak to możliwe?

- Nie wiem. Po prostu nie wiem. - Przebiegła myślą różne możliwości, ale żadna z nich nie miała sensu. - Musimy wyciągnąć stamtąd Stephena. Wyjęła telefon komórkowy, otworzyła klapkę i wcisnęła 411.

- Myślałem, że nie powinniśmy używać komórek.

- Już wiedzą, gdzie jesteśmy. - Wyrecytowała nazwę banku. Dziesięć sekund później głos z komputera poinformował ją, że zostanie połączona bez dodatkowej opłaty.

Allen odezwał się:

- On może wejść za Stephenem do łazienki. Nie zdziwiłbym się nawet, gdyby zaatakował go tak po prostu na sali.

- Wiem, Allen. Zamknij się na sekundę.

W banku odebrała recepcjonistka.

Julia odezwała się niskim, zachrypniętym głosem:

- W budynku jest bomba. Za dwie minuty zostanie z was miazga. - Zamknęła klapkę telefonu. Dwie minuty nie dadzą dyrektorowi banku czasu na zastanowienie.

- Miazga? - zapytał Allen.

- Ładny obrazek, co? Gdybyś ty był tą recepcjonistką, czy nie krzychałbyś już na dyrektora, żeby ewakuował budynek?

- Pewnie po prostu bym wyszedł.

Spojrzała na niego. Jeśli żartował, to nie dał tego po sobie poznać.

- Miejmy nadzieję, że ona jest ulepiona z innej gliny.

Dźwignęła torbę podręczną i przełożyła pasek przez głowę, niczym pas na naboje. Nie chciała zgubić torby, jeśli zacznie się szaleństwo. Minęli stoliki znajdujące się przed nimi i przeszli nad barierką. Miała nadzieję, że Stephen wypłynie wraz z tłumem i skieruje się wprost do nich. Wtedy poprowadziłyby ich za róg do swojego samochodu, powstrzymując zabójcę za pomocą pistoletu, jeśli by to się okazało konieczne.

Drzwi do banku stały otworem i elegancko ubrana kobieta wyskoczyła przez nie na czele dużej gromady ludzi. Tłoczyli się, przepychali i przedzierali przez wąskie drzwi, wysypując się na ulicę. Samochody zaczęły gwałtownie hamować i tarasować ulicę.

Więści dotarły też jakoś do wyższych kondygnacji trzypiętrowego budynku - Julia widziała ludzi opuszczających w pośpiechu biura wychodzące na ulicę.

- Krzyknij do niego, kiedy wyjdzie - powiedziała. - Powiedz mu, żeby biegł, po prostu biegł. Dokądkolwiek.

Zeszła z krawężnika. Rozważała, czyby nie wejść do banku, kiedy jej wzrok przyciągnął ruch w oknie na drugim piętrze.

To był Stephen.

Zobaczył przez zamknięte okno szaleństwo na chodniku poniżej i uniósł głowę w poszukiwaniu Allena oraz Julii. Pomachała rękami. Dostrzegł ją i drgnął.

„Chodź!” - pokazywała.

Skinął głową i spróbował unieść ramę okna. Ani drgnęła. Nachylił się i wykonał gest, jakby stukał młotkiem. Ktoś zabił okna na stałe, pewnie podczas instalowania w budynku klimatyzacji. Spróbował ponownie. Widziała grymas na jego twarzy. Z trzaskiem słyszalnym nawet po drugiej stronie ulicy rama okna rozpadła się i tafla szkła uniosła się o kilkanaście centymetrów. Kolejne szarpnięcie i otwór powiększył się do trzydziestu centymetrów. potem do metra - wystarczająco, żeby Stephen mógł się przecisnąć.

Wybiegła na środek ulicy, czując, że Allen jest tuż za nią. Samochody z obu stron stały, ponieważ klienci banku i pracownicy biur kłębili się na środku ulicy. Asfalt promieniował ciepłem. Na czole Julii i nad jej górną wargą pojawiły się krople potu.

- Uciekaj stamtąd natychmiast! - krzyknęła.

Dołączyli do niej ludzie z tłumu, widząc wielkiego mężczyznę, który utknął w skazanym na zagładę budynku. Rozległy się okrzyki: „Dalej, chłopie!”, „Uciekaj!”, „Skacz!”.

Ale drugie piętro było zbyt wysoko nad betonowym chodnikiem.

- On jest w banku, Stephen! - zawołał Allen. - Zabójca!

Na twarzy Stephena w miejsce oszołomienia pojawiła się troska. Zastanawiał się, co może zrobić. Przyjrzał się łukowatej płóciennej markizie rozpiętej nad elegancką perfumierią położoną tuż obok.

- Zawiśnij na parapecie! Zawiśnij i skacz! Szybciej, Stephen! Teraz!

Skinął głową i natychmiast przerzucił nogę przez otwór. Kucając na parapecie, ocenił

odległość od ziemi i poszukał czegoś, czego mógłby się chwycić. W prawej ręce ścisnął

kopertę. Zaczął opuszczać się z parapetu, kiedy w pokoju za nim przemknął cień. Drewno i szkło eksplodowały nad Stephenem. W oknie pojawiła się ręka, chwytając Stephena za włosy.

Stephen zaczął szarpać głową na wszystkie strony, próbując się wyrwać. Targnął głową mocno do tyłu i odsunął się jak najdalej od okna, na tyle, na ile dał radę naciągnąć ramiona.

Ze środka wyskoczyła czarna pięść, mijając twarz Stephena o centymetry.

Julia wciągnęła powietrze. Pięść na czarnych knykciach miała ostre kolce - zabójca nosił rękawicę, którą Julia wydobyla ze zgniecionej deski rozdzielczej w swoim samochodzie.

Położyła rękę na torbie wiszącej przy boku. Przez jej nylonowe ściany namacała rękawicę - twarde niczym skamieniała ręka.

Kolejna rękawica! Ten zabójca był nie tylko podobny do tego, którego śmierć widziała wczoraj - to był on.

Wyjęła pistolet i zobaczyła, jak Stephen odbija się od budynku i leci w tył.

\*

Stephen poczuł, jak rękawica drasnęła go w brew i ciepła ciecz zalała mu oko. Czarna pięść się cofnęła, robiąc zamach przed kolejnym uderzeniem. Gdyby napastnik się teraz wychylił, dosięgnąłby pięścią głowy Stephena.

Stephen puścił się więc ramy i jak najmocniej wybił się na nogach, jednocześnie skręcając się w bok. Ręka przebiła resztki szyby, mierząc w jego stronę. Z okna wychyliły się głowa i ramiona napastnika. Miał wyraziste rysy, wykrzywione usta i błyszczące zielone oczy wyglądające zza staromodnych okularów.

Stephen uderzył w markizę z głośnym łup! Lewym ramieniem zahaczył o drut z jej metalowego szkieletu i daszek złożył się pod ciężarem lecącego w dół ciała. Ból przeszył mu bok, promieniując aż do szczęki. Brunatny materiał owinał go, zasłaniając mu niebo.

Stephen myślał, że uderzył w chodnik, ale po chwili zrozumiał, że kołysze się w płóciennym hamaku. Zaczął się z niego wyplątywać, macając nogą w poszukiwaniu ziemi.

Wyczuł ją tuż pod sobą i wysunął się z kokonu. Ramię przeszywały mu fale bólu, a ręka zdrętwiała mu aż po łokieć. Zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma kopertę z pieniędzmi.

Wepchnął ją do tylnej kieszeni.

Na ulicy po jego lewej stronie przykucnęła Julia w pozycji gotowej do strzału, trzymając pistolet w wyprostowanych rękach i celując w okno powyżej. Stephen spojrział w górę, ale nikogo nie zobaczył.

- Tędy! - krzyknęła Julia, pokazując, żeby przebiegł przed wejściem do banku. Ani na chwilę nie oderwała wzroku od wybitego okna.

Zawahał się zdumiony. Przecież Julia podeszła pod restaurację od drugiej strony.

Wtedy zrozumiał: tłum, który przelotnie dostrzegł z okna, zdążył gwałtownie zgęstnieć w tym krótkim czasie potrzebnym mu, żeby dostać się na ulicę. Gapie stali szerokim półkolem wokół banku, który stanowił epicentrum, i trudno byłoby się przez nich przecisnąć. Nikt jednak nie odważył się zbliżyć do strefy w promieniu trzydziestu metrów przed bankiem i chodnik tam był pusty. Julia po prostu wybrała drogę, którą było mu się najłatwiej przedostać.

Allen przemknął koło niej i pognał w stronę przecznicy ograniczającej ten kwartał. To wystarczyło, żeby poderwać Stephena. Julia poruszała się szybko i, biegnąc bokiem, cały czas celowała w okno. Dołączyła do Stephena na chodniku po drugiej stronie wejścia do banku.

Tłum wydał dziwny dźwięk, jak gdyby wszyscy ludzie w tej samej chwili wciągnęli powietrze, najwyraźniej widząc coś, co było poza zasięgiem wzroku Stephena.

Wtedy pękła szyba w oknie nad nim.

Kiedy pierwsze odłamki uderzyły go w głowę, Stephen chwycił Julię za ramię i popchnął ją do przodu, z dala od niebezpieczeństwa.

Coś spadło - coś dużego i ciężkiego uderzyło w chodnik za nim. Obrócił się. Na ziemi leżało ciało pokryte szkłem i kawałkami drewna. Przez chwilę był pewien, że napastnik wyrzucił kogoś przez okno w nadziei, że zmiażdży Stephena, ale wtedy ramiona postaci poruszyły się, strącając odłamki. Zobaczył twarz. To był jego prześladowca. Podniósł się i strzepnął z siebie szkło. Z rozciętego czoła i policzka ciekły mu strużki krwi.

Stephen ocenił sytuację i doszedł do wniosku, że ucieczka jest bezcelowa. Agresor niczym drapieżnik dogoni ich bez trudu.

Stephen cofnął się o krok i rozłożył ręce w pokojowym geście.

- O co chodzi? - zapytał.

Napastnik uśmiechnął się szeroko zimnym uśmiechem. Ale to jego oczy przekonały Stephena: był tutaj, żeby zabijać. Nic nie mogło go powstrzymać.

„Nic oprócz mnie” - pomyślał Stephen.

Wysunął lewą nogę do przodu i cofnął biodra za prawą nogę w postawie walki. W ten sposób był przygotowany do kopnięcia lub do obrony.

- Stephen! - to była Julia. - Mam go. Odsuń się!

Zabójca zbliżył się, błyskawicznie wyrzucając do przodu uzbrojoną rękę.

Stephen sparował cios, unosząc lewe przedramię. Wrażenie było takie, jakby walnął w zderzak samochodu, ale dzięki temu pięść nie trafiła w cel. Jeszcze zanim ich ręce się zetknęły, prawe ramię Stephena wystrzeliło w przód, celując otwartą dłonią w miejsce pomiędzy nosem a górną wargą. Dobrze wymierzony cios wywołałby obezwładniający ból.

Ale tak się nie stało.

Zupełnie jak gdyby czas przeskoczył do przodu, nagle zabójca trzymał Stephena za nadgarstek, powstrzymując cios pięć centymetrów od celu.

Stephen zobaczył wściekłe oczy napastnika tuż przed swoją twarzą. W wyrazie twarzy tamtego nie dostrzegł nic poza zwierzęcą furią. Zabójca skinął głową i wykrzywił usta w grymasie, który w pewnych demonicznych kręgach można by uznać za uśmiech. Gest oznaczał touché.

- Nie musimy tego robić - powiedział Stephen przez zaciśnięte zęby. Wiedział, że to nieprawda, ale w głębi duszy pamiętał ostatni raz, kiedy walczył - jego sumienie tego nie chciało.

Napastnik mocno szarpnął w dół ramię Stephena, wyrzucając jednocześnie w górę kolano z zamiarem roztrzaskania jego kości promieniowej i łokciowej.

Stephen przewidział ten ruch i skręcił biodra. Poczuł silne uderzenie w udo.

Zamieniając obronę w atak, Stephen wyrzucił nogę pomiędzy nich, a potem zahaczył nią od tyłu o nogę zabójcy, na której spoczywał ciężar ciała tamtego. Szarpnął nogą z powrotem do siebie. Myślą już wyskoczył do przodu, przewidując, jakie ruchy wykona, kiedy jego przeciwnik znajdzie się na ziemi. Ale do tego nie doszło.

Na ogół ludzie w sposób naturalny bronią się przed upadkiem, wyciągając ręce i próbując się na nich podeprzeć, ale zabójca nie puścił prawego nadgarstka Stephena.

Zamiast tego użył go, żeby się podtrzymać i obrócić wokół własnej osi, wykorzystując siłę kopnięcia przeciwnika. Zanim Stephen zorientował się, co się dzieje, zabójca odwrócił się do niego tyłem i przerzucił go nad głowę. Stephen zderzył się z chodnikiem. Wyczuł ruch nad sobą i przetoczył się w bok. Rękawica uderzyła w chodnik w miejscu, gdzie przed chwilą była jego twarz, wzbijając chmurę betonowego pyłu i odłamków.

Gdyby toczył się dalej, tak jak nakazywał mu rozum, jego przeciwnik skoczyłby do przodu, przygwoździł go i zabił. Zamiast tego przekręcił się z powrotem w stronę zabójcy, chwytając go obiema rękami za ramię. Zanim prześladowca zdążył go kopnąć, Stephen wymierzył mu w głowę ogłuszający cios czubkiem buta. Unieruchomiony przez Stephena, trzymającego go za ramię, zabójca zachwiał się. I opadł kolanem na jego czoło.

Światło pojawiło się znowu, tworząc różne obrazy. Zobaczył budynek po lewej stronie, błękitne niebo, białe chmury, fragment nogi oraz stojącego nad nim zabójcę, który unosił kolczastą pięść z zamiarem wbicia mu jej w głowę.

Stephen wyrzucił ramię do góry, celując wysoko w chmury. Uderzył zabójcę pomiędzy nogi.

Uzbrojony w rękawicę napastnik przewrócił się na ziemię.

Stephen przetoczył się i podparł rękami. Kopnął do tyłu, trafiając tamtego w bok.

Zabójca zachwiał się, a Stephen obniżył tors i kopnął obcasem buta w mostek mężczyzny.

Napastnik poleciał do tyłu na wystawę sklepową, przebił ją i zniknął za kaskadą rozbitego szkła. Ogromna szyba spadła w dół niczym gilotyna. Chwilę później wymierzone z całej siły kopnięcie okrężne trafiło w bok głowy Stephena, kiedy jego prześladowca przeskoczył przez zasypany szkłem parapet. Głowa Stephena poleciała do tyłu. Ból był tak silny, że najchętniej by upadł, dał się ogarnąć czarnej chmurze unoszącej się gdzieś na granicy jego świadomości... Zamiast tego odepchnął tę czarną chmurę daleko od siebie i wyprostował szarpnięciem głowę. Wtedy zobaczył odłamek szkła wielkości szabli zmierzający w stronę jego szyi z taką prędkością, że jego kontury się zamazywały.

Uchylił się w dół.

Szkło, które trzymał w rękach zabójca, rozsypało się po zderzeniu z cegłami okalającymi okna banku.

Stephen uderzył głową w żołądek napastnika i poczuł ból, kiedy pięść tamtego zacisnęła się na włosach z tyłu jego głowy. Zamiast się cofnąć, napał mocniej do przodu, wytrącając przeciwnika z równowagi. Obaj upadli. Kiedy zabójca uderzył w beton, Stephen wykonał nad nim przewrót, wykorzystując siłę rozpędu, żeby oswobodzić głowę.

Poczuł, jakby dostał w tył głowy ołowianą rurką. Zignorował ból - powoli już się do niego przyzwyczajał.

Przetoczył się na bok, wysuwając się poza zasięg zabójcy, i już stał na nogach - zajęło mu to dosłownie ułamki sekund.

Zabójca też zdążył się już podnieść - stał na ugiętych kolanach trzy metry dalej, wyciągając ręce jak atakujący zapaśnik. Zachwiał się lekko na palcach stóp, gotowy do uderzenia. Był wysokim mężczyzną, nieco tylko niższym od Stephena, miał mniej więcej sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Przy około stu dwudziestu kilogramach mięśni z proporcji ciała przypominał kulturystę - nie był chudy, tak jak wielu wysokich mężczyzn.

Przez niezasunięty do końca suwak czarnej wiatrówki widać było ciemnozielony sweter opinający się na wyraźnie zarysowanych mięśniach klatki piersiowej. Czujne oczy śledziły każdy ruch Stephena.

Stephen wziął głęboki oddech, a potem kolejny. Pot drażnił mu oko. Poczuł zapach krwi.

Zimna strużka spłynęła mu po kręgosłupie, kiedy zobaczył, że zabójca oddycha w nieśpiesznym rytmie ciała w spoczynku - ledwie można było dostrzec, jak jego masywna pierś lekko unosi się i opada. Żadnego potu, tylko krew. Rozcięcia i otarcia upstrzyły twarz napastnika i jedną widoczną rękę... rękę, która wciąż ścisnęła kępkę brązowych, zakrwawionych włosów i coś, co wyglądało jak... kawałek skalpu.



Prześladowca uniósł pięść, żeby obejrzeć swą wygraną. Spojrzał na Stephena i uśmiechnął się.

- To musiało boleć - powiedział dobitnie, bez śladu humoru. Od niechcienia wepchnął

włosy do kieszeni na piersi wiatrówki, jakby chciał sprowokować przeciwnika, żeby ten spróbował odzyskać to, co mu zabrano.

- Stephen!

To był Allen, gdzieś daleko za nim - spanikowany, sądząc po tonie głosu.

Zabójca popatrzył z wściekłością.

- Biegnij, Stephen!

- Stephen, mogę go zdjąć - usłyszał pełen stoickiego spokoju głos Julii, dochodzący już z bliższej odległości. - Odsuń się.

Rzucił szybkie spojrzenie do tyłu. Julia stała na chodniku zaraz za nim, jakieś dziesięć metrów.

- Uważaj! - krzyknęła i Stephen natychmiast padł, wiedząc, co się zaraz stanie.

Rękawica przeleciała tuż nad nim, tak blisko, że poczuł, jak dotknęła resztki włosów na czubku jego głowy. Potoczył się pod nogi zabójcy, ale ten odskoczył tak szybko, jak gdyby go tam nigdy nie było. Stephen zamachnął się swoją wielką nogą, jakby zamierzał trafić w kostki przeciwnika, ale tak naprawdę chciał tylko zyskać czas, żeby zdążyć się podnieść.

Skoczył na nogi i zobaczył, że zabójca znajduje się kilka kroków od niego, tuż pod ocalałą częścią markizy, która wcześniej złagodziła jego upadek. Mężczyzna ruszył do przodu z zamiarem uderzenia go w pierś, ale Stephen usunął się w ostatniej chwili. Kopnął nogą w przód, zbyt późno orientując się, że napastnik tylko zamarkował cios, żeby go zmylić.

Zabójca chwycił go za nogę, unieruchamiając ją pomiędzy zgięciem łokcia a fragmentem stelaża, na którym rozpięta była markiza. Stephen szarpnął się, ale równie dobrze mógłby mieć nogę przykutą do fundamentu. Podskoczył na drugiej nodze, chcąc złapać równowagę. Spróbował się obrócić, żeby uwolnić nogę, ale napastnik też się poruszył, kontrując ruchy Stephena.

Ból słabnie w ogniu walki, kiedy umysł skupia się na przetrwaniu. Ale nawet krótka przerwa w bitwie może rozniecić go z powrotem, i tak stało się teraz w przypadku Stephena.

Poczuł tak silny ból, jakby miał rozłupaną czaszkę i wyrwane ramię.

Przeciwnik znowu uśmiechnął się paskudnie - bezlitośnie, z wyższością.

Jak w zwolnionym tempie najeżone kolcami i twarde niczym skała ramię zabójcy cofnęło się, a potem wypadło do przodu. Stephen też spróbował się zamachnąć, żeby zablokować uderzenie, ale nie zdołał. Skręcił się tylko w bok i poczuł miażdżący cios w żebra.

Powietrze uszło mu z płuc. Próbował łapać oddech, ale nie mógł go zaczerpnąć.

Wtedy zobaczył, że zabójca cofa ramię, żeby znowu uderzyć. Wróg od początku wziął na cel jego głowę i Stephen wiedział, że teraz trafi, że tego ciosu już nie przeżyje.

Wtedy rozległ się wystrzał, ostry i bliski. Iskry wybuchły jak fajerwerki ze stelaża markizy, tuż przed twarzą zabójcy.

Stephen był wolny, upadł na ziemię.

Kolejny strzał.

Niejasno zdał sobie sprawę, że ktoś do niego biegnie, mija go, zatrzymuje się u jego stóp.

To Julia, celująca z trzymanej w ręce broni, i ktoś jeszcze - Allen, podbiega i szarpie go za ramię.

- Stephen! Rusz się, człowieku! Chodźmy!

Allen stanął nad nim okrakiem i podciągnął go do góry. Stephen poczuł, jak jego ciało przeszywa straszliwy ból. Wydał z siebie raczej jęk niż krzyk. Allen popatrzył na swoją dłoń umoczoną we krwi i skrzywił się.

- Możesz się ruszać?

Pytanie pobudziło Stephena do tego, żeby spróbować. Czując przyływ adrenaliny, podniósł się i zachwiał. Allen stanął u jego lewego boku, chwycił go pod ramię i wyprowadził

spod markizy. Stephen wciągnął powietrze, znowu mógł oddychać. Z jego zdrętwiałego lewego boku promieniował ogień, którego pulsujące macki sięgały serca i głowy, sprawiając, że nogi się pod nim ugiwały.

Jednak z każdym kolejnym krokiem, z każdym oddechem czuł się silniejszy.

Odepchnął Allena i stanął o własnych siłach. Był roztrzęsiony, wszystko go bolało, ale uważał, że poza tym nic się nie stało.

Trzeba by czegoś więcej, żeby go wykończyć.

Zorientował się, że wzdłuż całego kwaterału panuje chaos, ludzie wrzeszczą i uciekają na widok broni, inni obserwują zajście, kryjąc się za samochodami. Gdzieś w oddali zawyły syreny, odwrócił się. Julia stała w miejscu, gdzie zabójca unieruchomił go przy stelażu markizy. Z torbą przewieszoną przez ramię ścisnęła broń w wyprostowanych rękach, celując.

Popatrzył dalej i zdążył zobaczyć, jak zabójca wygląda zza rogu wnęki wejściowej znajdującej się dwa sklepy dalej. Julia zdołała go odeprzeć, ale nie na długo. Strzeliła i obok głowy zabójcy rozpadła się cegła.

- Biegiem! - krzyknęła. - Uciekajcie!

We wnętrzu pojawił się wielki czarny pistolet, skierował się w ich stronę i plunął dymem.

Julia zrobiła unik w prawo, Allen szarpnął Stephena. Zawrócili i ruszyli chodnikiem tuż pod ścianami budynków. Stephen zdobył się na skrócony galop. Allen biegł obok, gotów do pomocy, podtrzymując go i wybierając drogę.

Na rogu Stephen na chwilę przystanął i zobaczył, że Julia biegnie za nimi tyłem z uniesionym pistoletem. Potem on i Allen skręcili za róg do innego świata, gdzie nie było gapiów gromadzących się, żeby oglądać krwawe bitwy. W połowie kwartału, na kolistym podjeździe przed wejściem do hotelu Marriott-Knoxville goście wyjmowali walizki z bagażników swoich aut. Taksówki i prywatne samochody były zaparkowane wzdłuż ulicy po obu jej stronach.

Rozległ się wystrzał i Julia wybiegła zza rogu, wpadając na nich.

- Ruszcie się! On zaraz tu będzie!

Rzucili się do wejścia do hotelu, ale Julia zawołała:

- Czekaście! Czekaście! Nie tam. To zbyt oczywiste.

Obrzuciła spojrzeniem wąskie sklepy, które zajmowały połowę tego kwartału.

Wszystkie oferowały drogą biżuterię, odzież i dzieła sztuki. Ich fasady były zajęte przez wystawy i oszklone drzwi, które bez wątpienia prowadziły do gustownych przestronnych wnętrz i w związku z tym raczej nie nadawały się na kryjówkę. Miały z pewnością jakieś pomieszczenia na tyłach, ale niekoniecznie drugie wyjście.

- Hotel! - zachrypiał Stephen. - To jedyna droga!

- Nie, tutaj! - odezwał się Allen, pokazując na krawężnik.

- Co? - zapytał Stephen.

- Tak! - odparła Julia. - Pod samochody! Już!

Zanurkowała w przestrzeń pomiędzy dwoma zaparkowanymi autami, wepchnęła torbę podręczną pod jedno z nich i zniknęła za nią. Allen popchnął Stephena w stronę drugiego samochodu, a sam wsunął się pod inny. Stephen przykucnął i uczynił to samo.

Coś wbiło mu się w plecy, więc przycisnął się mocniej do asfaltu, ocierając sobie skórę na całym ciele. Wykręcił szyję, żeby się upewnić, czy nie wystają mu nogi.

W wąskim otworze pomiędzy wysokim krawężnikiem a podwoziem zobaczył, jak głowa zabójcy

wychyla się zza rogu i natychmiast za nim znika. Sekundę później pojawił się już cały, trzymając przed sobą pistolet z tłumikiem. Nie widząc swojej zwierzyny, opuścił

broń i zbliżył się do pierwszej wystawy. Potem przeszedł do następnej, obracając się, żeby sprawdzić teren po drugiej stronie ulicy i dalej w stronę hotelu. Poruszał się z niewyobrażalną zręcznością, niczym woda tryskająca z fontanny. Miał Allena, a potem Stephen.

Chłopiec w wieku około trzynastu lat nadjechał pędem na deskorolce, której kółka stuknęły o łączenia płyt chodnikowych. Zabójca wyrzucił w bok ramię. Chwycił chłopca za koszulkę i podniósł go z deskorolki, która pojechała dalej sama.

- Gdzie oni są, chłopcze? - wysyczał zabójca prosto w twarz nastolatka. - Kobieta, dwóch mężczyzn. Gdzie?

- Ja. Ja, nie wiem, o czym pan...

Odrzucił chłopca na bok jak niepotrzebną rzecz. Dzieciak potoczył się po chodniku i zatrzymał się twarzą w dół. Kiedy uniósł głowę, zajął wprost w oczy Julii.

Oczy chłopca były ogromne. Usta mu drżały i Julia była pewna, że zaraz krzyknie.

Przyłożyła palec do ust.

Chłopiec przekręcił nieco głowę i zobaczył Stephen pod samochodem za nią. Obrócił

się i spojrzał przez ramię. Zabójca przyglądał się z wściekłością wystawie dziesięć metrów dalej. Chłopiec znowu obrócił się do Julii i dwie pary przestraszonych oczu popatrzyły na siebie. Podniósł się ze słabym uśmiechem i rzucił się jak najdalej od zabójcy, w stronę zabłąkanej deskorolki.

„W tym chłopcu jest więcej z mężczyzny, niż można by sądzić” - pomyślała.

Kiedy ich prześladowca skierował się w stronę wejścia do Marriott-Knoxville, Julia próbowała przewidzieć jego ruchy. Czy założy, że poszukali kryjówki w hotelu? Czy spędzi w holu hotelowym wystarczająco dużo czasu, żeby zdążyli uciec? Czy po prostu wydusi z boyów informacje, tak jak to zrobił z chłopcem? Być może tym razem użyje pistoletu -

zastrzeli jednego, żeby zmotywować pozostałych.

Tak. Podejrzewała, że to było w jego stylu.

Nawet jeśli nikt nie widział, jak chowają się pod samochodami, boye z pewnością go przekonają, że ich trójka nie weszła do hotelu. Będzie ich dalej szukać na zewnątrz, aż wreszcie wpadnie na pomysł, żeby sprawdzić pod zaparkowanymi autami.

A więc co robić?

W łokieć wbijał się jej kamyczek. Spróbowała go odepchnąć i boleśnie stuknęła głową o podwozie.

Coś ciepłego i mokrego dotknęło jej włosów - krew lub olej. Nieważne.

Był tuż przy wejściu do hotelu. Julii przemknęło przez głowę pytanie, czy zdoła patrzeć, jak tamten odbiera komuś życie, szukając ich trojga? Nie ma mowy. Jeśli komuś zagrozi, ona zaatakuje.

Obrazy wczorajszej strzelaniny spowiły jej myśli ciemną chmurą. Kwas burzył się jej w żołądku. Nade wszystko pragnęła dowiedzieć się, jak to możliwe, że on przeżył, że powrócił. Nawet w ogniu walki nie opuszczała jej konsternacja. Czy wydarzenia ostatniej nocy w ogóle miały miejsce? Czy została zahipnotyzowana? Otumaniona lekami? Zaczynała tracić zmysły?

„Nie teraz, Julio! - napomniała sama siebie. - Skup się. Skup się na tym zabójcy, kimkolwiek lub czymkolwiek on jest”.

Napastnik odwrócił się od wystawy i przyjrzał się rzędowi aut zaparkowanych wzdłuż ulicy, zwracając szczególną uwagę na taksówki, które stały najbliżej wejścia do hotelu.

Potem podszedł do wystawy kolejnego sklepu.

Julia wydobyła coś z bocznej kieszeni torby podręcznej, po czym odwróciła się, żeby rzucić okiem na Stephena. Wielkolud ledwie się mieścił pod samochodem. Kamyczki żwiru poprzyczepiały mu się do brody, a czoło miał umazane smarem. Jego twarz wyrażała bolesne cierpienie. Rozłożył ręce i rozwarł szeroko oczy, jak gdyby chciał powiedzieć: „Co my teraz zrobimy?”.

Dała mu znak, żeby został na miejscu. W tyle za nim Allen intensywnie gestykułował

w jej kierunku, układając dłoń w kształt pistoletu i dźgając nią w stronę zabójcy: „Zastrzel go!”. Allenowi też pokazała, żeby nie ruszał się z miejsca. Podczołgała się na brzuchu tak, żeby jej głowa była na równi z przednim zderzakiem. Przed nią stała taksówka. Kiedy napastnik podszedł do kolejnej wystawy, Julia wyczołgała się spod samochodu, ale nadal trzymała się blisko ziemi. Obróciła się na plecy i wcisnęła pod taksówkę. Po kilku chwilach jej głowa wychyliła się spod auta po stronie ulicy. Tak jak się spodziewała, w ten upalny dzień i przy wyłączonym silniku taksówkarz opuścił w dół szybę.

- Hej - wyszeptała ostro. Kiedy nie zobaczyła żadnej konkretnej reakcji ze strony łokcia wystającego przez okno, zapukała w drzwi. Łokieć zniknął, a samochód lekko się zakołysał, kiedy taksówkarz rozejrzał się dokoła.

- Tutaj w dole!

Drzwi uchylły się nieco i spojrzała na nią zdziwiona twarz.

- Co do...? - zaczął, ale ucichł, kiedy okazała mu swoją odznakę i legitymację ze zdjęciem.

- Szszsz - wyszeptała. - Jestem agentką federalną. - Podsunęła mu dokumenty potwierdzające tożsamość i uniosła drugą rękę, w której trzymała plik banknotów. - Weź to, zamknij cicho drzwi, a ja powiem ci, co masz zrobić.

Przez moment się zawahał, a potem zrobił to, co mu poleciła.

Kiedy liczył banknoty, wyszeptała:

- Nie patrz w moją stronę. Po prostu rób to, co robiłeś, zanim tu podeszłam. - Zniżyła głowę i zobaczyła, że zabójca doszedł do hotelu i dalej obserwował teren. Wetknęła głowę pod samochód i nie wychylała się, dopóki przejeżdżające obok auto jej nie minęło.

Zacząła szeptać głośniej.

- Dobra, słuchaj. Daj mi piętnaście sekund, żebym mogła się stąd oddalić, a potem ruszaj z piskiem opon. Zawróć i jedź, ile fabryka dała. Nie stawaj pod żadnym pozorem na światłach, w korku, nigdzie. Rozumiesz?

Z okienka taksówkarza dobiegł ją szept:

- Ale dała mi pani tylko czterdzieści siedem dolców.

- Mam tylko tyle. Jeśli będziesz miał kłopoty z glinami albo z szefem, FBI to załatwi.

Musisz tylko przez kilka kilometrów wciskać gaz do dechy i będziesz bogatszy o czterdzieści siedem dolarów. Zgoda?

- Dobra, dobra. Piętnaście sekund.

Odsunęła się od taksówki. Wtedy zobaczyła zabójcę i zamarła. Trzymał boya hotelowego za włosy, przechylając go do tyłu i ściskając za szyję dłonią uzbrojoną w rękawicę.

Wiedziała aż za dobrze, jakie to uczucie. Już sięgała po pistolet, kiedy silnik taksówki zaryczał niby rozbudzona bestia. Przesunęła się szybko i uderzyła głową w tłumik.

Przetoczyła się na brzuch i z powrotem wsunęła pod drugi samochód. Taksówka ruszyła do tyłu z piskiem opon i walnęła w auto, pod którym leżała Julia. Obsypał ją brud.

Zacząła się nerwowo zastanawiać, czy taksówkarz źle ją zrozumiał, czy próbował ją wkurzyć, ale wtedy zrozumiała, że aby wyjechać, musiał wyminąć taksówkę, która była zaparkowana przed nim. Tylne opony zaczęły buksować na asfalcie, wytwarzając niewiarygodną ilość hałasu i dymu.

Taksówka wystrzeliła na ulicę, przecinając półkolem trzy pasy i ruszyła pędem w przeciwnym kierunku. Klaksony trąbiły, a koła blokowały się w chórze piszczących opon.

Kilka samochodów zderzyło się ze sobą.

A zabójca zrobił dokładnie to, co przewidziała Julia.

Puścił boya i pognął ulicą za taksówką. Jego stopy mignęły obok kryjówki Julii.

Obróciła się, żeby zobaczyć, co dalej zrobi, ale natychmiast zniknął jej z oczu gdzieś pośród pojazdów na drodze. Słyszała dźwięk klaksonów i pisk hamulców za następną przecznicą.

Taksówkarz odstawiał kawał dobrej roboty za tych czterdzieści siedem dolców.

Błyskawicznie wydostała się spod samochodu. Z ubrania i włosów osypywały się jej kawałki tłustego brudu.

- Allen! Stephen! Ruszcie się!

Zarzuciła pasek torby podręcznej na ramię i stanęła na palcach. Ich prześladowca był

dwie przecznice dalej i tylko jeden kwartał dzielił go od taksówki. Zatrzymał się. Julia poczuła ucisk w gardle - wiedziała, co robi. Tylne szyby taksówki pękła przestrelona z broni zabójcy. Taksówka nagle zboczyła z drogi i wpadła na chodnik.

Zabiłam go!

Ale taksówka sunęła dalej, zjechała z chodnika i wyminęła zaparkowany samochód, ostro skręciła i zniknęła. Zabójca potrzebował aż dziesięciu sekund, żeby dotrzeć do tego miejsca i też zniknąć.

Za rogiem, gdzie znajdował się bank, zawyły syreny, po czym ucichły. Świadkowie wkrótce pokażą policji, w którym kierunku uciekła ich trójka.

Allen i Stephen dołączyli do Julii, gratulując jej świetnego manewru.

- To jeszcze nie koniec - powiedziała. - Stephen, dasz sobie radę? Dotknął boku i się skrzywił.

- Tak. Mocny bandaż elastyczny i trochę ibuprofenu powinny załatwić sprawę.

- W porządku - podbiegła do pierwszej taksówki na postoju.

Wsiedli do taksówki, ale musieli poczekać na kierowcę. Taksówkarz stał na zewnątrz przy otwartych drzwiach i patrzył w kierunku, gdzie zniknął jego kolega, któremu najwyraźniej odbiło.

- Proszę pana, nam się śpieszy! - zawołała Julia.

Wsunął się za kierownicę, oparł ramieniem o fotel i spojrzał na nich gniewnie.

- Nie zrobię niczego takiego jak Frankie - odezwał się.

- Wcale tego nie oczekujemy - odparł Allen. Wyciągnął otwartą dłoń do Stephena, który skręcił się z jękiem, wyszarpnął z tylnej kieszeni kopertę i wręczył ją Allenowi. Ten wyciągnął z niej banknot studolarowy i pokazał go kierowcy. - Czy to wystarczy, żeby dojechać do Maryville?

Julia siedziała ściśnięta pomiędzy drzwiami a Stephenem. Przez tylną szybę dostrzegła zabójcę biegnącego w ich stronę pomiędzy samochodami - był coraz bliżej.

- Jedźmy!

- Zabiorę was tam - powiedział powoli kierowca, a wyglądało to tak, jakby mówił do pieniędzy - za ten napiwek plus opłatę za przejazd tam i z powrotem.

- Brzmi OK.

Stówa zniknęła w kieszeni koszuli kierowcy. Usadowił się za kółkiem i włączył licznik.

Zabójca był już przy najbliższej przecznicy. Machał rękami niczym sprinter olimpijski

- sprinter olimpijski z olbrzymią spluwą.

- Jedź! - Julia wyszarpnęła pistolet z kabury pod pachą, ale trzymała go dalej pod marynarką.

- Niech pani posłucha.

- Kolejna stówa - powiedział Allen, grzebiąc w kopercie - jeśli zrobisz to, co pani mówi. Już!

Kierowca wrzucił bieg i wcisnął gaz.

Zabójca zatrzymał się, żeby wycelować. Już wymierzył pistolet w taksówkę, ale odwrócił się, słysząc za sobą pisk opon. Skoczył do góry, żeby uniknąć uderzenia przez samochód, spadł na maskę i się z niej stoczył, znikając Julii z oczu. Kiedy ponownie pojawił

się na widoku, wskoczył z powrotem na maskę i znowu uniósł broń.

Julia dostrzegła rubinowy błysk lasera. Wtedy taksówka skręciła za róg w Locust Street i z wyciem silnika pomknęła w kierunku wjazdu na autostradę położonego jedną przecznicę dalej. Julia schowała broń do kabury.

Allen rzucił stówę na przednie siedzenie, skąd natychmiast zniknęła, lądując w kieszeni koszuli kierowcy. Zwrócił się do Julii:

- Od kiedy to zabójcy zmartwychwstają? - wyszeptał. Brzmiało to jak oskarżenie.

Stephen jęknął i zapytał:

- O czym ty mówisz?

- Ona twierdzi, że to ten sam facet, którego zastrzelili wczoraj w nocy!

- To z pewnością ktoś inny.

- To ta sama osoba - odparła Julia.



- Może jest tak samo ubrany - zasugerował Stephen. - Może nawet jest z tej samej grupy zabójców. To miałyby sens, gdyby werbowano ich według tych samych kryteriów: wielki, śmiały, nie do zdarcia.

- Nie. To był on - dotknęła bolącego miejsca na szyi, gdzie zostały ślady palców napastnika. - Nie wiem, jak to wytłumaczyć.

Nagle przypomniało jej się zadanie z biologii w siódmej klasie polegające na tym, żeby w ciągu jednego weekendu złapać możliwie jak najwięcej pajaków. Omatnikowate, pogońcowate, skakunowate, aksamitnikowate, nasosznikowate. Ale klejnotem koronnym każdej kolekcji była czarna wdowa. Julia wiedziała, że zdobędzie nagrodę. Po tym, jak przepatrzyła wszystkie ciemne zakamarki w domu, zaczęła szukać na dworze, przewracając niezliczoną ilość kamieni i desek. Wreszcie, klęcząc na ziemi, podniosła kawałek betonu i tam ją znalazła: czarną, połyskującą, wielkości dużej szklanej kulki, biegnącą wprost do jej gołego kolana. Ledwie zdążyła uskoczyć na czas i uwięzić ją pod słoikiem od majonezu.

Patrząc, jak pajak próbuje uciec, wyczuła jego ponurą wrogość skierowaną ku niej. Sztuczka polegała na tym, żeby zabić go, nie uszkodzając jego ciała.

Spędziła godziny, wpychając pod szklany brzeg waciki nasączone alkoholem. Pajak pełzał po nich, jakby w pogardzie. W końcu prysnęła w jego stronę płynem owadobójczym.

Wtedy powoli się przewrócił i podkurczył nogi, zwijając się na kształt pięści. Ostrożnie usunęła słoik, a potem waciki.

I wtedy ożył. Ruszył na nią, dotknął jej ręki, zanim zdążyła się cofnąć. Wstrząśnięta, z wrzaskiem zaczęła raz za razem walić w niego kamieniem.

Jeszcze wiele tygodni później budziła się późno w nocy oblana potem, odganiając od siebie sny o pajakach wbijających kły w jej skórę.

Zapamiętała coś z tego doświadczenia - przemożną chęć pajaka, żeby ją dopaść; potrafił nawet oprzeć się śmierci, żeby zyskać ostatnią szansę.

Ten człowiek, ten zabójca, przypominał jej tamtą niepokonaną czarną wdowę.

Ale był bez porównania bardziej przerażający.

- Wiem tylko - powiedziała - że widziałam tego mężczyznę, tego z banku, rozniesionego na strzępy zeszłej nocy. Policjant sprawdził jego puls.

- Czy mógł nosić kamizelkę kuloodporną? - zapytał Stephen.

Zmarszczyła brwi.

- Było strasznie dużo krwi.

Bracia przypatrywali się jej, Allen wątpiaco, a Stephen ze współczuciem.

Odwrociła glowe i spojrzala na swoje odbicie w szybie.

- Nie wiem - powiedziala cicho. - Byc moze wariuje.

W taksowce zapadla martwa cisza. Kiedy indziej silna woń środka czyszczącego o zapachu sosny pewnie by jej przeszkadzala, ale dzisiaj byla za nia wdzieczna, bo maskowala odór krwi z koszuli Stephena.

Kiedy wjechali na autostrade I-129 i wyrównali prędkość, kierowca podniósł mikrofon CB radia.

Julia nachyliła się do przodu i dotknęła jego ramienia, zanim zdążył go włączyć.

- Co pan robi? - zapytala.

- Muszę zgłosić kurs. Przepisy firmy.

- Proszę chwilkę poczekać - zwróciła się do Allena i potrząsnęła głową. Parker skinął i przesunął się na brzeg siedzenia.

- Trzecia stowa - powiedzial - jeśli w wykazie i w pamięci zapiszesz, że zawiozłeś nas do Oak Ridge.

Kierowca wygladal, jakby wpatrywal się w droge przed soba, ale jego ręka wsunęła się za fotel otwartą dłonią do góry. Allen wlozył w nia banknot. Pieniądze dołączaly do pozostałych w kieszeni koszuli taksowkarza.

- Cztery sta piętnaście - odezwal się do mikrofonu.

- Mów, cztery sta piętnaście - zaskrzeczal kobiecy głos.

- Mam kurs do Oak Ridge. Odezwę się, gdy wrócę.

- Sto cztery do czterysta piętnaście. Hej, Manny, wiesz coś o tym zamieszaniu w okolicy Market i Church Street?

- Nie, Nora. Co się stalo?

- Wyglada na to, że był napad na bank.

Ramiona Manny'ego zeszywnialy. Allen nerwowo zerknal na Julie.

- Frank przez dziesięć minut wrzeszczal do mnie przez radio. Mówi, że ktoś strzelal do jego taryfy.

- No proszę - powiedzial spokojnie do Nory Manny, po czym odložyl mikrofon na radio. - To ten

gorący szmal mi opchnąłeś, koleś? - nie spuszczał oczu z drogi.

- Nie - odrzekł Allen. - Bank nie został okradziony. Jeśli okaże się, że tak, to nasza umowa nie obowiązuje i możesz się przyznać, gdzie nas naprawdę zawiozłeś, OK?

Nie odpowiedział od razu.

- Do Oak Ridge, prawda?

Allen westchnął.

- Prawda.

- Dziwne, jak to miasto z każdym dniem upodabnia się do Maryville.

Półgodzinna podróż do Maryville upłynęła im we względnej ciszy.

Kierowca próbował wypytać ich o zajście przy Church Street, ale stwierdzili, że nic na ten temat nie wiedzą. Zbywali jego próby nawiązania pogawędki monosylabami, więc ustawił

radio na muzykę country i więcej się nie odzywał.

Stephen kilka razy cicho zajęczał, ale kiedy Allen lub Julia zwracali się do niego, tylko uśmiechał się uspokajająco.

Głowa Allena pękała od niepokojących myśli. W co on się wpakował? W ciągu jednego dnia został wygnany z domu, kilka razy prawie go zamordowano i stał się zbiegiem ukrywającym się w towarzystwie brata, którego nie widział od dwóch lat, oraz cwanej agentki federalnej.

Spojrzał na nich z boku. Oboje byli pogrążeni we własnych myślach. Kiedy tak się im przyglądał, powoli zamknął oczy, wyczerpany i obolały. Mimo że Allen wciąż nie mógł

pogodzić się z życiowymi decyzjami brata, był jednak pełen podziwu dla tego, co Stephen właśnie zrobił. Nie mieściło mu się w głowie, że jego brat był w stanie stawić czoło takiemu wojownikowi.

I Julia. Potrząsnął ze zdziwieniem głową. Była zaskakująco opanowana, nawet kiedy zabójca walczył ze Stephenem. Podbiegła do napastnika, gdy ten już miał roztrzaskać głowę Stephena, i wystrzeliwała naboje za nabojem, odpierając tamtego i nie pozwalając mu zbliżyć się do nich, dzięki czemu umożliwiła im ucieczkę, a przecież tamten bez przerwy odpowiadał

ogniem! Częściowo był to z pewnością rezultat szkolenia, które przeszła, ale odwaga była czymś, z czym człowiek się rodzi albo nie. Żaden trening nie jest w stanie zaszcześcić w nikim prawdziwego męstwa. Powrót do tych wstrząsających chwil wzmocnił u Allena poczucie, że wydarzyło się coś niezwykłego.

Słyszał o ludziach na polu bitwy, którzy zostali okrążeni przez przeważające siły wroga.

Później opowiadali, że wszystko układało się wtedy tak jak trzeba: pomimo pocisków i szrapneli świszczących im nad głową automatycznie przypominali sobie dokładne szczegóły każdego manewru unikowego, który poznali wcześniej na poligonie lub w walce; potrafili bezbłędnie przewidzieć układ każdej piędzi terenu, którego nigdy wcześniej nie widzieli; strzelając, idealnie trafiali do celu; ich krok był pewny i stopy ich nie zawodziły. Dopiero po tym, jak wymknęli się pewnej śmierci, zdawali sobie sprawę, że dokonali czynów, których nigdy, przenigdy nie będą w stanie powtórzyć ani wyjaśnić.

Ale przeżyli.

Julia i Stephen dokonali czegoś podobnego.

Oczy Allena śledziły kontury profilu Julii. Mocne czoło, prosty nos, pełne usta. Była piękna - nie urodą modelki, ale tym delikatnym pięknem, które wstrząsa chłopcami w wieku szkolnym, tak że zaczynają rozumieć, iż w dziewczynach jednak też jest coś interesującego.

Mimo to Allen czuł, że podziwia ją za cechy, których nie widać w lustrze - to jej zdecydowanie i pomysłowość uratowały ich przed zabójcą. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz pożałował kobiety ze względu na siłę jej charakteru, inteligencję, empatię lub inną nienamacalną cechę. Świadomość, że tak właśnie jest teraz, spowodowała, iż poczuł ucisk w żołądku i podekscytowanie, jakiego nie zaznał od lat. Był też mgliście świadomy tego, że jego zauroczenie Julią niosło także inne cenne korzyści: pozwalało mu oderwać myśli od trudnej sytuacji, w jakiej się znaleźli.

Pół godziny po wyjeździe z Knoxville taksówka wjechała do Maryville. Julia przypatrywała się mijanym budynkom. Przyglądała się wszystkim nazwom ulic, kiwając głową, jakby chciała zapamiętać każdą z nich - zapoznawała się z okolicą na wypadek, gdyby musieli tędy uciekać. Bardzo profesjonalnie. Uśmiechnął się, ale świadomość, że te środki ostrożności są konieczne, zgasiła jego uśmiech.

Zauważyła, że się jej przygląda, i uśmiechnęła się słodko, ale nieobecnie, a potem kontynuowała rekonesans.

Allen wyjrzał przez okno. Kiedy patrzył, jak zalane słońcem miasto odkrywa swe rozbrajające piękno, poczuł ukłucie zazdrości wobec tych, którzy żyli tutaj spokojnie lub odwiedzali to miejsce bez innych zmartwień niż znalezienie najbliższej stacji benzynowej, restauracji czy toalety. Maryville, przycupnięte w cieniu gór Great Smoky i wypełnione stuletnimi domami oraz kwitnącymi drzewami, spowodowało, że zatęsknił za swoim własnym miastem i niemal doskonałym życiem, które tam sobie ułożył. Jego twarz zarumieniła się z gniewu na tych anonimowych ludzi, którzy mu to odebrali.

Głos Julii wyrwał go z rozmyślań.

- Proszę się tutaj zatrzymać.

Allen spojrzął na wskazany palcem przez Julię sztyld Motel 6. Kierowca, nie zwalniając, wpadł na parking i ostro zahamował przed recepcją mieszczącą się na końcu budynku w kształcie litery „L”.

Drzwi do pokoiów na parterze i drzwi na balkonie drugiego piętca, znajdujące się za barierką z kutego żelaza, były na przemian jasnoniebieskie i pomarańczowe, niczym wartownicy z przeciwnych obozów.

Julia i Stephen wysiedli z auta, kiedy Allen płacił podwójną stawkę za kurs. Gdy wysiadł po stronie kierowcy, zobaczył ponad dachem samochodu, jak Julia wyjmuję gazetę z automatu, składa ją i wsuwa do otwartej kieszeni torby podręcznej.

- Powodzenia, kolego - odezwał się kierowca i Allen uwierzył, że powiedział to szczerze.

Zrozumiał, że z ich melancholijnego milczenia można było odgadnąć, w jak trudnej są sytuacji.

- Tylko pamiętaj o naszej umowie.

- Oak Ridge.

Allen potwierdził klepieniem w dach samochodu i taksówka odjechała.

\*

Stephen stał w cieniu balkonu nieruchomo niczym słup, z kamienną twarzą, wciąż jeszcze nieco oszołomiony odniesionymi ranami, które trzeba było umyć i opatrzyć.

Allen marzył o kilku godzinach drzemki. Wyciągnął rękę w kierunku drzwi recepcji, ale Julia go powstrzymała.

- Nie tutaj - powiedziała.

Przez oszklone drzwi widzieli, że w środku nikogo nie było. Za ladą pełną broszur, na tle otwartych drzwi do następnego pomieszczenia widać było poruszający się cień. Julia wskazała głową na bok, skłaniając obu braci, żeby poszli za nią. Szybko przeszli pod wiatę za rogiem budynku, gdzie cicho buczał generator lodu i automat z napojami.

- Nie będziemy więcej ryzykować - odezwała się. - Ludzie, którzy nas ścigają, są zbyt zdeterminowani i przedsiębiorczy. Jakies półtora kilometra wcześniej był inny motel.

- Myślisz, że taksówkarz nas sypnie? - zapytał Allen.

Uśmiechnęła się. Sypnie nas.

- Zabójca widział, jak odjeżdżamy taksówką - przeczesala palcami włosy szybkim, odruchowym gestem. - Próbował jednocześnie do nas strzelić i nie dać się przejechać, ale jestem pewna, że zapamiętał numer taksówki lub numer rejestracyjny. Jest za dobrym zawodowcem, żeby tego nie zrobić. Taksówkarz może, ale nie musi trzymać się wersji, że wysadził nas w Oak Ridge, tak mówiłeś?

Allen przytaknął:

- Tak, to niewielkie miasteczko mniej więcej w tej samej odległości od Knoxville co Maryville, ale w przeciwnym kierunku. Pomyślałem, że licznik w taksówce potwierdzi tę historijkę.

- Lepiej nie liczymy za bardzo na to, że tak będzie. Wcześniej czy później nasi wrogowie zorientują się, że zostali wyprowadzeni w pole. Myślisz, że ten zabójca wycisnie prawdę z taksówkarza?

- Bez wysiłku - odparł Stephen.

Jeśli mocny ton jego głosu można było uznać za wyznacznik dobrego samopoczucia, to Stephen czuł się lepiej.

- Trzymasz się? - spytała Julia.

- To powierzchowne rany.

- A cóż to za kung-fu nam tam pokazałeś? - zapytał Allen.

- Właściwie tang soo do - odrzekł Stephen. - Coś jak taekwondo, ale nacisk jest położony na poszanowanie człowieczeństwa przeciwnika. Chodzi o to, żeby używać tylko takich ruchów i takiej siły, jakie są potrzebne, aby odeprzeć atak, zwiększając siłę ciosów tylko wtedy, kiedy rośnie zagrożenie.

- Jak ten wojownik mógł ci jeszcze zagrozić?

- Powinienem był postarać się o wyrzutnię rakiet.

- Powinieneś był postarać się o trochę rozumu - burknęła Julia. - To była głupota, stawać z nim do walki.

Stephen wyglądał na urażonego. Allen zdał sobie sprawę, że śmiałe działania Julii zrobiły wrażenie również na jego bracie.

Stephen odparł:

- Wiedziałem, że jeśli po prostu pobiegniemy, on nas dogoni, zacznie strzelać albo coś w tym stylu. Pomyślałem, że będziemy mieć jakąś szansę tylko wtedy, gdy się z nim zmierzę.

Ale wyszło tak, jakby gazela zadarła z tygrysem.

- Ja uważam, że szło ci nieźle - powiedział Allen. - I masz rację, pewnie już wszyscy bylibyśmy martwi, gdybyś z nim nie walczył.

- I tak właśnie skończymy, jeśli będziemy tu dalej stać - Julia przerzuciła torbę podręczną na prawe ramię. - Chodźmy jakąś boczną uliczką do motelu.

Wizja chłodnego, ciemnego pokoju w motelu sprawiła, że Allen poczuł się senny.

Wczoraj wstał wcześniej po bezsennej nocy, przeżył normalny pracowity dzień, po którym nastąpiła zdecydowanie nietypowa noc, kiedy uciekał przed uzbrojonymi mordercami.

Trzy godziny przerywanej drzemki w niewygodnej pozycji na przednim siedzeniu vegi Stephena to było za mało. Usłyszał swoje słowa:

- Cztery godziny spokojnego snu wydają mi się nirwaną.

- Żadnego spania, Allen. Nie mamy czasu. Ja muszę podzwonić, a ty musisz załatwić kilka spraw.

Słyszając to, przystanął. Za kogo ona się uważała, że mówiła im, co mają robić? Patrząc jej prosto w oczy, wyczuł, że to, jak teraz zareaguje, będzie miało ważny wpływ na dynamikę ich stosunków. Zawsze to on był przywódcą i z nikim nie dzielił się władzą, a już na pewno nie z kobietą. Być może miała więcej doświadczenia w tajnych operacjach, ale czy jej wiedza o sposobach działania przestępców i umiejętność posługiwania się bronią dawały jej prawo do przejęcia kontroli nad ich przeznaczeniem? Kiedy otwierał usta, żeby zaprotestować, generator lodu wyrzucił głośno do zbiornika tackę z lodem.

Allen podskoczył i gwałtownym ruchem obrócił głowę w stronę maszyny, czując, jak stojący koło niego Stephen też cały się spina. Julia ani drgnęła, tylko dalej na niego patrzyła.

Wyglądało na to, że konieczność przetrwania w mrocznym półświatku ponurych przestępców nauczyła ją trzymać nerwy na wodzy. Musiał przyznać, że bez względu na płeć miała najlepsze predyspozycje, żeby wyprowadzić ich cało z tej opresji.

- Co? - zapytała.

- Chyba łapię już drugi oddech.

Obróciła się na pięcie i wymaszerowała spod wiaty, kierując się w stronę ulicy, która biegła równoległe do alei Broadway.

Allen był zadowolony, że się nie uśmiechnęła. Stephen wyminął go, klepiąc lekko w plecy swoją wielką łapą.

- „Moje oczy nie zaznają snu, a powieki me spoczynku” - powiedział i poszedł dalej.

- Co takiego?

- Psalm 132. Dawid był zdeterminowany, żeby wybudować Bogu świątynię. Julia jest zdeterminowana, żeby pokonać ludzi, którzy chcą nas dopaść. - Stephen stawiał teraz długie kroki, nie czując już bólu lub po prostu nie zwracając na niego uwagi. Koszula po prawej stronie przywarła mu do skóry. Krew na niej wyglądała jak czerwona plama od potu sięgająca aż do biodra.

- „Zostaliśmy doprowadzeni do kresu wytrzymałości i potrzebujemy spoczynku” -

wyrecytował Allen. Widząc pytający wzrok Stephena, wyjaśnił: - John Maynard Keynes, pierwszy

Baron Tilton.

- „Bądź silny, okaż męstwo”: Pierwsza Księga Królewska.

Allen zaśmiał się.

„Konający musi umrzeć, tak jak senny musi zasnąć i nadchodzi taki moment, kiedy wszelki opór staje się bezzasadny i bezużyteczny”. Steward Alsop.

- Oho! - ryknął Stephen, gotów do kontry.

Podążali tak dalej, przerzucając się cytatami. Julia szła w ciszy trzy metry przed nimi, prowadząc ich do motelu. Jasne słońce grzało im skórę, a łagodny podmuch od gór ich owiewał. Marsz tą cichą boczną uliczką tuż po przybyciu na miejsce osłabił wrażenie, że są ścigani. To miejsce, gdzie czasami w jakimś ogródku zaszczekał pies, a dzieci kolorową kredą rysowały na podjazdach tabele do gry w klasy, było odległe o całe lata świetlne od otchłani, w której kłębili się szaleni twórcy śmiertelnych zarazków i ich krwiożerczy sługusi. Napięcie wyparowało w upale niczym poranna rosa. Przez kilka minut poczuli się nawet bezpieczni.

Powolniejsze ruchy głowy Julii wskazywały, że zamiast błyskawicznie oceniać sytuację, teraz uważnie obserwowała otoczenie. Na chwilę zoczyli z kursu, żeby odwiedzić aptekę, którą Julia wypatrzyła po drugiej stronie Broadway Avenue. Stephen zaopatrzył się w medykamenty i koszulkę w rozmiarze XXL ozdobioną napisem PRZYTULANKA, którą powinien był pewnie założyć od razu w sklepie, ale zdecydował się poczekać, aż ulokują się w motelu. Wszyscy troje kupili przybory toaletowe.

- Dziesięć minut później Julia zatrzymała ich.

- Dobra, jest motel. - Część szyldu była widoczna nad dachem jednego z domów. -

Allen, powiemy, że jesteśmy małżeństwem. Stephen, zaczekaj tutaj około piętnastu minut, a potem wejdź do środka. Poznasz nasz pokój po tym, że nad drzwiami będzie wystawać myjka. Spróbujemy postarać się o pokój od tyłu.

W świetle poczucia braterskiej jedności, jakiego nie doświadczył już od lat, Allen niemalże zapomniał o ich statusie uciekinierów.

- Dlaczego Stephen ma tutaj czekać?

- Dwoje będzie żyć tam, gdzie troje zginie - uśmiechnęła się szeroko i poszła dalej.

- Szekspir?

- Julia Matheson - zawołała przez ramię.

Allen rzucił Stephenowi bezradne spojrzenie i pośpieszył za nią.



\*

Wszystkie pokoje w hotelu wychodziły na ruchliwą aleję Broadway, więc Julia nalegała, żeby zaciągnęli zasłony. Mimo że światło było zapalone, urządzone w brązowej tonacji pokój wydawał się ponury. Było to idealne miejsce na potajemne rendez-vous, ostrą popijawę czy popełnienie samobójstwa. Allen był pewny, że to wnętrze było świadkiem wszystkich tych wydarzeń. Już sama jego surowa brzydota mogła skłonić kogoś do targnięcia się na własne życie. Julia bawiła się suwakiem torby podręcznej, a on rzucił się na łóżko i przykrył twarz poduszką.

- Czy Goody powiedział coś jeszcze? - zapytała.

Podniósł poduszkę, żeby na nią spojrzeć.

- Powiedziałaś, że wspomniał o Eboli, o tym, że został stworzony przez człowieka i że jesteśmy zagrożeni. Czy coś jeszcze?

Zamyślił się.

- Powiedział coś - pura czy pora. Nie całkiem zrozumiałem, o co mu chodzi.

Pomyślałem, że powiedział „purpura”, gdyż wokół było tak wiele krwi. I wymienił jakieś nazwiska.

Karl Litt.

- Lit? L-i-t?

- Chyba tak. Wpisałem w Google „Karl L-i-t” i „L-i-t-t”. Nic. Powiedział jeszcze, żebym przekazał Jodi, Brice'owi i Brettowi...

- Barrettowi.

- Barrettowi. Powiedział, żebym przekazał, że ich kocha.

- To jego żona i synowie - powiedziała Julia, siadając na łóżku i zapominając o trzymanym w rękach laptopie.

- I ciebie.

- Hę?

- Po Barrecie wymienił ciebie.

- Naprawdę?

- Powiedz im, że ich Kocham. Jodi, Brice'a, Barretta, Julię.

Stephen zaczął łomotać do drzwi. Allen podniósł się z jękiem, żeby go wpuścić.

- Sprawdź przez wizjer - powiedziała Julia, odwracając głowę i ocierając oczy, jak gdyby chciała podrapać swędzącą brew.

- Jasne, jasne - odparł Allen, chociaż nie zrobiłby tego bez jej ostrzeżenia.

Nawet przez zniekształcający obraz wizjera nie można byłoby pomylić tej zwałistej postaci za drzwiami z nikim innym. Allen otworzył. Ze słońcem za plecami Stephen wyglądał

naprawdę marnie. Brodę miał zmierzwioną, włosy na głowie odstawały mu we wszystkie strony. Kępka włosów wystawała też z miejsca tuż nad brzuchem, gdzie odpadł guzik od koszuli. Ubranie miał pokryte krwią, brudem z ulicy i betonowym pyłem, a bruzdy na jego twarzy były bardziej widoczne niż wczorajszej nocy. Z pomiętą torbą z apteki wyglądał -

wypisz, wymaluj - jak typowy bezdomny lump. Powoli wsunął się do środka i usiadł na fotelu niemal tak sfatygowanym jak on sam. Wyciągnął nogi i ułożył stopy na łóżku.

- Czuję się staro - jęknął.

Allen wziął od niego torbę.

- Zdejmij koszulę - powiedział.

- Nic mi nie jest - Stephen spróbował unieść ramię w proteście, ale nie udało mu się i twarz wykrzywiła mu się w bolesnym grymasie.

- Dobra, jasne. Zdejmuj. - Allen zaczął ustawiać zakupione medykamenty wzdłuż brzegu łóżka. - Igła i nici. Kupiłeś igłę i nici?

- Są tutaj. - Stephen wrzucił koszulę do kosza na śmieci, a Julia wyniosła go do łazienki.

- Przynieś trochę gorącej wody - zawołał Allen. Na dnie torby znalazł niewielki podróży zestaw igieł i nici i otworzył go. Ukląkł obok Stephena i zaczął badać najgorsze rany.

- A więc gdzie się nauczyłeś tej sztuki „łubu-dubu”? - zapytał.

- Tang soo do. Jeden z moich parafian prowadzi dojang. Uznał, że trening pomoże mi poprawić koordynację i utrzymać się w dobrej kondycji.

- Podziałało - odezwała się Julia, stawiając obok Allena kubelek na lód wypełniony parującą wodą i dwie myjki.

- Chodziłem na zajęcia dwa razy w tygodniu i codziennie ćwiczyłem kata - zerknął

pod ramieniem na Allena, jakby chciał sprawdzić, do jakiego stopnia go to interesuje.

- Kata?

- Sformalizowane ćwiczenia walki przy wizualizacji przeciwnika. Uczą cię, jak kontrolować rytm oddechu i skupiać wzrok, rozwijają równowagę, wdzięk, siłę, takie rzeczy.

- Jaki jest twój poziom?

- Drugi dan, czarny. Auuuuu!

- Przepraszam - powiedział Allen, ścierając wyjątkowo ciemny krwawy zakrzep. -

Czarny pas? To tak załatwiłeś tych facetów przy twojej chacie?

Zerknął na Julię zmierzającą w stronę łazienki. Odpowiedziała mu porozumiewawczym spojrzeniem i mrugnęła. Skoro ona wiedziała, że próbował odwrócić uwagę Stephena od tego, co robił przy jego ranie, to Stephen pewnie również się zorientował, ale widocznie sam też wolał myśleć o czymś innym.

Stephen zmarszczył brwi.

- Ten pierwszy mnie zaskoczył, to znaczy mam na myśli napastnika. Walnąłem go tylko łokciem w twarz, zresztą dosyć nieudolnie. Mój sa bom nim dostałby zawału.

- A co z drugim?

- Z nim już poszło mi lepiej. Uderzyłem go w skroń ciosem wing tsun. - Zaśmiał się. -

Nigdy nie widziałem tego w praktyce. Niesamowite.

Allen przewlekł nic, dotknął igłą miejsca na boku Stephena i wbił igłę w skórę.

- Wciąż się zajmujesz medytacją?

- Pozwala mi nie zwariować.

Julia wyszła z łazienki, myjąc zęby. Allenowi zdawało się, że nie chce nic stracić z ich rozmowy.

Rzucił jej szeroki uśmiech.

- Tak głęboko się zamyślił, że nie słyszał, jak na niego krzyczymy.

- Słyszałem was.

- Mówiliśmy wtedy, że pogrążył się w medytacji.

Julia zaśmiała się. Jej śmiech spodobał się Allenowi. odezwał się:

- Wiesz, że bycie szczoteczką do zębów to najgorszy zawód na świecie?

- Powiedz to papierowi toaletowemu! - wtrącił Stephen.

Julia znów się zaśmiała, siejąc wokół kropelki pasty do zębów.

- Hej - powiedział Allen - ukradłeś mój dowcip! - Julia zaśmiała się jeszcze głośniej.

Po kilku chwilach odezwała się przez szczoteczkę:

- Myślałam, że medytują tylko buddyści i wyznawcy New Age.

- Zależy, nad czym rozmyślasz. Ja medytuję nad życiem Jezusa.

- Ale to się u niego zaczęło jeszcze przed tą całą sprawą z Jezusem - wtrącił Allen, nie potrafiąc ukryć pewnego lekceważenia.

- Fakt - odparł Stephen ugodowo, nie chcąc rozpoczynać dyskusji na ten temat.

- Teraz zaboli - powiedział Allen.

- Po prostu to zrób.

Allen przewlókł nitkę kilkanaście razy, zaciskając każdy szew, żeby zamknąć ranę.

Przypomniał sobie kawał o świeżo upieczonym lekarzu, który próbował zaszyć pacjenta z drżączką. Obrócił się, żeby go opowiedzieć, ale Julia zniknęła w łazience. Wyszła z niej kilka minut później, ale już nie była w nastroju do śmiechu. Zapytała Stephena:

- Co, jako posiadacz czarnego pasa, sądzisz o naszym Wojowniku?

Wojownik. Wyglądało na to, że ze wszystkich określeń, które do niego przystawały -

wróg, prześladowca, napastnik, zabójca, zamachowiec - wszystkim najbardziej odpowiadało określenie „wojownik” - zadziwiająco do niego pasowało.

- Kawał drania.

- Chodzi mi o jego umiejętności w walce.

- Allen, widziałeś to. Już mnie miał, zabiłby mnie, gdyby Julia go nie przegoniła. Jest szybszy, sprytniejszy, silniejszy niż wszyscy, z którymi kiedykolwiek walczyłem na sparringach. Poruszał się tak, jakby czytał w moich myślach i reagował tak, jakby miał

tygodnie, żeby przemyśleć, co ma zrobić.

- Ale uciekliśmy mu.

Stephen nic nie odrzekł.

- Wydawało mi się. - Julia przerwała, próbując dobrać słowa - że zawahałeś się, zanim zacząłeś się bronić.

Kiedy Stephen nie odpowiedział, Allen oparł:

- On jest pacyfistą.

Stephen potrząsnął głową.

- C.S. Lewis powiedział, że dopóki mu ktoś nie udowodni, iż lepiej było pozostawić Europę pod panowaniem nazistów, niż prowadzić wojnę, która je zakończyła, to nie może zostać pacyfistą. Ja też tak uważam.

- Nigdy nie widziałam pacyfisty, który by się tak bił - powiedziała Julia.

- Jestem zdziwiony, że w ogóle się biłeś po tym, co się stało - odezwał się Allen.

- A co się stało? - Julia popatrzyła na obu braci w oczekiwaniu na odpowiedź, ale jej nie otrzymała.

Allen zaczął:

- On...

- Po prostu... już taki nie jestem. To wszystko.

Allen ugryzł się w język. Przysiadł na piętach, oglądając to, co już zrobił i co jeszcze zostało do zrobienia.

Krótkie napięcie po chwili gdzieś uleciało i ogarnęło ich odprężenie - spokój, jaki płynie z przebywania w towarzystwie osób, przy których czujemy się swobodnie. Wspólne doświadczenie walki o przetrwanie połączyło ich w sposób, którego Allen nie rozumiał.

Czuł to jednak i najwyraźniej Julia i Stephen też to czuli.

Julia w niedbalej pozie rozłożyła się na fotelu i wydawała się oceniać obu braci. Na ustach błąkał się jej uśmiech niczym niedokończona myśl.

Pamięć często utrwała momenty, które postronnemu obserwatorowi wydają się przyziemne i nieistotne. Określona sytuacja jest wyjątkowa tylko dla jej uczestników, nawet jeśli w danym momencie nie wydaje im się godna zapamiętania. To była właśnie taka chwila.

Zapamiętają ten bezruch pośród chaosu, swoje beztroskie pozy w przyciemnionym pokoju, poczucie wspólnoty - ciszę przed burzą.

\*

Rękawica spadła ciężko na blat stołu. Leżała tam pusta, zimna i przerażająca.

- To ręka Wojownika - odezwał się Stephen z cichym respektem.

Julia przytaknęła.

Allen zeskoczył z łóżka, żeby przyjrzeć się bliżej. Z całą pewnością to właśnie ta czarna, najeżona kolcami rękawica, którą widział, jak przebija okno banku, leżała bez ruchu na stole. Wyglądała teraz nawet jeszcze bardziej złowroźnie. Wcześniej nie widział jej w całej okazałości, jej szponiastych pazurów i wypukłości sztucznych mięśni. Sięgnął po nią, zawahał się, po czym złapał ją za przedramię. Była ciepła jak ciało, ale sztywna jak kość.

Uniósł ją, zdziwiony jej lekkością.

- Nie waży więcej niż pół kilo - powiedział zdumiony. Przechylił ją. Palce zacisnęły się w pięść.

Czik.

Odskoczył o krok do tyłu, wypuszczając rękawicę z ręki. Julia i Stephen też podskoczyli, przekonani, że rękawica kłapnęła na Allena lub zrobiła coś równie zaskakującego.

- To ten dźwięk słyszałem zeszłej nocy na cmentarzu - powiedział Allen, wpatrując się w rękawicę, która leżała teraz na dywanie odwrócona do góry wnętrzem dłoni - kiedy Wojownik mnie szukał: czik-czu, czik-czu, w takim rytmie.

- Zaciskał i rozluźniał pięść - odparła Julia.

Allen skinął głową, nie odrywając wzroku od rękawicy, jakby spodziewał się, że ta może się na niego rzucić.

Stephen podniósł rękawicę. Wsunął w nią rękę i wyciągnął przed siebie. Rękawica natychmiast przybrała kształt czarnej skóry i napięła się, kiedy Stephen obrócił dłoń do góry, po czym uniosła się na przedramieniu, kiedy zacisnął pięść.

- Niewiarygodne. Gdzie się to kupuje, w supermarkecie?

- Tę zostawił w moim samochodzie Wojownik, który został zastrzelony wczoraj w nocy - odparła Julia, wyciągając dłoń.

Stephen zdjął rękawicę - Allenowi zdawało się, że niechętnie - i podał ją Julii.

Julia włożyła ją z powrotem do torby podręcznej.

- Kolejna zagadka, jak sądzę. Nie wiem, na ile nam się przyda, ale to jest dowód... na coś. - Rzuciła zwiniętą gazetę w stronę Allena. - Znajdź nam jakieś cztery kółka. Od osoby prywatnej. Niezbyt drogo. Coś, w czym będziemy się mogli przespać, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Możemy spać w czymkolwiek.

- Ale chodzi o to, żeby było wygodnie. Furgonetka albo kombi.

- To chyba potrafię - rozłożył gazetę.

Julia się odezwała:

- Cokolwiek znajdziesz, zrób dużo szumu, jak będziesz oglądać auto, a potem powiedz sprzedającemu, że wolisz zapłacić gotówką. Wątpię, żeby miał coś przeciw. Niech cię zawiezie do banku, który mijaliśmy po drodze. Stephen go zajmie, a ty pójdziesz do kasy rozmienić stówę i pamiętaj, żeby poprosić o jedną z tych kopert na gotówkę. Zanim wyjdiesz, włóż do niej całą kwotę do zapłaty. Dopiero wtedy wręcz ją sprzedającemu.

- Po co to przedstawienie? - zapytał Allen.

- Alternatywą jest wyciągnięcie z kieszeni kilku tysięcy w studolarowych banknotach.

Nieco podejrzanę. Taksówkarz myślał, że w Knoxville był napad na bank. Media mogły coś o nas wspomnieć. W każdym razie musimy odwracać od siebie podejrzenia na wszelkie możliwe sposoby.

Allen uśmiechnął się do niej znacząco:

- Czy ty nigdy nie przestajesz główkować?

- Nie, jeśli od tego zależy moje życie.

Stephen wziął torbę apteczną i skierował się do łazienki. Przy drzwiach obrócił się do Julii.

- Wygląda na to, że nabierasz rozpędu. Czujesz się lepiej?

Jej twarz pozostała pochmurna.

- Po prostu chcę wreszcie zrozumieć, co tu jest grane.

\*

Atropos siedział za kierownicą wynajętego buicka i obserwował zajezdnię taksówek Yellow Cab znajdującą się po drugiej stronie ulicy. Słońce zalewało blaskiem kanion z budynków i odbijało się od przedniej szyby jego auta, czyniąc wewnątrz niewidocznym dla ciekawskich oczu. Na szczęście, bo kamienny grymas na twarzy kierowcy mógłby u niejednego wywołać senne koszmary. Jeśli nastrój można porównać do zwierzęcia, to jego był niczym rozjuszony tygrys, pełen nienawiści i siejący zniszczenie. Wydarzenia poprzedniej nocy wyrządziły mu krzywdę nie do naprawienia. Kłębiła się w nim czarna pustka i tylko krew winowajców mogła ją wypełnić. Jego dusza bardziej pragnęła ich śmierci, niż jego ciało potrzebowało tlenu.

Pomyślał o celach: o Julii Matheson, Stephenie Parkerze, Allenie Parkerze. Byli przerażeni. Wiedzieli, że nie mogą wygrać, ale instynkt kazał im walczyć i uciekać. W końcu instynkt ich zawiedzie. Tam, gdzie brakuje siły i umiejętności, zwyciężyć może tylko nadzieja, a on im ją odebrał. Najdłużej byli w stanie przetrwać ci, którzy trzymali się wiary, że przeżyją - aż ich znieruchomiła serce powie im, że umarli.

Ale w nich było coś.

Poczuł ukłucie niepokoju, przelotne zwątpienie. Ufając swoim instynktom, zaczął się nad tym zastanawiać. Ten wielki, Stephen, był silny i znał kilka niezłych ruchów, musiał mu to przyznać. Kobieta była odważna i miała charakter. To oznaczało, że nie mógł liczyć na to, iż zachowa się jak większość ludzi, którzy wiedzieli, że jest na ich tropie. Ona nie skuli się ze strachu. Doktora jeszcze nie widział w akcji, z wyjątkiem chwil, kiedy uciekał. Ale był

lekarzem. Pewnie cechowała go inteligencja. Jeśli był nie tylko dobrym medykiem, ale umiał

wykorzystać intelekt poza dziedziną, w której był ekspertem - a Atropos wiedział z doświadczenia, że tę umiejętność ma niewielu - to ich trójka mogła się okazać wymagającym przeciwnikiem. Będzie musiał ich likwidować pojedynczo. Nie może stracić czujności.

Ból głowy mu nie pomagał. W ciągu ostatnich dwóch godzin zażył pół opakowania paracetamolu, a nie udało mu się nawet przytępić bólu. Zdjął okulary i pomasował grzbiet nosa. Przeczesał włosy palcami i z powrotem założył okulary.

Do zajezdni wjeżdżała taksówka, jego taksówka. Wspólnik jego zbiegów wrócił przed końcem zmiany, tak jak sądził Atropos. Portfel miał teraz niewątpliwie grubo wypchany, więc nie widział powodu, dla którego miałby się męczyć przez kolejne trzy godziny harówki.

Przewidywalne. Równie przewidywalne było to, że skłamię, podając dokąd miał ostatni kurs i że w końcu powie prawdę, kiedy grzbiet jego nosa będzie się powoli zapadał.

Czik-czu. Czik-czu.

Atropos zaczekał, aż taksówkarz wyszedł i skierował się do własnego samochodu.

Wtedy wyskoczył z buicka i przemknął przez ulicę z rozbrajającym uśmiechem na ustach i dłonią zaciśniętą w czarną pięść, ukrytą w kieszeni kurtki.

\*

Siedząc samotnie w ciemności po tym, jak Allen i Stephen wyszli kupić furgonetkę zaadaptowaną na samochód kempingowy, Julia poczuła odpływ adrenaliny. Apatia otuliła ją niczym ciepły koc. Rozsunęła zasłony w nadziei, że słońce rozproszy ponurą atmosferę pokoju i poprawi jej niewesołe samopoczucie. Szybko rzuciła okiem na parking i ulicę za nim, po czym odstaąpiła od okna. Wcześniej chciała, żeby zasłony były zaciągnięte ze względu na to, że Allen i Stephen nie mieli pojęcia, jak się zachowywać przy prowadzeniu tajnych operacji. Z doświadczenia wyniesionego podczas ochrania świadków rządowych wiedziała, że większość ludzi z przyzwyczajenia podchodzi kilkakrotnie do odsłoniętych okien, nawet jeśli wiedzą, że nie powinni. Jeśli będzie korzystać z komputera, siedząc przy stole, i poruszać się przy ścianach, pozostanie niewidoczna dla ludzi przechodzących czy przejeżdżających przed motelem główną ulicą Maryville. Wróg znajdujący się tuż przed oknem zobaczyłby ją, ale to by oznaczało, że ich nieprzyjaciele i tak już ich odnaleźli.

Taką możliwość też musiała brać pod uwagę. Pojawienie się Wojownika w Knoxville potwierdziło



jej podejrzenia, że ludzie, którzy ich ścigają, są wpływowi i przedsiębiorczy.

A uwaga Allena o „zmartwychwstałym” zabójcy nią wstrząsnęła. Podczas jazdy taksówką zdecydowała, że nie będzie rozważać metafizycznych implikacji pojawienia się zabójcy, który wydawał się powstać z martwych, żeby ich ścigać. Wystarczyło już, że zabójca, który miał oczywiste doświadczenie w tajnych operacjach, wziął ich na cel - dalsze rozważania mogły rozwiązać cumy, którymi jej umysł zakotwiczył się w rzeczywistości.

Poza tym zadawanie pytań, na które nie było odpowiedzi, wzmagało tylko frustrację i odwracało myśli od bardziej produktywnych zadań. Bez względu na wytłumaczenie, on chciał

ich dopaść. Jej zadaniem było utrzymać ich przy życiu.

Odgarnęła włosy do tyłu obiema rękami, czując brud i smar z podwozia, pod które się wcześniej wczółgała. Wolno przeszła do łazienki i przycisnęła dłonie do blatu, pochylając się nad umywalką. Jedna ze świetlówek migąła jak szalona, zmieniając odbicie jej twarzy niczym w beczce śmiechu. Brąz jej oczu, brwi i włosów, rdzawoczerwony kolor niewielkiego zacięcia na kości policzkowej, które nie wiadomo skąd się wzięło, wszystko wydawało się czarne na tle bieli jej skóry.

Ochlapała twarz zimną wodą. Polała sobie kark i włosy. Tak. Jej skóra pragnęła rzeźkości wody, tego energetyzującego oczyszczenia. Odrzuciła do tyłu ramiona, marynarka zsunęła się na podłogę, a po chwili również kremowa bluzka. Woda schłodziła jej klatkę piersiową, pociekła na brzuch. Po chwili stała naga pod lodowatym strumieniem prysznicza.

Zimno odbierało jej oddech, ale pobudzało umysł. Po kilku minutach poczuła się świeża i gotowa.

Wtedy odkręciła ciepłą wodę i namydliła ciało, a we włosy wtarła szampon. Oparła się o kafelki i patrzyła, jak piana wiruje w odpływie, aż woda stała się czysta. Gwałtownym ruchem głowy wytrząsnęła wodę z włosów i wyszła z kabiny. Jej skóra zaśniła w lustrze zdrowym różem.

„Dobrze - pomyślała. - Czas wracać do pracy”.

Usiadła na łóżku po turecku, z komputerem na kolanach. Weszła na stronę internetową, której adres podał jej Bonsai. Była pusta z wyjątkiem pojedynczego prostokąta pośrodku ekranu, na którym widniał napis: „Kliknij tutaj”. Julia kliknęła i została poproszona o wpisanie hasła. Trzecie z kolei, które wpisała, spowodowało, że słowa w ramce zmieniły się na: „Proszę czekać”. Wytarła wilgotne włosy ręcznikiem. Miała nadzieję, że Bonsai zdołał

odszyfrować chip i że było na nim wystarczająco dużo dowodów, żeby zakończyć tę sprawę.

Bonsai pracował w przydomowym biurze w Morrison w Kolorado, uroczym miasteczku turystycznym na przedgórzu Gór Skalistych na zachód od Denver. Wyobraziła go sobie tam teraz, uderzającego w klawiaturę komputera z werwą pianisty wirtuoza. Właściwie to nawet przypominał nieco młodego Beethovena: rozwiany włos, płomienny wzrok, surowe usta. Zakładała, że trądzik już zniknął. Kiedy uderzał w klawisze tak szybko, że zacierały się kontury jego palców, głowa podskakiwała mu w rytm melodii, którą tylko on słyszał.

Po minucie zaczęła się zastanawiać, na co właściwie czeka, czy długo będzie tak patrzeć w pusty ekran. Byłoby to niepodobne do Bonsaia, ale nic nie było pewne, jeśli miało się do czynienia z komputerami czy z Internetem, bez względu na umiejętności osoby, która próbowała je ujarzmić.

Wtedy przez głośniki rozległo się pytanie:

- Julio?

- Bonsai! Złamałeś kod Vero?

- Nie.

Poczuła mdlący ucisk w żołądku.

- Nie było czego łamać - ciągnął.

- Jak to?

- Chip nie był zakodowany. To nowy typ nośnika cyfrowego, bardzo nowatorski.

Wysoka rozdzielczość, błyskawiczny rendering, niezwykle gęsty zapis. Konieczna jest nieprawdopodobna moc przetwarzania, żeby go odtworzyć. Różnica pomiędzy tym a wszystkim, co można teraz dostać na rynku, jest taka, jak pomiędzy CD a taśmą szpulową.

- To co, potrzebny mi jest specjalny komputer?

- Już nie. Połączyłem się z kilkoma kumplami z pracowni komputerowej MIT.

Posługując się metodą prób i błędów, zdołali wysłać mi program, który konwertuje ten zapis na taki, z jakim najlepsze Pentium jest w stanie sobie poradzić.

- A co tam jest? Jakie pliki?

- Głównie wideo. Przy konwersji traci się trochę na rozdzielczości, więc obraz nie jest tak ostry jak oryginał i nieco skacze, ale wszystko widać przyzwoicie. Jaki masz komputer?

- Najlepszy, jaki ma FBI. Specjalnie skonfigurowany, żeby obsługiwać oprogramowanie do komunikacji satelitarnej.

- Procesor musi być naprawdę szybki, Julio. Nie dostaniesz takiego w zwykłym sklepie. Chodzi o to, że....

- Prototypowy dwugigowy procesor Athlon, dwa giga RAM-u, jeden giga na odtwarzanie plików wideo i półterowy twardy dysk.

- Kurczę! W takim razie dobra. Mogę ci to wysłać w każdej chwili.

- Potrzebuję jeszcze jednej przysługi.

- Co takiego?

- Włam się do komputerów Wydziału Policji w Knoxville oraz Wydziału Dochodzeń Kryminalnych Stanu Tennessee i poszukaj będących w toku dochodzeń w sprawie lokalnych handlarzy klonowanych telefonów w okolicy z kierunkowym 423. Upewnij się, że nie jest to prowokacja policyjna, tylko śledztwo. Potrzebuję też nazwiska jednego z klientów dealera.

Znajdź takiego, który niedawno trafił za kratki, bo nie chcę, żeby dealer mógł się z nim skontaktować. Wykonalne?

- Zrobi się. Połącz się ze mną za pół godziny.

\*

Atropos rozważył możliwość, że jego uciekinierzy wybrali inny Hotel, ale ją odrzucił.

Uznali pewnie, że podstęp z Oak Ridge zmyli go wystarczająco. Gdyby udali się gdzie indziej, szanse odnalezienia ich bez pomocy jego zleceniodawcy byłyby niewielkie. To miejsce było najlepszym tropem, jaki miał.

Skręcił w ulicę Houston, która krzyżowała się z aleją Broadway przy Motelu 6, gdzie podobno wysadził ich taksówkarz. Omiótł wzrokiem budynek w kształcie litery „L”, zauważając wiatę na parterze i wózek sprzątaczkowy postawiony przed otwartymi drzwiami na balkonie drugiego piętra. Jadąc dalej, zobaczył zaułek, który oddzielał motel od prywatnych posesji na jego tyłach. Ta strona budynku była upstrzona matowymi okienkami łazienkowymi: każde stanowiło potencjalną drogę ucieczki dla jego zbiegów.

Będzie czekał, aż jedno z nich wyjdzie po lód, po przekąski albo po to, by skorzystać z budki telefonicznej. Ale jeśli będzie zmuszony wkroczyć do pokoju, będzie musiał działać ostro i szybko, tak żeby nie zdążyli odpowiedzieć ogniem ani się wycofać.

Zawrócił na następnym skrzyżowaniu i kiedy dojechał do motelu, zaparkował przy krawężniku. Przez szybę kombi stojącego przed najbliższym pokojem widział recepcję.

Pod cienistą wiatą dostrzegł kontury czegoś, co wyglądało jak automaty z napojami.

Jasny kwadrat słonecznego blasku jaśniał niczym ekran kinowy w miejscu, gdzie wiata wychodziła na drugą stronę motelu. Długo natężył wzrok, szukając zarysu ludzkiej głowy na tle ostrych linii automatów. Zadowolony, że trójka uciekinierów nie postawiła tam wartownika, zaczął się teraz przyglądać samochodom na parkingu. Jeden z jego celów mógł

się włamać do któregoś z aut, żeby stamtąd obserwować teren. Wyglądało na to, że nie przedsięwzięli takich środków ostrożności, co potwierdziło jego podejrzenie, że ma do czynienia z amatorami, pomimo że kobieta była agentką federalną. Ale była przyzwyczajona do ścigania, a nie do ukrywania się.

Podejście do recepcji od frontu wydawało się bezpieczne, jednak najpierw chciał się przyjrzeć okolicy: gdzie były najbliższe radiowozy policyjne? Potencjalne drogi ucieczki?

Miejsca, gdzie jego zwierzyna mogła się ukryć, gdyby uszła z życiem, i gdzie on mógłby się schować, gdyby coś poszło nie tak.

Sięgnął do dźwigni zmiany biegów przy kolumnie kierownicy i zauważył, że coś błysnęło na matowej powierzchni rękawicy. Natychmiast domyślił się przyczyny i sięgnął po chusteczkę do skórzanej ładownicy przyczepionej do pasa. Tak mu było śpieszno dostać się do Maryville po przesłuchaniu taksówkarza, że zaniedbał rutynową konserwację.

Najpierw startł błyszczącą plamkę, a następnie energicznie przetarł każdy kolec i palec oraz przestrzenie pomiędzy nimi. Odrzucił szmatkę na fotel pasażera, gdzie wylądowała brudną stroną do góry: szerokie czerwone ślady na tle rozjaśnionej słońcem bieli.

Odjechał od krawężnika, ostatni raz rzuciwszy okiem na motel. Skręcił w Broadway Avenue i zaczął się uważnie przyglądać każdej osobie, mijanej na ulicy, każdemu pojazdowi, budynkowi.

\*

Bonsai pojawił się w sieci, kiedy tylko Julia wybrała przycisk: „Kliknij tutaj”.

- I jak, masz coś dla mnie? - zapytała.

- A czy hakerzy lubią komputery? - Podał jej informacje, które wyszukał w bazie danych Departamentu Szeryfa Hrabstwa Knox.

Zapisała w notatniku dwa nazwiska i numer telefonu.

- Jesteś świetny. Odezwę się, kiedy będę gotowa odebrać dane z chipa. - Poprawiła się na łóżku i wsunęła pod siebie gołą stopę. Od brudnego ubrania doleciał ją jakiś nieprzyjemny zapach, ale go zignorowała. Musiało jej wystarczyć, że ma czyste włosy, teraz już suche i zaczesane luźno do tyłu. Zdjęła z podstawki telefon, który był na wyposażeniu pokoju, i wykręciła numer podany przez Bonaia.

- „Znaki na Niebie” - odezwał się męski głos.

- Potrzebuję telefonów.

- Zajmujemy się pisaniem na niebie, proszę pani. Życzenia ślubne i urodzinowe, zamiast na papierze, „Znaki na Niebie” zapiszą w stratosferze.

- Słodkie.

- Dziękujemy za telefon.

- Hola, ja mimo wszystko potrzebuję telefonów.

- Już mówiłem, nie handlujemy telefonami.

Zerknęła na notatnik.

- Aaron Horvitz powiedział mi co innego.

Chwila ciszy.

Bingo.

- Kto? - zapytał beznamiętnie mężczyzna.

- Aaron chyba wspomniał, że jest twoim stałym klientem. Colin, prawda? Może źle słyszałam.

- Podaj mi swoje nazwisko i numer.

Tak zrobiła i tamten się rozłączył. Wypadła przez drzwi i pomknęła przez parking do telefonu, który obejrzała, zanim zadzwoniła do Bensaia. Był to jeden z tych aparatów, które zamiast budki mają tylko owalną osłonkę. Przytknęła głowę do telefonu, kryjąc się przed wzrokiem przechodniów. Pan Colin Dorsett niewątpliwie próbował teraz skontaktować się z Aaronem Horvitzem, żeby ten poświadczył za Julię. Ale niestety: według Bensaia policja aresztowała Horvitz'a dwa dni temu za postrzelenie z broni palnej konkurenta, innego dealera narkotyków, podczas bójki w barze. Mogła się założyć, że Horvitz miał teraz inne rzeczy na głowie niż powiadamianie swojego dostawcy kradzionych i przeprogramowanych telefonów komórkowych o nowym miejscu pobytu w lokalnej ciupie.

- Tak? - podniosła słuchawkę.

- Aaron nie odbiera. To co?

- To, że nie robię interesów z nieznanymi.

- Słuchaj - powiedziała ostro. - Aaron mówił, że jego nazwisko wystarczy ci jako poręczenie. Nie będzie zachwycony, jeśli się okaże, że tak nie jest.

Nastąpiła cisza, przerwana po chwili pytaniem:

- Czego chcesz?

- Czterech telefonów z klapką z naładowanymi bateriami, ładowarką samochodową i adapterem USB.

Rzucił barwne określenie.

- Organizujesz zbiórkę funduszy przez telefon, czy co?

- Coś w tym stylu. Jeśli w to wchodzisz, to będę potrzebować jeszcze kilku innych rzeczy, opłaci ci

się. - Powiedziała mu, co jeszcze jest jej potrzebne.

Mężczyzna zgodził się niechętnie i podał wygórowaną cenę. Próbował forszą złagodzić swój niepokój.

- Dobra - odparła Julia. - Przywieź je o piątej do Głodnego Farmera przy Henley Street. - Jadąc taksówką z Knoxville, przejeżdżali obok tej restauracji. Wiedziała od Bonsaia, że policja ma na oku biznes telefoniczny Dorsetta. Nie mogła ryzykować, że zobaczą ją przed jego fałszywą firmą.

- Hej, nie robię dostaw do domu, dziewczyno. I nie obchodzi mnie, kogo znasz.

- Nie mów mi, że interes ci kwitnie po tym, jak „60 Minut” pokazało reportaż o policyjnych nalotach na dealerów klonowanych telefonów. Na pewno nie, kolego. Podrzucić mi je do Farmera albo wydam pieniądze gdzie indziej.

To właśnie zawsze na nich działało: chciwość.

- Dobra, o piątej, ale nie wchodzę do środka. Przyjadę czerwonym kabrioletem camaro. Kiedy mnie zobaczysz, wyjdź z gotówką w ręce.

- A więc do zobaczenia - powiedziała słodko jak miód.

\*

Allen po prostu tego nie rozumiał i Stephena nie powinno to dziwić. Potrząsnął wielką głową i skierował furgonetkę na Broadway Avenue. Przyjemnie było prowadzić sprawnie działający wóz, a dodatkową zaletą było to, że bez problemu się w nim mieścił.

- Przecież nie napadłem na tego faceta - kontynuował sprzeczkę Allen.

- Powiedziałeś, że ta furgonetka to kupa.

- To się nazywa negocjacje.

- Podpuszczałeś go! - Światło zmieniło się na czerwone, co pozwoliło Stephenowi obrócić się do Allena i rzucić mu miażdżące spojrzenie.

- Gadasz głupoty - odparł drwiąco Allen, ale trudno to było uznać za argument na poziomie. - On się nie obraził.

- Prawie cię walnął.

- I nawet bym mu pozwolił, gdyby to obniżyło cenę.

- Jak możesz wydawać tyle pieniędzy i jednocześnie być taki skąpy?

- Czekasz, aż bardziej zzielenieje?

Stephen spojrział na brata ze złością, po czym zorientował się, że Allen mówi o światłach, i wcisnął gaz, żeby przejechać przez skrzyżowanie.

- Poza tym mógł nam powiedzieć, żebyśmy sobie pojechali stopem, jeśli nie podobało mu się moje podejście.

- Niektórych ludzi nie stać na luksus zlekceważenia gotówki. Ty nigdy nie byłeś w takiej sytuacji. - Trudno uwierzyć, że pochodzili z tej samej rodziny. Kolejne światło zmieniło się na żółte i Stephen zwolnił. Wyglądało na to, że trafili na czerwoną falę na alei Broadway.

Na szczęście byli tylko kilka przecznic od motelu.

Nagle Allen padł na podłogę pomiędzy dwoma przednimi siedzeniami. - Obróć się w lewo! - zawołał, gestykulując gwałtownie w tamtą stronę. Przerażony wyraz twarzy brata sprawił, że Stephen od razu go posłuchał.

- Co? - zapytał.

- Nie patrz tam, ale motel.

Stephen rzucił okiem na Motel 6, który miał z prawej strony po przekątnej. Rosła sylwetka Wojownika wypełniała wejście do recepcji. Kręcił głową we wszystkie strony, spoglądając na parking i w stronę miejsca, gdzie Stephen czekał na zielone światło.

Stephen odwrócił głowę. Na ramionach poczuł gęsią skórę. Pomiędzy nimi było niecałe pięćdziesiąt metrów. Wojownik mógł spojrzeć wprost na niego, jeśli tylko przyszłoby mu to do głowy.

Ktoś za nimi zatrąbił klaksonem.

- O. - Zielone światło. Spojrział przez ramię. Wojownik rozmawiał z kimś w recepcji.

Stephen podjął w panice decyzję, żeby skrócić, zamiast przejechać obok motelu.

Sprawdził, czy pas do skrętu w lewo jest wolny, włączył migacz i wjechał na skrzyżowanie. Z naprzeciwka jechała półciężarówka, więc zahamował, żeby ją przepuścić, zbyt późno zdając sobie sprawę, że mógł się przed nią zmieścić. Zdawało mu się, że nawet z włączoną na dachu syreną i migającymi światłami nie mogłby bardziej zwracać na siebie uwagi. Jakiś samochód ruszył spod sklepu monopolowego i wypełnił lukę pomiędzy półciężarówką a falą pojazdów nadjeżdżających szybko od następnego skrzyżowania.

- Szybciej, szybciej - mruzczał pod nosem.

- Po prostu jedź! - leżąc na podłodze, Allen nie widział, co się dzieje na drodze.

Stephen skulił się na siedzeniu i rzucił okiem przez ramię. Wojownik wyszedł z recepcji.

Stał w słońcu i mrużył oczy, przyglądając się samochodom na parkingu.

Auto za nimi znowu zatrąbiło. Stephen podskoczył. Wojownik podniósł wzrok.

Przyłożył dłoń do skroni, żeby osłonić oczy przed słońcem. Klakson zatrąbił ponownie, tym razem dłużej. Wojownik kroczył naprzód przez parking motelowy, prosto na Stephena.

Dlaczego ten facet trąbi? Nie widzi samochodów?

Wtedy zrozumiał, że tył ich długiej furgonetki blokuje pas, który biegnie prosto przez skrzyżowanie. Decyzja o skręceniu była błędem.

Doszedł do wniosku, że spróbuje się zmieścić, modląc się, żeby nadjeżdżający kierowcy mieli szybki refleks, zdążyli wcisnąć hamulce mocno i szybko, tak by w niego nie wjechać. Widział lukę i wiedział, że jest za mało miejsca, ale i tak postanowił spróbować.

„Panie, nie pozwól, żeby ktoś ucierpiał” - pomyślał.

Zdjął nogę z hamulca i szybko rzucił okiem na Wojownika, myśląc, że - być może -

będzie musiał uchylić się przed strzałem. Ale tamten zniknął. Stephen wcisnął hamulec.

Wtedy go zobaczył, jak wpatruje się w zaparkowaną toyotę. Wojownik ruszył, żeby sprawdzić wnętrze następnego zaparkowanego samochodu. Wyglądało na to, że zignorował

zamieszanie na ulicy w przekonaniu, iż to nie jego sprawa.

Stephen zamknął oczy i zrobił długi wydech.

- Co? Co się dzieje?

- Nic. Spadamy stąd. - Światło zmieniło się na żółte i zatrzymało samochody jadące z naprzeciwka. Stephen z rykiem silnika przeciął ulicę i wjechał pomiędzy domy.

Allen stęknął, podnosząc się z podłogi.

- Nie wstawaj, Allen! - powiedział Stephen z naciskiem, wybałuszając oczy. Z

jakiegoś powodu poprawiał mu się humor, kiedy patrzył na brata rozciągniętego na podłodze furgonetki. Odwrócił głowę, żeby ukryć uśmiech.

Ryk silnika i pisk opon przyciągnęły Julię do okna. Z bronią w ręce, przyciśnięta do ściany, wystawiła głowę zza parapetu i błyskawicznie ją cofnęła. Granatowa furgonetka stała z włączonym silnikiem na wprost pokoju. To musieli być chłopcy. Ale po co ta scenka rodem z toru wyścigowego? Trzasnęły drzwi od auta. Allen wybiegł przed maskę furgonetki. Julia schowała broń do kabury i otworzyła z zamachem drzwi.

- Jedźmy! - zawołał Allen, jeszcze zanim wpadł do środka. - Wojownik! Jest w Motelu 6.



- Szybki jest. Dowiemy się, że się nie zameldowaliśmy.

- Wtedy zacznie szukać w pobliżu. - Zaczął zbierać tych kilka rzeczy, które należały do niego i Stephena, wrzucając je do torby z apteki.

- Może nie być sam - powiedziała Julia, jedną ręką odłączając przewody od komputera, a drugą upychając wszystkie części do torby podręcznej. Allen wszedł do łazienki i przedramieniem zgarnął do torby wszystko, co leżało na blacie, po czym wraz z Julią opuścili pokój.

Stephen ruszył, zanim Julia zdążyła zamknąć boczne drzwi, i nawet była z tego zadowolona. Przez krawężnik wypadł na Broadway Avenue, aż Julię rzuciło na jedno z wyścielanych tylnych siedzeń. Jakiś czas spoglądała przez przyciemnione okna z tyłu, wypatrując samochodu, który próbowałby ich dogonić lub jechał za nimi w stałej odległości.

Nic.

- Widzieliście tylko Wojownika? - zapytała.

- Czy to nie wystarczy? - Allen miał smugę na policzku, ale jego fryzura była wciąż nienaganna. Julia uświadomiła sobie, że nigdy nie widziała go rozczochranego, nawet kiedy wyczołgał się spod samochodu.

- Potrzebuję wytycznych - odezwał się Stephen.

- Knoxville.

- Chyba żartujesz. Lotnisko?

- Restauracja Głodny Farmer. Umówiłam się tam na odbiór telefonów, przez które nie będą mogli nas namierzyć.

- A potem?

- A potem dowiemy się, komu tak bardzo zależy na naszej śmierci.

Żaden z braci nie widział, jak wyciągała pistolet, i teraz obaj podskoczyli, kiedy odciągnęła zamek i pozwoliła mu z powrotem zaskoczyć z donośnym ka-czink.

\*

Furgonetka była idealna. Oprócz przyciemnianych okien ktoś założył zasłonki nad oknami z boku i z tyłu. Zasłonki oddzielały też przednie siedzenia od tylnych, ale teraz były rozsunięte. Była tam też schowana pod fotelami szeroka na trzydzieści centymetrów deska, którą można było umieścić na wspornikach w poprzek auta, tak że biegła przez całą jego szerokość przed tylnymi siedzeniami. Materac na desce ze sklejki zajmował resztę miejsca z tyłu. Zanim jeszcze dojechali do Głodnego Farmera, Julia zdążyła już zastawić stolik sprzętem komputerowym i całkowicie zapomnieć o odrażającym zapachu papierosów.

- Wysadź mnie i zaparkuj po drugiej stronie ulicy - powiedziała do Stephen.

Wybrała stolik przy oknie z widokiem na parking i zamówiła kawę. W połowie drugiej filiżanki podjechał czerwony chevrolet camaro z postawionym beżowym płóciennym dachem. Jeszcze zanim samochód się zatrzymał, Julia już była przed restauracją. Otyły mężczyzna za kierownicą przyjrzał się jej podejrzliwie. Kucnęła przy oknie i rzuciła na jego wystający brzuch plik banknotów. Przeliczył je i wręczył jej reklamówkę ze sklepu spożywczego. Zajrzała do środka, skinęła głową i samochód oddalił się jeszcze szybciej niż nadjechał. Trzydzieści sekund później Stephen podjechał po nią furgonetką.

- Szkoda, że nie wszystko idzie tak gładko - odezwała się Julia, zatraskując przesuwane drzwi furgonetki. Usiadła na miejscu za fotelem kierowcy i położyła jeden z telefonów na stoliku, przy komputerze. Wysypała zawartość torby na siedzenie obok siebie: jeszcze trzy telefony komórkowe i reklamówkę ze sprzętem ze sklepu elektronicznego.

- Dokąd? - zapytał Stephen.

- Zabierz nas na autostradę międzystanową wschód-zachód.

- W jakim kierunku?

- Nieważne. Znajdź jakiś parking albo postój ciężarówek.

Zastanowił się.

- Jesteśmy blisko I-40.

- Co jest na wschód?

- Następne duże miasto to Charlotte.

- Co jest na zachód?

- Nashville.

- A więc kurs na I-40.

Stephen ruszył.

Allen obrócił się na fotelu:

- O co chodzi z tymi telefonami?

- Każdy z nich został przeprogramowany na numer komórki zdobyty przez monitorowanie połączeń w jakimś zatłoczonym miejscu, na przykład na autostradzie w godzinach szczytu.

Allen skinął głową.

- Ludzie, którzy nas ścigają, nie wiedzą, że muszą szukać na falach właśnie tych konkretnych numerów. Możemy ich używać, a nasi prześladowcy nie namierzą nas po ich sygnale. Ale chcę, żeby znaleźli te dwa - podniosła dwa telefony.

- Nie rozumiem.

- Zrozumiesz. Ale najpierw, proszę. - wręczyła mu dyktafon, wciąż jeszcze w oryginalnym pudełku, dwie baterie AA i kasetę magnetofonową, po czym z drugiego pudełka wyjęła jeszcze jeden dyktafon. Kiedy oba były gotowe, powiedziała: - Udawaj, że to jest telefon. Włącz przycisk nagrywania, kiedy ja włączę swój, i rozmawiaj ze mną.

- Co mam powiedzieć?

Już ci mówię.

- Puść to jeszcze raz.

Kendrick Reynolds siedział na swoim wózku inwalidzkim obok stacji roboczej. Na uszach miał dźwiękoszczelne słuchawki.

Technik uruchomił włącznik na ekranie za pomocą manipulatora kulkowego. W

słuchawkach rozległy się głosy.

- ...zabił Goody'ego - głos kobiety.

- Kogo? - mężczyzna.

- Mojego partnera, Goodwina Donnelleya. To ten facet, który zmarł wczoraj na pańskim stole operacyjnym.

- Aha. Kto go zabił?

- Nie wiem, ale zginął też Despesorio Vero - kobieta wydawała się rozdrażniona. - To on próbował dostać się do Centrum Kontroli Chorób. Byli w jakimś barze w Chattanooga.

Goody przyjechał waszą karetką. Ciało Vero zniknęło.

Stojący za Kendrickiem kapitan Landon trzymał przy uchu pojedynczą słuchawkę.

Odezwał się:

- Słowa, które uruchomiły nagrywanie, to „Karl Litt”. Kiedy urządzenia monitorujące rozpoznały ten zwrot, nagrywanie się włączyło.

Kendrick zdjął słuchawkę z jednego ucha.

- Ale nie możemy posłuchać kontekstu?

- Kontrolowanie rozmów w całych rejonach geograficznych oznacza monitorowanie każdego połączenia, a są ich miliony. To co innego niż kontrolowanie kilku czy wszystkich linii w jednym biurze. Nie możemy używać technologii wielokrotnego zapisu przy monitorowaniu dużych obszarów. Nasze systemy są już obciążone.

- Mike, po prostu powiedz „nie” - Kendrick spojrział na niego. Był pewien, że w oczach kapitana jest tylko starym, zmęczonym człowiekiem. Nie mógł znieść tej myśli.

- Nie, sir. Nie mamy kontekstu dla zwrotu „Karl Litt”.

Tego też nie mógł znieść: tej niepewności, ile wiedzą ci ludzie, ile powiedział im Vero.

Musiał ich znaleźć, przesłuchać i skonfiskować wszystkie dowody, jakie Vero im przekazał. Teraz miał na głowie dwie pilne sprawy: odnalezienie Karla i utrzymanie w tajemnicy przed opinią publiczną projektów, które nie powinny nigdy ujrzeć światła dziennego. Miał nadzieję, że dotarcie do tych trojga rozwiąże oba problemy.

Technik przy kontrolkach odezwał się:

- Oni ciągle rozmawiają.

- Co? Jak długo trwa ta rozmowa?

- Dwadzieścia trzy minuty. Puszczę ją teraz na głośnik?

- Zrób to.

- ...ale to niemożliwe. Jeśli Despesorio Vero miał przekazałby je Goody'emu.

- Donnelleyowi?

- Tak.

- A co z tym Karlem Littem?

- Nie wiem.

Kendrick wolno zamknął oczy. Zdjął z uszu słuchawki i położył je przy stacji roboczej.

- Czy oni są w ruchu? - zapytał z cichym westchnieniem.

- Tak - odparł technik. - Oboje są na autostradzie I-40. Kobieta jedzie na zachód od Knoxville w kierunku Nashville. Mężczyzna kieruje się na wschód, gdzieś pomiędzy Thorngrove a Danridge.

Kendrick potrząsnął głową. To nie byli oni. Jako agentka federalna Matheson wiedziała o

monitorowaniu rozmów pod kątem słów kluczy. Ale nie wiedziała, że wojskowa technologia była o wiele bardziej zaawansowana od tego, do czego miał dostęp Departament Sprawiedliwości. Była przyzwyczajona do systemów, które więcej zwrotów przeoczały, niż wyłapywały.

Dlatego powtarzała nazwiska Karl Litt, Despesorio Vero, Goodwin Donnelley.

Przynęty działały tylko wówczas, kiedy ludzie je chwyтали.

- Wyślijcie po jednej grupie za każdym z nich, żeby ich złapać - nakazał. Nie mógł

ryzykować pomyłki. - Powiedzcie im, żeby działali ostrożnie; nie sądzę, by to byli oni. A jak już wykluczycie wszystko na I-40, spróbujcie się dowiedzieć, dokąd naprawdę zmierzają.

\*

- To było zabawne - powiedział beznamiętnie Allen.

Nagrali rozmowę, taśmą przyczepili dyktafony do telefonów, zadzwonili z jednego z aparatów na drugi i wysłali je w różnych kierunkach - jeden pod brezentem okrywającym łądz do holowania narciarzy wodnych ciągniętą przez chevroleta suburban, a drugi na otwartej pacy jakiejś półciężarówce. Julia nie miała wątpliwości, że ich prześladowcy wytropią sygnał. Po tym jak przejęli sygnał „tropiciela” i znaleźli ich w Knoxville, wiedziała, że dysponują zaawansowaną technologią i że robią wszystko, żeby ich wysledzić. Miała tylko nadzieję, że odnalezienie telefonów zajmie im sporo czasu.

Przez piętnaście minut nagrań nie padło żadne ze słów kluczy. To dawało im czas, żeby jak najdalej odjechać od telefonów. Kasetki w dyktafonach były trzydziestominutowe.

Po skończonym nagraniu cisza spowoduje, że telefony się rozłączą. Jeśli ich prześladowcy będą chcieli znaleźć telefony, nie będą w stanie namierzyć sygnału, bo go nie będzie. Zostaną więc zmuszeni szukać ich wszędzie wzdłuż całej autostrady I-40.

Chyba że - pomyślała z niepokojem - zadzwonią na numery komórek za pomocą transmitera „infinity” i utrzymają połączenie, aż znajdą telefony.

Zapomniała o tej możliwości. Jak nie jedno, to drugie...

- Myślisz, że udało się nam pozbyć ich z ogona? - chciał wiedzieć Allen.

- Na jakiś czas. Mam taką nadzieję.

- A co teraz?

- Dowiemy się, co takiego przyniósł nam Vero, że zapłacił za to życiem.

Powiedziała im o chipie pamięci, gdzie go znalazła i że musiała się skontaktować z przyjacielem, żeby pomógł jej uzyskać dostęp do danych.

- Masz ten chip, ale nie możesz go odczytać i nie masz danych, które twój przyjaciel przekonwertował? To jaki masz plan? - Allen wyglądał tak, jakby ktoś przyłożył mu kijem bejsbolowym.

- Zamierzam zdobyć te dane, Allen, OK? - Julia miała ochotę mu przyłać.

W jego zadowolonym z siebie wyrazie twarzy widziała kogoś, kto był

przyzwyczajony do rutyny, kogoś, kto nie tylko wolał porządek od chaosu, ale wręcz go wymagał. Zobaczyła...

Zobaczyła kogoś, kto był przestraszony i chciał, żeby wszystko wróciło do normy.

Zrozumiała, że wszyscy są podenerwowani. Ich frustracja wpływała z tego samego źródła.

- Słuchaj, nie mam na wszystko gotowej odpowiedzi. Tak naprawdę to nie mam odpowiedzi na nic. Wiem tylko, że nie możemy stać w miejscu, że musimy szukać powodów, dla których to się dzieje, i sposobu, w jaki możemy to zakończyć. Po prostu w tym momencie za mało wiemy.

Podpięła laptop do gniazda zapalniczki samochodowej, a potem podłączyła do niego jedną z zakupionych komórek. Allen cały czas jej się przyglądał.

- Kiedy jesteśmy w ruchu - wyjaśniła - nie mogę skorzystać z urządzenia, które łączy mnie z Wi-Fi, a nie chcę stać długo w jednym miejscu, żeby zrobić transfer plików. Dlatego kupiłam trzeci telefon. Bonsai dał mi bezpośredni numer na jego serwer. Potrwa to długo, ale jest bezpieczne i możemy to robić w drodze do Atlanty.

- Tego właśnie nie rozumiem - odezwał się Stephen z fotela kierowcy. Jechali na południe autostradą I-75, która miała ich doprowadzić przez Chattanooga do Atlanty. -

Dlaczego właśnie tam?

- Do Atlanty? To tam się wszystko zaczęło, w każdym razie dla mnie i dla Goody'ego.

I to jest moje podwórko. Tam, być może, będę w stanie skorzystać z możliwości, których nie miałabym gdzie indziej.

- Na przykład jakich? - zapytał Allen.

- Nie wiem. Pewnie po prostu dodaję sobie otuchy. - Sprawdziła numer w notatniku i wystukała go na telefonie komórkowym. Po chwili laptop pokazał, że jest podłączony do serwera. Zadzwoiła na stronę Bonsaia i rozpoczęła transfer danych od Vero. - To chwilę potrwa.

- Ile to jest chwila? - chciał wiedzieć Allen.

Julia wzruszyła ramionami.

- Będę wiedzieć za minutę. - Zaczekała aż program otrzyma wystarczająco dużo danych, żeby ekstrapolować przewidywany czas zakończenia transferu. - Mam nadzieję, że będziemy to mogli obejrzeć, zanim dotrzemy do Atlanty.

- Czyli za jakieś trzy, trzy i pół godziny - poinformował ją Stephen.

Na ekranie pojawiło się sześć cyfr. Przyjrzała im się tępo, po czym odczytała:

- Sześć godzin i dwadzieścia trzy minuty.

Kiedy się odmierza czas liczbą zamachów na własne życie, które udało ci się przeżyć, sześć godzin wydaje się wiecznością.

Odchrząknęła.

W drodze na spotkanie z handlarzem klonowanymi telefonami zatrzymali się przy sklepie spożywczym, żeby kupić jedzenie i napoje. Allen sięgnął do styropianowego kubeczka z lodem ustawionego pod nogami i wyciągnął pepsa. Podał ją Julii.

Podziękowała skinieniem głowy i upiła łyk.

Jechali w milczeniu. Stephen ścisnął kierownicę obiema rękami i z obsesyjną częstotliwością sprawdzał boczne lusterka. Allen toczył w dłoniach zamkniętą puszkę Dr.

Peppera i gapił się przez przednią szybę. Julia oparła się na fotelu, wyciągnęła bosą nogę na siedzenie i myślała o tym, co zaszło, od kiedy Goody zadzwonił do niej wczorajszego ranka.

Starannie rozważała każde zapamiętane słowo, każdy ruch, który wykonała lub zobaczyła, poszukując pytań wymagających odpowiedzi i wskazówek, jakie należało sprawdzić. Na pewno tam były i czekały na odkrycie. Zawsze tak było.

IV

Jorge Prieto patrzył, jak krople jego krwi lecą kilka metrów w dół i znikają w żyznej, ciemnej ziemi poniżej. Dawno już zarzucił próby powstrzymania nieustającego krwotoku z nozdrzy przez pociąganie nosem czy ocieranie krwi cienkimi bawełnianymi rękawami swojego brunatnego kombinezonu. Ułożony w rozwidleniu dwóch gałęzi na trzydziestometrowym drzewie copaiba, wciągał boleśnie powietrze przez zaciśnięte zęby, próbując ulżyć piekącym płucom, nie wydając przy tym dźwięku. Stracił całą energię, uciekając tak daleko przed tymi, którzy go porwali.

„Ale to jeszcze nie dość daleko! Muszę się ruszyć! Ruszyć. ” - myślał.

Jednak jego ogarnięte bólem ciało domagało się, żeby zaczekał, pozwolił mu odpocząć jeszcze parę minut.

Kiedy go przywieziono pięć tygodni temu, miał zasłonięte oczy, i teraz nie miał

pojęcia, jak daleko jest jeszcze do granicy tego terenu. Kilometr? Dwadzieścia? Nieważne ile, musiał tam dotrzeć, musiał.

Zakaszłał, zanim zdołał się powstrzymać, odpluwając coś głęboko ze środka. Tłumiąc jęk, zaczął nasłuchiwać odgłosów pogoni. Nie słyszał nic oprócz upiornego wycia wiatru pośród wierzchołków drzew. Oparł spoconą twarz na przedramieniu i czekał, aż ustanie uczucie, że organy w jego ciele swobodnie się przemieszczają.

Co oni mu zrobili? Co?

Kiedy pojawił się ból, ściskający mu żołądek i podnoszący temperaturę ciała, przeklinał Karai-pyhare, złego trolla, którego niezauważalny uścisk wywoływał u ofiar chorobę i roztrzęsienie. Wiedział, że to głupi przesąd, ale trudno uwolnić się od wierzeń z dzieciństwa. Jego dorosły umysł rozpoznał objawy grypy. Ale kiedy pojawiły się bóle i zawroty głowy, mdłości, kiedy zaczął się pocić bardziej niż w saunie, wtedy zdał sobie sprawę, że to coś znacznie poważniejszego. „Dyżenteria - pomyślał, kiedy zobaczył krew w toalecie - może febra, malaria”.

Przypomniawszy sobie, jak jego porywacze obsesyjnie troszczyli się o jego stan, podłączając go do miliona przedziwnych aparatów i wykonując przeróżne testy. Prosił o chloramphenicol na dyżenterię lub o chloroquine na malarię - leki, które były znane wszystkim dorastającym w biedzie na zwrotniku Koziorożca. Kręcili przecząco głowami.

„Wtedy się zorientowałem, że coś mi zrobiliście, wy diabły, wy montruos! Widziałem to na waszych twarzach i wiedziałem, że muszę uciekać, muszę ostrzec innych.”

Wyglądało na to, że niemal wszyscy - inni pojmani, strażnicy, on sam - mieli objawy przeziębienia nasilone w mniejszym lub większym stopniu. Ci, którzy narzekali na skurcze i krwawienie z nosa, znikali w ciągu kilku dni. Jeśli miał się ruszyć, musiał to zrobić szybko.

Poderwał się, słysząc trzask gałązki. Kiedy uniósł głowę, by przyjrzeć się gęstej podzwrotnikowej dżungli, jego twarz odkleiła się od ręki z lepkim, ssącym dźwiękiem.

Czarne jak smoła cienie wydawały się jeszcze ciemniejsze na tle nieregularnych, jaskrawych plam słońca, ale nie dostrzegł nic poza nim. Nawet urządzenia ukryte na drzewach - małe kamery i ogromne, niewyobrażalne mechanizmy - były teraz dla niego niewidoczne. Obrócił się twarzą do ziemi i zobaczył spływającą strużkę krwi przypominającą węgorza zanurzającego się w głębinę.

Oczami wyobraźni ujrzał Juanitę unoszącą się ku niemu jakby przez wodę: jej orzechową skórę, mahoniowe oczy, miękkie usta.

Nie! Nie może pozwolić myślom błądzić, ale one stawały się takie śliskie, takie niepokorne.

„Skup się! Uciekaj! Nie powinieneś tutaj być. Nie jesteś więźniem”.

I to była prawda. Nie zrobił nic złego, nie zasługiwał na to, żeby go więziono. Jorge Prieto zawsze rozumiał, co to jest odpowiedzialność za własne czyny, i zawsze próbował



postępować właściwie. Kiedy popełniał błędy, bardzo się starał, żeby je naprawić. Czy uciekł, kiedy Juanita powiedziała mu, że spodziewa się dziecka? Nie. Casper Merez wcisnął mu nawet w dłoń pół miliona guarani - miesięczną pensję! - i powiedział: „Idź, Jorge. To zbyt wielkie brzemię dla siedemnastolatka. Idź i najpierw odnajdź w sobie mężczyznę”. Ale mężczyzna już w nim był i zamiast tego ożenił się z dziewczyną. Teraz, po dwunastu latach, mieli z Juanitą nie jedno, ale czwórkę ninos: trzy dziewczynki o ciemnej urodzie, podobne do matki, oraz chłopca - silnego i prostolinijnego jak jego ojciec.

I czy jego rodzina głodowała, kiedy stała się zbyt liczna, by ich prowincjonalne miasteczko Piribebyu było w stanie ją wyżywić? Nie. Przenieśli się do Itaipu, gdzie na budowie największej światowej hydroelektrowni mógł dostać zapłatę za tyle godzin, ile tylko zdołał przepracować.

Jego bliscy zawsze mieli jedzenie na stole i dach nad głową. Niezbędne minimum, które mężczyzna musi zapewnić swojej rodzinie.

Być może powinien był się bardziej przejąć pogłoskami o ludziach, którzy znikali z Itaipu. Byli tacy, co twierdzili, że to demon Kurupi przychodzi w nocy wyprawiać sobie ucztę z ludzkiego mięsa. Inni uważali, że ci, którzy znikali, mieli po prostu dosyć pracy ponad siły i uciekali do swoich biedniejszych, ale szczęśliwszych wiosek. On sam nie wiedział, co o tym myśleć, i tak naprawdę wcale o tym nie myślał. Wyżywić rodzinę, być mężczyzną - tylko to się liczyło.

Teraz Jorge wiedział już, że powinien być mądrzejszy. Ta prawda spadła na niego nagle w postaci dwóch mężczyzn, którzy wyskoczyli z wolno jadącej furgonetki, uderzyli go kijem w głowę, spętali i zaciągnęli do swojej metalowej kryjówki.

Kurupi, tak, ale z ludzką twarzą.

Podciągnął się do pozycji siedzącej; nogi zwisały mu z gałęzi, a plecami opierał się o gruby, twarde pień drzewa.

Bardzo chciał dalej móc utrzymywać swoją rodzinę, ale jeszcze bardziej chciał im powiedzieć, że ich nie zostawił. Jak wpłynęło na nich jego zniknięcie? Zastanawianie się nad tym było jak obracanie noża we własnej piersi. Tak więc wyczekiwał okazji do ucieczki i tego ranka taka okazja się nadarzyła.

Dostrzegł ruch na granicy pola widzenia.

Z ciemności wyłonił się strażnik, cicho stąpając nad masywnymi korzeniami drzewa mahoniowego. Mężczyzna nosił ubranie w różnych odcieniach zieleni i trzymał karabin automatyczny. Przeczesał wzrokiem las przed sobą, przesuwając jednocześnie lufę karabinu. Nie spojrzął do góry. Kiedy był tuż pod Jorgem, ten skoczył z gałęzi, starając się trafić nogami po dwóch stronach głowy mężczyzny. Zderzyli się i upadli, tak że Jorge wylądował na strażniku, co złagodziło jego upadek. Mimo to potoczył się na bok, kiedy straszny ból przeszył mu wszystkie organy, każdy na swój sposób. Zwymiotował szkarłatną wydzieliną upstrzoną tłustymi czarnymi grudkami. Ciemna mgła ogarnęła jego umysł, pozbawiając go racjonalnych myśli. Ale wiedział, że musi uciekać, tak jak zwierzę wie, kiedy się schować, kiedy biec, a kiedy atakować.

Wyciągnął broń spod nieprzytomnego żołnierza i chwiejnym krokiem ruszył dalej.

Nie wiedział, co go skłoniło, żeby się odwrócić, ale to zrobił. Zobaczył, że żołnierz klęczy i wyciąga pistolet z kabury przy biodrze. Jorge zwrócił automatyczny karabin w jego stronę i nacisnął spust.

Odgłos wystrzału wstrząsnął spokojną dżunglą. Małe, średnie i duże ptaki, we wszystkich barwach tęczy, poderwały się w powietrze, przedzierając się przez liściaste korony drzew. Ich skrzeki nakładały się na szelest niezliczonych roślin, które poruszyły.

\*

Żołnierze natychmiast przygarbili się ku ziemi, zwracając się w kierunku, skąd rozległ

się wystrzał z broni maszynowej. Gregor von Papen, który w swoim stroju maskującym był

niemalże niewidoczny pośród cętkowanej zieleni i jasnego brązu lasu, rozważał wyjęcie przypiętej do pasa broni, ale zdecydował się tego nie robić i pomaszerował w kierunku, gdzie nikło echo salwy.

Gregor uznał to za coś w rodzaju swojego descabellar, za ostatnią szansę na zabicie byka przez kończącego karierę matadora. On, oczywiście, jeszcze nie przechodził na emeryturę - miał zamiar umrzeć na posterunku, dowodząc siłami ochrony. Ale Litt ogłosił, że nie potrzebuje już podmiotów do badań.

- Dotarliśmy do celu - powiedział. - Koniec ćwiczeń na poligonie. Zaczynamy prawdziwą wojnę. - Chciał się też natychmiast pozbyć wszystkich więźniów. - Zajmowanie się nimi nadweręży nasze zasoby w tym krytycznym okresie - powiedział.

Tak więc tego ranka, ładując więźniów na ciężarówkę, żeby przetransportować ich do dżungli, gdzie byli pochowani inni, Gregor zaaranżował możliwość „ucieczki” dla jednego z nich.

W wilgotnym powietrzu rozległ się niemalże nieludzki wrzask, który rwał się, aż ułożył się w słowa: „Morir, Huicho! Bajar inferno! Bajar inferno!” - Wracaj do piekła!

Wracaj do piekła!”.

Blisko. Co ważniejsze, wyrzuty nastąpiły po wystrzale, co oznaczało, że ich zwierzyna zdobyła broń. Tych kilku strażników, którzy zostali na terenie bazy, zaczęło się zbliżać do miejsca, skąd dochodził głos. Gregor wyszeptał coś szybko do mikrofonu i tamci się wycofali. Nie chciał już tracić więcej ludzi.

Poza tym, jeśli przywódca sam okazywał taką odwagę, jakiej wymagał, wzbudzał

szacunek. A z szacunku rodziła się lojalność, zawsze więc szukał okazji, które pomagały mu zdobyć uznanie podwładnych.

Idąc dalej samotnie, wyjął swój komputer kieszonkowy i mu się przyjrzał. Ten niewielki BlackBerry śledził i kontrolował wszystkie systemy zabezpieczeń znajdujące się na terenie bazy poza obrębem budynków. Przez dotknięcie ikony na ekranie mógł włączać i wyłączać napięcie w ogrodzeniu, zamykać i otwierać bramy, uzbrajać i rozbrajać broń naziemną oraz sterować systemem oświetlenia. Gregor wyczytał w jednej z publikacji o zabezpieczeniach, że można było zainstalować przy kamerach niewielkie przekaźniki, które transmitowałyby obraz do takich kieszonkowych urządzeń jak to, które on posiadał. Miał

nadzieję, że przekona Litta o potrzebie dokupienia nowego sprzętu.

Przemykał się w cieniu lasu niczym kot na polowaniu. Jego komputer kieszonkowy potwierdził, że

zainstalowany na terenie bazy system Deadeye nie był aktywny. System ten był ostatnią innowacją opracowaną przez Lawrence Livermore National Laboratory i służył

do monitorowania terenu pod kątem ognia z broni palnej. Kiedy jego czujniki podczerwieni wykryły strzał, komputer obliczał miejsce, skąd pocisk został wystrzelony, i uruchamiał broń, która odpowiadała ogniem. Nieważne, jak dobrze ukrył się napastnik - dwie sekundy po naciśnięciu spustu był już martwy.

System Deadeye został zaprojektowany w celu ochrony wysokich rangą urzędników państwowych w trakcie przejazdów kawalkadą oraz w czasie publicznych wystąpień, a także do unieszkodliwiania snajperów, ale sprawdzał się równie dobrze przy zabezpieczaniu granic terenu. Niektórzy miejscowi rebelianci nabrali podejrzeń w stosunku do strażników z bazy i prowadzonych na jej terenie tajnych działań, co w połączeniu z ciągłym znikaniem ludzi z okolicznych miasteczek skłoniło ich do organizowania zasadzek. Wdzierali się samochodami na teren bazy i strzelali do strażników spod osłony dżungli. Takie napaści ustały po tym, jak Deadeye rozniósł na strzępy trzech partyzantów.

Prywatne organizacje teoretycznie nie miały dostępu do broni przeznaczonej dla wojska.

Ale Gregor już dawno odkrył, że dopóki grupka wesołych naukowców Litta produkowała zarazki pożądane przez dyktatorów i terrorystów, nic nie było poza jego zasięgiem. Przy ciągłej wymianie nielegalnych towarów barter stanowił jedną z form płatności, jakie można było wybrać na czarnym rynku. Systemy Deadeye były darem rządu Stanów Zjednoczonych dla Izraela w celu zwalczania działalności snajperów na autostradzie nr 1 pomiędzy Tel Awiwem a Jerozolimą. Wiele z nich wpadło w ręce sympatyków Hamasu, którzy woleli środki biologiczne od broni antysnajperskiej.

Gregor kciukiem wcisnął przycisk, który uruchamiał system Deadeye. Ikona z zielonej, „zabezpieczony”, zmieniła się na czerwoną, „odbezpieczony”. Gdzieś przed sobą słyszał ciężki oddech i odgłosy przedzierania się przez gęste listowie.

Wyszedł zza drzewa i zawołał:

- Jorge Prieto!

Odgłosy ustały.

- Jorge! Nie musisz tego robić! Chcemy ci tylko pomóc! - odezwał się w ojczystym języku uciekiniera.

- Odejdź! Huicho!

Pokiwał głową. Dla Indian Guarani Huicho był brzydkim, małym demonem, kumplem Śmierci. Miał długie, brudne włosy, skórę trupiego koloru i okropnie cuchnął. Istota ta wywoływała odrazę i przerażenie. Gregor był ciekaw, czy Prieto kiedykolwiek widział Litta.

Wychylił się zza drzewa i nieco dalej mignął mu kolor khaki.

Prieto zataczał się w promieniach światła na skraju niewielkiej łąki, rozglądając się za swoimi

prześladowcami. Jedną rękę tulił do siebie, a drugą ścisnął karabin szturmowy Beretta AR-70. Twarz poniżej nosa miał zalaną krwią, przez co sprawiał wrażenie, jakby część twarzy miał zakrytą maską Arlekina. Oczy miał szeroko rozwarte i nieustannie mrugał -

Gregor nie wiedział, czy to przez słońce, pot czy kłopoty ze wzrokiem.

Poczuł ukłucie litości dla tego człowieka. Jakie to musi być uczucie, kiedy wnętrzości zmieniają ci się w galaretę i nie masz pojęcia dlaczego tak się dzieje? Wątpił, czy Prieto doceniłby swoje poświęcenie. Czy taki prosty człowiek mógł pojąć doniosłość tego, że był ostatnim żywicielem wirusa, którego wkrótce będą się bać miliony? Lub tego, że był

jednym z pierwszych doświadczających działania nowej generacji superwirusa, którym można było sterować? Niewiedza nie zawsze jest błogosławieństwem, bo w tym przypadku człowiek zaznał tylko bólu i strachu, ale nie poznał dla nich żadnego uzasadnienia i nie miał

skąd czerpać powodów do dumy, która pomogłaby mu godnie znieść swój los.

Lepiej zakończyć to szybko.

Gregor wyszedł zza drzewa i wkroczył na łąkę.

Indianin zauważył ruch i aż podskoczył. Mrużył oczy w stronę Gregora, najwyraźniej niepewny, czy zobaczył człowieka, czy krzak. Potem skupił wzrok na twarzy Gregora, której tamten nie zasłonił kamuflażem. Przygarbił się jeszcze bardziej i skierował broń w jego stronę. Lufa karabinu drgała.

Gregor czekał. Kiedy Indianin zaczął się z wolna wycofywać w mrok, Gregor uczynił

gest, jakby sięgał do kabury pistoletu. Zaskoczony tym Prieto obnażył zęby i wystrzelił.

Ziemia eksplodowała jakieś pięć metrów przed Gregorem, który nawet nie drgnął. Po swojej prawej stronie Gregor usłyszał wysoki dźwięk wydany przez silnik elektryczny, kiedy Deadeye obracał swoją broń. Prieto też go usłyszał i obrócił wzrok w momencie, gdy Deadeye puścił pięciosekundową serię z wielolufowego karabinu maszynowego M134 -

pięćset pocisków 7,62 mm o dwumetrowym promieniu rozrzutu. Efekt przypominał eksplozję ładunku wybuchowego: Jorge Prieto przestał istnieć.

Lufy karabinu maszynowego w systemie Gatlinga nie przestawały się kręcić, wypełniając względną ciszę metalicznym grzechotem śmierci.

Gregor mógł rozróżnić okrągły wzór wycięty w dżungli, jakby przeszła przez nią rakietka, zabierając ze sobą Prieto. Mniejsze drzewka zostały powalone na ziemię, poprzecinane na pół. Liście opadały w dół po tym, jak zostały oderwane od gałęzi i wyrzucone w niebo.

Powietrze było przymglone - z miejsca, gdzie ukryty był karabin maszynowy, unosił

się szaroniebieski dym z prochu strzelniczego, a tam, gdzie przeszły pociski, opadał

zielonkawy opar z rozpylonych resztek liści.

Za Gregorem rozległy się odgłosy ciężkich kroków. Ten ponownie wcisnął ikonę Deadeye na swoim komputerze kieszonkowym i patrzył, jak ta zmienia kolor na zielony. Nie chciał, żeby jakiś podekscytowany strażnik wystrzelił serię i zwrócił na nich uwagę tego upiornego systemu. Ruszył do przodu, przeszukując teren. Przystanął, zobaczywszy dwie nogi, same nogi. Reszta ciała Jorge Prieto rozlewała się z kolan połyskującą, grudkowatą masą. Na polanę wszedł strażnik i przystanął, ogarniając wszystko szeroko otwartymi oczami.

Przybyli też dwaj sanitariusze, oni także przystanęli, przyglądając się Gregorowi, jakby dokonał tych zniszczeń gołymi rękami. Gregor schylił się, żeby podnieść pogięty i podziurawiony karabin AR-70. Odpadł od niego kawałek poliuretanowej obudowy.

Zobaczył, że pięść jest wciąż zaciśnięta na uchwycie karabinu i przypomniał sobie, że guarani oznacza „wojownik”. Ten mężczyzna zginął tak jak jego przodkowie - w walce.

Gregor rzucił karabin strażnikowi, który cofnął się i niezdarnie złapał go niepewnymi rękami.

- Posprzątajcie to - rozkazał Gregor i odmaszerował.

\*

Allen zerwał się na równe nogi z poczuciem, że koszmar spowija go niczym kołdra.

Zaczął łapać powietrze ustami, chociaż strach wycofywał się już do podświadomości.

Przez chwilę myślał, że ciepła wilgoć, którą przesiąkły mu włosy i która spływała mu po piersi, to krew, i dopiero po chwili zrozumiał, że to pot, całe mnóstwo potu.

Dźwięk innego oddechu spowodował, że zamarł.

Rozejrzał się wokół i rozpoznał wewnątrz furgonetki. Stephen odpoczywał w fotelu kierowcy rozłożonym w coś na kształt wąskiego łóżka. Przyćmione światło, wpadające przez przednią szybę, oświetlało końcówki jego włosów i brody, nadając jego głowie rozmyty, surrealistyczny wygląd. Ale miękkie, basowe chrapanie było bardzo rzeczywiste i Allen znalazł w tym jakąś pociechę. Zdał sobie sprawę, że słyszy też rytmiczne bębnienie rozchodzące się echem po wnętrzu furgonetki. Dopiero po chwili zorientował się, że to deszcz stuka o dach. Przesunął wzrok i pomiędzy fotelem a drzwiami pasażera zobaczył głowę Julii.

Zdawało mu się, że słyszy jej płytki oddech. Te dźwięki go uspokajały.

Wojskowy koc, który przykrywał materac, kiedy Allen się na nim kładł, leżał teraz zwinięty w rogu. Allen zmienił pozycję, żeby odsłonić prowizoryczną zasłonkę na kwadratowym tylnym okienku i poczuł woń amoniaku z uryny. Poprzedni właściciel wspominał, że ma małe dzieci, i Allen wyobraził sobie plamy o nierównym kształcie, niczym granice krajów, na prążkowanym materacu pod sobą. Nawet ucieszył się, że jest ciemno.

Stephen zaparkował na skraju parkingu centrum handlowego. Całodobowy sklep spożywczy pośrodku kompleksu przytłaczał inne sklepy: ze sprzętem wideo, monopolowy, papirniczy, z kawą, z częściami elektronicznymi i innymi towarami ułatwiającymi życie.

Kilka stanowisk i jeden rząd dalej Allen wypatrzył półciężarówkę i zdezelowanego volkswagena garbusa. Ponieważ samochody stały zbyt daleko, żeby mogły należeć do klientów, założył, że ich właściciele byli pracownikami sklepu. Lampy rozmieszczone w regularnych odstępach rzucały kręgi przyćmionego deszczem światła na rozległy asfalt. Jedna z latarni stała poza zasięgiem wzroku Allena, zaraz na prawo od tylnej szyby furgonetki, ale nie świeciła. Przyjrzał się chodnikowi poniżej, szukając potłuczonego szkła, ale niczego nie zauważył. Wątpił, czy Stephen wpadłby na to, żeby stłuc żarówkę, ale Julia by się nie wahała.

Położył się na materacu i zaczął się przyglądać przez okno chmurom. Ponad nimi, poprzez krople deszczu widział migotanie gwiazd. Zastanawiał się, ile czasu minie, zanim wszędzie słońce i pozostali się obudzą. Potem znowu zapadł w sen. Kiedy podniósł powieki, było już widno i furgonetka była w ruchu. Stephen i Julia rozmawiali cicho na przednich siedzeniach. Żeby się otrząsnąć ze snu, odwrócił się w stronę tylnego okna.

Słońce poraziło mu oczy.

- Dzień dobry - to była Julia. Wyglądała znacznie świeżej niż on się czuł. Odwróciła się na fotelu i uchyliła, żeby nie uderzyć w stolik, na którym rozstawiony był jej sprzęt komputerowy. Zmieniła miejsce, siadając na fotelu za Stephenem.

- Dzień dobry.

- Czyżby?

- Wciąż żyjemy - odrzekł Stephen. - Rzekłbym, że już z tego powodu ten dzień jest dobry.

- Pewnie tak - Allen zajęczał i zsunął nogi z materaca. Szarpnął koszulę, żeby ułożyć guziki w linii pośrodku piersi. - Dokąd jedziemy? - zapytał.

- Do McDonalda - odparł Stephen. - Głodny?

- Jeszcze nie wiem, ale przydałby mi się kubek kawy. - Posmak, który czuł w ustach, przywodził mu na myśl coś rozkładającego się i pewnie miał też podobny zapach. Julia masowała sobie szyję i Allen przypomniał sobie, w jakiej dziwacznej pozycji spała.

Poczuł się trochę winny, ale tylko trochę, że zajął jedyne łóżko. Wyrównał szew skarpetki na dużym palcu u nogi i podciągnął ją do góry. Spojrzał w górę i zobaczył, że Julia uśmiecha się do niego.

- Co?

- Nic - odpowiedziała z lekkim potrząśnięciem głowy. Ten uśmiech. Naprawdę mogła łamać serca bez wysiłku. - Nigdy dotąd nie widziałam, żebyś był rozczochrany.

Natychmiast unióś ręce do głowy, jakby powiedziała, że włosy mu się palą, i zaczął je przeczesywać palcami. Uśmiech Julii stał się jeszcze szerszy i chociaż mógłby podziwiać jej wdzięki przez cały dzień, zirytowało go, że to on jest przyczyną tej wesołości.

Zauważył, że klapka laptopa jest zamknięta. Kiedy ostatni raz sprawdzał, co się dzieje, klapka była wciąż otwarta i trwał jeszcze przekaz zdekodowanych danych od przyjaciela Julii.

- Masz już dane?

Uśmiechnęła się szeroko i przytaknęła.

- Trwało to nawet dłużej niż przewidywał program. Wciąż się ładowało, gdy stanęliśmy i poszliśmy spać. Kiedy sprawdziłam dziś rano, zobaczyłam napis „Transfer zakończony”. Już miałam otworzyć katalog, ale pomyślałam, że wy też chcielibyście przy tym być. - Julia była niemalże rozpromieniona.

- Dla mnie to nieistotne, kto to sprawdzi - wzruszył ramionami Allen. - Jeśli tylko jest tam coś, co możemy przekazać dalej i wrócić do normalnego życia.

Furgonetka stanęła i Stephen zgasił silnik. Przez przednią szybę widać było dwóch mężczyzn w poplamionych farbą roboczych kombinezonach, którzy przechodzili przez szklane drzwi oznaczone złotymi łukami.

Stephen zwrócił się do towarzyszy:

- Co powiecie na to, żebyśmy wrzucili do pieca trochę tłustego barowego jedzonka i zrobili dziś kilka dobrych uczynków?

Wszyscy troje zabrali swoje przybory toaletowe i zrobili najazd na łazienki przy restauracji, po czym zamówili śniadanie i z torbami z jedzeniem w dłoni spotkali się przy furgonetce. Obaj bracia wdrapali się na przednie siedzenia, a Julia zajęła pozycję przy laptopie. Natychmiast zaczęła klikać, pogryzając ciastko, gdy tylko komputer potrzebował

trochę czasu na wykonanie polecenia. Zapach kanapek Egg McMuffins, placków ziemniaczanych i kawy szybko wyparł woń starych papierosów i zaczął dominować we wnętrzu furgonetki.

- OK - odezwała się Julia po kilku minutach.

Allen rzucił jej przelotne spojrzenie, po czym przyjrzał się jej uważniej, kiedy zobaczył, że górnymi zębami przygryza dolną wargę. Zaczął się zastanawiać, co z tej wargi zostanie, kiedy to się skończy.

- Gotowi, żeby zobaczyć, co jest na chipie, który zostawił Vero?

Allen pomyślał, że Julia stara się, aby jej głos brzmiał optymistycznie. Prawda była taka, że wszyscy mieli nadzieję na coś, co nie istniało: na łatwe rozwiązanie ich problemu - na jakiegokolwiek rozwiązanie ich problemu.

Stephen zakrztusił się kawą. Pocięła mu z ust na gęstą brodę, więc złapał stos serwetek i przycisnął



je do ust. Spojrzał na Julię zażwawionym wzrokiem.

- Uznaję to za potwierdzenie - powiedziała, odłączając kable z tyłu laptopa i ustawiając go na fotelu za Allenem, tak żeby wszyscy widzieli ekran. Z wprawą złożyła pseudostolik i położyła go na podłodze przy nogach, po czym obróciła się do laptopa.

Piętnastocalowy ekran był czarny z wyjątkiem palety pięciu kolorowych przycisków w dolnym prawym rogu.

Allen zobaczył, że symbole na przyciskach są takie jak w magnetofonie: trójkąt z ostrym kątem skierowanym w prawo jako PLAY; trójkąt skierowany w lewo jako przewijanie do tyłu; dwie poziome linie jako pauza i kwadrat jako STOP. Nie rozpoznał piątego symbolu

- wyglądał jak kółko z krzyżykiem przy celowniku optycznym karabinu.

Julia przesunęła kursor na rząd przycisków.

Coś uderzyło w furgonetkę.

Brzęk!

Pistolet znalazł się w ręce Julii tak szybko, że Allenowi zdawało się, iż był tam cały czas.

On sam, być może, nie zwróciłby uwagi na ten dźwięk, gdyby Julia nie zareagowała tak gwałtownie. Zanim zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, głowę miał już schowaną między kolanami. Przygotował się na to, że kolejny wystrzał roztrzaska przednią szybę.

W głowie kłębiły mu się myśli, które chciał wykrzyczeć: „Włącz silnik! Gazu!

Jedźmy!"

Ale najpierw dotarły do niego słowa Stephena:

- Hola! Hola! Hola! - Stephen prawie wypadł z fotela, żeby powstrzymać Julię, która rzuciła się do przesuwanego drzwi. - To był zamek w drzwiach, Julio! - powiedział. - Ja tylko zablokowałem drzwi. - Sięgnął ręką do tyłu i dwukrotnie wcisnął blokadę: Brzęk! Brzęk!

Julia przyglądała mu się z niedowierzaniem i Allen nie umiał powiedzieć, czy bardziej zaskoczyła ją jej własna reakcja, czy to, co zrobił Stephen.

- To jest faktycznie głośne - powiedział przepaszajaco Stephen, przechylając głowę na bok.

Julia z powrotem usiadła na fotelu, spokojnie wsuwając broń pod marynarkę.

- W porządku - odezwała się, przymykając oczy. - Jestem trochę spięta.

„Cieszę się, że ona jest po naszej stronie" - pomyślał Allen.

Usta Julii rozciągnęły się w szerokim uśmiechu i nagle podniosła powieki.

- Mówiłam wam, że już się nie mogę doczekać - sięgnęła do komputera i kliknęła

„Play”.

\*

Z drzwi pobielanego wapnem domu wyłonił się czarny mężczyzna.

Miał idealnie okrągłą głowę i był chudy jak patyk, przez co przypominał odwrócony do góry nogami wykrzyknik. Nosił niebieskie džinsy, które były już niemal całkiem białe i zwisały mu luźno z wąskich bioder, oraz wytartą flanelową koszulę, ciasno zapiętą pod szyją.

Końcówkami trzech palców przytrzymywał wysłużone metalowe pudełko z lunchem, podobne do tych, jakie dzieci nosiły do szkoły w latach sześćdziesiątych.

Cokolwiek ozdabiało wieczko pudełka - obrazki z bohaterami telenoweli Rodzina Bradych lub z kreskówki Speed Racer, czy może wizerunek King Konga - już dawno się starło. Mężczyzna spojrzał w niebo i ruszył niewybrukowaną ulicą. Kiedy szedł, jego buty wzbijały obłoczki kurzu. Zerknął przez ramię i przystanął. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, niczym rożek księżycy w bezgwiezdną noc. Uniósł wolną rękę i zawołał:

- Moyo Wanji!

- Co to znaczy? Co on powiedział? - Allen nie odrywał oczu od ekranu.

Julia potrząsnęła głową, a Stephen uciszył go:

- Szszsz.

Wszyscy troje obrócili się na krzesłach, tak że twarzami byli zwróceny do laptopa.

Teraz już wszyscy nachylali się do przodu - nawet Allen, który z ciekawości zapomniał o nonszalanckiej pozie mniej więcej w tym momencie, kiedy mężczyzna na ekranie spojrzał w niebo, oceniając pogodę. Gdyby restauracja McDonald's nagle eksplodowała, było wątpliwe, czy tych troje w niebieskiej furgonetce by to zauważyło - pewnie tylko zwiększyliby głośność na komputerze, wokół którego się skupili.

Po lewej stronie monitora pojawił się inny mężczyzna, ubrany w równie znoszoną odzież i niosący poplamioną papierową torbę. Powiedział coś niezrozumiałego i klepnął

pierwszego mężczyznę w plecy. Szli dalej razem, a kamera śledziła ich ruchy, chwiejąc się i podskakując w rytm przyśpieszonego kroku operatora.

Po prawej stronie obrazu widać było kolumnę cyfr. Pierwsza wyglądała na datę - 5

kwietnia ubiegłego roku. Pod nią był pewnie czas kręcenia filmu - ustawiony na 06:08:21, kiedy akcja się rozpoczynała, a który teraz zmienił się na 06:11:00.

Julia pomyślała, że następna liczba, 00:01:49:15, odnosi się do licznika taśmy, który zgodnie z protokołem Krajowej Komisji ds. Systemu Telewizyjnego podawał najpierw godziny, potem minuty i sekundy, a dalej kadry, które zmieniały się w tempie trzydziestu klatek na sekundę. Tego nie kręcił amator - to zostało sfilmowane i zmontowane przez zawodowca.

Kiedy kamera śledziła obu mężczyzn idących przez niechlujne ulice małej wioski, Stephen wyciągnął się, wskazując na cyfry pod licznikiem.

- Widzicie to? - zapytał.

- To jakieś odliczanie - stwierdziła Julia. - Siedem godzin i cztery minuty do czegoś. -

Musiła stłumić w sobie chęć spojrzenia na zegarek, niemalże zapomniawszy, że to, co się rozgrywa na ekranie, wydarzyło się trzynaście miesięcy temu. Mimo to zegar odmierzający czas do tyłu przyprawiał ją o gęsią skórę.

Mężczyźni na ekranie weszli na plac, gdzie ciężarówka typu wojskowego, pracując na jałowym biegu, wypluwała chmury oleistych spalin z grzechoczącej rury wydechowej.

Ciężarówka była w zgniłym zielonożółtym odcieniu, z wyjątkiem groszkowych plam na drzwiach do szoferki, skąd usunięto emblematy. Inni mężczyźni - wszyscy czarni - zbliżali się do ciężarówki z różnych stron. Po kolei wchodzili na pakę, znikając pod osłaniającym ją brezentem. Kiedy „gwiazdor” filmu - tak Julia zaczęła myśleć o krągłogłowym mężczyźnie -

zniknął w ciemności, obraz mignął i zgasł.

Julia zdała sobie sprawę, że wstrzymywała oddech. Wypuściła powietrze i zrobiła wdech.

Przed kamerą pojawiła się nowa scenka - zbliżenie pękatego mężczyzny z ogromnym brzuszyskiem, w żółtym kasku ochronnym. Wykrzykiwał rozkazy w tak obco brzmiącym języku, że Julię aż rozboleła głowa. Z tyłu dobiegał warkot silników, podniesione głosy i przerywane, rytmiczne staccato budowy. Po chwili kamera najechała na niewielką grupkę mężczyzn, którzy walili siekierami w drzewa, i zrobiła zbliżenie tego, który był pośrodku -

gwiazdora Julii.

- Odliczanie - wyszeptał Stephen.

Zegar wskazywał - 00:13:58. Julii ścisnął się żołądek. Trąbienie klaksonu, dobiegające z malutkich głośniczków laptopa, przyciągnęło jej uwagę z powrotem do filmu. Klakson trąbił przez mniej więcej pięć sekund. W tym czasie gwiazdor rzucił siekierę i, klucząc, ruszył

w stronę kamery. Szedł ze zwieszoną głową, a lewą ręką masował prawy biceps.

Kamera chwiejnie się wycofała i zatrzymała kilkanaście metrów od wojskowej ciężarówki. Mężczyźni ponownie zaczęli się zbliżać do samochodu - wszyscy w widoczny sposób zmęczeni ciężką pracą fizyczną, w brudnych ubraniach, z włosami przyprószonymi wiórami i ostrymi drzazgami, z grymasem na twarzach i sztywnymi stawami, tak że Julii zdawało się, że słyszy, jak trzeszcza. Cienie ludzi w południowym słońcu padały tuż przy ich stopach.

Wszyscy mężczyźni zaglądali pod plandekę, wyłaniali się z woreczkiem lub z pudełkiem i szli do cienia na skraju gęstego lasu. Siadali i wyjmowali ze swoich opakowań nieowinięte niczym grudki ciastowatej substancji, którą z zapalem zaczynali napełniać żołądki. Gwiazdor jadł powoli, znajdując się idealnie w samym centrum obiektywu.

Kamera czasami drgała, ale poza tym nie ruszała się z miejsca.

- Czy ktoś ma jakiś pomysł, gdzie to może być? - spytała Julia, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Za mało krajobrazu było widać - odparł Allen. - Język to pewnie jakiś dialekt afrykański, może odmiana suahili.

- A więc Afryka?

- Tylko zgaduję. Miasteczko było dosyć ubogie, a roślinność wygląda na równikową.

Afryka, Ameryka Południowa, południowo-wschodnia Azja. Naszą najlepszą wskazówką...

Julia przerwała mu, podnosząc rękę.

Odliczanie doszło do - 00:00:55 i głowy na ekranie zaczęły się obracać w kierunku nieba, najwyraźniej słysząc coś, co było jeszcze niewykrywalne dla mikrofonu kamery. Oczy ludzi błędziły bez celu, aż skoncentrowały się na czymś po lewej górnej stronie monitora.

Oprócz komentarzy zaciekawionych robotników słyszać było coraz głośniejsze buczenie silnika samolotu, niczym pomruki zbliżającego się olbrzyma. Ktoś pokazał coś palcem i mężczyźni jeden po drugim powstali.

W tym momencie kamera odwróciła się od nich, rejestrując biały błysk słońca, zanim odnalazła błękit nieba ponad liściastymi wierzchołkami drzew. Czarna kropka szybko urosła i przekształciła się w jednosilnikowy samolot nadlatujący nisko nad lasem. Po chwili samolot zapikował niżej i jego kontury rozmyły się na monitorze. Kamera filmowała dalej, jak samolot rozpylił spod podwozia delikatną mgiełkę.

- Samolot do oprysków - zauważył zdezorientowany Allen, stwierdzając oczywistość.

Samolot przechylił się w prawo, wzniósł się ponad drzewa i zniknął.

Z głośników dolatywały gniewne słowa, kiedy kamera przesuwała się po postaciach mężczyzn, którzy je wypowiadali:

- Wadika! Unakwenda wapi! Salop!

- To po francusku! - odezwał się Stephen. - Słyszałem salop. To po francusku znaczy.

W każdym razie to niezbyt ładne słowo.

- Nimekasirika! Espece de pauvre con!

- Znowu francuski. Con oznacza idiotę.

Kiedy mgiełka ich spowiała, robotnicy zamknęli oczy, zaczęli kaszleć i wygrażać pięściami w kierunku, gdzie zniknął samolot. Strzepując z siebie pył, mówili coś ostrym tonem i pluli na ziemię.

- Zaraz, zaraz - odezwała się Julia, przysuwając palec do klawiatury i zatrzymując obraz.

- Odliczanie jest teraz dwadzieścia dwie sekundy do przodu. - Przesunęła kursorem po ekranie, znalazła przycisk „Rewind” i uruchomiła przewijanie do tyłu. Teraz zdawało się, że robotnicy obsypują się kurzem, który w magiczny sposób unosi się z ich ciał i ulatuje w powietrze. Julia ponownie zatrzymała film. - Pięć sekund do tyłu. - Zaczęła klikać przycisk. -

Cztery, trzy, dwie.

- Mgiełka z samolotu właśnie pojawia się na widoku na górze ekranu - wskazał Allen.

Pomimo przewidywań Bonsaia, że skonwertowany plik będzie gorszej jakości, rozdzielczość była idealna.

- Jeden.

Mgiełka właśnie opadała im na głowy.

- Zero.

Głowa gwiazdora była tylko niewyraźnym cieniem za zasłoną opadającej mgły.

- To jest to - powiedziała Julia. - Odliczanie skończyło się w tym momencie.

- Kiedy to, co było w tej mgle, dotarło do ich płuc - odezwał się Allen.

Martwa cisza wypełniła furgonetkę niczym dym, kiedy cała trójka wpatrywała się w obraz na ekranie. Po paru chwilach Julia kliknęła przycisk, który przywrócił czas realny.

Tę część już widzieli: mężczyzn rzucających w niebo obelgi, otrzepujących się z pyłu, sprawdzających, czy proszek nie osadził się na jedzeniu.

- W których krajach afrykańskich mówi się po francusku? - spytała Julia, zwracając się do Stephena.

Zmieniła pozycję na krześle, wsuwając nogę pod siebie. Wciąż zerknęła na ekran w oczekiwaniu na

coś nowego. Mimo że była w towarzystwie dwóch cywili, przestawiła się już mentalnie na tryb dochodzeniowy i wpadła w rytm wspólnej dedukcji.

- W Zairze - odrzekł Allen. Wyjął z kieszeni na piersi pogniecioną paczkę cameli i wytrząsnął z niej jednego papierosa. Włożył go do ust i odezwał się: - To chyba oczywiste, nie? Ebola? Zair? - wsunął paczkę na miejsce i z tej samej kieszeni wydobył jasnoczerwoną zapalniczkę Bic. Jednak zamiast zapalić papierosa, zaczął toczyć zapalniczkę pomiędzy palcami, po czym spojrzał na Julię, unosząc brwi. - Te dwa słowa to niemalże synonimy.

- To pasuje - zgodził się Stephen.

Julia skinęła głową i z powrotem obróciła się do ekranu. Nie była całkiem pewna, jakie to miało w tym momencie znaczenie, ale Donnelley nauczył ją, że każdy fakt, nieważne jak wydawał się nieistotny, odgrywał jakąś - czasami kluczową - rolę w rozwiązaniu danej tajemnicy.

- OK, Zair - powiedziała cicho i patrzyła, jak kamera przesuwa się z wolna po twarzach narzekających mężczyzn, zatrzymując się przez chwilę na każdej z nich, jakby chciała utrwalić ich tożsamość.

- Nie podoba mi się kierunek, w którym to zmierza.

Julia odgarnęła grzywkę z czoła. Nie odwracając się od ekranu, odezwała się:

- Jeśli naprawdę mamy do czynienia z Ebola, to myślę, że właśnie byliśmy świadkami celowego zarażenia tych ludzi.

- Bardziej niepokoi mnie to, że Ebola przenosi się przez płyny ustrojowe, głównie przez krew - Allen poruszył się przejęty.

Julia wstrzymała odtwarzanie, kiedy kamera zaczęła się oddalać, żeby ponownie zrobić panoramiczne ujęcie całej grupy.

Kiedy Allen mówił, niezapalony papieros w jego ustach kiwał się niczym oskarżycielski palec.

- O ile wiemy, nikt dotąd nie został zarażony szczepem przenoszonym drogą powietrzną. Małpy - tak. Nigdy człowiek. To duża różnica. Jeśli wektor przenoszący chorobę znajdował się w tym pyłe, to ten szczep jest bardziej niebezpieczny niż wszystko, co widzieliśmy do tej pory. I nie ma na jego temat żadnych doniesień.

- Może nikt o tym nie wie - wyszeptał Stephen.

- Popatrzcie na datę - powiedział Allen, wskazując na ekran. - Ten, kto to kontroluje, miał ponad rok, żeby ulepszyć system przenoszenia wirusa. W czasie kręcenia filmu to był

samolot do oprysków, a teraz co? Lekki wiaterek?

Julia przyglądała mu się przez długi czas, pogrążona w myślach. Wreszcie uderzyła w klawisz, który

ponownie uruchomił odtwarzanie filmu.

Na ekranie pojawiła się nowa scena.

Znowu drzwi budynku pobielanego wapnem - dom chudego czarnego mężczyzny.

Data i czas ustawione na piąty poranek po tym, jak samolot do oprysków odwiedził miejsce, gdzie pracował mężczyzna. Jego kolega zbliżył się do drzwi i zapukał. Otworzyła kobieta w prostej czerwonej sukience. Na jej twarzy malowała się troska. Potrząsnęła głową i zamknęła drzwi.

Ciemność.

Wrzask rozległ się przez głośniki, jeszcze zanim z czerni na ekranie wyłoniły się rozpoznawalne przedmioty. Mężczyzna - gwiazdor Julii - wył z bólu, leżąc na wysłużonym łóżku polowym w małym, ciemnym pokoju. Był nagi do pasa i skulony w pozycji płodu trzymał się za żołądek, pocierając pierś. Pot lał się gęstymi strumieniami z każdego centymetra jego obnażonego ciała. Ze strasznym wysiłkiem mężczyzna wystawił głowę za brzeg łóżka i zwymiotował do czarnej dziury zardzewiałego wiadra.

- Boże, miej litość - wyszeptał Stephen.

Kamera ustawiona gdzieś powyżej łóżka idealnie mieściła w kadrze cierpiącego człowieka. Na widoku pojawiła się kobieta, która wcześniej otworzyła drzwi, i zaczęła wycierać głowę i szyję mężczyzny moką szmatką, przemawiając do niego uspokajająco.

Na ekranie mignęły zakłócenia i nagranie dotyczyło już następnego dnia. Cierpiący mężczyzna wciąż leżał na łóżku polowym. Był mokry od potu. Z mokrego kawałka materiału przyciśniętego do spierzchniętych od gorączki ust spijał krople wody. Jedyne, co się zmieniło, to czas na wyświetlaczu. Nastąpiły kolejne zakłócenia, po czym mężczyzna pojawił się ponownie - był teraz pokryty krwawiącymi pęcherzami i rzucał się na łóżku, pryskając struzkami krwi na ściany i zasłony. Jego usta rozciągnęły się w niemym krzyku. Oczy, zupełnie czerwone, szukały na ślepo pomocy.

Julia zasłoniła dłonią usta.

Człowiek w przemoczonym krwią fartuchu, ze stetoskopem zawieszonym na szyi, próbował przytrzymać umierającego mężczyznę. Kobieta w biało-niebieskiej sukience - Julia pomyślała, że to pewnie pielęgniarka - zasłoniła dłonią usta podobnie jak Julia i wycofała się od łóżka, wychodząc z kadru. Nagle wybuchł gejzer czarniawej krwi. Lekarz zatoczył się do tyłu, zasłaniając się ramionami przed tym horrorem.

Ciało zadrgało w konwulsjach, po czym znieruchomiało.

Teraz słyhać było ciche, monotonne śpiewy i żałobne dudnienie pojedynczego bębna.

Zwłoki, owinięte od stóp do głów w białe płótno, leżały jak duch na sięgającym wysokości piersi katafalku. Kobieta, która opiekowała się gwiazdorem Julii, być może jego żona, przytknęła pochodnię do podpałki pod ciałem. W ciągu kilku sekund płomienie całkowicie pochłonęły zwłoki.

- Personel medyczny nie zgłosił przyczyny śmierci - stwierdził Allen, kręcąc głową. -

Służby sanitarne zatrzymałyby ciało.

Kamera przesunęła się po twarzach żałobników. Wielu spośród nich przebywało na budowie, kiedy nadleciał samolot z opryskiem. Gdy dym przyćmił niebo, obraz zgasł.

Kolejny akt rozpoczął się na budowie, ukazując mężczyzn pracujących w upalnym słońcu.

- Tylko nie znowu - jęknęła Julia. Data na wyświetlaczu przeskoczyła o dwa miesiące do przodu.

Jednak samolot do oprysków nie powrócił. Właściwie nie zdarzyło się nic dramatycznego przez te dwie minuty, kiedy kamera nagrywała i spokojnie, po kolei robiła zbliżenia pojedynczych twarzy. Wszyscy byli zajęci pracą i wyglądało na to, że zapomnieli już o śmierci kolegi. Ta scena była niczym epilog mówiący, że życie toczy się dalej. Gdyby reżyserami tego filmu byli Kafka lub Tołstoj, właśnie tak by go zakończyli.

I znowu obraz powoli zgasł. Julia pomyślała, że brakowało tylko słowa *Fin!*

napisanego kursywą.

Na chwilę pojawiły się zakłócenia, a potem zaczęła się kolejna sekwencja filmowa -

tym razem zupełnie innej jakości. Monitor wypełnił przyciemniony, ziarnisty obraz. Zniknęły kolumny cyfr, które wskazywały czas, datę i inne zakodowane informacje. Jeśli pierwszy film nosił wszelkie znamiona profesjonalnego nagrania, które miało stanowić dowód albo analizę, to ten wyglądał na dzieło amatora. Tak jak poprzedni, był kręcony ukrytą kamerą. Zdawało się nawet, że tutaj operator musiał się jeszcze bardziej maskować: przez większość czasu coś, co przypominało kawałek materiału, zasłaniało częściowo obiektyw. Poza tym kamera była ustawiona mniej więcej na wysokości kolan. „Tak jakby operator trzymał ją jak teczkę lub w teczce” - pomyślała Julia. I nic nie było dobrze wykadrowane. Przy oglądaniu najbardziej przeszkadzało nieustanne drżenie obrazu.

- Skąd te drgania? - zapytał Stephen.

- Może taśma w kamerze jest kiepska? - Allen pokusił się o wyjaśnienie.

- To ze strachu - odrzekła Julia. - W ciągu ostatniej dekady FBI zaczęło wyposażać informatorów i tajnych agentów nie tylko w podsłuch, ale i w miniaturowe kamery.

Widujemy sporo takich drgań. Facet się trzęsie ze strachu.

Kamera przesunęła się po zbieraniu zardzewiałych, półkolistych baraków z blachy falistej, stojących na tle szaroniebieskiego nieba. Wyrastały niczym grzbiety morskich potworów z polany, której jedyną roślinność stanowiły kępki suchej, preriowej trawy. Tu i tam kamera zarejestrowała mężczyzn z bronią, stojących lub przechadzających się, nie zwracających szczególnej uwagi na operatora. W oddali widać było wysokie ogrodzenie z siatki drucianej, na szczycie którego połyskiwały podwójne zwoje drutu kolczastego.



Dalej rosła gęsta dżungla. Na wprost przed hangarami rozciągał się długi pas ziemi, równy i oczyszczony z roślinności.

- To lądowisko - odezwał się Allen.

- A więc to baza lotnicza? - zapytała Julia. - Poza tymi uzbrojonymi ludźmi wygląda na opuszczoną.

Stephen w zamyśleniu pogłaskał się po brodzie.

- Czy kartele narkotykowe nie wykorzystują do działania opuszczonych baz lotniczych?

- Tak, i spójrzcie, jak zielono i bujnie wygląda ta dżungla - powiedział Allen. - Raczej jak amazońska lub azjatycka, a nie afrykańska.

- Nie sądzę, by tu chodziło o narkotyki - stwierdziła Julia.

Scena się zmieniła i kamera zaczęła się przesuwać wzdłuż mrocznego korytarza.

Zbliżyła się do drzwi, za którymi był jasno oświetlony, odnowiony korytarz. Po jego obu stronach znajdowały się oświetlone od wewnątrz okna. Kamera zbliżyła się do jednego z nich.

W szybie pojawiło się niewyraźne odbicie, które po chwili się wyostrzyło.

Julia zatrzymała obraz. Zobaczyli odbicie mężczyzny trzymającego pod pachą teczkę.

- Patrzcie - odezwała się Julia, wskazując na czarne kółko na boku teczki, skierowane w stronę szyby. - Założę się, że to otwór na obiektyw kamery.

Mężczyzna nagrywający własne odbicie wyglądał na Latynosa z mocno kręconymi włosami i grubymi rysami twarzy.

- Odpowiada opisowi Vero podanemu przez barmana z lokalu, gdzie zginęli Vero i Goody - powiedziała. Przyglądała się twarzy mężczyzny jeszcze przez chwilę, po czym ponownie uruchomiła odtwarzanie.

Odbicie w szybie znikło, kiedy kamera skoncentrowała się na widoku za szybą - był

tam pokój zastawiony łózkami. Na każdym spoczywali mężczyzna lub kobieta, niektórzy rzucali się w męce, inni leżeli nieruchomo. Różne maszyny monitorowały ich funkcje życiowe. Z większości ramion wystawały wenflony.

To jakiś oddział szpitalny - stwierdził Stephen.

Obraz odsunął się od okna i zamazał. Kiedy z powrotem się wyostrzył, w kadrze pojawił się mężczyzna idący z naprzeciwka. Z początku Julia sądziła, że tamten ma na sobie maskę przedstawiającą czaszkę. Jego oczy wyglądały jak wielkie czarne dziury, a skóra była biała jak kość i zniszczona. Kiedy się zbliżył, zobaczyła, że jednak to nie jest maska.

Oczy mężczyzny były zasłonięte przez okulary przeciwsłoneczne, ale reszta głowy przedstawiała porażający widok: kosmyki białych włosów przyklejały się kępkami do czaszki, a twarz była więcej niż wyniszczona - wyglądała tak, jakby ktoś naciągnął na czaszkę rzadkie płótno. Pozbawione warg usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, ukazując krzywe i wybrakowane uzębienie.

Serce Julii zabiło mocniej i wtedy kamera się wyłączyła.

Po około piętnastu sekundach wpatrywania się w czarny ekran Allen zrobił głośny wydech i powiedział:

- Nie zobaczyłem niczego, co dowodziłoby, że Ebola został stworzony przez człowieka ani że ci faceci to zrobili. Film dowodzi tylko, że istnieje szczep Eboli przenoszony drogą powietrzną.

- I że ktoś celowo zaraża ludzi - stwierdził Stephen.

- Mamy dwa krótkie filmy - odezwała się Julia w zamyśleniu. - Wygląda na to, że jeden przedstawia człowieka w Afryce, który został zarażony Ebolą. Wiem, to tylko domysły.

W drugim nie ma żadnej akcji i został on nakręcony w innym otoczeniu. Trudno znaleźć coś, co w oczywisty sposób łączyłoby oba filmy, ale one muszą być ze sobą jakoś powiązane.

- Jakoś - powtórzył Allen. Odchylił się na siedzeniu pasażera i wygrzebał z kieszeni na piersi pomietą paczkę papierosów. Obejrzał ją, zobaczył, że jest pusta, i rzucił przez ramię na deskę rozdzielczą.

Julia zmarszczyła brwi. Jeśli Vero zamierzał ujawnić obrzydliwą prawdę o pochodzeniu Eboli, dlaczego na chipie nie było dowodów? Czego chciał dowieść?

Wpatrywała się w komputer, ale myślami błądziła gdzie indziej, kiedy nagle na ciemnym ekranie pojawiły się dwa słowa zapisane białymi literami: ERSTE ANGRIFF

- Kto to jest? - zapytał Stephen.

Allen odparł:

- Nie sądzę, żeby to był ktoś. Erste oznacza po niemiecku „pierwszy”. - Potarł twarz. -

Nie jestem pewien, co oznacza angriff. To chyba „bitwa” albo „walka”.

- „Pierwsza walka” - wyszeptał Stephen.

Czekali na więcej.

Wtedy to do niej dotarło. Sekwencje filmowe, które otwierały się samoczynnie, zmyliły ją, tak że zaczęła traktować chip Vero jako DVD, które w naturalny, ciągły sposób odtworzyłyby się aż do końca. Ale to nie było DVD. To był chip komputerowy, zawierający pliki, które trzeba było otworzyć. Filmy były tylko multimedialnymi plikami cyfrowymi, tak jak dokumenty w edytorze tekstu

i arkusze kalkulacyjne. Cokolwiek to było, nie otwierało się samoczynnie.

Julia najechała kursorem na słowa i niewielka strzałka zmieniła się we wskazującą dłoń.

- To jest hipertekst - powiedziała. - Jest połączony z jakimś innym plikiem.

Kliknęła na słowa. Na ekranie natychmiast pojawiła się lista nazwisk i zaczęła się błyskawicznie przewijać. Julia stuknęła w klawisz i lista się zatrzymała.

- Anthony Petucci - odczytała, wskazując na monitor. - Ten aktor?

Stephen nachylił się bliżej, żeby odczytać coś na głos.

- Howard Melton. Czy on nie jest senatorem? Janet Plenum, gubernator Oregonu.

- Lew Darabont - odezwał się Allen. - Uwielbiam jego filmy.

- Czy to nie on nakręcił cztery albo pięć najlepszych filmów wszech czasów? - spytała Julia.

Przesunęła kursor na jedno z nazwisk. Ponownie zmienił się we wskazującą dłoń. -

One też są połączone z plikami. - Kliknęła nazwisko.

Nowe słowa zapełniły ekran:

Richard Kennedy

Nr ubezpieczenia społecznego: 987-65-4320 B. 04/21/55

Zawód: Dyrektor generalny Nanotech Software, SA

Adres zamieszkania: 1910 Whitehorn Drive San Francisco, CA 94120

<następują puste pola - nie scalać>

Wycięcie wyrostka robaczkowego, 11/02/92

Szpital Mount Sinai, Los Angeles Kod kontrolny: 469878884-L

- To jeden z najbogatszych ludzi w Ameryce - powiedział Allen.

- Wycięcie wyrostka robaczkowego? - odezwał się Stephen. - Co to za baza danych?

- Duża - odparła Julia, z powrotem przywołując na ekran listę nazwisk. Przewinęła w dół kilka stron. Kliknęła nazwisko, zamknęła je, potem kolejne, i jeszcze inne.

- Tu jest dziwna mieszanka znanych i zwykłych ludzi - powiedziała po chwili. -

Politycy, sławy, wiodący biznesmeni, mechanicy samochodowi, gospodynie domowe.

Spójrzcie na to.

Hunter, niemowlę płci męskiej

Nr ubezpieczenia społecznego: nie dotyczy ur. 09/15/06

Zawód: nie dotyczy

Adres zamieszkania: 4250 Michigan Avenue, Apt. 312 Chicago IL 60611

<następują puste pola - nie scalać>

PKU, 09/17/06

Szpital Memorial, Chicago

Kod kontrolny: 842074654-M

Stephen pokręcił głową.

- Niemowlę. Nawet nie miało jeszcze imienia, kiedy zbierano te informacje.

- PKU - odezwał się Allen. - Wszystkie niemowlęta przechodzą to badanie.

- Dlaczego on tu jest - wyszeptała Julia - na liście, gdzie są bogaci i sławni, na chipie, z powodu którego giną ludzie?

Wróciła do nazwisk i pozwoliła liście przewinąć się aż do końca. Zabrało to parę minut.

Nie była pewna dlaczego, ale patrząc, jak te nazwiska przelatują i mając świadomość, że są jakoś powiązane ze śmiercią Donnelleya, ze śmiercią Vero i z makabrycznym zabójstwem tego człowieka z filmu, poczuła, że robi jej się niedobrze.

Stephen też chyba był niespokojny. Kręcił się nerwowo.

- ile? - zapytał.

- Nie wiem. Pięć tysięcy? Dziesięć?

- A co za różnica? - odrzekł Allen, klepiąc się po kieszeni na piersi i niczego tam nie znajdując. - Nie wiemy, jakie te nazwiska mają znaczenie. To może być nawet lista osób, do których ktoś chce wysłać życzenia świąteczne. - Otworzył schowek samochodowy i zaczął w nim grzebać. - Co zrobimy? Zadzwonimy do Richarda Kennedy'ego i wszystkich innych, którzy są na liście? „Przepraszam pana, czy wie pan może coś o facecie, który planuje atak na Stany Zjednoczone z użyciem wirusa Ebola?”.

Julia podejrzewała, że niepokój jest rzadkim gościem w psychice Allena Parkera -

łatwiej było okazać gniew, niż zmierzyć się z nowym odczuciem. Czekala, aż coś jeszcze zmaterializuje się na ekranie. Kiedy tak się nie stało, pochyliła się nad laptopem i zaczęła stukać w klawiaturę. Szukała dodatkowych informacji, tak jak Allen szukał papierosa.

Żadne z nich niczego nie znalazło.

Julia z powrotem odchyliła się na fotelu i wyglądała, jakby się w nim zapadła.

- Co teraz? - zapytał Stephen.

Zastanowienie się nad odpowiedzią zajęło jej minutę. Chip nie okazał się tym, czego oczekiwała. Nie zawierał błyskawicznego rozwiązania problemu ani dowodu na to, kto co robił, komu i dlaczego. Nie zawierał nawet dowodów, które mogliby wykorzystać -

przynajmniej dopóki się nie dowiedzą, czego dotyczą. Jak większość materiału dowodowego, tak i ten był denerwująco niejednoznaczny. Trzeba go było najpierw połączyć z innymi elementami układanki, zanim jego wartość wyjdzie na jaw. Miała ochotę zrzucić komputer z krzesła, ale brakowało jej energii. Wreszcie wzięła głęboki oddech i uniosła w górę brwi, spoglądając na Stephena.

- Jesteśmy tu już zbyt długo. Ruszmy się.

- W jakieś konkretne miejsce?

Skrzywiła usta w zastanowieniu.

- Nie - odrzekła i zaśmiała się krótko. - Byle gdzie.

Po jakichś dziesięciu minutach jazdy bez konkretnego celu Allen się odezwał:

- Samoloty.

- Jakie samoloty? - zapytał Stephen. - Chodzi ci o ten samolot do oprysków?

- To z jego powodu zacząłem nad tym myśleć, a także przez lądowisko w tej bazie lotniczej. - Allen jechał z nogami na desce rozdzielczej niczym nastolatek. Opuścił nogi i obrócił się do Julii. - Czy zgadzasz się, że ci ludzie, którzy próbują nas zabić, to zawodowcy?

- Zawodowi zabójcy? Tak, tak mi się wydaje.

- W takim razie zapewne nie są z Atlanty. A już z pewnością nie z Chattanooga. Tam mieliby za mało zleceń.

Julia zrozumiała, do czego Allen zmierza.

- Przylecieli, kiedy dostali zlecenie.

Przytaknął.

- I założę się, że nie lecieli liniami komercyjnymi. Mają specjalną broń. Muszą się przemieszczać szybko, według własnego planu. Nie chcą, żeby ktoś zaczął się nimi za bardzo interesować.

- A więc wycarterowany albo prywatny samolot? - spytała Julia.

- Tak sędzę.

- A lądowanie na lotnisku zostawia ślad w papierach, trop.

- Niekoniecznie. Lotniska nie muszą odnotowywać wszystkich lądowań, chociaż po 11 września większość to robi. Czasami zapis pozostaje tylko wtedy, gdy samolot zapłacił za paliwo lub całonocny postój.

- Będą zapisy - stwierdziła. - Zabójcy Goody'ego nie polecili z powrotem, a Wojownik też zatrzymał się na chwilę. Opłaty za postój są niewyobrażalne.

- Czy możesz się dostać do rejestrów lotniskowych?

- Hej, jestem agentką federalną, mogę zrobić wszystko. - Uśmiechnęła się i sięgnęła w dół, żeby podnieść z podłogi prowizoryczny stolik. Allen ruszył się, żeby jej pomóc, ale ona zdążyła ułożyć go na miejscu pomiędzy przednimi a tylnymi siedzeniami, zanim on zdecydował, za który koniec deski chwycić. Julia ustawiła laptop na stoliku.

- A tak poważnie, to urządzenie jest załadowane programami, które mogą się włamać do większości systemów komputerowych. Używa się ich w terenie do przeszukiwania komputerów, które są wykorzystywane do działalności przestępczej. Nie uwierzylibyście, jakie sztuczki stosują przestępcy, którzy nie chcą, żeby ich dane trafiły do laboratorium technicznego. Drzwi magnetyczne kasujące twarde dyski, kiedy policjanci je wynoszą; zapasowe baterie niszczące dane falą napięcia uwalnianą przez włączniki rtęciowe z czujnikami ruchu lub przełączniki zerowo-prądowe, które rozpoznają, kiedy komputer zostaje odłączony. Jeden z przestępców zajmujących się pornografią dziecięcą podłożył pod swój komputer bombę pułapkę skonstruowaną z C-4 własnej produkcji. Ładunek miał wybuchnąć, gdyby komputer został podniesiony z podkładki samoprzylepnej. Zauważyliśmy go, zanim ktokolwiek ucierpiał, ale w innym przypadku unicestwiłby dowody razem z domem i kilkoma policjantami. W każdym razie najlepiej jest przechwycić dane od razu na miejscu. Mam programy, które przebijają się przez najszczelniejsze systemy zabezpieczeń komputerowych, jakby ich tam wcale nie było. Od czego mam zacząć? - jej ręce zawisły nad klawiaturą.

- Może Lotnictwo Ogólne, Lotnisko Metropolitan w Chattanooga.

Przysunęła się bliżej do komputera i jej oczy zaczęły przeskakiwać tam i z powrotem od klawiatury do ekranu.

- Zobacz, co znajdziesz o lądowaniach, postoju, sprzedaży paliwa i konserwacji.

Minęło kilka minut. Potem Julia obróciła monitor do Allena, tak żeby widział ekran.

Allen nachylił się.

- To są informacje o lotach.

- Z ostatnich dwóch tygodni - odparła zadowolona z siebie Julia. - Ale natrafiłam na ścianę. Nie mam pojęcia, czego szukać.

- Zobaczymy - przysunął się bliżej, mrużąc oczy, i zaczął oglądać wpisy.

- Skąd to wszystko wiesz? - zapytała.

- Zawsze podobało mi się lotnictwo prywatne. Robiłem nawet kurs pilotażu, ale nigdy go nie ukończyłem. Byłem zbyt zajęty. Wciąż jeszcze czasami zatrzymuję się koło lotniska, żeby zjeść lunch, i patrzę, jak samoloty przylatują i odlatują. O, spójrz na to. - Przeczytał na głos: - Czternasta osiemnaście. Cessna citation CJ2. Numer rejestracyjny N471B.

- No?

- Ile prywatnych odrzutowców za cztery miliony dolarów przylatuje do Chattanooga?

- Czas się zgadza. Tuż przed zabójstwami w barze.

- Myślisz, że to samolot, którym przyleciało tamtych dwóch zabójców?

- Myślę, że to samolot Wojownika. Pierwszych dwóch napastników ścigało Goody'ego i Vero od Atlanty. Co do drugiej grupy napastników, tych, którzy szukali cię w domu, mówiłeś, że jeden z nich miał odznakę policyjną. Miejscowy glina. Być może wtedy zaczęli już popadać w desperację i najmować, kogo tylko się dało.

Allen odezwał się:

- Federalna Administracja Lotnicza prowadzi w internecie rejestr samolotów. Możemy sprawdzić, do kogo należy ta cessna, bez stosowania żadnych technicznych sztuczek. - Coś na ekranie przykuło jego uwagę. - Czeka. Piąta pięćdziesiąt jeden, cessna citation.

- Tego ranka? Wyjechał?

- Wczoraj rano. A inna wylądowała. Numer rejestracyjny N476B. Dwie cessny? W

odstępie szesnastu godzin - Julia myślała na głos. - Czy obie mogą należeć do tych samych ludzi?

- Ten sam typ samolotu i niemalże kolejny numer rejestracyjny? Bardzo prawdopodobne - Allen zaczął znowu czytać z ekranu: - Ósma dwadzieścia, cessna citation.

- Jeszcze jedna?

- Ta pierwsza, N471B, wystartowała wczoraj rano, dwie i pół godziny po tym, jak przyleciała ta

druga.

- Co teraz zrobimy? - zapytał Stephen zza kierownicy.

Julia dała sobie chwilę na zastanowienie.

- Myślę, że dowiemy się, na kogo są zarejestrowane cessny. Pewnie na jakąś fikcyjną korporację, należąca do kolejnej fikcyjnej korporacji. Ale jeśli pogrzebiemy wystarczająco głęboko i zaczniemy porównywać nazwiska, do których się dokopujemy, z innymi tropami, na które natkniemy się po drodze, to może do czegoś dojdziemy.

Allen nie wyglądał na zadowolonego.

- Poznaj prawdziwą pracę detektywa - powiedziała Julia. - Dziewięćdziesiąt procent śledztwa to poszukiwanie śladów w papierach, przekopywanie się przez pliki komputerowe, czytanie kwitów, zeznań i rejestrów, tak że można oślepnąć. Zapomnij o Kryminalnych zagadkach, naprawdę bardziej przypomina to... Chwileczkę - Obróciła laptop do siebie.

- Hej.

Zaczęła stukać w klawiaturę, wpatrując się w ekran.

- Co?

Twardy dysk. Nie słyszysz? Pracuje za głośno. Ktoś włamał się do mojego komputera.

- Włamałaś się do komputera lotniska - powiedział Allen. - Może teraz oni próbują się włamać do ciebie.

- To nie działa w ten sposób. Jeśli odkryją naruszenie ich systemu, po prostu cię odcinają. A teraz ktoś grzebie w moich plikach.

- Więc go odetnij.

- Właśnie próbuję. Mają przed tym jakąś ochronę. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

Postronny obserwator, widząc napięte mięśnie zuchwy i zdeterminowany błysk zgrzytających zębów, pomyślałby, że Julia walczy o życie. I miałby rację - przetrwanie podczas ucieczki było jak walka na noże. Jej wynik rzadko zależał od jednego dobrze zadanego ciosu, a częściej od liczby i powagi cięć, jednego po drugim, aż ten, który był

bardziej poraniony, wykrwawiał się na śmierć. Nie mogła sobie pozwolić na to, żeby zadano jej kolejny cios - musiała bronić dostępu do swojego komputera, wszystko jedno czy intruz chciał poznać jego zawartość, czy zniszczyć dane.

- Odłącz telefon - odezwał się Allen.



- Jeśli dam radę go powstrzymać, być może dowiem się, kim jest. - Wprowadziła kolejne polecenia.  
- To nie działa. - Sięgnęła po kabel od telefonu. Nagle ekran stał się czarny i na górze pojawiła się biała linijka tekstu:

> Panna Matheson?

Allen, który nie widział monitora z przedniego siedzenia, zapytał:

- Co jest?

Powiedziała mu, a potem odpisała:

> Kim jesteś?

> Przyjacielem.

- Co się dzieje? - Allen wstał i pochylił się nad monitorem, potrącając stolik i prawie zrzucając wszystko na podłogę.

Julia złapała komputer i telefon, po czym ponownie ustawiła je bezpiecznie na stole.

- Allen! Siadaj, będę ci wszystko mówić. Twierdzi, że jest przyjacielem.

- Przyjacielem? Twoim przyjacielem? Czy to ten, jak on się nazywa, Bonsai?

- Szszsz! To nie jest Bonsai. Bądź cicho i słuchaj.

Odczytując głośno słowa, napisała na komputerze:

> Nie potrzebuję więcej przyjaciół.

> Słyszałem co innego.

Przeczytała na głos odpowiedź i już pisała dalej:

> Skąd o mnie wiesz?

> Czekałem na panią. Wiedziałem, że w końcu wpadnie pani na to, żeby sprawdzić rejestry lotniskowe. Dziwię się tylko, że zajęło to pani tak wiele czasu.

Allen wyszeptał:

- Czy on ciągle grzebie w twoim twardym dysku?

- Nie, tylko rozmawia.

- Odpisała:

> Dlaczego próbowałaś się do mnie włamać?

> Chciałem tylko nawiązać połączenie.

- To nieprawda - stwierdziła. - Szukał czegoś. Pewnie zorientował się, że się bronię, i spróbował innej metody, zamiast po prostu dać się odciąć.

> Panno Matheson. Pani wróg jest moim wrogiem. Czy to nie czyni z nas przyjaciół?

> Nie. A kto jest moim wrogiem?

> Atropos.

- Słyszałam to imię - powiedziała, ale napisała:

> Nie wiem, kto to jest.

> Człowiek, który próbował zabić panią, doktora Parkera i pana Parkera.

- Wojownik - powiedział Allen.

Słowa pojawiały się dalej:

> Ze wszystkich ludzi, którzy utrzymują się z zabijania, on jest najgorszy.

Julia przymknęła oczy. Przypomniało jej się, kim był Atropos. Napisała:

> Atropos to mit.

> Mit, który prawie was zabił.

> Kimkolwiek jest, to tylko płatny zabójca. Czy pracuje u ciebie?

> Atropos jest całkowicie wolnym strzelcem.

> Czy to ty go wynająłeś?

> Nie. Wiecie, kto to zrobił?

- O co mu chodzi, jak to wiemy? - zapytał Allen po tym, jak Julia przeczytała mu ostatnią linijkę.

- Nie wiem.

Odpowiedź pojawiła się na ekranie.

> Litt.

- Karl Litt - powiedziała. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach. - Goody wymienił jego

nazwisko. Użyliśmy go w naszej fałszywej rozmowie, tej, którą nagraliśmy.

Słyszeli to. Być może było to jedyne hasło, które wyłapali. Pewnie myślą, że wiemy więcej niż w rzeczywistości.

Napisała:

> Czy Karl Litt to ty?

> Litt wynajmuje zabójców. Nie wdaje się w rozmowy. Nie ma takich możliwości jak ja, żeby odnaleźć was w taki sposób.

- No, nie wiem - powiedziała Julia. - Wyglądało na to, że w Knoxville znalazł nas bez problemu. Albo ten facet nie wie, jakie Litt ma możliwości, albo chce tylko, żebyśmy pomyśleli, że jest od niego potężniejszy.

> Skąd mam wiedzieć, że ty też nie chcesz nas zabić?

> Panno Matheson, namierzyłem wasz komputer, co oznacza, że znam numer telefonu komórkowego, którego używacie. Mogłbym po prostu się nie odzywać i wysłać ludzi tam, gdzie jesteście.

- Ale ja się zorientowałam, że on się włamał. Nie użyłabym już tego telefonu.

- A gdyby nie próbował grzebać w twoim twardym dysku? - zapytał Stephen. - Czy nie mógłby bez twojej wiedzy poznać numeru, z którego dzwoniłaś?

Skinęła głową.

- Może myślał, że uda mu się i jedno, i drugie: znajdzie numer, po którym będzie mógł

nas namierzyć i dowie się, co jest na moim twardym dysku. Ale go przyłapaliśmy, więc teraz próbuje nas przekonać, jakim to jest porządnym facetem.

> A więc, przyjacielu, jak się nazywasz?

> To nieistotne, o ile tylko możemy sobie nawzajem pomóc.

- Nie ufam ludziom, którzy nie chcą się przedstawić - powiedziała. - Dobrze, w takim razie. - Umieściła palce nad klawiaturą i zaczęła wstukiwać serię poleceń. Kiedy skończyła, oparła się o fotel. - Zobaczymy, co powiesz na to.

- Co zrobiłaś? - zapytał niepewnie Allen.

- Wysłałam mu robaka - odpowiedziała z uśmiechem. - Wgryza się teraz w tamten komputer. I wysyła do nas jego dane.

- Na przykład jakie?

Wzruszyła ramionami.

- Listy, dane z książki adresowej, informacje finansowe - to, co ludzie trzymają w komputerze. Pierwsza rzecz, której szuka, to zapisy dotyczące rejestracji programów. One zazwyczaj zawierają nazwisko i adres właściciela komputera.

Na ekranie widać było okienko pokazujące liczbę danych, które jej robak wydobył z tamtego komputera. Liczba stale rosła. Julia napisała:

> To jak możemy sobie pomóc?

Nic. Dziesięć sekund, dwadzieścia. Potem liczba w okienku przestała rosnać.

- Odciął mnie. - Przebiegła palcami po klawiaturze.

> Jesteś tam?

Nic.

- Nie ma go.

- Nie powinnaś była się do niego włamywać - stwierdził Stephen.

- Dlaczego nie?

- Powiedział, że może nam pomóc.

- Co cię skłania, żeby mu uwierzyć?

- Powiedział przecież, że mógł po prostu wysłać za nami swoich ludzi.

- Nie wiemy, czy tego nie zrobił.

Zresetowała komputer i czekała, aż ponownie się załaduje, żeby uruchomić program wykrywający złośliwe oprogramowanie. Nie chciała, żeby ktoś bez jej wiedzy szperał w jej komputerze.

- Kim jest Atropos? - zapytał Stephen.

Julia potrząsnęła głową.

- Fantazją. Jest ponoć najlepszym zabójcą na świecie. Może zlikwidować każdego i wszędzie. Nigdy nie zawodzi. Nigdy nie dał się złapać.

- Nas nie dostał - powiedział wyzywająco Stephen.

- Na razie - odparła. - Większość zamachów nie odbywa się tak jak w filmach. Rzadko zdarzają się bezproblemowe, ciche zabójstwa. Czasami, żeby zlikwidować cel, trzeba aż czterech czy pięciu prób rozciągniętych na dni czy wręcz tygodnie. Oczywiście najlepiej jest zabić w pierwszym podejściu.

Później obiekt zaczyna się mieć na baczności, może się otoczyć wzmocnioną ochroną. Robi się trudniej. Ale z drugiej strony, z każdą próbą zamachowiec uczy się więcej o swoim celu. Poznaje jego nawyki i słabości. Jeśli się po prostu nie podda, uważa się, że w końcu dopnie swego.

- Dlaczego powiedziałaś, że on jest mitem?

- Może lepszym słowem jest „legenda”. Każda kolejna historia o nim jest bardziej nieprawdopodobna niż poprzednie. Zabijał dyktatorów ochraniających przez całe armie.

Przypisywano mu zabicie kogoś w Azji, a godzinę później w Ameryce. Wieść niesie, że pochodzi z długiej linii zabójców. Już w jedenastym wieku pewien Atropos pomagał

Fryderykowi Barbarossie przejąć kontrolę nad Świętym Cesarstwem Rzymskim. Sześćset lat później caryca rosyjska Elżbieta Pietrowna została znaleziona martwa w swojej komnacie sypialnej i pomimo oficjalnego wyjaśnienia, że zapadła na nagłą chorobę, niektórzy historycy twierdzą, że została zamordowana przez człowieka imieniem Atropos. Podczas drugiej wojny światowej wśród ofiar Atroposa byli szpiedzy alianccy, politykierzy i wpływowi przemysłowcy. Pamiętam tylko niektóre z wielu przykładów. Poza imieniem wszyscy kolejni zabójcy mieli jedną wspólną cechę: zabijali za pomocą najeżonej kolcami rękawicy.

- No nie - odezwał się Stephen. - Przyprawiasz mnie o gęsią skórę.

- Chyba właśnie o to chodzi. To straszycło na historyków i typów z CIA.

Julia odłączyła telefon od laptopa i obracała go w ręce w trakcie przemowy.

- On jest w pewnym sensie wielką sławą - ciągnęła dalej. - W Internecie można znaleźć fankluby tego faceta. Są tacy, którzy twierdzą, że od urodzenia był wprowadzany w arkana rodzinnego rzemiosła. W wieku sześciu lat nauczył się otwierać zamki wytrychem.

Jako ośmiolatek dowiedział się, że przerwanie rdzenia kręgowego u podstawy szyi umożliwia spokojne oddanie ostatniego strzału. To właśnie lata praktyki sprawiają, że jest taki dobry.

Niektórzy uważają, że jego dziedzictwo też ma wpływ na tę niebywałą biegłość, że każde następne pokolenie wydaje lepszego zabójcę niż poprzednie - nie ze względu na trening, ale ponieważ mają to we krwi.

- Daj spokój - powiedział Allen, rzucając niepewny uśmiech.

- Pytałeś - odparła.

- Może coś w tym jest - odezwał się Stephen. - W końcu, Julio, widziałaś przecież, jak powrócił z martwych.

Zaschło jej w ustach. Przecież naprawdę widziała, jak został zabity, po czym pojawił

się na drugi dzień gotów do walki. To było przerażające, ale czy nie uwiarygodniało tych wszystkich

historii o nim? Według niej, tak.

Przyciemniane okno przy niej miało zawiasy na górze. Uchyliła dół na tyle szeroko, na ile się dało, czyli na jakieś dziesięć centymetrów. Już miała wyrzucić telefon przez powstały otwór, kiedy zadzwonił.

Popatrzyła na Allena, który zmarszczył brwi.

- Numer prywatny - powiedziała i odebrała.

- Touché, panno Matheson.

Ten głos przywodził jej na myśl listy od ciotecznej babki. Pismo było wiotkie i chybotliwe, jakby pisano na mieszalniku do farby.

- Pomyślałam, że to się panu spodoba - powiedziała.

- Jest pani bardzo zdolną kobietą. Jak już mówiłem, wierzę, że możemy sobie pomóc.

- Skoro nie wiem, kim pan jest, nie chcę pańskiej pomocy, a pan z pewnością nie uzyska mojej.

Cisza.

- W takim razie - odezwał się - muszę pani powiedzieć, że mamy do czynienia ze sprawami związanymi z bezpieczeństwem państwa. Muszę uzyskać zapewnienie, że cokolwiek wam powiem, zostanie to zachowane w ścisłej tajemnicy. Dotyczy to zarówno pani, jak i Allena i Stephena Parkerów. Nagrywam tę rozmowę.

- Pan chyba żartuje?

- Jestem zupełnie poważny. Przekazanie tego, o czym mówimy komukolwiek -

mediom, pani matce - skończy się aresztowaniem i więzieniem. Czy to jest jasne?

Żołądek się jej ścisnął. Czy wymienił jej matkę tylko po to, żeby podkreślić, że zakaz dotyczył wszystkich bez wyjątku, czy chciał przez to powiedzieć coś więcej? Czy wiedział, że jej matka jest sama i chora? Czy jej groził?

- Jesteśmy ścigani przez zabójców, a pan mi mówi, że mnie przymknie za gadanie?

- Nie mogę powiedzieć więcej, dopóki nie usłyszę, że rozumiecie poufny charakter naszej rozmowy i konsekwencje naruszenia tajemnicy.

Podejrzewała, że jej rozmówca jest bardziej zainteresowany zyskaniem wiarygodności w jej oczach niż zamknięciem jej ust.

- Rozumiem i zgadzam się.

- Proszę podać imię i nazwisko.

Podawała.

- A teraz proszę pozwolić mi pomówić z doktorem Parkerem i z jego bratem.

Zawahała się. Czyżby tamten próbował ustalić, czy są razem? Czy był jakiś powód, żeby utrzymywać to w tajemnicy? Nic nie przychodziło jej do głowy. Wręczyła telefon Allenowi.

Ten przez jakiś czas słuchał, a potem powiedział:

- Allen Douglas Parker. - Znowu zaczął słuchać. - Zgadza się. - Oddał telefon Stephenowi, który też przeszedł przez całą procedurę, po czym przez ramię podał telefon Julii.

- Dobrze, a teraz...

- Nazywam się Kendrick Reynolds.

- Kendrick Reynolds?

Oczy Allena zrobiły się wielkie. Bezgłośnie powtórzył imię.

- Wie pani, kim jestem?

- Oczywiście. Byłem sekretarzem stanu. Byłem dyrektorem CIA. Doradcą ilu? -  
ośmiu? - prezydentów.

- Dziesięciu - poprawił ją.

- Miliarderem - dodał Allen.

- Zakładam - powiedział człowiek podający się za Kendricka Reynoldsa - że będzie pani w stanie potwierdzić moją tożsamość dzięki plikom komputerowym, które pani ukradła.

- Powiedział pan, że może nam pomóc.

- Mogę was ochronić.

- Tak jak chronił pan Goodwina Donnelleya i Despesorio Vero?

- O to właśnie mi chodzi. Oni byli zdani na siebie, nie mieli mojej ochrony. Nie musicie dzielić ich losu.

- A jak my możemy panu pomóc?

- Mam podstawy sądzić, że jesteście w posiadaniu czegoś, co miał mi dostarczyć Despesorio Vero.

- Panu? Przyszedł do CDC. Słyszałam nagrania jego rozmów. Nigdy nie wspomniał o panu.

- Tylko ja mogę powstrzymać Karla Litta.

- Przed czym?

- Szczerze mówiąc, nie wiem - wydawał się teraz nawet bardziej zmęczony niż przedtem.

- Ale biorąc pod uwagę to, w czym Karl się specjalizuje, mam kilka pomysłów.

- Na przykład?

- Atak biologiczny na Stany Zjednoczone.

- Kim jest dla pana Karl Litt?

- Złą inwestycją.

- Robi pan z nim interesy?

- Kiedyś pracował dla rządu. Teraz już nie.

Allen dotknął jej ramienia. Wyszeptał:

- Czy oni mogą namierzać rozmowę?

Skinęła głową.

- Proszę podać mi numer, pod którym mogę pana znaleźć.

- Panno Matheson, możemy to skończyć teraz. Życie tysięcy...

Proszę podać numer albo nie będziemy już więcej rozmawiać. Zaczekała. Po dłuższej chwili wyrecytował numer i kod zabezpieczający. Julia zamknęła klapkę telefonu i wyrzuciła go przez okno.

\*

Kendrick Reynolds odłożył słuchawkę i spojrzał na swojego asystenta. Kapitan Landon przyglądał mu się uważnie, niepewny, w jakim nastroju jest jego przełożony.

- Ciekawe - Kendrick powiedział tylko tyle. Wciągnął powietrze przez ustnik fajki z głową Boga, zorientował się, że fajka zgasła, i wyjął ją z ust.

Może to nawet lepiej, że agentka Matheson i Parkerowie dokładnie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Nie wyrobił sobie jeszcze opinii na temat Stephena Parkera, ale doniesienia o Allenie Parkerze wskazywały, że jest on kimś w rodzaju Einsteina medycyny, a Julia właśnie dobitnie udowodniła swoją inteligencję. Tacy ludzie nie uwierzyliby w



„człowieka za kotarą" - chcieli poznać nazwiska, twarze i życiorysy.

„Teraz mają moje" - pomyślał.

Ta myśl z jednej strony wprawiała go w dobry nastrój, z drugiej zaś budziła w nim obawę. Jeśli odsłonięcie się przed tymi ludźmi, którzy mieli dowody mogące nie tylko zniszczyć jego przyszłość, ale i zrujnować przeszłość, pomogłoby odnaleźć Litta i pogrzebać wszystko to, co obciążałoby jego samego, być może czekała go mistrzowska rozgrywka. Cóż za sposób na zakończenie kariery. Z roztargnieniem powiódł palcem po twarzy Boga.

Oczywiście sprawę Matheson i Parkerów też trzeba będzie rozwiązać. Ale na razie najbardziej zależało mu na zdobyciu tego, co pozostawił Vero i co Litt próbował odzyskać.

Coś takiego bez wątpienia istniało. Ta kobieta właściwie przyznała się, że to ma.

Jego oczy ponownie skupiły się na kapitanie.

- Coś jeszcze? - zapytał.

Kapitan Landon sprawdził monitor. Nacisnął przycisk i powiedział coś do mikrofonu przy słuchawkach, które miał na głowie.

Kendrick cofnął wózek, zrobił zwrot i przysunął się do fotela z regulowanym oparciem.

Wyciągnął rękę i chwycił drewnianą laskę. Postawił dwa niepewne kroki w kierunku wyjścia. Trzeci był już pewniejszy.

- Sir? - zawołał za nim kapitan.

Kendrick nie odwrócił głowy ani się nie zatrzymał; dalej powłóczył nogami, ale całkiem szybko.

- Telefon komórkowy przestał się przemieszczać. Nasi przejmą go za dwadzieścia minut.

Kendrick machnął wolną ręką.

- A! Pozbyła się go. Możemy tylko mieć nadzieję, że zadzwoni.

Siedemdziesiąt sekund później dotarł do drzwi i przekroczył próg.

\*

- Ufacie mu? - zapytał Stephen wciąż siedzący za kierownicą furgonetki. Jechali ulicami Atlanty, czerpiąc pewne pocieszenie z tego, że byli ruchomym celem.

- Ani trochę - odrzekł Allen.

- Nie wiem - odpowiedziała Julia.

- Słuchajcie - warknął Allen. - Przecież on chce utrzymać dowody w sekrecie i twierdzi, że Vero miał je dostarczyć jemu. To znaczy, że jest w to zamieszany.

- Oferuje pomoc - przypomniał mu Stephen.

- A co miał powiedzieć? „Chcę was zabić, żeby zdobyć te dowody i dlatego, że za dużo wiecie. Spotkajmy się”?

- On może być naszą najlepszą szansą na wydostanie się cało z tego bagna.

Julia widziała, że Stephen sam nie był o tym całkowicie przekonany, ale chciał rozważyć wszystkie możliwości.

- Raczej żeby dać się załatwić - stwierdził Allen. - Z tego, co wiemy, to właśnie Kendrick Reynolds może stać za całą tą sprawą. To miałyby sens: on ma pieniądze i wpływy, które pozwoliłyby mu zrobić wszystko to, czego byliśmy świadkami, i znaleźć nas. Nasłać gliniarzy, żeby nas zlikwidowali. Julio, sama mówiłaś, że twoim zdaniem władze muszą być w to zamieszane, a ten facet to władza w czystej postaci. Wynajęcie „najlepszego zabójcy świata”. Pomyślcie!

Julia zaczęła, aż słowa Allena zagłuszy chropawy warkot silnika. W głębokim zamyśleniu przyglądała się miastu, jego eklektycznej populacji i architekturze, cichemu zderzeniu nowego ze starym, piękna z brzydotą. Prawie nie dostrzegała słońca, które oświetlało wnętrze furgonetki pod różnym kątem za każdym razem, kiedy Stephen wykonywał skręt; rosnącej temperatury i związanej z nią duchoty i senności; była ledwie świadoma nasilającego się poczucia, że jest tylko statystką w napisanej przez kogoś tragedii, która nieuchronnie zmierza do punktu kulminacyjnego. Wszystko to mogło z łatwością przerodzić się w atmosferę beznadziejności.

I dlatego Julia przyjęła wyzwanie tego nieznajomego, który mógł się okazać albo przekleństwem, albo błogosławieństwem. Jeśli Kendrick Reynolds był tym, kim twierdził, że był, czyli przyjacielem, to nic nie traciła, czekając trochę dłużej, dowiadując się nieco więcej.

Jeśli zaś był inną twarzą potwora, który ich prześladował, miała zamiar dowiedzieć się tego przed ich następnym spotkaniem. Jego propozycja pomocy mogła być prawdziwą oazą lub tylko fatamorganą. Dopóki się nie upewni, nie przestanie szukać wody.

W końcu odezwała się:

- Być może on będzie w stanie nam pomóc, ale chce, żebyśmy i my pomogli jemu.

Chciał, żebyśmy przekazali mu dane z chipa pamięci. On pewnie prędzej się zorientuje, o co w tym chodzi. Prawdopodobnie podzielenie się z nim tą wiedzą da mu oręż do walki z naszymi wrogami. Ale z drugiej strony, jeśli zobaczy te dowody, to może nie będziemy mu już potrzebni i nam nie pomoże. Stracimy wtedy naszą kartę przetargową. Myślę, że musimy się dowiedzieć więcej, zanim podejmiemy tę decyzję.

- A więc co? - zapytał Stephen. - Dalej prowadzimy śledztwo?

- Tak, jeśli mogę wtrącić swoje trzy grosze - oparła. Wzięła drugi telefon i zaczęła przygotowywać go do użycia.

Allen stukał o deskę rozdzielczą paczką cameli. Popatrzył na nią:

- I co teraz?

Julia włączyła laptop.

- Atropos wciąż nas szuka. Rejestry lotniska wskazują, że jego samolot nadal jest w Chattanooga, prawda?

Allen skinął głową.

Jedźmy więc do Chattanooga.

\*

Allen po cichu przesmyknął się przez drzwi pomiędzy hangarami i zaczął się zbliżać do asfaltu. Gęste cienie wypełniały stworzony ludzką ręką kanion, który teraz trawersował, ale pomarańczowy blask zmierzchu wciąż oświetlał jego drugi koniec niczym dogasający żar.

Palce lewej ręki Allena przeskoczyły lekko po wykonanej z blachy falistej ścianie hangaru, który właśnie opuścił; pod lewym ramieniem trzymał paczkę ukrytą pod beżową wiatrówką.

Przeszedł na drugą stronę wąskiej alejki i przystanął, przyciskając plecy do drugiego budynku, pół metra od jego rogu. Podrapał się nerwowo po brodzie i odrzucił z ramienia przyprószone siwizną, związane w kucyk włosy. Wziął trzy szybkie oddechy, po czym przysunął się do rogu i wyjrzał.

Za hangarami ciągnęły się trzy rzędy zaparkowanych samolotów. W większości były to niewielkie maszyny mogące pomieścić dwie do czterech osób, zakotwiczone dla ochrony przed silnym wiatrem. Tu i tam lśniły prywatne odrzutowce, wynosząc się ponad kadłuby swoich napędzanych śmigłami pobratymców. A za nimi, w sporej odległości od całej reszty, stała maszyna, dla której tu przyszedł - biała cessna citation CJ2, numer rejestracyjny N476B.

Allen już miał wypuścić się na otwartą przestrzeń, ale spojrzał jeszcze w przeciwną stronę - w kierunku, gdzie stała większość budynków, terminal i wieża kontrolna - i zobaczył

białą półciężarówkę pędzącą drogą do kołowania. Na dachu szoferki migwały złociste błyski.

Allen usunął się z powrotem w cień.

„To nie jest dobry pomysł” - przyszło mu do głowy, kiedy półciężarówka przemknęła wzdłuż alejki.

Problem polegał na tym, że był to jedyny pomysł, który nie polegał na podwinięciu pod siebie ogona i przywarowaniu gdzieś niczym przestraszone psy. Znowu się podrapał po przyklejonej brodzie. Klej do charakteryzacji, którego Julia użyła, żeby tę brodę przymocować, zaczął teraz wysychać, co

powodowało swędzenie.

Allen ponownie wystawił głowę za róg i zobaczył, jak ciężarówka zawraca przed zaparkowanymi samolotami. Kilka sekund później jeszcze raz przemknęła koło niego, po czym skierowała się w stronę terminalu i bardziej ruchliwych części lotniska.

Przekonała go ekscytacja Julii. Mimo że nie był najlepszego zdania o tym planie, to jeszcze bardziej nie chciał rozczarować Julii. Ona była taka... cholernie słodka.

Uśmiechnął się gorzko. Ile to już razy jego libido beztróska straciło go ze skały złych pomysłów? Zbyt wiele, żeby się dało policzyć. A teraz to dziwactwo.

Wyobraził sobie uśmiech Julii - słabnący na widok niepokoju malującego się na jego twarzy - kiedy im wszystko tłumaczyła, pokazując różne rzeczy wydobyte z torby podręcznej i rysując palcem w powietrzu niewidzialne wykresy.

- Myślę, że ludzie, którzy nas ścigają, uwielbiają mieć wszystko pod kontrolą -

tłumaczyła Julia, kiedy furgonetka jechała w stronę ich pierwszego przystanku: S&L

Zaopatrzenie Organów Ścigania SA. - Allen, oni wiedzieli o tobie wszystko, jeszcze zanim ostygło ciało Vero. Znali adres twój i Stephena. Dowiedzieli się, kto transportował Goody'ego z baru do szpitala, kto ci pomagał na pogotowiu, i wszystkich zabili.

Na chwilę zacisnęła gorzko usta. „Nie w gniewie” - pomyślał Allen. Niezupełnie.

Podejrzewał, że to głównie smutek wywołał ten grymas. Julia nie znała załogi karetki ani zamordowanych pielęgniarek, ale ich bezsensowna śmierć ją przygnębiła.

- Chodzi o to - ciągnęła - że nie wydaje mi się, by zdołali znieść pojawienie się w grze nowego, nieznanego gracza.

- Gracza? Jakiego nowego gracza?

Uniosła niewinnie głowę.

- Ciebie.

- Mnie?

- Jesteś wyższy niż przeciętny biały, ale nie za bardzo. Jeśli dostatecznie zmienimy twój wygląd, będą myśleć, że jesteś kimś, kto zna ich, ale oni nie znają ciebie.

- A jak dowiedzą się o tym „nowym graczu”? - zapytał protekcyjnie.

- Spróbuje się włamać do ich odrzutowca.

- Do odrzutowca Atroposa?

Przytaknęła.

Allen skrzyżował najpierw nogi, a potem ramiona.

- Po co się włamywać?

- Są dwa powody. Jeśli nikogo tam nie będzie, poszukasz czegoś, co pomoże nam zidentyfikować jego zleceniodawców.

- Co masz na myśli, mówiąc „jeśli nikogo tam nie będzie”? Jeśli miałbym to zrobić, to nie może tam być nikogo.

- Jeśli Atropos lub ktoś, kto dla niego pracuje - być może pilot - zobaczą cię, wtedy zostawisz to.

Pochyliła się, pogrzebała w torbie podręcznej i wyjęła rękawicę.

- Ale nie możesz jej tak po prostu zostawić - ciągnęła. - Musisz udawać, że zgubiłeś ją przypadkowo, upuściłeś podczas ucieczki albo coś w tym stylu.

Allen potrząsnął głową.

- Po co w ogóle im to dawać? Z ciebie jest naprawdę nieznośna baba.

Julia złożyła rękawicę na kolanach i ponownie zaczęła szperać w torbie. Kiedy się wyprostowała z pustymi rękoma, Allen założył, że coś zapodziała. Wtedy zauważył czarny przedmiot leżący na jej dłoni. Był wielkości dziesięciocentówki, ale kilkakrotnie grubszy.

Allen nachylił się bliżej.

- Satelitarne urządzenie śledzące - oznajmiła. - Goody miał to przyczepić Vero, żebyśmy go nie zgubili. Mam sprzęt, który wytropi to maleństwo nawet w piekle. To latarnia bogów - nie da się już bardziej zbliżyć do wszechwiedzy.

Sprawdziła urządzenie i paznokciem obróciła niemal niewidoczny przełącznik w obudowie. Następnie podniosła rękawicę - czarną, umięśnioną i ohydną - i ostrożnie wsunęła w nią dłoń z urządzeniem śledczym na koniuszku palca.

- Włożę naszego „tropiciela” do jednego z palców. Jeśli dobrze zgadujemy, Atropos będzie chciał się dowiedzieć, kto obnosi się z jego specjalną bronią i kto chciał się włamać do jego samolotu. - Wyjęła rękę i kilka razy potrząsnęła rękawicą, żeby się upewnić, że urządzenie nie wypadnie. - Rękawica będzie jego jedynym tropem.

Allen skinął głową.

- Będzie chciał zbadać pozostawione na niej odciski palców.

- Na to właśnie liczę, a wtedy nie powinien za szybko znaleźć „tropiciela”. Będzie chciał zachować odciski, które mogą być w środku. Kendrick powiedział, że Atropos jest wolnym strzelcem - jedzie tam, gdzie są praca i pieniądze. Myślę, że zwróci się do swojego obecnego pracodawcy, żeby mu pomógł się dowiedzieć, kim jest ten nowy. I założę się, że Litt ma środki, żeby zdjąć odciski palców i przeprowadzić ich analizę. Zanim odkryją urządzenie śledzące, mam nadzieję, że ono będzie już na samym środku ich podwórka.

- A więc Atropos je do nich zabierze, a my zorientujemy się, gdzie oni są - odezwał

się Stephen z fotela kierowcy. Jego głęboki głos był beznamiętny i rzeczowy.

- Sekundę - powiedział Allen. - Dlaczego nie możemy tego po prostu przyczepić do ich samolotu? Czy to nie byłoby bezpieczniejsze?

- Nie mamy pewności, czy cessna poleciałaby aż do ich bazy. A co, jeśli wyląduje na jakimś dużym lotnisku i tam znajdzie inny środek transportu do celu?

- A tak, nawet jeśli nie użyją samolotu - odezwał się Stephen - jeśli wyślą to kurierem albo w jakiś inny sposób, to i tak dowiemy się, gdzie są.

Wbrew sobie Allen poczuł, że się ożywia i że poprawia mu się nastrój.

- Chcecie się założyć, że to dotrze w końcu na adres wytwornej rezydencji Kendricka Reynoldsa? - zapytał. - Albo do jednej z agencji, które kontroluje?

Stephen skrzył kierownicę, ustawiając auto pod czymś, co przypominało ścianę kanionu. Allen obrócił się i zobaczył przez przednią szybę wielką witrynę sklepu z zaopatrzeniem dla policjantów.

- Najpierw, Allen, upewnimy się, że jesteś dobrze chroniony - powiedziała z tyłu Julia.

- Potem nadamy ci wygląd kogoś, kogo Atropos nie zna.

Teraz Allen, przebrany za „nowego gracza” Julii, próbował nie myśleć o tym, że jest zdany tylko na siebie. Julia i Stephen czekali w hangarze, usadowieni wygodnie w Learjecie, którego wybrali jako bazę wypadową tej „operacji”, jak nazywała ją Julia.

Allen zebrał całą odwagę i przysunął się do rogu hangaru. Zerknął najpierw w lewo na zaparkowane samoloty, a potem w prawo w stronę odległego terminalu. Było pusto.

Wyszedł z mrocznej alejki w światło gasnącego słońca i skierował się w stronę cessny Atroposa. Szybkim krokiem przeszedł przed frontem kolejnego z hangarów, mijając jego ogromne zamknięte drzwi. Przy ostatnim hangarze, przed długim pasem asfaltu, dobiegły go dźwięki muzyki i zobaczył, że rozsuwane drzwi są uchylone na jakieś półtora metra. Kiedy się zbliżył, wyraźniej usłyszał przepełniony smutkiem głos Freddiego Mercury'ego: Mama, just killed a man Put a gun against his head Pulled my trigger, now he's dead...

Za drzwiami rozległ się głośny brzęk, po którym nastąpił potok niecenzuralnych wyrazów. Allen

przemknął obok szpary w drzwiach, nie zaglądając do środka. Z rogu hangaru wystawał znak: uwaga - przejazd dla samolotów. Allen przeszedł pod nim, ukradkiem rzucając okiem w lewo na budynek stojący około pięćdziesięciu metrów od końca hangaru. Budynek wyglądał na opuszczony, a przy jednej z jego ścian zauważył duże składowisko drewnianych skrzynek, beczek na ropę i opon.

Przez jakieś sześćdziesiąt sekund czuł się zupełnie odsłonięty - po prawej stronie miał

pusty asfalt ciągnący się do pasa startowego; po lewej były tylko resztki nawierzchni, a dalej pole suchych chwastów rozpościerające się na przestrzeni około stu metrów do ogrodzenia.

Za sobą miał hangary, a daleko za nimi był terminal. Powstrzymał chęć, żeby obejrzeć się przez ramię. Zamiast tego zaczął identyfikować samoloty, do których się zbliżał: beechcraft bonanza, piper cherokee, gulfstream IV - nieźle. Potem znalazł się pośród samolotów i poczuł, że napięcie związane z przebywaniem na zupełnie otwartej przestrzeni niknie wraz z resztkami słonecznego blasku.

Z każdym samolotem, który mijał, cessna wydawała się coraz większa. Stała w odległości co najmniej pięćdziesięciu kroków od ostatniego samolotu. Co gorsza, była ustawiona przodem w stronę terminalu, w jego stronę. Osoba siedząca w kokpicie musiałaby być ślepa, żeby nie zauważyć, jak Allen się zbliża. Ale musiał dotrzeć aż do niej, żeby plan Julii zadziałał. Idąc tutaj, miał udawać faceta znikowanego na punkcie lotnictwa, ze słabością do ekskluzywnych odrzutowców. Potem miał zacząć robić groźne wrażenie, co według Julii powinno było wywołać reakcję ich prześladowców.

Zbliżył się do ostatniego samolotu przed cessną i ustawił tak, że maszyna była pomiędzy nim a jego celem. Był to piper saratoga, model, który zabrał Johna F. Kennedy'ego juniora, jego żonę i szwagierkę na dno Atlantyku. Allen udawał, że ogląda śmigło, ale naprawdę przyglądał się cessnie. Okna kokpitu były zbyt wysoko, a wewnątrz było zbyt ciemne, żeby mógł poznać, czy ktoś mu się stamtąd przypatruje. Nagle we wszystkich sześciu owalnych okienkach widocznych od jego strony dostrzegł jakiś ruch, mignięcie, jakby ktoś -

przechodząc - wszystkie je zasłonił. Po chwili światło znowu mignęło w okienkach. Wtedy zrozumiał, że coś wewnątrz rzuca pulsujący blask - telewizor, ekran komputera lub urządzenie alarmowe.

Słońce przemieściło się już za horyzont i na niebie zgasł blask jego ostatnich promieni.

Teraz swój krótki występ rozpoczynał zmierzch, a noc szykowała się do wejścia na scenę zaraz po nim. Odrzutowiec wyglądał w tym świetle jeszcze bardziej złowieszco; przypominał żyjącą istotę, która zabija, aby przeżyć.

Bezwiednie trzymając rękę na kołpaku śmigła, Allen przedostał się na drugą stronę piper'a, niezbyt przekonująco udał, że ogląda śmigło, po czym zostawił piper'a i pomaszerował

w stronę cessny. Starał się wyglądać zwyczajnie - po prostu jak pilot podziwiający piękną latającą maszynę lub jak ochroniarz lotniska wykonujący swoje obowiązki. Będzie musiał się zdecydować, kim jest, jeśli ktoś go zaczepi, zanim zacznie majstrować przy drzwiach do odrzutowca, bo potem już ma zacząć robić groźne wrażenie, czyli stać się nowym graczem.

Wyjął spod wiatrówki rękawicę i przycisnął ją mocno do boku uda. Skulił się, słysząc chrzęst żwiru pod stopami.

Teraz, kiedy był już blisko, próbował robić wrażenie kogoś „podstępnego, o złych zamiarach, i kto dużo wie” - znowu słowa Julii. Ugiął więc nieco kolana i rozejrzał się szybko wokół, uznając, że to podpada pod kategorię „podstępności”. Miał nadzieję, że wystarczy, jak tylko załomocze do drzwi i ucieknie; z tym nie było problemu - który dziesięciolatek tego nie robił? Jeśli to nie poruszy tego, kto był w środku, nie wiedział, co wtedy zrobi. „O Boże, niech to będzie pilot, a nie Atropos” - myślał gorączkowo.

Załomotanie do drzwi i ucieczka to jedno, a przebranie się za jelenia i tupanie koło wodopoju w sezonie łowieckim to zupełnie co innego. Z powrotem schował rękawicę pod wiatrówkę. Gdyby nie trzymał nerwów na wodzy, wyciągałby ją i chował co dziesięć sekund.

Ominął ostro zakończony dziób odrzutowca i stanął przed jego zamkniętymi drzwiami.

Szarpnął za klamkę i drzwi się otworzyły - górna część się uniosła, a dolna z wbudowanymi schodkami się opuściła. Owiał go podmuch klimatyzacji z domieszką słodkiego zapachu - płynu po goleniu lub przejrzałych owoców. Wnętrze było ciemne poza pulsującym szaroniebieskim światłem, które widział przez okna. Wsunął głowę do środka.

Naprzeciw drzwi była część kuchenna ze zlewem i szafkami. Kokpit był po lewej.

Nachylając się dalej do środka, zobaczył, że kabina była urządzona jak kawalerka.

Postawił krok. Pulsowanie pochodziło z dużego telewizora plazmowego na przeciwległej ścianie. Na ekranie kanały migały jeden po drugim, zmieniając się, aż pojawi się właściwy, ale nikt nie siedział przed telewizorem. Samolot był za mały, aby można się było w nim ukryć. Allen wiedział, że niektórzy piloci, wychodząc z samolotu, pozostawiali włączone światło, radio lub inne urządzenie elektryczne, by wyglądało, że ktoś jest w środku.

Plazma zmieniająca kanały była czymś nowym, ale sądził, że działała skutecznie. Tylko dlaczego ktoś wyczulony na sprawy bezpieczeństwa zostawił otwarte drzwi? Jedyne powód, jaki przychodził mu do głowy, to że tamten wyszedł tylko na chwilę, może do automatu w budynku Lotnictwa Ogólnego po przekąskę lub gazetę.

Cofnął się ze schodka i przykucnął pod samolotem, patrząc w stronę budynku Lotnictwa Ogólnego i terminalu. Nikogo nie było w zasięgu wzroku.

Podniósł się i wszedł do samolotu. Światło z telewizora wystarczyło, żeby doprowadzić go do niewielkiego biurka, gdzie stały laptop oraz drukarka i leżały rozrzucone papiery.

Serce na moment stanęło mu w piersi, wywołując ból i prowadząc do hiperwentylacji.

Na leżącej z wierzchu kartce było wydrukowane zdjęcie Julii oraz krótki opis pod spodem.

Na marginesie ktoś odręcznie naskrobał notatki: „Pistolet - pod lewym ramieniem, taktyczne uniki,



nosi torbę - dlaczego?". Allen odsunął kartkę na bok i zobaczył swoją fotografię z prawa jazdy, a na niej napis: „Doktor - opatrzy rany? Mocne powiązania z Chatt”.

Potem zdjęcie Stephena z notatką: „Duży, silny - taekwondo? Niezdecydowany - słabość?”.

Następna strona wyglądała jak zlecenie lub faktura. Pod słowem „Cele” była lista ich nazwisk i jednego przedmiotu wypisana w podpunktach:

1. Julia Matheson
2. Allen Parker
3. Stephen Parker
4. Chip pamięci (patrz opis) i wszystkie znane kopie.

A potem:

„Cena pakietu: \$500 000. Wszystko albo nic”.

„Ostrzeżenie: w akcję zaangażowane są inne grupy; dobrze wyszkolone, dobrze uzbrojone. Bonus, \$20 000/os”.

W następnej linii była odręczna notatka: „Kendrick Reynolds”.

Kendrick Reynolds. Może staruszek miał rację - posiadanie wspólnego wroga czyniło z niego ich przyjaciela. Kendrick zaangażował w akcję inne „grupy”. Żeby odnaleźć Julię, Allena i Stephena? Żeby powstrzymać Atroposa? Przyjrzał się kartce. Nie było adresata.

Samolot mógł należeć do Atroposa, do innej grupy zabójców Litta lub do wszystkich naraz. Jedno było jasne: to nie Kendrick Reynolds chciał ich śmierci.

Rozległ się dźwięk spluczki w toalecie.

Jego brzmienie, przypominające odgłos minisilnika odrzutowego, było rozpoznawalne dla wszystkich ludzi w cywilizowanym świecie, którzy przestali już nosić pieluchy.

Allen spojrzął do tyłu w stronę telewizora i zobaczył za nim niewielką wnękę, w której właśnie otwierały się drzwi.

Chwycił garść papierów i rzucił się do wyjścia. Usłyszał, jak coś za nim spadło z trzaskiem. Uderzył głową o górę framugi. Uchylił się, poleciał, nie trafił w schodki i wylądował na asfalcie, nadwyrażając sobie bark i naciągając mięśnie pleców. Przepelzył pod samolotem, stanął na nogi i zaczął biec.

Rytmiczny tupot stóp prześladowcy brzmiał niczym pogłos jego własnych kroków.

Przemknął koło piper'a saratoga. Okrążył inny samolot i pognął tak szybko, jak tylko zdołał, w stronę trzeciego hangaru. Usłyszał dźwięk, jakby ścigający go człowiek zderzył się z samolotem, upadł na ziemię i wznowił pogoń, a wszystko to w ciągu czterech sekund.

Allen przebiegł pod znakiem przejazd dla samolotów i zaraz po tym wpadł na mechanika, który przeciął mu drogę, wyszedłszy z hangaru. Zanim całkiem upadł, był już z powrotem na nogach, a mechanik wciąż toczył się i wrzeszczał.

Minął pierwszy hangar.

Jeszcze jeden i będzie...

Trafił go pocisk. Nic nie usłyszał, tylko poczuł, jak z impetem lokomotywy uderza go szpilka. Upadł twarzą w dół na zalany olejem asfalt, czując, jak żwir wbija mu się w ciało, żłobi głębokie bruzdy i zrywa pięciocentymetrowy kawałek sztucznej brody.

„Dostałem! Dostałem!” - ta jedna myśl dźwięczała mu w głowie jak syrena.

Płuca paliły go z braku powietrza, na próżno próbował chwytać je ustami. Czuł, jakby miał zmiażdżony kręgosłup. Spróbował się poruszyć i udało mu się, ale niezbyt sprawnie, i miał wrażenie, że ręka olbrzyma boleśnie zgniata mu tors.

Przeklął grubą kewlarową kamizelkę, którą miał pod ubraniem.

To nie działa! Wrzasnął i podciągnął nogi pod siebie. Skoczył do przodu. Rękawica mu wypadła, a on odrzucił ją na bok w szaleńczej próbie zwiększenia dystansu pomiędzy sobą a potencjalnym zabójcą. Pomiedzy łopatkami czuł promieniujący ogień, ale starał się go zignorować.

„Biegnij! Po prostu biegnij!”.

Usłyszał za sobą ciężkie kroki, które nagle ucichły.

Rękawica musiała go zatrzymać! Tak ! i wtedy zrozumiał: napastnik przystanął, żeby wycelować. Allen rzucił się w prawo, a potem ostro skręcił w lewo. Usłyszał brzęk tuż przy swoim ramieniu, jakby ktoś rzucił w ścianę hangaru kamieniem. Ale wiedział, że to nie kamień, tylko pocisk. Był już prawie przy alejce pomiędzy hangarami i zaczął się zastanawiać, czy uda mu się przedostać wąskim korytarzem i nie zostać trafionym, kiedy zobaczył światło rozjaśniające zmierzch, widoczne przez uchylone drzwi hangaru. „Tędy!”

Zamknie za sobą drzwi. Z pewnością będą miały jakąś zasuwkę, rygiel, cokolwiek..." - myślał gorączkowo.

Rzucił się w stronę drzwi. Już prawie przy nich był.

Kolejny pocisk ugodził go w plecy. Allen uderzył twarzą o krawędź drzwi. Odbił się, upadł na ziemię i się po niej potoczył. Chciał się podnieść, ale twarda masa uzbrojonego w rękawicę ramienia

owinęła jego gardło i szarpnęła go do góry.

\*

Julia usłyszała krzyk i podążyła za Stephenem do alejki przez boczne wyjście hangaru, kiedy wielkie przesuwne drzwi od frontu brzęknęły, jakby ktoś zaczął je rozsuwać.

Zatrzymała się w pół kroku, przytrzymując drzwi.

- Stephen! - zawołała. - On jest tutaj!

Wróciła z powrotem do środka i, lawirując pomiędzy samolotami, zaczęła zmierzać irytująco okrężną drogą w stronę frontu hangaru.

„Nic mu nie jest - pomyślała. - Wrócił”.

Wkrótce po tym, jak Allen poszedł, zrobiło się zbyt ciemno, żeby bezpiecznie poruszać się po hangarze, więc włączyła światło. Teraz czekała, aż zobaczy zbliżające się cienie na pomalowanej szarą farbą podłodze. Spodziewała się, że może wpaść na Allena w każdej chwili. Minęła ostatni samolot i zamarła.

Za wielkimi drzwiami, oświetlony pasmem bladego światła, Atropos trzymał Allena w śmiertelnym uścisku. Allen miał odrzuconą do tyłu głowę, a ramię groteskowo zawinięte za plecami. Atropos w czarnej pięści trzymał jego nadgarstek i włosy. Zabójca obrócił się, żeby zajrzeć do środka, zarzucając Allenem jak lalką. Drugą rękę zaciskał na odsłoniętej szyi Allena.

Ubrany w czerń, która zlewała się z ciemniejącą nocą, ze skórą bielejącą w poświacie z hangaru, Atropos przypominał Julii koszmarną wizję Drakuli - o ile Drakula potrzebowałby korekty wzroku i grzebienia. Uśmiechnął się do niej zwyczajnym uśmiechem. Julia zwalczyła w sobie chęć, żeby się wycofać.

Wtedy się poruszył - być może było to tylko drgnięcie - i zrozumiała, że ma zamiar uciec.

Uniosła broń, kierując celownik na jego czoło, a on spojrzał jej głęboko w oczy.

Allen dławił się w duszącym uścisku. Wywracał oczami i Julia zdała sobie sprawę, że nie próbuje chwytać powietrza - próbuje coś powiedzieć. Wyszepiał te słowa bezgłośnie.

Stephen podbiegł i stanął za nią.

- Nie zbliżaj się - powiedziała.

Zdawało jej się, że dyszy jej wprost do ucha.

Ruch - ramię Atroposa wystrzeliło do przodu i zatrasnęło drzwi hangaru.

Nie mogła strzelać, nie, jeśli był tam Allen. Podbiegła do drzwi. Z drugiej strony doszły ją jakieś

odgłosy. Zgrzyt zawiasu, grzechot metalu. Zamek! Szarpnęła drzwi. Nawet nie drgnęły. Zaczęła nasłuchiwać. Cisza. Odsunęła się, wycelowała w miejsce, gdzie - jak sądziła - znajdował się zamek, i wystrzeliła. Po sekundzie w metalowej płachcie pojawiły się dwie dziury. Atropos strzelał przez drzwi. Odskoczyła.

- Tędy! - krzyknęła Julia, wracając tą samą drogą do bocznych drzwi. Wybiegła na alejkę za nimi. Zrobiła ledwie dwa kroki, kiedy na końcu alejki wystrzeliły płomienie z wylotu lufy. Obok zagwizdały pociski, po czym z grzechotem uderzyły w metalową ścianę.

Nie było słycać wystrzału. Atropos używał tłumika i naboju poddźwiękowych, takiego samego zestawu, jaki miał poprzedniej nocy. Jeśli miał też celownik laserowy, to go nie włączył.

Julia odpowiedziała ogniem, celując wysoko. Chciała, żeby Atropos zastanowił się dobrze, zanim zacznie do nich strzelać, ale nie chciała ryzykować, że trafi Allena.

Przez drzwi wypadł Stephen.

- Na ziemię! Na ziemię! - krzyknęła.

Kiedy ich wróg zaczął strzelać do Stephena, pojawiły się kolejne błyski i wybuchy.

Stephen odbił się od ściany i wylądował ciężko na ziemi.

Zaczęła osłaniać go ogniem w nadziei, że Atropos uwierzy, iż może zostać trafiony.

Spojrzała za siebie i zanim drzwi się zamknęły, zdążyła zobaczyć w padającym przez nie świetle, że Stephen leży rozciągnięty na ziemi na samym środku alejki. Nie poruszał się.

- Stephen? - wykrztusiła, a gardło ścisnęła jej panika.

- No? - odpowiedział niskim, cichym głosem.

- Jesteś ranny? Wszystko w porządku?

- Nie możemy tu po prostu leżeć. On ma Allena. Musimy.

Nie skończył. usłyszała zgrzyt na betonie, cichy szmer ubrania. Po jej prawej stronie przesunął się cień i ją wyminął.

- Stephen!...

Tu! Tu! Odgłosy wyciszonych wystrzałów.

Pociski latały wokół nich, wybijając dziury w metalowych ścianach i wydzierając kawałki z drewnianego płotu, który zamykał alejkę za nimi. ogłuszający pogłos zdawał się nie mieć końca.

Wreszcie Stephen wyszeptał:

- Nic mi nie jest. - Leżał na ziemi nieco przed nią. - On próbuje nas powystrzelać.

- Moglibyśmy przejść przez płot za nami i spróbować go okrążyć.

- Zobaczy nas.

Rozważyła, jakie mają opcje. Wyjęła zużyty magazynek i zastąpiła go nowym, który trzymała w kaburze na ramieniu.

- Dlaczego Allen nie walczy? - zapytał Stephen.

- Atropos ścisnął go za gardło - odparła. - Być może zemdłał.

- Albo już nie żyje - rozpacz Stephena była widoczna. Był bliski zrobienia czegoś nieprzemyślanego.

- Jeśli rzucimy się na niego, to wszyscy zginiemy.

Najpierw nic nie odpowiedział, a potem odezwał się:

- Przejdę przez ten płot. Ty tu zostań. Nie upilnuje nas obojga.

- Zaczekaj chwilę - przyjrzała się niknącemu prostokątowi szarawej czerni u wylotu alejki.

- Co?

- Sekundę. - Rzuciła pustym magazynkiem w przeciwległą ścianę, jakieś pięć metrów od miejsca, gdzie byli. Napastnik nie zareagował. Julia wstała i zaczęła powoli iść naprzód, trzymając się przy ścianie.

- Nie spuszczaaj oka z drzwi - wyszeptała, wskazując na boczne wejście do hangaru.

Zacząła się przemieszczać szybciej wzdłuż alejki.

Przy jej końcu oddaliła się od ściany szerokim łukiem. Wyobraziła sobie teren po lewej stronie: asfalt przed ostatnim hangarem, otwarta przestrzeń ciągnąca się do miejsca, gdzie stały zaparkowane samoloty, a potem odrzutowiec. Po prawej stronie, daleko za hangarem, z którego właśnie wyszła, były budynki terminalu i... Nie chciała myśleć o tym, co jeszcze mogą znaleźć na ziemi przed drzwiami hangaru. Atropos będzie gdzieś po lewej. W

zasięgu jej wzroku pojawiała się coraz więcej terenu po lewej stronie i zaczęła przygotowywać się do akcji.

Przekonana, że zobaczy zabójcę przyciśniętego jak złośliwy cień do ściany hangaru, wystawiła głowę z alejki i szybko ją cofnęła. Było pusto. Z lekkim wahaniem zerknęła w przeciwną stronę. Pomimo sytuacji, w jakiej się znajdowali, opadła z niej część napięcia, które czuła w szyi i ramionach - Atropos nie zostawił na asfalcie bezwładnego ciała Allena.

Na ten widok wstąpiła w nią nadzieja.

Pokazała Stephenowi, żeby do niej dołączył. Kiedy do niej dotarł, wyszli razem na otwartą przestrzeń. Zobaczyli to jednocześnie.

Cessna.

Z tyłu za zaparkowanymi samolotami kołowała na pas startowy.

- O nie! - Julia była zbyt zszokowana, żeby dodać coś jeszcze.

Stephen powiedział to za nią:

- Allen! Atropos go zabiera!

Julia zaczęła biec - nie wprost do samolotu, ale prosto przedłużeniem alejki, a prostopadle do odrzutowca. Chciała przeciąć asfalt i dogonić samolot na pasie startowym.

Teraz maszyna była daleko z lewej, ale będzie musiała zawrócić w jej kierunku, żeby wystartować. Próbowwała nie myśleć, tylko biec.

O dziwo, Stephen dotrzymywał jej kroku, a potem nawet ją wyprzedził. Prędkość odrzutowca zwiększyła się, kiedy skręcił na pas. Żadne z nich nie zauważyło jednak szerokiego pasma trawy, które oddzielało parking i wyasfaltowany plac przed warsztatem od pasa startowego. Stephen pierwszy wpadł na niego, przewrócił się i potoczył z jękiem dalej pośród masy ziemi i trawy. Julia przeskoczyła nad nim i przyśpieszyła. Biegając wprost tym torem, powinna przeciąć trasę samolotu za jakieś dwadzieścia sekund.

Zacisnęła dłoń na pistolecie. Odrzutowiec szybko nabierał prędkości. Nie miała szans go dogonić. Przeskoczyła nad lampą przy pasie startowym i wylądowała na nawierzchni pasa tuż przed odrzutowcem. Za kilka sekund samolot poleci.

„Zrób coś!” - myślała.

Wycelowała broń i posłała serię ołowiu prosto w przednią szybę kokpitu. W miejscach trafień pojawiły się niewielkie obłoczki rozprysniętego szkła.

Samolot przemknął obok niej. Ogłuszyło ją wycie silników odrzutowca, a w twarz uderzyły ją podmuchy turbulencji.

Pobiegła za nim. Dziesięć metrów. Dwadzieścia. Bez sensu.

- Neeeeee! - zawyła. Patrzyła, jak samolot wznosi się w powietrze, oddala się i znika.

\*

Ból. Oślepiający. Rozdzierający. Nie do zniesienia.

Allen czuł, jakby jego prawe ramię zostało przebite nożem. Płomienie bólu promieniowały stamtąd gorącymi falami, tak że buchał z niego pot, który zalewał mu włosy i piekł w oczy.

Kołysał się powoli wraz z ruchem odrzutowca. Metalowe obręcze wrzynały mu się w ciało na nadgarstkach i dłoniach, kiedy opadał pod ciężarem własnego ciała, wisząc na kajdankach zaczeponych na haku pod sufitem kabiny. Po rękach lały mu się strużki krwi.

Użyłby nóg, żeby się podeprzeć, ale te były związane i odciągnięte do tyłu liną, która kończyła się pętlą związaną wokół jego szyi. Gdyby opuścił nogi, gdyby pozwolił im opaść, lina na jego szyi zacisnęłaby mu się na tchawicy. Mimo nieznośnego bólu i chwil zamroczenia trzymał nogi w górze.

Jednak nic nie mogło się równać z przeszywającym bólem w ramieniu. Atropos prawie mu je wyrwał, kiedy schwytał go za hangarem, szarpiąc i wykręcając jego rękę wysoko ponad głowę. Z całą pewnością wyrwał ramię ze stawu. Półprzytomny Allen wyobraził sobie anatomiczny rysunek przedstawiający głowę kości ramiennej wyrwaną z panewki, zmiażdżony pas rotacyjny barku i zerwane więzadło kruczo-ramienne. Te niezwykle szczegółowe rysunki wykazywały zimną obojętność na cierpienie, które opisywały. To, co czuł zawieszony teraz za ramiona Allen, przypominało sondowanie rany postrzałowej łopatą.

Ciężki worek treningowy, który Atropos zrzucił z haka, żeby powiesić tam Allena niczym połec wołowiny, toczył się teraz leniwie po dywanie w jego stronę. Allen zacisnął

powieki i zazgrzytał zębami. Nastawił się na kolejny atak bólu, który przeszyje jego ramię, kiedy worek uderzy go w kolana, wiszące - jak sądził - na wysokości jakichś piętnastu centymetrów nad podłogą. Po minucie otworzył oczy i zobaczył, że worek zmienił kierunek i opierał się teraz o coś, co wyglądało jak czarny pokrowiec na zwłoki. „Vero” - pomyślał

Allen. Przypomniawszy sobie, że zabójca podobno zabrał trupa.

Swoje porwanie i uwięzienie Allen zapamiętał jako niewyraźny zlepek mętnych obrazów, oglądanych poprzez zasłonę bólu, strachu i dezorientacji. Żelazny uścisk Atroposa wywołał obezwładniający ból, przez co zniechęcił go do podejmowania jakichkolwiek prób uwolnienia się i uczynił go marionetką kontrolowaną przez zabójcę. Słyszał trzask zamykanych drzwi do hangaru, wystrzały, potem nic. Atropos musiał go ogłuszyć, bo ocknął

się dopiero, kiedy został wrzucony do wnętrza samolotu niczym bagaż. I znowu czas przeskoczył. Na podłogę obok niego upadło ciało - nie, to był worek treningowy.

Kajdanki wbijające się w nadgarstki, spętane stopy.

„Nie mogę oddychać!”.

Pętla na szyi! Ile czasu zajęło mu, zanim się zorientował, że dusi go ciężar własnych nóg? W końcu dotarło to do niego, nawet jeszcze nim w pełni odzyskał świadomość.

Kiedy w głowie mu się przejaśniło i poczuł w niej pulsowanie bólu, zrozumiał, że ma poważne kłopoty.

Nie pamiętał startu, ale teraz odrzutowiec bez wątpienia był w powietrzu.

Allen był sam w kabinie. Lampki wbudowane w łukowaty sufit oświetlały kręgami ostrego, białego światła fotel, blat oraz podłogę i rzucały upiorną poświatę na całą kabinę.

Chociaż Allen latał różnymi prywatnymi odrzutowcami - learami, hawkerami, gulfstreamami

- nie widział do tej pory czegoś podobnego. Kabina przypominała salon wyposażony jak nowoczesna, droga garsoniera. Laptop i drukarkę widział już wcześniej, podobnie jak wyłączony teraz telewizor plazmowy. Odtwarzacz DVD, sprzęt stereo, sztanga, skórzany fotel - wszystkie domowe wygody przy prędkości ośmiuset kilometrów na godzinę.

Ale to nie był dom. Allen czuł, że była to raczej kryjówka dzikiego zwierza, a on był

bezbromną ofiarą, czekającą, aż drapieżnik powróci na ucztę z ludzkiego mięsa.

Drzwi do kokpitu otwały się za nim, a potem zatrzasnęły. Allena spowił atramentowy cień, kiedy Atropos pojawił się na widoku. Nie miał na sobie wiatrówki i zielony podkoszulek ciasno opinał jego wyraźnie zarysowane mięśnie torsu i bicepsy. Twarz zabójcy była tak napięta, że mogłaby być odlana ze stali. Spojrzał na Allena oczami, w których widać było czystą nienawiść.

Allen poczuł na szczęce zimny uchwyt. Atropos złapał go tak błyskawicznie, że zdawało mu się, iż na chwilę stracił przytomność. Nacisk zwiększał się, aż Allen poczuł, że za moment jego jama ustna ulegnie zmiżdżeniu. Atropos powoli cofnął rękę. Zdarł z policzków sztuczną brodę Allena, odrywając ją od kleju do charakteryzacji. Klej rozciągnął się i pękł jak skóra. Atropos odrzucił brodę na bok.

Allen poczuł krew, słoną, o miedzianym posmaku. Zęby pocięły mu od środka policzki.

Delikatnie poruszył językiem i poczuł, że kilka zębów trzonowych chyba też się wykrzywiło pod wpływem ucisku.

Nie padło ani jedno słowo. Beznamiętne zadawanie bólu przez tamtego i odmowa Allena poddania mu się odzwierciedlały ich wzajemny brak szacunku. Poza tym Allen nie miał nic do powiedzenia. Czy miał błagać o życie? Mógłby liczyć na więcej szczęścia, negocjując z wściekłym rekinem. Czy miał zagrozić tamtemu zwrotem w stylu „Nie ujdzie ci to na sucho!”? Szczerze mówiąc, Allen podejrzewał, że Atropos nie poniesie żadnych konsekwencji zamordowania go, skoro do tej pory zawsze mu się udawało. Co istotniejsze, Atropos też tak sądził, a więc mówienie czegoś takiego byłoby równoznaczne z płaszczaniem się przed nim. A Allen nie zamierzał się płaszczyć.

Atropos obrócił się. Przetoczył worek treningowy i chwycił obiema rękami pokrowiec na ciało, po czym przyciągnął go do Allena na odległość metra. Przykucnął, rozsunał zamek i szeroko rozchylił pokrowiec.

Allenowi zaparło dech. Chciał wrzasnąć, ale zabrakło mu powietrza, żeby je z siebie wyrzucić. Zdawało mu się, że samolot zapikował ze trzysta metrów w dół, wirując, wirując.



Kolory się rozmyły. Dopiero ból go otrzeźwił. Przyjrzał się resztkom w pokrowcu i podniósł

wzrok na Atroposa. Wtedy zrozumiał, że tu nie chodziło tylko o Karla Litta, o jego wirusa, o sprawy tak doniosłe.

To była sprawa osobista.

V

Z perspektywy Stephena i Julii przeszukiwanie terenu przez ochronę lotniska wyglądało jak wypatrywanie nocą na jeziorze tonącej ofiary.

Reflektory przecinały ciemności, przeczesując asfaltową nawierzchnię zachodzącymi na siebie kręgami.auta przesuwwały się wolno pomiędzy zaparkowanymi samolotami, ukryte w mroku, tak że widać było tylko złociste sygnalizatory migające na dachach i stożkowate snopy światła padającego z reflektorów.

Za porośniętym chwastami polem, za ogrodzeniem okalającym lotnisko i nieoświetloną uliczką furgonetka uciekinierów stała niezauważona. Ustawiona była tak, aby oboje mogli przez przednią szybę obserwować płytę lotniska. Z wnętrza furgonetki Julia patrzyła przez lornetkę na samochody przeszukujące teren. Krótkim paznokciem prawego palca wskazującego nerwowo skrobała w górę i w dół po nierównej powierzchni obudowy.

Skierowała wzrok na prawo, gdzie dwa radiowozy policji z Chattanooga uformowały koślawe

„V” przed ostatnim hangarem. Ich reflektory oświetlały mężczyznę ubranego w kombinezon mechanika. Wyglądało na to, że za pomocą dzikiej gestykulacji odtwarza całą strzelaninę.

- Świadek - powiedziała chłodno.

Chociaż wtedy nie zdawała sobie z tego sprawy, krzyk Allena przed hangarem włączył u niej coś, co Donnelley nazywał „pełnym trybem bitewnym”. Był to stan podwyższonej świadomości, kiedy wszystkie synapsy iskrzyły tylko dla jednego celu: przetrwania.

Wspomagane zdrowymi dawkami adrenaliny mięśnie poruszały się same, unosząc broń z idealną precyzją lub robiąc uniki w momentach zagrożenia. To było jak narkotyk i powrót do normalnego stanu był niełatwy. Po uruchomieniu, nawet na krótko, dwustu procent mocy, wyczerpanie ogarniało zarówno ciało, jak i umysł. Wiedzieli o tym żołnierze i policjanci. Donnelley miał doświadczenie wojskowe oraz policyjne i nauczył Julię kontrolować ten spadek mocy, mentalnie utrzymać przy życiu widmo zagrożenia nawet wtedy, kiedy jego rozpalony do białości oddech wystygł już na skórze, do czasu gdy będzie naprawdę bezpieczna i gotowa na odpoczynek. Takie myśli oszukiwały ciało, utrzymując je w stanie gotowości i pobudzały nadnercza do produkcji wystarczająco dużych ilości adrenaliny, aby zachować bystrość umysłu. Kiedy Julia obdarzyła to widmo zimną, beznamiętną twarzą Atroposa, okazało się, że utrzymanie go przy życiu stało się niepokojąco łatwe.

Stephen się nie odzywał. Z uwagą obserwował samochody na lotnisku i ich światła.

Jeśli jakimś cudem Allen nie był w cессnie, to Atropos musiał porzucić jego ciało gdzieś pomiędzy hangarami a swoim odrzutowcem - dokładnie na tym terenie, który był teraz przeszukiwany.

Kiedy odrzutowiec wystartował, Stephen i Julia nie mieli czasu, żeby się rozejrzeć wokół.

Zza terminalu wyjechały trzy półciężarówki i zaczęły się zbliżać do nich z różnych stron, pędząc w ich kierunku. Ledwie zdążyli dotrzeć do alejki przed nimi i przedostać się przez hangar na parking, zanim ochroniarze wysiedli z samochodów.

Julia zniżyła lornetkę i powróciła myślą do momentu, kiedy Allen próbował coś powiedzieć, gdy Atropos trzymał go za szyję. Co chciał im przekazać? Poruszała cicho ustami, wyobrażając sobie twarz Allena. Wykrzywił się z bólu. Czy mogło to tak zniekształcić ruchy ust, żeby uniemożliwić jej rozszyfrowanie słów? Jego szczęka poruszyła się dwukrotnie, co wskazywało na jedno słowo dwusylabowe lub dwa słowa jednosylabowe.

Zacząła recytować alfabet, porównując ruch swoich ust do tego, co widziała u Allena.

Zastanawiała się właśnie nad słowami na literę „s”, kiedy poczuła szarpnięcie za lornetkę. Pozwoliła Stephenowi ją zabrać. Napięcie wyryło mu bruzdy pod oczami, na policzkach powyżej brody i na czole.

Dotknęła jego ramienia.

- Znajdziemy go.

Stephen nie odrywał oczu od przeszukiwanego terenu. Jeden z policjantów oddalił się od stojącego w blasku reflektorów świadka i zaczął przeczesywać światłem latarki asfalt za samochodami.

- Właśnie tego się boję.

- Żywego.

Zniżył lornetkę i spojrzał na nią gniewnie.

- Tego nie wiesz - powiedział zimno, ze złością. Znowu podniósł lornetkę i zaczął wyglądać przez przednią szybę.

- Zabrali go, Stephen. Zabrali go celowo. Wymienią go na chip. Utrzymają go przy życiu do czasu, aż zdobędą chip. To daje nam czas na znalezienie sposobu, żeby sprowadzić go z powrotem.

Patrzyli, jak policjanci wsiadają do radiowozów i kolejno odjeżdżają w stronę terminalu.

Półciężarówki wyłączyły reflektory i pojechały za nimi, pograżając teren w ciemności, poza jednym, szerokim pasem światła padającym przez otwarte drzwi hangaru, w którym zniknął mechanik w ogrodniczkach. Po minucie także i to światło zgasło.

- Dlaczego po prostu nie oddamy chipa? - zapytał Stephen, przypatrując się ciemności na zewnątrz.

- Bo to go nie ocali - Julia zmieniła pozycję na fotelu, tak że teraz siedziała dokładnie na wprost niego, z jedną nogą podkuloną pod siebie. - Ten chip jest dowodem na coś.

Chciałabym wiedzieć, na co dokładnie. Ale założę się, że nie jest im potrzebny, żeby mogli sfinalizować swój plan. Pragną dostać chip tylko dlatego, że nie chcą, aby ten dowód wpadł w niepowołane ręce. Widzieliśmy to, widzieliśmy ich, przynajmniej niektórych. Jesteśmy dla nich problemem, podobnie jak chip. Chcą się pozbyć i nas, i jego. Sądzą, że uda im się wykorzystać Allena, żeby dostać wszystko razem - nas troje i chipa.

- A więc wszyscy jesteśmy już martwi. - Głęboki, opanowany głos Stephena nadał tej deklaracji takie brzmienie, jakby to już się stało faktem.

- Nie - odparła. Chciała podeprzeć się jakimś mocnym argumentem, ale jedyne, co mogła

powiedzieć, to: - Właśnie że. nie.

Usta wykrzywiły mu się w gorzkim uśmiechu:

- Pewnie masz już jakiś inny plan?

- Słuchaj, przecież zabrali też rękawicę - powiedziała. - Jest w samolocie, musi tam być. To znaczy, że możemy ją namierzyć.

- I co potem?

- Pojedziemy po Allena - tym razem w jej głosie zabrzmiało pełne przekonanie.

Stephen spojrział przez przednią szybę na ciemne lotnisko. Zamknął oczy. Jego usta poruszyły się w cichej modlitwie. Julia pomyślała, że wpadł w rodzaj transu i że pozostanie w nim jakiś czas, jednak po chwili znowu na nią spojrział. Na jego twarzy wciąż malowała się głęboka troska, ale w jego oczach ponownie zagościł względny spokój.

- No to zabierzmy się do tego - powiedział, uruchamiając silnik furgonetki i wrzucając bieg.

\*

- On tutaj przyjeżdża? - Litt skierował podwójne szkła swoich okularów przeciwsłonecznych na Gregora. Jego wysokie czoło zmarszczyło się, kiedy podniósł to, co można byłoby nazwać brwiami, gdyby nie wypadły wiele lat temu.

- Powinien być tu jutro - potwierdził Gregor.

- Ale. dlaczego?

- Powiedział, że ci, na których polował, zranili go.

- Zranili jego? Jak?

- Nie powiedział.

Stali w jednym z byłych hangarów bazy, który podobnie jak pozostałe został

zmieniony w klimatyzowany magazyn. Wewnątrz gotowego blaszanego hangaru został

wzniesiony zupełnie nowy budynek i zardzewiała skorupa przykrywała teraz czystą, betonową konstrukcję. Powietrze było wypełnione nieustającym niskim buczeniem klimatyzatorów. Podnoszone drzwi, wbudowane w drzwi do hangaru, zagrzecgotały przy otwieraniu i do środka wsunął się wózek widłowy wiozący paletę z pudłami. Na każdym były etykiety z kodem, nazwą i adresem szpitala lub laboratorium klinicznego oraz mnóstwo naklejek oznaczających zagrożenie biologiczne. Litt patrzył, jak operator wózka położył

paletę i wycofał pojazd na zewnątrz. Do palety podszedł mężczyzna i zaczął rozcinać przezroczystą plastikową folię, którą były owinięte pudła.

Litt odezwał się, nie spuszczając wzroku z robotnika:

- Dlaczego tutaj, Gregor? Nie zapraszamy tu nikogo.

- Miałem powiedzieć Atroposowi „nie”? Jeśli martwisz się o dyskrecję, Karl, to możesz być spokojny. Dla niego najważniejsza jest jego reputacja, a ta jest nieskazitelna. On nie ujawnia celów ani klientów, a co dopiero ich spraw. Ochrona tego miejsca była zawsze moim priorytetem. Wiesz, że podchodzę do tego poważnie. Nigdy bym się nie zgodził na jego przyjazd tutaj, gdybym sądził, że to może nam jakoś zaszkodzić.

Litt wciąż nie wyglądał na przekonanego.

Gregor ciągnął:

- Ludzie i tak tutaj bywają: dostawcy, robotnicy. Musimy niektórym zaufać, mając nadzieję, że żaden nie zrobi tego, co Despesorio. Atropos jest bardziej godny zaufania niż oni wszyscy, daję ci słowo.

Nie mógł powiedzieć Karlowi, że to właśnie on, Gregor, pierwszy zaproponował, żeby Atropos przywiózł do nich Allena Parkera. Parker nie miał dla Gregora żadnego znaczenia, ale miałby zmarnować taką okazję, żeby poznać słynnego Atroposa?

Powstrzymał się, żeby się nie uśmiechnąć. Sprytnie namówił Atroposa, żeby odpłacić Parkerowi w straszliwy sposób za szkody, które tamten wyrządził. Przekonał Atroposa, że taka rekompensata korzystnie wpłynie na poprawę jego stanu i nastroju.

Gregor zastanawiał się, jakie rany mógł odnieść Atropos - sądząc po głosie, wydawało się, że wszystko jest z nim w porządku, ale było oczywiste, że czuł do swoich celów głęboką nienawiść. Zresztą rana się nie liczyła. Najważniejsze, że Gregor miał się spotkać ze swoim idolem.

Przypomniał sobie, jak kiedyś Karl z ciekawości obejrzał jego sypialnię i zobaczył

wizerunki zabójców, takich jak Richard „Iceman” Kuklinski i Joseph Testa, oraz brutalnych despotów, jak Dżyngis-chan czy Stalin; dotknął repliki karabinu, za pomocą którego zabito prezydenta Kennedy'ego; przejrzał jego biblioteczkę wypełnioną pozycjami z serii „Jak zabijać” oraz biografiami szpiegów i tytanów wojny. Karl przeważał go „fanem śmierci” i Gregor się obraził. Po prostu doceniał zręczność konieczną, by odbierać życie innym i nie zostać za to ukaranym.

Ale przecież miał nadzieję, że Atropos zgodzi się pozować z nim do zdjęcia. Może to jednak czyniło go jego fanem.

Litt przerwał tok myślenia Gregora.

- Atropos ma jeden z celów?

- Wygląda na to, że doktora Parkera.

- Żywego?

- Na razie.

Litt obserwował, jak robotnik zdejmuje z wierzchu pudło i znosi je na ladę. Kobieta siedząca przed monitorem komputera zeskanowała kod kreskowy i zapatrzyła się w informacje, które wyskoczyły jej na ekranie. Przebiegła palcami po klawiaturze, porządkując informacje na monitorze. Robotnik pomaszerował z powrotem do sterty.

- Jak myślisz, czego on od nas chce?

- Powiedzieliśmy mu nieco na temat stanu Despesorio, żeby był przygotowany -

odważył się przyznać Gregor. - Wie mniej więcej, czym się zajmujemy.

Pracownik zaczął ściągać kolejne pudło. Litt uniósł dłoń i strzelił palcami. Odgłos był

taki, jakby kość uderzyła o kość. Mężczyzna podniósł wzrok. Litt przywołał go gestem.

Pracownik zbliżył się z pudłem. Postawił je u stóp Litta i otworzył za pomocą noża do kartonu. Litt przykucnął, zajrzał do środka i wyjął przezroczysty plastikowy woreczek.

Wewnątrz była karta z trzema plamkami brązowej krwi. Na karcie podane były dane osoby, od której krew została pobrana: niemowlę płci męskiej imieniem Joseph.

Nazwisko matki, adres i numer ubezpieczenia społecznego. Litt skinął głową.

- Z każdym rokiem te karty Guthriego stają się coraz bardziej ujednolicone -

powiedział.

- Jeszcze kilka lat i nie tylko każdy stan, ale każdy kraj będzie używał tych samych kart.

- To bardzo ułatwi nam pracę. - Wsunął kartę z powrotem do pudełka pomiędzy setki innych, po czym skinął głową na robotnika, który dźwignął pudło i zaniósł je kobiecie siedzącej przy ladzie.

Litt wstał, rozprostował plecy i spojrzał na Gregora:

- A więc jeszcze jedna próba terenowa?

- Na to wygląda.

- Skoro go zaprosiłeś, to czyni honory domu.

Gregor smarknął, po czym wytarł nos.

- Właśnie dochodziłem do siebie po ostatnim razie.

Litt go zignorował.

- Słyszałeś o tygrysie balijskim? - zapytał.

Gregor potrząsnął głową.

- To było niesamowite stworzenie. Przypominał tygrysy syberyjskie i bengalskie, ale miał mniej prążków i był ciemniejszy. Jednak cechą, która robiła największe wrażenie, był

sposób, w jaki tygrys z Bali rozprawiał się ze swoimi wrogami. Rozumiesz, nie ze zwierzyną, na którą polował, ale z wrogami, takimi jak inne tygrysy wkraczające na jego terytorium, naruszające jego bazę żywieniową, flirtujące z jego dziewczynami i tym podobne. - Strzepnął

zagniecenie na nogawce spodni, po czym zaczął trzeć wierzch dłoni. - Najpierw rykiem okazywał niezadowolenie, a potem atakował intruza. Jeśli pokonany przeciwnik nie zadał mu większych ran, zwycięzca pozwalał mu umrzeć szybko, zazwyczaj przez rozdarcie mu gardła.

- Końce ciemnej linii, którą były jego usta pozbawione warg, podniosły się do góry. - Z

drugiej zaś strony, jeśli przeciwnik walczył zaciekle, być może raniąc tygrysa-rezydenta, ale go nie pokonując, zostawał skazany na powolną, bolesną śmierć. Czysta zemsta.

Odgarnął z twarzy zabłąkany kosmyk włosów. Zaczął drapać coś na głowie wąskimi koniuszkami palców.

- Po tym jak obezwładnił rywala, zwycięzca wycofywał się, czasami na wiele dni.

Kiedy wyglądało na to, że przegrany zaczyna odzyskiwać formę, zwycięzca powracał, kąsał

go i maltretował, po czym ponownie się oddalał. Często dominujący tygrys czekał, aż jego wróg odzyska większość sił i dopiero wtedy wracał, by znowu się nad nim poznęcać. Ta rozrywka mogła trwać tygodniami. Pokonany tygrys w końcu umierał z głodu, wykrwawiał

się na śmierć albo stawał się zbyt słaby, by przegnać padlinożerców konkurujących o jego ciało i padał ich ofiarą. Niechlubny koniec najszlachetniejszego ze zwierząt.

Gregor zmarszczył brwi, widząc, jak Litt podrapał sobie palcami skórę na głowie.

Wyglądała, jakby zaraz miała zacząć krwawić. Poklepał się po kieszeniach swojego stroju kamuflującego w poszukiwaniu papierosa.

- Atropos jest tygrysem balijskim - powiedział. - O to ci chodzi?

Litt wzruszył ramionami.

- On, ty, ja. Pragnienie zemsty jest normalne u człowieka. Im mocniejszy odwet, tym lepiej. Ale u zwierzęcia. Dlatego tygrys z Bali jest tak fascynujący.

Gregor znalazł niemal pustą paczkę papierosów w kieszeni przy kolanie. Zaczął ją obracać w palcach, nie mogąc się już doczekać, kiedy wyjdzie z magazynu, gdzie obowiązywał zakaz palenia.

- Myślisz, że Atropos zabawia się z Parkerem?

- Jasne. Ja bym tak zrobił. - Spojrzał na swoje palce i wytarł je o fartuch laboratoryjny, zostawiając na nim niewyraźne czerwone smugi.

- Zdążysz przygotować wszystko dla niego?

- A co masz na Parkera?

Wetknąwszy pomietą paczkę papierosów do kieszeni na piersi, Gregor wyjął swój komputer kieszonkowy. Stuknął w ekran i wpisał coś kciukami, po czym wręczył komputer Littowi. Ten spojrzął i razem podeszli do kobiety przy monitorze. Litt pokazał jej ekran.

Kobieta spojrzała na wyświetlacz, mrużąc oczy, napisała coś na klawiaturze, ponownie zmrużyła oczy i znowu coś napisała. Zaczekała chwilę, po czym skinęła głową.

- Ściągnij to - poinstruował ją Litt. A do Gregora powiedział: - Jakbym zamawiał koktajl czekoladowy.

Gregor klepnął go po plecach.

- Lata ciężkiej pracy, przyjacielu.

- Kto by pomyślał, he?

- Ja nigdy nie wątpiłem.

- Nigdy?

- A jak myślisz, dlaczego oddałem ci wtedy moje buty? - Mrugnął i ruszył do wyjścia, znowu klepiąc się po kieszeniach. W połowie drogi do drzwi przystanął.

- Karl. Dlaczego mówiłeś w czasie przeszłym? Co się z stało z tygrysem balijskim?

- Ostatniego zastrzelono w 1937.

Gregor zadumał się nad tym, a wtedy Litt dodał:

- Ja tego nie zrobiłem.

\*



Julia wdrapała się na tył furgonetki, żeby zainstalować satelitarne urządzenie śledzące, a Stephen wolno oddalił się od lotniska. Na jej polecenie chaotycznie manewrował

furgonetką, zmieniając pasy raz za razem, wjeżdżając w zaułki i robiąc pętle wokół

kwartałów. Julia nazwała to czyszczeniem, a celem było wykrycie i pozbycie się wszelkich ogonów, które mogły się za nimi ciągnąć od lotniska.

Julia ciężko westchnęła i Stephen poczuł ucisk w żołądku.

- Co jest?

- Udało mi się podłączyć do satelity, spokojnie. Ale wysokość, na której leci samolot, wszystko burzy. Mapy działają, ale nie mogę ustalić, gdzie znajduje się samo urządzenie.

- Nie możesz go namierzyć?

- Mogę, ale będę mieć tylko ogólne pojęcie, gdzie jest, dopóki znowu nie wyląduje.

Mój laptop ma zainstalowane tylko oprogramowanie do operacji naziemnych.

- A czy istnieje oprogramowanie do śledzenia samolotów? Możesz je zdobyć?

- Nie ośmielę się spróbować po tym, co zrobił Kendrick Reynolds. Podłączenie się do systemu FBI może nam ściągnąć na głowę połowę agencji.

Zabrzmiało to tak, jakby mówili o wypadzie do centrali FBI w Quantico. Świat był

inny, kiedy trzeba było zachować taką samą ostrożność w cyberprzestrzeni, jak w rzeczywistości fizycznej. Wyjście na ulicę bez rozejrzenia się na boki mogło mieć śmiertelny skutek w każdym ze światów.

- Ale możesz stwierdzić, czy są w ruchu? W którym kierunku lecą?

- Na południe. Są teraz nad Florydą.

Stephen skinął głową, wyobrażając sobie samolot przecinający nocne niebo z rannym i przerażonym Allenem na pokładzie. Siła grawitacji w furgonetce zwiększyła się, ciągnąc jego twarz ku ziemi i zwielokrotniając ciężar jego organów wewnętrznych. Rozbolał go brzuch.

Po godzinie kręcenia się bez celu zaczął jeszcze ostrzej odczuwać nieobecność Allena.

Z czarnej pustki obok niego, z miejsca, gdzie powinien siedzieć Allen, promieniowała nicość tak ogromna, że zdawało mu się, iż pochłonie go całego, nie pozostawiając nic poza bólem w sercu na dowód jego niezdolności do ochrony brata.

- Julio? - odezwał się, starając się nadać głosowi silne brzmienie.

- Hmm?

- Czy mogłabyś usiąść tu koło mnie? Na parę minut?

- Wolalabym nie spuszczać z tego oka.

- Byłbym ci bardzo wdzięczny.

Usłyszał coś, co zabrzmiało jak odgłosy wyplątywania się ze zwojów kabli. Potem Julia prześlizgnęła się pod stolikiem i pojawiła się obok niego. Położyła rękę na jego przedramieniu, uścisnęła go i wsunęła się na siedzenie obok.

Stephen nie spojrział na nią, tylko dalej patrzył wprost przed siebie, starając się zmierzyć pustkę. Wciąż tam była, ale mniejsza. Rozwiała się niczym kłęby dymu, kiedy Julia zajęła jej miejsce. Właściwie czuł, że ta pustka wcale nie zniknęła, tylko po prostu stała się mniej groźna, kiedy nie była cała skoncentrowana w jednym miejscu.

Czuł się też nieco głupio. Podejrzewał, że Julia była przyzwyczajona do współpracy z zawodowymi detektywami, których nie trzeba było trzymać za rękę, którzy nie pozwalali, by uczucia, takie jak rozpacz czy żal, przeszkadzały im w wykonywaniu pracy, którzy woleliby usłyszeć trzaśnięcie zamka kajdanków niż uspokajające słowo. Ale on taki nie był. Jego zmysł praktyczny nalegał, żeby Julia wróciła do instalowania sprzętu potrzebnego do odnalezienia Allena. Jednak musiał także zmierzyć się ze swoimi emocjami, które wciąż przypominały mu ciepło jej dłoni na jego ramieniu, dzięki czemu czuł się lepiej, tak jak czułby się detektyw, widząc postęp w sprawie. Nie potrafił tego rozdzielić.

Tak, znajdą Allena i uratują go. Jego determinacja była wielka i niezachwiana jak góra.

Ale będą musieli zrobić to sami, mając do dyspozycji wyłącznie to, czym ich obdarzył

Bóg. Ze swoim talentem technicznym, znajomością sposobu myślenia przestępców oraz biegłością w prowadzeniu tajnych operacji i śledzeniu ludzi Julia z pewnością miała więcej cech przydatnych do osiągnięcia tego celu. Po prostu będą musieli znaleźć sposób na wykorzystanie też jego zdolności. A jakie dokładnie były to zdolności? Siła fizyczna.

- OK, w porządku, jedna jest. Co jeszcze? Wysoko postawieni sprzymierzeńcy? Z całą pewnością. Ale musiało być coś jeszcze.

- Coś jeszcze? - zaskoczyła go tym pytaniem.

- Pewnie zacząłem głośno myśleć. Dzięki, że przesiadłaś się do przodu.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Plamy światła na twarzy Julii, które Stephen widział kątem oka, działały na niego uspokajająco. Wciąż spodziewał się, że Julia zaproponuje, żeby poszukali motelu lub przynajmniej miejsca, gdzie będą mogli zaparkować furgonetkę na noc, ale tego nie zrobiła. Wyglądało na to, że myśli, zastanawia się i że ulotność widoków za oknem jej w tym pomaga. W końcu to on się odezwał:

- Co powiesz na restaurację? - z prawej strony zbliżał się do nich pomarańczowy znak.

Zawahała się.

- Naprawdę powinnam wrócić do...

Zawiesiła głos i Stephen poczuł, że mu się przygląda. Zaczął się zastanawiać, jak bardzo widoczna była jego chęć ucieczki z furgonetki jak najdalej od jej niewyraźnych cieni i zapachu papierosów Allena.

- Wiesz, właściwie to jestem głodna - powiedziała.

Nie zgodzili się na pierwszy ciasny dwuosobowy stolik, do którego zaprowadziła ich kelnerka, i zajęli miejsca w dużym, okrągłym boksie w rogu. Jarzeniówki, które rzucały nienaturalny, sterylny blask, świeciły Stephenowi prosto w oczy, ale odczuł to jako pozytywną odmianę po ponurym mroku furgonetki. Z jakiegoś powodu sztuczność tego miejsca - blaty z pomarańczowego laminatu, ściany pokryte imitacją cegły, sztuczne kwiaty, siedzenia obite skajem - sprawiała, że brutalna rzeczywistość życia wydawała się bardzo odległa.

Julia przyjrzała się wystrojowi, obejrzała swoje dłonie, po czym przestawiła serwetnik, solniczkę, pieprzniczkę, cukierniczkę i niewielką karafkę z syropem klonowym.

- Zaraz wracam - powiedziała.

Przez dwadzieścia minut Stephen odsyłał podstarzałą kelnerkę próbującą przyjąć od niego zamówienie. Jej wyszminkowany uśmiech nie był w stanie pokryć znużenia.

Wreszcie Julia wróciła, pod oczami miała co najmniej jedną dodatkową zmarszczkę.

- Kłopoty? - zagadnął. - Czy powinienem raczej zapytać: co tym razem?

- Moja mama. Ma stwardnienie rozsiane. Przez większość czasu czuje się dobrze, choroba nie jest jeszcze bardzo zaawansowana. Ale nigdy nie wiadomo, kiedy dostanie ataku, a one są dla niej wyczerpujące i bardzo nieprzyjemne. Ma nerwobóle nerwu trójdzielnego, te przeszywające bóle twarzy. - Oczy Julii zwilgotniały i Stephen podał jej serwetkę. - Czasami nie może się ruszyć, nie jest w stanie nic zjeść, pójść do łazienki ani odebrać telefonu.

Kupiłam jej alarm osobisty, który powinna nosić na szyi, ale ona mówi, że jest za młoda na urządzenie typu „upadłam-i-nie-mogę-wstać”. Trzyma go na szafce nocnej. - Julia przyłożyła serwetkę do oczu.

- Dzwoniłaś do niej?

- Przeszłam przez ulicę i doszłam do następnej przecznicy na wypadek, gdyby namierzyli moją kartę telefoniczną. Nikt nie odebrał. Może śpi. Prosiłam wcześniej w agencji domowej opieki zdrowotnej, żeby sprawdzali, czy wszystko u niej w porządku, ale teraz zgłasza się tam tylko automatyczna sekretarka. Zostawiłam numer aparatu, z którego dzwoniłam i zaczęłam, ale nie chciałam stać przy

budce zbyt długo. Bałam się, że mogą się pojawić niewłaściwi ludzie.

- Na pewno nic jej nie jest.

- Nie lubię jej zostawiać zbyt długo samej. - Zaśmiała się niewesoło. - Odsłuchiłam wiadomości. Nie było nic od mamy ani od agencji opieki zdrowotnej, ale była za to cała seria telefonów od mojego szefa. Zapomniałam, że miałam się z nim spotkać dziś rano. Straciłam poczucie czasu. Nie żebym się tam wybierała, ale nie mogę uwierzyć, że minęły już dwa dni.

- Mniej więcej o tej porze zeszłej nocy Allen zadzwonił, żebym po niego przyjechała. -

Potrząsnął głową. - Tyle się wydarzyło.

Przy stole pojawiła się kelnerka. Przemawiając do notesu i ołówka, które trzymała w dłoniach, zapytała:

- Czy już?

Julia pociągnęła nosem, wyprostowała ramiona, wzięła głęboki oddech i się uśmiechnęła. Stephen zrozumiał, że odłożyła na bok obawy o mamę. Allen zawsze był w tym dobry, w rozdzielaniu spraw. Stephen nie potrafił przestać się martwić nawet niewielkimi problemami do czasu, aż się nimi nie zajął.

Julia zamówiła małą porcję naleśników, jedno jajko sadzone, dwa plasterki bekonu i kawę.

Stephen zamówił tylko kawę, podziękował i oddał menu.

- Powinieneś jeść - powiedziała Julia. - Żołnierzy uczy się: „Jedz, kiedy możesz, i śpij, kiedy możesz. Nigdy nie wiesz, kiedy znowu trafi się okazja”.

- Byłaś w wojsku? - Nie bardzo mógł ją sobie wyobrazić w hełmie na głowie, ostrzeliwującą z M16 zdezelowany samochód, który staranował blokadę drogową.

- Goody był. Lubił mnie częstować mądrościami z okresu, kiedy był w piechocie morskiej. „Dobry plan dzisiaj jest lepszy niż idealny plan jutro”. „Wolność to prawo do błędnego myślenia, a nie do błędnego działania”.

- Dużo dla ciebie znaczył.

- Ogromnie.

- Przykro mi. - Tym razem to on uściśnął jej ramię.

Twarz się jej wypogodziła, potrząsnęła głową i powiedziała:

- Lepiej coś zjedz.

- Później coś przekaszę, jeśli mój żołądek się uspokoi.

Kelnerka wróciła z dzbankiem kawy. Napełniła dwie filiżanki i pośpieszyła do stolika w drugiej części sali, przy którym gawędziło czterech mężczyzn. Byli ubrani w brudne kombinezony, a dwóch z nich wciąż miało na sobie pomarańczowe kamizelki przedsiębiorstwa miejskich robót drogowych. Do uszu Stephena dobiegały tylko urywki rozmowy, ale Julia zachowywała się tak, jakby słyszała każde słowo i była zafascynowana tym, co tamci mówią.

- Julio? - wyszeptał, nachylając się ku niej. - Co ty...?

Uniosła dłoń na znak, by zaczekał. Zmarszczyła brwi w skupieniu, jej usta poruszały się w cichej przemowie.

- Wiem, co Allen powiedział w hangarze - odezwała się. - Wiem, czego od nas oczekuje.

\*

Kendrick Reynolds leżał na brzuchu, z twarzą wtuloną w puchową poduszkę i znowu nie mógł zasnąć. Za każdym razem, kiedy na scenie jego umysłu przygasało światło, na deski wpadało jakieś wspomnienie i reflektory rozbłyskały na nowo. Uniósł głowę, obrócił ją w przeciwnym kierunku i opuścił na poduszkę, powoli się w nią zapadając. Jego ręka powędrowała na drugą stronę łóżka - wiele lat po śmierci żony z przyzwyczajenia wciąż próbował jej dotknąć. Potarł dłonią gładkie prześcieradło w miejscu, gdzie powinna leżeć.

Było zimne w dotyku.

Dziewięć lat - nie żyła już od dziewięciu lat. Wydawało mu się, że minęło tylko kilka dni od czasu, kiedy besztala go za to, że szorstko traktował personel przysyłany przez departament obrony. Ona zawsze przynosiła im świeżo upieczone ciasteczka i lemoniadę: staroświeckie i banalne, ale niezwykle ujmujące. Wszyscy czuli się swobodniej, kiedy ona tu była - pracowali równie wydajnie, ale bez takiego napięcia. To mówiło coś też i o nim. Od jej śmierci odczuwał ból w samym środku piersi, jakby spóźnił się na spotkanie, ale nie wiedział, dokąd ma iść.

Jako młody człowiek, nowy w departamencie stanu i dopiero zaczynający się dorabiać prawdziwych pieniędzy, kupił sobie roadstera MG TC. Wyruszył nim do Norfolk, jadąc krętymi drogami szybko i ostro.

Wiele razy czuł, że tył zaczyna spod niego uciekać, ześlizgując się w stronę nabrzeża, kilka razy mijając inne samochody o centymetry, ledwie zdoławszy skręcić w bok, kiedy naprzeciw pojawiało się trąbiące na niego auto. Potem siedział sam z butelką w domku letniskowym swojego ojca, ręce mu się trzęsły, a serce waliło jak oszalałe. Miał poczucie, że palce Śmierci musnęły go po szyi, po czym puściły, i zdawało mu się, że Kostucha zaraz zapuka do drzwi. Teraz czuł się tak przez cały czas. Podejrzewał, że Śmierć wróciła po niego dziewięć lat temu, wyciągnęła rękę i przez pomyłkę złapała Elizabeth.

Jego żona była cudowną kobietą, tolerancyjną wobec jego wielu wad, jego arogancji, nieobecności,

zdrad. Strasznie za nią tęsknił.

Nie pierwszy raz zaczął się zastanawiać, jak jego żal, jego pragnienie, żeby powróciła, różniło się od uczuć Karla w stosunku do utraconej rodziny. Był pewien, że różnica istnieje, widać to już było po tym, jak obaj zareagowali na stratę. Kendrick cierpiał w milczeniu i żył

dalej. Karl zaś. Kendrick mógł to określić tylko w jeden sposób - Karl oszalał. I być może Kendrick też by zwariował, gdyby był na jego miejscu, biorąc pod uwagę okoliczności.

Co Karl powiedział? Że Kendrick chciał się pozbyć Jessiki i Joego? Miał rację, że Kendrick uważał, iż rodzina rozprasza Litta, że jego życie jako głównego biologa tajnego laboratorium nie przystawało do zajmowania się żoną i do opieki nad dziećmi. Kiedy po raz pierwszy pomyślał o obsadzeniu tajnego laboratorium niemieckimi dziećmi, które nie znajdowały się w żadnych oficjalnych rejestrach, sądził, że może utrzymać ich egzystencję w tajemnicy. Jednak wkrótce zdał sobie sprawę, że każde życie zostawia jakieś ślady - po prostu nie dało się utrzymać w sekrecie istnienia trzydziściorga pięciorga dzieci. Potrzebowały opiekunów i nauczycieli, jedzenia i słońca. A on potrzebował naukowców, ale nie naukowców funkcjonujących w rzeczywistości.

Wielu pracowników Kendricka zostało rodzicami zastępczymi tych dzieci, a on i Elizabeth adoptowali Karla i wydawali się normalną rodziną.

Uśmiechnął się, przypominając sobie, jak podekscytowana była Elizabeth na myśl, że będą mieli w domu chłopca, jak wpadła w rytm matczynej niewoli, przez pierwsze tygodnie nieustannie zaglądając do sypialni Karla. Karl ze swej strony był humorzasty, ale powoli uległ

czarowi Elizabeth. Jakże mogłoby być inaczej?

Wszystkie dzieci pobierały nauki w wyjątkowej prywatnej szkole, którą tworzyli tylko oni i garstka naukowców zatrudnianych przez rząd. Zgodnie z obietnicą Josepha Litta, przygotowanie naukowe dzieci było niezwykle zaawansowane jak na ich wiek. Kiedy Karl miał dwanaście lat, Kendrick przeniósł wszystkie dzieci i ich rodziny do Elk Mountain w Wyoming. W owym czasie była to niewielka miejscowość zamieszkała przez siedemdziesiąt osób. Departament Obrony był w posiadaniu wielu okalających ją terenów, przeznaczonych początkowo na silosy rakietowe, które jednak nigdy nie powstały. Kendrick zlecił wydrążenie jednego z okolicznych wzgórz i przekształcenie go w laboratorium. Wzniesiono ogrodzenie, które otoczyło część mieszkalną, boisko, kafejkę i różne inne konieczne udogodnienia. Całość była oficjalnie przedstawiana jako stacja meteorologiczna i centrum edukacyjne zarządzane przez Narodową Administrację Oceaniczną i Atmosferyczną oraz przez Uniwersytet Harvarda.

Oczywiście on i Elizabeth nie mogli się przeprowadzić. Starali się bywać tam przynajmniej raz w miesiącu, ale ona wciąż czuła w sercu ból. Kiedyś powiedziała Kendrickowi, że znosiła to jakoś, udając sama przed sobą, że się rozwiedli i to on uzyskał

prawo do opieki. Kendrick podejrzewał, że tak naprawdę rozwiodła się z nim w głębi serca za to, że odesłał Karla.

Wkrótce jednak udostępnienie dzieciom ich własnego laboratorium okazało się mądrym posunięciem. W wieku czternastu lat Karl opracował sposób na rozpylanie za pomocą aerozolu szczepu bakterii *Clostridium botulinum* wywołującej zatrucie jadem kiełbasianym. Zajął się nawet planami użycia rakiet V-2 jako nośnika. W miarę jak dzieci dorastały, stawało się jasne, że będą potrzebowały dalszej edukacji i kontaktów społecznych.

W grupkach trzy- i czteroosobowych zaczęły uczęszczać na najbardziej prestiżowe uniwersytety.

To właśnie tam Karl poznał Rebekeę. Kendrick nie był przychylny temu związkowi, ale jego wysiłki trafiały tam, gdzie zdrowy rozsądek chowa się w obliczu młodej miłości.

Znał Karla na tyle dobrze, by rozumieć, że próby powstrzymania jego romantycznych zapędów zaowocują determinacją, aby już nigdy nie dostarczyć Kendrickowi niczego, czego ten będzie oczekiwał od laboratorium. Dwanaście lat później ze związku narodził się chłopiec, któremu nadali imię Joseph - po ojcu Karla. Kiedy Joe miał sześć lat, na świat przyszła mała Jessica. Kendrick nauczył się dawać Karlowi więcej swobody i cała rodzina zdawała się być zadowolona z życia w niewielkim kompleksie w pobliżu Elk Mountain.

Do czasu wypadku.

Kendrick uniósł się z poduszki, przekręcił się i opadł na plecy. W pokoju było tak ciemno, że nic nie było widać. Rozbolały go oczy, więc je zamknął.

Karl i jego ekipa opracowali zjadliwy szczep wścieklizny przenoszony drogą powietrzną - czwarty poziom zagrożenia biologicznego - dwanaście lat przed tym, jak CDC

przygotowało czterostopniową skalę oznaczeń bezpieczeństwa biologicznego, i dużo wcześniej niż pojawiły się techniki i wyposażenie pozwalające obecnie skutecznie zapobiegać rozprzestrzenieniu się tak groźnych czynników biologicznych. Kanister z aerozolem przewrócił się i odpadł zawór, uwalniając wirusa i uruchamiając awaryjną ewakuację.

Ochrona natychmiast wywozła naukowców i personel laboratorium drogą powietrzną do miejsca oddalonego o sto pięćdziesiąt kilometrów. Brakowało planu ewakuacji dla cywili przebywających w budynkach naziemnych oraz w ich otoczeniu.

Kiedy Karl się o tym dowiedział, oszalały zaczął błagać funkcjonariuszy ochrony i grozić im, żeby zawrócić po bliskich. Zadzwoił do Kendricka, który nalegał na konieczność przestrzegania ustalonych procedur.

- Musimy myśleć o szerokiej publice - powiedział Karlowi.

- Oni mnie nie obchodzą! Rebecca! Dzieci! Kendrick, ty możesz obejść procedury.

Zrób to!

- Poproś do telefonu majora McCafferty'ego.

Kendrick dowiedział się, że strefa skażenia ograniczała się do niewielkiego obszaru w kształcie łyżki, koncentrującego się wokół kompleksu; kształt ten związany był z wiejącym wiatrem. Prawdopodobieństwo ekspozycji na wirus członków rodzin przebywających w części mieszkalnej wynosiło 88 proc., a 15 proc. dla mieszkańców Elk Mountain.

Kendrick nie mógł ryzykować wywożenia zarażonych ludzi z terenu objętego kwarantanną. Powiedział majorowi McCafferty'emu, żeby podjął działania pozorujące sprowadzenie rodzin za wszelką cenę. Prawdziwy rozkaz Kendricka mówił, żeby nie zbliżać się do kompleksu.

Kiedy helikopter wysłany po rodziny nie powrócił, Karl zmienił się w demona próbującego wydostać się z piekła. Próbował odebrać pistolet jednemu ze strażników i miał

zostać przywiązany do łóżka polowego, ale się uspokoił. Dwie godziny później zniknął.

Zatrzymali go na blokadzie drogowej razem z członkami rodziny, którzy byli w bardzo złym stanie. Niemowlę uległo chorobie w czwartym dniu, Joe w trzynastym.

Rebeka wytrzymała prawie trzy tygodnie.

Kendrick odrzucił kołdrę. Obrócił się, żeby usiąść na skraju łóżka. Namacał na szafce nocnej szklankę wody i podniósł ją do ust. Woda była letnia i miała metaliczny posmak.

Chciał odstawić szklankę, ale nie trafił - spadła na ziemię. Gruby dywan ochronił ją przed rozbiciem, ale zawartość oblała mu stopy i nogawki piżamy. Prawie tego nie zauważył.

Karl też się zaraził. Jego symptomy były takie jak u członków jego rodziny, ale podczas gdy u nich doprowadziły do śmierci, u niego słabły i zanikały. Lekarze nie mogli powiedzieć, że całkiem wyzdrowiał, ale fakt, że w ogóle przeżył, ich zaszokował. Jego oddech był osłabiony, a wzrok wyraźnie się pogorszył. Śmiertelna bladość jego skóry nigdy w pełni nie ustąpiła.

- Masz szczęście - powiedział Kendrick, obejmując go w dniu, w którym Karl wzmocnił się już na tyle, że mógł opuścić szpitalne łóżko.

- Tak sądzisz? - zapytał słabym, chrypiącym głosem.

- Prawie umarłeś.

- Żałuję, że tak się nie stało.

Wymamrotał to tak cicho, że Kendrick zastanawiał się później, czy Karl naprawdę się odezwał. Uścisnął jego ramię.

- Nie będę udawał, że jestem w stanie pojąć cały ogrom twojego cierpienia, Karl, ale wierzę, że nauczysz się znowu żyć. Może nawet znowu kogoś pokochasz.

Karl odszedł, powłócząc nogami. W drzwiach oparł się o futrynę i obejrzał się.



- Mogłeś ich uratować.

Po sześciu tygodniach wrócił do pracy. Dwa tygodnie potem zniknął.

Kendrick wepchnął mokre stopy w pościel i z powrotem naciągnął na siebie kołdrę.

Być może potrzebował jakiegoś hałasu, żeby ukołysał go do snu, oderwał od rozmyślań.

Jedno z tych urządzeń imitujących dźwięk deszczu, potoku lub wiatraka. Wszystko było lepsze niż liczenie uderzeń własnego serca, kiedy krew pulsowała mu w bębenkach uszu.

Z roztargnieniem wytarł stopy w pościel, żeby je osuszyć.

Przez wiele lat nie miał od Karla żadnych wiadomości i nie wiedział, co się z nim stało.

Założył, że Litt odebrał sobie życie tak jak jego ojciec. Ale potem zaczęły przeciekać doniesienia o nowym producencie na światowym rynku broni biologicznej. Podczas wybuchu epidemii w Afryce naukowcy Kendricka zaczęli badać kulturę, którą on rozpoznał jako wirusa Zorn, i wtedy już wiedział.

Karl powrócił.

\*

- Wysłać co? - Stephen patrzył na nią zupełnie zdezorientowany.

- Dane z chipa. Mówiliśmy o wysłaniu chipa do Reynoldsa. O to musiało chodzić Allenowi.

- Ale on był przeciwny temu pomysłowi - powiedział Stephen.

- Widocznie zobaczył lub usłyszał coś, co przekonało go, że Kendrick może pomóc. -

Julia zerknęła na rozgadaną ekipę drogowców, ich usta wydające dźwięki, które ledwie mogła dosłyszeć, zadziały jak elementarz czytania z ruchu warg. Dostarczyły jej klucza.

- Allen wykorzystał oddech, który mógł być jego ostatnim.

Stephen drgnął.

- Ale nie był - dodała szybko. - Był wtedy w naprawdę złej sytuacji. Światowej sławy zabójca trzymał go za szyję. Robił się siny. Ale postanowił spróbować nam przekazać, że powinniśmy wysłać dane. To jest istotne. To jest ważne.

- „Wyślij to”. Jesteś pewna, że właśnie to powiedział?

- Kiedy ty to mówisz, widzę dokładnie ruchy warg Allena. Teraz, kiedy już wiem, co powiedział, nie mogę zrozumieć, jak to możliwe, że od razu to do mnie nie dotarło.

- Ale jeśli ci ludzie starają się, żeby ten chip nie wpadł właśnie w ręce Reynoldsa -

zaczął wolno Stephen, jakby myślał na głos - to nie będą już mieć żadnego powodu, żeby utrzymać Allena przy życiu. Nie będziemy mieli na co go wymienić.

- Z drugiej strony, musimy rozważyć możliwość, że Reynolds będzie w stanie pomóc Allenowi, jeśli pozna zawartość chipa.

Spojrzeni na siebie.

- Znaleźli się w impasie, a to nie jest najlepsza sytuacja, kiedy porywacze mają twojego brata, zabójcy są na twoim tropie, a jakiś szalony naukowiec atakuje wirusem twój kraj.

Stephen przesunął językiem po wargach. Usta miał tak suche, że czuł, jakby potarł o siebie dwa patyki. Upił łyk kawy, a potem zapytał:

- Czego oni się po nas spodziewają?

- Ludzie, którzy zabrali Allena? Spodziewają się, że będziemy siedzieć cicho i nie zrobimy nic, dopóki się z nami nie skontaktują.

- A więc zrobmy coś odwrotnego. Wyślijmy te dane Reynoldsowi.

Uśmiechnęła się.

- I jedźmy po Allena.

Podeszła do nich kelnerka z tacą pełną talerzy.

- Przepraszam, ale poproszę to na wynos - odezwała się Julia. A do Stephena powiedziała: - Podzielę się z tobą. - Wyślizgnęła się z boksu.

Stephen patrzył na nią ze zdumieniem.

- Teraz mamy już jakiś plan - powiedziała. - Nie mogę po prostu siedzieć bezczynnie.

- A jaki jest nasz plan?

- Podzielić się naszą wiedzą z Kendrickiem i pojechać po Allena.

- To są cele, a nie plan.

- Oj, daj spokój. - Wyciągnęła rękę. - Daj mi kluczyki. Chcę zobaczyć, gdzie oni teraz są.

- Czy możesz odebrać jedzenie i zapłacić? - Zrobiła kilka kroków, po czym się odwróciła. - Dobrze się czujesz?

- Tak, w porządku. - Uśmiechnął się i Julia odeszła. Chyba czuł się dobrze. Mógł albo czuć się

dobrze, albo stać się bezużyteczny, a tego nie chciał.

Otworzył drzwi po stronie kierowcy i nachylił się do środka, żeby położyć torbę z jedzeniem na fotelu pasażera, kiedy Julia odezwała się z tylnego siedzenia:

- Mamy problem.

- Jaki?

- Są nad Atlantykiem i lecą na południe.

- No?

- Kilkaset mil na południowy wschód od Nassau.

- Lecą na Kubę? - Próbował pojąć konsekwencje faktu, że odrzutowiec opuścił Stany Zjednoczone. Jak to opóźni ich pościg?

- Nie sądzę, żeby to była Kuba. Może na Haiti. Już wylecieli poza granice szczegółowych map, które są wgrane do tego komputera. Jeśli nie wrócą do przestrzeni powietrznej USA, będę w stanie określić tylko, jakie duże miasto znajduje się najbliżej od nadajnika, ale nic więcej.

- Nie wierzę - powiedział. - Zgubiliśmy go?

- Absolutnie nie. Jeśli zdołamy dostać się na odległość około stu kilometrów od miejsca, gdzie go zabrali, będziemy mogli ich namierzyć. Każda działalność pozostawia trop, a ja wiem, jak go znaleźć i za nim podążać.

Robotnicy drogowi, rozmawiając i śmiejąc się, wyszli z restauracji. Stephen wdrapał

się do środka furgonetki i zatrzasnął drzwi. Położył ramię na oparciu fotela i obrócił się do Julii.

- Zagranica - odezwał się. - Jeśli już wcześniej szanse były niewielkie, to pomyśl, o ile trudniejsze będzie dotarcie do Allena w innym kraju. Gdzie będziemy szukać pomocy? Sama bariera językowa...

- Stephen! - to był słowny policzek i uciszył go równie skutecznie jak uderzenie w twarz.

Kiedy była pewna, że jej słucha, Julia powiedziała:

- Mówię ci, że jesteśmy w stanie to zrobić. Możemy znaleźć i uratować twojego brata.

Nie obchodzi mnie, czy zabrali go na Antarktydę. - Wyraz jej twarzy, już wcześniej stanowczy, stał się jeszcze bardziej zacięty. - Sprowadzimy go z powrotem.

Udało jej się obudzić w nim nadzieję - być może szaloną i bezpodstawną, ale mimo wszystko nadzieję.

Odwrócił wzrok i zaczął obserwować mężczyzn wsiadających do sedana po drugiej stronie parkingu. Wpatrzył się w ciemność nocy rozciągającą się za oknem. Czy dalej wierzył

Julii, kiedy już nie podtrzymywało go jej zdeterminowane spojrzenie?

Niewiarygodne, ale tak. Uwierzył w sercu, że Julia może zrobić to, co powiedziała.

To mu wystarczyło.

Pokręcił głową dokoła, napinając mięśnie, i westchnął głęboko. Jego gęsta broda rozchyliła się w uśmiechu.

- Czy myślałaś kiedyś, żeby się zająć sprzedażą samochodów?

- Jestem niezła w ich rozbijaniu. - Sprawdziła godzinę na zegarku. - Rusz tę brykę.

Musimy dotrzeć do Atlanty, zanim człowiek, z którym chcemy się spotkać, zaleje się tak, że nie będzie w stanie nam pomóc.

\*

Staccato wystrzałów z broni palnej obudziło Allena z przerywanej drzemki.

Powracając do świadomości, zanim jeszcze otworzył oczy, poczuł ból w ramieniu i w nadgarstkach.

Gdzieś w pobliżu męski głos mówił coś na temat jakiejś konferencji w Genewie.

Włączyła się muzyka. Otworzył jedno oko, drugie miał czymś sklezione. Zobaczył światło i na jego tle migające cienie. Przypomniawszy sobie o telewizorze plazmowym i obrócił głowę w jego stronę. Zmusił drugie oko, żeby się otworzyło. W miejsce komentatora wiadomości pojawił

się czarno-biały western, potem reklama wosku samochodowego, potem teleewangelista.

Przez chwilę wyobrażał sobie, że to nie obrazy przychodzą do niego, ale że on krąży pomiędzy nimi: przeskakuje w czasie i przestrzeni, pojawia się i znika, jakby jego dusza została porwana przez kosmiczny odpowiednik tornada. Był ciekaw, czy ludzie, na których patrzy, widzą też i jego, cień ducha - nagle jest i już go nie ma, bo poniosło go do kolejnych obrazów i dźwięków, zanim na twarzach patrzących zdążyło się pojawić zdumienie.

Doświadczył uczucia nieważkości, kiedy samolot podskakiwał lekko na prądach powietrznych, a on kołysał się przypięty kajdankami do haka w suficie.

Odwrócił głowę w drugą stronę. Drzwi do kokpitu były otwarte. Atropos siedział przy sterach i wydawało się, że patrzy na gwiazdy za szybą.

Allen zaczął się zastanawiać, co mógłby powiedzieć. Chciało mu się pić. Musiał

skorzystać z toalety. Uświadomił sobie, że czuje coś zimnego na nodze i w kroczu. Poczul

smród amoniaku i zrozumiał, że już się zmoczył.

Z telewizora rozległy się wybuchy. Śmiech z puszki. Kobięce krzyki rozbrzmiewały Allenowi w uszach, kiedy zapadał się w nieświadomość.

\*

Cienie wirowały w porywistym wietrze, kiedy Stephen czekał na Julię przed tawerną bez okien przy jednej z podlejszych ulic Atlanty. Wiedział, że anemiczny żółty blask na rogu przy następnej przecznicy musi być złudzeniem optycznym lub błędnym prądem elektrycznym, ale światło nieustannie falowało, jak gdyby coś niewyobrażalnego wciąż przelatywało obok. „Duch rozpaczki lub desperacji” - pomyślał, rozglądając się wokół.

Po drugiej stronie ulicy, przed inną knajpą, głośna kłótnia przybrała na sile i zmieniła się w przepychankę. Stephen westchnął i mocniej wbił ręce w kieszenie spodni. Niezbyt daleko, we wnętrzu drzwi coś się cicho poruszyło w ciemności. Miał nieprzyjemne wrażenie, że ktoś go obserwuje, ale wolał tego nie sprawdzać. Zamiast tego odwrócił się.

Wpatrywał się w migotanie latarni ulicznej. Miał nadzieję, że Julia się pośpieszy.

Kiedy tu jechali, wyjaśniła mu, że Spocony Dave jest „handlarzem tożsamości”, kimś, kto pośredniczy w wyrabianiu fałszywych dokumentów. Zbierał „surowce”, takie jak podpisy i fotografie, po czym wysyłał je do kogoś, kto specjalizował się w produkcji wiarygodnie wyglądających urzędowych papierów.

Na liście klientów Spoconego Dave'a znajdowali się spragnieni spokoju mężowie poszukujący cichej przystani z dala od uprzykrzonych małżonek lub chciwych eksmałżonek, bojownicy starający się ukryć przed dociekliwością rządu, dłużnicy desperacko wierzący, że mogą zacząć życie od nowa, ale przede wszystkim ścigani przestępcy. Wszyscy oni sądzili, że kupują sobie trwałe wybawienie od błędów przeszłości.

Ale tylko jednej osobie na dziesięć udawało się zniknąć na dobre. Pozostałych dziewięć w końcu jakoś się zdradzało, wracając do dawnych nawyków i upodobań.

Poza tym niektórzy przestępcy wybierali po prostu niewłaściwego handlarza fałszywych dokumentów, takiego jak Spocony Dave. Julia wyjaśniła Stephenowi, że FBI przyskrzyniło go kilka lat wcześniej i zawarło z nim iście faustowski układ: w zamian za wolność Dave miał dalej prowadzić nielegalną działalność pośrednika i przekazywać FBI informacje o osobach korzystających z jego usług. Agencja czekała potem miesiącami, a nawet latami, żeby przymknąć niektórych zbiegów, zawsze starannie fałszując tropy, które doprowadziły do odnalezienia uciekinierów. Działalność Spoconego Dave'a była dla FBI zbyt dogodna, by ryzykować, że przestępcy zaczną ją traktować z podejrzliwością.

Julia stwierdziła, że bez obawy mogą skorzystać z usług informatora FBI.

Potrzebowali szybko i niezauważenie opuścić kraj i zanim informacje o nich dotrą do odpowiedniego szczebla, ich samych już dawno tutaj nie będzie.

Za Stephenem otwarły się z hukiem drzwi tawerny. Wyszła przez nie Julia, idąc tyłem i ciągnąc za ramię mężczyznę, który najwyraźniej nie miał ochoty z nią pójść.

- Kobieto, zaczynasz mnie naprawdę wkurzać! - wrzasnął facet, wykręcając głowę do tyłu, w stronę ciemnego ustronia baru. Kiedy tylko przeszedł przez drzwi, mocna sprężyna zaczęła je z powrotem zamykać.

Ktoś ze środka zawołał:

- Nagadaj jej, Dave! - i dwie lub trzy osoby zawyły ze śmiechu. Drzwi się zatrzęsnęły i ucięły hałas.

- Teraz słuchaj!. - powiedział mężczyzna i obrócił się, żeby stanąć z Julią twarzą w twarz.

Zamiast tego wpadł na Stephena. Chwiejąc się, cofnął się o krok, lustrując Stephena od stóp do głów. Zwrócił się do Julii:

- Co jest! Chcecie mi dołożyć? - Po czym odezwał się do Stephena: - Cóż, zrób to, wielkoludzie. Co mi zależy? - Wyzywająco odrzucił z czoła kosmyk czarnych włosów.

Stephen przewrócił oczami w stronę Julii, która zrobiła bezradną minę i powiedziała:

- Stephen, przedstawiam ci Spoconego Dave'a.

Mężczyzna przyglądający się ze złością Stephenowi miał nalaną twarz: chomicze policzki, podbródek jak piłka tenisowa - łącznie z meszkiem - i wałki tłuszczu na czole.

Na tle tej miękkości widać było świdrujące oczy, osadzone zbyt blisko siebie, jak u kreta.

Jego wargi były tłuste, uformowane w ryjek i przypominały nieco dwa mokre robaki wijące się wokół siebie. I faktycznie był spocony. Delikatny połysk wilgoci, która wyglądała raczej na olej niż na pot, pokrywał każdy milimetr jego bladego ciała. Na oko miał metr siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Stephen nigdy nie widział kogoś, kto tak przypominałby ludzika z ciasta firmy Pillsbury.

- Dave, czy możesz nam pomóc? - zapytał Stephen spokojnym, opanowanym głosem.

Jego dobroduszne nastawienie zdawało się łagodzić gniew Spoconego Dave'a.

Ramiona handlarza tożsamości opadły w dół.

- Tak się tego nie załatwia - odezwał się do Stephena. Obrócił się do Julii. - Tak się tego nie załatwia.

- Przepraszam - powiedziała.

- Dwa kawałki, zanim w ogóle znowu na was spojrzę - oznajmił Spocony Dave, wysuwając dłoń i odwracając głowę w inną stronę.

Julia skinęła głową. Rozejrzawszy się szybko wokół w poszukiwaniu przyczajonych sępów, Stephen wyciągnął z tylnej kieszeni plik banknotów. Szybko odliczył dwadzieścia studolarówek i włożył je w wyciągniętą dłoń mężczyzny.

Spocony Dave wcisnął gotówkę do przedniej kieszeni dżinsów. Potem przepchnął się obok Julii i Stephena i podreptał dalej, mrużąc do siebie:

- Nie można się już nawet napić w spokoju. Mówię wam. Następnym razem nie będę taki miły.

Julia spojrzała na Stephena i uniosła brwi, po czym oboje podążyli ulicą za Spoconym Dave'em. Zanim dotarli do końca кварталу, ich przewodnik przystanął przy ciemnym, zadaszonym wejściu do sklepu. Brzęknęły klucze. Wystawa sklepu była wypełniona plakatami komiksowych bohaterów. Nad drzwiami i oknem widniał ciągnący się na całą szerokość sklepu napis: „Skarbiec Komiksów u Dave'a”.

Kiedy Spocony Dave otworzył pchnięciem drzwi, rozległ się dźwięk dzwonka.

Włączył światło i zawołał do tyłu:

- Czy któreś z was jest fanem komiksów? Mroczny Rycerz, Obcy w Raju, Sandman?

Wciąż niezapomniani. Zamknijcie za sobą.

Stephen zatrzasnął drzwi i zaciągnął zasuwkę. W środku, niczym drapacze chmur, wszędzie wznosiły się sterty komiksów. Z wytrenowaną zręcznością Spocony Dave zaczął

lawirować wąską ścieżką w stronę zaplecza sklepu. Julia podążyła za nim, a na końcu Stephen, który musiał iść bokiem, żeby nie poprzewracać stosów.

Spocony Dave zatrzymał się przy drzwiach, na których ktoś namalował koszmarnie beznadziejny wizerunek Supermana rozchylającego koszulę, aby odsłonić znajdujący się pod nią znak „S”. Dave chwycił komiks ze sterty obok i pokazał im:

- Wolverine? Czy któreś z was jest fanem Wolwiego?

- Niestety nie - odparła Julia.

Spocony Dave potrząsnął głową zdegustowany i odrzucił komiks.

- Oczywiście, znacznie się pogorszył, od kiedy Larry Hama przestał go pisać, ale...

Stephen przestał słuchać.

Przeszli do pokoju na zapleczu. Tutaj też stosy komiksów zajmowały każdą wolną powierzchnię.

Pokój wyglądał niemal dokładnie tak samo jak pomieszczenie od frontu, tyle że tutaj stało jeszcze drewniane biurko, a za nim regał na książki - oba meble również tonęły w zwałach komiksów. Stephen szukał czegoś, czegokolwiek, co wskazywałoby na to, czym potajemnie zajmuje się Spocony Dave. Nie znalazł niczego takiego. Obrócił się i zobaczył, że Spocony Dave się w niego wpatruje.

- Tak, ty, twardzielu - odezwał się Spocony Dave. Wskazał na regał.

Stephen obszedł biurko dookoła i zauważył, że sterty komiksów po lewej stronie regału są oddalone o jakieś piętnaście centymetrów od muru - tyle, żeby można było przesunąć regał wzdłuż ściany za nimi. Spocony Dave skinął głową i Stephen oparł się o regał

z jego prawej strony. Mebel gładko się przesunął, odsłaniając ukryte przejście zionące smolistą czernią.

- Kontakt jest po prawej - powiedział Spocony Dave. - Myślę, że sobie poradzisz?

Stephen włączył światło i zaskoczony wciągnął głośno powietrze, kiedy zobaczył

wnętrze pokoju. Pomieszczenie miało około sześciu metrów kwadratowych i było nienagannie utrzymane. Białe ściany, aluminiowe blaty, na statywie naprzeciw przykrytej zasłoną ściany, stał wyglądający na bardzo drogi, profesjonalny aparat fotograficzny.

Ogromny regał zajmował większość przestrzeni przy przeciwległej ścianie i był podzielony na setki przegródek, a w każdej znajdował się stos formularzy, dokumentów lub kart.

Spocony Dave wprowadził ich do środka. Stał przed regałem z formularzami i zdawało się, że przygląda mu się z wielką dumą. Kiedy obrócił się do nich, miał uśmiech na twarzy. Klasnął w dłonie i powiedział:

- Dobrze. Czym mogę wam służyć?

Dwie godziny później Stephen i Julia wracali do furgonetki zaparkowanej kilka przecznic dalej.

- Ile razy musieliśmy się podpisać nowym nazwiskiem? - narzekał Stephen, strzepując prawą dłoń.

- Wystarczająco dużo, żebyśmy byli w stanie podrabiać je bezbłędnie, bez wahania.

Mnie nie zajęło to aż tyle czasu.

- Jasne. Jane Ivy. Mnie dostał się George Van Dorgenstien. „I” myliło mi się z „e”

przez pierwszych dwadzieścia podpisów.

- Wszystko przez to, że trzeba było dopasować twój wiek i narodowość do nieżyjącego już człowieka o podobnym profilu.

- Chcesz powiedzieć, że George Van Dorgenstien istnieje naprawdę? - aż się wzdrygnął.



- Istniał. Nie żyje. Poza tym dodatkową trudnością było to, że chcieliśmy załatwić sprawę ekspresowo. W związku z tym trzeba było znaleźć pasujące tożsamości spośród aktów urodzenia, które Dave miał już u siebie - Julia wyglądała na wykończoną.

Doszli do furgonetki i Stephen otworzył jej drzwi po stronie pasażera.

Wdrapała się do środka i zwróciła do niego:

- Musimy tu wrócić po odbiór nowych dokumentów za... - sprawdziła godzinę na swoim timeksie - sześć godzin.

- Wiem. - Stephen obszedł samochód dookoła i wszedł na miejsce kierowcy.

Uruchomił silnik i odjechał od krawężnika, zadowolony, że opuszczają tę okolicę chociaż na jakiś czas. Jechali w milczeniu.

Wreszcie Stephen się odezwał:

- Pewnie jesteś skonana, co?

Kiedy nie odpowiedziała, obrócił się i zobaczył, że osunęła się na drzwi. Twarz miała odwróconą w drugą stronę, ale w przerywanym blasku mijanych latarni widział, jak jej pierś wolno unosi się i opada. Szara plamka pary pojawiła się na szybie przy nosie Julii, po czym zniknęła, dopóki jej miękki oddech nie wywołał jej znowu, na cichy dowód, że żyje. Stephen pomyślał, że nawet w stanie pobudzenia wywołanym zagrożeniem życia nie można było w nieskończoność oszukiwać snu.

- Słodkich snów - wyszeptał i zaczął się rozglądać za miejscem, gdzie mógłby ukryć furgonetkę i pozwolić opaść także swoim coraz cięższym powiekom.

\*

Głowa Allena uderzyła boleśnie o żelazne kraty klatki. Nowa strużka krwi spłynęła mu ze skroni i zalała oko. Nie zwracając uwagi na ból, obrócił się, żeby się bronić, ale okazało się, że drzwi klatki są zamknięte, a mężczyźni, którzy go zabrali z samolotu, już się oddalają. Osunął się w dół po tylnej kracie. Wszystko go bolało: ramię pulsowało i zdawało mu się, że ktoś użył jego twarzy jako worka treningowego, co właściwie było zgodne z prawdą. Poza tym piekło go gardło i odczuwał rozmaite dolegliwości w nogach, w plecach i w ramionach - te obrażenia były nieco łagodniejsze, ale i tak potęgowały jego cierpienie.

Otarł krew i spróbował rozejrzeć się dookoła. W oczach czuł kłujący ból - zarówno w tym oku, które było tak spuchnięte, że nic przez nic nie widział, jak i w tym, które (śmiechu warte) uważał za zdrowe. Zamiast obracać oko, skrzył szyję, co wywołało pulsujący ból, który był jednak znacznie łatwiejszy do zniesienia. Wyglądało na to, że znajdował się w klatce dla zwierząt przeznaczonych - sądząc po jej rozmiarach - dla lwa lub tygrysa. Ze wszystkich stron były kraty, również na podłodze. Klatka miała jakieś metr dwadzieścia wysokości, a więc podniesienie się do pozycji stojącej było wykluczone. Niebo mieniło się w odcieniach od pomarańczowego do błękitu, czyli w kolorach poranka. Poczul w powietrzu chłód i zaczął rozcierać ramiona przez cienką wiatrówkę.

Zmienił pozycję na nieco mniej niewygodną. Po prawej stronie na wyciągnięcie ręki miał falistą blachę baraku, którego łukowate sklepienie ciągnęło się gdzieś poza zasięg jego wzroku. Dokładnie na wprost niego, za pasem startowym z czerwonej ziemi, widać było metalowe hangary, pole chwastów oraz wysokie ogrodzenie z siatki drucianej i drutu kolczastego, które najwyraźniej oznaczało granicę kompleksu. Dalej widział strome zielone wzgórza porośnięte bujną dżunglą, za którymi znajdował się czerwony mur skalny. Wokół

Allena było więcej baraków i porośniętej chwastami przestrzeni. Nad jednym z baraków wznosił się maszt flagowy, pogięty i zardzewiały.

Widok był znajomy - była to stara baza lotnicza, którą widział na filmie oglądanym w komputerze Julii. Gdzieś tutaj powinien się znajdować labirynt niechlujnych korytarzy, których wygląd raził jeszcze bardziej poprzez kontrast ze sterylnymi laboratoriami położonymi w ich bezpośrednim sąsiedztwie. Biorąc pod uwagę, czego jeszcze dowiedzieli się z tego chipa, ten położony na uboczu kompleks starych baraków i hangarów krył sekrety, które mogły mieć wpływ nawet na całą ziemską populację.

Aromaty wyczuwalne w wilgotnym powietrzu potwierdzały witalność dżungli za ogrodzeniem. Były słodkie, leśne i mokre. Allen czuł zapach ziemi - pachniała ona jakoś inaczej niż ziemia w Tennessee, bardziej pierwotnie.

Zauważył też i ptaki, słyszał ich krakanie i śpiewy, świergoty i gwizdy. Te muzyczne dźwięki wzmocniły u Allena dominujące poczucie surrealizmu. Oparł łokcie o kolana i ukrył

twarz w dłoniach. Wyczerpanie i niepokój mieszały się w jego skołowanej głowie niczym farby olejne. W myślach przewijały mu się niezliczone pytania: Czy ucieczka jest możliwa?

Co robią Stephen i Julia? Czy któreś z moich obrażeń zagrażają życiu lub mogą doprowadzić do kalectwa, jeśli nie będą leczone? - i zostawały odsunięte na bok przez umysł zbyt przemęczony, żeby się z nimi zmierzyć.

„Myśl!” - upomniał sam siebie, ale słowo to nie niosło ze sobą żadnego znaczenia.

Powtarzał je tak długo, że w końcu nie był w stanie robić już nic innego.

Musiał zapaść w drzemkę, bo nagle się ocknął, kiedy coś uderzyło w kraty. Przy klatce kucnął mężczyzna i spoglądał na niego przez pręty.

Na oko był po pięćdziesiątce, przystojny i majestatyczny pomimo swojego stroju.

Ubrany był w jednoczęściowy kombinezon kamuflujący wyposażony w wiele kieszeni, a na głowie miał beret pasujący do całości.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Widać, że oberwałeś, kolego. - Jego głos był zachrypnięty, mówił ze słyszalnym niemieckim

akcentem. Kiedy więzień nie odpowiedział, zastukał w kraty jakimś przedmiotem. To ten dźwięk obudził Allena.

Allen zobaczył, że tym przedmiotem była rękawica, którą miał zostawić Atroposowi.

Żołądek mu się ścisnął na myśl o urządzeniu śledzącym wetkniętym w jeden z jej palców.

Czy będą w stanie go odnaleźć i przyjść mu na ratunek, jeśli urządzenie zostanie zniszczone lub wyłączone? Czy jego porywacze ukarzą go za przywiezienie „tropiciela”

tutaj? Nie znał odpowiedzi i nie chciał ich poznać. Spojrzał z gniewem w świdrujące oczy mężczyzny.

Mężczyzna zaśmiał się, a jego śmiech przerodził się w kaszel, chrapliwy i nieprzyjemnie brzmiący.

- Odkryłem, że kiedy ludzie siedzą w klatce, to albo szarpia się, wrzeszczą i rzucają na kraty, albo robią się osowiali tak jak ty.

- Gdybym się szarpał, czy to pomogłoby mi się uwolnić? - zapytał Allen ciszej, niż zamierzał. Jego zaschnięte gardło nie chciało współpracować.

- Jasne, że nie, ale zawsze to trochę rozrywki.

Mężczyzna położył rękawicę na kolanach i wyjął z uchwytu przy pasie komputer kieszonkowy, podobny do tego, którego używał Allen. Kilka razy stuknął w ekran koniuszkiem palca.

- No to zobaczmy.

Rozejrzał się wokół i popatrzył w niebo.

- Lekki wiaterek, nie sądzisz? Ale naprawdę leciutki. - Stuk, stuk, stuk. - Dobra.

Jeszcze zapiszę, że rozmawialiśmy przez dwie minuty, chociaż sądzę, że nawet krócej. -

Kolejne stuknięcia.

Schował urządzenie, umieścił rękawicę pod ramieniem i wstał. Pociągnął nosem i wytarł go wierzchem dłoni.

- Jak się nazywasz? - zapytał Allen. Nie wiedział, dlaczego to miało dla niego jakieś znaczenie, ale właśnie tak było. Być może szukał jakiejś ludzkiej cechy, z którą mógłby się identyfikować.

Mężczyzna spojrzął na niego z góry. Przeszukał kieszeń i wyciągnął pogniecioną paczkę papierosów. Wydobył jeden, wetknął go w kącik ust i zapalił zapalniczką, którą wyjął

z innej kieszeni. - Gregor - odparł, wydmuchując jednocześnie kłęb dymu.

- Podzielisz się? - Allen wskazał na paczkę papierosów.

- Są niemieckie. Mogą ci nie smakować.

- W tej sytuacji nie będę wybrzydzał.

Gregor wytrząsnął jednego papierosa i wręczył go Allenowi, który włożył go do ust i przytknął twarz do krat. Gregor podsunął mu ogień. Papieros smakował jak palone łajno.

Allen napełnił płuca gorzkim, gryzącym dymem. Zakaszłał.

- Miałeś rację - wykrztusił. - Faktycznie paskudne. - Zaciągnął się ponownie, ocierając łzę z oka.

Gregor wskazał coś głową. Allen podążył za jego wzrokiem do cessny na przeciwległym końcu pasa startowego.

- Jest naprawdę niezwykły, co? - Gregor zaciągnął się papierosem i powoli wypuścił

dym przez usta i nos. - Powiedział, że musi się przespać, ale rozmawialiśmy przez dziesięć minut. Fascynujący człowiek.

- Jeden na milion.

Gregor spojrzał w dół z wyrazem łagodnego zdziwienia, jakby zapomniał, że nie jest sam.

- Wkrótce zabierzemy cię z tego słońca i dostaniesz własne łóżko. Jeśli będziesz miał

szczęście, to może znajdziemy ci osobny pokój. - Wzruszył ramionami. - Zresztą nieważne, na oddziale bywa czasami całkiem miło. Troszczymy się o wygodę naszych pacjentów.

- Po co chcecie mnie opatrzyć? Co was to obchodzi? - Allen delikatnie dotknął

spuchniętego oka.

Gregor chrząknął.

- Nie interesują nas twoje rany.

- W takim razie co czyni ze mnie pacjenta? Nie jestem chory. - Coś poruszyło mu się w piersi. Zauważył smarki zaschnięte wokół nozdrzy Gregora i w głowie powstało mu podejrzenie, że jego własne zdrowie właśnie zaczęło się pogarszać.

Gregor rozejrzał się po budynkach, które wyglądały na opustoszałe, i po zaniedbanych trawnikach bazy. Zaciągnął się i wypuścił w powietrze chmurę dymu, po czym zakaszłał.

- My sądzimy, że jest pan chory, doktorze Parker. Jeśli nie, to nasi naukowcy nie wykonali zadania, a ja będę nadaremnie cierpieć z powodu tej infekcji. - Znowu przykucnął i mrużąc oczy, spojrzał na

Allena. - Poza tym obiecaliśmy Atroposowi premię za przywiezienie cię tutaj.

- Premię?

Gregor machnął ręką w jego stronę i zrobił taką minę, jakby nie chciał się zniżać do rozmowy o szczegółach. - Karl to wszystko z tobą omówi, jak już się zadamowisz. - Odrzucił

papierosa i chwycił rękawicę obiema rękami, oceniając ją.

- To, kolego, jest legenda - powiedział. - Rękawica Atroposa. - Zaczął ją obracać, żeby przyjrzeć się jej z różnych stron.

- A wakacje pewnie spędzasz w Auschwitz.

Gregor uderzył rękawicą w kraty.

Allen zobaczył, jak urządzenie śledzące wypada na zewnątrz. Musiał wykorzystać całą samokontrolę, jaką tylko mógł przywołać, żeby nie śledzić wzrokiem toru jego lotu, kiedy spadało na ziemię. Zamiast tego wpatrzył się w twarz Gregora.

Niemiec niczego nie zauważył. Na razie.

\*

Julia obudziła się i zobaczyła, że przypominająca pysk Yeti twarz Stephena wypełnia jej pole widzenia. Potrząsał nią delikatnie i szeptał.

- Co? - odezwała się, sięgając po pistolet.

- Dźwięczy. Twój laptop.

Podparła się na ramieniu i zorientowała się, że leży na tylnym posłaniu furgonetki.

- Jak się tutaj znalazłam? - zapytała zasnym głosem. Pamiętała, że usiadła na fotelu pasażera i nic więcej.

- Zasnęłaś. Przeniosłem cię.

I się nie obudziła? Musiała być wykończona, a on musiał być bardzo delikatny. Mimo to nie spodobało jej się, że ktoś mógł ją przetaszczyć bez jej wiedzy. Była zadowolona, że to Stephen był świadkiem jej słabości, a nie kto inny, na przykład Allen. Fotel kierowcy był

znowu rozłożony i zamieniony w wąskie łóżko.

- Która godzina? - Uniosła głowę, żeby wyjrzeć przez okno. Czuła każdy mięsień, każde ścięgno. Wyglądało na to, że byli na parkingu jakiegoś luksusowego hotelu. Nad jego wysoką fasadą widać było rozwidniające się niebo. Laptop, który był zaprogramowany tak, aby nieustannie śledzić

nadajnik „tropiciela”, leżał na fotelu za przednim siedzeniem pasażera i faktycznie dźwięczał.

- Piąta trzydzieści osiem.

- Ojej, człowieku! - opadła znowu na goły materac i zamknęła oczy. Ale alarm w laptopie wciąż pikał. Musiała to sprawdzić. Musiała.

Stephen znowu zaczął nią potrząsać.

- Dobra, dobra - powiedziała, zsuwając nogi z łóżka i siadając. Przesunęła się do przodu i uklękła przed laptopem jak przed ołtarzem. Pomyślała, że niektórzy uznaliby to za właściwe porównanie, biorąc pod uwagę jej zależność od tego durnego urządzenia.

Zmusiła oczy, żeby skupiły się na ekranie.

- Nadajnik stanął - powiedziała.

- Przestał działać?

- Nie, miałam na myśli, że już nie są w ruchu. Dotarli do celu.

- Gdzie?

Siłą woli zmusiła niemrawe palce do pracy na klawiaturze, polecając programowi

„tropiciela” uściślenie swoich obliczeń, dokonanie triangulacji sygnału z użyciem satelitów GPS z tego obszaru i sprawdzenie go w odniesieniu do informacji zawartych na wszystkich mapach, które miał w swoich bazach danych. Cały proces zajął około piętnastu sekund. Była mile zaskoczona dokładnością „tropiciela”, tym bardziej że brak było szczegółowych map międzynarodowych.

- Wygląda na to, że są tuż na północny zachód od Pedro Juan Caballero w Paragwaju.

- W Paragwaju? Co takiego jest w Paragwaju?

- Najwyraźniej jest tam Allen. Czy to, co wiesz o Paragwaju, pasuje do tego, co widzieliśmy na filmach?

- Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że wschodni Paragwaj może być w strefie podzwrotnikowej. Czy to miasto Pedro Juan jest właśnie tam?

Sprawdziła na mapie w komputerze.

- Dokładnie na granicy z Brazylią.

- Ta opuszczona baza na filmie miała lądowiska.

- Po stronie brazylijskiej jest tam miasteczko niemal przylegające do Pedro Juan Caballero. -

powiedziała powoli, przybliżając twarz do ekranu.

- No?

- Ponta Pora. Allen mówił, że Goody wspomniał o czymś, co kończyło się na „pura”

lub „pora”. Sądził, że Goody wymienił słowo „purpura”, gdyż wokół było tak wiele krwi. Ale może Goody dowiedział się od Vero o Ponta Pora i to właśnie próbował przekazać Allenowi?

- Kiwnęła głową i z powrotem wczołgała się na materac. - U Spoconego Dave'a mamy być dopiero za dwie godziny. Prześpijmy się jeszcze. - Kiedy po minucie otworzyła jedno oko, Stephen wciąż siedział na rozłożonym oparciu fotela kierowcy i wpatrywał się w nią.

- No co? - zapytała.

- Czy jest jeszcze coś do zrobienia?

Zastanowiła się przez moment.

- Zadzwoń na lotnisko. Dowiedz się, którym lotem dotrzemy najbliżej tego miasta. Idź do budki przy ulicy, nie do hotelu.

- Pedro Juan?

- Caballero - mruknęła, przekręcając się na bok i kuląc na materacu. - Obudź mnie o ósmej.

\*

Stephen obudził ją dokładnie o ósmej, zniecierpliwiony, chciał wreszcie zrobić coś -

cokolwiek - co przybliży ich do celu i pomoże sprowadzić Allena z powrotem. O ósmej dwadzieścia siedzieli już w restauracji hotelu, przy którym spędzili noc. Umyli się w łazienkach przy holu i teraz Julia kończyła wycierać serwetką kark i miejsce za uszami.

Zamówiła śniadanie podobne do tego, które jadła dziewięć godzin wcześniej w Chattanooga. Tym razem Stephen również zamówił solidny posiłek.

- Stąd będzie daleka droga - powiedział, rozwijając mapę półkuli północnej, którą nabył w sklepie z upominkami, kiedy Julia łapała jeszcze trochę dodatkowego snu. Rozłożył

mapę tak, że wschodnie wybrzeże całej Ameryki Południowej było na środku stołu, i stuknął

koniuszkiem palca w Atlantę. - Musimy być na lotnisku dziś o jedenastej pięćdziesiąt.

- Nie mamy dużo czasu. - Po obudzeniu Julia miała już zarys planu w głowie. Będą musieli się zmobilizować, żeby zdążyć ze wszystkim na czas.

- To ostatni lot w tym dniu dla wszystkich linii. - Przesunął palcem na południe do São Paulo w Brazylii. - I tak nie dotrzemy tam przed północą. Jutro rano złapiemy lokalny lot do Pedro Juan Caballero. Będziemy tam koło południa. Potem musimy dostać się do miejsca, gdzie zabrali Allena. - Zniechęcony potrząsnął głową. - Będzie u nich naprawdę długo.

Według „tropiciela” samolot Atroposa dotarł tam w niecałe dziesięć godzin. Jeśli odnalezienie go zabierze nam pół dnia, to będą go mieli przez prawie dwie doby.

Julia zmarszczyła brwi.

- Pół dnia na odnalezienie go może być szacunkiem zbyt optymistycznym.

- Ale powiedziałaś.

- Znajdziemy go, ale to nie będzie łatwe. - Przyjrzała się mapie. Paragwaj był

naprawdę daleko. Nawet dalej niż Europa, chociaż zawsze myślała o Ameryce Południowej jako o bliskim sąsiedzie.

Kelnerka podeszła i oddaliła się, zostawiwszy talerze ze śniadaniem rozrzucone po Karaibach i Wenezueli.

- A może by tak wyczarterować odrzutowiec? - zaproponował Stephen.

- Paszporty, które załatwia nam Spocony Dave, będą wyglądać świetnie. Zapracowani urzędnicy linii lotniczych nie zwrócą na nie uwagi. Oni patrzą głównie na kraj docelowy, ale firmy czarterowe są bardzo ostrożne. Muszą uważać ze względu na piratów chcących przejąć ich samoloty lub terrorystów szukających sposobów na obejście ochrony na lotniskach. Nie sądzę, żeby dali się nabrać na nasze paszporty. Wtedy dopiero znaleźlibyśmy się w niezłych tarapatkach.

Z powagą skinął głową.

- Nie spóźnimy się na ten lot - stwierdził stanowczo. Zgarnął do ust całe jajko sadzone i miał jeszcze dość miejsca, by zapytać: - To jaki masz plan?

\*

Allen leżał na boku, nogi miał podciągnięte do piersi i obejmował je rękoma. Przez zielone płótno jego łóżka polowego wystawał metalowy stelaż, uciskając mu żebra. Ale to był

jego najmniejszy problem. Dawno temu - godziny? dni? - kiedy słońce stało wysoko i było gorąco, powrócili strażnicy, którzy wcześniej wrzucili go do klatki. Wywlekli go i zaciągnęli do baraku, gdzie zeszli kilka pięter w dół obskurnymi korytarzami, aż dotarli do tego pokoju, do tej celi. Najwyżej dwa i pół na dwa i pół metra. Łóżko było przykute do podłogi. Za toaletę służyło mu plastikowe wiadro. Świetlówki na suficie były osłonięte siatką drucianą. Nie było kontaktu - świetlówki paliły się jasnym światłem od momentu jego przybycia.



Strażnicy ściągnęli z niego pobrudzone ubranie i zostawili mu kombinezon w kolorze khaki. Jacyś ludzie zaglądali przez okienko w drzwiach i czasami przynosili wodę lub talerz niezjadliwej zupy.

Pierwszą dolegliwością, której nie mógł wyjaśnić, był ból oczu. Zdawało mu się, że spuchły, jakby gałki się powiększyły i zaczęły uciskać oczodoły. Potem pojawił się ból głowy, początkowo był pulsujący, stopniowo się nasilał, aż zmienił się w nieustający ucisk.

Zamazывał mu się obraz. Dostał skurczów jelit. Czuł napięcie w mięśniach. Bolały go nawet paznokcie.

Kiedy strażnicy wyciągali go z klatki, poczuł ból, jakby mu wbijali nóż w staw barkowy.

Mimo to zaczął się wrywać, pozorując paniczną próbę ucieczki. Nie zdołał się uwolnić, ale rzucił się na ziemię, pociągając za sobą obstawę. Uderzył twarzą o ziemię.

Wargami odnalazł urządzenie śledzące i wessał je do ust. Kiedy żołnierze zmusili go do powstania, przełknął.

Wciąż miał je w sobie i zastanawiał się, czy urządzenie jeszcze działa. Z pewnością nie było przystosowane do takiego traktowania. Zastanawiał się już, co zrobi później, i zdecydował, że nie może ryzykować, iż zostanie z nim rozdzielony. Będzie musiał połknąć je znowu.

Pomyślał o Stephenie. Na pewno będzie naciskał na Julię, żeby go odnalazła. Miał nadzieję, że zrozumiała jego wiadomość i postąpiła wedle jego wskazówki, przekazując dane Kendrickowi Reynoldsowi. Jeśli mają go uratować, to przyda im się każda pomoc, jaką zdołają zorganizować.

O ile nie jest za późno.

„Nie myśl o tym. Pomyśl o czymś innym, o Julii”. Naprawdę podobała mu się jej uroda.

Podobało mu się też, że jest twarda i bystra. Chciałby ją bliżej poznać.

Zaczął myśleć o wszystkich kobietach, które znał, o tych, które pamiętał. Wyliczał je jedną po drugiej, próbując przypomnieć sobie, jak się spotkali, co robili na pierwszej randce, jak miały na imię.

Czepiał się każdej myśli, która pojawiała mu się w głowie, starając się odsunąć od siebie tę najbardziej palącą, najbardziej uporczywą. Nie chciał się nad nią zastanawiać. Nie chciał wiedzieć.

Dlaczego odczuwam te bóle? Co oni mi zrobili?

Angelina, ładna blondynka, bal maturalny. Nie, przecież zabrał Robin, brunetkę. To skąd znał Angelinę? Ze zjazdu absolwentów?

Usłyszał brzęk i trzask zasuwki. Drzwi się uchyliły. Przez szparę zajrzała do środka twarz, potem

nisko się schyliła. Do środka wtoczyła się butelka wody. Drzwi się zamknęły, trzasnął zamek.

Chciało mu się pić. Spróbował się zmusić, żeby wstać i podnieść butelkę. Nie ruszył się.

Patrzył, jak leży nieruchomo. Przypomniała mu o Patty, która uwielbiała wodę i nie piła nic innego. Miał bzika na punkcie tej dziewczyny.

\*

Kiedy Stephen wrócił do sklepu z komiksami, wręczył Spoconemu Dave'owi gruby plik studolarówek, dopłacając resztę kwoty należnej za zakup zapakowanego w folię komiksu. Sama książeczka była nowym wydaniem niezbyt popularnego komiksu wartego co najwyżej kilka dolarów. Za to dokumenty, które kryła, były bezcenne.

W furgonetce razem z Julią zaczęli przeglądać podrobione dokumenty, pełni podziwu dla ich doskonałości. Paszporty miały pieczętki z innych krajów z kilku poprzednich lat.

Niektóre kartki miały pozaginane rogi, a na przodzie okładki Stephena widniała kolista plama po denku kubka z kawą. Prawa jazdy również wykazywały ślady zużycia, ale nie do takiego stopnia, by liczby zostały zatarte lub zdjęcia stały się nieczytelne. Spocony Dave lub ktoś z jego kohorty cyfrowo usunął Stephenowi brodę, ale zostawił mu wąsy, więc wydawało się, że zdjęcie było zrobione w innym okresie niż zdjęcie do paszportu.

Ich nowe akty urodzenia były pożółkłe i wyglądały, jakby były wytarte ze starości.

Julia wyjaśniła, że taki efekt osiągało się przez zanurzenie papieru w słabej herbacie, a potem ogrzanie go w piekarniku w niskiej temperaturze. Na dodatek Spocony Dave dorzucił

każdemu z nich kilka prestiżowych kart kredytowych, łącznie z dostępnym kilkusetdolarowym kredytem. Julia dostała kartę Sears z wytłoczonym swoim nowym nazwiskiem.

- Będziesz się musiał ogolić - powiedziała Stephenowi - lub przynajmniej skrócić zarost.

- Nie będę wyglądał tak jak na tym zdjęciu.

- To nieistotne - zapewniła go. - Ludzie, którzy sprawdzają dokumenty, są przygotowani na zmiany w wyglądzie. Nabierają podejrzeń właśnie wtedy, kiedy wyglądasz identycznie jak na fotografii. Są szkoleni, żeby porównywać nos, oczy, rozmiar uszu, kształt twarzy, czyli rzeczy, które się nie zmieniają. Nie martw się, będą wiedzieć, że to ty.

\*

Gregor wyskoczył przez drzwi baraku z pistoletem w dłoni. Skierował się w stronę lądowiska i wykrzywił się, zerkając w niebo. Strażnicy - dwóch z karabinami i druga dwójka uzbrojona w uzi - już tam byli, spoglądając na południe w stronę odległych mes Amambayu.

Zdawało się, że odrzutowiec, który się pojawił, wyleciał spośród wierzchołków drzew.

Przeleciał im nad głowami nisko i głośno.

Przy końcu pasa startowego otworzyły się drzwi stojącej tam cessny. Ze środka wyszedł Atropos i zatrzymał się na schodkach. Podniósł wzrok, osłaniając ręką oczy przed słońcem.

Gregor pędził do niego ile sił. Atropos dostrzegł Gregora i wyciągnął broń. Gregor zatrzymał się. Zrozumiał, że Atropos zareagował na trzymany przez niego pistolet.

Wsunął go do kabury i resztę dystansu przebiegł spokojnym tempem.

Atropos wciąż trzymał w ręce swój wielki pistolet i celował w pas startowy. Jego gęste czarne włosy były nawet bardziej rozczochrane niż wtedy, kiedy tu dotarł, a ubranie miał wymięte, jakby w nim spał.

- Drugi samolot! - wrzasnął Gregor. - Czy to jeden z twoich? - Był pewien, że tak. Był

to taki sam model jak ten, którym przyleciał Atropos.

- Czy zajęliście się Parkerem? - Atropos zauważył brak zrozumienia na twarzy Gregora i dodał: - Allen Parker. Kiedy mogę go zabrać?

- Wkrótce. Chcemy się tylko upewnić. Czy wiesz coś o tym samolocie?

Atropos zszedł po schodkach na ubitą ziemię pasa startowego. Minał Gregora i zdecydowanym krokiem ruszył ku strażnikom. Zza baraków wyszedł Karl Litt.

Zlustrował niebo i również powoli skierował się w stronę strażników.

- Atropos - powiedział prosząco Gregor. - Muszę wiedzieć.

- Tak, to ja.

- Miałeś nikomu nie mówić. Zaprosiłem tylko ciebie.

- Wiem.

Znaleźli się już niemal w zasięgu głosu Karla. Grymas niezadowolenia na jego twarzy już był widoczny.

- To mamy problem - odezwał się Gregor. - Powiedziałem Karlowi, że przyjedziesz sam.

Karl zbliżył się do nich.

- Co się dzieje? - zapytał głośno.

Gregor biegł przed Atroposem, unosząc do góry dłonie.

- Dowiedziałem się.

Odrzutowiec z rykiem nadleciał ze wschodu, znad drzew, i opadł na pas. Silniki zawyły, kiedy włączył się ciąg wsteczny. Samolot przeokołował obok nich z prędkością grubo ponad stu kilometrów na godzinę. Szybko zwalniał i hałas słabł. Dotarł do końca lądowiska i kiedy był w pobliżu cenny, zawrócił i powoli zbliżył się do nich.

Strażnicy unieśli broń. Gregor poczuł, że pistolet Atroposa wbija mu się w skroń.

- Powiedz im, żeby to rzucili.

Gregor zrobił, co tamten kazał, i karabiny oraz uzi brzęknęły o ziemię.

Atropos opuścił pistolet. Powiedział:

- Spokojnie. Wszystko jest w porządku. - Popatrzył na strażników i na Karla. -

Wszystko jest w porządku - powtórzył.

Odrzutowiec dojechał do nich i zahamował. Po dłuższej chwili silniki zgasły z jękiem, jakby wydając ostatnie tchnienie.

Gregor zobaczył ruch w kokpicie, cienie i niewyraźną twarz. Spojrzał na Atroposa, który się uśmiechał. Był spokojny i rozluźniony.

Drzwi się rozsunęły. Jedna część podniosła się do góry, a druga opadła na ziemię. Ze środka wyszedł mężczyzna.

Gregor zamrugał zdezorientowany.

Mężczyzna wyglądał identycznie jak Atropos: był tego samego wzrostu i budowy, miał takie same okulary w grubych oprawkach i takie same zmierzwione włosy.

Strażnicy wstrzymali oddech, z ich ust wydobyły się pierwsze sylaby pytań i okrzyków, a Gregor stał dalej cicho z otwartymi ustami.

Atropos wystąpił do przodu. Drugi zszedł w dół po schodkach odrzutowca i uściskali się.

Zabójca, którego Gregor poznał dzień wcześniej, obrócił się. Dotknął piersi czterema palcami i odezwał się:

- Atropos. - Klepnął w pierś nowo przybyłego tymi samymi czterema palcami. -

Atropos - powiedział.

- Obaj... obaj nazywacie się Atropos?

Skinął głową.

Do uszu Gregora dobiegł dźwięk - z początku cichy, a potem coraz głośniejszy. Był to ryk bliźniaczych silników odrzutowca nadlatującego nad wierzchołkami drzew.

Serce zaczęło mu bić mocniej na widok braci. Stali na ubitej ziemi lądowiska, przyglądając się, jak podprowadza samolot do lądowania. Ile czasu upłynęło od ich ostatniego spotkania, kiedy zebrali się wszyscy razem? Co najmniej dwa, trzy miesiące.

Każdy miał własne terytorium, własną część globu, gdzie działał. Czasami zdarzało się, że kiedy zapotrzebowanie na ich usługi przekraczało możliwości jednej osoby, pracowali razem na jednym kontynencie lub - bardzo rzadko - przy jednym zleceniu.

Jednak kilka razy do roku zbierali się nie jako koledzy po fachu, ale jako rodzina.

Czarterowali jacht w pobliżu Kuby, wynajmowali chatkę myśliwską w lasach w okolicy Hanau w Bawarii, jechali nurkować w Morzu Andamańskim w Tajlandii. Spędzanie czasu razem zawsze ich relaksowało i dodawało im sił, ale przede wszystkim przynosiło poczucie spełnienia. Tylko wtedy każdy z nich czuł, że jest w pełni sobą.

Atropos słyszał, że u par z długim stażem małżeńskim każda rozłąka może być bolesna dla współmałżonków - przebywanie razem przez długi czas sprawiło, że scedowali na siebie tyle intelektualnych i emocjonalnych ról, że nawet socjologowie uważali, iż ci ludzie nie są w pełni sobą bez współmałżonka. Tak było i z nimi, z Atroposem, tak czuli się przez te długie miesiące rozdzielające okresy, kiedy byli razem i znowu stawali się jednością.

Ich ojciec był wielkim zabójcą i także nazywał się Atropos, jak jego ojciec i dziadek.

Zrozumiał potencjalne korzyści z narodzin bliźniąt - zarówno finansowe, jak i te związane z prestiżem jego imienia. Nowa technika sztucznego zapłodnienia zapewniała dużą skuteczność. W owym czasie w tym procesie zapładniało się trzy do czterech komórek jajowych, ale zazwyczaj przeżywała tylko jedna z nich. Ich ojciec przekonał lekarza, żeby zapłodnił osiem jajeczek. Przeżyła połowa.

Nauczył ich wszystkiego o zawodzie zabójcy i pozwolił im doskonalić umiejętności w praktyce na własnych zleceniach. Potem wysłał każdego z nich do mistrza innej dziedziny, na przykład: ukrywania się i włamania, ucieczki i uników, sztuki walki i walki wręcz, broni.

„Uczcie się od siebie nawzajem - powiedział. - Najpierw opanujcie do perfekcji jedną umiejętność, a potem wszystkie”.

Dopiero po jakimś czasie docenili jego mądrość. Nie tylko ich talenty się zwielokrotniły, ale też więź między nimi stała się tak konieczna, tak integralna, jak zastawki pomiędzy komorami jednego serca.

Ojciec wpoił im również dumę z tradycji. Rozumieli swoje powołanie, swą rolę w utwierdzeniu i pomnażaniu rodzinnego dziedzictwa. Byli pierwszymi Atroposami, którzy mogli urzeczywistnić mit o

ich rodzinie. Ich przodkowie stworzyli szkielet, a oni stali się jego ciałem. I tak rozeszli się, aby rozślawić swoje imię.

Opony dotknęły ziemi, odbiły się od niej, po czym znowu opadły i zaczęły się toczyć.

Atropos przemknął obok cessozy zaparkowanej w pobliżu grupki gapiów i skierował się w stronę drugiego samolotu, który stał na przeciwległym końcu lądowiska. Zauważył żołnierzy i broń leżącą na ziemi.

To dzieło jego braci, zapewnili mu bezpieczeństwo.

Starał się nie myśleć o powodzie tego zwołanego na poczekaniu spotkania, ale czuł, jak ściska mu się gardło i kurczy żołądek. Dojechał do drugiej cessozy, skręcił i zamknął przepustnicę. Pokołował w stronę braci.

Zatrzymał samolot, wyłączył silniki i wysunął się z fotela pilota. Zatrzymał się na chwilę w kabinie, żeby przeczesać palcami włosy. Były gęste i musiał je podciąć. Zaczął

głęboko oddychać, zastanawiając się, gdzie jest czwarty brat - w jednym z samolotów, czy w jakimś innym, chłodniejszym miejscu, w kostnicy lub w chłodni.

W piersi zapłonęła mu nienawiść. Przeniósł wzrok na telewizor, gdzie kanały przeskakiwały jeden po drugim. Po kilku sekundach przeniósł się tam myślami, wyłapując wszystkie dialogi, wszystkie niuanse gry aktorów.

W porządku.

Obrócił ciężką zasuwkę w drzwiach i otworzył je pchnięciem. Niecierpliwe ręce chwyciły je z zewnątrz, pomagając im się rozsunąć. Na ustach pojawił mu się uśmiech, ale zobaczył twarze braci i radość zniknęła z jego twarzy, jakby została starta na proch.

Prawie wypadł z samolotu, wprost w ramiona, które go witały, które go potrzebowały.

Przyciągnął braci do siebie, ich głowy zetknęły się. Poczul ich siłę, ale jeszcze mocniej ich żal. Nie osiągnęli pełni. Byli razem - wszyscy, którzy pozostali - ale nie byli w pełni sobą.

Zrozumiał, że ta pustka zostanie z nimi już na zawsze.

\*

Stephen prowadził, a Julia siedziała z tyłu i stukała w klawiaturę laptopa.

- Musimy być na lotnisku przynajmniej godzinę wcześniej, wiesz o tym? - odezwał

się.

- Nie ma problemu.

Pięć minut później zatrzymał samochód.

- Załatw to szybko.

Stali przy krawężniku przed sklepem elektronicznym. Julia wyskoczyła i po paru minutach wróciła z torbą w ręce.

- Sprzedawca powiedział, że przy tej ulicy, jakieś dziesięć minut stąd, jest kręgielnia. -

Wręczyła mu opis drogi nabazgrany na odwrocie paragonu. - Transfer tego wszystkiego zajmie mi trochę czasu, więc nie musisz się śpieszyć.

Stephen zerknął na plan i ruszył furgonetką.

\*

- Panie Reynolds?

Ktoś delikatnie potrząsał nim za ramię. Poczuł ciepło od kominka po prawej stronie twarzy, a potem ciężar segregatora na kolanach. Przysnął przy przeglądaniu raportów na temat bezpieczeństwa, składanych przez różne agencje, które podlegały Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Zamrugał powiekami i zobaczył przed sobą niewyraźną twarz.

Okazało się, że z wiekiem coraz trudniej jest mu wybudzić się ze snu. Teraz była to walka przypominająca sytuację, kiedy chcesz wydostać się z głębin i nie znajdujesz powierzchni wody tam, gdzie sądziłeś, że powinna być. Podejrzewał, że łatwiejszym wyjściem byłoby po prostu poddać się i pozwolić sobie zapaść się w toń. Na razie nie znalazł

odwagi, żeby to zrobić.

Jeden z poruczników kapitana Landona uśmiechał się do niego protekcjonalnie, co zirytowało Reynoldsa.

- Czego chcesz? - Wyprostował się na fotelu, zamknął segregator i podał go młodemu.

- Połóż to na tamtym stole.

- Telefon, sir. Julia Matheson.

Kendrick zobaczył w dłoni tamtego telefon bezprzewodowy. Chwycił go, czując pewien opór, zanim mężczyzna go puścił.

- Wyjdź.

Kiedy porucznik wyszedł, Reynolds odezwał się do telefonu:

- Panna Matheson? Miło, że pani dzwoni.
- Atropos zabrał Allena Parkera.
- Zabrał?
- Odleciał z nim swoim odrzutowcem. Zabrał...
- Nie słyszałem, żeby kiedykolwiek zrobił coś takiego. Jest zabójcą, zabija. Czego chce od pani przyjaciela?
- Okupu? Dowodów?
- A pani wciąż je ma?
- Tak, i coś więcej. Wiemy, gdzie się udał. Mówił pan, że chce odnaleźć Karla Litta?

Kendrick pochylił się do przodu. Poczul stare, znajome ukłucie w piersi, oczekiwanie na osiągnięcie dawno pożądanego celu.

- Wie pani, gdzie on jest? - jego głos był prawie szeptem.
- Chcemy odzyskać Allena. Czy pomoże nam pan w tym?
- Tak, oczywiście. Gdzie?
- Czy pomoże nam pan uratować Allena? Czy mam pańskie słowo?
- Użyję wszystkich dostępnych mi środków, a sądzę, że pani wie, iż mam duże możliwości. A teraz: gdzie?
- Czy może pan namierzyć tę rozmowę?
- To już zostało zrobione. Panno Matheson, proszę mi powiedzieć, gdzie jest Karl Litt, a odzyska pani przyjaciela jeszcze przed nocą.

Cisza.

- Panno Matheson? Halo?

Podniósł się z fotela i chwycił leżącą obok laskę, potknął się i podtrzymał. Już dawno nie poruszał się tak szybko jak teraz, kiedy zmierzał do drzwi.

- Landon! - zawołał. - Niech ktoś tu przyjdzie!

Pchnął drzwi, zaskakując porucznika po drugiej stronie. Podał mu telefon niczym zmęczony i ranny



biegacz przekazujący pałeczkę w sztafecie.

- Namierz to. Pośpiesz się!

\*

Julia zamknęła telefon i twardego dysku w szafce w szatni kręgielni i wyciągnęła klucz.

Rozejrzała się wokół, ogarniając wzrokiem graczy, widzów kilka osób przy barze z przekąskami. Nikt nie zwracał na nią uwagi. W powietrzu czuć było zapach piwa, potu i proszku przypominającego talk. Wyobraziła sobie ludzi, których przyśle Kendrick - jak zaczną wywazywać drzwi do wszystkich szafek po kolei, zanim znajdą tę właściwą. Stali bywalcy będą mieć na jakiś czas temat do rozmów, a potem zapomną.

Nie wiedziała, czy Kendrick będzie się jeszcze interesował nią i Stephenem, kiedy już zdobędzie to, czego chce, ale nie zamierzała ryzykować. Chciała się znaleźć w samolocie, zanim Kendrick zobaczy dane, które dostarczył Vero. Nic nie mogło ich powstrzymać przed sprowadzeniem Allena z powrotem. Miała tylko nadzieję, że Kendrick dotrzyma słowa.

Po drodze do furgonetki wrzuciła kluczyk do śmieci.

Lecieli boeingiem 767 nad Karaibami, kiedy Stephen oznajmił, że chciałby jeszcze raz obejrzeć film Vero. Julia ustawiła laptop na stoliku przed nim i wytłumaczyła mu, jak otworzyć plik. Jego wielkie palce zawisły nad klawiaturą niczym tłuste ptaki próbujące usiąść na malutkich grzędach. Opuścił w dół palec wskazujący i wcisnął kilka przycisków naraz.

- Aaa! - krzyknął i ostrożnie stuknął we właściwy klawisz. - Świat nie został

stworzony dla dużych.

- Nie mogę powiedzieć, że bym rozumiała, co czujesz. - Zerknęła na monitor, ale zobaczyła tylko filtr prywatyzujący, który uruchomiła, zanim przyjechali na lotnisko.

Tylko osoba siedząca dokładnie na wprost monitora widziała obraz na ekranie.

- Stephen - zaczęła wolno, myśląc o tym, co chce powiedzieć. - Kilka razy Allen zaczynał coś mówić o tym, dlaczego rzuciłeś medycynę i zostałeś pastorem. Powstrzymałeś go. Czy możesz powiedzieć mi teraz? Jestem po prostu ciekawa. - Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego ręki.

Wpatrzył się w nią wzrokiem bez wyrazu.

- Zabiłem człowieka - powiedział. - Zamordowałem go.

Jej dłoń lekko drgnęła. Miała nadzieję, że tego nie zauważył.

Przesunął wzrok na okno.

- Wtedy, a było to kilka miesięcy przed ukończeniem medycyny, byłem dosyć pewny siebie. Szanowana, zamożna rodzina. Żadnych problemów z randkami. Miałem już załatwiony staż w bostońskim szpitalu Massachusetts General. Ale studia medyczne są ciężkie. W te rzadkie wieczory, kiedy nie miałem wieczornych zajęć, nie uczyłem się ani nie pracowałem społecznie w miejscowej przychodni, imprezowałem w knajpach. Ostro.

Tak robiła większość z nas. W ciągu jednej nocy próbowaliśmy oczyścić organizm z dwóch miesięcy dużego napięcia.

Przerwał i poruszył się na fotelu.

- Byliśmy w sportowym pubie „U Malone'a”. Na ekranach wszystkich telewizorów wyświetlany był mecz Celtics i Bucks. Kiloro z nas zaczęło się zachowywać dosyć głośno.

Obrócił się do Julii i nachylił się bliżej.

- Jeden gość przy barze powiedział, żebyśmy się zamknęli. Jeff - mój kumpel - zaczął

się z nim przekrzykiwać. Facet podszedł z zaczepną miną i rzucił Jeffowi na kolana całą miskę pieczonych ziemniaków. Jeff był niskim, żyłastym facetem, zادیornym jak chihuahua.

Już miał skoczyć na tamtego przez stół, kiedy położyłem mu rękę na ramieniu i go powstrzymałem. Wtedy ten facet, który do nas podszedł, odezwał się: „To jest twoja niańka, tak? Nie chce, żeby Jeffiemu coś się stało”. Coś w tym guście.

Stephen patrzył gdzieś za Julię, całkowicie przeniósłszy się myślami w przeszłość, do tamtego baru.

- Jeff podnosi solniczkę i wali nią faceta prosto w czoło. Teraz obaj próbują przejść przez stół. Muszę wstać, żeby ich przytrzymać. Facet widzi, że się podnoszę i myśli, że chcę się na niego rzucić. Popycha mnie. Więc, oczywiście, ja mu oddaję, a facet siada na zadku i jedzie po podłodze. Po chwili jest już na nogach, gotowy, żeby się na mnie rzucić.

Przystaje i ocenia mój wzrost. Miałem nad nim pięćdziesiąt kilo i ponad dziesięć centymetrów przewagi. Sięga za plecy, wyciąga nóż i zaczyna nim wycinać w powietrzu kółka, rozumiesz? Ja mówię coś w stylu „Hola, kolego”, ale teraz naprawdę się nakręcam.

Wiesz, żeby tak od razu wyciągać nóż? On robi gwałtowny ruch do przodu, a ja biorę zamach i uderzam go pięścią w bok głowy.

Przerwał i się zamyślił. Wydawało się, że twarz mu się rozluźniła jak świeczka, którą zaczęło topić ciepło jej własnego rozpalonego knota.

- Upadł i już się nie podniósł. Nigdy. Mój cios złamał mu czaszkę i przerwał tętnicę oponową środkową. Aresztowali mnie za nieumyślne zabójstwo, ale w końcu uznali, że działałem w obronie własnej.

- I wygląda na to, że mieli rację - powiedziała Julia.

Stephen potrząsnął głową.

- Nigdy nie byłem zagrożony. Ten wypad do przodu był tylko wymuszoną próbą uratowania twarzy. Nie zbliżyłby się za bardzo. Widziałem to w jego oczach, bał się. Nie zaatakowałby nas, z nożem czy bez.

Poklepała go po ręce.

- W policji stosujemy taką zasadę, która nazywa się zasadą siedmiu metrów. Mówi ona, że podejrzany z bronią ostrą stanowi śmiertelne zagrożenie, jeśli znajduje się w odległości siedmiu metrów. Człowiek pokonuje taki dystans w półtorej sekundy i mniej więcej tyle czasu potrzeba policjantowi z dobrym refleksem, żeby dobyć broni i strzelić.

Upodobanie naszego społeczeństwa do broni palnej znieczuliło nas na zagrożenie, jakie stanowi nóż, którym przecież można zabić jednym pchnięciem, jednym cięciem. W sytuacji, w jakiej ty się znalazłeś, każdy rozsądny policjant zastrzeliłby tego faceta. Ja też.

Spojrzał jej w twarz, ale nic nie powiedział.

- Tamten świrował, był zły, pewnie wypił kilka drinków. Nie mogłeś być pewny, że cię nie zaatakuje. Prawdopodobnie nawet on tego nie wiedział.

Zobaczyła w twarzy Stephena, że on już dawno zdecydował: zabił niewinnego człowieka.

- A więc to właśnie tak tobą wstrząsnęło, że rzuciłeś studia i odnalazłeś Boga? -

zapytała.

- Ten facet nazywał się Wayne Reitz. Miał tylko dwadzieścia dwa lata. Jego ojciec przyszedł się ze mną zobaczyć. Był pastorem w dużym kościele. Zapłakał nad synem, a potem powiedział mi, żebym żył dalej i nie pozwolił, by ten wypadek mnie zniszczył. -

Spojrzał jej w oczy. - By nie zniszczył mnie. Cóż, jednak byłem zdruzgotany świadomością, że potrafiłem zrobić coś takiego gołymi rękami. Przyszły uzdrowiciel, który miał złożyć przysięgę Hipokratesa mówiącą, aby nie czynić szkody. Ten ciężar mnie przygniatał.

Wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze.

- Wersja skrócona: poszedłem do kościoła pastora Reitza. Chciałem się dowiedzieć, czy jego życzliwe słowa były prawdziwe. Jak to możliwe, że mnie nie nienawidzi?

Opowiedział mi o woli Boga i o przebaczeniu. Zajęło mi to dużo czasu, ale wreszcie mogłem znowu oddychać. Zacząłem pomagać przy kościele, poszedłem do seminarium. Nie zostałem lekarzem.

W jego oczach zobaczyła wciąż obecny ból, jak ból fantomowy, którego doświadczają ludzie po amputacji. Ale były tam również współczucie i troska. To wszystko składało się na niechęć do wyrządzania krzywdy fizycznej.

- Jako pastor, jako człowiek pełen współczucia - odezwała się Julia - wierzysz w walkę ze złem, prawda?

Przytaknął.

Zostawiła tę myśl w zawieszeniu. Uśmiechnęła się i oparła o wygiętą ścianę samolotu.

Pod głowę wcisnęła sobie niewielką niebieską poduszkę i zamknęła oczy. Po kilku chwilach usłyszała, jak Stephen klika coś na laptopie.

Otworzyła jedno oko.

- Masz to?

- Chcę tylko jeszcze raz obejrzeć te filmy - powiedział, nasuwając słuchawki na uszy.

- Coś nam umyka. Wiem o tym.

Zamknęła oczy.

- Daj znać, jeśli będziesz potrzebować pomocy.

Julia szturchnęła widelcem wyschniętą pierś kurczaka na plastikowej tacce Stephena.

- Nie będziesz jadł? - zapytała z ustami pełnymi czegoś, co wyglądało jak fasolka szparagowa.

- He? - powiedział, odrywając oczy od monitora laptopa. Julia wciąż trzymała widelec nad jego kurczakiem. Obiad Stephena leżał na jej składanym stoliku, bo jego stolik był zajęty przez laptop. - Nie krępuj się. Nie jestem głodny.

Wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, co widać na ekranie. Leciał właśnie fragment przedstawiający gwałtowną śmierć mężczyzny w szpitalu. Przełknęła z trudem.

- Coś nie tak?

Stephen odchylił się do tyłu i potrząsnął głową.

- Obejrzałem te filmy kilkanaście razy, przewinałem listę nazwisk, przestudiowałem mapę. Muszę wierzyć, że są to części planu ataku na Stany Zjednoczone, ale mam uczucie, że coś przeoczyłem. - Z trudem ubierał myśli w słowa. - Zupełnie jakbym stał zbyt blisko mozaiki: nie mogę ogarnąć całego obrazu.

- Kamera skupia się na ofierze - stwierdziła Julia. - To musi być ktoś ważny.

- Właśnie o to chodzi. On jest nikim. Po prostu przeciętny człowiek, który zaraża się. -

Nagle zbladł.

- Stephen? Co się stało?

- To jest takie oczywiste - powiedział powoli, goniąc rozbiegane myśli. - Kiedy ten człowiek zaraził się Ebolą?

- Założyliśmy, że wtedy, kiedy samolot do oprysków przeleciał nad nimi, że wirus był w tym proszku, który na nich zrzucano.

- Na nich?

- Na mężczyzn, którzy jedli lunch, i między innymi na naszą ofiarę.

- Kiedy kamera zaczęła go śledzić?

- Sądząc po godzinach i datach na ekranie, filmowanie zaczęło rankiem tego samego dnia.

- No właśnie. Obejrzyj wszystkie sceny, przyjrzyj się im uważnie. Niemal wszyscy mężczyźni, którzy jedli lunch z ofiarą - może nawet dokładnie wszyscy, muszę sprawdzić to jeszcze raz - byli na jego pogrzebie. Byli tam, oplakiwali go, tańczyli, przyglądali się.

- Więc? - zapytała Julia, przeciągając słowo i kręcąc głową.

Więc - zaczął Stephen, a jego oczy były szeroko rozwarte i widać w nich było strach -

skąd operator kamery wiedział, który z mężczyzn zaraził się Ebolą z proszku zrzuconego na grupę dwudziestu osób?

\*

Kendrick Reynolds opierał się na lasce, stojąc w pokoju, o którego istnieniu niewielu ludzi słyszało, a jeszcze mniej go widziało. Pokój miał owalny kształt, podobny do trzech bardziej znanych sal na wyższych piętrach i był położony kilkanaście metrów pod parterem właściwego Białego Domu. Według standardów Pennsylvania Avenue urządzony był po spartańsku i przypominał czytelną w męskim klubie: pomieszczenie było umeblowane fotelami z uszakami i otomanami ustawionymi w skupiska ułatwiające siedzącym wygodne prowadzenie rozmowy. W centrum pokoju dominowały biedermeierowska sofa i prosty stolik kawowy. Ponieważ nie dotarły tutaj dekoracyjne zapędy Pierwszych Dam, ściany pokoju pozostały białe, a dwadzieścia kilka obrazów wiszących na ścianach przedstawiło mało znane krwawe lub obsceniczne eksperymenty takich współczesnych mistrzów, jak Eakins, Rodin czy de Kooning. Gdyby żonie Reynoldsa dane było obejrzeć tę salę, uznałaby jej wystrój za dowód na to, że płeć męska nie jest zdolna pogodzić swej męskości z kulturą.

„Ale ważniejsze od estetyki wystroju - pomyślał Reynolds - były zabezpieczenia pokoju”.

Jego ściany, sufit, podłogę oraz jedyne drzwi oplatała siatka cienkich drucików, która otaczała pomieszczenie polem elektromagnetycznym. Nawet powietrze, włączane i wywiewane przez dwa ogromne otwory wentylacyjne w suficie, przechodziło przez filtry zasilane tym samym polem

elektromagnetycznym. Żaden sygnał - od brzmienia ludzkiego głosu po najbardziej zaawansowane sygnały pulsacyjne - nie mógł przedostać się przez tę barierę. Był to jeden z kilku pokoi na świecie, gdzie użycie podsłuchu było zupełnie niemożliwe. Nie było tu linii telefonicznych, stałych komputerów, gniazdek ani kabli elektrycznych, dzięki którym można wysłać do świata zewnętrznego sygnały z użyciem metody inwigilacji zwanej prądem nośnym. Lampy w tej sali były wyposażone w takie same żarówki jak te używane na łodziach podwodnych, wymagające wymiany tylko raz na rok.

Chociaż goście byli przed wejściem prześwietlani na wiele sposobów i przeszukiwani za pomocą omomierzy, strażnicy obsługujący tę aparaturę szukali urządzeń nagrywających, a nie podsłuchowych, bo takie były tutaj bezużyteczne w związku z działaniem pola magnetycznego. Komputery, które przynoszono do tego pokoju, musiały mieć certyfikat TEMPEST, co oznaczało, że emitowane przez nie promieniowanie elektromagnetyczne były zbyt słabe, żeby można je było wyłapać z wykorzystaniem urządzeń przeznaczonych do ich odbioru, aby następnie odtworzyć z nich oryginalne dane.

Reynolds odwrócił wzrok od niepokojąco agresywnego monochromu H.R. Giger'a i pokiwał do dużego stołu, gdzie czekał jego laptop okazujący więcej cierpliwości niż on sam. Wyciągnął rękę w stronę zamkniętego wieczka i dostrzegł, że dłoń lekko mu drży.

Zacisnął ją w pięść i spojrzał na nią tak, jakby patrzył na martwego węża.

Usłyszał, że otwierają się drzwi, i podniósł wzrok. John Franklin właśnie przekraczał

próg, a za nim do środka wsunął głowę strażnik, który zamykał drzwi.

- Kendrick, co się stało? - zapytał prezydent. Zbliżał się do pięćdziesiątki, miał

kwadratową szczękę, niebieskie oczy i wygląd podstarzałego złotego chłopca. Jego postawa i wytworne maniery odzwierciedlały życie spędzone w luksusie. Gęste włosy prezydenta były sztucznie przyprószone siwizną, bo specjalista od wyglądu stwierdził, że to będzie sugerować mądrość i doświadczenie.

Kendrick zaczekał na trzask zasuwki i syk domykającego drzwi mechanizmu hydraulicznego, dzięki któremu pokój był całkowicie dźwiękoszczelny. Kiedy to usłyszał, powiedział:

- Mamy problem, niemały.

Prezydent wyćwiczonym ruchem uniósł nieznacznie w górę jedną brew.

Kendrick ciągnął:

- Jak wiesz, w ramach jednego z prowadzonych przeze mnie projektów poszukiwałem człowieka, który nazywa się Karl Litt.

Prezydent usiadł na sofie i założył nogę na nogę. Poszukał w pamięci.

- To ten naukowiec, który zniknął.

- Tak, prawie trzydzieści lat temu. Ale, Jack, jest jeszcze kilka innych rzeczy, których ci o nim nie mówiłem. - Kendrick wzdygnął się na widok zmarszczonych brwi prezydenta, ale dodał swobodnie: - Nie chciałem, żeby to wyszło na światło dzienne.

Teraz zauważył, że prezydent jest zaciekawiony. Kendrick już miał podnieść laptop, ale pomyślał o swojej lasce i o tym, że może się przewrócić, a wtedy urządzenie spadnie na ziemię, więc zwrócił się do prezydenta:

- Przepraszam. Mógłbyś?

Prezydent poderwał się i przeniósł komputer na stolik kawowy. Kiedy obaj usiedli, Kendrick otworzył laptop i wcisnął przycisk zasilania.

- Nie będę cię zanudzał szczegółami, które pewnie słyszałeś już setki razy. Wstęp będzie krótki. Pod koniec drugiej wojny światowej Stany Zjednoczone zwerbowały setki niemieckich naukowców. Wielu z nich przywieziono tu potajemnie, tak by inne kraje nie dowiedziały się, kogo mamy ani co robimy. Niemal wszyscy ci naukowcy wnieśli później nieoceniony wkład w nasz rozwój technologiczny i poprawę obronności kraju. Tacy fizycy jak Wernher von Braun czy Otto Hahn stworzyli program energii atomowej w Las Cruces.

Hubertus Strughold został wysłany do Szkoły Medycyny Lotniczej w Randolph, gdzie kontynuował eksperymenty na ludziach w zakresie wojny radiologicznej. Gerard Schrader, który opracował gaz o nazwie tabun, działający na układ nerwowy, został przydzielony do programu Wojny Biologiczno-Chemicznej nadzorowanego przez CIA. Byli wszędzie, pracowali nad wszystkim, począwszy od napędu odrzutowego, po techniki kontroli umysłu.

Zerknął na monitor komputera, który wciąż się zmieniał.

- Ja pracowałem głównie z biologami. Spotkałem Karla Litta, kiedy jego ojciec, zamiast naukowców, których oczekiwaliśmy, przysłał do nas jego i trzydzieścioro czworo innych utalentowanych dzieci. Żeby się nie rozwodzić, powiem tylko, że mój program doskonalenia broni biologicznej był równie udany jak inne projekty. Nasz był najbardziej tajny. Nikomu nie podoba się pomysł celowego wykorzystania zarazków do zabijania ludzi.

Są zbyt nieprzewidywalne, mutują. Energia nuklearna jest ograniczona. Gdyby wybuchły wszystkie istniejące bomby, zniszczyłyby świat. Ale gdyby wybuchła jedna bomba, dziesięć albo sto bomb, byłoby to - oczywiście - straszne, ale większość populacji by przetrwała. Z

drugiej strony, jeden niezwykle agresywny wirus może działać w nieskończoność, zabijając żywiciela, przenosząc się na kolejną osobę i na następną, w postępie geometrycznym. Może mutować, uniemożliwiając próby powstrzymania go. Poza tym bomba zabija szybko, a śmierć spowodowana przez wirus może być przerażająco powolna, niewyobrażalnie bolesna. No i, rozkładając się od środka, mielibyśmy dodatkową przyjemność oglądania, jak nasi bliscy wykrwawiają się obok nas.

Twarz prezydenta odzwierciedlała obrzydzenie. Podniósł się, podszedł do kredensu i otworzył jedne

z drzwiczek. Wyjął karafkę i dwie kryształowe szklaneczki.

- Whisky? Glenlivet - zaproponował.

- Poproszę. - Kendrick spojrział na drugą stronę pokoju na sugestywnie przedstawiony w oleju triumf Dawida nad Goliatem. Chłopiec na obrazie nie tylko odciął olbrzymowi głowę, ale zaczął także pożerać jego przerośnięte serce.

Prezydent powrócił na kanapę, ustawił szklanki na stoliku obok laptopa i nalał whisky na dwa palce. Zawahał się przez chwilę, po czym podwoił ilość alkoholu w każdej ze szklanek. Wręczył jedną z nich Kendrickowi, a sam upił łyżeczek z drugiej.

Kendrick zaczerpnął duży łyk, posmakował i przełknął. Trzymając szklankę tuż pod brodą, powiedział:

- Pod koniec drugiej wojny światowej armia radziecka odkryła fabrykę broni biologicznej w Dyhernfurth w Niemczech. Wiedza o tym, że naziści produkowali takie rzeczy, rozwścieczyła świat jeszcze bardziej niż ich konwencjonalna machina wojenna. W

1979 roku liczne zakażenia wąglikiem w Swierdłowsku w ZSRR zostały przypisane wypadkowi w radzieckiej fabryce produkującej broń biologiczną. Wywołało to oburzenie obywateli radzieckich i światowej opinii publicznej. Ten incydent stał się początkiem końca komunizmu. - Upił łyk ze szklanki. - Ludziom nie podobają się takie rzeczy.

Prezydent skinął głową.

- Dlatego właśnie przestaliśmy się tym zajmować.

Kendrick uśmiechnął się.

- Niezupełnie. Jako naród nie możemy pozwolić innym krajom wyprzedzić się na tym polu, musimy się tym zajmować choćby po to, by poznać zagrożenie i opracować strategię obrony przed nim.

- Protokół Genewski.

Kendrick z szacunkiem skłonił głowę, zdziwiony, że Jack Franklin znał ten cytat.

Protokół Genewski z 1925 roku był traktatem podpisanym przez państwa Ligi Narodów i zakazywał ofensywnego użycia czynników biologicznych i chemicznych, ale dopuszczał ich wykorzystanie w przypadku obrony przed atakiem. Traktat nadal obowiązywał.

- W 1969 - kontynuował Kendrick - Nixon ogłosił, że Stany Zjednoczone ze swej strony wycofują się z użycia broni toksycznej i biologicznej oraz nakazał zniszczyć wszystkie zasoby tej broni na terenie kraju. Jego administracja zrobiła niezłe przedstawienie z zamiany ośrodka badań nad bronią biologiczną w Fort Detrick na laboratorium badań nad rakiem.

Podobny los spotkał też inne ośrodki.



Prezydent, pełen powagi, zmarszczył brwi.

- Jestem świadom, że wiele z tych ośrodków przetrwało i kontynuowało.

eksperymenty, badania, to, czym się zajmowały.

- Duch Protokołu Genewskiego pozwolił nam utrzymać kilka ośrodków, najtajniejszych laboratoriów zajmujących się supertajnym programem wirusowym.

Prezydent skinął głową.

- Ale nie wiesz, że Karl Litt był szczególnie zainteresowany pracą nad chorobami typowymi dla ras.

- Typowymi dla ras? Chodzi ci o...

- Chciał wybierać za cel konkretne grupy ludzi i je unicestwiać.

Prezydent chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego zdecydował się wlać do ust całą zawartość szklanki.

Kendrick mówił dalej:

- Sądzę, że było to pokłosie wpływu jego ojca, tego, nad czym pracował. Josef Litt nauczył syna niesamowitych rzeczy na polu nauki. Być może zaszczerpił w nim również niechęć do Żydów. Jeśli tak, to Karl dobrze się z tym krył. Nigdy nie widziałem, żeby coś po sobie pokazał. - Wzdrygnął się. - A może zajmował się tym, by uczcić pamięć ojca. Bardzo go kochał i myślę, że chciał w pewnym sensie oddać mu hołd.

- Mówisz o Ostatecznym Rozwiązaniu. - Prezydent potrząsnął głową. - Ale Żydzi nie są rasą.

- Rodowód większości Żydów sięga grupy semickich plemion koczowniczych zamieszkujących okolice na wschód od Morza Śródziemnego przed 1300 rokiem przed naszą erą, Hebrajczyków. To daje im tożsamość etniczną, którą genetycy populacyjni potrafią określić. Biolodzy już wiele lat temu opanowali technologię pozwalającą im rozróżniać populacje różniące się pod względem etnicznym. W ten sam sposób, w jaki można określić pewne cechy fizyczne powszechnie przypisywane ludziom o danym pochodzeniu, biolodzy potrafią analizować DNA pod kątem cech etnicznych. Litt skupił swoje wysiłki na skojarzeniu patogenów z tymi markerami etnicznymi.

Kendrick na chwilę zamilkł, przywołując wspomnienia.

- Litt powiedział mi kiedyś, że odnalazł cechę DNA występującą tylko u Aszkenazyjczyków, czyli tych Żydów, którzy osiedlili się w środkowej i wschodniej Europie i do której to grupy należy większość Żydów amerykańskich. Z jakiegoś powodu związanego z ewolucją Aszkenazyjczycy są podatni na dziesięć chorób dziedzicznych - chorobę Taya-Sachsa, wrzodziejące zapalenie okrężnicy, chorobę Gauchera, resztę zapomniałem.

Większość z tych schorzeń wywołują geny recesywne, co oznacza, że symptomy pojawiają się tylko

wtedy, gdy ktoś odziedziczy dwa zmutowane geny, po jednym od każdego z rodziców. Litt próbował zmutować drugi gen u ludzi, którzy odziedziczyli tylko jeden.

Porzucił ten pomysł, gdy okazało się, że nie może rozwiązać kwestii przyspieszenia objawów choroby, kiedy już zaszła mutacja. Po prostu trwało to za długo.

- To szaleństwo - powiedział cicho prezydent. - i my wspieraliśmy te badania?

- Oczywiście. Pomyśl, jakie zastosowania miałaby substancja, która mogłaby błyskawicznie nieszkodliwić wroga, jednocześnie nie wyrządzając szkody naszym własnym ludziom. Wietnam, „Pustynna Burza” - w obu przypadkach nasze wojska musiały się zetrzeć na polu walki z armią etnicznie różniącą się od większości Amerykanów.

- To by było tyle o kulturowym tyglu.

- Z pewnością niektórzy z naszych ludzi byliby nosicielami etnicznego markera wroga i zginęliby. Nie ma na to rady, przynajmniej na razie. Ale straty po naszej stronie byłyby bez porównania mniejsze niż straty poniesione w trakcie wojny konwencjonalnej.

Kendrick patrzył, jak prezydent próbuje to wszystko ogarnąć. Czuł, że przytłacza go złowrogi wystrój tego wnętrza. Kolekcja, mająca - jak zawsze podejrzewał - pobudzać odwagę i agresję u ludzi, którzy zbierali się tutaj, by decydować o kwestiach wojennych, w kontekście prowadzonej przez nich rozmowy budziła wyłącznie odrazę.

- Ale, ludobójstwo? - odezwał się wreszcie prezydent.

- Tak, użycie wirusa w złym zamiarze i przeciw niewinnym ludziom byłoby ludobójstwem - zgodził się Kendrick. - Ale to nigdy nie było naszym zamiarem.

- Czy to jest zamiarem Litta? - Coś przyszło prezydentowi do głowy i nachylił się w stronę Kendricka. - Chcesz powiedzieć, że Litt udoskonalił tego wirusa zabijającego Żydów?

Kendrick, czy on planuje atak na Żydów?

Kendrick powstrzymał chęć, by opuścić głowę. Zamiast tego pochylił się do przodu.

- To coś jeszcze gorszego, Jack. Znacznie gorszego.

Na laptopie wyświetlone było menu plików, które otrzymał od Julii Matheson.

Kendrick sięgnął do wskaźnika dotykowego. Powiedział:

- Obejrzyj te filmy bardzo dokładnie. Pierwszy przedstawia próbę terenową wirusa Eboli. - Na ekranie pojawiła się wieś z bitymi drogami. Kiedy czarny mężczyzna wyszedł z chaty, Kendrick zaczął mówić dalej: - Ebola bardzo przypomina wirus wścieklizny. Tak naprawdę wirus Ebola został stworzony w laboratorium Elk Mountain w czasie, kiedy urzędował tam Karl.

Jack Franklin najpierw skinął głową, a potem zmarszczył brwi.

- Czekaj, co?

Kendrick stuknął w klawisz, żeby zatrzymać film.

- Litt stworzył Ebolę?

- W trakcie tych swoich zabaw z wirusem wścieklizny - potwierdził Kendrick. -

Próbował uczynić go bardziej zjadliwym, bardziej śmiertelnośnym, przyspieszyć jego działanie. Zanim się zorientowaliśmy, to już nie była wścieklizna. To było coś nowego.

- Ale epidemie w... tym.

- Pierwsza wybuchła w Sudanie w 1976 roku, po tym, jak zniknął Karl. Oczywiście, kiedy wirus był u nas w laboratorium, nie nazywał się Ebola. On nazwał go Zorn, czyli Zorn des Gottes - gniew Boga. Dopiero kiedy zobaczyłem slajd wirusa Eboli, który wygląda jak znak „&” lub klucz wiolinowy z długim ogonkiem, zrozumiałem, że Karl jest gdzieś tam, doskonali swój wytwór i robi próby w terenie.

Jack Franklin zapatrzył się nieobecny wzrokiem w ciemny kąt pokoju. Opadła z niego prezydencka maska. Rozważał konsekwencje tego, co uczynił Karl, po prostu jako człowiek, członek rasy ludzkiej. Kendrick liczył na to, że uda mu się utrzymać prezydenta w tym stanie umysłu przynajmniej do punktu zwrotnego swojej prezentacji. Podniósł karafkę i ponownie napełnił kieliszki. Prezydent wpatrzył się w wirujący złotawy płyn, po czym uniósł

szklankę do ust. Wskazał głową na laptop. Kendrick uruchomił odtwarzanie.

Kiedy Jack Franklin patrzył, jak choroba wyniszcza człowieka na ekranie, nad jego górną wargą i na czole pojawiła się cienka warstewka potu. Wiele razy spoglądał na Kendricka, który z powagą kiwał głową. Drugi film rozpoczął się zaraz po tym, jak skończył

się pierwszy.

Kendrick przechylił się na bok i z prawej kieszeni marynarki wyłowił fajkę z pianki morskiej. Potem nachylił się w drugą stronę i z kieszeni po przeciwnej stronie wydobył

niewielki woreczek. Wyjął z niego porcyjkę tytoniu i nałożył ją od góry do głowy Boga, bardzo starannie kształtując w kopczyk nieposłuszne źdźbła. Wetknął fajkę pomiędzy zęby.

Schował woreczek, z tej samej kieszeni wyjął zapalniczkę i przyłożył nad główką pięciocentymetrowy płomień.

Film dobiegł końca i w jego miejsce na ekranie pojawiło się menu.

- Kim jest ten mężczyzna na końcu?

- To Karl Litt.

- Co mu się stało?

- Został narażony na kontakt z jednym z pierwszych szczepów Zorna. To go zmieniło.

Najwyraźniej musiało to wyniszczać jego ciało przez wszystkie te lata. - Wciągnął dym z fajki, po

czym go wypuścił, a jego kłęby znikły w otworze wentylacyjnym. -

Zidentyfikowaliśmy tę opuszczoną bazę lotniczą z drugiego filmu. A to...

Wybrał plik. Ekran wypełniła mapa wschodniego wybrzeża, Karaibów i Ameryki Południowej. Wskazał na czerwoną plamkę migającą nad Chattanooga.

- To jest nagranie z satelity, w czasie realnym. To samolot, który w końcu ląduje w tej bazie.

- Wiesz, gdzie on jest.

- Jest jeszcze jedna sprawa. - Wywołał mapę Stanów Zjednoczonych. Mniej więcej kilkanaście obszarów świeciło na czerwono. Zrobił zbliżenie jednego z nich, które ujawniło wyraźny jajowaty kształt na tle niebieskich oznaczeń mapy. - Co ci to przypomina?

- Chicago.

- Spójrz na nałożoną na mapę czerwień.

Prezydent przyjrzał się bliżej. W samym środku kolor miał odcień krwistej czerwieni, a dalej rozjaśniał się nieregularnie aż do jasnego różu. Po całym zabarwionym obszarze były rozrzucone białe piegi. Oczy prezydenta rozwarły się szerzej. - To jest obszar rażenia.

- Tylko mniej okrągły.

- Tak, tak. - Zdawało się, że prezydent ma problemy z oddychaniem.

- To jest obszar skażenia biochemicznego - powiedział Kendrick. - Ciemna czerwień oznacza bliską odległość od początkowego źródła skażenia. - Dotknął ekranu główką fajki. -

Kształt ten jest określany na podstawie oceny kierunku i prędkości wiatru, wilgotności, przeszkód terenowych, wektora ciężkości i tak dalej.

Prezydent skinął głową. Kendrick wiedział, że Jack Franklin widywał już takie rysunki dołączone do budżetów obronnych, przedstawiające hipotetyczne scenariusze ataków terrorystycznych. Ale ten był inny.

- Czym są te białe kropki?

- To cele - oparł z prostotą Kendrick. - Konkretnie cele, konkretne adresy. Spójrz tutaj.

- Kliknął w klawiaturę i na ekranie pojawiła się lista nazwisk, adresów i procedur medycznych. Dane zaczęły się przewijać jak napisy końcowe. Na monitorze przelatywały nazwisko za nazwiskiem. - Każda biała kropka na mapie przedstawia jedno z tych nazwisk.

Wszystkie mieszczą się na obszarze dwudziestu krain geograficznych Stanów Zjednoczonych.

- Nie rozumiem - powiedział prezydent, patrząc na przewijające się nazwiska. - Litt określił swoje ofiary po nazwisku? Dlaczego?

- Żeby udowodnić, że potrafi. - Kendrick wetknął fajkę do ust i od razu wypuścił niewielki kłęb dymu.

- Tak wielu.

- Dziesięć tysięcy. Dwadzieścia stron, pięćset nazwisk na każdej stronie.

Prezydent poderwał gwałtownie głowę do góry, jakby został spoliczkowany. Wokół oczu pojawiły mu się płomieniste obwódki.

- Sami Żydzi?

Kendrick wzruszył ramionami.

- Na tę listę mógł trafić każdy. Żydzi, Afroamerykanie, Azjaci, biali. Chyba można powiedzieć, że Litt stał się z wiekiem mniej wybredny.

Prezydent przeniósł wzrok z Kendricka na dane przewijające się na ekranie.

Wyciągnął dłonie i palcami obu rąk zaczął dźgać w klawisz za klawiszem, najwyraźniej na oślep.

- Zatrzymaj to! Zatrzymaj!

Kendrick uderzył w przycisk spacji. Nazwiska zamarły w miejscu.

- To jest ohydne - wyrzucił z siebie prezydent, zdenerwowany i zde gustowany. Wstał, zdecydowanie ruszył do drzwi, ale się zatrzymał. Obejrzał trzymaną w ręku szklankę i ją opróżnił. Nie odwracając się, powiedział: - Twoje oszacowanie nie może być właściwe. Atak biologiczny z użyciem patogenu, który działa na wszystkich? Białe kropki pokryłyby cały czerwony obszar. Każdy mógłby się zarazić. Brak precyzji i masowe ofiary są typowe dla broni biochemicznej. Jaki jest cel wyszczególniania tysiąca ofiar spośród milionów?

- Powiedziałem, że na tę listę mógł trafić każdy, ale nie wszyscy. Litt wie, kogo zabije jego wirus. Sam ich wybrał.

Prezydent się odwrócił.

- Wybrał ich?

Kendrick rozparł się na sofie, zakładając jedną rękę za oparcie, a drugą unosząc do ust, by wyjąć z nich fajkę.

- Najwyraźniej Litt opracował taki szczep wirusa Ebola, który wyszukuje poszczególne jednostki z konkretnym DNA. Kiedy zostanie wypuszczony do atmosfery, wirus prawdopodobnie przenosi się z jednego żywiciela na drugiego niczym wirus grypy, ale nieszkodliwy. Sprawdza DNA każdego żywiciela, porównując je z jakimś zestawem instrukcji, który został mu wkodowany. Jeśli wszystko pasuje, zmienia się w prawdziwego wirusa Ebola; jeśli nie, to przenosi się na kolejnego żywiciela. I tak dopóki nie znajdzie tego, kogo szuka.

Kendrick był spokojny, rozluźniony. Znał Jacka Franklina. Ten człowiek nie zaszedł

na sam szczyt, dając sobą bezkrytycznie manipulować. Miał zwyczaj reagować inaczej niż ludzie wokół niego. Jeśli chciało się, by pozostał spokojny, najlepiej było wpaść przy nim w panikę, a jeśli próbowało się go zdenerwować...

Kendrick westchnął. Zamrugnął oczami. Zdawało się, że zaraz zaśnie.

- Jack - odezwał się - Karl Litt stworzył wirusa, którego można zaprogramować.

Zabójczego wirusa. Nie trzeba się zbliżać do celu. Sam wirus jest zabójcą: niewidzialnym, cichym, nie do zatrzymania. Jeśli tylko będziesz oddychał, on cię znajdzie.

Prezydent podniósł karafkę. Ramiona opadły mu po bokach, w jednej ręce trzymał

szklankę, a w drugiej butelkę whisky. Nie wykonał żadnego ruchu, żeby zbliżyć do siebie oba przedmioty. Z napiętą twarzą obszedł wokoło stolik kawowy i osunął się na sofę.

- Skąd pochodziło DNA?

- Jest mnóstwo możliwości. Zostawiamy DNA wszędzie. Jeśli szpitale nie pobierają go z naszych żył, zostawiamy je na używanych przez nas grzebieniach, dotykając językiem kleju na kopertach. Nieważne. Jakoś je zdobył. I to wystarczająco dużo, żeby zamordować dziesięć tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci.

- Czy to są ludzie, których on zna? Osobiście?

- Mało prawdopodobne.

- A więc dlaczego? Dlaczego miałby zrobić coś takiego?

- Bo może. Kiedy już świat uwierzy, że Litt jest w stanie wybierać ludzi na chybił

trafił i przeznaczać im tak brutalną śmierć oraz że może to robić bezkarnie, nie sądzisz, że wtedy ludzie zrobią wszystko, by go zadowolić? Może w ten sposób szantażować całe kraje.

Może zażądać wszystkiego: stu miliardów dolarów, miliona ludzi do niewolniczej pracy, wszystkiego. Losowa, wybiórcza śmierć. Może przypaść każdemu, wszędzie. To jest boska władza.

Prezydent potrząsnął ponuro głową.

- Dziesięć tysięcy obywateli amerykańskich?

- Na początek.

- Boże, miej litość.

- Mmmm. - Pociągnął z fajki, po czym obrócił ją dookoła, aby przyjrzeć się sepiolitowemu wizerunkowi Boga według Michała Anioła, pozwalając pasemkom dymu ulatywać leniwie spomiędzy półotwartych warg. Po minucie nachylił się i ostrożnie położył

fajkę na stole. - Ale my nie powinniśmy okazać litości.

- Co masz na myśli?

- Muszę ci pokazać coś jeszcze. - Przesunął palcem po wskaźniku dotykowym laptopa, zadowolony, że ręka przestała mu się trząść. Nazwiska zaczęły się przewijać.

Prezydent przesunął się na brzeg kanapy, nachylając się, by lepiej widzieć. Kendrick spowolnił przewijanie, zatrzymał, a potem cofnął. Znowu zatrzymał.

Prezydent wydał gwałtowny dźwięk, taki, jaki wydaje ktoś, kto widzi wypadek. Złapał

za monitor laptopa. Plastik zatrzeszczał, kiedy prezydent ścisnął go tak mocno, że aż zbieleły mu palce. Kendrick niemal czuł, jak nagrzewa się powietrze wokół niego.

Na monitorze widniały trzy nazwiska, białe litery na czarnym ekranie. Ich format i treść była podobna do pozostałych 9997 nazwisk. Ale to właśnie one i tylko one miały przypieczętować los Litta.

Kendrick podejrzewał, że pierwsze z nich - John Thorogood Franklin zamieszkały przy 1600 Pennsylvania Avenue, Waszyngton, DC - samo w sobie znaczyło niewiele dla tego człowieka. Miał w sobie dość siły, by poświęcić życie, gdyby zaszła taka potrzeba. To dwa kolejne nazwiska miały wpłynąć na prezydenta: Pierwszej Damy i ich jedenastoletniego syna, chłopca tak kochanego i hołubionego przez ojca, że media - dosyć trafnie - uznały, iż to on wygrał dla ojca wybory. Dzięki niemu bowiem John Franklin okazywał tak wielkie przywiązanie do rodziny, od dawna niewidziane u głowy państwa.

Prezydent długo patrzył na ekran ze zmarszczonym czołem. Gdyby nie unoszące się i opadające w ciężkim oddechu ramiona, można by uznać, że zmienił się w kamień na widok wstrętnej meduzy i jej węzowych loków. Kiedy się wreszcie poruszył, z jego twarzy zniknęły strach i obrzydzenie, znaczące jego rysy od momentu, gdy rozpoczął się pierwszy film.

Uczuć, które pojawiły się na ich miejsce, nie sposób było pomylić z niczym innym. Było to słuszne oburzenie i zacięta determinacja.

Kendrick też zmarszczył brwi.

- Powiedz mi - odezwał się prezydent głosem z granitu - co zrobimy, żeby to powstrzymać?



\*

Chcąc oderwać myśli od bólu i sztywności ciała, żeby móc wreszcie zapaść w sen, Julia próbowała wyszukać znajome obrazy pośród zawitych wzorów cieni na suficie. Cienie rzucała uliczna latarnia, której światło wpadało przez firanki do ich pokoju hotelowego.

Z wolna jej wyobraźnia zaczęła wyróżniać figury pośród plamistych wzorów: uśmiechnięta szeroko twarz diabła, nóż rzeźnicki, tłusty wąż, gotów do ataku, płomienie.

Lekko powiewające cieniutkie firanki wprawiły te dwa ostatnie obrazy w dziwny ruch.

Zamknęła oczy.

Samolot z Atlanty wylądował na lotnisku Guarulhos w São Paulo tuż przed północą.

O wpół do pierwszej złapali taksówkę do jednego z eleganckich hoteli przy Avenida Paulista, po czym przeszli na piechotę kilka przecznic, zagłębiając się w mniej zadbane ulice, i znaleźli hotel bardziej odpowiedni dla włóczęgów niż dla urlopowiczów. Julia cieszyła się, że taksówkarz nie będzie w stanie doprowadzić do nich prześladowców i że recepcjonista na nocnej zmianie był bardziej zainteresowany sfatygowanym czasopiśmie z gołymi panienkami, które leżało na ladzie, niż tym, kto się melduje.

Oceniła, jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś zdoła ich namierzyć w drodze do Allena.

To nie byłoby trudne. Musiała założyć, że Karl Litt odnalazł urządzenie śledzące, a to oznaczało, że jego ludzie zastawią na nich pułapkę gdzieś pomiędzy Atlantą a miejscem, do którego zmierzali. Bardziej sensowne byłoby schwytanie ich bliżej kwatery głównej Litta, gdzie jego wpływy były prawdopodobnie największe, a znajomość terenu najlepsza. Mógł

jednak przewidzieć, że oni też będą tak sądzić i wykonać ruch z dala od swojej bazy w nadziei, że ich zaskoczy. Nie miała zamiaru do tego dopuścić. Bardzo łatwo byłoby pozwolić rozrośniętej stolicy Brazylii - z tysiącem siedmiuset kilometrami kwadratowymi i szesnastoma milionami mieszkańców - dać się zwieść, nabierając fałszywego poczucia anonimowości, ale nawet tutaj musiała zachować czujność.

No i był jeszcze Kendrick. Dokładnie wiedział, dokąd zmierzają ona i Stephen, i jeśli okazałoby się, że tak bardzo zależało mu na zdobyciu danych Vero tylko dlatego, że chciał je zataić, a nie - jak twierdził - poznać plany Litta, to on też będzie próbował ich dopaść.

Postawiła wszystko na jedną kartę, kiedy poprosiła go o pomoc. Nie chciała tego przyznać przed Stephenem, ale uważała, że bez wsparcia ogniowego, które mógł zapewnić im Kendrick, ich szanse na uwolnienie Allena były takie, jakby chcieli zwyciężyć w strzelaninie uzbrojeni tylko w proce. Ale nawet jeśli Kendrick był po ich stronie, to nie była pewna, czego się po nim spodziewać. Czy będzie naciskać na Litta, by wypuścił Allena, i użyje kanałów dyplomatycznych, żeby pokonać tamtego?

Ale organizacja Litta nie była krajem, więc jaki rodzaj nacisku mogły zastosować wobec niego Stany Zjednoczone? Przypomniała sobie seminarium, na którym wykładowca postawił tezę, że wielkie

korporacje są „krajami” przyszłości. Według niego wraz z dalszym rozwojem techniki granice geograficzne, kulturowe i językowe miały odchodzić do lamusa, a ciężar władzy na świecie przesunąłby się od rządów w stronę zarządów.

Wywieranie nacisku przez wstrzymywanie kolejnych innowacji lub ich wprowadzanie stałoby się nowym sposobem na sprawowanie władzy.

Przez połączenie pozageograficznych i apolitycznych aspektów prywatnej organizacji i militarnej siły państwa plany Litta mogły okazać się czymś w rodzaju ewolucyjnego pomostu prowadzącego do cywilizacji, gdzie różne światowe Microsofty i ExxonMobile będą dyktować prawo i politykę socjalną.

Zdała sobie sprawę, że jej myśli zaczęły błądzić, i zacisnęła mocniej powieki. Trwała tak, dopóki nie zobaczyła niewielkich obłoczków czerwieni wybuchających pośród czerni.

Jeśli ta zabawa hipotezami coś jej dała, to tylko świadomość, że niemal nic nie wie o Litcie. Jak dziecko, które widzi potwora w stercie brudnej bielizny w ciemnym kącie pokoju, pozwoliła tajemniczemu wrogowi urosnąć do rangi wszytkowiedzącej, niezniszczalnej bestii.

A najprawdopodobniej był to tylko żałosny terrorysta, którego Kendrick Reynolds mógł

zgnieść jednym uderzeniem oddziału komandosów. I właśnie na takie działanie liczyła, kiedy wysyłała Kendrickowi dane z chipa.

W doskonałym świecie ona i Stephen przybyliby do kwatery głównej Litta już po tym, jak ludzie Kendricka zrobiliby tam porządek. Ona i Stephen znaleźliby Allena w polowym szpitalu, gdzie oglądałby go lekarz, lub w jakimś ruchomym centrum dowodzenia, gdzie składałby wyjaśnienia. Dostaliby pochwałę za ostrzeżenie rządu amerykańskiego przed zagrożeniem terrorystycznym. Powiedziano by im, żeby przez wzgląd na bezpieczeństwo narodowe zapomnieli o wszystkim, czego się dowiedzieli o Litcie, Eboli i plotkach o inwazji, a potem odesłano by ich do domu na pokładzie C-130, żeby mogli powrócić do swojego życia.

Otworzyła oczy, szukając głowy diabła pośród cieni nad sobą. Optymizm był ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowała. Przerodziłby się w rozczarowanie, gdyby pomoc Kendricka okazała się niewystarczająca lub gdyby w ogóle nie nadeszła. Kiedy rozczarowanie zmieniłoby się w depresję, ona stałaby się niezdecydowana i nadpobudliwa, a wtedy wszyscy by zginęli. Lepiej było opierać się na fundamencie rzeczywistości. Uratowanie Allena miało być najtrudniejszą rzeczą, na jaką się kiedykolwiek porwała, i powodzenie tego przedsięwzięcia było bardzo niepewne.

Na myśl o wyzwaniu poczuła w piersi przyływ determinacji. Na jej twarzy w ciemnościach pojawiło się coś na kształt stalowego uśmiechu.

Kiedy Julia i Stephen przyszli do pokoju, byli tak wykończeni, że rzucili się tak jak stali każde na swoje łóżko, nie rozbierając się i nie odwiedzając nawet wspólnej łazienki w korytarzu. Klimatyzator pracował i wypełniał pokój okropną kombinacją szumu, tykania i letniego powiewu. Po minucie Stephen, stękając, podniósł się z łóżka i wyłączył go.

Wtedy zasłona znieruchomiła i cienie zastygły, ułożywszy się we wzór, któremu się teraz przypatrywała.

Nadstawiła ucha i usłyszała powolny, głęboki oddech Stephena. Zaczęła rozważać, czy by go nie obudzić, żeby porozmawiać o wirusie Litta, o ich planie ataku lub o czymkolwiek, co pomogłoby jej pozbyć się tego uczucia małości i samotności. Ale wtedy zasnęła.

\*

Allen nie mógł się powstrzymać. Wciąż powracał myślami do filmu na komputerze Julii i człowieka, który został zarażony Ebolą lub tym, co oni uznali za Ebolę. Ból, krwotoki, konwulsje. Pamiętał, jak opisał to Julii: „Organy wewnętrzne zaczynają się rozkładać, jakby człowiek był już martwy, chociaż jeszcze żyje. Krew traci zdolność krzepnięcia, a potem komórki śródbłonna, które tworzą wyściółkę naczyń krwionośnych, przestają funkcjonować, więc krew wycieka. Wkrótce zaczyna się wylewać nie tylko ze wszystkich naturalnych otworów, ale także z oczu, przez pory i spod paznokci. A potem się umiera”.

Czuł to w sobie, czuł, że rozpuszcza to jego tkanki jak kwas.

Chciałby wierzyć, że to tylko jego wyobraźnia. Osiemdziesiąt procent studentów medycyny doświadcza jakiejś formy hipochondrii - szczegółowa analiza poważnych chorób przygotowuje grunt, na którym bujnie rozwijają się symptomy psychosomatyczne. Jego współlokator cierpiał z tego powodu tak bardzo, że musiał zrezygnować ze studiów. Allen nie był podatny na takie rzeczy, a nawet gdyby tak było, sądził, że potrafiłby rozpoznać różnicę pomiędzy bólem wyimaginowanym a realnym poczuciem, że rozkładają mu się wnętrzności.

Teraz czuł to drugie.

Rama łóżka polowego nadal wbijała mu się w żebra, ale teraz wyobrażał sobie, że żebra odginają się miękko pod naciskiem stelaża, że jego wątroba, nerki i płuca rozlewają się i wyciekają na podłogę.

Otworzył oczy. Poraził go jasny blask świetlówek. Ściana, którą miał dziesięć centymetrów przed nosem, była pomalowana na biało. Wałek pozostawił na niej maleńkie dziurki. Po ostatnim sprzątaniu pojawiła się na nich niewyraźna brązowa smuga. Przekręcił

się na bok i zwinął cienką poduszkę tak, żeby dać głowie lepsze oparcie.

Ktoś był w pokoju, pochylał się w stronę kąta naprzeciw łóżka. „Anioł” - pomyślał.

Biała skóra na tle białych ścian. Biała tunika udrapowana na białym ciele. Ale nie, czyż anioł

nie byłby piękny? Może nie. Ten był wyniszczony, chudy jak szkielet, a jego głowa była wielka i łysa. I nosił okulary przeciwsłoneczne.

Allen uniósł głowę i zmrużył oczy. To był człowiek. Tunika była fartuchem laboratoryjnym, ale dziwna kanciastość twarzy i bladość skóry zgadzały się z pierwszym wrażeniem Allena. Już kiedyś widział to oblicze - w komputerze Julii. To był człowiek, który zbliżył się do kamery pod koniec

drugiego filmu, kiedy Vero kręcił bazę lotniczą i laboratoria. Allen podparł się na łokciu.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Dzień dobry, doktorze - powiedział.

- Co. - Allen poczuł w gardle żyletki. Wyczuł smak krwi. Jego głos był słaby i zachrypnięty. - Co mi zrobiliście?

- Sądzę, że pan wie.

- Wiem. - przełknął sucho. - Ty jesteś Karl Litt.

Mężczyzna odepchnął się od ściany i przystąpił bliżej. Złożył ręce. Długimi paznokciami zaczął najpierw drapać wierzch jednej dłoni, a potem drugiej.

- Jak mnie rozpoznałeś?

Czy Litt nie wiedział, co było na chipie Vero? Jeśli nie, Allen nie palił się, żeby mu o tym powiedzieć. Zmienił temat.

- Czy to jest. Ebola?

- Rozpoznałeś po symptomach? Mam nadzieję, że wieść o mojej specjalizacji jednak się jeszcze nie rozniosła.

- Jak? Jak się zaraziłem? - Może zrobili mu zastrzyk, kiedy był nieprzytomny, ale raczej w to wątpił. Jeśli to był szczep przenoszący się drogą powietrzną, to. - Dlaczego ty nie jesteś chory ani ten drugi. Gregor? Dlaczego inni się nie zarazili?

- A więc jednak nie wiesz wszystkiego - Litt rozejrzał się po pokoju, po czym usiadł na skraju łóżka. - Co wiesz o DNA?

Allen podciągnął się do pozycji siedzącej. Czuł, jak jego organy wewnętrzne przemieszczają się i chlupią. Powoli, ogarnięty bólem, odchylił się, aż jego łopatki oparły się o ścianę.

- To nie moja działka.

- Jestem pewien, że jako lekarz wiesz więcej niż mechanik samochodowy. Ale chciałbym, żebyś zrozumiał puentę, więc przypomnę ci nieco podstawy. Och. - Z kieszeni na piersi wyszarpnął białą chustkę i wręczył ją Allenowi.

Allen spojrzał w dół. Po jego piersi sączyła się krew. Dotknął palcami twarzy. Dużo krwi.

Pomacał policzki, mając nadzieję, że to nie krwotok z oczu.

- Masz krwotok z nosa - powiedział Litt. - To się zdarza.

Allen wziął chustkę, wytarł ręce i twarz, po czym przycisnął ją mocno do nozdrzy.

- DNA - zaczął Litt - to dziedziczna sekwencja cząsteczek, która determinuje, jaki dana osoba będzie miała kolor skóry, kolor i kształt oczu, kolor i typ włosów, wzrost, strukturę kości - wszystkie cechy fizyczne, łącznie z chorobami genetycznymi. Każda nić DNA jest złożona z sześciu miliardów powtarzających się jednostek chemicznych zwanych nukleotydami, które składają się z czterech różnych związków chemicznych nazywanych zasadami azotowymi. Są to: A - adenina, C - cytozyna, G - guanina i T - tymina. Genom danego osobnika można zatem opisać jako GTTCGTCAAATTG. i tak dalej przez sześć miliardów liter. Sekwencje te są niepowtarzalne - u każdego człowieka ta sekwencja jest inna.

U bliźniąt są one podobne, ale jednak się różnią. Co ciekawe, przyroda... - uniósł do góry dłoń w pojednawczym geście - ...lub Bóg... Z tego co wiem, twój brat jest księdzem.

- Pastorem - odparł beznamiętnie Allen.

- Cóż, w takim razie. Bóg zaopatrzył nasze nici DNA w uniwersalne markery. Te markery są takie same dla wszystkich. Przypominają znaki drogowe mówiące, za co odpowiadają następujące po nich kody DNA - za wzrost, za kolor włosów, płasawicę Huntingtona, otyłość. Te markery upraszczają proces wyszukiwania sekwencji, które są wyłączną cechą konkretnych jednostek. Ilu bandziorów siedzi za kratkami, bo zostawili trochę swojego DNA na miejscu przestępstwa: krew, nasienie, skórę, cebulki włosów?

- W porządku - powiedział Allen. - DNA jest niepowtarzalne i można je zidentyfikować. To nie wyjaśnia.

- Już, już, doktorze. To jest naprawdę fascynujące, więc proszę mnie wysłuchać. -

Odchrząknął. - Jestem przekonany, że lepiej zna się pan na wirusach. Gwoli przypomnienia: wirus jest zaprojektowany tak, aby przetrwać. Cokolwiek musi zrobić, żeby się zreplikować -

lub, jeśli pan woli, zapewnić ciągłość swojemu gatunkowi - zrobi to. To może oznaczać potrzebę mutacji, aby uniknąć zagrożenia takiego jak przeciwciała, lub aby uniknąć konkurencji z innym, silniejszym wirusem. Dlatego jest ich tak wiele. Herpeswirusy wyszukują komórki tkanki nerwowej, wirus ptasiej grypy zmierza wprost do pęcherzyków płucnych. Wirus przypomina klucz szukający komórki z odpowiadającym mu zamkiem.

Kiedy znajdzie właściwą komórkę, otwiera ją i wkracza do środka jak złodziej z kluczem do sklepu jubilerskiego. Wirus zmusza DNA komórki, aby przestało zajmować się tym, co robi, i skupiło się na replikacji wirusa. I tak komórka ulega zniszczeniu, a wirus się namnaża. W

przypadku Eboli komórki, które rekwiruje, to te budujące naczynia krwionośne i organy.

Skoro już wiemy, że wirus jest zdolny odnaleźć to, czego potrzebuje, dlaczego mu tego nie wskazać? Splicing, czyli składanie genów, jest teraz stosunkowo prostą sprawą. Istnieje na przykład

technologia pozwalająca usunąć gen decydujący o brązowym kolorze oczu i dosłownie wstawić na jego miejsce gen oczu niebieskich. Ja jednak nie zmieniłem tego, czego szuka wirus Ebola. Po prostu dodałem kolejny zamek. Kiedy Ebola odnajduje komórkę tkanki, normalnie by ją otworzył, ale wtedy napotyka kolejny zamek i nie może się dostać do środka. Ten drugi zamek to DNA konkretnej osoby, taki wycinek sekwencji, który pozwoli na odróżnienie tej osoby od niemal wszystkich innych osób na świecie. Wklejam tę sekwencję w ten odcinek DNA, który mówi wirusowi Ebola, czego ma szukać, czyli w gen glikoproteiny.

Teraz wirus szuka tylko komórek śródbłonkowych osoby, którą ja kazałem mu odnaleźć.

Kiedy oba klucze pasują, przejmuje komórki, namnaża się i wreszcie osiąga pełną postać Eboli. Czy może dokładniej mówiąc, Eboli Kugel. Słowo Kugel w moim ojczystym języku oznacza „kulę”, „pocisk”. Pocisk zamiast bomby. - Uniósł w uśmiechu pozbawione warg usta.

Allen przez chwilę pomyślał.

- Podpiąłeś Ebolę pod wirusa zwykłego przeziębienia?

Litt przytaknął.

- Pod rinowirusa. Wystarczą mu dwadzieścia cztery godziny, żeby roznieść się po całym kraju. Ale Ebola nie jedzie z nim na gapę, tylko jest do niego doklejony. W ten sposób replikuje się wraz wirusem przeziębienia. Przedstawiłem to w bardzo prosty sposób -

powiedział z machnięciem ręki - ale zapewniam, że to jest niezwykle skomplikowane. Gdyby takie nie było, ktoś inny już by to zrobił. - Klepnął Allena po nodze swoją kościstą ręką. - No dobrze. Dlaczego ci o tym wszystkim mówię?

Kiedy Allen nie odpowiedział, Litt zaczął mówić dalej.

- Żeby cię przekonać, że wiem, co robię. Niczego nie pozostawiam przypadkowi.

Mam nad tym całkowitą kontrolę. A więc uwierz w to, co powiem teraz. - Nachylił głowę bliżej Allena i wyszeptał: - Mam na to lekarstwo.

Allen poczuł przypływ nadziei niby uderzenie adrenaliny. Próbował ją stłumić, zdusić, ale jego serce zaczęło bić szybciej, a jego żołądek ścisnął się w niecierpliwym wyczekiwaniu.

- Nie ma lekarstwa na Ebolę - powiedział.

Litt z irytacją szarpnął głową.

- Czy dotarło do ciebie choć słowo z tego, co mówiłem? Ebola nie wyszukuje też konkretnych osób, ale spójrz na siebie. Właściwie Ebola w ogóle nie istniał, dopóki go nie stworzyłem. Skoro zamierzałem go wykorzystać przeciw swoim wrogom, czy dzieliłbym się wiedzą o możliwości leczenia?

- Po co więc mówisz o tym mnie?

- Ty masz coś, czego chcę. Negocjuję.

- Chip pamięci Vero.

- I informacje o tym, kto i co dokładnie wie.

- Julia i ja, my widzieliśmy dane z chipa. Tylko my.

- A twój brat?

Allen spojrzał na ścianę: nie.

- Widzisz? Kłamiesz. Jak mogę ci zaufać?

- Czego naprawdę chcesz?

- Kendrick Reynolds. Znasz go?

- Ten milioner?

- Czy rozmawiałeś z jego ludźmi? On nie chowałby się za nikim w sprawie tak dla niego ważnej. On by was skusił obietnicą sławy. Czy kontaktował się z wami?

Allen zaczął z odpowiedzią, po czym stwierdził:

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Czy zdobył chip?

Allen nie odpowiedział.

Litt podniósł głos.

- Czy wie, gdzie jestem?

Allen wciąż miał kamienną twarz. Czy Kendrick naprawdę wiedział? Dane od Vero tego nie zawierały, było tam tylko kilka ujęć bazy lotniczej oraz okalającej ją dżungli i -

według Allena - wyglądało to niejasno i anonimowo. Jeśli urządzenie śledzące działało, to Julia i Stephen wiedzieli, gdzie on jest, ale czy wiedział Kendrick?

Litt odezwał się:

- Inne rzeczy tak mnie nie obchodzą. Jeśli Kendrick nie wie jeszcze nic o Eboli Kugel, to wkrótce się dowie. Jeśli nie orientuje się jeszcze w moim planie użycia wirusa na amerykańskiej ziemi, to wkrótce się zorientuje. Muszę poznać odpowiedź tylko na jedno pytanie: czy on wie, gdzie jestem?

To wszystko. Nieważne, jaka jest odpowiedź, jeśli przekonasz mnie, że jest prawdziwa, to wirus pożerający twoje wnętrze zniknie.

- Nie wiem.

- Czy chip nie ujawnił miejsca mojego pobytu?

Allen nie odpowiedział.

Litt szybko powstał. Otrzeptał fartuch.

- Proszę o tym pomyśleć, doktorze Parker. Pański ból może się skończyć, kiedy tylko pan zechce. - Zastukał w okienko w drzwiach.

- Litt - odezwał się Allen.

Okulary zwróciły się w jego kierunku.

- Jeśli istnieje jakakolwiek szansa, że ten cały Kendrick dowiedział się, gdzie jesteś, to dlaczego stąd nie wyjedziesz?

- Muszę wiedzieć, doktorze Parker. To jest mój dom, moje laboratorium, to miejsce jest dla mnie wszystkim. Rozumie pan?

Allen przypomniał sobie listę z chipa Vero i wreszcie pojął, jakie były jej straszne konsekwencje. Zaczął się zastanawiać, czy wszyscy ci ludzie zostali już zarażeni, czy dopiero teraz zaczęli się kiepsko czuć, czy czuli już taki ból jak on? Czy bali się tak jak on? To byli mężowie, żony i dzieci. Bracia, siostry i rodzice. Tylu ludzi dotkniętych, tyle cierpienia.

Powiedział:

- Widziałem pańską listę nazwisk. - Chciał wyglądać twardo, prowokująco, ale podejrzewał, że jedyną rzeczą, jaka rzucała się w oczy, było jego cierpienie. - Dlaczego aż tylu?

Drzwi brzęknęły i się otwały. Litt chwycił za ich krawędź.

- Filmy - odparł.

- Filmy?

- One nas uniewrażliwiły. Jedna śmierć, dziesięć przypadków śmiertelnych już nikogo nie zaciekawia. Dziesięć tysięcy ofiar przykuje ich uwagę.

- Nigdy nie czytał pan Stalina?

Litt uniósł podbródek.



- Kiedy umiera jedna osoba, to jest tragedia. Kiedy umiera milion, to jest statystyka.

- Doktorze Parker, nie sądzę, żeby jakikolwiek rodzic uznał śmierć swojego dziecka za statystykę, a pan?

Po chwili z satysfakcją skinął głową i wyszedł.

\*

Osiemsetkilometrowa podróż z São Paulo do Ponta Pora zabrała im ponad sześć godzin ze względu na zaplanowane postoje samolotu linii TAM Transportes Aéreos w prowincjonalnych miasteczkach, takich jak Maili, Presenente Prudenti czy Dourados. Na każdym małym lotnisku pilot i stewardesa schodzili z pokładu, by wypić jakiś gazowany napój i wymienić z obsługą naziemną kilka najwyraźniej prześmiesznych dowcipów, w czasie kiedy drugi pilot rzucał kamieniami w wyliniałe psy. Garstka Brazylijczyków, z których większość wyglądała na zmęczonych lub pijanych, wytaczała się z samolotu, a do środka wtaczali się ich zmiennicy. Cały czas liczba pasażerów na pokładzie oscylowała wokół

połowy dopuszczalnej liczby osób, jaką mógł zabrać na pokład ten trzydziestoosobowy turbodrutowiec.

Niebo szarzało coraz bardziej z każdym postojem i za każdym razem, kiedy samolot był w powietrzu, stewardesa dokonywała dramatycznej prezentacji opisującej potop, który nawiedził zachodnią część kraju, tam gdzie leżała Ponta Pora. Po wylocie z Dourados, na ostatnim odcinku podróży, to, co obserwowali na zewnątrz, sprawiło, że ostrzeżenia stewardesy stały się zbyt liczne. Samolotem rzucało i kołysało niczym latawcem przy porywistym wietrze. Dwoje pasażerów dostało mdłości i kabina wypełniła się ostrą wonią wymiocin. Julia i Stephen zamknęli oczy i każde z nich jedną ręką mocno ścisnęło popękane winylowe oparcie, a drugą - dłoń towarzysza.

Kiedy wreszcie wylądowali w Ponta Pora, wczesnopołudniowe niebo było ciemne, jakby już zapadł zmierzch. Ściana deszczu padała pod kątem i zdawało się, że faluje w niknącym blasku dnia. Deszcz walił w metalowe poszycie samolotu tak zaciekle, że Julia zorientowała się, iż silniki stanęły dopiero wtedy, kiedy zobaczyła jak turbiny przestają wirować, a inni pasażerowie wstają i zbierają swoje rzeczy. Gdy w kabinie zapaliło się światło, w okienku z pleksiglasu pojawiło się za nią odbicie Stephena.

- Dlaczego mnie to nie dziwi - powiedziała do jego odbicia.

Przed wylotem z Atlanty przerwali swoje rzeczy - ubranie na zmianę dla każdego z nich, lekkie kurtki, przybory toaletowe, sprzęt komputerowy Julii - do dwóch plecaczków JanSportu; plecak Stephena miał kolor khaki, a Julii był oliwkowy. Upchnęli resztę gotówki w wyściełanych paskach naramiennych. Ta zapobiegliwość okazała się jednak zbędna -

urzędnicy celni w São Paulo byli więcej niż pobłażliwi. Podnieśli tylko plecaki, oceniając ich wagę, zupełnie jakby byli już tak przyzwyczajeni do kontrabandy, że potrafili ocenić zawartość bagażu tylko na podstawie jego ciężaru. Julia żałowała, że nie wzięła pistoletu.

Stephen wyciągnął plecaki z niewielkiego schowka na bagaż podręczny znajdującego się nad ich siedzeniami, po czym ruszył do przodu.

Julia wyciągnęła rękę po swój plecak.

- Będziemy musieli oboje zdobyć się na wysiłek, zaczynając od teraz.

- A więc nie pozwól mi być dżentelmenem. - Mrugnął do niej i podał jej bagaż.

Stewardesie trudno było utrzymać uśmiech na ustach, kiedy deszcz zacinający do środka przez otwarte drzwi zmoczył jej uniform i przyklejał grzywkę do czoła. Wskazała ręką na wyjście, próbując ich pośpieszyć. - Adeus. Por favor, va depressa.

- Adeus. Obrigado - odparł Stephen. Dostrzegł rozbawione spojrzenie Julii. - W

kieszeni fotela był minisłowniczek.

Schylił się w drzwiach, spojrzał w dół przysuwanych metalowych schodków na pokryty wodą asfalt i natychmiast cały przemókł. Zaczął mrugać, próbując chronić oczy przed zalewającym je deszczem, i obejrzał się, żeby zobaczyć, jak radzi sobie Julia. Ta ominęła ostatni schodek i przeskakując obok Stephena, pomknęła w stronę drzwi budynku lotniska -

jasnego prostokąta na ciemnym tle ściany.

Kiedy znalazła się w środku, nachyliła się do przodu i energicznym ruchem przetrzepała palcami włosy, wytrząsając z nich wodę. Z jej głowy poleciały wielkie chmury kropel.

- Możesz w to uwierzyć? - zapytała.

- Czy możemy to obrócić na naszą korzyść? - Stephen oceniał niewielkie lotnisko, przyglądając się przez kilka sekund każdej osobie po kolei.

Julia klepnęła go w plecy.

- Teraz zaczynasz myśleć.

Stephen wręczył jej kurtkę ze swojego plecaka i sam też zaczął naciągać swoją. W

Atlancie był upalny środek maja i zapomnieli, że tutaj jest późna jesień. Chociaż był to region podzwrotnikowy, temperatura ledwie przekraczała dziesięć stopni. Deszcz sprawiał, że zdawało się, iż jest jeszcze chłodniej.

Przeszli przez duże oszklone drzwi i znaleźli się pod szerokim daszkiem, który chronił

przed deszczem. Przy krawężniku było zaparkowanych co najmniej dziesięć samochodów, ale żaden z nich nie wyglądał na taksówkę. Nagle stojący na wprost nich stary ford kombi zaczął

melodyjnie świergotać swoim zmodyfikowanym klaksonem.

Mężczyzna za kierownicą nachylił się do okna po stronie pasażera i zaczął do nich machać. Miał długie czarne włosy, skórę w kolorze kakao i wyglądał bardziej na Indianina niż na Latynosa.

- Para onde quer ir?

Stephen pokręcił głową.

- Przykro mi.

- O, ha-ha! Dokąd? Wy potrzebować hotel? Ja znać dobry hotel.

- Nie - odezwała się z tyłu Julia. - Chcielibyśmy coś zjeść. Znasz jakąś przyzwoitą restaurację?

- O restaurante? Pewnie, pewnie! Wsiadajcie.

Stephen wyjął z koszuli na piersi dziesięciodolarowy banknot. Pokazał go kierowcy.

- Amerykańskie?

- Pewnie, pewnie!

Wdrapali się na tylne siedzenie, które było odarte z tapicerki, przez co przypominało zwierzęce ścierwo, i usiedli na drucianej wyściółce. Stephen powiercił się i przybrał najmniej niewygodną pozycję, jaką udało mu się znaleźć, ze zwiniętą sprężyną wbijającą mu się w udo.

Julia zapytała:

- Czy możesz nas zabrać do Pedro Juan Caballero? Czy przejechanie przez granicę stanowi problem?

- PJC. Żaden problem. Otwarte granice. Nikt się nie przejmuje. - Kierowca ze zgrzytem wrzucił bieg i odbił od krawężnika, nie sprawdzwszy, czy coś nadjeżdża.

Myśląc o położeniu urządzenia śledzącego gdzieś za miastem, Stephen nachylił się do przodu i zapytał:

- Wiesz może, czy jest tu jakieś miasteczko, posiadłość lub coś tego typu w odległości około piętnastu kilometrów na północny zachód?

Julia dotknęła jego ramienia. Kiedy na nią spojrział, delikatnie pokręciła głową: „Nie wspominaj o tym”.

- Na północny zachód? - zapytał kierowca.

- Nieważne, mniejsza o to.

- Nic tam nie ma - odparł taksówkarz. - Tylko las, drzewa.

- Zrobimy własny rekonesans - wyszeptała Julia.

- Sądziłem, że nie zaszkodzi, jeśli dowiemy się, gdzie się pakujemy.

- Nie wiemy, komu można zaufać.

Stephen dostrzegł w lusterku niezadowoloną minę taksówkarza. Mieszkańcy Ameryki Południowej byli znani z wyjątkowo dobrych manier w stosunku do nieznajomych.

Stephen słyszał, że raczej przełkną zniewagę niż obrażą kogoś niegrzeczną odpowiedzią.

Ale byli jednak tylko ludźmi. Podejrzał, że kierowca niechętnie patrzył, jak jego pasażerowie szepczą sobie coś tajemniczo.

- Jestem pewien, że jest tutaj mnóstwo dobrych restauracji - Stephen zagadnął

kierowcę, próbując zatrzeć złe wrażenie przez włączenie mężczyzny do rozmowy.

- Tak - zabrzmiała lakoniczna odpowiedź.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - powiedziała Julia i uściśniła rękę Stephena.

Wyjrzał na zewnątrz w mokrą ciemność.

- Modłę się tylko, żebyśmy się nie spóźnili.

Ulewa odarła bliźniacze miasta - brazylijskie Ponta Pora i paragwajskie Pedro Juan Caballero - z wszelkiego charakteru, jaki być może miały. Wszystko wyglądało szaro i bezbarwnie. Oświetlone wystawy sklepowe, chodniki zagracone przez puste ławki i krzesła.

Wszystkie fronty sklepów były wąskie. Napisy w różnych językach na szyldach wyglądały na skreślone odręcznie przez amatora. Angielski pojawiał się rzadko - wyjątek stanowiła jedynie obfitość znaków Coca-Coli i Marlboro. Na przestrzeni trzech kwartałów przejechali obok czterech, może pięciu aptek, których okna były pełne rozmaitych, często dziwacznych symboli: znajomo wyglądających moździerzy i tłuczków, kaduceuszy, wielkich kapsulek i tabletek, próbek, a nawet czaszek i skrzyżowanych piszczeli.

Czując nieustanne wibracje przechodzące przez siedzenie i słysząc pewien szczególny dźwięk, Julia i Stephen zorientowali się - choć ich oczy nie mogły tego zobaczyć - że ulice są wybrukowane. Kiedy opony jadą po mokrym asfalcie, syczą, jakby powietrze uchodziło z całego świata. Te opony wydawały rytmiczne sza-sza-sza, przypominające bicie werbla.

- Czy jesteśmy już w Paragwaju? - zapytała Julia.

- O, tak.

- Jak dawno temu minęliśmy granicę?

- Minuty. Tylko minuty. Duża ulica, Avenida Internacional. Widzieliście? - wskazał

gestem do tyłu.

Stephen przypomniał sobie, że jedna ulica, kilka przecznic wcześniej, była nieco szersza niż pozostałe.

- To była granica. Nic. Mówiłem wam.

- Nie widzę różnicy - powiedziała Julia.

- Szyldy. Tutaj guarani i hiszpański, tam głównie portugalski. Kiedy nie być deszczu, PJC ma więcej sprzedawców ulicznych, nie ma ograniczeń jak w Pora.

- A więc tak naprawdę to jest jedno duże miasto podzielone pomiędzy dwa kraje.

- E, nie takie duże.

Przez kilka następnych minut lawirowali pustymi ulicami, po czym kierowca zjechał na bok.

- Tutaj dobre jedzenie.

- Wygląda to na pub - powiedział Stephen.

Julia otworzyła drzwi.

- Może być.

Stephen wręczył kierowcy dziesięć dolarów i wysiadł z plecakami.

Odjeżdżające kombi rozmyło się w padającym deszczu. Kiedy zaczęło okrążyć róg, powiew wiatru zaciął deszczem i samochód zniknął.

Stephen uśmiechnął się na widok Julii wyglądającej jak zmokła kura.

- Zasuwamy na piechotę gdzie indziej? - zapytał.

- Dokładnie.

- Do pierwszego hotelu?

- Do pierwszej restauracji, baru lub pubu, wyłączając ten jeden. Naprawdę umieram z głodu. - Wzięła od niego plecak i zarzuciła go na ramię.

Stephen popatrzył najpierw w jedną stronę, a potem w drugą. I tu, i tam było czarno i pusto. Opuścił głowę, chroniąc oczy przed zacinającym deszczem i ruszył przed siebie.

\*

Wiadomość otrzymał przez telefon. Ktoś zadzwonił na jego „linię informacyjną”. Był

to numer, który Gregor rozdał personelowi lotniska, taksówkarzom, hotelarzom i restauratorom w Pedro Juan Caballero i w Ponta Pora z prośbą, by informowali go o ludziach pytających o Karla, bazę lub zaginione osoby. Miał już kilka takich fałszywych alarmów, które były owocem zbyt mocno rozwiniętej wyobraźni lub kiepskiego stanu konta dzwoniących. Mimo to zapłacił za kilka z tych ostrzeżeń, bo wiedział, że to wzmacnia czujność i rozwiązuje ludziom języki.

Zorientował się, że ten telefon jest inny, gdy tylko usłyszał opis mężczyzny i kobiety.

Steven Parker i Julia Matheson. Tutaj. Jakoś wytropili Allena Parkera. Była to bez wątpienia robota tej Matheson - FBI, CDC. Nieważne. Pewnie w samolocie było urządzenie naprowadzające.

Dał sobie chwilę na zastanowienie.

- Proszę mi podać swój numer telefonu. - Zapisał go w swoim komputerze kieszonkowym. Na publicznej sieci telefonicznej nie można było polegać, więc niemal każdy w okolicy miał telefon komórkowy. Nawet jeśli załatwiał się w wygodce, to obowiązkowo miał komórkę. Gregor powiedział taksówkarzowi, żeby miał oko na tych klientów i obiecał

mu dużą premię.

Szybkim krokiem ruszył jednym z ciemnych, cuchnących stęchlizną korytarzy kompleksu, przesunął twarz przed czytnikiem termicznym i wkroczył do skrzydła laboratoryjnego. Zatrzymał się na chwilę, pozwalając oczom przyzwyczać się do jasnego blasku świetlówek. Karl urwie mu głowę. Co Gregor sobie myślał, zapraszając Atroposa do bazy? Naraził ich na wizytę niepożądanych ludzi. Dowodem na to był przyjazd tej Matheson i brata Parkera. Zasłużył sobie, żeby Karl zastrzelił go na miejscu.

Zastrzelił? Nie, Karl by go nie zastrzelił - zemściłby się w bardziej wyrafinowany, bardziej perfidny sposób. Nie miałyby dla niego znaczenia fakt, że znają się od dzieciństwa.

Gregor naraził na szwank dzieło życia Karla. I to dlaczego? Bo chciał poznać Atroposa -

jednego z wielkich, światowej sławy zabójców. Poprawka - kilku z wielkich, światowej sławy zabójców.

Gregor uśmiechnął się pomimo niewesołej sytuacji, w jakiej się znajdował.

Niesamowicie.

Był jednym z niewielu ludzi, którzy znali tajemnicę Atroposa. Nic dziwnego, że Atropos miał takie osiągnięcia, był praktycznie wszechwładny. Nie był jednym człowiekiem, ale czterema.

„Teraz już trzema” - pomyślał Gregor. Trzej bracia poprosili, żeby ich zaprowadzić do kostnicy bazy. Zanim Gregor zostawił ich samych, był świadkiem, jak otworzyli worek z ciałem, który

przywiózł pierwszy Atropos. W środku był inny Atropos, groteskowo okaleczony. Ich żal był ogromny i przytłaczający.

Gregor zrozumiał teraz, w jaki sposób Julia Matheson i bracia Parkerowie ich zranili.

Jego. Bracia mówili o sobie w liczbie pojedynczej, jakby dzielili nie tylko imię i wygląd, ale mieli też wspólny umysł, wspólną osobowość i wspólną duszę. Jeśli ich ojciec, nadając im to samo imię i traktując ich jak jedną osobę, chciał, by świat uwierzył, że jedna osoba może mieć moc czterech, to osiągnął cel, ale tym samym całkowicie uzależnił swych synów od siebie nawzajem, jakby byli jedną osobą w czterech ciałach.

Pragnęli zemsty. Chcieli patrzeć, jak Allen Parker cierpi i błaga o śmierć. Taką torturę gwarantował wirus Karla.

A teraz pozostała dwójka odpowiedzialna za ich stratę znalazła się w pobliżu.

Czy Karl musiał w ogóle wiedzieć o ich przybyciu? Była to puszka Pandory, której Gregor nie chciał otwierać. A Atropos chętnie rozwiąże ten problem.

Zabójcy czekali przy samolotach, aż u Allena pojawią się objawy choroby. Chcieli się jeszcze nad nim poznęcać, kiedy będzie umierał. Gregor powie im, że zorganizował przyjazd pozostałych dwojga morderców ich brata. Taki prezent od niego dla nich.

Przysunął twarz do czarnej płytki przy wyjściu i drzwi się otworzyły. Kiedy przez nie przeszedł i skierował się na schody prowadzące do góry, zaczął z podziwem myśleć o posiadanej przez siebie umiejętności obracania komplikacji na swoją korzyść.

„Być może mikroskopowe zarazki Karla są przyszłością sztuki zabijania - pomyślał. -

Ale ja mam obecnych mistrzów tutaj na miejscu. I to trzech".

\*

Julia i Stephen wyszli z Akā Haruja - Tawerny pod Świńskim Okiem, jak powiedział

im właściciel/kelner/barman. Mieli pełne brzuchy, a szklanka piwa własnej produkcji ukoїła nieco nerwy Julii. Ze stolika przy oknie widzieli, jak deszcz słabnie, ale potem, kiedy płacili rachunek, znowu zaczął padać mocniej.

Ulice były nadal puste, a niebo czarne niczym kocioł pełen kłębiących się, niskich chmur.

Julia szturchnęła Stephena. Patrzyła na kombi zaparkowane przy następnej przecznicy.

Miało wyłączone światła i w środku też było ciemno.

- To nasza taksówka? - zapytał Stephen.

Kiedy tak się przyglądali, z rury wydechowej wyleciał obłok spalin. Ulewa stłumiła dźwięk silnika. Włączyły się przednie światła, przyćmione stożki blasku przecinane kroplami padającego deszczu. Samochód potoczył się do przodu, skręcił w ich ulicę i zaczął zmierzać w ich stronę.

Stephen otoczył Julię ramieniem, delikatnie odpychając ją kilka centymetrów do tyłu.

- Zgadza się - odparła.

Stephen spojrzął za siebie na drzwi do tawerny. Wystarczy mu trzy sekundy, żeby chwycić Julię i wciągnąć ją do środka.

Kombi zbliżało się powoli. Przednie koło wpadło do dziury, rozchlapując wokół błotnistą wodę. Stephen poczuł, jak reflektory oświetlają mu nogi, a potem pierś i twarz.

Stawały się coraz jaśniejsze. Cofnął się o krok, zmuszając Julię, by zrobiła to samo.

- Zobaczmy, czego chce - powiedziała.

- Raczej niczego dobrego.

- Nic nie zdziałamy, jeśli nie podejmiemy żadnego ryzyka.

- To chyba ty mówiłaś, że nie powinniśmy nikomu ufać.

- On już wie, czego szukamy. Może to przemyślał i chce nam sprzedać jakieś informacje.

Stephen spodziewał się, że samochód ruszy na nich z rykiem silnika, ale on po prostu spokojnie podjechał i przystanął. Zobaczyli uśmiech taksówkarza, kiedy nachylił się, żeby opuścić szybę.

- Hej! - odezwał się. - W tamtym miejscu niedobre jedzenie? - Zachowywał się naturalnie.

Julia wychyliła się zza Stephena.

- Czego chcesz? - zapytała.

- Wsiadajcie, deszcz niedobry.

- Chodź - powiedział Stephen i zrobił krok w stronę tawerny.

- Mam informacje - oznajmił taksówkarz. - Dobre informacje dla was.

- Na przykład? - zapytała Julia.

Uśmiech taksówkarza osłabł.

- Coś mi się przypomniało. Pytaliście o miejsce na północnym zachodzie, tak? Jest tam coś.

- Co?



- Wsiadajcie. - Zobaczył wyraz ich twarzy. - Jest dobrze. Słuchajcie, ja nic nie mam.

Stephen zajrzał do środka. Na tylnej kanapie za fotelem pasażera leżały luźno rzucone papiery, wymięte czasopismo i telefon komórkowy, model sprzed dziesięciu lat wielkości cegłówki.

Julia przeszła obok Stephena i pociągnęła go za koszulę. Otworzyła tylne drzwi i wsiadła do środka. Stephen poszedł w jej ślady. Z dmuchawy w samochodzie wiało gorące powietrze, które śmierdziało spalonym plastikiem.

Auto ruszyło.

- Porozmawiamy tutaj - powiedział Stephen.

- Ta ulica niedobra. Zły, ech, element, dzieciaki. - Skręcił za róg.

Stephen spojrzał na Julię, która zniżyła głowę i wyszeptała:

- Jeśli coś pójdzie nie tak, wyskakuj przez swoje drzwi. O mnie się nie martw.

Skinął głową.

- Kupujesz to?

- Może to jakaś wskazówka, a to już zawsze coś.

Samochód skręcił po raz drugi. Wszystkie ulice wyglądały podobnie: mokre, ciemne i puste.

Julia szturchnęła Stephena w udo.

- Słuchaj. Jeśli coś mi się stanie, jedź do Konsulatu Amerykańskiego. Jest pewnie w Asuncion.

- Nic ci się...

Samochód ostro zahamował, rzucając ich oboje na fotel. Twarz Stephena zalał deszcz.

Drzwi kierowcy stały otworem. Taksówkarz zniknął - usłyszeli tylko trzy chlupiące kroki, a potem nic.

Stephen szarpnął za klamkę przy drzwiach. Julia chwyciła go za ramię. Na górnej wardze miała rozmazaną krew, która ciekła jej z nosa. Patrzyła ponad oparciem fotela przez przednią szybę.

Spojrzał w tamtą stronę. Zobaczył tylko niknącą w ciemności czerwoną drogę gruntową, rdzawe kałuże, miliony małych stalagmitów wody strzelających w górę, drgającą ścianę ciężkiego, ciemnego deszczu... i człowieka.

Szedł w ich kierunku środkiem ulicy. Stephen widział tylko jego zarys. Podnosił się i opadał przy każdym kroku. Teraz zniknął, rozplynał się gdzieś pomiędzy kaskadami kropel.

Tam! Bliżej! Szerokie ramiona, wysoki, ubrany w pelerynę? Nie, w długi, nieprzemakalny płaszcz przeciwdeszczowy. Dopiero po kilku sekundach zorientował się, że postać znieruchomiała, a pozór ruchu nadawał jej deszcz. Nagle deszcz zelżał.

- Wojownik - stwierdził Stephen. Poczuł, że rana w jego boku zaczyna pulsować, jakby chciała potwierdzić obecność zabójcy. Uświadomił sobie, że lampka przy suficie jest włączona, dzięki czemu mężczyzna na zewnątrz widzi ich twarze. Atropos czekał na skraju zasięgu reflektorów. Jego postać była niewyraźna i ziarnista, niczym na ośmiomilimetrowej taśmie filmowej z lat siedemdziesiątych.

- On wie, gdzie jest Allen.

- Nie jesteśmy przygotowani - oparła. - Zabije nas. Musimy to zrobić inaczej.

- Niby jak?

- To my musimy zaskoczyć jego, a nie on nas.

- Za późno.

- Dlaczego tylko tak stoi?

- On się uśmiecha - powiedział Stephen. Poczuł, jak jego mięśnie napinają się w gniewie.

Atropos podniósł rękę. Zamigotało czerwone światełko, a potem z jego dłoni wystrzeliło białe światło. Pękła przednia szyba. Strzelił ponownie. Stephen obrócił się, żeby zasłonić Julię, ale ona już wyskakiwała na zewnątrz. Wypchnął ramieniem drzwi po swojej stronie i wytoczył się na błoto. Poturlał się do tyłu i wpadł na Julię, która kuciała przy zderzaku. Tylne szyby rozpadła się i posypały się na nich odłamki szkła.

Stephen spojrzał na Julię twardym wzrokiem.

- Biegnij - powiedział. - Ja odciągnę jego uwagę.

Zaczął się podnosić. Julia rzuciła się na niego i otoczyła jego szyję ramieniem.

Widział tylko jej twarz, z której strugi deszczu zmywały błoto.

- Nie zrobisz tego! - powiedziała. - Nie po to dotarłeś tak daleko, żeby tu umrzeć w błocie. Nie zdołam sama uratować Allena. Potrzebuję cię.

- Potrzebujesz mnie właśnie teraz - odparł. - Pozwól, żebym cię stąd wydostał.

- Nie w ten sposób. Albo idziemy razem, albo wcale.

Zajrzał jej w oczy i zobaczył, że mówi poważnie.

Puściła jego szyję i wzięła go za rękę. Przysunęła je do zderzaka.

- Trzymaj się - powiedziała. Potem wytoczyła się z powrotem zza samochodu.

- Czekaaj!.

Wyjrzał przez pozbawione szyby tylne okno. Przez dziury wielkości melona w przedniej szybie patrzył na Atroposa zbliżającego się powoli pewnym krokiem. Zobaczył, jak ręka Julii dotyka kierownicy i chwyta za dźwignię zmiany biegów. Szarpnęła ją w dół. Silnik ryknął, samochodem zarzuciło, po czym wystrzelił do przodu.

Koła zalały błotem twarz Stephena, oślepiając go. Zacisnął powieki, wstrzymał

oddech i chwycił się mocniej zderzaka. Droga uciekała spod niego, wpadał do dziur i kolein.

Setki maleńkich pięści uderzało go w pierś, w brzuch, w nogi. Wydawało mu się, że jada z ogromną prędkością, a ta jazda trwa w nieskończoność. Niewidoczna krawędź zderzaka cięła mu dłonie. Śliskie jak mydło błoto wciskało mu się pod palce. Zamienił ręce w kamień, ale wiedział, że długo tak nie wytrzyma.

Kombi w coś uderzyło. Ciało Stephena uniosło się, a głowa uderzyła w klapę bagażnika. Puścił zderzak. Upadł twarzą w kałużę. Wypłukał w niej błoto z oczu, nosa i ust.

Przetoczył się na bok, podniósł głowę i się rozejrzał. Przejechali tylko jakieś trzy kwartały.

Jak to możliwe?

Atropos był za nimi, bliżej niż Stephen sądził. Prawy bok zabójcy był umazany czerwonym błotem, jakby mężczyzna rzucił się na ziemię, żeby uniknąć zderzenia z kombi.

Deszcz splukiwał błoto zarówno z niego, jak i ze Stephena.

Obok pojawiła się Julia ze świeżym rozcięciem na czole.

- Wszystko w porządku - odezwała się, uprzedzając jego pytanie. - Chodź.

Szarpnęła go i oboje wstali. Minęli kombi, które wpadło na duży drewniany wóz.

Maska i droga były zasypane przez skrzynki z pomarańczami.

Skręcili w pierwszą ulicę w prawo. Stephen obejrzał się do tyłu, poślizgnął się na błocie i twardo upadł. Julia pomogła mu wstać. Stephen przetarł oczy i rozejrzał się dookoła.

Byli na ulicy, gdzie fronty sklepów przeplatały się z niewielkimi domkami wyglądającymi na sklecone ze starych sztyldów i blachy falistej. Deszcz i fałszywy zmierzch ograniczały widoczność do mniej więcej dwóch kwartałów. Droga w każdą stronę mogła zaprowadzić ich w ślepy zaułek lub we względnie bezpieczne miejsce, jakim byłby ludny, zadaszony targ. Ale nie było sposobu, żeby to

przewidzieć.

Tędy - zdecydowała Julia i skierowała się w górę ulicy.

Stephen ruszył przodem. Pobiegli z chlupotem przez rdzawoczerwone potoki, a ulewny deszcz zalewał im oczy. Woda była zimna - Stephen poczuł w palcach u nóg najpierw chłód, potem ból, a następnie odrętwienie. Przy każdej przecznicy rozglądali się w poszukiwaniu ludzi, policji lub schronienia. Stephen wciąż skręcał to na jedną stronę ulicy, to na drugą, stukał kołatkami i walił do drzwi. Pedro Juan Caballero mogło być równie dobrze miastem wymarłym.

Na skrzyżowaniu przenikliwy wiatr zaczął miotać w nich strugi deszczu z siłą wystrzału ze strzelby. Przecięli potok wypływający z bocznej ulicy i Julia zatrzymała się tak gwałtownie, że aż się poślizgnęła. Chwyliła Stephena za ramię i zdołała się jakoś utrzymać w pozycji pionowej, ale i tak jednym kolaniem oparła się o błoto.

W ich stronę zmierzał Atropos. Jakoś ich wyprzedził albo oni zaczęli się kręcić w kółko w tej burzy. Julia podniosła się na nogi, nie spuszczać wzroku z zabójcy. Wiatr szarpał jego długim płaszczem, którego poły powiewały jak skórzaste skrzydła. Dostrzegła czerwone mignięcie przy boku mężczyzny: światelko lasera na przedłużeniu jego ręki.

Niebo przecięła błyskawica, a jej blask odbił się w milionie kropel, niby w milionie maleńkich lusterek. Stephen, oślepiiony, przez moment nic nie widział. Ta chwila wystarczyła Atroposowi, by zmniejszyć dystans pomiędzy nimi o połowę. Teraz można było wyraźnie dostrzec na jego twarzy wyraz determinacji. Podniósł sztywno prawą rękę, obracając ramię.

Laser czerwonym łukiem skierował się w ich stronę.

- Rusz się! - wrzasnęła Julia. Popchnęła Stephena z całej siły. Oboje upadli wprost w wartki strumień wody, w miejscu gdzie powinien znajdować się krawężnik, gdyby tylko te boczne uliczki go miały.

Nie słyszał wyciszonego przez tłumik wystrzału, ale pobliskie okno pękło niczym melodyczny kontrapunkt dla nieprzerwanego bębnienia deszczu.

- Rusz się! Rusz się! - krzyczała Julia. Potoczyli się, wpadając na siebie, i podnieśli się na nogi. Stephen pomógł jej wstać i popchnął ją do przodu, z powrotem tam, skąd przyszli.

Potknęła się i znowu upadła w błoto. Przeskoczył nad nią, bo siła rozpędu nie pozwoliła mu tak nagle się zatrzymać. Obrócił się i oślepił go czerwony laser Atroposa.

Szarpnął głową w bok i poczuł gorące uderzenie pocisku.

Czerwona kropka celownika laserowego przy pistolecie Atroposa zamigotała w strugach lejącej się wody i dotknęła twarzy Stephena niby palec przeznaczenia. Stephen poleciał do tyłu, roztrzaskując drzwi sklepu. Ich szklana tafla rozprysnęła się na kawałeczki, które posypały się na ziemię, mieszając się z kroplami deszczu.

- Stephen! - Przemoczony warkocz opadł Julii na twarz. Trąciła go dłonią i odrzuciła na bok. - Stephen!

Podniosła się z błota i obróciła w stronę Atroposa. Jego ciemna postać stała niewzruszenie na środku drogi, oddalona o kilkanaście metrów. Znowu opuścił broń i po prostu patrzył. Powoli, obserwując go, zbliżyła się do drzwi sklepu. Wojownik stał w miejscu i nie wykonał żadnego ruchu, żeby ją powstrzymać, jakby wyrażając tą postawą swój odbiór sytuacji: mógł zabić Julię i Stephena bez żadnego wysiłku, a oni nie mogli zrobić nic, żeby go powstrzymać przed zdobyciem swoich trofeów.

Stephen leżał wewnątrz sklepu, a jego nogi wystawały ponad drewnianą listwą u dołu drzwi. Głowę miał odrzuconą do tyłu, tak że ponad klatką piersiową widać było tylko jego owłosiony podbródek i szyję. Czy naprawdę chciała zobaczyć jego twarz po tym, co mógł z nią zrobić dziewięćmilimetrowy pocisk? Ale jeśli Stephen jeszcze żył, to czy mogła pozbawić go przed śmiercią widoku przyjaznej twarzy?

W tym momencie jego pierś zafalowała i podniósł głowę. Napotkał wzrok Julii i spróbował się uśmiechnąć, ale zdołał się jedynie skrzywić.

- Stephen? - Julia była zdezorientowana, odurzona.

- Chyba mnie postrzelił. - Przerzucił rękę przez pierś i chwycił się za ramię.

Zobaczyła, że jego kurtka jest podarta i przesiąknięta krwią.

Przeszła przez roztrzaskane drzwi i kucnęła przy jego boku.

- Myślałam. - Uśmiechnęła się, a on to zauważył. Jego twarz nie rozpogodziłaby się tak ani pod wpływem uzdrawiającego dotyku anioła, ani zastrzyku z morfiny. Uśmiechnął się szeroko, tak jak kilka dni temu, kiedy się poznali, wtedy gdy poczuła z nim jakąś natychmiastową więź i miała nadzieję, że nie jest po prostu naiwna. Ścisnęło ją w piersi, kiedy zdała sobie sprawę, że on naprawdę był dobrym człowiekiem - tak jak Goody.

Serce ją bolało na widok jego stanu.

Wetknęła palec w dziurę po kuli wydartą w jego kurtce i pomacała ranę. Skrzywił się z bólu.

- Wysoko na ramieniu - powiedziała. - Nie jest tak źle.

Oczy mu się rozszerzyły.

- Gdzie on jest?

Zerknęła przez zniszczone drzwi.

- Po prostu stoi tam i patrzy. Myślę, że się z nami bawi.

W tym momencie zatarta przez deszcz postać Atroposa postawiła krok w ich kierunku, a potem

następny.

- Stephen, musisz wstać - wsunęła pod niego ręce i pomogła mu się podnieść. Atropos był piętnaście metrów od nich i szybko się zbliżał. Potykając się pośród lad z wyrobami ceramicznymi, zaczęli kierować się w stronę zaplecza. Wyważyli zamknięte drzwi i znaleźli się w części mieszkalnej, gdzie na wytartej kanapie tuliła się do siebie rodzina.

Matka, nastoletnia córka i dwóch chłopców w wieku szkolnym starali się ze wszystkich sił schować w objęciach ojca. Wszyscy wyglądali na zdrowych i wzajemnie się kochających. „Są przerażeni” - pomyślała Julia.

- Przepraszam - odezwała się. Wskazała na inne drzwi, które stały otworem i wyglądało, że prowadzą do innych pokoi. - Wejdźcie tam, proszę!

- Oni nie rozumieją - powiedział Stephen.

- No, idźcie! - krzyknęła, wskazując im drogę. Zerwali się z kanapy i skierowali tam, gdzie im pokazała. Julia przyskoczyła do trzecich drzwi, metalowych i mocno zaryglowanych. Otworzyła je. - Uliczka - oznajmiła. Ze sklepu dobiegł ich zgrzyt szkła. -

Chodź.

Zaułek był wąski i ciemny. Szaroniebieskie chmury kłębiły się na wąskim pasku nieba nad głową. Deszcz zaciął o ścianę jednego z budynków, które ograniczały uliczkę, i spływał

kaskadą w dół. Otoczyła ich lekka mgiełka. Pobiegli pędem w lewo. Słyszała za sobą chlupot kroków Stephena i jego ciężki oddech, a wąski zaułek potęgował te odgłosy.

Minęli inną uliczkę, która przecinała tę, którą biegli. Przed nimi na końcu zaułka strugi deszczu jakby wygięły się do środka i przybrały postać człowieka, jeszcze zanim ten faktycznie zmaterializował się u wejścia w uliczkę.

Był to Atropos.

Julia stanęła jak wryta. Stephen sapał za nią.

- Nie rozumiem. - zdołał powiedzieć pomiędzy wdechami. - Czy on mógł przejść naokoło tak szybko?

Julia przypomniała sobie zgrzyt szkła, który słyszeli w sklepie. Nie ma mowy.

- Zawracaj - powiedziała.

Postać zmierzała w ich kierunku. Zrobili zwrot i popędzili w przeciwną stronę.

Przed nimi Atropos właśnie przekroczył drzwi i wszedł do zaułka. Rozejrzał się za nimi.

Stanęli jak wryci. Spoglądali to na jednego wojownika, to na drugiego. Wyglądali identycznie. Nawet zbliżali się do Stephena i Julii tym samym miarowym krokiem.

Każdy trzymał pistolet w prawej ręce, a czerwone kropeczki tańczyły po ziemi, odbijając się od mokrej nawierzchni.

- Nie strzelą - powiedziała Stephenowi. - Mogliby trafić jeden drugiego.

Posunęła się nieco w kierunku Atroposa będącego dalej od nich, tego, który ścigał ich od sklepu. Pociągnęła Stephena za rękę.

- Kiedy podejda bliżej, zaczną strzelać - stwierdził.

- Dlatego pobiegniemy tą inną uliczką. Widzisz ją?

- No.

- W lewo.

- No.

- Teraz!

Rzucili się w biegnący w poprzek zaułek i zderzyli się z koszem na śmieci. Kawałki papieru i odpadków przyłgnęły im do nóg i owionął ich smród rozkładu. Julia poczuła skurcz żołądka, który i tak był już ściśnięty ze strachu. Wiedziała, że jeśli zajdzie taka konieczność, da radę jednocześnie biec i wymiotować. Ale już po sekundzie zapomniała o dolegliwościach cielesnych: o bolących mięśniach, o zimnie i przemoczeniu, o mdłościach. Po prostu skupiła się na biegu. Nasłuchiwała dźwięku, który zasygnalizowałby, że wojownicy dotarli do początku zaułka. Czy spróbują się przybliżyć?

Czy po prostu wycelują i zaczną strzelać? W tej prostej jak strzelnica uliczce trafienie w nich nie nastęczało poważnych trudności. Czy odgłos wyciszonego przez tłumik wystrzału będzie ostatnią rzeczą, jaką usłyszy?

Dotarli do końca zaułka i wypadli za róg, wydostając się z pola rażenia. Dysząc, przykleili się do otynkowanej ściany.

- Musimy biec dalej - powiedziała. I wtedy jakiś ruch przyciągnął jej uwagę. Z

oddalonego o kwartał zaułka po przeciwnej stronie ulicy wyszedł mężczyzna. Miał na sobie skórzaną kurtkę i w swobodnej pozie trzymał jedną rękę w kieszeni. Na głowie miał kapelusz Indiany Jonesa przekrzywiony do przodu, tak że zasłaniał mu oczy. Deszcz lał się z ronda jak z ogrodowej fontanny. Mężczyzna skinął ręką w ich stronę, po czym zniknął.

Stephen spojrzał na Julię.

- No nie wiem - powiedziała.

Z uliczki obok nich dobiegł głośny dźwięk przewracającego się kosza na śmieci. To zdecydowało. Pobiegnęła w kierunku, gdzie przed chwilą stał mężczyzna. Skręcili za róg i zobaczyli go przy następnym skrzyżowaniu zaułków. Mężczyzna był czarny i niemal niewidoczny w ciemności. Znowu do nich pomachał i zniknął w przylegającej uliczce.

Kiedy podążyli za nim, zobaczyli, że uliczka znika w ciemności. Za sobą słyszeli echo kroków odbijające się pośród budynków. Zagłębili się w ciemność. Na końcu zaułka pojawiła się ściana z cegły, w której otworzyły się metalowe drzwi. Julia wpadła na nie, a Stephen wpadł na Julię. Z czarnego otworu wyskoczyły postaci, oplatając ich nieustępliwymi ramionami, które chwyciły ich jak imadło.

Julia zaczęła kopać, ale para rąk złapała jej stopę i wykręciła nogę. Została wciągnięta w ciemność. Słyszała za sobą Stephena, jak rzuca się i stęka. Drzwi się zamknęły, a ręce rzuciły ją na niewidoczne klepisko. Poczowała, że Stephen ląduje koło niej. Pstryk i jej źrenice przeszły światło. Oślepiąca usłyszała więcej pstryknięć, metal trzaskający o metal, mechanizmy zaskakujące na miejsce. Znała te odgłosy. Osłaniając oczy, spojrzała wokoło.

Wprost w tuzin czarnych luf.

Julia zamrugnęła. Ponad lufą karabinu znajdującą się na wprost niej ukazała się twarz.

Zmarszczki wyostrzały kontury ust i policzków mężczyzny, który pomiędzy oczami miał dwie bliźniacze bruzdy. Pajęczyna delikatnych zmarszczek rozchodziła się promieniście od oczu, które były czerwone, wilgotne i nieznacznie wytrzeszczone. Fałdy skóry nadawały policzkom lekko obwisły wygląd, który w połączeniu z wydatnymi ustami, bez wątplenia zaprojektowanymi przez Boga do wygłaszania doniosłych wypowiedzi, nadawały mu wygląd człowieka mądrego. Była to twarz jednocześnie przyjazna i smutna.

To właśnie ten mężczyzna do nich machał.

Opuścił karabin - tylko on - i przycisnął do ust palec wskazujący.

- Szszszsz - wyszeptał miękko i przeciągle, jak matka do niemowlęcia. Zrobił krok do tyłu i przyłożył ucho do metalowych drzwi. Delikatnie przytknął do nich koniuszki palców wolnej ręki, jak gdyby chciał wyczuć jakieś wibracje.

Nikt inny w pokoju się nie poruszył. Stali kręgiem wokół Julii i Stephena, celując w nich z arsenału pistoletów, karabinów i strzelb. Ich ubrania ociekały wodą. Mężczyzna przy drzwiach przekrzywił głowę i uniósł karabin niczym laskę szamana, prosząc o ciszę.

Wtedy to usłyszała: kroki zbliżające się do drzwi, skrobanie podeszwy o chodnik.

Odgłos minął ich i zaczął się oddalać.

Ktoś za Julią mlasnął językiem, chcąc coś powiedzieć. Mężczyzna przy drzwiach uniósł karabin



wyżej i potrząsnął głową. Odgłos na zewnątrz powraciał i tym razem ustał

dokładnie za drzwiami. Cisza. Nie było nic słycać tak długo, że Julia pomyślała, iż może osoba na dworze odeszła niezauważona. Ale wtedy rozległo się niemal niedosłyszalne pstryknięcie. Jej oczy spoczęły na gałce u drzwi, która zaczęła się z wolna obracać.

Drgnęła lekko i stanęła. Osoba za drzwiami - z pewnością jeden z wojowników -

szarpnęła za klamkę i zatrzęsała drzwiami.

- Na ziemię - syknęła z naciskiem Julia, ale starając się nie podnosić głosu.

Wtedy to się stało: napastnicy na zewnątrz zaczęli strzelać w drzwi. Pociski wyginały ich metalową powłokę, ale jej nie przebiły. Dwa, trzy, cztery. Mężczyzna przy drzwiach odsunął się na bok i pokazał gestem innym, żeby zrobili to samo. Nagle klamką gwałtownie szarpnęło, a potem jeszcze raz, kiedy kule uderzyły w jej zewnętrzną część.

Julia zobaczyła, że drzwi są zablokowane w poprzek ciężką sztabą - bezpieczeństwo ich wszystkich nie zależało od tego, czy klamka wytrzyma. Klamka odpadła, pozostawiając siedmiocentymetrową dziurę na wylot do szarego zaułka. W otworze mignął cień, po czym pojawiło się w nim oko, które rozejrzało się wokół, dostrzegło mężczyzn i zatrzymało się na Julii.

Tuż za nią huknął głośno karabin. Pocisk trafił kilka centymetrów od oka, które się cofnęło. W otworze pojawiła się lufa z tłumikiem. Plunęła ogniem na ślepo, trafiając w ścianę za Julią.

Mężczyźni zaczęli pokrzykiwać i ruszyli w kierunku tylnego wyjścia.

Człowiek przy drzwiach walnął kolbą karabinu w lufę pistoletu, która wystrzeliła kolejny pocisk - tym razem wzbijając w górę grudkę ziemi trzydzieści centymetrów od kolana Julii. Julia poczuła pod pachami czyjeś ręce i została błyskawicznie podniesiona z podłogi.

Uniosła się w powietrze i wylądowała na nogach za mężczyznami tłoczącymi się, by opuścić pokój. Spojrzała do tyłu. Wyraz twarzy Stephena był stanowczy i nieprzejednany. Popchnął ją do przodu.

Mężczyzna przy drzwiach wciąż uderzał w lufę, aż ta się cofnęła. Na skraju dziury metalowa powłoka drzwi eksplodowała do środka. Wojownicy na zewnątrz strzelali, nie wsuwając już broni do otworu.

Julia znalazła się w następnym pomieszczeniu. Mężczyźni zebrali się pod tylną ścianą i wycelowali broń w przejście. Czarny mężczyzna wbiegł do środka i zatrzęsął drzwiami.

Skinął głową i ktoś podniósł klapę w podłodze.

Czarny mężczyzna podszedł do krawędzi otworu. Dostrzegł Julię i Stephena.

- Chodźcie - powiedział.

Julia zawahała się.

Wyraz jego twarzy złagodniał.

- To nie jest loch. To przejście podziemne do bezpieczniejszego miejsca. To tylko kwestia czasu, kiedy ci kolesie tu wejdą. - Głos miał głęboki, mówił płynnie, z domieszką brytyjskiego akcentu.

Jak gdyby chcąc ją uspokoić lub pokazać, że on zamierza się stąd zabrać - z nią, czy bez niej - mężczyzna zaczął schodzić w dół do otworu, aż cały w nim zniknął. Julia zajrzała w dół. Błysnęło światło latarki, ukazując twarz mężczyzny u stóp stromych schodów. Julia zerknęła na Stephena i wstawiła nogę do otworu.

Powietrze w dole było wilgotne, chłodne i pachniało czymś ziemistym, co przypominało Julii zapach czystej skóry. Mężczyzna obrócił się bez słowa i wszedł do tunelu wydrążonego w czerwonej ziemi i glinie. Poszła za nim. Zagłębiali się coraz dalej i odgłosy butów na schodach, skrzypienie skórzanych kurtek i kabur oraz brzęk broni pozostałych mężczyzn zlewały się w jednostajny szum, przypominający stłumiony dźwięk konchy. Kiedy człowiek idący przed nią znowu się odezwał, tylko decybel dzielił jego głos od krzyku.

- Te przejścia zostały wybudowane za czasów dyktatury generała Stroessnera. Jego pasją były tortury. Paragwaj uwolnił się od niego kilkadziesiąt lat temu, ale zło wciąż nawiedza to miasteczko, więc tunele pozostały. Kłapa, której użyliśmy, jest wzmocniona metalem i ma od spodu dobry zamek, ale nawet jeśli wasi uzbrojeni kumple dostaną się do środka, najprawdopodobniej nas nie znajdą.

- Najprawdopodobniej? - powtórzyła Julia.

- To i tak nieźle jak na taką awaryjną sytuację.

Doszli do pomieszczenia, gdzie tunel rozgałęział się na kilka stron. Mężczyzna zapalił

latarnię, która wisiała na haku w suficie, i zaczekał na pozostałych. Odezwał się w jakimś obcym języku i ktoś mu odpowiedział.

- Są wszyscy - powiedział. - Nazywam się Sebastian Tate. - Błysnął garniturem dużych zębów i wyciągnął rękę.

- Julia - odparła. - A to jest Stephen.

Zatrzymał wzrok na ramieniu Stephena.

- Jesteś ranny. - Zawołał coś do kogoś za nimi. Do przodu wystąpił stary mężczyzna z długą, rzadką brodą, upychając z przodu za pasem wielki rewolwer. Ostrożnie odsunął kurtkę i koszulę z ramienia Stephena, po czym pomacał ranę długimi, kościstymi palcami. Machnął

ręką, jakby był rozczarowany.

- Pire erida - powiedział.

- Powierzchnowa rana - przetłumaczył Tate. - Boli cię?

- Przeżyję.

- Poha - powiedział Tate do starego człowieka.

Tamten przeszukał skórzany worek, który miał zawiązany wokół pasa, wyjął z niego trzy białe tabletki i wręczył je Stephenowi.

- Aspiryna - wyjaśnił Tate. Zwrócił się do Julii: - Wyglądasz, jakby i tobie trochę się przydało.

Dotknęła rozcięcia na czole.

- Tak, dzięki. - Połknęła tabletki bez popijania i zapytała: - Dlaczego nam pomogliście?

- Strzelały do was te dziwaczne trojaczki.

- Trojaczki? Widzieliśmy tylko dwóch. Tak sądzę.

- Było ich trzech, identycznych jak krople wody. Jeden z ludzi zobaczył, jak wjeżdżają do miasta z ulicy Angra. Ci geepas mogli przyjechać tylko z jednego miejsca. A jeśli ktoś stamtąd chce waszej śmierci, to na pewno warto was uratować.

- Co to za miejsce?

- Stara baza lotnicza. A teraz chodźmy. - Wkroczył do jednego z tuneli. Po drodze opowiedział im, że przyjechał tutaj jako dziennikarz londyńskiego dziennika „Times”, aby napisać artykuł o problemie ze wzrostem przestępczości zorganizowanej w Paragwaju. Ale na miejscu natrafił na znacznie bardziej sensacyjny temat - z miasteczek Ponta Pora i Pedro Juan Caballero regularnie znikali ludzie. Mężczyźni, kobiety i dzieci - po prostu znikali, średnio jedna osoba na tydzień. Jego wydawca nie był zainteresowany, więc Tate wziął roczny urlop bezpłatny, żeby zgłębić sprawę i spróbować napisać książkę. Ale - jak to ujął - „uległ

zniewalającemu urokowi pewnej damy” i rok rozciągnął się na dwa lata, a potem trzy.

Pomimo bardzo niskich kosztów utrzymania - przeciętny Paragwajczyk zarabiał mniej niż większość Amerykanów wydawała na telewizję kablową - jego oszczędności wreszcie stopniały, więc zatrudnił się jako północno-wschodni korespondent „ABC Color”, publicznej gazety paragwajskiej.

Przystanął i odwrócił się, opierając dłoń o schody prowadzące do przykrytego klapą wyjścia. Wzdłuż krawędzi klapy prześwitywał wąski promień światła. Dochodził też odgłos stłumionych głosów. I śmiechu, na dźwięk którego Julia również lekko się uśmiechnęła.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Tate.

Julia i Stephen wyszli za Sebastianem Tate z tunelu do miejsca, które było jego dokładną odwrotnością: był to olbrzymi magazyn, jasno oświetlony blaskiem wiszących, metalowych lamp i

ogrzany ciepłem szumiącego pieca przemysłowego. Pod ścianami stały ustawione pudła i skrzynki, a na środku była wolna przestrzeń wielkości sali balowej.

Podobnie jak w pomieszczeniu na drugim końcu tunelu, podłogę stanowiła tutaj mocno ubita ziemia. Wokół granicy otwartej przestrzeni rosło trochę trawy. Połowa tego obszaru wyglądała jak pchli targ - stały tam różne wytarte kanapy, wypatroszone fotele, siedzenia samochodowe i stelaże leżaków ogrodowych oraz rozmaite półki, stoły i toaletki. W

ożywionej rozmowie, którą Julia słyszała z dołu, uczestniczyło około dwudziestu osób, głównie kobiet.

Jedna z nich, ładna brunetka po trzydziestce z rozpuszczonymi włosami, podeszła do nich szybko.

- Mba'êicha? - zapytała.

- Opavave al pelo pa - odparł Tate.

Wpadła na niego i zarzuciła mu ramiona na szyję. Ścisnęła go tak, że aż stęknął.

Pocałowali się długo i namiętnie. Odsunęła się od niego i przyjrzała Stephenowi i Julii.

Tate powiedział coś do niej i brunetka powróciła do niewielkiej grupki kobiet.

- Moja Rosa - wyjaśnił i błysnął w uśmiechu dwoma rzędami dużych zębów.

Rosa wróciła do nich wraz z dwiema innymi kobietami i wszystkie zaczęły mówić jedna przez drugą, tak że prawie krzyczały.

Tate uspokoił je, zwracając się do każdej z nich po kolei. Uśmiechnął się szeroko do Julii i Stephena.

- Rosa chce uprać wasze ubrania. Mówi, że nigdy nie widziała dwojga tak brudnych ludzi.

Młoda kobieta postąpiła o krok bliżej.

- Jahu?

Tate skinął głową.

- Ernestina przygotowuje wam kąpiel w pokojach na zapleczu, a Fatima robi coś do picia i przyniesie soo ha chipa - mięso i chleb.

- Jesteśmy bardzo wdzięczni - odparła Julia, kiwając głową. - Wydaje mi się, że powinnam je rozumieć. To nie jest hiszpański?

- Guarani. Tubylczy język z naleciałościami hiszpańskiego. - Tate wskazał na bok Stephena. - Masz jeszcze jedną ranę.

Krąg krwi wielkości piłki do koszykówki przesączał się przez przemoknięte i zabłocone ubranie.

Stephen podniósł rękę i obejrzał plamę.

- Pewnie popękały mi szwy.

- Roberto się tym zajmie.

Skinął na starszego mężczyznę, który pomagał im wcześniej. Roberto, stękając, podniósł się z podłogi, gdzie siedział i ściągał buty, po czym zaczął człapać w ich kierunku.

- Jest weterynarzem, ale z ludźmi też niezłe sobie radzi - wyjaśnił Tate.

Julia szturchnęła Stephena.

- W takim razie ja pójdę się umyć pierwsza.

- Miłej kąpieli.

Ernestina wzięła ją za rękę i poprowadziła do drzwi. Zanim Julia przez nie przeszła, obejrzała się za siebie. Tate klęczał przy dwóch mężczyznach, pokazując im, jak rozkłada się na części pistolet automatyczny.

Niecałą godzinę później Stephen siedział na kanapie, a Julia obok niego na jednym z rozprutych krzeseł. Oboje byli zawinięci w ciężkie indiańskie koce i nieco skrepowani czekali, aż Rosa przyniesie z powrotem ich ubrania. Ale poczucie ciepła i czystości zdecydowanie rekompensowały Julii tymczasowy dyskomfort spowodowany tym, że siedzi prawie naga pomiędzy obcymi ludźmi. Kiedy zanurzyła się w wannie, okazało się, że musi wylać całą wodę, gdyż ta zrobiła się mętna i czerwona. Dopiero gdy jeszcze raz napełniła wannę, mogła spokojnie oczyścić ciało z resztek brudu. Mimo to za każdym razem, kiedy przykładła dłoń do głowy, wciąż wytrząsała z włosów grudki cynobrowego piasku.

Fatima podeszła do niskiego stolika przed nimi, dźwigając w rękach trzy duże miski.

Stawiając je na stole, objaśniała, co zawiera każda z nich.

- Yva. - Pokazała im misę pełną owoców. Oprócz pomarańczy były tam jabłka, banany i mango. - Asodos. - Były to parujące plastry mięsa upieczonego na węglu drzewnym.

Julię owionął intensywny aromat i pomimo posiłku, który zjadła w Tawernie pod Świńskim Okiem, znowu poczuła się głodna. Widząc, że Stephen wpatruje się w misę jak urzeczony, domyśliła się, że czuje to samo.

- Chipa. - Przypominające francuskie bułki pieczywo było tak gorące, że rozpromieniona twarz dziewczyny była spowita zasłoną pary. Fatima wyprostowała się, położyła dłonie na biodrach i uśmiechnęła się, zadowolona z siebie.

- Gracia - powiedziała Julia.

Ernestina udzieliła jej pobieżnej lekcji guarani. Teraz repertuar Julii obejmował cztery słowa: „tak”, „nie”, „dziękuję” i „łazienka”. Czegóż więcej było potrzeba?

Fatima ukloniła się Julii. Machnęła głową, odrzucając włosy za ramię. Błysnęła szmaragdowymi oczami w stronę Stephena i obdarowała go uśmiechem wyraźnie większym i bardziej promiennym niż ten, który posłała Julii.

- Okaru.

Stephen patrzył na nią jak oniemiały. Julia zastanawiała się, czy zaniemówił, słysząc, co Fatima powiedziała, czy też na widok jej olśniewającej urody zaprezentowanej w tak zalotny sposób.

- Okaru - powtórzyła i udała, że podnosi coś z jednej z misek wszystkimi pięcioma palcami i wkłada to do ust. - Okaru.

- Jeść! - powiedział Stephen, otrząsając się z oszołomienia. - Tak, dziękuję, gracia.

Fatima wyduła usta we wstydlwym uśmiechu i oddaliła się.

Żaden szef kuchni w Paryżu czy Nowym Jorku nie zrobiłby lepszego dania niż asodos i chipa. Stephen i Julia jedli powoli, przyglądając się swoim gospodarzom, którzy krążyli po sali, dyskutowali, studiowali mapy i po wielokroć czyścili broń. Kilku podeszło bliżej, przywitali się gestem i słowem, wzięli kilka pomarańczy i wrócili do swoich spraw. Julia uświadomiła sobie, że w powietrzu wisi niemal namacalny niepokój, stęchła woń strachu.

Jej wzrok przyciągnął ruchomy cień i dostrzegła mężczyznę siedzącego wysoko na stosie skrzynek, który wyglądał przez jedno z okien znajdujących się pod wysokim sufitem.

W ciemności wyraźnie widziała jego karabin. Zaczęła się rozglądać za innymi strażnikami, kiedy podeszła Fatima z dwoma kubkami zrobionymi z rogów byka.

- Tereré - zaprezentowała im napój. Podziękowali jej i dziewczyna odeszła, zamiatając na boki spódnica.

Julia powąchała napitek i pociągnęła łyk. Skrzywiła się i odstawiła kubek na stół.

- Lepiej, żeby ci smakowało - ostrzegł Tate, opadając na kanapę obok Stephena. -

Tutaj wszyscy to piją. Wszyscy i przy każdej okazji.

- To jest gorzkie - pożałowała się.

- Można się przyzwycząić. - Przyjrzał się resztkom jedzenia na stole, odłamał kawałek chleba i wepchnął go do ust. Wolno żując, zawiesił na Julii swe smutne, przenikliwe spojrzenie. Nie uśmiechał się.

- Powiecie mi, co tu robicie i dlaczego Nana-ykua chce się was pozbyć?

- Nana?...

- Nana-ykua. To znaczy „Demon z otchłani”. Ludzie z miasteczka wierzą, że tam czai się zło, i mają powody, żeby tak sądzić. Odkąd większość z nich pamięta, ludzie, którzy udawali się w tamtą stronę, nigdy nie wracali. Albo wracali - z opowieściami o strzelających do nich strażnikach. Po co tu przyjechaliście?

Stephen odparł:

- Oni porwali mojego brata.

Tate skinął głową.

- To do nich podobne. Widzicie tego chłopaka z blizną na twarzy? To Emilio. Jego ojciec zniknął dziesięć lat temu z ulicy w PJC. Emilio poszedł na miejscową tahachi, policję.

Powiedzieli mu, że się tym zajmą, ale tego nie zrobili. Jeden z naszych ludzi, który kiedyś był policjantem, mówił, że za przejazdówkę pod bramę bazy lotniczej dostawało się 100

tysięcy guarani - równowartość kilku dniówek. Emilio pojechał nawet do Asuncion, do federates. Nic to nie dało. Zebrał więc kilku innych, którzy też kogoś stracili - żonę, dziecko.

Zaczęli jeździć i strzelać na chybił trafił do strażników, do budynków, próbowali sabotować samochody, które stamtąd wyjeżdżały. W końcu Nana-ykua zainstalował mocniejszą ochronę, naprawdę wredną maszynę, i ataki się skończyły. Emilio i jego kumple zaczęli patrolować nocą ulice. Przeszkodzili w kilku porwaniach. Dali tamtym popalić. Po kilku takich akcjach ludzie przestali zniknąć. A potem to samo zaczęło się dziać w Cerro Cora, jakieś piętnaście kilometrów na zachód. Tam też pomogliśmy założyć patrole. Potem w Antoni João.

Odsuwaliśmy porwania coraz dalej. Gdzie złapali twojego brata?

- W Chattanooga.

- W Stanach? - Tate rozwarł szeroko oczy. - Rany!

- To było nieco inne porwanie - wyjaśniła Julia. - Ale mają go, a my chcemy go odbić.

Podeszła Rosa i usiadła na kolanach Tate'a. Powiedziała coś do niego.

Tate skinął głową w stronę Stephena.

- Twoje ubranie jest gotowe. Znajdziesz je na zapleczu, tam gdzie są łazienki.

Stephen poszedł, a Rosa zaczęła głaskać Tate'a po głowie i szyi.

Julia przyglądała im się przez chwilę, po czym stwierdziła:

- To jest teraz twój dom.

- Rosa jest moim domem. - Zamknął oczy, czując jej delikatny masaż. Potem rozejrzał

się po sali. - To są cudowni ludzie, dobrzy, szcudrzy. Nie zasługują na to, co ich spotyka.

Mężowie, żony, dzieci po prostu znikają, przepadają bez śladu. Z początku chciałem nagłośnić ten problem w jedyny sposób, jaki znałem, czyli pisząc o nim. Potem znalazłem Rosę, a oni wszyscy znaleźli mnie. Teraz chcę pomóc w bardziej konkretny sposób.

- To godne podziwu, że walczysz za ich sprawę.

- Teraz to także moja sprawa. - Uśmiechnął się do swej damy. - Rosa nie chce jechać ze mną do Anglii. Nie chce zostawić rodziny. A więc to jest teraz mój dom, dopóki Rosa mnie chce.

Rosa pocałowała go w czubek głowy, a potem w ucho.

- Wygląda na to, że uczucie jest wzajemne - stwierdziła Julia. Na moment zamilkła. -

Nieźle sobie radzisz z bronią.

- W poprzednim życiu byłem w SAS.

Julia uniosła jedną brew, dostrzegając teraz więcej w jego ogorzałej twarzy i mocnym ciele, niż widziała wcześniej. SAS było uważane za pierwszą i wciąż najlepszą jednostką specjalną na świecie.

- Ta zbieranina - kontynuował - składająca się głównie z farmerów i ranczerów potrzebowała właśnie takiej pomocy.

- Żeby bronić się przed porwaniami? - Wydawało jej się, że do tego nie potrzeba było aż komandosa. Jeśli coś takiego zdarzyłoby się tam, skąd ona pochodziła, ludzie po prostu chwyciliby za kije i szybko położyliby temu kres.

- Oni mają większe plany, jeśli tylko będą w stanie.

Podniósł wzrok i skinął głową z uznaniem.

W ich stronę zmierzał Stephen w czystym ubraniu i wyglądał na bardzo zadowolonego ze swojego wyglądu. Kiedy przechodził obok grupki mężczyzn, podszedł do niego człowiek, którego Tate przedstawił jako Emilia. Zaczęli rozmawiać i ruszyli dalej razem w stronę wyspy mebli przylegającej do jednego z boków przestronnej sali.

Stephen usiadł i wyciągnął w stronę Julii jakiś przedmiot. Był to duży rewolwer.



- On chce, żebyście go obejrżeli - wyjaśnił Tate. - Należał do jego ojca.

- Tak, mojego taty. Fajna broń - potwierdził Emilio, stając przy sofie i uśmiechając się do Stephena.

Stephen zważył rewolwer w dłoni i zajął do lufy.

- Bardzo fajny - powiedział. Oddał go z powrotem Emilio, który uniósł go dumnie, a potem wetknął za pasek.

- No proszę, co za widok - odezwała się Julia, lustrując świeży wygląd Stephena.

Stephen pociągnął za kołnierzyk i pogłaskał się po przodzie swojej czystej i najwyraźniej wyprasowanej koszuli.

- Tak, tak - odparł. - Znowu jestem sobą. - Wyjął z misy kawałek mięsa i włożył go do ust.

Emilio przysunął bliżej leżak ogrodowy i usiadł.

- Dziękujemy za gościnność - powiedziała Julia.

- Czujesz się lepiej?

- Dużo lepiej, prawie jak człowiek. A poczuje się jeszcze lepiej, kiedy będę mogła się ubrać.

Emilio się zarumienił i krew nadała jego ciemnej skórze barwę cynamonu.

- Chyba już niedługo. - Powiedział coś do Rosy, która zerknęła na Julię i roześmiała się dobrodusznie. Ześlizgnęła się z kolan Tate'a i poszła w kierunku zaplecza.

- Wszystko dobrze, naprawdę - owinęła się mocniej kocem i wsunęła jego końce pod siebie. Zwróciła się do Tate'a: - Mówiłeś, że oni mają większe plany, przy których może się przydać twoje doświadczenie z SAS. Jakie to plany?

- Pozbyć się Nana-ykua! - odparł Emilio. Wyszarpnął pistolet zza pasa i potrząsnął

nim w powietrzu. - Aikoteve peikoteve che rehe, Nanaykua!

Mężczyźni w sali zaczęli gwizdać i wiwatować.

- No tak. - odezwał się Tate, kiwając ręką w uspokajającym geście i próbując skłonić Emilia, by ten schował broń. - Kiedyś.

- Kiedyś? Nie kiedyś! - odrzekł Emilio. Uśmiechnął się do Julii. - My pokonać ich teraz, prawda?

Stephen pokiwał głową. Julia nie wiedziała, jak zareagować. Czy Emilio proponował

im pomoc swoich ludzi? Czy naprawdę mogliby wkroczyć tam z bronią w ręku i uwolnić Allena?

- Ci źli ludzie. Kto zniknął? Kogo oni zabrać?

- Mojego brata.

- A, eme'na. - Wstał i krzyknął coś do pozostałych, najwyraźniej jakieś wezwanie.

Inni mężczyźni też unieśli broń nad głowami. Niektórzy musieli przebiec przez salę, żeby chwycić pistolet lub karabin. Wciąż powtarzali to samo zdanie. W uszach Julii brzmiało to nie jak słowa, ale jak ścieżka dźwiękowa Ennio Morricone czy też raczej: „Możemy walczyć! Możemy walczyć!”.

Emilio rzucił rewolwer na drewniany stół. Podniósł róg Julii napełniony tereré.

- Idziemy jutro - oznajmił, pokazując wszystkie zęby. - Dosyć! Dosyć Nana-ykua!

Dzisiaj cieszymy się i pijemy. - Uniósł róg. Brązowy płyn rozlał się i zachlapał mu twarz.

Emilio roześmiał się, a pozostali mężczyźni mu zawtórowali.

Julia uśmiechnęła się szeroko do Stephena.

- Jesteś gotów? - zapytała.

- Dosyć Nana-ykua! - odparł, potrząsając w powietrzu pięścią.

\*

Julia podniosła gwałtownie powieki. Chciała zaczerpnąć powietrza, ale nie mogła.

Ktoś zasłaniał jej dłonią usta. Natychmiast wsunęła rękę pod marynarkę, którą miała zwiniętą pod głowę, ale przypomniała sobie, że przecież nie ma pistoletu.

Z ciemności wyłoniła się twarz Tate'a. Przyłożył palec do ust i cofnął dłoń. Odwrócił

się od niej i przycisnął dłoń do ust Stephena, który obudził się z większym wdziękiem niż ona: poruszył tylko powiekami, unosząc je do góry niczym filmowy zombie. Sprawdziła godzinę na zegarku. Była trzecia czterdzieści.

Tate wskazał głową na drzwi niewielkiego pomieszczenia, które zajmowali, i zaczął

kluczyć w stronę wyjścia pomiędzy ciałami ludzi śpiących wokół. Julia i Stephen ruszyli za nim ze swoimi plecakami. Wyszli z pokoju do przestrzennej sali głównej, w której również było ciemno, chociaż tutaj smugi księżycowego blasku wlewały się przez wysokie okna i kładły się na podłodze. Tate przycisnął się do ściany i popatrzył w górę w stronę okien.

„Strażnicy” - pomyślała Julia.

Tate przesunął się cicho i szybko do następnych drzwi i prześlizgnął się przez nie.

Przeszli za nim do innego pomieszczenia, gdzie migoczący płomień wywoływał

wrażenie, że ściany poruszają się, falując.

Zawieszona na haczykach płaszcz, kurtki i swetry tańczyły w drgającym świetle niczym nerwowe duchy.

- Posłuchajcie - wyszeptał Tate tak blisko ich twarzy, że Julia poczuła zapach gorzkiego tereré w jego oddechu. Blask świecy rozjaśniał tylko wystające części jego twarzy, wypełniając resztę atramentowymi cieniami. Dawało to niepokojący efekt i sprawiało, że tym mocniej czuli jego obecność. - Zaprowadzę was do bazy lotniczej, jeśli wciąż chcecie tam iść.

Pójdziemy teraz, sami.

- Ale ci ludzie - zaczęła Julia - oni mówili.

- Oni nie pójdą. Próbowałem wam to powiedzieć w nocy. Nie są gotowi i wiedzą o tym. Coś im przeszkodzi. Pogoda. Ktoś w rodzinie się rozchoruje.

- Ale byli tacy... podnieceni.

- Od czasu do czasu popadają w taki stan. Bez przerwy o tym myślą. Naprawdę chcą się zebrać i pokonać Nana-ykua. Modlą się, że może wszyscy porwani wciąż tam są, żywi.

Ale wiedzą, jak jest naprawdę. Pragną zemsty i chcą, żeby ten strach i porwania wreszcie się skończyły. Zmarszczył brwi. - To wy ich tak poderwaliście tym razem - powiedział. - Wy i te dziwaczne trojaczki, które was ścigały. Ale w końcu przypomnę sobie, że mają rodziny na utrzymaniu, przypomnę sobie, jak silnie chroniona jest ta baza. Przypomnę sobie, że są rolnikami i hodowcami, a nie żołnierzami. Wrócą do patrolowania ulic i będą nadal bronić swoich ludzi. Za pół roku, może za rok znowu się ożywią. Może wtedy lub jeszcze następnym razem z boską pomocą zrealizują swoje plany. Ale nie dziś.

Wszyscy zamilkli.

- Dlaczego nam pomagasz? - zapytał wreszcie Stephen.

- Bo sami nie macie żadnych szans. - Tate podszedł do ściany, gdzie wisiały kurtki.

Wybrał dwie i rzucił je Julii i Stephenowi. On sam miał już na sobie swoją skórzaną kurtkę, ciemną i pomarszczoną jak skóra na jego twarzy. Chwycił klamkę u drzwi i odwrócił

się, jakby zapominał o czymś istotnym. - Pewnie i tak zginiecie - rozległ się w ciszy jego stłumiony, aksamitny głos. - Ale tak będę w stanie żyć sam ze sobą. - Otworzył drzwi i wyszedł w chłód nocy.

Tuż za Pedro Juan Caballero droga gruntowa zmieniła się w tor przeszkód z głębokimi koleinami i zięjącymi dziurami, które były wypełnione mętną wodą i grząskim błotem.

Podróżowali najdziwniejszym pojazdem, jaki Julia kiedykolwiek widziała. Była to jakby półciężarówka z kwadratowym przodem, wysoką szoferką i zderzakami, które wystawały na co najmniej metr po obu stronach i wyglądały jak barierki ochronne przyspawane do poziomych drągów. Za siedzenie służyła drewniana ławka, a deska rozdzielcza była zrobiona z nieoszlifowanego drewna. Najdziwniejsze ze wszystkiego były szkolne szafki szatniane przymocowane do platformy za szoferką i wznoszące się nad nią niczym kiosk łodzi podwodnej. Silnik na zmianę to ryczał bez przyczyny, to rzeził, zwalniał

obroty, krztusił się i zdawało się, że zaraz zgaśnie. Julia nie umiała zdecydować, czy symbol Mercedesa na zdezelowanej kracie chłodnicy był autentyczny, czy ktoś umieścił go tam dla żartu.

Z początku się ucieszyła, odkrywając, że działa ogrzewanie. Potem, kiedy palce u nóg zmieniły jej się w gorące parówki, a po twarzy zaczął spływać pot, Tate poinformował ich, że ogrzewanie się zacięło i gdyby zmniejszyli nawiew, urządzenie mogłoby się przegrzać i zepsuć na dobre. Uchylił okno, żeby wpuścić nieco zimniejszego powietrza, które schłodziło Julii twarz, ale nie przyniosło żadnej ulgi stopom.

Siedzieli w ponurej ciszy, przyglądając się zawiłej topografii drogi przez dwa świeżo oczyszczone miejsca na upstrzonej owadami przedniej szybie. Tate włączył radio i z niewielkiego głośnika rozległy się trzeszczące dźwięki polki. Według Tate'a mieli do przebycia pięćdziesiąt kilometrów okrężną drogą. Ich podróż, która miała trwać pięć godzin -

ostatnie trzynaście kilometrów mieli pokonać na piechotę - dopiero się zaczęła, a Julię już bolała tylna część ciała. Oprócz nieustannego obijania się o twardą ławkę, podejrzewała, że wbiła się jej tam drzazga wielkości wykałaczki, ale uznała, że woli cierpieć niewygodę, niż narazić się na upokorzenie przy wyjmowaniu drzazgi. Za każdym razem, kiedy Tate wrzucał

dwójkę lub czwórkę, musiała odsuwać kolana na prawo i przyciskać je do ud Stephena, żeby nie uderzył jej długi metalowy drążek zmiany biegów.

Po prawie dwóch godzinach Tate odezwał się:

- No dobra.

- Podskoczyła lekko na dźwięk jego głosu i była przekonana, że głowa Stephena stuknęła w metalowy dach. - Ich siedziba znajduje się pod starym lądowiskiem wojskowym, w samym sercu jedynej rejonu w Paragwaju, który jest porośnięty dżunglą.

- Pod? - Nigdy nie brała pod uwagę, że kompleks może być położony pod ziemią.

Wyjaśnił im, jak doszli do tego po długim czasie, po rozmowach z dostawcami, z przekupnymi paragwajskimi urzędnikami oraz dzięki własnemu rozpoznaniu.

- Tak naprawdę to nawet nie jest dżungla. Przynajmniej nie w powszechnym rozumieniu tego słowa. Nie ma tam wysokiego, wielowarstwowego poszycia, które blokowałoby światło słoneczne, gęstych pnączy ani paproci grubych jak koce. Ta dżungla nie jest aż tak bujna, mimo że jest częścią lasów

deszczowych, które ciągną się od dorzecza Amazonki. Wyobraźcie sobie bardzo gęsty las, to nabierzecie ogólnego wyobrażenia.

- A więc możemy dotrzeć do bazy przez las? - zapytał Stephen.

- Tego nie powiedziałem. Nana-ykua zbudował sobie sam to, czego nie stworzyła przyroda: fortecę nie do zdobycia. Na drzewach wokół kompleksu są rozmieszczone kamery, mikrofony i mikrofalowe detektory ruchu. Są tam ogrodzenia pod napięciem i miny pułapki.

Drogo okupiliśmy tę wiedzę.

- To co zrobimy? - spytała Julia. Spojrzała na Stephena. Czy tak zbladł, czy tylko oświetlił go blask księżyca? Ścisnęła uspokajająco jego rękę.

Tate się uśmiechnął. Nachylił się do nich i udał, że szepcze:

- Odkryłem pewien sekret.

Julia czekała, aż powie coś więcej.

- Starą kopalnię. Hiszpanie, którzy osiedlili się w tym rejonie, nie znaleźli złota ani srebra tak jak w Ameryce Środkowej lub w północnej części Ameryki Południowej, ale oczywiście go szukali. Rozkopywali nawet najcieńszą żyłę i drążyli tunele, dopóki kruszec się nie wyczerpał. - Spojrzał na nich, a jego uśmiech się poszerzył. - Jeden z takich tuneli prowadzi wprost do bazy.

- Da się dojść do otworu?

- Tunel zaczyna się daleko od tamtego miejsca, tak daleko, że przechodzi pod niemal wszystkimi zabezpieczeniami Litta.

Julia skinęła głową. Czyżby naprawdę sytuacja wreszcie obróciła się na ich korzyść?

- I ludzie Litta o nim nie wiedzą?

- Kiedyś chyba wiedzieli - odparł Tate. - Wygląda na to, że przebili się do niego, kiedy rozbudowywali kompleks. Wstawili tam duże stalowe drzwi, chyba wyjście ewakuacyjne. I najwyraźniej o nim zapomnieli. Kiedy natknąłem się na kopalnię, jej wejście było całkowicie zarośnięte roślinnością. Były tam pajęczyny grube jak sznur, nietoperze i inne stworzenia.

- Musieli je zabezpieczyć.

Tate uśmiechnął się, czerpiąc niezmierną satysfakcję z ich zaskoczenia.

- Znalazłem wszystkie ich urządzenia i tak je poprzestawiałem, żebym mógł tamtędy chodzić bez niczyjej wiedzy. Rozpoznawałem ten teren od ponad roku. Nie potrafię się dostać do kompleksu podziemnego. Otworzyłem wytrychem zamek w metalowych drzwiach, ale one wychodzą tylko na długi korytarz zakończony drzwiami wyposażonymi w zamek elektroniczny, przy którym wytrych nic

nie da. Udało mi się przedostać do części naziemnej kompleksu i śledzić ich ruchy. Są tak pewni ochrony na obrzeżach bazy, że nie pilnują tak bardzo tego, co się dzieje w jej środku. Przynajmniej na powierzchni. - Przerwał. - I wiem, gdzie są schody.

- Więc dlaczego z nich nie skorzystałeś?

- Nie mam pojęcia, czego się spodziewać na dole. Nie chciałem używać siły, bo dowiedzieliby się o złamaniu zabezpieczeń. Wtedy zaczęliby szukać i znaleźliby kopalnię.

- I odciąliby do niej dostęp - skończył Stephen.

- Chcę tego asa zatrzymać w rękawie do czasu, aż będziemy gotowi.

- Cóż, Stephen i ja jesteśmy gotowi. - W podnieceniu Julia sięgnęła pod siebie, żeby namacać tę upartą drzazgę. Zobaczyła, że Stephen przygląda się jej z rozbawionym wyrazem twarzy. - Ławka mnie kłuje - wyjaśniła.

Tate roześmiał się głośno i tubalnie.

- Kobieto, jeżdżę tym gratem od tak dawna, że już prawie cały mój tyłek jest z drewna!

Tak ich to rozśmieszyło, że na moment zapomnieli o swoim przeznaczeniu i o czyhających na nich niebezpieczeństwach.

\*

Kiedy Tate zjechał z drogi i skręcił do dżungli, niebo zdążyło się już rozjaśnić szarawym błękitem. Przedarł się przez pięć metrów gęstej roślinności, zgasił silnik i wyskoczył z auta. Stephen i Julia dołączyli do niego. Stephen rozciągał i masował mięśnie.

Julia zastanawiała się nad rozmasowaniem tylnej części ciała, ale poprzestała na krążeniu tułowiem z rękami na biodrach. Wdychała tropikalne powietrze, czuła wilgoć na skórze i wsłuchiwała się w kapanie, szmery i nieskończony bezruch otaczającej ją dżungli.

Zaczęła myśleć o przytłaczającym zadaniu, które mieli przed sobą, i poczuła ucisk w żołądku, ale resztę jej ciała wypełniła energia płynąca ze świadomości, że zbliża się walka, i z zadowolenia, że wreszcie podejmują jakieś działanie.

Tate zmierzył ich wzrokiem i potrząsnął głową.

- Nie jesteście przygotowani do wycieczki przez dżunglę - ogłosił i wskoczył na pakę.

Otworzył kłódkę jednej z szafek, nachylając się nad nią, żeby lepiej widzieć w półmroku, po czym szarpnął za klamkę. Kiedy się odwrócił, trzymał w rękach rozmaite przedmioty.

- Wskakujcie tutaj i siadajcie.

Kiedy zrobili tak, jak im powiedział, zeskoczył na ziemię, upuszczając kilka rzeczy przy lądowaniu. Ułożył wszystko obok nich, wyjął cztery duże zasuwane worki i wręczył

każdemu z nich po dwa.

- Naciągnijcie to na skarpetki. - Kiedy zdjęli adidas, uniósł lewą stopę Julii i zaczął ją obklejać dookoła srebrną taśmą klejącą.

- Czy to konieczne? - zapytała niecierpliwie.

- To zależy. - Nie przestał owijać jej stopy taśmą, a klej zgrzytał rytmicznie niczym cierpiący ptak, w miarę jak Tate rozwijał rolkę.

- Lubisz pająki i węże?

- Węże? - zapytała słabym głosem.

- I to mnóstwo. Żabojady, zmije, więcej odmian węży koralowych niż gdziekolwiek indziej na świecie, a wszystkie niezwykle jadowite. Jeśli zobaczysz coś wijącego się, zabij to lub uciekaj. - Oderwał taśmę od rolki. Przeszukał swoją stertę, wyjął parę damskich rękawic ogrodowych i wręczył je Julii. Stephenowi podał parę rękawic ochronnych. - Niestety, dwie prawe.

- Nieważne, jeśli tylko spełnią swoją funkcję - odparł Stephen, rozpoczynając długi proces wciskania swoich ogromnych dłoni w rękawice.

Tate przytwierdził taśmą rękawice Julii do rękawów ciężkiej skórzanej kurtki, którą od niego dostała, po czym przyjrzał się otworowi na szyję i zaciągnął suwak do samej góry.

- Powinno wystarczyć.

Wręczył jej brudną i postrzępioną wełnianą czapkę, którą ona delikatnie przytrzymała z dala od siebie.

- Czy chcemy wystraszyć Litta na śmierć? - zapytała.

Tate wskoczył na pakę i podszedł do otwartej szafki. Niebo rozjaśniło się już na tyle, że widać było jej zawartość: łopaty, grabie i motyki. Wyjął je z szafki i z hałasem rzucił na podłogę. Uchylił fałszywą tylną ściankę i wydobył dwa pistolety.

- Sig sauer czy beretta? - zapytał, kucnąwszy przy Julii.

- Co, nie ma springfieldów? - zażartowała. Poczwała ulgę na myśl, że będzie mieć coś bardziej konkretnego niż motyka, żeby zmierzyć się z Littem i Atroposem.

Tate był poważny.

- Myślę, że sig ci się spodoba - stwierdził, podnosząc jeden z pistoletów.

- Miałam siga w Akademii - odparła, biorąc go do ręki. Dobrze leżał jej w dłoni.

Wyjęła magazynek, zobaczyła, że jest załadowany do pełna trzynastoma kulami, po czym wcisnęła go z powrotem na miejsce. Odciągnęła zamek pistoletu i wyjęła pocisk.

- Zawsze trzymam jeden nabój w komorze - powiedział Tate.

Skinęła głową, włożyła pocisk z powrotem i kciukiem wcisnęła zatrzask zamka.

Tate obserwował ją, a fałdy na jego twarzy ułożyły się w wyraz niedowierzania.

- No co? - zapytała.

- Potrafisz to zrobić w takich nieporęcznych rękawicach.

- Zabawne. Nasze szkolenie w Centrum Kontroli Chorób obejmowało posługiwanie się bronią w kombinezonie ochronnym, wiesz, w takim, co wygląda jak strój astronauty.

Nigdy nie sądziłam, że będę ścigać wirusy w południowoamerykańskiej dżungli oklejona taśmą i odziana w rękawice ogrodowe, ale to jest nawet dosyć zbliżone do szkolenia, które przeszłam.

- A czy sądziłaś, że kiedykolwiek przyda ci się szkolenie w zakresie skażenia biologicznego?

Zastanowiła się przez chwilę.

- W naszych czasach? Pewnie. Ale wyobrażałam sobie, że moim polem działania będzie jakiś drapacz chmur na Manhattanie, gdzie wejdę razem z grupą antyterrorystów i z ekipą biologów.

- A kiedy ja odszedłem ze służby, myślałem, że najgorsze zadanie, jakie może mi przypaść, to pisanie sprawozdań z obrad parlamentu dla mojej gazety. Dziś miałbym już na kominku nagrodę dziennikarską Charlesa Douglasa-Home'a. - Wyciągnął dłoń z beretą w stronę Stephena.

- Nie, dziękuję.

Tate wcisnął pistolet z tyłu za spodnie i zaczął wkładać na miejsce narzędzia ogrodowe, które wcześniej wyjął z szafki. Otworzył drugą szafkę i wyjął kapelusz safari, czarne rękawiczki z policyjnego przydziału, pas wojskowy z przytroczonym pistoletem, nożem, latarką, zwojem liny oraz maczetą. Wyszarpnął z szafki plecak, sprawdził jego zawartość, po czym zarzucił go na ramię. W usta wetknął grube cygareto i od razu zapalił je zapałką ukrytą w drugiej dłoni. Wypuścił obłok niebieskiego dymu, zużytą zapałkę rzucił

przez ramię i odezwał się, nie wyjmując cygara z ust:

- Gotowi?

Julia i Stephen spojrzeli na siebie.



Tate zeskoczył na ziemię. Podszedł do czegoś, co wyglądało jak zwarta ściana pnączy, gałęzi i liści przed maską ciężarówki. Jednym płynnym ruchem dobył maczety i wyciął długą, pionową linię w tej ścianie. Przepięsnał się przez otwór, jak gdyby przechodził przez kurtynę, i zniknął.

\*

Schodząc po schodach do kompleksu podziemnego, Karl Litt zadzwonił do Gregora.

Kiedy dotarł do holu na dole, jego szef ochrony w końcu odebrał.

- Gdzie się podziewasz? - chciał wiedzieć Litt. Przyłożył twarz do czytnika termicznego i ciężkie drzwi prowadzące do głównego korytarza otworzyły się.

- Robię obchód. A co się stało?

- Miałem ciekawą rozmowę z Atroposem. Z jednym z nich... - Litt przerwał i oparł się o wygiętą ścianę z zardzewiałej blachy falistej. Korytarz przed nim rozchodził się na kształt litery „T”: w lewo do laboratoriów i pomieszczeń dla chorych, w prawo do części mieszkalnej.

Gregor nie odpowiedział.

Za to Litt ciągnął:

- Brat Parkera i Julia Matheson? Zapomniałeś mi powiedzieć, Gregor?

Po chwili Gregor odparł:

- Atropos się tym zajął.

- Nie o to chodzi. Jak znaleźli tu Parkera? Kto jeszcze wie? - zamknął oczy.

Niekompetencja Gregora osiągnęła szczyt. Sześćdziesiąt lat temu, kiedy okazało się, że Gregor nie wykazuje zdolności na polu naukowym, Litt przekonał Kendricka, żeby znalazł

mu jakieś inne zajęcie. Gregor wyjechał, a potem powrócił z przeszkoleniem wojskowym i ochroniarskim. Kiedy Litt opuścił Elk Mountain, wezwał Gregora, a ten stawiał się bez wahania. Już wtedy Litt zdawał sobie sprawę, że Gregorowi brakowało intelektualnego polotu nie tylko w sferze nauki. Dotyczyło to wszystkiego. Gregor był jednak sumienny i lojalny, a co ważniejsze - był przyjacielem. W ciągu tych lat dobrze pilnował bezpieczeństwa i tajności bazy, a nie było to łatwe zadanie, biorąc pod uwagę konieczność zapewnienia stałych dostaw i podmiotów badań w połączeniu z determinacją Kendricka, aby znaleźć Litta.

Teraz jednak skuteczność Gregora wyparowała: wariograf nie wykazał zamiarów Despesorio Vero; wynajęcie Atroposa, na które tak nalegał Gregor, nie doprowadziło do szybkiego schwytania Despesorio ani do odzyskania dowodów, które ten przemycił poza bazę, a teraz Gregor pozwolił, by znaleźli ich niepowołani ludzie. Ostatnio Litt zaczął się zastanawiać, czy te wpadki są aby na pewno dziełem przypadku. Być może Gregor, podobnie jak Despesorio, miał dosyć życia w bazie. Czy Gregor mógł się obawiać, że jego rola straci na znaczeniu po udanej premierze Eboli Kugel? Powinien wiedzieć, że Litt będzie zawsze potrzebować ochrony, pod warunkiem, że będzie to dobra ochrona.

- Karl, kontroluję sytuację.

- Czyżby? - Litt odepchnął się ramieniem od ściany i poszedł dalej. - Czy wiesz, jak nas znaleźli? Czy wiesz, kto im pomógł? Z kim o tym rozmawiali? Nie sądzę, żebyś kontrolował sytuację! Znajdź ich. Ustal, co wiedzą. Sam powinieneś wiedzieć, co masz robić.

- Czekal na jakąś odpowiedź.

Gregor milczał.

Litt wsunął telefon do kieszeni z tyłu spodni i poszedł dalej, a jego gniew rósł wraz z każdym kolejnym uderzeniem obcasa o brudny beton korytarza. Kiedy otwierał celę Allena Parkera, miał ochotę stłuc go na krwawą miazgę. Ledwie się powstrzymał.

Parker leżał na łóżku polowym twarzą do góry, a z jego otwartych ust sączyła się ślina.

Toczył głową tam i z powrotem. Jego ręce pełzały po torsie niczym niespokojne pająki, chwytając za pierś, za brzuch, za bok i znów powracając do piersi. Do pokoju przywieziono elektrokardiograf. Robił wykres pracy niemrawego bicia serca Parkera.

- Bradykardia - odezwał się głos.

Litt podskoczył. Ogarnięty wściekłością nie zauważył cichego doktora Rankina, który stał po drugiej stronie pokoju.

- Jego serce bije zbyt wolno - powiedział Rankin. Miał na sobie zielony fartuch chirurgiczny związany w pasie i takiż czepek, który ledwie trzymał mu się na czubku głowy, i wyglądał jak jakaś maskotka. Kiedy mówił, wbił strzykawkę w gumową zatyczkę ampułki z lekarstwem i odmierzył dawkę przezroczystego płynu. Odwrócił się do wózka z instrumentami, odstawił butelkę i podniósł strzykawkę, żeby wycisnąć z niej powietrze. - Ma duszności. Ciśnienie spadło do 70/50. Ta atropina powinna pomóc.

Litt walnął Rankina w plecy kościstym łokciem. Lekarz wpadł na wózek, rozsypując jego zawartość po podłodze. Uderzył głową o ścianę i ciężko usiadł na ziemi.

- Czyś pan się wściekł? - odezwał się Rankin, bardziej zszokowany niż zły.

- W rzeczy samej, doktorze - odparł Litt, opierając jedno kolano o łóżko Allena. -

Jestem potwornie wściekły. - Nachylił się nad Allenem. - Skąd oni wiedzieli? Kto was tu przysłał? Gdzie jest. Ma pan jego kliszę rentgenowską? - zwrócił się teraz do doktora Rankina. - Gdzie jest jego klisza?

Lekarz podniósł się, rozcierając głowę i wskazał na dużą kopertę przypiętą do wózka.

Litt wyjął cienki plik zdjęć rentgenowskich i podniósł pierwsze z nich do światła.

Opuścił je, obejrzał kolejne, a potem jeszcze jedno.

- Tam - powiedział, wskazując na mały, wyraźny, biały owal pośród rozmytych szarych kształtów. - Jest w górnej części jego jelit. - Odrzucił zdjęcia. - Dziesięć do jednego, że to urządzenie naprowadzające. - Schylił się i podniósł z podłogi skalpel.

Chwycił garścią jednoczęściowy kombinezon Allena tuż przy pępku i rozciął go skalpelem. Wcisnął palce w otwór i szarpnął za materiał, odsłaniając brzuch Allena. Przyłożył

skalpel tuż pod pępkiem.

Czyjeś ręce chwyciły go za ramiona i szarpnęły do tyłu. Obrócił się i stanął twarzą w twarz z Rankinem.

- Ten człowiek umiera. Niech pan będzie łaskawy.

Wściekłość Litta skupiła się na lekarzu.

- Nie przerywaj mi! Nigdy! - Rzucił się na niego.

Rankin stał przed nim, drgając niczym uderzona struna fortepianu, z rozszerzonymi źrenicami widocznymi spoza okularów korekcyjnych, w których odbijały się koliste, czarne szkła Litta. Jego usta zastygły w kształcie idealnego „O”.

Litt poczuł ciepło na skórze i spojrzał w dół. Dłoń trzymająca skalpel była do połowy zagłębiona w fałdę chirurgicznego fartucha lekarza. Ręka Litta była zakrwawiona aż po nadgarstek, a teraz krew zalewała obficie wewnętrzną część jego dłoni i widział, jak ścieka na wyłożoną płytkami posadzkę. Skalpel tkwił wbity pod mostkiem mężczyzny, skierowany w górę w stronę jego serca.

Z ułożonych w niewielki okrąg ust wydobył się niemal niesłyszalny pisk, który po chwili zaczął się nasilać. Litt przyglądał się dużej łzie drżącej na brzegu dolnej powieki doktora.

Wepchnął skalpel głębiej. Łza spłynęła. Pisk ustał. Litt rozluźnił chwyt i ciało bezwładnie opadło na podłogę. Odsunął się o krok, trzymając ociekającą krwią dłoń z dala od siebie.

Jego oczy spoczęły na łóżku polowym. Odebranie życia Rankinowi w dużym stopniu ostudziło emocjonalną gorączkę, którą był ogarnięty. Jakie to miało znaczenie, jeśli urządzenie naprowadzające pozostanie na miejscu? Brat Parkera i ta kobieta już tutaj dotarli.

Szkoda została już wyrządzona.

Wyszedł do holu. Nie było nikogo w zasięgu wzroku. Wrócił do pokoju i stanął

okrakiem nad zwłokami, szeroko rozstawiając nogi, żeby nie pobrudzić się krwią. Ugiął

kolana i biodra; postronny obserwator mógłby pomyśleć, że Litt zamierza ucałować nieżyjącego mężczyznę. Ale on zatrzymał się kilka centymetrów od twarzy tamtego. Uniósł w górę swoje okulary przeciwsłoneczne, żeby przyjrzeć się jego woskowemu obliczu.

Podczas upadku okulary Rankina przekrzywiły się w górę po prawej stronie, tak że jedno oko zostało odsłonięte. Było ciemnobrazowe i niemal pozbawione rzęs i Litt zauważył, że jest szkliste, jakby zostało na nim odcisnięte piętno Śmierci. Wtedy dotarło do niego, że szklane oczy umarłych, którym poeci przypisywali mądrość i nieokreślony smutek, były po prostu suche, nic ponadto. Ten blask, którego im brakowało, to była po prostu wilgoć, a nie esencja życia.

Litt rozczarowany opuścił okulary na nos. Zanurzył palce w krwawej kałuży. Powstał

i zbliżył się do Allena. Wpatrując się w jego rozdziawione usta, niczym kieszonkowiec sprawdzający, czy wybrany przez niego cel nie nabrał jakichś podejrzeń, rozsmarował krew na prawej ręce Allena. Pokrył krwią wierzch i wewnętrzną część dłoni Allena i musiał dwa razy wrócić do kałuży, żeby zakończyć tę operację. Użył zwiotczalej dłoni jak pędzla, żeby pomazać krwią więzienny kombinezon. Dotknął ręką również twarzy Allena.

Jedyną zdatną do użytku oko Allena otworzyło się. Wziął świszczący wdech.

- Litt - odezwał się. - Lekarstwo.

- Kto was przysłał? Czy Kendrick wie?

- Lekarstwo.

- Jest tutaj, przyjacielu. Czy wiesz gdzie?

Litt przyjrzał się twarzy Allena: zalana potem skóra, szara jak popiół; drżące usta, krwawiące dziąsła. Ale oko było świadome i czujne. Widywał to już wcześniej, tak jakby umysł poddawał się chorobie jako ostatni.

- We mnie - odparł. - To moja krew. Wiele lat temu zostałem narażony na kontakt z jednym z pierwszych szczepów wirusa. Przeżyłem. - Uniósł głowę. - Moja rodzina nie ocalała, ale ja przeżyłem i zacząłem produkować przeciwciała. Czy to nie okrutny żart? Moje ciało stworzyło lekarstwo na chorobę, która zabiła moją żonę i dzieci. Opracowałem antidotum, ale nie podzieliłem się nim z nikim. I nigdy tego nie zrobię.

Powstał. Powieka Allena opadła.

Przy drzwiach Litt obejrzał się za siebie. W napadzie gniewu lub szaleństwa więzień zamordował

swojego opiekuna.

Litt potrząsnął głową i zamknął drzwi.

\*

Wycieczka przez północno-wschodnią dżunglę paragwajską okazała się tak koszmarna, jak ostrzegali Tate. Gałęzie darły ich ubrania i zaczepiały się o włosy. Dźgały ich kolce, a wysokie trawy smagały po twarzach. Migoczące plamy i snopy światła przedzierające się przez roślinność tylko potęgowały wrażenie zamętu wywołane przez kombinację liści i ciemności, roślin i przestrzeni. Tate prowadził ich to w jedną stronę, to w drugą, czasami przedzierając się przez zasłony roślinności, czasami podążając krętymi meandrami szlaków wydeptanych przez zwierzęta. Brodzili przez wąskie strumienie i Julia nieustannie oczekiwała na pierwsze ukąszenie piranii.

- Nie przejmujcie się jednym lub dwoma ugryzieniami - powiedział Tate. - Dopiero kiedy poczujecie pół tuzina jedno po drugim, trzeba szybko uciekać.

Przy następnej przeprawie sapnęła przestraszona, poczuwszy uszczypnięcie w łydkę, i wdrapała się na brzeg dużo szybciej niż pozostali. Kiedy odkryła, że zaatakował ją kawałek obłuzowanej srebrnej taśmy klejącej, pomasażowała nogę i nic nie powiedziała.

- Tate usiadł obok niej, biorąc głębokie wdechy jak sportowiec podczas treningu.

Sprawdził godzinę na zegarku i oznajmił:

- Trzyminutowa przerwa. - Zdjął plecak, wyciągnął manierkę i wręczył ją Julii.

Pociągnęła długi łyk letniej wody, gasząc pragnienie, którego wcześniej prawie sobie nie uświadamiała. Tate pogrzebał w plecaku, po czym poczęstował ich skórzastymi paskami suszonej wołowiny, batonami energetycznymi w kolorowych opakowaniach i nieodzownymi pomarańczami.

Julia mrużyła oczy w niesamowicie żółtym słońcu tańczącym na wierzchołkach drzew.

Przez chwilę była w stanie uwierzyć, że jest z powrotem w Georgii, w lesie nad rzeką Chattahoochee, a jej stopy pieszczą wody Holcomb Creek. Jodi karciłaby Goody'ego za mówienie o sprawach zawodowych, o on odpędziłby ją dobrodusznym gestem dłoni i klepnął

w tyłek. Chłopcy śmialiby się i chlapali w strumieniu, pytając: „Kiedy coś zjemy?”. Słońce grzało jej twarz, wywołując pod powiekami ruchome czerwone, kwieciste plamy. Lekki wiaterek niósł tysiące delikatnych zapachów.

- Koniec przerwy! - zagrzmiął Tate niczym trener piłkarski.

Julia wpatrzyła się w niego, oszołomiona i rozczarowana. Wyjął z pochwy maczetę, głośno chuchnął i pomaszerował naprzód, zostawiwszy tłące się cygaro w łupinie z pomarańczy.

Po godzinie marsz przez zdradziecką dżunglę znużył Julię i zaczęła wybiegać myślami do celu ich

wędrówki. Co tam napotkają? Jakie bariery? Jakie luki? Zaczęła się zastanawiać, co robi Kendrick Reynolds. Czy wysłał oddział komandosów? Czy może właśnie negocjował

z Litem warunki jego kapitulacji? Od czasu, kiedy zostawiła Reynoldsowi twardy dysk, minęły już dwa dni. Jeśli chciał powstrzymać Litta, powinien był zacząć działać natychmiast.

Ześlizgnęła się po błotnistym brzegu do kolejnego strumienia, podążając za Tate'em i niejasno uświadamiając sobie obecność Stephena idącego z tyłu. Poruszała się teraz mechanicznie, wykorzystując jakąś płytką, pierwotną świadomość, która umożliwiała jej sprawną wędrówkę i nakazywała chwycić za korzeń, żeby utrzymać równowagę przy trudniejszym zejściu, lub naśladować Tate'a, kiedy omijał jakieś paskudne zarośla.

Nie zorientowała się, że Tate się zatrzymał, dopóki na niego nie wpadła. Przyciskał do ust palec wskazujący. Julia wyciągnęła dłoń w kierunku Stephena. Drzewa wokół nich wznosiły się niczym rusztowania i dźwigały swe ciężkie liście dwadzieścia metrów nad ziemią.

Mniejsze drzewa i krzewy tłoczyły się jak dzieci wokół nóg rodziców, a ich patykowate gałęzie i nakrapiane liście wystrzeliwały z niewidocznych łodyg. Cała trójka stała w cienistym mroku rozjaśnionym jedynie przez pojedynczy snop mocnego światła, któremu udało się przedrzeć przez zaporę z koron drzew i który zalewał teraz blaskiem ziemię pod ich stopami.

- Jesteśmy na miejscu - wyszeptał Tate.

Julia rozejrzała się wokół, ale nie zobaczyła nic, co wyróżniałoby to miejsce od innych w dżungli. Zupełnie straciła orientację, ponieważ nie było widać horyzontu i brakowało punktów odniesienia, które byłyby widoczne dłużej niż przez kilka minut. W dodatku straciła poczucie czasu i oceniała odległość, którą przeszli, jedynie miarą zmęczenia swoich mięśni.

- Będziemy szli pod zabezpieczeniami bazy - przypomniał im Tate, wskazując gestem dłoni gdzieś za siebie - ale nie mam pewności, ile dźwięku przedostaje się z kopalni na jej teren. Ja zawsze zachowuję się cicho.

Spojrzał znacząco na Julię, a potem na Stephena. Skinęli głowami. Tate odwrócił się, chwycił wysoki krzak i zaczął nim szarpać. Siłował się z nim, aż krzak się przewrócił, odkrywając ziejącą czarną dziurę. Julia z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że stoją u stóp urwiska, tak ciemnego i osłoniętego, że w ogóle go wcześniej nie zauważyła. Wejście do kopalni zaczynało się ponad metr nad ziemią i ciągnęło do góry na niecałe dwa metry.

Miało kształt nieregularnej elipsy z zaokrąglonymi brzegami i bardziej przypominało naturalną jaskinię niż dzieło ludzkich rąk.

Tate dźwignął się w górę w ciemność i na chwilę znikł. Wyłonił się ponownie, jakby z kałuży atramentu, żeby podać rękę Julii. Julia włączyła latarkę i zobaczyła, że ciągnąc się w głąb góry, jaskinia się rozszerza. Na jej dnie leżało spróchniałe drewno wymieszane z kamieniami, ziemią, strzępami starych pajęczyn i zwierzęcymi odchodami. Stephen dołączył

do niej, szarpiąc się z latarką, która nie chciała się odczepić od paska u spodni.

- Dalej pójdziecie beze mnie - wyszeptał Tate. - Ci ludzie mnie potrzebują -

powiedział Tate. - Poza tym nie jestem jeszcze gotów zrezygnować z tego, co mnie łączy z Rosą.

Jego sylwetka rysowała się na tle wejścia do kopalni - był lekko przygarbiony, ale zwinny, silny i wyglądał, jakby był idealnie przygotowany do tego, by wziąć udział w tym ryzykownym przedsięwzięciu, z którego zrezygnował. Wokół jego głowy kłębił się dym, przez co Julia miała wrażenie, że to nie jego cygaro, a on sam się pali.

- Zrobisz to, co musisz - odparła. - Doceniamy wszystko, co już dla nas zrobiłeś.

Tate przykucnął i pokazał im gestem, żeby zajęli miejsca przy nim. Otworzył tarczę swojego zegarka, pod którym znajdował się kompas. Odpiął pasek zapinany na rzep i wręczył

urządzenie Stephenowi. Potem zrzucił z ramion plecak i też im go oddał.

Wyjaśnił im, że zwiększą swoje szanse, jeśli będą wracać przez kopalnię, o ile tylko uda im się dostać do niej niezauważonymi. On oznaczy drogę powrotną do półciężarówki i będzie tam czekał możliwie jak najdłużej. Doradził im, że jeśli znaleźliby się pod silnym ostrzałem, powinni spróbować ukraść jeden z samochodów bazy i staranować bramę wjazdową.

- Jeśli dojdzie do najgorszego - ciągnął dalej, odwracając się, by wypuścić obłok dymu

- biegnijcie do dżungli ile sił w nogach. Kierujcie się na południowy wschód. Kiedy dotrzecie do wody, idźcie w dół strumienia. Ale wcześniej natkniecie się na ogrodzenie pod napięciem z siatki drucianej. Znajdźcie drzewo ze zwisającą gałęzią, żeby przedostać się na drugą stronę.

- Zastanowił się przez chwilę. - Aha, jeśli będą was ścigać do dżungli, pod żadnym pozorem nie używajcie broni.

- Dlaczego? - spytała Julia.

- Ludzie Emilio strzelali kiedyś z dżungli do bazy. Kiedy kogoś trafili, znikali w lesie.

Wracali, by znowu kogoś zabić, i znowu znikali. Doszło do tego, że tamci praktycznie nie mogli korzystać z terenu, który był wystawiony na ostrzał, i zrobili się nerwowi.

- I co się stało?

Tate nerwowo zaciągnął się cygarem, po czym wyrzucił żarzący się niedopałek na zewnątrz jaskini.

- Zainstalowali te urządzenia antysnajperskie. Jeden strzał, a one odpowiadają ogniem o naprawdę dużej sile. Zadzwoiłem do przyjaciela, który wciąż jest w SAS. Powiedział, że prawdopodobnie jest to system Deadeye. Monitoruje granice bazy i tylko czeka, żeby jakiś głupiec strzelił z karabinu, z pistoletu lub jakiejś innej niewielkiej broni.

- A co się dzieje, jeśli ktoś strzeli?

- Będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobi. Deadeye śledzi tor lotu pocisku, oblicza miejsce, skąd został wystrzelony, po czym unicestwia wszystko, co się tam znajduje, z użyciem ciężkich działek lotniczych, a odbywa się to w ciągu trzech sekund od oddania strzału.

Stephen wypuścił ciężko powietrze.

Julia w zamyśleniu zmieniła pozycję.

- Czy to oznacza, że ci, którzy będą nas ścigać, też nie będą mogli do nas strzelać?

- Niekoniecznie. - Kiedy się odezwał, wraz ze słowami doleciał ich zapach palonego tytoniu. - Według mojego przyjaciela Deadeye można zaprogramować tak, by monitorował

konkretne obszary, więc żołnierze znajdujący się z tyłu mogą strzelać do wroga, nie aktywując systemu. Te urządzenia są zdalnie sterowane za pomocą podręcznych pilotów.

Można je błyskawicznie włączać, wyłączać i zmieniać ich ustawienia. Akustyczne i elektrooptyczne czujniki urządzeń są aktywowane przez błysk w lufie przy oddawaniu strzału, więc granaty ani petardy ich nie zmylą. To niezwykle zaawansowana technologia i bardzo niebezpieczna broń.

Stephen zapytał:

- Czy twojego przyjaciela nie zdziwiło, skąd się tutaj wzięło coś takiego?

Tate potrząsnął głową.

- Wiem o szejku naftowym, który ma własny odrzutowiec Harriet z pełnym uzbrojeniem. Kolumbijski baron narkotykowy ma niemiecki czołg Leopard, najnowszy model. Te sprawy nie są tak ściśle kontrolowane, jak mogliby sądzić cywile.

Julia wstała, czując ciężar sig sauera przy krzyżu.

- No to do dzieła.

Wciąż kucając, Tate wyciągnął żylaste ramię.

- Idźcie prosto w głąb. Kiedy pomyślicie, że zaszliście za daleko, idźcie dalej.

Zobaczycie metalowe drzwi, o których wam wcześniej mówiłem. Nieco dalej będą szczeble na lewej ścianie. Prowadzą do wjazdu na terenie bazy.

Opisał im topografię powierzchni wokół wjazdu: z tyłu dżungla, z przodu baraki.

Powiedział im, co wiedział o strażnikach na powierzchni, ich liczbie, posterunkach, zwyczajach. Udzielił im wskazówek, jak dostać się na schody.



- Dalej będziecie już zdani tylko na siebie - zakończył.

- Niezbadane terytorium - powiedział Stephen.

- Niech sprzyja wam szczę... - przerwał, po czym mocno ścisnął ramię Stephena i potrząsnął głową. - Do diabła ze szczęściem. Niech Bóg będzie z wami. - Obrócił wzrok na Julię. - Z wami obojgiem.

W tym momencie Julia zdała sobie sprawę, jak bardzo Tate chciał do nich dołączyć, iść aż do końca, nie zważając na zagrożenie. Był przecież świadkiem rozpaczki po niezliczonych porwaniach, brał udział w pogrzebach ludzi, którzy pojechali do bazy w poszukiwaniu zemsty. Długo czekał na sprawiedliwość. A teraz ktoś chciał spróbować.

Ale wiedział, że jego czas nie nadszedł, jeszcze nie.

Julia skinęła głową i zwróciła się w stronę czarnego chłodu kopalni. Stephen zrozumiał i wyminął ją. Po przejściu dziesięciu kroków odwróciła się. Tate siedział w kucki niczym troll pilnujący zalanego blaskiem wejścia do jaskini, opierając się przedramionami o kolana. Stłumiła w sobie chęć, żeby go zawołać i błagać, by z nimi poszedł. Chciała powiedzieć: „Jak możemy tego dokonać bez twojej pomocy?”. Zamiast tego ruszyła za Stephenem w ciemność, zastanawiając się, czy ta kopalnia okaże się ich Styksem.

Kiedy znów się odwróciła, Tate'a już nie było.

\*

Stephen zaparł się stopami i dłońmi o zardzewiałe metalowe szczeble osadzone w betonowej rurze, która wychodziła w górę z kopalni niczym komin, i wypchnął ramieniem znajdującą się nad nim pokrywę wjazdu. Pokrywa uniosła się powoli, wydając dźwięk jak szczelnie zamknięty słoik przy odkręcaniu wieczka. W atramentową ciemność szybu wdarło się oślepiające światło. I coś jeszcze. Smród zgnilizny - drażnił nozdrza i oczy Stephena, być może nie aż tak skutecznie jak gaz łzawiący używany przez policję do unieszkodliwiania podejrzanych, ale na tyle mocno, że Stephen zaczął płycej oddychać i załzawiły mu się oczy.

Przymykając powieki, dostrzegł źródło odoru. To dlatego Tate uważał, że było to bezpieczne wejście na teren bazy: wjazd znajdował się za kontenerem na śmieci wielkością zbliżonym do tira. Brud spływał po jego boku i wylewał się przez niewidoczne otwory w dnie, tworząc kałuże, gdzie zbierała się bibuła, puszki i inne śmieci, przypominające zwierzęta, które ugrzęzły w asfaltowym jezioru.

Metalowe kółka utrzymywały pojemnik kilkanaście centymetrów nad ziemią, otwierając przed Stephenem widok na bazę. Wprost przed nim, patrząc w dół trawiastego stoku, stały półkoliste baraki, o których wspominał im Tate. Tam mieli znaleźć schody do podziemnego kompleksu, a Stephen modlił się, by znaleźli tam również Allena. Spojrzał w prawo i serce zaczęło mu mocniej bić. Niecałe sto metrów dalej znajdowała się brama wjazdowa i budka strażnicza. Były to pierwsze rozpoznane przez niego obrazy z amatorskiego filmu, który przemycił Despesorio Vero - tego drugiego filmu, który pokazywał

bazę lotniczą. Świadomość, że jest tutaj, że dotarł tu w poszukiwaniu brata, sprawiła, że włoski na ramionach stanęły mu dęba.

Dwóch strażników rozmawiało ze sobą - przy boku mieli pistolety maszynowe. Sterta pogietych metalowych koszy na śmieci tuż przy kontenerze prawie zupełnie osłaniała pozycję Stephena, ale on i Julia będą musieli wychodzić bardzo ostrożnie.

Opuścił pokrywę, odcinając dopływ światła. Włączył latarkę. W dole pod nim stała Julia, ściskając szczelbę i patrząc w górę.

- Damy radę dotrzeć do schodów? - zapytała. Jej szept wydawał się bardzo głośny w tym betonowym szybie znajdującym się tak blisko wroga.

- Chyba widziałem budynek, gdzie są. Niedaleko jest brama wjazdowa, przy której stoją strażnicy. Nie widzę możliwości, żeby się tam tak po prostu przemknąć. Jesteśmy przy kontenerze na śmieci. Może moglibyśmy...

Nagle cały szyb wokół nich zadudnił. Ze spodu pokrywy posypały się na nich płaty rdzy.

Jeden koniec szczelby, na którym stał Stephen, wypadł ze ściany, i jego noga opadła na czoło Julii, która straciła oparcie. Przez chwilę była zawieszona kilkanaście metrów nad dnem kopalni: jej ciało zaklinowało się w skos szybu, policzek miała przyciśnięty do jednej ściany, a jej nogi szukały oparcia po przeciwnej stronie.

Latarka Stephena uderzyła ją w czubek głowy i poszybowała w dół, kręcąc się w locie i rozbłyskując, aż uderzyła o ziemię i zgasła. Julia obsunęła się, ale zaraz zatrzymała się gwałtownie, kiedy Stephen chwycił pasek naramienny jej plecaka. Zaczęła wymachiwać rękami w ciemności, dopóki nie odnalazła szczelbi i z powrotem się do nich nie przyciągnęła.

W górze nad nimi zabrzmiały syreny.

\*

Karl Litt właśnie skończył szorować ręce ubrudzone krwią doktora Rankina i patrzył, jak ostatnia różowa struga, wirując, znika w odpływie, kiedy łazienką wstrząsnął wybuch.

Złapał się krawędzi blatu. Miał poczucie, jakby trzymał się zderzaka wielkiego samochodu, który miał zaraz ruszyć. Światło zamigotało. Okulary przeciwsłoneczne zaczęły ześlizgiwać się z blatu, ale zdążył je przytrzymać. Ktoś w holu wył - niezwykle głośno. Nagle zrozumiał, że to syrena ostrzegająca o nalocie, którą Gregor zainstalował wkrótce po tym, jak wynajęli bazę. Wyszarpnął z kieszeni telefon.

- Was ist los? - wrzasnął. - Co się dzieje?

- Nalot! - odpowiedział Gregor. - Widziałem to. Jeden z hangarów wyleciał w powietrze. Odrzutowiec. Nadlatuje.

Kolejna eksplozja. Tym razem grzmiący pogłos rozbrzmiał echem w głośniku telefonu przerywany piskami i zakłóceniami.

Gregor zaklął.

- Celują w samoloty - powiedział. - Właśnie widziałem Atroposa, wszystkich Atroposów, biegnących do baraków. Jedna cessna została trafiona. Karl, uciekaj stamtąd.

Uciekaj.

Pokój się zatrzęsł. W słuchawce rozległ się szum.

- Gregor? Gregor?

Litt wyskoczył z łazienki i ruszył w stronę drzwi sypialni. Monitor na komodzie pokazywał ludzi przebiegających korytarzem. Litt potknął się o coś i przewrócił na ziemię.

Kiedy podniósł się na kolana, jego telefon zadzwonił. Odebrał, nie sprawdzając, kto to.

- Gregor?

- Witaj Karl - odezwał się Kendrick Reynolds.

Litt rozejrzał się po zaciemnionym pokoju, na poły spodziewając się, że zobaczy tam starego, jak stoi i śmieje się z niego.

- Dziwię się, jak szybko znaleźliśmy twój numer - stwierdził Kendrick. - Kiedy już wiedzieliśmy, gdzie szukać.

Litt podniósł się na nogi. Zawsze sądził, że jeśli Kendrick go kiedykolwiek znajdzie, to wyśle elitarny oddział komandosów, którzy, zabijając po cichu, wedrą się na teren bazy i wślizgną do podziemnego kompleksu, aby porwać lub zamordować nikczemnego Karla Litta.

Wybuchy nie pasowały do tego scenariusza.

- Karl?

- Jestem tutaj.

Otworzył drzwi sypialni. Wyglądało na to, że świetlówki na korytarzu ocalały.

Niektóre nie działały, inne mrugały, ale tak było, odkąd Litt pamiętał. Mrużąc oczy w ich świetle, przypomniał sobie o okularach przeciwsłonecznych, które trzymał w dłoni. Założył

je.

Syrena wyła rozdzierająco.

- Nie sądzisz chyba, że zdołasz uciec? - zapytał Kendrick. - Ten rodzaj nalotu, który dla ciebie zaplanowaliśmy, zabiera trochę czasu, ale zapewniam cię, że jest niezwykle skuteczny. Wybuchy, które teraz czujesz, stanowią jedynie preludium. Moi doradcy uznali, że rozsądnie będzie zlikwidować wszystkie samoloty, które macie w hangarach. Następnie obrzucimy powierzchnię nad twoją głową tomograficznymi bombami penetrującymi. Te dadzą latającym na wysokości kilkunastu tysięcy metrów wikingom wyposażonym w systemy ESM oraz w radary ISAR wyraźny obraz podziemnej architektury całego kompleksu.

Będziemy widzieć wasz kompleks podziemny tak wyraźnie, jakby stał na powierzchni.

Litt przerwał wędrówkę korytarzem.

- Jak.

Wycie syren ustało.

- Teraz lepiej. Czy twój alarm się wyłączył, bo nastąpiła przerwa w nalocie? Z

pewnością wkrótce nadejdzie kolejna fala.

- Jak się dowiedziałeś o części podziemnej? - chciał wiedzieć Litt. Nie mógł uwierzyć, by informacje od Despesorio były tak szczegółowe.

- Stałeś się niedbały, Karl. Pozwoliłeś, by na twoim terenie znalazło się urządzenie naprowadzające.

To coś w brzuchu Allena Parkera. Musiało być bardziej skomplikowane niż urządzenia, które wszczepiał członkom swojego personelu - zawsze pod pozorem opatrywania „przypadkowego” zranienia. Tych nie dałoby się namierzyć przez tak głęboką warstwę ziemi i betonu. Nie pozwalały także określić wysokości w odniesieniu do poziomu powierzchni ziemi. Ale Kendrick zawsze musiał mieć to, co najlepsze.

Litt przyciskał telefon do twarzy tak mocno, że rozboleły go policzek i ucho. To Gregor stał się niedbały, kiedy zaprosił Atroposa. Litt miał nadzieję, że ich ostatnia przerwana rozmowa oznaczała, że Gregor nie żyje.

- Po tym, jak wikingi zorientują się w układzie kompleksu, wyślemy F-15. Zrzucą bomby GBU-28. Słyszałeś o nich, Karl? Pociski typu Bunker Buster do niszczenia bunkrów?

Ponad dwie tony. Zaprojektowane tak, by przebiły się przez ubitą ziemię i siedem metrów żelazobetonu, zanim eksplodują. To się nie mieści w głowie, jaką mamy teraz broń. Następnie nadlecą hornety FA-18. Zrzucą na cały teren, ze szczególnym uwzględnieniem ziejących kraterów, pociski Maverick i napalm. Napalm płonie w temperaturze półtora tysiąca stopni.

To wystarczy, Karl, żeby twój wirus po prostu... zniknął. Chcesz wiedzieć, co będzie dalej?

Litt otarł przedramieniem pot z czoła. Drzwi do wszystkich laboratoriów były otwarte, pracownicy zniknęli. Wszedł do swojego laboratorium, przykucnął przed jedną z szafek i otworzył ją, odsłaniając

sejf.

Podłoga się zatrzęsła. W wyniku długiej wibracji pękła jedna z płytek. W oddali grzmiały wybuchy, niskie i głębokie. Jeśli Kendrick wiernie opisał atak, to albo rozpoczął się już nalot tomograficzny, albo wciąż bombardowali hangary i cenny zabójców. Miał nadzieję, że terenowy hummer, który miał ukryty w dżungli, był na tyle mały i na tyle oddalony od terenu bazy, że ocaleje z bombardowania. Liczył na to, że uda mu się do niego dostać, zanim rzucą do boju ciężką artylerię.

Miał nadzieję, że nie natknie się na oddziały lądowe, których Kendrick z pewnością zamierzał użyć na końcu.

I kiedy tak planował drogę ucieczki, pomyślał, że może kiedyś doczeka dnia, w którym Kendrick poczuje w sobie jego wirusa, a on będzie patrzeć, jak stary umiera.

- Jak to możliwe? - zapytał. - Przecież bombardujesz terytorium obcego kraju.

- To nie słyszałeś? Prowadzisz tam największe na świecie laboratorium metamfetaminy. Produkujeś też i inne rzeczy: czysty chlorowodorek kokainy, heroinę, marihuanę, pierzesz pieniądze dla kolumbijskich i boliwijskich karteli. Wszystko, co zwalczą Komisja ds. Przeciwdziałania Narkomanii. Biorąc pod uwagę, ile pieniędzy na walkę z narkobiznesem otrzymują od nas Paragwaj i Brazylia, oba państwa podjęły z nami współpracę bardziej niż ochoczo.

W sejfie znajdowała się aluminiowa walizka Halliburton. Litt wyjął ją i wstał. Jej ciężar sprawił, że poczuł się nieco lepiej.

- Zdajesz sobie sprawę - odezwał się Kendrick - że może upiekłoby ci się, gdybyś nie ujął w swoich planach rodziny prezydenta? Gdybym nie miał jego upoważnienia, musiałbym wysłać najemników. A ostatnio widzieliśmy, że potrafią być mało skuteczni.

- Das gebrabbel. Nie opowiadaj bzdur, Kendrick. - Skierował się w stronę schodów. -

Gdybyś wziął na cel mnie, uniknąłbyś konsekwencji. - Przerwa. Gdzieś przy słuchawce kostki lodu zadzwoniły o szkło. Stary Schlauberger pił drinka. - Mój czas i tak już dobiega końca.

Litt drgnął, słysząc odgłos kroków na płytkach. Obrócił się i zobaczył przebiegającego mężczyznę w rozwianym fartuchu laboratoryjnym. Mężczyzna skręcił za róg, kierując się w stronę wyjścia.

Litt przysunął telefon bliżej ucha i usłyszał:

- ...temu mogłem zacząć działać tak szybko.

- Co? Dzięki czemu?

- Poczekaj chwilę.

Litt usłyszał, że Kendrick z kimś rozmawia. W tle rozbrzmiewała kakofonia głosów, niektóre podniesione w podnieceniu, inne monotonicznie przekazujące informacje.

Świadomość, że to, co się dzieje w pokoju Kendricka, ma na celu zniszczenie jego, Litta, doprowadziła go do furii.

Po chwili Kendrick odezwał się znowu.

- Przepraszam, Karl. Dużo się u nas dzieje.

Litt wyobraził sobie zadowolony z siebie wyraz twarzy Kendricka.

- Du willst mich wohl für dumm! - powiedział. - To jeszcze nie koniec, Kendrick.

Spóźniłeś się.

- Chodzi ci o twoją listę celów? Ludzi, których zaraziłeś? Tak, ludzie odczują twoje rozżalenie, twoją zemstę, jeśli to cię zadowala. Ale to będzie koniec, Karl. Zabijesz ich na próżno. Media założą, że zostali zarażeni przez jakąś sektę poprzez skażone jedzenie lub napój, lub że najpierw wstrzyknięto im wirusa, a potem rozesłano listę ofiar. Okrutne, ale nic poza tym. Nigdy o tobie nie usłyszą. Nigdy nie dowiedzą się dlaczego. - Na chwilę przerwał, po czym dodał: - Prawdopodobnie wrobimy w to jakąś grupę terrorystyczną, zlikwidujemy ich i nasi obywatele znów poczują się bezpieczni. Za kilka lat osłabnie nawet ich żal.

Litt dotarł do drzwi prowadzących do skrzydła laboratoryjnego. Przesunął twarz przed termografem. Nic się nie stało. Serce stanęło mu w gardle. Ponownie zajrzał w czarny panel i zobaczył w nim swoje odbicie. Drzwi się odemknęły. Idąc na górę po schodach, powiedział:

- Zajmę dla ciebie miejsce w piekle.

- Koniecznie, Karl.

Usłyszał trzask na linii, a potem zapadła cisza. Wydał pomruk i wepchnął telefon do kieszeni. Na szczycie schodów otworzył drzwi i wyszedł na zalany słońcem plac, gdzie rozbrzmiewał warkot samolotów.

\*

Przekonani, że zostali dostrzeżeni i że któryś ze strażników strzelił do nich z broni o niezwykle dużej mocy, Julia i Stephen zaczęli schodzić w dół kominem tak szybko, jak tylko zdołali. Julia już zastanawiała się nad swoimi następnymi ruchami: odsunie się od drabiny, żeby zrobić miejsce dla Stephena, chwyci latarkę, wyciągnie się sauera, popędzi ile sił w nogach do wyjścia z kopalni. Stephen schodził zaraz nad nią. Liczył:

- Czternaście, piętnaście, szesnaście.

- Co liczysz? - wydyszała, sądząc, że Stephen skądś wie, kiedy nastąpi kolejne uderzenie.

- Szczeble - oparł. - Dziewiętnaście, dwadzieścia. Próbuje nie wpaść. w panikę. Teraz szszsz. Dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery.

Julia dotknęła stopami ziemi i rzuciła się w bok.

- Trzydzieści jeden, trzydzieści dwa!

Chwyliła go i zaczęła ciągnąć.

- Czekaj, czekaj - powiedział Stephen.

Julia potrząsnęła latarką i włączyła ją. Skierowała światło na dziurę w suficie kopalni, tam, gdzie odchodził szyb prowadzący na powierzchnię.

- Czy nie powinniśmy już czegoś usłyszeć, jeśli to do nas strzelali? - zapytał.

Syrena w górze zamilkła. Potem rozległ się kolejny dźwięk podobny do grzmotu i wszystko się zatrzęsło. Z sufitu posypała się ziemia.

- To był wybuch - stwierdziła Julia.

- Czyżby to była robota Kendricka Reynoldsa?

Wzruszyła ramionami.

- Musimy wydostać stamtąd Allena - powiedział Stephen, zdzierając rękawiczki i odwijając taśmę z kostek i nadgarstków. Julia zrobiła to samo, po czym zrzuciła z głowy czapkę. Stephen już wracał na górę. Zaparł się ramieniem o pokrywę wjazdu, odrzucił ją na bok i wydostał się na powierzchnię.

Julia poszła w jego ślady i wyłoniła się przy śmietniku. Na niebie kłębił się dym.

Wyjrzała zza wielkiego kontenera i zobaczyła roztrzaskany, dymiący hangar. Był położony na drugim końcu lądowiska, w pobliżu trzech niewielkich odrzutowców.

Jednemu z nich brakowało skrzydła i opierał się dziobem o ziemię, a jego ogon był uniesiony pod ostrym kątem do góry niczym tonący statek. Odrzutowiec był przechylony i opierał się o drugi samolot.

Z rykiem nadleciał myśliwiec i zrzucił coś, co wyglądało jak kilkadziesiąt kul do kręgli.

Spadły na grupę odrzutowców i na inny hangar, uruchamiając łańcuch eksplozji.

- Strażnicy - odezwał się Stephen.

Stał za nią i spoglądał w innym kierunku. Podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła dwóch strażników przy bramie i budce strażniczej. Kucali tuż przy ziemi, trzymając się blisko siebie, i szeroko otwartymi oczami przyglądali się odlatującemu samolotowi. Kiedy zniknął, zlustrowali teren, być może w nadziei, że ktoś im wytłumaczy, co się działo.

Jeden z nich trzymał przy ustach krótkofalówkę i coś do niej wrzeszczał. Ich uwagę przyciągnął nagle trzask metalu.

Julia także się obróciła. Kilkoro ludzi wyszło przez drzwi na końcu półkolistego baraku i zaczęło zmierzać w stronę bramy.

- To ten barak, o którym mówił Tate. To tam mają być schody - stwierdziła.

Stephen przecisnął się obok niej.

- Zaczekaj!

Ale on już się oddalił, minął kontener i pobiegł w dół zboczem niewielkiego pagórka w stronę baraków. Podążyła za nim, po czym przystanęła, kiedy jeden ze strażników uniósł

pistolet maszynowy. Wyszarpnęła pistolet zza pasa. Miała głowę strażnika na celowniku, kiedy ten nagle ruszył z miejsca. Patrzyła, jak tamten najwyraźniej podejmuje jakąś decyzję.

Widać doszedł do wniosku, że uciekający robotnicy wiedzą coś, czego on nie wie. Obrócił się i zaczął biec w stronę bramy, a pistolet maszynowy podskakiwał na pasku u jego boku. Jego kumpel patrzył, jak ucieka, po czym poszedł w jego ślady.

Stephen przeciął drogę grupie uciekinierów. Wyciągnął ręce i pochwycił jednego z nich za fartuch laboratoryjny, unosząc mężczyznę do góry. Zapytał o coś, tamten zaprzeczył

ruchem głowy i Stephen upuścił go plecami na ziemię. Chwycił kolejną osobę i znowu otrzymał odpowiedź przeczącą. Julia nie mogła usłyszeć słów, ale wiedziała, o co pyta:

„Gdzie jest mój brat?”.

Ostrożnie, a przynajmniej ostrożniej niż Stephen, ruszyła w jego stronę. Trzymała broń przy boku, a palec przyciskała do osłony spustu.

Ostatnia osoba schwytana przez Stephena pokazała na coś i widocznie wykazała się jakąś wiedzą o miejscu pobytu Allena, bo Stephen zarzucił nieszczęsnym jak lalką, chwycił

go za głowę i zaczął prowadzić w stronę drzwi baraku.

Julia przyśpieszyła kroku.

Nagle zza jednego z półkolistych baraków wyszedł Atropos. Zobaczył, jak Stephen ze swoim jeńcem przechodzą przez drzwi, i ruszył za nimi. Julia uniosła broń, mierząc w zabójcę. Atropos już prawie tam był. Wycelowała wyżej i strzeliła w lampę wiszącą nad wejściem.

Atropos błyskawicznie się obrócił i wycofał szybko jak kot. Wyrzucił w przód lewe ramię i natychmiast wystrzelił, trafiając kobietę, która przebiegała przed Julią. Ludzie zaczęli panikować i histerycznie wrzeszczeć. Kolejnych dwóch Atroposów wyszło zza rogu.



Dołączyli do brata i wszyscy razem ruszyli w stronę Julii, która wbiegła za barak i popędziła ile sił w nogach wzdłuż bocznej ściany na jego drugi koniec, mając nadzieję, że zabójcy nie dotrą zbyt szybko do rogu za jej plecami.

\*

Niewydolność serca we wczesnych stadiach zarażenia wirusem Ebola stanowi błogosławieństwo. Oszczędza pacjentowi cierpienia wywołanego przez rozpuszczanie się jego organów wewnętrznych, przyglądania się, jak owrzodzone ciało puchnie i pęka, słuchania własnych wrzasków, dopóki gardło się nie zedrze lub nie wypełni się krwią i żółcią.

To podobny rodzaj szczęścia do tego, które sprawia, że człowiek tonie, zanim zostanie pożarty przez rekiny, lub pozwala szpiegowi otruć się ukrytą pod językiem kapsułką strychniny chwilę przed tym, jak jego wróg wyciągnie narzędzia tortur.

Serce Allena Parkera okazywało mu tę łaskę - ustawało w odpowiedzi na działanie wirusa Ebola, który atakował węzeł przedsionkowo-komorowy i wywoływał w nim spięcia impulsów elektrycznych. Allen oddychał płytko i z trudem, ale ból wciąż trwał.

Jego ręce, które wcześniej krążyły po ciele w poszukiwaniu sposobu na ugaszenie pożarów palących go w tysiącu miejsc, teraz zwolniły i się zatrzymały.

I z każdą minutą jego serce opuszczało po kilka uderzeń, aż.

Ból ustał. Tak po prostu, już go nie było.

Niewielki mężczyzna, którego trzymał Stephen, przestał się szarpać i teraz szedł

posłusznie przodem. Przy każdym wybuchu - które rozpoznawali po przytłumionym grzmocie i wstrząsach klatki schodowej - Stephen sądził, że tamten ucieknie. Schodzili w dół do podziemnego kompleksu, podczas gdy mężczyzna chciał się stąd wydostać - ale ten kierunek był zablokowany przez Stephena.

Kiedy zeszli na sam dół, jego niechętny przewodnik podszedł do czarnej płytki umieszczonej w ścianie i metalowe drzwi się odemknęły. Mężczyzna szarpnął drzwi i wkroczył do kiepsko oświetlonego korytarza.

Nozdrza Stephena rozszerzyły się, wchłaniając zapach ziemi i kurzu. Zaczął szukać jakichś oznak niebezpieczeństwa, a potem przestał: bezpiecznie czy nie, i tak musiał tam wejść.

Mężczyzna kroczył sztywno, dopóki nie dotarli do skrzyżowania. Przystanął, po czym wybrał korytarz odchodzący w prawo. Zbliżyli się do drzwi z niewielkim kwadratowym okienkiem, przez które widać było jaśniejsze światło po drugiej stronie. Zanim tam doszli, skręcili w inny korytarz.

Stephen potrząsnął mężczyzną, wciąż trzymając swoją wielką rękę zaciśniętą wokół

jego szyi.

- Żadnych sztuczek.

- Proszę. - powiedział mężczyzna. Wskazał bez przekonania kierunek, w którym zmierzali. Wreszcie przystanął przed jakimiś drzwiami.

- Otwórz - nakazał mu Stephen.

Mężczyzna odciągnął zardzewiałą zasuwkę, przekręcił gałkę u drzwi i opadł na ziemię, uwolniony z uchwytu Stephena. Odotoczył się na bok, wstał i pobiegł.

- Hej! - Stephen postąpił dwa kroki w jego stronę i stanął. Spojrzał na drzwi za sobą.

Światło ze środka przecinało korytarz cienką smugą. Popchnął drzwi.

Przywitał go wydawany przez elektrokardiograf dźwięk w tonacji Cis-dur oznaczający migotanie komór - stan, po którym pojawia się płaska linia.

Potem poraził go widok, który zobaczył w pokoju: człowiek leżący na podłodze w niemal całkowicie czarnej kałuży, z plamą krwi na torsie. I Allen rozciągnięty na łóżku polowym, z otwartymi ustami, z jednym okiem zupełnie spuchniętym, a drugim ślepo zapatrzonym w sufit.

- O nie, nie, nie.

Stephen poślizgnął się na kałuży krwi. Uderzył głową o płytki. Przez moment zapatrzył się w osłoniętą lampę na suficie, gdyż zdawało mu się, że powinien tam dostrzec coś istotnego. Następnie odchylił głowę do tyłu i zobaczył drzwi do góry nogami na tle ciemnego korytarza. Podniósł się z kałuży, umazany krwią od pachy po kolano. Potarł głowę i podszedł do brata.

- Allen! Allen! - szarpnął go za ramiona, czując mdłości na widok jego głowy podskakującej bezładnie i zwisającej na bok. - Allen, nie! Nie tutaj, człowieku! Nie dawaj im satysfakcji!

Wycelował pięść w mostek Allena i zastosował uderzenie przedsercowe. Serce lekko zareagowało. Odchylił głowę brata do tyłu, zacisnął palce na jego nosie i dwukrotnie wdmuchnął powietrze do jego ust, napełniając płuca Allena powietrzem. Znalazł podstawę mostka i odmierzył od niej dwie grubości palca. Jego dłonie niemal całkowicie zakryły klatkę piersiową Allena. Nachylił się nad nim i nacisnął, puścił, nacisnął, puścił, próbując zmusić serce brata do działania. Po trzydziestu uciskach ponownie napełnił płuca Allena.

Elektrokardiograf zamilkł, po czym pisnął. Allen poderwał się, próbując złapać oddech i odepchnąć rękę Stephena.

- Tak! - odezwał się Stephen i objął brata.

Allen opadł bezładnie. Jego głowa poleciała do tyłu, a elektrokardiograf znowu zaczął

wzywać pomocy nieregularnym, słabym rytmem.

Stephen wykonał u brata kolejne uderzenie przedsercowe i od nowa podjął RK-O.

Dwa wdechy, trzydzieści uciśnień, wdechy, uciski. Musiał się powstrzymywać, żeby nie zacząć na oślep uciskać piersi Allena bez rytmu i kontroli. Chciał siłą wymusić na nim powrót do życia. Łzy spływały mu po policzkach i kapały na zakrwawioną twarz Allena. Wziął

głęboki oddech, zacisnął zęby i dalej naciskał.

Allen uniósł się, łapiąc oddech. Stephen podtrzymał mu głowę.

- Allen! Zostań ze mną.

Z elektrokardiografu rozlegało się: bip... bip...

Allen chwycił Stephena za ramiona i zaczerpnął dwa gwałtowne, chrapliwe oddechy.

Potem nic. Znowu opadł bezładnie.

Tym razem uderzenie przedsercowe nie wywołało żadnej reakcji. Stephen rozejrzał się po pokoju. Nie było defibrylatora. Ogarnął wzrokiem bałagan na podłodze: kliszę rentgenowską, instrumenty chirurgiczne, rolki plastra, ampułki z lekami i strzykawki.

Oderwał się od łóżka Allena i opadł na podłogę. Chwycił jedną z ampułek i odczytał

etykietkę. Magnesium sulphate 8 mmol. Czasami używało się tego przy resuscytacji, ale w jakich okolicznościach? Próbował sobie przypomnieć. RK-O uczą się nawet dzieciaki, ale wstrzyknięcie leku, aby wznowić akcję serca, to było coś zupełnie innego - mimo że zrezygnował ze studiów medycznych tuż przed obroną dyplomu. Chlorek potasu stanowił

dobry przykład. W zależności od przyczyny niewydolności serca potas mógł albo wznowić jego akcję, albo zniweczyć wysiłki reanimacyjne, które inaczej byłyby skuteczne.

Wciąż podnosił i oglądał różne ampułki w nadziei, że rozwiązanie samo się pojawi.

Epinefryna. Adrenalina!

Znalazł strzykawkę, napełnił ją epinefryną i delikatnie wstrzyknął lek pod język Allena, dzięki czemu lek działał tak szybko, jakby został podany dożylnie. Napełnił płuca Allena powietrzem, uniósł się i złożył razem wyprostowane w łokciach ręce nad mostkiem Allena. Tym razem nie liczył ucisków. Modlił się.

Skoncentrowany na sercu pod jego dłońmi, pomyślał o życiu, które gasło.

Przypominał sobie Allena jako berbecia smarującego kredkami po ścianach ośmiolatka, który wywrócił się na jego rowerze, wybił sobie ząb i w poszukiwaniu pociechy przybiegł do brata zamiast do mamy, młodego nastolatka, który nieśmiało zapytał Stephena, jak to jest, kiedy się całuje z dziewczyną, młodego człowieka, który na podłodze w salonie wykonał bliskie doskonałości salto w

tył, kiedy otrzymał potwierdzenie przyjęcia na studia medyczne - tylko

„bliskie doskonałości”, bo po wylądowaniu wpadł na zabytkowy stolik do kawy i go unicestwił. Przypomniawszy sobie twarz brata, kiedy. Bip. Bip. Bip.

Allen ciężko wciągał powietrze. Jego oczy były otwarte, ale skoncentrowane na czymś odległym. Na powiekach pojawiły się łzy i polały mu się po twarzy. Sięgnął na oślep, natrafił

na twarz i ramię Stephena i wsunął ręce pod ciało brata, przyciskając twarz do jego piersi.

Stephen przytulił go do siebie i spojrzał na monitor EKG. Serce biło wolno, ale miarowo.

Wzrok mu się zamglił. Zaczął gwałtownie mrugać, a łzy wsiąkały mu w brodę i spływały strużką po twarzy.

- Co się stało? - zapytał Allen, a słowa tarły mu struny głosowe niczym żwir. - Gdzie byłem?

Stephen uściskał go mocniej. Pod rękami i dłońmi wyczuwał kości Allena.

- Być może w niebie, braciszku - odparł. - Ale niebo może jeszcze na ciebie poczekać.

Teraz jesteś ze mną.

Allen odsunął się, by spojrzeć Stephenowi w oczy. Dotknął jego twarzy, jakby się upewniał, że jest prawdziwa.

Stephen był zszokowany, widząc, jak policzki i oczy Allena zapadły się w czaszkę, uwydatniając szczękę i kości policzkowe. Duże rozdarcie w ubraniu na wysokości pasa ukazywało bladą skórę i skurczony brzuch. Musiał stracić około dziesięciu kilo w ciągu tych trzech dni od momentu porwania. Wreszcie Stephen oderwał wzrok od Allena i zauważył

miskę z wodą i ściereczkę, które leżały przy łóżku polowym. Zanurzył ściereczkę w wodzie i przyłożył ją do twarzy Allena. Udało mu się zetrzeć krew, ale łzy - wciąż napływające - nie chciały zniknąć.

Allen z powrotem przytulił się do piersi brata. Ramiona Stephena, które go otaczały, były ciepłe, przynosiły mu ukojenie i dawały schronienie. Napięcie opadło, znowu odezwało się zmęczenie i Allen osunął się w dół.

- Myślałem, że cię straciłem - wyszeptał Stephen.

Pokój zatrzęsł się w wyniku eksplozji. Druciana siatka osłaniająca lampę obluzowała się po jednej stronie i zawisła. Gdzieś w korytarzu rozprysło się szkło.

Stephen ostrożnie położył Allena z powrotem na łóżku. Oczy brata były szeroko rozwarte i rozbiegane. Stephen słyszał, że efektem ubocznym działania adrenaliny była krótkotrwała nadpobudliwość, po czym następowała zapaść, w wyniku której niektórzy pacjenci zapadali w

śpiączkę. Obecny stan mógł pomóc w wydostaniu Allena z bazy -

zapaścią będą się martwić później.

Wyjął kolejną ampułkę z kieszeni koszuli, tę, którą znalazł wcześniej: atropinę, która miała podnieść częstość akcji serca Allena i wraz z adrenaliną dodać jego organizmowi energii.

Podniósł kolejną strzykawkę, napełnił ją i wbił igłę w ramię Allena.

- To ci pomoże - powiedział uspokajająco.

W innej części kompleksu zawaliły się ściany. Dźwięk rozbrzmiał w korytarzach, które zaczęły się wypełniać dymem i kurzem. Stephen zorientował się, że wybuchy teraz stały się rzadsze i bardziej chaotyczne i - jeśli mógł ufać w takich sprawach własnemu osądowi -

wyglądało na to, że prowadzący nalot czegoś szukają.

- Świetnie sobie radzisz - odezwał się Stephen, odrzucając strzykawkę na bok.

Podciągnął Allena do góry, zarzucił go sobie na ramię i wstał.

Tylko raz źle skręcił w drodze do wyjścia. Drzwi były zatrzaśnięte. W ścianie obok nich była osadzona czarna płytką. Człowiek, który go przyprowadził do Allena, przesunął

twarz przed takim panelem. Stephen przyłożył tam więc swoją twarz, pokręcił nią w różne strony i znowu spróbował otworzyć drzwi. Wciąż pozostały zamknięte.

Tak daleko, na próżno.

Nie widział już nikogo innego na tym poziomie. Szanse, że ukrywali się tutaj jacyś ludzie - lub że on ich znajdzie, gdyby rzeczywiście tam ktoś przebywał - były mniej więcej takie, jak przeżycie bombardowania, które grzmiało im nad głową.

Wtedy coś sobie przypomniał i aż wstrzymał oddech, rozważając tę nową możliwość.

To mogło się udać.

Opuścił Allena na podłogę przy ścianie.

- Zaraz wracam. Dałem ci dużą dawkę adrenaliny. Dobrze się czujesz?

- Mhm - Allen uniósł brwi, żeby potwierdzić. - Czuję się trochę lepiej.

Stephen ruszył korytarzem, gdzie powietrze zrobiło się mętne niczym woda w stawie.

Kiedy powrócił, na jego widok Allen skrzywił się i wybałuszył oczy. Stephen włożył za stopę trupa z celi Allena. Za zwłokami ciągnął się nieprzerwany pas szkarłatu. Stephen podniósł ciało i przysunął

jego twarz do szklanej płytki. Obracał głowę w różne strony, odsuwał ją do tyłu i przybliżał. Odgłosy wybuchów narastały. Drżenie przeszło we wstrząsy.

Dym zgęstniał i gryzł ich w oczy.

Stephen położył ciało na ziemi, sfrustrowany i niepewny, co teraz zrobić.

- Termiczny - odezwał się Allen.

- Co?

Powtórzył.

Stephen spojrział w dół na zwłoki, zastanawiając się, gdzie kończy się brak szacunku, a zaczyna się świętokradztwo. Stał okrakiem nad trupem i zaczął trzeć jego twarz. Jego dłonie zupełnie ją nakryły. Był w stanie jednocześnie gładzić całość, od czoła do podbródka, od jednego ucha do drugiego. Jego kciuki spoczywały na grzbiecie nosa, rozcierając go od oczu aż po koniuszek. Tarł tak intensywnie, jak tylko się ośmielił, i próbował nie myśleć o skórze, którą czuł pod rękami: o drapiącym podbródku z lekkim zarostem; o ustach zaczepiających się o jego dłonie, dolnej wardze, która opadała, i górnej, która podwijała się do góry, i o tym, jak obie wracały na miejsce, kiedy jego dłoń poruszała się w przeciwną stronę; o czole, które przyprawiało go o mdłości, ślizgając się po czaszce.

Podciągnął ciało do góry i przyłożył twarz trupa do czarnej płytki. Zasuwka w drzwiach się odemknęła. Ostrożnie opuścił zwłoki.

Zarzucił Allena na ramię i przeszedł przez próg. Przyszło mu do głowy, że na górze schodów może czekać na nich kolejny czytnik termiczny, zawrócił więc i przytrzymał drzwi stopą, zanim się zamknęły. Nachylił się do środka, chwycił nieżyjącego mężczyznę za stopę i wciągnął ciało na klatkę schodową. Potem ruszył w górę.

\*

„Kiedyś ta baza musiała mieścić całkiem sporą armię” - pomyślała Julia. Pomiedzy trzema rzędami półkolistych baraków biegły drogi gruntowe. Duże pole i lądowisko oddzielał

od baraków pojedynczy rząd pięciu hangarów lotniczych - teraz roztrzaskanych i płonących.

Cokolwiek mieściły kiedyś te baraki - kwatery, szpital, kantinę, magazyn broni, kaplicę, biura administracji, składy - dzisiaj były tylko zardzewiałym złomem i przypominały beczki do połowy zagrzebane w ziemi.

Julia przykucnęła nisko przy jednym z baraków, próbując odgadnąć obecną pozycję trzech ścigających ją zabójców. Założyła, że się rozdzielili, tak jak to zrobili w Pedro Juan Caballero. Przysunęła się do krawędzi budynku i wyjrzała zza rogu. Jeden z zabójców był

trzy baraki dalej, śmiało zmierzając w jej stronę i rozglądając się na boki. Wskoczyła i pobiegła w

stronę następnego rzędu. Atropos dostrzegł ją i uniósł pistolet. Julia wystrzeliła raz i drugi. Nie uskoczył. Wydawało jej się, że nawet nie drgnął. Potem znalazła się poza jego polem widzenia i pobięła pędem na drugi koniec budynku. Jej plan był prosty: odciągnąć Atroposów od schodów, wrócić tam, odnaleźć Stephena, odnaleźć Allena i zwiewać stamtąd jak najdalej, zanim zabójcy ich dopadną lub zanim bomby wbiją ich wszystkich tak głęboko w paragwajską glebę, że odnajdą ich dopiero archeolodzy w przyszłym stuleciu.

Już od kilku minut nie słyszała żadnej eksplozji ani nie widziała żadnego samolotu.

Ostatnim, który dostrzegła, był FA-18 z godłem Stanów Zjednoczonych - jej ojciec składał modele odrzutowców i rozpoznała go po bliźniaczych statecznikach na ogonie.

Zapikował nisko, niczego nie zrzucając. Zaczęła się zastanawiać, czy to możliwe, że nalot się skończył. Czy jego jedynym celem było zniszczenie samolotów i uniemożliwienie Littowi ucieczki drogą powietrzną? Czy teraz wkroczy oddział komandosów Kendricka, na który tak liczyła?

Dotarła do miejsca na końcu grupy baraków. Nadszedł czas zatoczyć koło powrotne.

Od momentu, kiedy zabójcy ruszyli na nią, zobaczyła tylko jednego z nich. To zdenerwowało ją bardziej, niż gdyby wszyscy deptali jej po piętach. Dotarło do niej, że nie widziała nikogo w ciągu ostatnich pięciu minut. Ludzie uciekający z bazy powymykali się przez bramę i zniknęli. Czegóż by nie dała, żeby być teraz z nimi, ze Stephenem i Allenem u boku.

Ścisnęła pistolet i pobięła z powrotem wzdłuż frontu pierwszego baraku. Zatrzymała się na rogu, żeby się przyjrzeć przestrzeni pomiędzy budynkami, po czym przemknęła na drugą stronę. Obiegła stos drewnianych skrzynek, które opierały się o sierpowatą fasadę.

Wypchane worki z grubego płótna przycupnęły obok niczym tłuste trolle. Przecięła następną lukę i pobięła na tył budynku.

Posuwała się naprzód powoli, ale wreszcie znalazła się na tyłach baraku, w którym były schody. Wyłoniła się zza rogu, wykonując ruchy przypominające nieco taniec oglądany przy świetle stroboskopowym. Z idealną precyzją skierowała pistolet w stronę drzwi, łukowatych dachów, skrzynek, rogów budynków. Dotarła do frontu, kopnięciem otworzyła drzwi i weszła w duszną ciemność. Wycelowała pistolet w bliżej położone kąty baraku, w te dalsze, w dźwigary nad głową. Przystanęła, nasłuchując.

Nadleciał samolot, po czym rozbrzmiało kilkadziesiąt lub może nawet kilkaset wybuchów. Ich odgłos był inny niż ten, który wydawały bomby lotnicze; był słabszy i przypominał bardziej huk granatów ręcznych. Mimo to wciąż słyszała zgrzyt rozdzieranego metalu i czuła, jak ziemia drży.

Przerwa nie oznaczała końca bombardowania. Jak Kendrick Reynolds mógł być tak bezwzględny? Powiedziała mu, że jada tu uratować Allena. Czy właśnie w ten sposób załatwiał sprawy - eliminując zagrożenie i rozwiązując wszystkie inne problemy za jednym zamachem? Rozumiała, że powstrzymanie Karla Litta było ważniejsze niż życie trojga cywili, ważniejsze niż życie setki osób, a nawet tysiąca. Ale wolałaby, żeby znalazł inny sposób -

choćby wysyłając przed nalotem oddział, który zabrałby stąd niewinnych.

A może Reynolds uważał, że na wojnie nie ma ludzi bez winy? W każdym razie w tej chwili czuła się trochę jak Slim Pickens siedzący na bombie wodorowej zmierzającej w stronę ziemi.

Przyśpieszając kroku, zagłębiła się dalej w ciemność i dostrzegła drzwi z drugiej strony dużej sali. Kiedy się do nich zbliżyła, drzwi się otwały. Wyrzuciła broń do przodu. Ze środka wytoczył się Stephen z Allenem na plecach. Julia zdjęła palec ze spustu. Stephen spojrzał na nią współczująco, ale się nie uśmiechnął. Opadł na jedno kolano i zsunął Allena z pleców. Allen siedział przez chwilę niczym szmaciana lalka, po czym osunął się na bok.

Julia gwałtownie wciągnęła powietrze, widząc jego wyniszczoną twarz i rozmazaną wszędzie krew.

- Co się stało?

- Źle z nim - odparł ponuro Stephen. Spojrzał błagalnie na Julię. - Chyba go zarazili.

Oni... Julio, on chyba ma Ebole. - Łzy wypełniły mu oczy i polały się po policzkach.

- Znajdziemy dla niego pomoc - odezwała się, próbując mówić z przekonaniem, którego nie czuła. - Ale teraz musimy iść. Musimy natychmiast opuścić to miejsce.

- Dam radę iść - wymamrotał Allen, podnosząc się. - Dam radę.

Stephen chwycił go pod pachami i podciągnął do góry. Allenowi udało się utrzymać głowę prosto, ale Julia widziała, że w ten wysiłek musiał włożyć całą swoją siłę i wolę.

Podniósł podbródek, wyprostował pierś i powiedział:

- Chodźmy.

Julia wystawiła głowę przez drzwi i rozejrzała się dookoła. Wymknęła się na zewnątrz z bronią gotową do strzału. Stephen i Allen przeszli przez drzwi razem. Stopa Allena uciekła spod niego, spróbował złapać równowagę, ale poleciał do tyłu na frontową ścianę budynku.

Sfrustrowany zmarszczył brwi. Wyzwolił się z uchwytu Stephena, pozostawiając tylko jedną rękę na ramieniu brata dla utrzymania równowagi.

- Ten sam stary Allen - wyszeptał Stephen. - Jak zwykle uparty niczym muł.

Skierowali się na południe, w stronę śmietnika i szybu kopalnianego. Ziemia zadrżała, kiedy baza wstrząsnął grzmot, odbijając się echem od metalowego poszycia budynków.

Julia i Stephen zorientowali się w tej samej chwili, że na koniec grzmotu nałożył się inny dźwięk - trzaśnięcie drzwi gdzieś za nimi.

Obrócili się i zobaczyli, że drogą przemyka człowiek. Przystanął i zwrócił się w ich stronę. Julii



zaschło w ustach. Zobaczyła patrzącą na nią z wściekłością nagą czaszkę. Ale wtedy zrozumiała, że czarne koła oczodołów to tylko okulary przeciwsłoneczne, a twarz, sprawiająca wrażenie pozbawionej ciała, była po prostu wychudła, ale tak bardzo, jakby została poddana uprawianemu przez Majów rytuałowi tlachaki, przy którym wyschnięta skóra twarzy rozciągała się na całej czaszce, po tym jak reszta została zdarta. Cienkie włosy, nienaturalnie srebrzyste w świetle słońca, odstawały do tyłu ze zbyt dużego czoła, okalając głowę niczym aureole świętych na florenckich obrazach, co dla Julii jeszcze bardziej potęgowało emanującą z tej postaci aurę świętokradztwa.

- Litt - odezwał się Allen.

Tamten trzymał obiema rękami srebrną walizkę, przyciskając ją do piersi.

Julia uniosła sig sauera, lecz Litt zniknął za budynkiem.

Zaczęła się wycofywać w stronę kopalni, ale Stephen złapał ją za ramię.

- Miał walizkę. Nie możemy go puścić.

- Nie ma czasu.

- Nie możemy go puścić - powtórzył.

- Nie możemy - zgodził się Allen. Wytarł usta wierzchem dłoni. - On nie odpuści.

Wróci.

- Allen - zaczęła Julia, nie mogąc uwierzyć, że ten zrezygnowałby z wydostania się stąd, jeśli istniała taka możliwość - pójscie za Litem może oznaczać dla nas wybór między życiem a śmiercią.

- To nieistotne.

Stephen odezwał się ponownie:

- Nie możemy go puścić.

Mieli rację. Na Boga, mieli rację. Kiedy wokół niego spadały bomby, jedyną pamiątkę, jaką Litt mógł chcieć zabrać stąd w takiej chwili, było coś, co pozwoli mu kontynuować bioterrorystyczną działalność - czyli pieniądze, dokumentację badań lub próbki, a najprawdopodobniej wszystko razem.

Bez słowa ruszyła za nim.

\*

Popędzili uliczką w stronę dużej otwartej przestrzeni, która przedzielała bazę w połowie.

Po drugiej stronie, naprzeciwko hangarów, na pozbawionych opon felgach stało kilkadziesiąt

rdzewiejących porzuconych pojazdów wojskowych. Pomimo zniszczeń Litt pobiegł właśnie w tamtym kierunku.

Kiedy wyłonili się z uliczki, Litt już na nich czekał. Stał dwa budynki dalej, posyłając im mrozący krew w żyłach uśmiech. Jego palce masowały wierzch dłoni trzymającej walizkę.

Julia wycelowała w niego pistolet.

- Stój! - wrzasnęła. - Rzuć walizkę!

Kiedy nie zareagował, powtórzyła rozkaz. Ponownie ją zignorował. Zaczęła się zastanawiać, czy nie ukrywa jakiejś broni. Zbliżyła się powoli, a Allen i Stephen tuż za nią.

- Zastrzel go - wyszeptał Allen. Jego głos był chrypliwy i brakowało mu tchu.

Znaleźli się przed wejściem do półkolistego baraku. Jego drzwi gwałtownie się otworzyły i ze środka wypadło trzech Atroposów uzbrojonych w rękawice. Czarne ramię wyskoczyło do przodu i wytrąciło jej z ręki pistolet. Julia zaskoczona krzyknęła boleśnie, kiedy kości w jej dwóch palcach trzasnęły i przebiły skórę. Jakaś dłoń chwyciła ją za włosy i szarpnęła do tyłu głowę. Machnęła ręką, ale w nic nie trafiła. Kopnęła do tyłu, poczuła, jak napastnik się odsuwa, i znowu nie napotkała oporu. Sięgnęła w tył za głowę, namacała giętki materiał rękawicy i zrozumiała, że nic nie działa.

„Niech teraz trafi w nas bomba - zaczęła się modlić. - Niech zabije nas wszystkich, dobrych i złych”.

Poleciała do przodu, orientując się podczas upadku, że ktoś kopnięciem w krzyż odepchnął ją na bok. Ciężko uderzyła o ziemię i potoczyła się dalej. Opadło na nią jakieś ciało - instynktownie wbiła w nie pięść. Człowiek sapnął boleśnie, zbyt ciężko, by mógł to być jeden z Atroposów. Odepchnęła go i spojrzała mu w twarz: to był Allen. Podrzuciła głowę do góry i zobaczyła Stephena w nierównej walce z trzema Atroposami. Jednego przyszpilił swoją masywną stopą do fasady budynku, drugiego trzymał za szyję w duszącym uścisku, nie zważając na to, że tamten okłada go pięściami. Właśnie kopnął, uderzył pięścią lub odepchnął trzeciego Atroposa, który zatoczył się do tyłu i upadł.

Oczy Stephena odnalazły Julię.

- Ruszaj! - wykrztusił. - Powstrzymaj go!

Spojrzała szybko i zobaczyła Litta biegnącego przez lądowisko w stronę dymiących hangarów. Rozejrzała się po ziemi w poszukiwaniu swojego pistoletu. Był tam, pośród płataniny nóg Stephena i Atroposa.

Zabójca, który wcześniej się przewrócił, był już na nogach i zbliżał się do Stephena.

Podskoczyła i kopnęła go. Atropos obrócił się i uderzył ją piętą w mostek. Poleciała do tyłu. Z oczami łzawiącymi od bólu potoczyła się w stronę walczących, próbując dosięgnąć broni. Na jej dłoń opadła stopa w ciężkim bucie. Julia z krzykiem cofnęła rękę. Odtoczyła się i powstała, tuląc obolałą kończynę do siebie.

Atropos przyciśnięty stopą Stephena wił się sfrustrowany, jeszcze nie zrozumiał, że to jego bracia nie pozwalają Stephenowi ruszyć się z miejsca. Od Atroposa trzymanego za szyję wyskoczyła najeżona kolcami rękawica i opadła na kręgosłup Stephena.

W reakcji na cios Stephen zamknął oczy. Popłynęły mu łzy. Ponownie otworzył oczy i odnalazł wzrokiem Julię.

- Ruszaj! Proszę!

Litt był już prawie przy hangarach.

Obok niej Allen zdołał podnieść się na nogi. Wyczuła napięcie w jego ciele, gotowość, by skoczyć na napastników Stephena. Wyciągnęła rękę i dotknęła go.

- Allen, nie. Zabiją cię jednym ciosem.

- Ja... muszę!

Stephen zwrócił zakrwawioną twarz w stronę Allena i potrząsnął głową.

- Nie, braciszku. idź. Powstrzymaj Litta. Nie pozwól, by to się powtórzyło.

Trzeci Atropos zrobił krok w stronę Allena i Julii. Stephen puścił szyję tego, którego trzymał, i złapał za kołnierz tamtego, który zainteresował się Allenem i Julią. Szarpnął go do tyłu. Kiedy mężczyzna obrócił się, by się wyrwać, Stephen krzyknął:

- Ty mięczaku! Jesteś tak samo do niczego jak twój nieżyjący braciszek!

Atropos wymierzył cios pięścią w twarz Stephena. Walka stawała się coraz bardziej zacięta: ruchy były coraz szybsze, a ciosy coraz mocniejsze.

Wycofując się, Julia dostrzegła w Atroposach coś więcej niż tylko pojedynczych zabójców. Chociaż każdy zamknięty był we własnym ciele, działali jednomyślnie, jak jedna istota: jeden się odsuwał, żeby mógł wkroczyć następny, chwytając i zwalniając uścisk niczym macki wyjątkowo złośliwego potwora. I rozumiała jeszcze jedną rzecz: wszyscy oni chcieli dostać kawałek Stephena, wszyscy chcieli mieć swój udział w jego śmierci. W obliczu wroga stali się jednym umysłem i jednym ciałem. Pragnęli dać im wszystkim po kolei odczuć wspólny, niepojęty gniew.

Szarpnęła Allena ze świadomością, że zostawia Stephena na pewną śmierć. Ale zginą wszyscy, jeśli będą próbowali przyjść mu na ratunek. A on umrze na próżno.

„Nie - pomyślała. - Nie może tak po prostu odejść”. Zanurkowała po broń, uchylając się przed kopnięciami i opadającymi ciężko nogami. Wysunęła do przodu zdrową rękę i zdołała uchwycić lufę. Odtoczyła się do tyłu, wstała i obróciła broń w ręce. Wycelowała w skupieniu. Wszyscy trzech zabójcy stali za Stephenem - ramię w rękawicy opasywało jego szyję, dłonie odciągały jego ramiona do tyłu pod nieprawdopodobnym kątem, a inna dłoń pojawiła się między jego nogami, aby przytrzymać go za udo. Julia przypomniała sobie wieloramiennego Sziwę, hinduskiego boga

zniszczenia, i wydało jej się, że to właśnie on trzyma Stephena. W miejscu naszyjnika z czaszek widziała nikczemne twarze Atroposów wyglądające zza ramion i ciała Stephena. Ukryli się za nim jak za tarczą.

- Idźcie - poprosił znowu Stephen słabym, chrypliwym głosem i serce rozboleło ją na myśl, że musi usłuchać. Większym okrucieństwem byłoby tego nie zrobić.

Jej palce, wykręcone groteskowo do tyłu, pulsowały i chlapała z nich krew. Czuła się tak, jak gdyby na jej ramieniu zaparkowała ciężarówka, ale zepchnęła ból głęboko do czarnej studni, gdzie jego wściekłe wrzaski odbijały się głuchym echem i traciły na sile.

Nie będzie mieć szansy na drugi czysty strzał. W oczach Stephena zobaczyła determinację. Chciał, żeby to wszystko, przez co przeszli, nabrało jakiegoś znaczenia.

Cierpienie Allena, jej rozpacz i wysiłki, śmierć Donnelleya, śmierć tak wielu innych osób, tych, o których wiedzieli, i tych anonimowych, obecna ofiara Stephena - chciał, żeby to miało sens, nawet jeśli jedynym dobrem, jakie mogło z tego wyniknąć, było powstrzymanie zła. Zrozumiała to. I rozumiała, że wahając się, zniszczy to wszystko, ta krew i łzy zostaną przelane na próżno. Opuściła broń i lekko skinęła głową. Nagryzła wargę, ponownie otwierając ranę, i poczuła krew. Czuła się jak małe dziecko, które próbuje zdobyć się na odwagę.

Stephen próbował się uśmiechnąć, ale drżące wargi nie chciały go usłuchać.

Przytrzymał więc jeszcze przez chwilę jej wzrok i odpowiedział skinieniem głowy, pewnym, zdecydowanym.

Julia znowu szarpnęła Allena. Stał na drżących nogach i pozwolił się jej podeprzeć.

Wtedy zaczęła ciągnąć go do tyłu.

- Nie, zaczekaj - poprosił Allen.

- Musimy powstrzymać Litta - wyszeptała, nie odrywając oczu od Stephena i jego napastników. Zabójcy wpatrywali się w nich, wiedząc, że wygrali.

- Nie możemy go zostawić - odezwał się Allen. - Nie w ten sposób.

- On tego chce, Allen. Jeśli nie pójdziemy teraz, nie powstrzymamy Litta i Stephen um. - przeformułowała myśl. - Wszystko to będzie na próżno.

- Stephen! Kocham cię! - zawołał Allen.

I Stephen się uśmiechnął szerokim uśmiechem mówiącym: „Wszystko w porządku”.

To było niesamowite, niczym chłodny prysznic na spoconą skórę. Julia podziękowała mu za to w milczeniu. Znowu szarpnęła Allena. Ustąpił i cofnął się z nią o kilka kroków. Potem odwrócił się, najwyraźniej pragnąc zapamiętać uśmiech, a nie to, co miało nastąpić po nim.

Jeden z Atroposów wycelowwał w nich pistolet. Stephen dostrzegł to i podbił broń czołem.

Uderzył głową Atroposa stojącego bezpośrednio za nim i zdołał oswobodzić jedną rękę, a potem nogę. Czepiał się ich, wymierzał ciosy pięścią, kopał i nie pozwalał na razie zabójcom zająć się pozostałą dwójką. Julia wiedziała, o co w tym chodzi. W końcu zabójcy nie robili tego dla zapłaty, to było coś osobistego. Nie zależało im, żeby to „zlecenie”

wykonać czysto i szybko. Wręcz przeciwnie, chcieli, żeby to była naprawdę brudna robota i rozciągali ją w czasie. A arogancja wynikająca z ich umiejętności i ściśle związana z ich zawodem dawała im poczucie, że mogą zabić swoją ofiarę bez wysiłku.

Nalot się nie liczył, liczyła się tylko zemsta.

- On ucieka - odezwał się Allen beznamiętnym głosem.

Odwróciła się i zobaczyła Litta przed jednym z hangarów. Oddała trzy szybkie strzały.

Obok niego rozprysła się ziemia. Gwałtownie przystanął, obrócił się i upadł.

Przycisnął do piersi walizkę i zniknął w przestrzeni pomiędzy dwoma hangarami.

- Trochę zwolnił - wychrypiał Allen.

- My musimy przyśpieszyć.

- Biegnij pierwsza. Dogonię cię.

Ale zanim zdołała się powstrzymać, zerknęła do tyłu. Zmroziło jej krew w żyłach.

Stephen klęczał, a dwóch Atroposów trzymało jego ramiona wyciągnięte w bok jak na krzyżu. Trzeci Atropos stał za nim, unosząc w górę uzbrojoną w rękawicę pięść, skoncentrowany na potylicy Stephena. Serce Julii trzepnęło o mostek. Zrobiła zamach pistoletem, ale za późno. Rękawica opadła, zdecydowanie i prosto niczym tłok.

Stephen zwiotczał. Dwaj trzymający go zabójcy rozluźnili chwyt i upadł: bez oporu, bez ruchu, bez życia.

Julia wydała z siebie zwierzęcy, zdzierający gardło ryk. Ryk przeszedł w wycie syreny, które zdawało się trwać jeszcze po tym, jak zamknęła usta. Zabójcy stojący nad ciałem pokonanego wroga obrócili głowy w jej stronę. Pogodzenie się z nieuchronną śmiercią było jedną rzeczą, ale zobaczenie jej na własne oczy było czymś zupełnie innym.

Spróbowała utrzymać prosto w dłoniach ciężką broń i nacisnęła przycisk. Znowu. I jeszcze raz. Po pięciu gorączkowych strzałach siłą woli zmusiła się, żeby przerwać ogień.

Jej strzały nawet nie poruszyły Atroposów, stali, wpatrując się w nią, niczym figury z wosku.

Odwróciła się od nich. Dogoniła Allena, który potykał się i upadał, biegnąc przez lądowisko. Zaczynała dyszeć i przyszło jej do głowy, że już nigdy nie uspokoi oddechu.

- Czy on?... - zapytał Allen.

- Nie patrz do tyłu - wciągnęła powietrze. „Dziesięć strzałów - pomyślała, próbując zaczepić myśli na czymś konkretnym. - Nie, jedenaście. Pierwszy rozbił lampę nad głową Atroposa. Potem dwa, kiedy przed nim uciekała, trzy do Litta i kolejnych pięć do zabójców Stephena. Jedenaście. Sig mieścił trzynaście pocisków plus jeden w komorze. Zostały jej trzy.

Wystarczy, żeby załatwić Litta".

Popędziła w stronę przejścia pomiędzy hangarami.

Karl Litt biegł za hangarami. W pobliżu ostatniego z nich była ukryta w dżungli szopa, w której stał jego terenowy hummer. Litt czuł żar buchający od płonących hangarów i zapach spalenizny. Popiół sypał mu się do oczu, więc strzepnął go dłonią. Ogrodzenie okalające bazę było po prawej stronie, niecałe trzydzieści metrów od niego, i tuż za nim widział ogarnięte płomieniami drzewa, które wyglądały jak słupy ognia. Jeśli dobrze policzył

naloty, to rozpędzona machina wojenna Kendricka zakończyła fazę drugą, zrzut bomb tomograficznych. Gdzieś nad nim radar samolotu odczytywał wyniki i tworzył mapę podziemnego kompleksu. Wkrótce rozpocznie się ostatni i najbardziej niszczycielski atak.

Poczuł ból, zanim jeszcze usłyszał strzał. Potem ogień - jego ucho płonęło! Upuścił

walizkę i chwycił się za ucho. Namacał krew i poszarpaną, zwisającą krawędź w miejscu, gdzie wcześniej był czubek jego ucha.

„Odstrzeliłam mu ucho" - pomyślała Julia.

Stała i patrzyła na Litta nad celownikiem pistoletu. Z lufy i z okna wyrzutu łusek ulatywały delikatne smużki dymu. Litt dotykał rany i pewnie nie miał pojęcia, co się stało.

Celowwała w środek jego pleców. Był czterdzieści metrów od niej, a ona wygrała turniej Akademii na strzelnicy o dziesięć metrów dłuższej. Ale teraz miała zranioną rękę.

Złamane palce, środkowy i serdeczny, trzymała wyprostowane i nie mogła objąć nimi rękojeści, co tłumaczyło niecelne strzały. Ugięła łokcie i przyciągnęła pistolet bliżej twarzy.

Podtrzymując prawą rękę, z której miała oddać strzał, naprowadziła celownik pomiędzy łopatki.

Litt obrócił się i podniósł ręce do góry.

Oparła palec mocniej o spust. Wyobraziła sobie, jak pocisk przebija klapę marynarki nad jego sercem. Czowała, że trafi.

Rozluźniła uścisk i lufa opadła w dół. Nie mogła tego zrobić. Nie mogła zastrzelić nieuzbrojonego człowieka, który się poddawał. Przecież nawet żołnierze brali jeńców na polu walki. Czy nie było to częścią konwencji genewskiej? Ale co ona z nim robi? Jeśli go zwiąże, ogłuszy lub jakoś go obezwładni, to Litt zginie w nalocie. Nie będzie się to wiele różnić od zabicia go teraz. Jeśli weźmie jego walizkę i pozwoli mu uciec, czy nie znajdzie jakiegoś sposobu, by zabijać dalej, być może nawet odtworzy wszystko, co tutaj robił? Jak wtedy będzie mogła z tym żyć? A jeśli naprawdę go zaaresztuje, to jak daleko zdołają zajść -

ona i ciężko chory Allen - zanim tamten zdobędzie nad nimi przewagę i zamorduje ich oboje?

- Nie masz wyboru. Zrób to.

Najpierw pomyślała, że to jej słowa, tak przekonujące, że brzmiały w uszach jak szept.

Potem zorientowała się, że wyszły od Allena, który powoli, z trudem zbliżał się do niej.

Zobaczyła go kątem oka po lewej stronie, jak włókł się wzdłuż ściany hangaru i ciężko dyszał.

- Julio - jęknął. - On jest odpowiedzialny za śmierć tylu ludzi. Pomyśl o swoim partnerze. Pomyśl o Ste... Ste...

Zaczął szlochać lub kaszleć, nie wiedziała. Ale to nie miało znaczenia, bo właśnie myślała o Donnelleyu, myślała o Stephenie. Zebrała się w sobie, czując napięcie mięśni twarzy, szczególnie tych wokół ust i na czole. Z powrotem ustawiła lufę na wysokości piersi Litta.

- W ten sposób zabijesz was oboje! - zawołał Litt.

Nie zmieniła pozycji.

- Niby dlaczego?

- Dlatego.

Jego lewa ręka się poruszyła - coś w niej trzymał. Jak mogła nie zauważyć? W tym krótkim czasie od momentu, kiedy dostrzegła ruch i zdecydowała się wystrzelić, usłyszała, jak włącza się jakaś maszyna: klak-klak-klak-klak-klak... Szybko niczym łańcuch kotwicy rozwijający się w stronę dna oceanu. Przesunęła wzrok i zobaczyła, jak urządzenie znajdujące się na skraju dżungli, po drugiej stronie drucianej siatki, obraca się dookoła. Wystawał z niego wielolufowy cylinder w systemie Gatlinga, który wcześniej był wymierzony w stronę dżungli, a teraz obracał się w ich stronę. Kiedy się zatrzymał, Julia słyszała jego dźwięk jeszcze przez sekundę. Obróciła się i zobaczyła jeszcze jedną broń tego typu - Tate nazywał ją Deadeye - której lufa była skierowana niemal wprost na nią. Przypomniała sobie słowa Tate'a, że żołnierze mogli te działka zdalnie kontrolować i że można je było tak zaprogramować, żeby monitorowały wybrane obszary wokół siebie.

Właśnie widziała, jak dwa z tych urządzeń zostały skierowane w inną stronę -

wcześniej były zwrócone w stronę dżungli, gdzie mógł się ukryć snajper strzelający do bazy, a teraz

zostały wymierzone w kierunku samej bazy, tam, gdzie stali ona i Allen. Nie miała wątpliwości, że każde z tych działek mogło ich unicestwić bez względu na to, w którym miejscu przestrzeni pomiędzy hangarami a dżungłą się znajdowali.

- Dlatego, że jeśli strzelisz, moi mechaniczni przyjaciele zlikwidują was oboje. -

Uśmiechnął się i opuścił ręce.

Gdyby Tate nie ostrzegł jej przed tą bronią antysnajperską, uznałaby to pewnie za blef.

Litt ciągnął:

- Ich reakcja jest natychmiastowa.

„Trzy sekundy” - przypomniała sobie Julia.

- ...a ich pole rażenia bardzo szerokie. Nie da się przed nimi uciec. Widziałem ludzi, którzy próbowali. - Mówiąc to, przykucnął i podniósł srebrną walizkę. Potem niepewnie cofnął się o krok.

- Po prostu. stój! - krzyknęła przez zaciśnięte zęby.

Usłuchał. Zrobiła krok naprzód. On znowu się cofnął. I znowu zrobili po kroku.

Rozum podpowiadał jej, że nie może go zastrzelić, i trzymała się tej wytycznej. Ale niemal zapomniała, dlaczego tak jest, i była bliska naciśnięcia spustu, by oddać strzał ostrzegawczy.

Przycisnęła palec do osłony spustu, żeby być w gotowości, ale zachować bezpieczeństwo.

- Litt! Powiedziałam stój! Nie żartuję. Nie myśl, że się zawaham, by zakończyć to tu i teraz.

Posunęła się do przodu i tym razem Litt nie ruszył się z miejsca. Za nią Allen przesunął się wzdłuż ściany hangaru.

- Allen, zostań tam. Nie ruszaj się.

- Jeśli ty idziesz, to ja też - odrzekł słabym głosem. Wiedziała, że miał na myśli dłuższą podróż niż tylko dystans dzielący ich od Litta. - Poza tym on i tak już mnie pewnie zabił.

- Splunął na ziemię krwią. - Julio, ty możesz się uratować. Wiem, że możesz.

- Masz jakiś pomysł?

- Nie, ale znam cię. Coś wymyślisz.

- Masz o mnie zbyt duże mniemanie. Jestem w kropce.

Doszli do przejścia pomiędzy hangarami. Allen zawahał się i Julia przysunęła się do niego, nie odrywając wzroku od Litta.



- Nie dasz rady - powiedziała.

- Czuję się lepiej, naprawdę. - Jęczał, ale wydawało jej się, że naprawdę wygląda, jakby miał więcej siły. Coś w nim nie dawało za wygraną. - Stephen naszpikował mnie adrenaliną. Czuję ją. - Chwyć mnie za ramię, ale nie szarp za mocno. Jeśli to ma być nasz koniec, nie chcę, żeby on się wywinął.

- On się chyba cofa. - Przytrzymał się jej i lekko się o nią oparł.

Minęli przejście między hangarami. Allen puścił ją, żeby kontynuować swoją smutną wędrówkę przy ścianie. Zmniejszyli o połowę dystans dzielący ich od Litta. Byli już na tyle blisko, że Julia widziała zakrwawioną resztkę jego ucha i czerwone smugi na szczęce i szyi.

Krew jaskrawo kontrastowała z bladością jego twarzy. Kiedy zbliżyła się jeszcze bardziej, zauważyła szkarłatną strużkę, która przecinała jego żuchwę i skapywała mu z brody, tworząc coś na kształt malutkiej koziej bródki. Nagły wybuch uderzył odłamkami w ścianę hangaru tak mocno, że cała się zatrzęsała, ale Julia powstrzymała pokusę, żeby się obejrzeć. Poczowała podmuch gorącego powietrza na włosach. Bombardowanie gwałtownie zbliżało się w ich stronę.

Zatrzymała się niecałe dwa metry od Litta. Wycelowwała broń w lewe szkło jego czarnych okularów przeciwsłonecznych.

- Nie użyjesz tego - powiedział, uśmiechając się lekko.

- Zrobię to bez wahania.

Kątem oka zobaczyła, jak Allen obsunął się przy ścianie i z jękiem uderzył o ziemię.

Jedno ramię miał wysunięte pod niewygodnym kątem, jak gdyby nie chciał poddać się całkowicie. Głowa mu opadła i wyglądał tak, jakby zapatrzył się w ziemię, widząc tam coś fascynującego. Dostrzegł go Litt.

- A, doktor Parker. Czy miło pan spędził czas w naszym ośrodku?

- Jesteś chorym człowiekiem, Litt - odezwała się Julia, niepewna, co robić dalej.

- Już mi to mówiono. Coś takiego dzieje się z człowiekiem, kiedy patrzy na bezsensowną śmierć swojej rodziny.

- To o to chodzi? O zemstę?

- Cóż, w twoich ustach brzmi to dosyć małostkowo.

Oboje grali na zwłokę, próbując znaleźć wyjście z tej sytuacji.

- Wielu ludzi straciło swoich bliskich, a nie zabijają w odwecie tysięcy innych.

- Ja nimi nie jestem.

Spoglądając na nią zza szkieł swoich okularów, umieścił urządzenie sterujące w kieszeni na piersi swojego fartucha laboratoryjnego.

- Nie ruszaj się. Nawet nie drgnij - powiedziała Julia, dotykając go pistoletem i pochylając się nieco w jego stronę.

- Bo co, strzelisz? Oczywiście, mogłabyś jeszcze rąbnąć mnie pistoletem. Chciałabyś?

Może to cię zniechęci. - W ręce, którą wysunął z kieszeni trzymał coś, co wyglądało jak harmonijka.

„Mój umysł zaczyna szwankować - pomyślała. - Jeśli to prawda, nie przeżyjemy”.

Wtedy z grubszego końca „harmonijki” wyskoczyło ostrze. Litt trzymał w dłoni sztylet.

Litt zaczął jakby od niechcienia wymachiwać nożem w powietrzu. Broń wyglądała absurdalnie w jego kościstych palcach, ale Julia miała wrażenie, że wie, jak się z nią obchodzić. Sam fakt, że nią wymachiwał, wiele mówił - najtrudniej było odebrać komuś broń znajdującą się w ruchu.

- Nie martw się, nie mam zamiaru cię zaatakować. Po prostu oczekuję, że będziesz wobec mnie równie uprzejma.

Błyskawicznie rozważyła w myślach wszystkie opcje. Strzelić i zginąć. Skoczyć na niego i zaryzykować cios nożem. Pójść za nim w oczekiwaniu, aż znajda się poza zasięgiem czujników Deadeye. We wszystkich hangarach były niewielkie tylne drzwi. Litt mógł z łatwością wycofać się pod któryś hangar, wskoczyć do środka i tam się zatrzasnąć, a wtedy nie zdoła go dopaść. Zanim obieglaby hangar dookoła, on zdążyłby znowu zniknąć. Może gdzieś czekał na niego samolot lub samochód z kuloodpornymi szybami i całą resztą. Jeśli go zaatakuje, może ją ugodzić nożem i uciec. Strzał był jedynym pewnym rozwiązaniem.

Ale Litt się nie ruszał - obserwował ją.

- To ty, prawda? - odezwał się. - Informacje na chipie. Zmieniłaś je, zmodyfikowałaś.

Poczuła, że się uśmiecha.

- Sprytna jesteś. Rodziny prezydenta nie było na liście. Ty ją dodałaś.

- Sam powiedziałaś, że rodziny lepiej nie tykać.

W górze przeleciał samolot, po czym nastąpiła gigantyczna eksplozja. Wybuch miał miejsce dosyć daleko od nich, tam gdzie stały półkoliste baraki, może nawet jeszcze dalej.

Mimo to ziemia zatrzęsała się na tyle mocno, że Julia na kilka sekund straciła równowagę.

Zasypały ich popiół i piach. Poczuli gorący podmuch.

- Ostatnia fala Kendricka - oznajmił Litt. - Unicestwienie bazy. Chyba lepiej będzie, jeśli coś ustalimy, nie sądzisz?

- Nie pozwolę ci odejść.

- Wiesz, że mogę mu pomóc. - Wskazał głową na Allena. - Im wszystkim.

- O czym ty mówisz?

- O Eboli. Mam lekarstwo.

Nie wiedziała, czy mu wierzyć. Chciała spojrzeć mu w oczy, ale miał zbyt ciemne okulary.

- To jest odwracalne - powiedział - przynajmniej we wczesnych stadiach. Wielu ludzi wyszło z tego, nawet już po pojawieniu się u nich silnych krwotoków. Kiedy już nie ma wirusa, organizm dość szybko dochodzi do siebie. Lekarstwo przywraca i przyspiesza krzepnięcie wewnętrznych naczyń, co daje komórkom śródbłonkowym czas na odbudowę.

Rzut oka na Allena stanowił zbyt duże ryzyko, ale wiedziała, że wygląda, jakby został

potrącony przez ciężarówkę. I to można było naprawić?

Widocznie te wątpliwości odbiły się na jej twarzy, bo Litt ciągnął dalej:

- Nawet doktor Parker ma szansę. Niewydolność serca wywołana przez wirusa Ebola, która się u niego pojawiła, jest jeszcze we wczesnym stadium. Organy wciąż funkcjonują, ale serce niedomaga wskutek utraty krwi i niedociśnienia. Doktor wciąż ma szansę - powtórzył -

z tym. - Stuknął nogą w metalową walizkę.

Wtedy to zobaczyła: ruch odbity w jego okularach. Zarys poruszających się nóg, kiwających się głów, machającej ręki. Trzech Atroposów powoli zbliżało się do niej od tyłu.

Litt grał na zwłokę, mówiąc:

- Możesz go uratować. Dam ci lekarstwo, a ty pozwolisz mi odejść. To proste.

Pośród odbitych postaci Atroposów pojawiła się wąziutka smużka czerwonego światła.

Ruszała się i podskakiwała, po czym dołączyła do niej następna, i jeszcze jedna.

Celowniki laserowe przy pistoletach. Włączali je, a światło laserów było widoczne na tle dymu. Naliczyła trzy postaci i trzy lasery.

„Nie będą ryzykować, że ich usłyszę. Strzelą wcześniej, nie będą czekać” - pomyślała.

- Właściwie - ciągnął Litt - mogę zabrać stąd was oboje i wysadzić przy szpitalu w...

„Oni nie wiedzą o Deadeye'ach, a Litt im nie powie. Ich życie za jego. Co on sobie myśli?

A im nie zależy, czy Litt zginie razem ze mną, być może trafiony przez te same kule, które zabijają mnie. Nie ma honoru wśród złodziei czy morderców”.

Sylwetki zabójców zlały się teraz z resztą wzorów ze światła i cieni odbitych w szklach okularów, ale małe czerwone promienie tańczące przy ich boku były wciąż wyraźne niczym neon. Przypomniała sobie styl strzelecki Atroposów, który obserwowała w akcji: nie robili przerw, nie tracili czasu na celowanie. Nie musieli - byli wyśmienitymi strzelcami. Kiedy unosili broń, strzelali. Jednosekundowe ostrzeżenie, co najwyżej.

- ...potem zacząłem wytwarzać przeciwciała.

- Co?

- Pochodzi z mojej krwi. Ten lek.

W jego okularach pojawiło się odbicie tego, na co czekała: kreski laserów uniosły się i skróciły, kiedy zabójcy podnieśli broń. Krótkie linie zmieniły się w punkciki.

- Znajdź lek na to - powiedziała i rzuciła się na ziemię.

Pistolety wystrzeliły, a tłumiki wygłuszyły ich huk do trzasku.

Litt wrzasnął. Jego krew chlapnęła na Julię. Nóż, wirując, wyleciał mu z dłoni i z brzękiem uderzył o metalową ścianę hangaru - dźwięk czynela pośród głuchych odgłosów pocisków uderzających o tę samą ścianę. Kiedy tylko jego ciało upadło na ziemię, przekręciła się w stronę Atroposów.

Stali zwartą grupą z rękami wyciągniętymi do przodu, ściskając dymiące pistolety, z których promieniowały strzałki czerwonego światła przebiegające nad jej głową.

Wszyscy mieli nieco zaskoczony wyraz twarzy. Potem wszystkie trzy pary oczu zerknęły na nią i promienie laserów obniżyły się, ale wtedy uwagę zabójców przykuł wysoki ton silnika. Jednocześnie obrócili głowy w stronę źródła dźwięku.

Po raz pierwszy, odkąd zobaczyła ich razem, Julia była świadkiem rozdźwięku w ich reakcjach. Dwaj skierowali pistolety w stronę najbliższego Deadeye'a, a trzeci zatoczył się do tyłu, próbując nabrać rozpędu.

Działka Deadeye ryknęły i zniknęły w obłokach dymu - podobnie jak zabójcy.

Zniknęli w gęstej czarnoczerwonej mgle, pośród której błyskały iskry, kiedy pocisk za pociskiem odbijał się od ich pistoletów. Tych iskier było tak wiele, że Julia pomyślała później, iż rękawice musiały jednak też być wykonane z metalu. Zdawało się, że mężczyźni rozmyli się w tle, niczym nakreślone tuszem postacie, których kontury zatarła ręka artysty.

Zamknęła oczy.

Działka przestały strzelać. Ich lufy wciąż się obracały, wydając dźwięk przypominający odgłos wiertarki dentystycznej. Coś mokrego uderzyło o ziemię.

Odwróciła się i rozejrzała się ostrożnie. Allen siedział oparty o ścianę, z jedną nogą oderwaną od ziemi w pozycji obronnej. Ścisnął głowę rękami. Jego usta były otwarte w niemym krzyku. Jego oczy - ledwie mieszczące się w twarzy - bardzo powoli przesunęły się na Julię. Zamknął wykrzywione usta, po czym przesunął językiem po wargach.

Przełknął. Ręce miał wciąż uniesione w górę. Zaczął coś mówić, przerwał. Znowu przełknął.

- Czy naprawdę powiedziałaś - zapytał z chrapliwym chichotem - „Znajdź lek na to”?

Nie było jej najwyżej trzy minuty i kiedy wróciła, Allen wciąż opierał się o ścianę.

Miał drętwy, otępiały wyraz twarzy i gapił się w miejsce, gdzie trzech Atroposów spotkało się z przeznaczeniem. Julia próbowała omijać wzrokiem tę jatkę, ale działka Deadeye wykonały swe zadanie bardzo dokładnie i gdzie nie spojrzała, widziała jakieś szczątki nieżyjących zabójców.

- Po prostu znikli - odezwał się Allen. - Byli tu, a teraz ich nie ma. Co za ludzie wymyślają takie urządzenia? - podniósł wzrok na Julię. - Nie masz marynarki. Przykryłaś go?

Skinęła głową. Oczy miała czerwone i zapuchnięte, a policzki wciąż mokre. -

Musiałam się upewnić. A co gdyby... jakoś?...

- Nie wyobrażam sobie, żeby te potwory zostawiły przeciwnika, który by jeszcze oddychał.

Julia podniosła walizkę Litta i usiadła obok Allena. Bomby spadały teraz jak deszcz, sypiąc się do kraterów, które pozostały w miejscach po półkolistych barakach. Musieli się stąd szybko zabierać, ale Julii pozostała jeszcze jedna ważna sprawa do załatwienia.

Ułożyła sobie na kolanach walizkę Litta. Przy rączce była pojedyncza kropla krwi.

- Sądziś, że mówił prawdę? - zapytała.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

Widziała, że Allen bardzo cierpi. Oddychał chrapliwie, z trudem. Mimo to okazywał

więcej wigoru niż dziesięć minut wcześniej. Julia przyjrzała się ciału Litta leżącemu na plecach na ziemi i zrozumiała, co Allen teraz czuje. Miała nadzieję, że uda mu się zachować tę energię jeszcze przez jakiś czas. Obawiała się, że może nie zdołać zanieść go w bezpieczne miejsce, jeśli Allen nie będzie w stanie iść.

Wzięła głęboki oddech, odpięła zatrzaski i otworzyła walizkę. Po wewnętrznej stronie wieka były

zamocowane dwa rzędy fiolek ze stali nierdzewnej. Niewielkie etykiety informowały o ich zawartości: „Ebola Kugel 4212A”, „Ebola Kugel 5211F”, „Ebola Kugel 3294B”. Ostatnia fiołka po prawej była dwukrotnie większa niż pozostałe. „Surowica odpornościowa EK”.

- To jest to - stwierdził Allen.

- Myślisz, że to jest prawdziwe antidotum, a nie tylko jego krew? Czy nie potrzeba wielu lat, żeby opracować coś takiego?

- Powiedział mi, że ma antidotum. Surowica odpornościowa to to samo.

Dolna część walizki zawierała kwadratowe metalowe pudełko, plik papierów wyglądających na banknoty, paszporty i inne dokumenty. Julia otworzyła pudełko. W środku było dwadzieścia parę chipów pamięci w plastikowych opakowaniach.

- Wzór na Ebolę Kugel? - zapytała Julia.

- Lub zapisane cyfrowo informacje o DNA różnych osób. Materiał do szantażu.

Transakcje finansowe. To może być cokolwiek.

Nisko nad ich głowami przeleciał odrzutowiec. Hangarem wstrząsnęła grzmiąca eksplozja. Zdali sobie sprawę, że tym razem wybuch miał miejsce po drugiej stronie hangaru, dużo bliżej niż poprzednie.

Julia zatrzęsnęła wieko.

- Chodź.

- Zaczekaj. - Z pewną trudnością ponownie otworzył walizkę, wyjął trzy fiołki Eboli z metalowych uchwytów, i rzucił je na ciało Litta.

- Nie... - nie dokończyła. Oczywiście, Allen miał rację. Z pozostawienia tych fiolek nie mogło wyniknąć nic dobrego. Sięgnęła do walizki, usunęła pozostałe fiołki, wszystkie poza surowicą odpornościową, i rzuciła je na pierś Litta.

- Myślisz, że ulegną zniszczeniu?

Pocisk z wyciem wpadł do dżungli i tam eksplodował. Wokół rozlegały się dźwięki o milionie różnych tonów, które zderzały się ze sobą, tworząc jeden ogłuszający ryk.

- Oto gniew Kendricka - odparła. - Gdyby chciał zlikwidować Litta i zdobyć wyniki jego badań, wysłałby pluton komandosów. - Pomyślała przez chwilę. - Właściwie tego się spodziewałam. Nie, on chce zniszczyć Litta i jego wirusa. Nie spocznie, póki nie zamieni tego miejsca w pustynię. Mogę się założyć.

Usunęła z walizki chipy pamięci i je także wyrzuciła. Wyciągnęła dokumenty, ale Allen ją

powstrzymał. Z pęku papierów w jej ręce wyjął plik banknotów studolarowych. Był

gruby na kilka centymetrów.

- Dla kościoła Stephena - powiedział. Wrzucił pieniądze z powrotem do walizki i odepchnął się od ściany, żeby wstać.

Julia zamknęła walizkę i podniosła się. Kiedy wyciągnęła rękę w stronę Allena, ziemią wstrząsnęła eksplozja. Julia wpadła na Allena i razem ciężko uderzyli o ziemię. Potem sąsiedni hangar wyleciał w powietrze. Kłębiące się chmury ognia i dymu wyrzuciły w górę poszarpane płyty blachy i pogięte dźwigary. Hangar przechylił się w stronę, gdzie zabrakło mu ściany, i zaczął się zapadać.

- Szybko! - zarzuciła sobie na ramiona rękę Allena i, potykając się, poderwała go do biegu.

Po drugiej stronie ogrodzenia zapłonęło i zważyło się ogromne drzewo, zgniatając jedno z działek Deadeye i odcinek drucianej siatki. Podmuch gorącego powietrza rzucił ich o ścianę. Allen wrzasnął z bólu i upadł na jedno kolano, ale ruszył dalej. Julia czuła, że Allen czerpie determinację z fizycznego cierpienia, zmieniając ból w paliwo dające mu siłę do walki o przetrwanie.

Przedzierali się za hangarami, szarpiąc się niczym więźniowie skuci razem kajdanami, nieprzyzwyczajeni jeszcze do wzajemnego tempa i chodu. Wpadli na ścianę, odbili się od niej i potykając się, przebyli kolejne kilkanaście kroków, zanim znowu uderzyli o ścianę.

Zamiast skręcić w uliczkę, którą ścigała Litta, Julia poprowadziła Allena dalej na południe: nie chciała, żeby oglądał ciało, którego głowę i tors przykryła swoją marynarką.

Wybuchy nie ograniczały się już do jednego rejonu, który można by z łatwością ominąć, ale wydawało się, że otaczają ich zewsząd, pustosząc środek bazy, burząc hangary i półkoliste baraki. Wydawało się jej, że bombardowanie jest nieco mniej natężone w południowej części bazy, w pobliżu szybu kopalnianego. Czy były to tylko jej pobożne życzenia?

Rozważyła ucieczkę przez główną bramę i dalej drogą gruntową, którą uciekli pracownicy bazy. Ale nie wiedziała, jak daleko posunie się Kendrick, likwidując zagrożenie ze strony Litta. Czy po starciu na proch bazy nie zabierze się za drogę, chcąc dogonić uciekający tłum? Sądziła, że jest do tego zdolny.

Nie, ona i Allen uciekną drogą, którą dotarła tu ze Stephenem. Jeśli Bóg uzna, że jak na jeden dzień los rzucił im już wystarczająco dużo kłód pod nogi, to Tate będzie czekał na nich przy samochodzie.

Przy składowisku zdezelowanych samochodów skręcili na zachód. Po drugiej stronie lądowiska wiele zdruzgotanych baraków płonęło. Gęsty czarny dym unosił się z krateru na środku lądowiska. Julia miała uczucie, że ten otwór miał służyć jako brama do podziemnego kompleksu, przez którą do środka zostanie zrzucona broń burząca budynki, topiąca beton i unicestwiająca wszystko - broń, której niszczącej siły cywile nie mogli sobie nawet wyobrazić. Zwiększyła tempo i zaczęła już nie tylko podpierać, ale i ciągnąć Allena za sobą.

Widok kontenerów ze śmieciami dodawał jej sił.

Kiedy minęli budki strażników i bramę wejściową, gigantyczna eksplozja za nimi rzuciła ich na ziemię. Nad ich głowami przeleciała wojskowa ciężarówka i wylądowała do góry nogami kilka metrów dalej. Jej opony płonęły. Julia przetoczyła się i zobaczyła, że budynek przy składowisku pojazdów, który przed chwilą minęli i na który wpadli, był teraz płonąca ruiną. Potarła ramię przeszyte nagłym bólem i poczuła, że jej palce zrobiły się lepkie od krwi.

Pomogła Allenowi stanąć na nogi i poprowadziła go dookoła ciężarówki, utykając, ciągnąc go i szarpiąc na tym krótkim dystansie dzielącym ich od śmietnika. Jeden z wybuchów przewrócił stojący tuż przy szybie kopalni ogromny kontener, który teraz częściowo zasłaniał wjazd. Gdyby Stephen odłożył na miejsce jego pokrywę po tym, jak wyszli na powierzchnię, ona i Allen nie byłiby teraz w stanie z powrotem jej podnieść.

Ale tego nie zrobił.

- To tutaj. Uważaj, gdzie stąpasz.

Allen podniósł wzrok i spojrzał na serce umierającej bazy.

- Chciałbym, żebyśmy mogli zabrać ze sobą Stephena - powiedział.

- Tak naprawdę jego już tutaj nie ma, Allen. - Przez luki pośród dymu zobaczyła rosnące punkciki samolotów.

- Wiem - odparł Allen.

Z przewróconego kontenera wylewała się wstrętna maź, tworząc wokół wjazdu cuchnącą kałużę. Allen wszedł w nią bez słowa skargi i zaczął się wciskać do dziury.

Ostrzegła go przed szczeblem, który wypadł pod ciężarem Stephena, po czym też weszła w kałużę mazi i wsunęła się do otworu.

Zgubiła gdzieś latarkę, a druga spoczywała gdzieś na dnie szybu. Uznała jednak, że zdołają odnaleźć drogę do wyjścia, idąc wzdłuż ścian. Czymże była brudna maź, czymże była ciemność w porównaniu z tym, co przeszli?

Szybem wstrząsnęła eksplozja. Julia wyobraziła sobie, że znajdują się w gardle jakiejś warczącej bestii. Schodzili w dół szczebel po szczeblu. Julia co jakiś czas przystawała, czekając, aż Allen zdoła zejść niżej. Wreszcie usłyszała, jak zeskakuje na dno kopalni.

Zajęczał.

- Wszystko w porządku?

- Zależy, o co pytasz - odparł słabym głosem.

- Usunąłeś się.



Góra szybu wybuchła. Kawałki betonu uderzyły Julię w głowę i ramiona. Poleciała w dół.

Wylądowała na plecach na jakimś głazie i straciła oddech. Spróbowała nabrać powietrza, ale usta miała zapchane ziemią. Szyb nad nią zaryczał, po czym zaczął pękać i zapadać się w dół. Julia była sparaliżowana - strachem. bólem. perspektywą śmierci. Poczula ostre szarpnięcie za ramię. Boleśnie spadła z głazu i potoczyła się po mniejszych kamieniach.

Allen ciągnął ją, podnosząc się i upadając do tyłu, wykorzystując siłę rozpędu każdego upadku, żeby odciągnąć ją jak najdalej od zapadliska.

- Aaa! - krzyczał przy każdym szarpnięciu. - Aaa!

Ziemia zapadała się coraz wolniej, aż wreszcie przestała. W dół polały się nieczystości, sycząc w zetknięciu z wielkim kopcem gruzu niczym płynna lawa. W miejscu, gdzie był szyb, teraz ział w ziemi komin szeroki niczym silos. Przez wypełnione kurzem powietrze przebijało światło, zalewając miejsce, gdzie padli Allen i Julia, słabym, mętnym blaskiem.

Otwór zadudnił po raz kolejny. Światło znikło, po czym coś wielkiego runęło w dół, odbijając się od ścian otworu i zrzucając płyty ziemi wielkości mogiły. Potem w stertę gruzu uderzył kontener i stoczył się do kopalni. Wylądował tak blisko Julii, że gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby go dotknąć. Z kontenera posypały się śmieci, otaczając ich najwstrętniejszym smrodem, jaki Julii dane było poczuć.

Krztusząc się i kaszląc, pomogli sobie wstać i pokuśtykali dalej. Zanim jeszcze światło dnia całkowicie ustąpiło miejsca czarnej ciemności kopalni, Allen schylił się i podniósł brudną i zakurzoną latarkę. Potrząsnął nią i latarka rozbłysła nikłym światłem.

Poczłapali w czarny chłód kopalni.

Ktoś za nimi kaszlnął.

Z mętnego powietrza wyłoniła się postać, przymglona i niewyraźna. Pierwszą rzeczą, którą dostrzegła Julia, był wycelowany w nich pistolet. Potem pojawiła się ręka, która go trzymała. Stopa i noga, stawiająca krok do przodu. W końcu ukazała się twarz.

- Gregor - powiedział Allen, prawie się przy tym dławiąc.

Włosy starszego mężczyzny były zlepione krwią. Spływała przy jego oku i zalewała dolną część twarzy. Ale jego wzrok był przytomny, a krok pewny. Śmiało podszedł wprost do nich, uniósł pistolet i zamachnął się na Allena, uderzając go w czoło. Allen runął na ścianę i osunął się bezwładnie na ziemię.

Julia rzuciła się na Gregora, ale broń błyskawicznie znalazła się przy jej twarzy, przyciśnięta do jej skroni. Wolną ręką Gregor chwycił Julię od tyłu za szyję, przytrzymując ją w miejscu. Napał na nią ciałem. Piers w pierś, policzek przy policzku, odezwał się jej do ucha.

- W końcu to ja wygrywam.

- Czego chcesz? - zapytała.

- Na pewno nie mam ochoty... - wściekłość w jego głosie była tak łatwo wyczuwalna jak smród wymiocin w jego oddechu - na pogawędkę.

Rozpoznała jego broń - popularny colt 1911, kaliber 0,45. Chociaż był

półautomatyczny, miał kurek, który trzeba było napiąć. Kciuk Gregora właśnie wykonał ten ruch.

- Wiemy, gdzie są pieniądze Litta i jego surowica, antidotum na Ebolę. - Nic więcej nie przychodziło jej do głowy.

„Graj na zwłokę” - pomyślała.

Nie wiedziała, czy przyjdą jej do głowy słowa, które mogłyby uratować im życie. Nie wiedziała, czy Gregor ruszy się o centymetr lub spojrzy w bok, co dałoby jej szansę, żeby walnąć go łokciem w gardło. Ale wiedziała, że kiedy tamten naciśnie spust, to będzie koniec -

żadnych szans. Żadnej nadziei.

Gregor mocniej przycisnął lufę do jej skroni.

- Są w walizce - powiedział. - Nie jestem kompletnym głupcem.

Ale nie zabrzmiało to pewnie.

Nad ramieniem Gregora zobaczyła, jak Allen poruszył się i podniósł głowę. Dotknął

ręką ściany tunelu, którą miał za sobą, i szybko cofnął dłoń. Był pośrodku dziwnie płaskiego odcinka ściany o powierzchni jaśniejszej niż reszta skał dookoła. Na podłodze dostrzegła migotanie światła i wydobywające się ze środka strużki dymu niczym z komina wulkanu.

Było to wyjście awaryjne, o którym mówił im Tate, zapomniana droga ewakuacyjna.

Najwyraźniej wybuch zniszczył drugie drzwi, które były na końcu długiego korytarza znajdującego się za tym przejściem. Jeśli dobrze odczytała reakcję Allena, to drzwi były tak gorące, że aż parzyły. Wyobraziła sobie piekło płomieni i żaru po drugiej stronie.

- Puść walizkę - odezwał się Gregor.

- Fiolki mogą się rozbić.

- Puszczaj.

Zrobiła, jak kazał. Walizka uderzyła ją w stopę i przewróciła się na bok.

Allen pochwycił jej wzrok. Szarpnął głową w bok: rusz się! Uniósł dłoń w stronę klamki u drzwi.

Zaprzeczyła lekkim ruchem głowy.

On pokazał gestem, że upiera się przy swoim. Oczywiście.

- Wyjęłam stamtąd fiolkę - powiedziała Gregorowi.

- Nie sędzę.

- Zobacz sam. Ale mogę cię do niej zaprowadzić.

Rzucił okiem na walizkę i puścił jej szyję.

- Odsuń się powoli - powiedział. Lufa jego broni wciąż była wycelowana w jej twarz.

Postawiła krok do tyłu, potem następny.

Gregor zgiął kolana, cały czas mierząc w nią z pistoletu, nie spuszczać z niej wzroku, i sięgnął po walizkę.

Julia zrobiła obrót, rzuciła się w dół i potoczyła po ziemi.

Allen otworzył drzwi. Rozjuszony płomień wpadły do tunelu, wysysając tlen ze zwierzęcym pomrukiem i rozprzestrzeniając się z szybkością błyskawicy.

Mrużąc oczy, Julia przykucnęła i zaczęła się wycofywać, patrząc jak ogień dopada Gregora. Rzucił nim o przeciwległą ścianę i buchnął na boki. Wytraciwszy rozpęd, płomień opadły na ziemię, paląc się szerokim pasem ciągnącym się od drzwi poprzez całą szerokość kopalni, który kończył się przy płonącym trupie Gregora.

Adidasy Julii i dolną część nogawek jej spodni też ogarnęły płomień. Zaczęła kopać i toczyć się po ziemi, aż wreszcie usiadła na nich, żeby ugasić ogień. Podniosła się szybko, czując ból przypalanej skóry, i rozejrzała się wokół.

- Allen! - Był dziesięć metrów dalej w głąb kopalni. Jego włosy dymiły, koszula płonęła i się nie poruszał. Nakryła go swoim ciałem i przesunęła rękami po jego włosach.

- Czy to jest twoje wyobrażenie o romantyczności? - wyszeptał.

Chwyciła jego głowę obiema rękami i nachyliła się bliżej.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś.

- Nie wiedziałem, że drzwi otworzą się z takim impetem. Wyleciałem jak z procy.

- I dobrze, bo inaczej skończyłbyś jak ten tam.

- Gregor. Czy on?.

- O tak. - Zamilkła. - Dziękuję. - Z jej oka spłynęła łza i wylądowała na policzku Allena.

Pozostawiła białą smugę na jego osmolonej skórze.

- Nic z tych rzeczy - powiedział. - Nie rób tak, bo moje wyobrazenie o tobie legnie w gruzach.

- To jak mnie widzisz?

- Och, jako kogoś, kto może mi zabrać kieszonkowe na lunch, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota.

- Bo mogę.

Roześmiali się, raczej z poczucia ulgi niż z rozbawienia. Szybko umilkli. Byli za bardzo poranieni - fizycznie i psychicznie.

Podniosła go, a on udawał, że pomaga. Ruszyli w stronę wyjścia z jaskini, opierając się o siebie, wreszcie w doskonałej harmonii. Otwór był jasny i osłonięty zielonymi liśćmi.

Potykając się, podeszli do niego i minęli krawędź.

Razem wpadli w chłodne objęcia dżungli.

\*

Zamrugnął oczami, oślepiony jaskrawym blaskiem słońca przebijającym przez żaluzje w szpitalnej sali, gdzie leżał. Kiedy otrząsnął się ze snu i jego oczy przyzwyczyły się do jasności, zobaczył, że były to szerokie żaluzje weneckie, stare i zakurzone. Ściany miały szarobrązowy kolor i nie było na nich żadnych ozdób, tylko przymocowane do ściany oprzyrządowanie medyczne. Skądś dobiegał pisk elektrokardiografu.

Allen wziął głęboki oddech. Po raz pierwszy od dawna nic go nie bolało.

Obrócił się, żeby rozejrzeć się po pokoju, który wydawał mu się inny, kiedy go teraz oglądał, nie czując bólu ani otepiałego działania leków, jak to było przez... przez długi czas.

Być może pokój wyglądał inaczej dlatego, że w końcu nie tylko omiatał go wzrokiem, ale był

wreszcie na tyle przytomny, że mógł o nim wydać jakąś opinię. Nie bardzo mu się podobał: pusta metalowa taca na kółkach, na suficie poplamione płytki akustyczne, brzydkie ściany.

Przesunął wzrok na drugą stronę łóżka i oczy rozbłysły mu na widok zadziwiająco pięknego akcentu pośród tej burej nijakości: rozpromienionej twarzy Julii Matheson.

- Myślałem, że byłaś tylko snem.

- Chciałbyś. - Podniosła się z krzesła i chwyciła go za rękę. - Jak się czujesz?

Skinął głową.

- Nic mnie nie boli albo zaczynam się przyzwyczajać.

- Lekarz mówi, że całkowicie wyzdrowiejesz. Wirus dopiero zaczynał się panoszyć.

Wszystko było odwracalne i wyleczalne, dzięki antidotum Litta.

- Sama myśl o nim sprawia, że robi mi się niedobrze.

- Jedna z fiolek w walizce, którą odzyskaliśmy, zawierała jego plazmę. Sądzą, że będą w stanie stworzyć z niej szczepionkę na Ebola.

- Jak długo tu jestem?

- Nieco ponad dwa tygodnie. - Podeszła do okna i podniosła żaluzję. - To jakiś wojskowy szpital. Jesteśmy chyba w Wirginii.

Allen uniósł się do góry i skrzywił się, czując ból w boku i w plecach.

- Chyba?

- Jesteśmy niby objęci kwarantanną, ale bardziej prawdopodobne, że nie wiedzą, co z nami zrobić. Pozwolili mi zadzwonić do mamy. Miała pewne problemy, ale pielęgniarka z opieki społecznej dotarła tam dość szybko. Teraz mama jest w ich ośrodku. - Zbliżyła się i odezwała miękkim głosem: - Czy coś w ogóle pamiętasz? Pamiętasz, jak spotkaliśmy w dżungli Tate'a? Jak amerykańscy żołnierze zatrzymali jego ciężarówkę przed Pedro Juan Caballero? Jak nas ewakuowali i przewieźli tutaj?

Wyteżył pamięć.

- Chyba. jak przez mgłę.

Przygryzła wargę.

- Pamiętasz, co się stało ze Stephenem?

Zamknął oczy. Przez dłuższy czas trwał w bezruchu. Potem pojawiła się łza i spłynęła mu po policzku. Nie patrząc na nią, odrzekł:

- Uratował mi życie.

- Nam obojgu i wielu innym. Miałam tutaj czas, żeby przemyśleć, co by się stało, gdyby Litt uciekł. Zainstalowałby się gdzie indziej i terroryzowałby świat swoim superwirusem. Tak go nazywają, superwirus, jakby to było coś fajnego.

- Wielu ludzi zginęło, żeby powstrzymać Litta. Także twój partner.

- Chciałabym móc zobaczyć się z żoną Goody'ego, z chłopcami. Muszą wiedzieć, że zginął jak bohater.

- Nie powiedzieli, kiedy nas wypuszczą?

Otworzyły się drzwi, wpuszczając powiew wyjąłowanego powietrza. Wraz z nim, opierając się ciężko na lasce, wszedł do środka stary człowiek o przygarbionych ramionach znużonego podróżnika. Zatrzymał się, przytrzymując drzwi, po czym pozwolił im się zamknąć. Allenowi się wydawało, że widział już tego mężczyznę, ale nie mógł go nigdzie umiejscowić.

Poczuł, jak spoczywająca na jego głowie dłoń Julii sztywnieje.

- Powinnam wyrzucić pana przez to okno - powiedziała.

- Nie wątpię, że dałaby pani radę, panno Matheson. - Jego uśmiech przygasł. - Przykro mi z powodu śmierci waszych bliskich.

Allen napotkał wzrok Julii.

- Nie rozumiem.

- To jest Kendrick Reynolds - wyjaśniła, przyglądając się staruszkowi oskarżycielskim wzrokiem. - Obiecał nam pomóc, po czym próbował nas spalić wraz z resztą swoich problemów.

Reynolds pokuśtykał do końca łóżka i oparł swoje długie, pomarszczone dłonie o jego rurkową ramę.

- Zrobiłem to, co musiałem. Nie było czasu, żeby wyciągnąć stamtąd panią, doktora Parkera i jego brata - powiedział.

- Więc zbombardował bazę - kontynuowała Julia, mówiąc do Allena i spoglądając gniewnie na Reynoldsa. - Razem z nami.

- Zapobiegliśmy holocaustowi, panno Matheson.

- Pan akurat niczemu nie zapobiegł. Bez nas zostałyby zniszczone także antidotum, które przecież uratowało... Ile? Dziesięć tysięcy ludzi?

- Tak, większość z nich. Ale gdybyśmy nie wyeliminowali Litta i jego wirusa, żylibyśmy teraz w innym świecie, zbyt strasznym, żeby nawet o nim myśleć.

- Zaczniemy od tego, że to pan doprowadził do tego bałaganu, to pański Frankenstein wyrwał się spod kontroli.

- Przyjmuję to oskarżenie - odparł z lekkim skinieniem głowy. - Nawet pani nie wie, ile krytyki musiałem znieść ostatnio.

- Jakże mi przykro z tego powodu.

Allen czuł w dłoni Julii niesłabnące napięcie. W obawie, że mogłaby wcielić w życie swoją groźbę i wyrzucić staruszkę przez okno, zapytał:

- Po co pan tutaj przyszedł?

- Byłem tu już wcześniej, doktorze Parker, ale nie czuł się pan na siłach przyjmować gości, a panna Matheson była zajęta utrudnianiem życia wojskowym urzędnikom.

Allen zerknął na nią.

- Od kiedy tu przyjechaliśmy, próbowali mnie skłonić, żebym złożyła wyjaśnienia - powiedziała.

- A ona zażądała wyjaśnień od nich - powiedział Kendrick.

- A więc teraz wytoczyli ciężką artylerię, o to chodzi?

Westchnął.

- Muszę wiedzieć tylko jedno - odparł. - Czy możemy to tutaj zakończyć?

Zastanowiła się przez moment.

- Czy zlikwidowaliście wirusa?

- Tak sądzimy. Baza została doszczętnie spalona: kompleks podziemny, budynki na powierzchni, okoliczne tereny. Bombardowanie trwało do późna w nocy. Nasze ekipy naziemne nie odnalazły żadnego śladu wirusa ani innych czynników biochemicznych. Czy dobrze się pan czuje?

Allen znowu zaciskał powieki, tym razem z całych sił. Julia odpowiedziała za niego.

- Musieliśmy zostawić tam ciało Stephena.

- Wiem. Mówiliście o tym komandorowi Bransfordowi w Paragwaju. Przykro mi. -

Spojrzał na swoje dłonie, a potem znowu na Allena i Julię. - Ten kraj jest wam winien wdzięczność. Niestety, nie można tego ogłosić publicznie. Jesteśmy jednak skłonni udawać, że te wydarzenia w ogóle nie zaszły. - Zajrzał Julii w oczy. - Rozumie pani, że nie wolno wam wspominać ani nazwiska Karla Litta, ani o Eboli Kugel, ani o domniemanym zaangażowaniu Stanów Zjednoczonych w badania nad bronią biologiczną? Proszę mi powiedzieć, gdzie jest pani laptop?

- Został zniszczony w bazie Litta.

Reynolds nie spuścił wzroku.

- Rozumie pan, że jeśli coś się stanie mnie lub Allenowi, ktoś może go odnaleźć? -

dodała Julia.

Po chwili Reynolds pochylił głowę, przystając na ten układ.

- Kiedy będzie pani gotowa, otrzyma pani bilet linii komercyjnych do Atlanty.

- Zaczekam na doktora Parkera.

- Jak powiedziałem, kiedy będzie pani gotowa. Doktorze Parker, z tego co wiem, może pan tu spędzić jeszcze kilka tygodni. Nie możemy pana przenieść do prywatnego szpitala. - Reynolds odsunął się od łóżka. Kiedy doszedł do drzwi, odwrócił się. - Podczas naszej ostatniej rozmowy Karl Litt powiedział coś, co sprawiło, że przyjrzałem się bliżej trzem zapisom na jego liście celów.

Julia uśmiechnęła się.

- Wszyscy kochają rodzinę prezydenta.

Reynolds skłonił głowę w jej stronę i opuścił pokój.

Julia rzuciła Allenowi krzywy uśmiech.

- Jedziemy do domu.

Nie odpowiedział. Błądził gdzieś myślami.

- O co chodzi? - zapytała.

- Nie wiem. Kiedy Stephen rzucił medycynę, nikt z rodziny tego nie rozumiał. Ja nie rozumiałem. Wychowano nas tak, że nic innego nie wchodziło w rachubę. To było tak, jakby odwrócił się od swojej rodziny, od swojego przeznaczenia. - Potrząsnął głową. - Ale teraz rozumiem, że on znalazł swoje przeznaczenie. Postanowił uwolnić się od ciasnych schematów, według których patrzyli na życie nasi rodzice. Widział świat, który rozciągał się poza naszą rodzinę. Widział nie tylko pacjentów, którzy mogli zapewnić mu prestiż i dostatek, czego oczekiwali nasi rodzice. On widział ludzi.

Jego głos załamał się przy ostatnim słowie. Odwrócił twarz i zakrył ją jedną dłonią.

Poczuł, że ręka Julii gładzi go po ramieniu, uspokaja.

- Po dłuższej chwili zaczął mówić dalej:

- Kiedy tam byłem, w tym pokoju w bazie Litta, kiedy umierałem, zacząłem myśleć o nazwiskach, które znaleźliśmy w twoim komputerze, o danych, które przemycił Vero.

Dziesięć tysięcy nazwisk. Dziesięć tysięcy ludzi. Myślałem o ich życiu i o ludziach, którzy ich



kochali, którzy otulali ich w nocy lub dzwonili do nich w ciągu dnia tylko po to, żeby usłyszeć ich głos. Zastanawiałem się, czy boją się tak jak ja, czy cierpią. Było mi ich żal - nie siebie, ale ich. Po raz pierwszy zrozumiałem, o co chodziło Stephenowi. To, co robił dla ludzi, mieszkając w tej małej chatce za kościołem, jeżdżąc nędznym samochodem, było o wiele donioślejsze niż to, co ja robiłem.

- Allen, potrzebujemy lekarzy. To szlachetny zawód.

- Tylko jeśli wykonujesz go z sercem. Stephen to rozumiał. Odszedł i z właściwych pobudek zrobił to, co powinien, zamiast zrobić to, co mógł z niewłaściwego powodu.

Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Z ulgą zobaczył, że rozumiała. To, co mówił, miało sens.

- Teraz go nie ma - powiedział. - A ja nie miałem okazji mu tego powiedzieć. -

Przerwał. - Nie mogę przestać myśleć o tym, że zginął nie ten brat, który powinien.

- Takie myśli doprowadzą cię do obłądu. - Skinął głową. - Naprawdę tak sądzę.

Stephen powiedział mi, co zaszło, gdy zabił tamtego człowieka w barze. Powiedział, że czuł

to samo, co ty teraz, uważał, że zginął nie ten człowiek, który powinien. Ale nie nam o tym sądzić, Allen. Możemy tylko spróbować pojąć to na tyle, na ile pozwalają nasze zdolności rozumienia.

Allen uśmiechnął się.

- Czy nie mówiłem, że jesteś ładna i mądra?

- Coś w tym stylu.

Nie umiał zatrzymać uśmiechu na twarzy. Miał ochotę zaszlochać, rozpłakać się jak dziecko.

- To co mam robić? Zająć miejsce Stephena? Zostawić medycynę, zostać pastorem?

- Nie mogę ci odpowiedzieć na to pytanie, ale jeśli wybierzesz tę drogę dlatego, że tak zrobił Stephen, wtedy nie będzie się to wiele różnić od pójścia na medycynę, żeby zadowolić ojca. Może odpoczniesz, dojdiesz do siebie, a potem zobaczysz?

- A ty co zrobisz?

- Odpocznę, dojdę do siebie, a potem zobaczę.

Przycisnęła policzek do jego piersi i przytuliła go. On otoczył jej plecy ramieniem i zaczął gładzić jej włosy. Tak było dobrze. Po prostu dwoje ludzi pocieszających się nawzajem.

Uśmiechnął się znowu i tym razem uśmiech nie zniknął.

KONIEC

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)